



C.J. CHERRYH

FORTECA
SÓW

C. J.CHERRYH

Tristen #3 Forteca sow

(FORTRESS OF OWLS)

TŁUMACZYŁ DARIUSZ KOPOCIŃSKI

Dla mojej redaktorki Caitlin,

której wiara i entuzjazm towarzyszyły powstawaniu

niniejszej książki.

Dla Jane, która cierpliwie czytała poszczególne

wersje, oraz dla Beverly, której dziełem jest

rozrastający się leksykon.

Wszystkim Wam dziękuję

Wstęp

Istnieją czary. Jest też magia. Oraz czarna magia. Wszystkie one różnią się od siebie – tak było i tak już pozostanie.

Przed dziewięcioma wiekami w pewnej wieży, w miejscu o nazwie Galasjen, księżę imieniem Hasufin Heltain żył w niepojętym strachu przed śmiercią. Ów strach odciągnął go od uczciwych studiów nad istotą czarów, a poprowadził ku posępniejszym praktykom czarnej magii.

Mauryl Gestaurien, ucząc go rzemiosła, zauważył, że zgłębia on wiedzę z zakazanej dziedziny, sprowadził więc sprzymierzeńców z krain baśniowej północy... Ci nie musieli uczyć się magii, gdyż była ich wrodzoną zdolnością. Tak oto pojawiło się pięciu lordów Sihhe.

Rozgorzała bitwa, w której nie tylko Hasufin poniósł klęskę; zginęli także starożytni Galasjeni, a wraz z nimi wszelkie ich dzieła. Po pięknym grodzie pozostała jedynie wieża – siedziba Mauryła.

Ynefel, jak ją nazwały późniejsze pokolenia, otoczona zewsząd Lasem Marna, zdobyła sobie sławę nawiedzonego zakątka. Z jej murów spoglądały przerażające, nie naruszone zębem czasu wizerunki zaginionych mieszkańców Galasjen. Mijały stulecia, a Mauryl wciąż sprawował stamtąd swoją władzę, od czasu do czasu

interweniując w sąsiedzkich zatargach.

Lordowie Sihhe wzięli w posiadanie ziemie południa... niezamieszkane bynajmniej przez Galasjenów – ci podzielili los Ynefel – ale przez innych przybyszów, zwłaszcza tych z rasy Ludzi, którzy napłynęli ukradkiem z północy. Sihhijczycy ujarzmili kraj, zdobywali i budowali, podbijali i zmieniali wszystko, co było dziełem Galasjenów, nagradzając lojalnych podwładnych włościami i stanowiskami.

Długowieczność Sihhijczyków pozwoliła pięciu pełnoprawnym członkom tego rodu żyć wiele lat. Pozostawili oni po sobie wśród tubylczych plemion nieliczne potomstwo półkrólów. Podczas gdy sihhijscy spadkobiercy zasiadali na tronie w Althalen, grodzie pozbawionym obwarowań, królestwo Ludzi szybko rosło w siłę. Na ziemiach sąsiadujących z włościami Ynefel rozwijało się osadnictwo.

Mauryl, nienapastowany przez nikogo pan nawiedzanej wieży Ynefel, bądź to za sprawą czarów, bądź daru natury wiodł długie życie, dłuższe nawet od żywota samych Sihhijczyków. Był świadkiem zmian i złowróżbnych przetasowań władzy, w miarę jak sihhijska krew i zarazem ich wrodzona magia słabły w linii następców Najwyższych Królów. Świetność dawno minionych królestw wspominały już tylko Cienie snujące się po uroczyskach. Takie jak Cień Hasufina Heltaina.

Pewnego dnia za panowania półkróla Elfwyny, w hołdowniczym kraju Amefel, w sihhijskiej stolicy, królowa porodziła martwe dziecko. Pogrążyła się w żałobie, lecz jakaż zapanowała radość, kiedy cudownym zrzędzeniem losu dziecina złapała oddech i ożyła – rozbudzona, w mniemaniu władczyni, dzięki magii i matczynej miłości.

Królowa bardzo się cieszyła z tego wspaniałego daru, jednak owo drugie życie nie było takie jak pierwsze. W rzeczywistości nie zawdzięczała niczego przyrodzonej sihhijskiej magii: to najczarniejsza z mocy tchnęła ducha w ciało martwego noworodka, ducha niewywodzącego się ani z jej rodu, ani z rodów Ludzi. Sam Hasufin Heltain wstąpił, bowiem w dziecko, żądny życia i władzy.

I oto niedorosły Hasufin zagnieździł się w samym sercu sihhijskiej arystokracji, gdy tymczasem mogący go rozpoznać Mauryl ciągle tkwił w swej pustelni. Rzadko wędrował do Althalen, ponieważ ostatecznie zaczął odczuwać piętno minionych wieków... w których Hasufina nie było pośród żywych.

W miarę jak owo tajemnicze, przymilne dziecko nabierało sił, w niewyjaśniony sposób ginęli pozostali królewicze. Zaalarmowany tymi wypadkami, znający zakres jego umiejętności, pełen gniewu i dobrych rad, Mauryl postanowił wreszcie przybyć na dwór i stawić czoło groźbie. Królowa nie chciała jednak dać posłuchu przestrogom czarodzieja, a tym bardziej zabijać syna, ulubieńca, najukochańszej i obdarzonej magią pociechy, który po śmierci starszych braci uzyskał bezpośrednie

prawa do tronu.

Zgodnie z ostrzeżeniem Mauryła owego dnia, kiedy dziecko dojdzie do pełnoletności, i w owej godzinie, kiedy obejmie rządy, rozpocznie się upadek dynastii i królestwa. Nawet to wyraźne napomnienie nie zdołało przekonać monarchini. Po stronie zrozpaczony królowej stanął także król, odrzucając żądania Mauryła pragnącego przebadać naturę chłopca i zgładzić królewicza.

Ogarnięty desperacją i w przewidywaniu klęski, Mauryl zaniechał próśb na dworze półkróla i zwrócił się do Ludzi służących Sihhijczykom. Wszedł w znowę z zaufanym generałem Elfwyna, wojowniczym Selwynem Marhanenem, nakłaniając jego i innych Ludzi do obalenia dynastii półkrólów i przejęcia tronu.

Takim oto sposobem, by położyć kres czarnej magii Hasufina, Mauryl zdradził spadkobierców tych samych lordów, których ongi wyniósł do władzy. Z tejże przyczyny nazywano go jednocześnie Twórcą i Zgubą Królów.

Po zapewnieniu sobie pomocy Ludzi oraz zwołaniu czarodziejów ze wszystkich zakątków królestwa Mauryl zaprowadził do królewskiego pałacu grupę czarodziejów oraz Marhanena z oddziałem żołnierzy. Współ ze swoimi konfratrami okiełznał magię, aby umożliwić Emuinowi, młodemu adeptowi tajemnej wiedzy, zabicie śpiącego księcia w jego własnej komnacie – czego Emuin dokonał, choć był to straszny i krwawy uczynek... Niestety, dopiero pierwszy tej nocy.

Po unicestwieniu Hasufina Mauryl przestał interesować się dalszym rozwojem wypadków. Losy Sihhijczyków w rękach Selwyna i jego ludzi, nawet losy pomagających mu czarodziejów, były mu obojętne, toteż wycofał się do swojej wieży, zgarbiony i znużony życiem. Młody Emuin przyjął święcenia kapłańskie, chcąc zapomnieć o popełnionej zbrodni i uzyskać zbawienie jako Człowiek i kapłan.

Tymczasem ambicja Selwyna tudzież strach Ludzi przed obcą dla nich magią skłoniły ich do zbrojnego wystąpienia przeciwko sihhijskiemu panowaniu: poszczególne prowincje jedna po drugiej padały łupem Marhanenów.

Położony za rzeką Elwynor, choć zamieszkanym przez Ludzi, okazał wierność rodowi Sihhe – zebrano tam armię, by poprowadzić ją przeciw buntownikowi, wszelako różnorodne niesnaski, roszczenia i pretensje związane z obsadzeniem tronu uniemożliwiały wymarsz wojsk. Dzięki temu Marhanen zajął hołdownicze królestwo Amefel, na którego obszarze leżała stolica Althalen, traktując je odtąd jako podległą mu prowincję.

Selwyn Marhanen, zamiast sprawować władzę z Althalen, grodu oddalonego od serca jego potęgi i będącego przedmiotem sporów wszystkich lordów Ludzi, ustanowił nową stolicę na swej rodzimej ziemi, ogłosił siebie królem, a talent i

okrucieństwo pozwoliły mu poskromić zapędy sojuszników i uczynić z nich baronów nowo powstałego dworu.

Ze stołecznego grodu w Guelemarze kontrolował prowincje położone na południu. On i jego poddani, głównie Gueleńczycy oraz Ryssandowie, byli Ludźmi z krwi i kości, nie przejawiali, więc uzdolnień w sferze magii i okazywali większe zaufanie kapłanom z sekt terantynów i quinaltynów. Obok pałacu Selwyn zbudował wielką świątynię i wyniósł do wysokich godności quinaltyńskiego patriarchę, który religijną pieczęcią sankcjonował wszelkie okrutne czyny nowego króla.

Ze wszystkich Ludzi poddanych Sihhijczykom jedynie Elwynimi zdołali uchronić swój kraj przed wtargnięciem gueleńskiego wojska, gdyż jego granic strzegły wody szerokiej rzeki Lenuaim, a także, w okolicach starej wieży, upiorne leśne ustronia Marny.

Wszystko znalazło swoje rozstrzygnięcie... z wyjątkiem sprawy Amefel, prowincji położonej po kontrolowanej przez Marhanena stronie Lenuaimu. Selwyn miał nadzieję, iż uchroni swoje ziemie przed zakusami Elwynimów, jeśli nie dopuści ich na gueleński brzeg rzeki, stąd kwestia Amefel miała kluczowe znaczenie.

A oto historia Amefel. Było to niezależne królestwo Ludzi, kiedy pierwsi lordowie Sihhe stanęli pod murami stołecznego grodu i zażądali otwarcia bram. Królowie Amefel, Aswyddowie, rozwarli wrota i pomogli Sihhijczykom w podboju Guelessaru, czego żaden Gueleńczyk nigdy im nie wybaczył. W nagrodę za zdradę członkowie miejscowej dynastii Aswyddów, mający szczególny status pod sihhijskimi rządami, mogli prawnie określać się mianem królów, w odróżnieniu od Najwyższych Królów, albowiem taki właśnie tytuł przyjęli sihhijscy lordowie.

Po podbiciu tej prowincji, lecz w obawie przed całkowitym upadkiem z trudem zjednoczonego królestwa – co mogło nastąpić, gdyby wdał się w spory z Aswyddami na temat ich przywilejów – Selwyn Marhanen udzielił Aswyddom gwarancji poszanowania wielu spośród ich starożytnych praw, łącznie z prawami do zachowania godności i wyznawanej religii. Tym sposobem Aswyddowie zostali wasalami króla Ylesuinu i uzyskali miano diuków, ale zarazem we własnej prowincji posługiwali się tytułem aethelingów, co oznaczało królów. Celowo odłożono na bok kwestię, czy ranga amefińskich earłów odpowiada rangom diuków na gueleńskich i ryssandyjskich ziemiach. A że Amefińczycy i Gueleńczycy przeważnie unikali wzajemnych odwiedzin na dworach, kwestia ta nadal pozostawała otwarta.

Selwyn zdołał więc utrzymać Amefel w karbach, jednak wrogi dystrykt Elwynoru zajmował niemal tak rozległy obszar jak Ylesuin i Amefel razem wzięte. Owa niezależność od Ylesuinu dała elwynimskim lordom możliwość zebrania sił w ciągu pierwszej zimy. Z nastaniem wiosny rzeka Lenuaim wyznaczała już granicę między wrogimi krajami. Włączenie Elwynoru w skład królestwa Ylesuinu było wielkim, lecz

nigdy niespełnionym marzeniem Selwyna.

Tymczasem Elwynimi, skoro zabrakło w Althalen Najwyższego Króla, ustanowili rządy regencyjne, powierzając władzę jednemu z earłów, z odrobiną sihhijskiej krwi w żyłach, który przybrał tytuł lorda regenta. Ludność Elwynoru z uporem wierzyła, że nie wszyscy lordowie Sihhe wyginęli i że jeszcze za ich życia nowy sihhijski władca, nazywany powszechnie Zapowiedzianym Królem (może jakiś ocalały książę?), wyjdzie z ukrycia, obali władzę Marhanena i odbuduje sihhijskie królestwo. Tym razem opoką nowego królestwa byłby wierny Elwynor, a lojalni poddani zaczęliby znów wieść beztrudne i dostatnie życie.

Wobec powyższego Elwynimi pielęgowali magię i wysoko cenili czarnoksiężski kunszt. Jednakże tylko nieliczni poza rodem lorda regenta posiadali jakiekolwiek czarodziejskie umiejętności. A już z pewnością nikt nie posługiwał się tą magią, którą niegdyś sihhijscy monarchowie. Czarodzieje niechętnie mówili o Zapowiedzianym Królu, pomni na bolesne starcia z Hasufinem Heltainem, stronili więc od elwynimskich arystokratów pragnących ich wynająć. Także ci, których łączyło jeszcze jakiekolwiek pokrewieństwo z dawnymi Sihhijczykami, chowali się w cieniu ze strachu przed wmieszanym w bunt mogący doprowadzić jedynie do katastrofy.

Tak więc Elwynimi, opuszczeni przez swoich czarodziejów i tych, którzy ocalili w sobie trochę królewskiej krwi, zaniechali ostrożności wobec magii i wszystkich ją obiecujących... Mijały lata, dziesięciolecia, a wciąż nie pojawiał się wiarygodny pretendent do tronu w Elwynorze.

Wreszcie umarł Selwyn. Władza nad Ylesuinem przeszła w ręce Inareddrina, jego syna, człowieka w średnim wieku, który był już dwukrotnie żonaty i miał dwóch dorosłych synów.

Inareddrin był całą duszą Gueleńczykiem, co znaczyło, że bezgranicznie, ślepo wierzył w quinalt, wpojony mu przez matkę. Jeszcze jako książę przestał darzyć miłością swojego ojca, bezlitosnego wojownika, ale czuł przed nim przemożny strach. Pomimo wymogów traktatu z Amefińczykami dorastał w atmosferze braku tolerancji dla innych wyznań. Stracił cierpliwość dla niesfornego Cefwyna, swojego najstarszego syna, ponieważ ten brał przykład z dziadka i pobierał nauki u kapłana zakonu terantynów, Emuina (tego samego, który pomagał Mauryłowi w Althalen), wyznaczonego przez Selwyna na nauczyciela swoich wnuków.

Wybór ten nie był wcale przypadkowy: sprawując rządy, Selwyn traktował kapłanów i quinalt jako powolne mu narzędzia, cieszące się do pewnego stopnia jego poparciem – dzięki nim utrzymywał Gueleńczyków w posłuszeństwie. Ale by zapewnić królestwu bezpieczną przyszłość, nękanym wspomnieniami z Althalen, Selwyn chciał zdobyć pewność, że jego wnukowie nie będą się bali kapłanów ani czarodziejów, a raczej ich zrozumieją, jednego z najlepszych mając po swojej stronie.

W tym właśnie należało upatrywać źródła zaciekłych sporów wewnątrz królewskiej rodziny. Śmierć królowej jeszcze bardziej skłóciła Inareddrina z ojcem i tego samego roku, kiedy zmarł Selwyn, narzucił on młodszemu synowi, Efanorowi, najsurowsze rygory quinaltu, przelewając nań równocześnie całą miłość, której skąpił starszemu synowi.

Efanora faworyzowali także wszyscy znaczący baronowie, zwłaszcza ci z prowincji Ryssandu i Murandysu. Zaczęły już nawet chodzić słuchy o odwróceniu praw do tronu, albowiem w miarę jak Efanor stawał się coraz bardziej religijny, Cefwyn, bezpośredni następca tronu, oddawał się szalonym wozom i wypadom na pogranicze oraz szukał towarzystwa kobiet... bardzo wielu kobiet.

Tak czy inaczej, zgodnie z gueleńskim prawem i obyczajem, a nawet z dogmatami quinaltu, Cefwyn był niezaprzeczalnym dziedzicem korony. Dlatego Inareddrin – bądź to w nadziei, że administracyjne obowiązki poskromią temperament księcia, bądź że, jak tu i ówdzie szeptano, jakiś zamachowiec lub nadgraniczna potyczka uczynią z Efanora bezpośredniego następcę tronu – powierzył Cefwynowi dowództwo nad stacjonującym w Amefel garnizonem, nadał mu kurtuazyjny tytuł wicekróla i tym sposobem umocnił władzę Marhanenów w owej osobliwie niepodległej prowincji.

Ani tradycja, ani postanowienia traktatu nie przewidywały kogoś takiego jak wicekról w Amefel, nic więc dziwnego, że decyzja ta nie spodobała się diukowi Herynowi Aswyddowi. Ten jednak, skrzętnie ukrywając niezadowolenie, zgodził się nawet składać Inareddrinowi raporty o postępach księcia, jak też o pogarszającej się sytuacji za rzeką – był bowiem powód, dla którego król czuł potrzebę utwierdzenia gueleńskiej obecności w Amefel. Podstarzały już regent Elwynoru miał tylko córkę. Elwynimscy lordowie, zniecierpliwieni oczekiwaniem na Najwyższego Króla, zaczęli napomykać, że regent powinien wybrać na przyszłego władcę jednego z nich. A jeśli któryś z earłów zechciałby związać się z królewskim rodem więzami prawomocnego powinowactwa, musiałby poślubić córkę lorda regenta.

Regent Uleman Syrillas odrzucał wszystkie oferty, przysięgając, że jego jedyne dziecko, córka imieniem Ninevrise, sama zasiądzie na regencyjnym tronie. Było to bezprecedensowe postanowienie, gdyż nigdy za sihijskiego panowania kobieta nie sprawowała samodzielnych rządów. Uleman przygotował wszakże córkę do objęcia władzy, a kiedy pewnego dnia pojawił się zalotnik, próbując zbrojnie poprzeć swe żądania i wprowadzić Ninevrise, regent stawił mu czoło.

W Elwynorze wybuchła wojna domowa, której echa niesły się do Amefel, za rzeką, albowiem na obu jej brzegach żyły spokrewnione ze sobą rody. Przez wzgląd na tę okoliczność Inareddrin posłał syna w celu wzmocnienia garnizonu.

I, co było dlań charakterystyczne, kazał Herynowi mieć oko na Cefwyna, natomiast Cefwynowi polecił obserwować Heryna, będącego wszak heretykiem, wyznawcą

bryaltu. W rzeczywistości król nie miał pojęcia, iż diuk Heryn sprzymierzył się z jednym ze zbuntowanych earłów z Elwynoru. Inni elwynimscy rebelianci, ci, którym brakowało wojska, gorliwie wypatrywali czarodziejskiego wsparcia.

Hasufin Heltain, teraz znowu nieżywy – w ludzkim znaczeniu tego słowa – tylko czekał na podobny kryzys i odpowiedni układ gwiazd. Dzięki sytuacji w Elwynorze coraz szerzej poczęła się otwierać furtka życia przed starożytnym duchem.

Mauryl już dawno przewidział taki obrót sprawy, toteż zachował siły na jedno wielkie, jedyne w swoim rodzaju zaklęcie: Wezwanie i Formowanie upiora z zaświatów, którego wywołał z ognia przy kominku. Niestety, jego dzieło okazało się ułomne, niedojrzałe i nie budziło grozy. Ku rozpaczy Mauryla w pamięci Zawezwanego w ten sposób młodzieńca nie zachowało się żadne wspomnienie tego, czym lub kim był kiedyś.

Mauryl nazwał swój twór... Tristenem. I tego samego dnia, kiedy czarodziej przegrał walkę z Hasufinem, tenże Tristen, młodzieniec niewinny jak noworodek, wyruszył w świat z nadzieją na urzeczywistnienie zamysłów Mauryla.

Tymczasem Droga mająca początek w Ynefel, zamiast zaprowadzić Tristena do nieznanego czarodzieja, mogącego udzielić mu nauk, przywiodła go prosto do zamku księcia Cefwyna, który spał tej nocy, pomimo uprzedzeń względem gospodarza, z siostrami Heryna Aswydda, bliźniaczkami Orien i Tarien.

Cefwyn nie spotkał dotąd tak niewinnej duszy... Niezdolny do gniewu, bezradny i niepotrafiący się wysłowić, Tristen miał jednak pewne magiczne zdolności. Szybko rozbudził ciekawość księcia, wyznając, że pochodzi od Mauryla. Książę zaś, kiedy już zaczął przebywać z młodzieńcem, doświadczywszy wcześniej gniewu i chłodnej niechęci ojca, opuszczony przez brata, zdając sobie sprawę, że baronowie północy pragną widzieć na tronie Efanora, po raz pierwszy w życiu przyjął płynącą z głębi serca ofertę przyjaźni obcego człowieka.

A tymczasem Tristen nadal się uczył, był bowiem niczym pusta gliniana tabliczka, po której nieustannie pisał zaklęty rylec Mauryla, objawiając mu czarodziejskim sposobem kolejne Słowa i udostępniając ciągle nowe dziedziny wiedzy. Tristen podziwiał lot motyli... i zadawał pytania, które trafiały prosto w serce Cefwyna.

Widząc, że księcia łączą z tajemniczym przybyszem coraz silniejsze więzy przyjaźni, diuk Heryn postanowił przyspieszyć realizację własnych planów. Wykorzystał nieufność, jaką Inaredrin żywił wobec syna, żeby zwabić do Amefel króla i księcia Efanora: zamierzał za jednym zamachem pozbyć się całej trójki i w ten sposób obalić rządzącą dynastię Marhanenów.

Książę Efanor jednakże nie dołączył do królewskiego orszaku, tylko przybył

bezpośrednio do Cefwyna, by oskarżyć i złać brata oraz poznać prawdę jeszcze przed przyjazdem ojca, a także by uchronić go przed zasadzkami mogącymi czyhać na króla. Był to bohaterski czyn. Ledwie Cefwyn posłyszał, że jego ojciec dał wiarę podszeptom lorda Heryna, ogarnięty trwogą i niebacznym na niebezpieczeństwo, wyruszył, aby zapobiec nieszczęściu.

Przybył jednak za późno i niechybnie sam zginąłby w bitwie z ludźmi, którzy zabili jego ojca, gdyby Tristenowi właśnie tego dnia, na polu bitwy, nie objawiła się sztuka walki; uległy młodzieniec przeobraził się w wojownika. Uratował obu książąt i zmusił do odwrotu żołnierzy Heryna. Kiedy Cefwyn powrócił niespodziewanie do Henas'amef, nie tylko żywy, ale i w koronie Ylesuinu, Heryn zapłacił życiem za swoją zdradę...

Pewnego razu Tristen, bląkając się wśród wzgórz, napotkał umierającego lorda regenta z Elwynoru, ukrytego przed tymi samymi nieprzyjaciółmi, którzy zabili jego odwiecznego wroga, Inareddrina. Ostatnim życzeniem sędziwego regenta było, by Tristen zaprowadził córkę Ninevrise na dwór Cefwyna Marhanena i zaproponował mu jej rękę, albowiem jedyna nadzieja zachowania rządów regencyjnych wiązała się teraz z ustanowieniem pokoju z Ylesuinem.

Tristen przyprowadził lady Ninevrise przed oblicze Cefwyna, a wtedy nowy król Ylesuinu zakochał się od pierwszego wejrzenia w regentce z Elwynoru.

W uznaniu zasług Tristen został ogłoszony lordem. Nie wyśmiewano już jego nieporadności, wręcz przeciwnie, wzbudzał strach, nikt bowiem, kto przyjrzał mu się w boju, nie mógł go teraz lekceważyć. Orien, siostrę Heryna, Cefwyn mianował duchessą Amefel, gdyż nie był jeszcze gotów do rozrachunku z całym rodem, a z jej strony nie spodziewał się dużego zagrożenia. Ona jednak kryła w sercu zemstę i kłamała przy składaniu przysięgi. Z powodu braku własnego wojska i umiejętności prowadzenia wojen szukała innych sposobów zdobycia władzy, aż padła łupem wrogich, czarodziejskich podszeptów Hasufina Heltaina.

Bezpośrednim celem Hasufina było wtargnięcie do fortecy w Henas'amef, lecz ze względu na Tristena i Emuina nie potrafił sforsować zapór. Dlatego nakazał będącej w jego mocy Orien dokonać zamachu na życie Cefwyna, komu innemu zaś rozkazał napaść na Emuina. Równocześnie posłał za rzekę wojska zbuntowanych Elwynimów.

Dwie pierwsze próby zakończyły się dla Hasufina niepomyślnie. Trzecia skierowana była przeciw Tristenowi, w którym rozpoznał ostatnią i najskuteczniejszą broń Mauryla. Czarna magia osiąga apogeum swoich możliwości, gdy zachodzą brzemienne w nieszczęśliwe przypadki wstrząsy, a najdonioślejsze z nich dokonują się wśród igraszek losu na polu bitwy. Dlatego też Hasufin próbował ze wszystkich sił wdrzeć się brutalnie na świat i zniszczyć Tristena, który stał pomiędzy nim a życiem i materią.

W świecie Ludzi, na równinie nad Lewenbrookiem, niedaleko Ynefel, elwynimscy rebelianci pod wodzą lorda Aseyneddina starli się z wojskami Cefwyna Marhanena. Rozgorzał bój Ludzi. Kiedy jednak zachwiały się szeregi Aseyneddina, Hasufin rozesłał w beztroskim nieporządku fale czarnej magii. Ściana Cienia przetoczyła się po równinie, a tych, których dotknęła i zdołała zabrać, nigdy nie oddała. Tak objawiła się moc Hasufina, pragnącego unicestwić Tristena.

Wszelako w decydującej godzinie Tristen zrozumiał magię, podobnie jak wcześniej pojął zasady walki. Gdy Hasufin Heltain użył swoich czarów, Tristen wjechał w Cień, przedarł się do samej wieży Ynefel i przepędził złego ducha z jego Miejsca w świecie.

Osnute nienaturalną ciemnością wojsko Cefwyna uzyskało przewagę, a kiedy promienie słońca przebiły mrok, król uporządkował szyki. Żołnierze Aseyneddina, którzy ocaleli, rzucili się do panicznej ucieczki.

Aby wrócić do świata stamtąd, dokąd zaszedł, Tristen musiałby odbyć długą drogę. Wyczerpany, zboleły, gdy jego cel się ziścił, zrezygnował ze stworzonego przez czarodzieja życia, zerwał z zamysłami Mauryla, nazbyt zmęczony, by powrócić do świata Ludzi.

Wcześniej jednak dał Uwenowi, swemu wiernemu słudze, zwyczajnemu Człowiekowi bez odrobiny magicznych uzdolnień, pewną moc, dzięki której Uwen mógł go przywołać. Co też uczynił, ów prosty i oddany żołnierz – odszukał na polu bitwy swojego zagubionego pana i Tristen powrócił.

Był taki moment, kiedy Cefwyn, stojąc w chwale zwycięzcy nad pobojuwiskiem, rozmyślał o bezzwłocznym wymarszu na Elwynor: baronowie z południa skupili się wokół osoby nowego króla i pewnie by go nie odstąpili. Wojsko poniosło jednak dotkliwe straty i należało je przegrupować, a wrogowie uciekali w popłochu, co oznaczało, iż rychło znikną w głębi swego terytorium. Jako nowy władca miał też świadomość, że pozostawił nierozstrzygnięte sprawy. Większość poddanych jeszcze się nie domyślała, że mają nowego króla, również mało, kto wiedział o podpisanym z Ninevrise traktacie.

Kończyło się lato. Pogoda sprzyjająca prowadzeniu wojny nadal dopisywała, lecz sroga północna zima mogła uniemożliwić prowadzenie kampanii. Koniec końców, Cefwyn postanowił nie wikłać swej zmęczonej armii, bez map i bez przygotowania, w niejasną sytuację w Elwynorze pogrążonym od kilku lat w anarchii, targanym waśniami wśród pretendentów do regencyjnego tronu. Zamiast tego postanowił przegrupować siły, rozwiązać wewnętrzne problemy, poślubić lady regentkę, ratyfikować traktat małżeński i przygotować wojska królestwa do wiosennej kampanii.

Wraz z Efanorem wyruszył w drogę do rodzinnego domu, wierząc w dobrą wolę

zaufanych ludzi ojca. Zamierzał bezkonfliktowo przejąć rządy, lecz po przybyciu do stolicy odkrył, iż ci baronowie, którzy byli najserdeczniejszymi przyjaciółmi jego ojca, robią, co mogą, żeby przechwycić władzę w swoje ręce, zmarły król bowiem przez lata pozostawiał im wiele swobody. Nie chodziło już nawet o to, że baronowie z północy wolą Efanora. Dotychczas mieli posłusznego im króla, chcieli więc, aby i drugi był podobny. W powszechnym mniemaniu Cefwyn był hulaką z mizernymi zadatkami na silnego władcę – niczemu się nie sprzeciwi, mawiano między sobą, byle mu dostarczać rozrywek.

Nie taki król wszakże wrócił do nich z pogranicza: Cefwyn przybył w asyście rywalizujących z nimi południowych baronów, cieszących się najwyraźniej wielkimi łaskami, sprzymierzony z sukcesorem Mauryła, zaręczony z elwynimską regentką i szykujący się do wojny z buntownikami zza rzeki. Nie był to już ten sam rozwiązyły syn Inareddrina, tylko nieugięty wnuk Selwyna. I strach padł na baronów...

Przyjęli więc nową taktykę. Byli przecież starsi, sprytniejsi, bardziej wprawieni w dworskich intrygach. Zdecydowali się posłużyć kapłanami, zapobiec małżeństwu króla i potraktować lady regentkę jako jeńca, po czym zagarnąć ziemię Elwynoru.

Ale i Cefwynowi nie brakowało determinacji. Postanowił ująć ich w karby i zaprowadzić porządek w królestwie. Baronów z południa odesłał do domów, ażeby mogli dopilnować zbiorów i rozpocząć przygotowania do wojny. Pozostał jedynie Cevulirn, którego jeźdźcy mieli obowiązki mniej zależne od pór roku i który był cichym stróżem interesów południa.

Tymczasem w Elwynorze następny zbuntowany lord skorzystał z zamieszania i wyprowadził wojska spośród wzgórz, by przystąpić do oblężenia własnej stolicy w lIefinianie. Głosił, że lady regentką jest jeńcem w rękach króla Marhanena.

Cefwyn poczynił odpowiednie kroki, by nakłonić quinaltynów do poparcia ślubu i traktatu, na mocy którego Ninevrise miała samodzielnie władać Elwynorem jako lady regentka, niezależna od króla Ylesuinu. W odwecie baronowie próbowali osłabić znaczenie monarchy.

Tristen na południu wzbudzał strach, na północy zaś głęboką odrazę. Trzymał się w cieniu, jako że Cefwyn, walcząc o prawo poślubienia ukochanej kobiety i usiłując odzyskać władzę w stolicy, obawiał się, iż Tristen zostanie do tej walki wciągnięty.

Skrytość młodzieńca pogłębiała tylko otaczającą go tajemnicę. Baronowie dostrzegali jego wpływ na króla i postanowili wyeliminować Tristena z gry. Pewnej nocy, kiedy piorun – czy to wskutek czarów, czy zbiegu okoliczności – uderzył w dach świątyni, w skrzyni pełnej datków znaleziono sihijską monetę z potępianym wizerunkiem na awersie, zawyroковано, więc zgodnie, że quinaltynów i bogów zaatakowały przeklęte czary.

Cefwyn podejrzewał, iż Jego Świątobliwość patriarcha jest na tyle obłudny, że sam mógł podrzucić feralną monetę, postanowił, zatem czym prędzej przeciągnąć go na swoją stronę. Jednak znalezienie monety w połączeniu z uderzeniem pioruna wywołało na dworze taką trwogę, iż Cefwyn uznał za stosowne zakończyć spory na temat Tristena. Obmyślił chytre i skuteczne, jego zdaniem, posunięcie: wysłał przyjaciela do Amefel – nie w charakterze okrytego hańbą zbiega, lecz prawowitego diuka, mającego zmienić tymczasowego wicekróla tej prowincji.

Ów wicekról, Parsynan, został powołany na swoje stanowisko za namową swarliwych baronów, zwłaszcza Murandysa i Ryssanda. Orien Aswydd i jej siostrę Cefwyn umieścił – za zdradę, której się dopuściły – w żeńskim klasztorze terantynów i aż do tej chwili nie wyznaczył następnego diuka.

Słyszając o rychłym wyjeździe Tristena i odwołaniu Parsynana, lord Corswyndam z Ryssandu zadrżał ze strachu. Bał się, że w ręce króla wpadną pewne ważne papiery, dlatego posłał do Parsynana gońca z ostrzeżeniem. Goniec Corswyndama pędził co koń wyskoczy, by dotrzeć do Henas'amef, stolicy Amefel, przed królewskim posłańcem z oficjalną notą.

Parsynan w swej naiwności dopuścił do konfidencji miejscowego sprzymierzeńca, lorda Cuthana, dalekiego krewniaka Aswyddów, ponieważ ów człowiek popierał go wcześniej w sporach z innymi earlami. Cuthan spiskował już jednak z Elwynimami; ażeby odwrócić uwagę Cefwyna, chciał wywołać wojnę w prowincji. Według planu wojsko Elwynoru zaraz po zdobyciu cytadeli miało dokonać agresji i stawić czoło siłom króla. Cuthan nie tylko nie uprzedził o niczym Parsynana, ale i nie powiadomił pozostałych earłów, że oddział królewskich żołnierzy jest już w drodze do miasta. Bez względu na rozwój wypadków Cuthan chciał ratować własną skórę.

Niektórzy z amefińskich lordów, nie znając kilku ważnych informacji, dowodzeni przez earla Edwylla z Meiden, zajęli Południowy Dziedziniec fortecy i czekali na elwynimską pomoc. W tej samej godzinie Cuthan, nękany wątpliwościami, opowiedział pozostałym earlom o spodziewanym przyjeździe żołnierzy i o braku reakcji ze strony Elwynimów.

Earlowie nie wsparli Edwylla, co było na rękę Cuthanowi: jego odwieczny rywal okazał się teraz zdrajcą, siedząc w twierdzy w chwili przybycia królewskiego oddziału. Oprócz niego nikt nie ponosił winy.

Zanim ktokolwiek zdołał zebrać myśli, Tristen wpadł do miasta niczym burza i witany owacją mieszkańców, ruszył bezzwłocznie ku bramom twierdzy. Earlowie Amefel natychmiast opowiedzieli się po stronie silniejszego.

Edwyll tymczasem umarł po wypiciu wina z kielicha pochodzącego z kredensu lady Aswydd... Z kielicha nie tkniętego, odkąd Orien wygnano do klasztoru i zamknięto

komnatę. Bez względu na to, czy śmierć Edwylla należało przypisywać działaniu uśpionych dotąd czarów rzuconych na osobiste rzeczy Orien, czy był to po prostu nieszczęśliwy wypadek, dowództwo nad rebeliantami przeszło w ręce syna Edwylla, thane'a Crissanda, zmuszonego ostatecznie do złożenia broni. Tak oto Tristen objął w posiadanie fortecę.

Wciąż nieukontentowany śmiercią earla Edwylla, Parsynan, głównodowodzący załogi garnizonu, wydarł więźniów z rąk oficerów i rozpoczął ich egzekucję.

Tristen zjawił się w samą porę, by uratować Crissanda. Wygnał lorda Parsynana z miasta, w środku nocy i z pustymi rękoma. Skandalicznie potraktował szlachetnie urodzonego oficera króla, lecz nawet jeśli dotąd nie okrył się chwałą bohatera, czyn ten przeważał szalę: mieszkańcy grodu byli zachwyceni i nagradzali owacjami swojego nowego lorda. Crissand, syn Edwylla, także daleki krewny Aswyddów, złożył Tristenowi przysięgę na wierność, używając śmiałych zwrotów, które wywołały zgorszenie wśród gueleńskich protokolantów: uznał on w Tristenie – niby w spadkobiercy Aswyddów – swojego naczelnego władcę, aethelinga, Najwyższego Króla, rozbudzając na nowo kontrowersje na temat statusu Amefel jako udzielnego królestwa. Crissand został przyjacielem Tristena oraz najzagorzalszym jego sojusznikiem spośród amefińskich earłów, którzy, szanując nowego pana, wnet zaniechali waśni i po raz pierwszy od dziesięcioleci doszli do porozumienia.

Nie upłynęło wiele czasu, a Tristen odkrył zarówno spalone szczątki listów Mauryla, jak też skierowaną do Parsynana wiadomość od lorda Ryssanda. Pierwsze odkrycie powiedziało mu, że korespondencja prowadzona niegdyś przez Mauryla z amefińskimi lordami mogła mieć też jakieś odniesienia do dnia dzisiejszego. Jeden kustosz zabił drugiego i umknął z dokumentami. Drugi list ujawnił natomiast istnienie zmywy między Corswyndamem a Parsynanem.

Tristen czym prędzej odesłał list Ryssanda do Guelessaru. Cuthan, przez obie strony uznany za zdrajcę, skorzystał z pobłażliwości Tristena i uciekł do Elwynoru.

W stolicy królestwa Ryssand zdawał sobie sprawę, że musi się śpieszyć, jeśli chce nadszarpnąć autorytet króla. Jeden z urzędników doniósł mu, iż urząd regenta Elwynoru, którego domagała się Ninevrise, łączy w sobie funkcje kapłańskie. Podżegani przez Ryssanda quinaltyni ostro sprzeciwili się temu, by kobieta odprawiała kapłańskie rytuały. A to mogło unieważnić traktat przedmałżeński.

Cefwyn po raz kolejny poszedł na kompromis ze Świątobliwym Ojcem: Ninevrise zgodziła się oświadczyć, że jest i zawsze była wierna bryaltowi, religii dominującej w Amefel – zatwierdzonej, acz niecieszącej się dobrą sławą. Gdyby zdecydowała się skorzystać z posług kapłana sekty bryaltynów, quinaltyni mieli przeprowadzić ceremonię ślubną, odkładając na bok inne sporne kwestie.

Baronowie postanowili zadać ostatni, decydujący cios: oskarżyli Ninevrise o niewierność, której jakoby się dopuściła z Tristenem. Musiało się to wydawać śmieszne każdemu, kto znał tych dwoje. Wszelako Artisane, córka Ryssanda, za nic miała sobie krzywoprzysięstwo, byle tylko pognębić Ninevrise. Brugan, jej brat, zwrócił się z zarzutami do Cefwyna, zaopatrzonego w dokument oddający znaczną część królewskiej władzy baronom. Taka była cena milczenia.

Tym razem Ryssand zapędził się za daleko: dał wymówkę baronowi lojalnemu wobec króla, Cevulirnowi z Ivanoru, do wyzwania jego syna na śmiertelny pojedynek. Stosunek sił szybko się zmienił: oto sami bogowie pozwolili przyjacielowi króla zabić człowieka, który wystąpił z zarzutami. Gdyby Ryssand nadał rozgłos atakom na Ninevrise, fakt ten stałby się powszechnie znany.

Teraz jednak ktoś mógł wyzwać Cevulirna, a potem jeszcze raz i jeszcze raz... Chociaż, z drugiej strony, Ryssand nie należał do ludzi, którzy postępują honorowo z zabójcami swych synów. Cefwyn wciąż miał nadzieję na porozumienie z północnymi baronami i chętnie wzięłby na siebie odpowiedzialność za śmierć młodego Ryssanda, byle tylko sprawa ucichła.

A to oznaczało, że Cevulirn musiał opuścić dwór. Cefwyn sposobił się do konfrontacji z wpływowym baronem, który dopiero co stracił syna... do konfrontacji mogącej doprowadzić do podziału królestwa, jeśliby pozostali baronowie poparli Ryssanda.

W takich okolicznościach w ręce Cefwyna wpadł kompromitujący list Ryssanda, dlatego król mógł teraz śmiało zasugerować baronowi niezwłoczny powrót do rodzinnych włości, grożąc ujawnieniem jego machinacji.

Tak więc traktat pozostał w mocy, Cefwyn poślubił Ninevrise, a Tristen objął władzę w południowej prowincji Amefel jako pan ziem obejmujących ruiny Althalen, Ynefel oraz pogranicze z Elwynorem. Ziem, którymi nadal włada, doświadczając pierwszej urzekającej zimy w swym rozbudzonym przez czarodzieja życiu.

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Mistrz Emuin spakował się tej samej nocy, kiedy Jego Królewska Mość w Guelemarze powołał nowego diuka Amefel. Owej burzliwej, pełnej przygotowań do odjazdu nocy w Guelesforcie, twierdzy położonej w samym sercu Guelemary, kosze, beczułki i puzdra popłynęły strumieniem na wozy z izby Emuina w wieży. Po trwającej z górą tydzień podróży do sąsiedniej prowincji znów zostały wniesione do wieży, tym razem w forticy w Henas'amef.

Kiedy jednak tutejsze pomieszczenia mistrza Emuina zaczęły pękać w szwach, co się stało już nazajutrz po jego przyjeździe, kosze i tobołki, napływające jeszcze przez następny tydzień, spiętrzyły się z konieczności na schodach i maleńkim, niewiele szerszym od stopnia podeście, gdzie słudzy, interesanci bądź nowy diuk Amefel zmagali się z ciasnotą, chcąc zapukać do drzwi.

–Mistrzu Emuinie?

–Zostaw wszystko na schodach! Święci bogowie, przecież nie ma już miejsca, głupcze!

–Mistrzu Emuinie, to ja, Tristen, jeśli łaska.

Rozległy się kroki i uchyliły drzwi. Starzec wyjrzał na zewnątrz, skołtunione włosy powiewały mu nad czołem w chłodnym przeciągu. Jasna smuga dziennego światła dowodziła, że pomimo prószącego na dworze śniegu otwarto okiennice.

–Mistrzu Emuinie, jeszcze tutaj zamarzniesz. – Tristen precisnął się do okrągłej izby, gdzie przez otwarte na oścież okna dmuchał wiatr, a oczy razila oślepiająca biel zimowego nieba. Emuin opatulił się w ciężki płaszcz podróżny; Tristen również, lecz nie ulegało wątpliwości, że z innych przyczyn. W Guelesforcie panowały podobne zwyczaje jak w izbie mistrza Emuina, aczkolwiek jesienią dni były pogodniejsze. Tristen, po trosze zażenowany nowo nabytą władzą nad starcem, nie zamierzał tolerować takiej beztroski. Przystąpił do zamykania okiennic.

–Powiedz mi łaskawie, co tu teraz zobaczę? – oburzył się Emuin.

–Są przecież świece, kaganki. Przypatrz się innym ludziom. Mnie nazywają durniem, a ciebie czarodziejem i mędrcom, a tymczasem to ty masz się zawałoną koszykami i takie zimno w wieży, że chłodem wieje aż do dolnej sali. Skąd ten pomysł, żeby nie używać świec?

Emuin wyjrzał za okno i nastąpiło krótkie, krępujące milczenie.

–A więc to tak? – zapytał Tristen, zaskoczony nagłym odkryciem prawdy. Potem zadał swoje ulubione, uparte pytanie, które zawsze wyprowadzało z równowagi zwyczajnych ludzi: – Dlaczego?

–Niech liko porwie świecące ognie! Zostaw w spokoju moje okiennice! Ciemno tu jak w jaskini.

–Jeśli nie każesz Tassandowi zrobić tu porządku, sam się tym zajmę. Bez względu na twoje sprzeciwy. – Opieranie się starcowi było wielkim zuchwalstwem, ale Cefwyn nieraz dawał mu przykład, jak należy się klócić, Tristen więc nie zamierzał popuszczać.

–Żaden diuk Amefel nie będzie taszczył koszyków i zbijał półek! Mam za dużo bagaży i wszystkie nie mogą się po prostu pomieścić. A przecież kiedyś się mieściły! Sam nie wiem, skąd się ich tyle nabrało. Powtarzam, zostaw otwartą choć jedną okiennicę! Niczego tu już nie widać!

–W takim razie przyjmij pomoc Tassanda. – Tristen stał twarzą w twarz z sędziwym, zmęczonym uparciuchem, który nie cierpiał przenosić swojej pracowni, człowiekiem otępiałym po męczącej podróży i niestrudzenie wyszukującym powody, by nie rozmawiać z nim otwarcie na żaden temat poważniejszy od kwestii pakunków zalegających na schodach. A upłynął już ponad tydzień, odkąd tu przybył jedynie w celu, jak sam stwierdził, służenia mu radą na nowym stanowisku. – Bądź pewien, że ktoś ci pomoże. Albo on, albo ja. Musisz wybrać, bo na dole hulają przeciągi, kiedy ktoś otwiera wschodnie drzwi. I gasną świece.

Usta Emuina zadrżały ze zmęczenia, gęstsza niż zwykle sieć zmarszczek uwydatniła się wokół jego oczu. Dreszcz przebiegł mu po ciele i już, już gotów był ulec. Wtem zawołał:

–O, nie! Nie będziesz nosił i układał pakunków! Nie ty!

–A zatem pozostaje Tassand. Jego Królewska Mość ustanowił mnie tutaj panem. Moją wolą jest, aby koszyki zniknęły ze schodów, a okiennice zostały zamknięte.

Starzec spojrzał nań spode łba.

–Rozkażę ułożyć je tak, jak sobie tego zażyczysz – podjął Tristen. – Następnie każę napalić i zaświecić świece. Proszę, byś przed wieczorem, zanim zajdzie słońce, pozamykał wszystkie okiennice.

–Mają być świece z pszczelego wosku. Nie chcę tu żadnych łożówek, młody lordzie, niczego, co śmierdzi rzeźnią. Chcę mieć świece z pszczelego wosku.

Emuninowi nie chodziło jedynie o same świece, a jego upór w kwestii otwartych

okien nie wynikał tylko z tęsknoty za światłem dziennym i widokiem rozgwieżdżonego nieba nocą. Wosk pszczeli stanowił luksusowy towar, droższy od łożu, a przecież mistrz Emuin nie był człowiekiem nawykłym do luksusów lub trwoniącym pieniądze. Był czarodziejem, toteż jego obstawanie przy wosku dawało do myślenia.

–Będziesz miał swoje woskowe świece – rzekł Tristen. Czas naglił i nie mógł wdawać się w przydługie dyskusje, toteż na razie pominął milczeniem szczegółowe wyjaśnienie takiego a nie innego wyboru świec. Postanowił jednak w duchu wypytać o nie starca w dogodniejszej chwili. – Tassand dołoży wszelkich starań, by niczego ci nie zabrakło, choćby szat koniecznych podczas wizyt na sali... Zostaną starannie ułożone w odpowiedniej komodzie. – Jedną taką zauważył; została do tego stopnia wypełniona butelkami i papierami, że nie domykało się jej wieko.

–Bzdura.

–Czy Tassand musi zawsze wygrzebywać twoje szaty z koszyków?

–Nie mam miejsca, rozumiesz? Powieś je na kołku. Owszem, na kołek mam miejsce!

–Zjedz dziś ze mną kolację w ciepłej komnacie. Kuchmistrzynie poda paszteciki.

–Najpierw muszę znaleźć mapy, młody lordzie! Jeśli je w ogóle znajdę, co w tej chwili wydaje się mało prawdopodobne!

Emuin pokrzykiwał, zirytowany, poddając próbie łagodne usposobienie Tristena.

–Mogą być w paczkach na schodach. W takim razie uwaga na psy. Jeden nawet tam węszył. Widziałem go na dole. – Ale że widział go z okien, wałęsającego się po drugiej stronie dziedzińca, tego już nie powiedział. Chwytał się każdego sposobu, żeby tylko nakłonić mistrza Emuina do przyjęcia pomocy i uprzątnięcia schodów.

–Przekłęte stworzenie! Niech już będzie, niech już będzie, przyślij Tassanda! Święci bogowie! – W przyćmionym świetle mistrz Emuin uderzył nogą o ławkę. – Bądź łaskaw zostawić mi choć jedno otwarte okno! Jestem stary, mam zmęczone oczy. Na bogów, ależ się zrobiłeś ostatnio zadziorny!

–Ze względu na twoje zdrowie, na służących oraz na płonące w dolnej sali świece. Chciałbym się też nareszcie doczekać jakichś rad, zanim cię tu złoży choroba. Racja, z tych przyczyn stałem się nieznośnie zadziorny. – Tristen dał się jednak przebłagać: jedną z zawietrznych okiennic na mocnych, żelaznych zawiasach pozostawił uchyloną, tak że izba nie pogrążyła się w całkowitej pomroce. Jeszcze przed przyjazdem nauczyciela kazał przygotować drewno i włożyć do pieca, lecz wszystko spaliło się w okamgnieniu: wskutek przeciągów, o czym był przekonany. Izba na szczycie wieży miała własne palenisko, połączone przewodem kominowym z wartownią i salą na dole. Trzy kanały dymowe biegły wspólną kamienną gardzielą ku

wylotom sterczącym z dachu fortecy, smaganym teraz przez kapryśny, mroźny wichur. Tylko dzięki kamieniom ogrzanym dymem wlatującym z innych pomieszczeń w izbie dało się wysiedzieć. – Potrzebujesz więcej drewna na opał. Pytałeś już o nie?

–Nie, nie. I nie trzeba mi ognia. Tu wieje jak diabli, kiedy wysuwam szyber. Tam do kata! – Na dnie jednego z koszyków mistrz Emuin zauważył rozsypaną zawartość słoiczka z proszkiem. – Do stu kroćset katów!

Tristen doszedł do wniosku, że nawet on, diuk Amefel, powinien się teraz po cichu wycofać, wyszedł więc z izby i minął zwały koszyków z ziołami i ptasimi gniazdami. Zszedł krętymi Wschodnimi Schodami, pełnymi wnęk, gzymsów i półpięter wypełnionych po brzegi różnymi pakunkami. Czterej gwardziści, jego zaufani towarzysze, dołączyli doń na dole.

Wizyta u nauczyciela nie przebiegła po myśli Tristena. Udał się na wieżę, aby powierzyć mistrzowi Emuinowi ogólny nadzór nad twierdzą, lecz zamiast tego wdał się w spór o okiennice.

W obecności mistrza Emuina niełatwo było skoncentrować uwagę na istotnych kwestiach. Chętnie poznałby jego zdanie na temat archiwum. Chętnie skorzystałby z jego opinii o schedzie po lordzie Brynie, lecz ich spotkanie skończyło się sprzeczką o błahostki. Szczerze powątpiewał, czy owe koszyki i puzdra kiedykolwiek pomieszczą się w wieży. Przemierzał salę, przejęty niepokojem na wspomnienie osobliwego, dotyczącego świec żądania Emuina – niepokojem spotęgowanym otwartymi i nie zabezpieczonymi oknami. A przecież istniała pewna nie rozwiązana kwestia, której nie miał dotąd okazji omówić z Emuinem: na skutek działania czarów forteca stała się nader podatna na ataki czarodziejów.

Tristen najgoręcej pragnął, ażeby mistrz Emuin zamiast wygrzebywać mapy spod stert pakunków, zorientował się w bieżącej sytuacji i udzielał mu wyważonych i przemyślanych rad w zakresie sprawowania rządów nad prowincją Amefel.

Owszem, Tristen otrzymał rady w kilku trywialnych zagadnieniach, lecz zalewała go istna powódź przyziemnych spraw, o których Emuin nie chciał rozmawiać. Musiał uporać się ze stosem petycji dotyczących uregulowań ziemskich, przy czym niektóre były wielkiej wagi: odnosiły się do króla i sytuacji w Elwynorze.

Ale nie, Emuin był nadto drażliwy, aby z nim poruszać ważne tematy, dopóki w jego pracowni panował bałagan. A nie wyglądało na to, by miał w niej kiedykolwiek zapanować ład. Tristen zastanawiał się, czy Emuin mógłby gdzieś poza wieżą znaleźć dostatecznie dużo przestrzeni na zmagazynowanie swoich rzeczy, czego dotąd nie chciał brać pod uwagę. Tristen poszedł na górę, by zasięgnąć rady w sprawach twierdzy, a tymczasem zajęły go myśli o tym, gdzie ustawić komodę.

Teraz zaczął nawet zachodzić w głowę, jakim cudem mógł w ogóle snuć plany opuszczenia po południu fortecy i krótkiego wypadu za miasto.

Jednak earl Crissand prosił go, żeby znalazł chwilę wytchnienia od zajęć związanych z urzędem. Miał wręcz obowiązek, argumentował Crissand, widywać poddanych i być przez nich widywanym, obowiązek niemożliwy do spełnienia w obrębie murów twierdzy. Ostatnio władcy Henas'amef stali się obcy i podejrzani w oczach gminu, nawet poprzedni diuk i duchessa, a rządy lorda Parsynana przyniosły ziemi tylko śmierć i żałobę. Najwyższa pora, by ludzie ujrzeli światełko nadziei.

I oto szedł w otoczeniu gwardzistów – wszyscy byli w płaszczach, rękawicach i z ekwipunkiem na zimową przejażdżkę (opatuleni nadspodziewanie odpowiednio na wyprawę do izby na szczycie wieży), kierując się ku zachodnim drzwiom i na majdan. Przeprowadzona na górze rozmowa uczyniła ucieczkę Tristena bardziej pociągającą, a zarazem zdjęła zeń ciężar odpowiedzialności. Pragnął jak najszybciej dotrzeć do stajni.

Wzdłuż i wszerz dolnej sali czeladź ze ścierkami i wiadrami walczyła z cienką warstwą błota, którą żołnierze i robotnicy nanieśli z zaśnieżonego dziedzińca. Wokół frontowych drzwi błoto mieszało się z wiórami i kurzem: naprawiano tam powstałe przed tygodniem szkody. Było to drugie źródło przeciągów w zamku; wiatr wciskał się między przybite gwoździemi łąty. Tutaj Tristen musiał szczególnie uważać, by nie dopadł go jakiś przechodzień z pytaniem.

Słusznie się lękał: oto schludnie ubrany majster zagroził mu drogę i pokazał papiery z prośbą stolarzy o dostarczenie im dębowych desek.

W takich przypadkach najczęściej odsyłał zainteresowanych do Tassanda. Wiedział, że jego ochmistrz zna się na dębowych deskach niewiele lepiej niż na czarach czy zielarstwie (zapewne znacznie gorzej), lecz Tassand przynajmniej potrafił odesłać pytającego we właściwe miejsce. Zaczynając od funkcji zwykłego przybocznego sługi, Tassand awansował na zarządcę domu diuka, sprawował urząd szambelana i pół urzędu seneszala* [*Seneszał, oprócz zarządzania dworem panującego, co było zwykle główną funkcją szambelana (podkomorzego), zastępował go czasem w dowodzeniu wojskiem i w administracji jego dobrami. (Przypisy pochodzą od tłumacza).].

Ponadto Tassand, w przeciwieństwie do swego pana, wiedział, kiedy zamówienie opiewa na zbyt dużą kwotę pieniędzy bądź dotyczy niepotrzebnych rzeczy. Tristen zdawał sobie tylko sprawę, iż pieniądze odpowiadają godzinom i jakości ludzkiej pracy, a diukowie nie mają ich w nieograniczonej ilości.

Dziś jednak, oglądając racjonalne zamówienie na dostawę drewna dla cieśli i pragnąc możliwie najszybciej dotrzeć do drzwi, rzucił jedynie krótkie "tak" i wyminął

majstra. Podobnie zbył kolejne zapytanie, ale zaledwie odesłał drugiego człowieka, zaraz pojawił się trzeci w dworskim stroju; rozwinął szkice snycerki nowych drzwi frontowych i poprosił o zaopiniowanie projektu.

–Na środkowej płycinie, Wasza Miłość, byłby amefiński orzeł. A na obrzeżach dębowe wzmocnienia, dla zwiększenia wytrzymałości...

Nie miał pojęcia, dlaczego pytają go o wystrój głównych drzwi, skoro nakazał zwyczajną ich naprawę w celu zlikwidowania przeciągów. Jedyna pożyteczna funkcja zdobień wiązała się z rolą swego rodzaju magicznej pieczęci. Wszyscy, począwszy od earłów i najbliższych mu przyjaciół, a skończywszy na służbie, wychodzili z założenia, iż zwykle drzwi nie wystarczą... Nie zadowalało ich nic, co proste. Życzenie wytrzymałości wydawało się rozsądne, wzmocnił je więc własnym życzeniem... Pomagał cieślom w miarę swoich umiejętności, nie wiedząc, co tak naprawdę powinien zrobić.

Był już pewien, że spóźnia się z wyjściem na podwórzec, z każdą chwilą nabierał też większego przekonania, iż słusznie Crissand namawiał go na tę jednodniową wycieczkę. Czuł się znudzony pytaniami i powoli tracił cierpliwość. Na dworze panowało ogólne zamieszanie i niepewność, pytania zadawano mu szybciej, niż postępową jego nauka. Nie mógł ich rozwiązywać za pomocą życzeń. Brakowało mu oficerów, służących, wyraźnych punktów odniesienia. I niestety, o czym go powiadomił Tassand, żadna inna osoba nie cieszyła się na dworze autorytetem. To, co tu niegdyś istniało, zostało zburzone przez Edwylla i Parsynana. Teraz ich nie było, pozostał sam.

Każdy chciał zwrócić na siebie jego uwagę, każdy zabiegał o koneksje i łaskę nowego diuka, a Tristen, zarzucony pytaniami, miał już w głowie niemały mętlik. Nie wiedział, kto tak naprawdę powinien nad tym wszystkim czuwać. Znalazł się w kropce. Ustawiczny napór wymagań nie pozostawiał mu czasu na szukanie odpowiedzi.

Popadł w takie przygnębienie, że zdjął go strach, iż nawet Crissand usiłuje go chytrze odciągnąć na kilka godzin, by na osobności forsować pomysły albo – w najgorszym przypadku – prosić o wyświadczenie jakiejś łaski. Tristen wiedział, godząc się na tę przejażdżkę, że jeśli takie właśnie motywy kierują Crissandem, będzie musiał przeżyć bolesne rozczarowanie. Spodziewał się mniej egoistycznych pobudek po młodzieńcu, który zdawał się tak przyjaźnie doń nastawiony. Oczekiwał światła latarni na morzu obowiązków, lecz poznał już gorycz zawodu, kiedy odkrył, że nawet mistrz Emuin nagina do swojej woli przyjaźń i obietnice, a czas Cefwyna, którego darzył gorącym uczuciem, tak jak jego własny ograniczony jest powinnościami. Dopiero teraz zrozumiał sytuację Cefwyna.

Świadomość ta kazała mu wszakże rozpaczliwie szukać ciepła i towarzystwa

wszędzie, gdzie tylko mógł, chociaż swym nierozważnym postępowaniem narażał się na niebezpieczeństwa, jakich świadkiem był na dworze Cefwyna.

Jednak zdecydował się. Zaufał. Ostatni odcinek korytarza przebył niczym wicher, aby go nie dopadli kolejni interesanci. Nie ruszał się z twierdzy od dwóch tygodni, spętany obowiązkami, sprzeczkami i trudnościami, gdy tymczasem poza przymglonymi, oszronionymi oknami rozciągały się cuda okrytej śniegiem krainy. Nie mógł zmarnować tej okazji. Pędził ku wolności wiedziony prostą, nieposkromioną ciekawością, pełen entuzjazmu na myśl, że ujrzy nęcące widoki i znów wskoczy na siodło. Nade wszystko jednak cieszył się perspektywą towarzystwa Crissanda. Liczył na to, że usłyszy brzmienie przyjaznego głosu, nie proszącego o łaskę bądź zatwierdzenie jakiegoś dokumentu.

Cefwyn uczynił go diukiem Amefel... i panem wszelkich uciech, jakie wiązały się z tak wysokim urzędem. Poprzedni rządca, Heryn, zamówił sobie złote zastawy stołowe, a wicekról, lord Parsynan, kolekcjonował damskie klejnoty. Tristen zaobserwował, że najcenniejszym i najtrudniejszym do zdobycia skarbem jest czas, czas na przejażdżkę wśród skrzącej się bieli i czas dla przyjaciół.

Na czele swej tradycyjnej eskorty wymknął się zachodnimi drzwiami na mroźne, wilgotne powietrze, zszedł, ciężko tupiąc, z najbardziej stromych schodów fortecy i rozejrzał się z uczuciem swobody po dziedzińcu pełnym żołnierzy, wołów i furmanek – zdążył już zapomnieć, jakie tętni tu życie.

–Pan zszedł na podwórzec! – Trójka koniuchów, zerwawszy się do biegu na jego widok, lawirowała pośród skłębionych zaprzęgów i stert ekwipunku czekającego na zwiezenie ze wzgórza, wołając o konie diuka. Tristen przyglądał się tej krzątaninie z pewną konsternacją. W ostatnich dniach nie dbał o dyskrecję czy zachowanie pozorów, nikt też nie okazywał opieszałości w wykonywaniu jego poleceń. Wozy wyruszały na granicę, a wojsko szykowało się do wymarszu dokładnie w wyznaczonym przezeń dniu. Zajęty od samego rana, dopiero teraz zauważył, że jego wycieczka zbiegła się z załadunkiem wozów.

Zaledwie zeszli z najniższego stopnia, zaraz jeden z pomocników masztalerza przepchnął się z mozołem przez ciżbę i przyniósł z magazynu pod zbrojownią wysokie, zwinięte sztandary diuka. Stanowiły wielki ciężar dla wątłego chłopaka. Rozpostarte, stanowiły również wielki ciężar dla dorosłych mężczyzn. Były nad wyraz uciążliwe i w skrytości serca Tristen pragnął kazać chłopcu odnieść je z powrotem, tak by mógł razem z Crissandem po prostu zażywać wolności i cieszyć się dniem. Owe sztandary uwiarygodniały wszakże ich uczciwy pretekst do dzisiejszej eskapady. Miały powiewać w całej okazałości, towarzyszyć im w dumnym przejeździe ulicami Henas'amef oraz podczas odwiedzin w okolicznych wioskach. Wszystko to powinno unaocznić ludziom, iż – rzeczywiście i nareszcie – prowincją włada diuk troszczący się o nich i zachowujący jak na diuka przystało. W czasie złowieszczej

zimy, gdy przygotowania żołnierzy potwierdzały pogłoski o wojnie, pospólstwo musiało go widzieć – tłumaczył mu Crissand. Widok łopoczących chorągwi podobno podnosił na duchu.

Wojna... Tak, wojnę rozumiał. To zupełnie co innego niż drzwi i zamówienia na dębowe drewno. Ale może Crissand mu o nich opowie?

Wozy odjeżdżały powoli; gdy załadowywano jeden, drugi już czekał w kolejce. Właśnie między dwoma wozami ukazał się Uwen Lewen's-son, trzymając Gię za uzdę, opatulony ciężkim płaszczem i w czepcu przykrywającym przyprószone siwizną włosy. Tristen natychmiast rozpoznał konia, ale nie od razu prowadzącego go człowieka.

Uwen był bardziej wrażliwy na zimno, pomyślał Tristen, czując smagnięcia wiatru burzącego mu grzywkę na czole. Nie doskwierał im przenikliwy ziąb, panował świeży, rzeźwiący chłód. Niebo usilnie próbowało przybrać błękitną barwę. Równie ładnej pogody nie było od tygodnia, lecz w każdej chwili mogła się zmienić i chociaż w ciepłym ubraniu w zamkowych komnatach Tristenowi dokuczało gorąco, to jednak, przewidując ostry wicher na wzgórzach, postanowił założyć czepiec pod kaptur, grube rękawice i ocieplane buty.

–Pogodny dzionek, co? – zagadnął Uwen. – Gdzie się ruszymy, tam się wypogadza.

–Wspaniały dzień. – Ledwie mu serce nie wyskoczyło z radości. Dawniej bał się zimy jako czasu śmierci, potem, w trakcie podróży z Guelessaru, patrzył, jak nadchodzi oszroniona, w niespodziewanej glorii. Z górnych okien codziennie oglądał białą, nieskazitelną pokrywę śnieżną, rozmyślając, czy z bliska będzie wyglądała tak samo.

I czy śnieg był jak woda, w którą się przeistaczał? Czy na podobieństwo stawu zmieniał kolory w zależności od wyglądu nieba? Widział, jak powleka się blaskami wschodzącego i zachodzącego słońca, gdy tylko pozwalały na to ołowiane chmury. Nie mógł się doczekać, by zobaczyć, co słońce zrobi ze śniegiem.

Słońce, które pokazało się po raz pierwszy od wielu dni, niosło z sobą obietnicę cudów. Nawet wśród gorączkowego zamętu i przetaczających się wozów, stojąc na niewielkim majdanie przed stajniami, Tristen dostrzegł Sople, dopiero teraz objawione mu jako Słowo – nigdy wcześniej nie ukazały mu się tak majestatycznie jak w tej chwili, gdy tarcza słońca przedarła się o poranku przez chmury. Połyskliwe sople przystroiły gzymsy i okapy. Wystarczył jeden rzut oka na dziedziniec, by zauważyć połysk nadany przez śnieżną otulinę przedtem zwyczajnym, teraz poniekąd bardziej reprezentacyjnym fragmentom stajni. Tristen nigdy przedtem nie zwrócił uwagi na osobliwą snycerkę wokół wejścia do stajni, nadzwyczaj okazałą dekorację skromnego budynku: nadproże, przepięknie podkreślone krechą puszystego śniegu,

ozdobiono stylizowanymi kwiatami i kłosami zboża. Wszędzie naokoło uwidaczniały się podobne detale, czysty śnieg bielił szare dotąd kamienne krawędzie, tudzież zalegał grubą warstwą na dachu stajni.

Uwen i czekający na konie gwardziści stali z boku, a on wodził wokół spojrzeniem, uradowany i zdjęty ciekawością, poszukując kolejnych cudów, odnajdując piękno nawet w lwich paszczach rzygaczy, których nigdy dotąd nie dostrzegał.

Nie chciał, rzecz jasna, żeby widziano go, jak – zgodnie z określeniem Uwena – gapi się na wszystkie strony. Diuk Amefel musiał godnie sprawować władzę i upodobnić się do innych lordów, którzy byli obojętni na cuda, nie lekceważyli poważnych spraw, nie pozwalali się oderwać od rozpatrywania istotnych zagadnień.

Prawda, tylko że tej pierwszej zimy w życiu dostrzegał tak wiele nowego. Podstrzesza wartowni i jej dachówki błyszcząły oślepiająco w promieniach słońca. Nie zetknął się dotąd na świecie z tak potężnym światłem, chociaż powietrze było zimne.

Tymczasem chłopiec obciążony sztandarami przekazał je sierżantowi Geddowi, najwyższemu rangą spośród towarzyszących mu dziś chorążych. Już miał zamiar zająć się swoimi sprawami, lecz Tristen pochylił się gwałtownie i złapał go za rękaw, nie pozwalając młodzikowi uciec; potrzebował krzepkiego, rączego posłańca.

–Panie mój! – Chłopiec wytrzeszczył oczy. Jego zziębnięte policzki oblały się nad podziw ognistym rumieńcem. – Czym mogę służyć?

–Pobiegiesz do środka, na górę, do moich apartamentów. Jeśli ktoś podejdzie do drzwi, powiesz mu, że rozmawiałem z mistrzem Emuinem. Zrozumiałeś? Powiesz też, że Tassand ma czym prędzej zaprowadzić porządek w wieży. Wszystko zapamiętałeś?

–Tak, panie! Tassand ma posprzątać w wieży! – Chłopiec spoważniał, dumny z powodu doniosłości swej misji, po czym, odprawiony gestem ręki, pokłonił się i w szalonym pośpiechu pognął ku schodom, gdzie się pośliznął na lodzie.

Znów na sali pojawi się błoto, lecz młokos pod tym względem nie był gorszy od żołnierzy. Z powiadaniem ochmistrza Tristen wolał nie czekać do powrotu z przejażdżki, choć w zamieszaniu na korytarzu niemal wypadło mu z głowy złożone zobowiązanie. Tassand mógł się zająć porządkami, póki mistrz Emuin pamiętał o wyrażonej zgodzie, co oszczędzało Tristenowi konieczności powracania do sporu. Może uda się do wieczora oczyścić schody i usunąć śliczki z trującymi proszkami, tak by kuchcik mógł wejść z jedzeniem na górę, nie ryzykując skręcenia karku.

Kłopot w tym, że właśnie dzięki takim przypadkowym spotkaniom i rekrutowanym na chybcika posłańcom załatwiał interesy. Kiedy opuszczali stolicę, czuł się

przytłoczony ilością zabieranego personelu, teraz jednak uważał, iż służby jest za mało. Kuchmistrzynie, rodowita Amefinka, wyszukała mu kilkoro sumiennych służących do posługi w komnatach. Ness, strażnik bramy, także Amefińczyk, znalazł następnych dwóch do magazynu. Archiwista przybyły wraz z Tristenem z Guelemary, Gueleńczyk pragnący osiąść na stałe w tej prowincji, również rozglądał się za odpowiednio przeszkolonymi pomocnikami.

Czeladź odziedziczona w spadku po Parsynanie była na służbie u szlachejnych amefińskich panów, z których każdy miał swoje ambicje i chętnie nadstawiał ucha na relacje zdawane przez użyzanych ludzi. Służący najęci przez lorda Heryna i Orien w większości zbiegli za rzekę, jedni ze strachu przed królem, drudzy ze strachu przed sąsiadami i rywalami... Ci zaś, którzy pozostali, musieli być pilnowani przez zaufanych ludzi.

Tristen wciąż gromadził osoby napotkane podczas pierwszych dni pobytu na zamku. Uważał ich za część Amefel, swoją własność – szukał nawet owego wyrostka, który zaprowadził go, obcego przybysza, wprost w łapy wartowników. Wszystkich skrzętnie wyławiał, zapraszał pod swoje skrzydła, ażeby ich w ten sposób uchronić przed szkodliwymi wpływami zza rzeki. Wielu jeszcze brakowało, zagubione ogniwa rozproszyły się i poukrywały, co tylko utwierdzało go w przekonaniu o słuszności podjętych działań. Zadomowił się tutaj. Odnalazł swoje Miejsce na świecie. Pewne rzeczy i osoby przywiodły go do tego Miejsca, co uczyniwszy, wpadły w sidła magii. A zatem należało je odnaleźć.

Tymczasem, w oczekiwaniu na powrót zaginionych i ponowne scalenie służby, Tristen czuł niedostatek ludzi.

–Zali mistrz Emuin przystał na pomoc Tassanda? – zapytał Uwen, stając opodal na najniższym stopniu. Omiótł wzrokiem dziedziniec ze swego niepozornego podwyższenia... Teraz górował nad Tristenem, choć w rzeczywistości nie dorównywał mu wzrostem.

–Jeszcze może zaprzeczyć, że się w ogóle zgodził. Ale nauczyłem się kuć żelazo, póki gorące.

–Człek nie wie nawet, co w tych koszach siedzi. Ja tam wolę do nich nie zaglądać i lepiej, żeby Tassand uważał, aby z nich cosik nie wylazło.

Stajenni prowadzili właśnie ich konie, a żołnierze mający powiększyć świtę Tristena, już w siodłach, objeżdżali naokoło jeden z wozów. Woły w zaprzęgu cofnęły się przed półtuzinem napierających wierzchowców, a lewe koło zbliżyło się do sterty beczek.

–Czekajże! – zakrzyknął Uwen w stronę stojącego woźnicy, widząc, co się święci. Podbiegł do wołu i klepnął go w zad, aż zwierzę ruszyło do przodu. Woźnica z kijem

zrozumiał, o co chodzi, i pokierował zaprzęgiem wokół niewielkiego placyku, aż wóz wśród zgrzytu kół stanął czołem do bramy. Uwen zagroził mu drogę i uniósł ręce. – Starczy tego! Ani się stąd ruszaj, człecze, chociażby cię naglono, póki Jego Miłość ze wzgórza nie zjedzie. Jeszcze byś mu gdzie drogę zastawił.

Wóz skutecznie zablokował inne pojazdy, które z tej przyczyny nie mogły być załadowane, lecz orszak diuka już nie musiał się wlec przez całą drogę w dół wzgórza za rozklekotanym wehikułem... niegodną zapowiedzią widowiska z udziałem lordowskich sztandarów. Na wozach składano namioty i ciężki sprzęt; praca ta przebiegała pomału i najwidoczniej nie rozpoczęto jej o świcie, kiedy lód był jeszcze twardy; musiano zaczekać, aż zaświeci słońce.

Rodziło się pytanie, co porabiał kapitan Anwyll, który miał za zadanie pilnować woźniców i doglądać wysyłania zaopatrzenia nad rzekę. Tristen patrzył, jak Uwen szorstkim głosem wydaje polecenia. Zrazu obwiniął w duchu Anwylla za jego nieobecność, lecz raptem uświadomił sobie, że i lord Amefel powinien osobiście czuwać nad takimi sprawami jak porządek załadunku, zamiast przyglądać się soplom lodu.

Lord komendant Jego Królewskiej Mości zwykł nazywać go półgłówkiem.

–Gdzie Anwyll? – zapytał Uwen.

–Nie wiem, panie. Ale się dowiem.

Od jego postawy zależało bezpieczeństwo innych. Dostrzegał w sobie rozliczne wady, które wszakże postanowił naprawić. Aczkolwiek wiedział, że zwykle nie uchybiał w wielkich rzeczach, to jednak teraz w pełni świadomie, wykorzystując swą władzę, wyłamał się spod rozkazów króla i niebaczny na niepewną pogodę posyłał wozy Cefwyna z koniecznym zaopatrzeniem na granicę, zamiast odesłać je w drogę powrotną do króla, gdzie w zaciszu przeczekałyby zimę. Wozacy byli oburzeni, spodziewali się dostać wolne i wyjechać do Guelemary i rodzinnych domów, zanim śniegi na dobre zasypią gościńce. Tymczasem kazano im się tłuc po amefińskich drogach, a gdzieniegdzie po zwykłych ścieżkach dla bydła.

A wozy, mimo że i tak w środku zimy nie było z nich wielkiego pożytku, należały wszak do Cefwyna. Król potrzebował ich w Guelemarze dokładnie z tego samego powodu, dla którego on fortyfikował południową granicę. Miał nadzieję, że nie omylił się w rachubach i że żadna nagła inwazja Elwynimów na zachodzie nie pociągnie za sobą zapotrzebowania na wozy na północy, albowiem obarczył je ponadplanowym obowiązkiem, a do obrony granicy wyznaczył oddział Smoczej Gwardii, który eskortował go z Guelemary.

Jakiż jednak miał wybór? Kiedy Cefwyn mianował go dowódcą gueleńskiego

garnizonu, żaden z nich nie przewidział, co im przyniesie przyszłość. Nie sądzili, że Gwardia Gueleńska, przelewając krew Amefińczyków, tak im się narazi, iż nie będą ich u siebie dłużej tolerować.

Nie miał też możliwości zasięgnięcia opinii Cefwyna. Z Amefel do Guelessaru wiadomości szły wolno, a czasem nie dochodziły, tym bardziej podczas złej pogody. Wciąż oczekiwał odpowiedzi na swój ostatni list. Od jego wysłania do otrzymania odpowiedzi powinno upłynąć przynajmniej sześć dni, mógł więc tymczasem rozwiązywać pomniejszych bieżące problemy, trzymać zhańbionych Gueleńczyków w karności w garnizonowych koszarach, a zaufanych Smoków wysłać nad rzekę, by przypadkiem Elwynimi nie dotrzymali złożonej amefińskim earlom obietnicy i nie najechali na prowincję.

Co więcej, gdyby pogoda jeszcze trochę się pogorszyła, gdyby mróz się zaostrzył, rzeka mogła zamarznąć, a wtedy nic nie rozgraniczałoby Amefel od Elwynoru. Z tego powodu chciał pilnować granicy oczyma ludzi godnych zaufania, a przede wszystkim pragnął czuwać nad głównym traktem w Anas Mallorn, na północ od Modeyneth, będącym jedyną drogą, którą liczne wojsko mogło szybko przemaszerować do serca prowincji. Oznaczało to, że wysyłanych nad rzekę żołnierzy należało odpowiednio zaopatrzyć, by mogli przetrwać zimę na wypadek pogorszenia pogody. Chcąc nie chcąc, musiał pożyczyć królewskie wozy. Porównał oba rozwiązania i stwierdził, że większą korzyść powinien przynieść Cefwynowi porządek na południowej granicy niż ściśle, bezmyślne przestrzeganie królewskich rozkazów.

Tristen mógł z jasnym umysłem i niezłomną pewnością siebie podejmować ważne decyzje, obmyślać strategie i dowodzić wojskami. Czynił to wszystko bez wielkich trudności. Umykały mu jednak drobne i pojawiające się na bieżąco szczegóły operacji, przyćmiewane pięknymi widokami i blaskiem słońca. Wiedział, że kapitanowie powinni byli z większą zawziętością dyskutować z nim na temat dzisiejszej wycieczki, wozów, wydawanych przezeń poleceń, lecz było inaczej i to go martwiło. Jego rozkazy wykonywano bez szemrania i ostatnio nikt nie wytykał mu błędów. Uwen po powrocie tylko wzruszył ramionami i zerknął do tyłu na woźniców.

–Głupcy – powiedział, wciskając dłoń w rękawicę.

Uwen winien raczej pozostać, czuwać nad administracją grodu. On nie pozwoliłby mu wszelako wyjechać samotnie. Z drugiej strony Tristen nie mógł powierzyć dowództwa nad stolicą kapitanowi Anwyllowi, a to ze względu na wrogi stosunek mieszkańców Amefel do Gueleńczyków. Zlecił więc komendę lojalnemu lordowi Drummanowi, Amefińczykowi, z nadzieją, że Gwardia Gueleńska nie będzie się temu przeciwstawiać... nie wspominając o pozostałych earlach. Krok po kroku zdobywał rozeznanie, którzy earlowie są ze sobą skłóceni i dlaczego.

Drumman cieszył się powszechną sympatią, wobec czego Tristen wyznaczył

Anwyllowi jedyne zadanie, jakie nieugięty Gueleńczyk mógł wykonywać za przyzwoleniem earłów: pilnowanie rzeki. Uwen, mimo ogromu swych uprawnień i obowiązków, ruszał z nim tego dnia na wycieczkę... To samo jego gwardziści, Gueleńczycy wyróżniający się jasnymi czuprynami wśród na ogół ciemnowłosych Amefińczyków.

–Jest już lord Meiden, panie – rzekł Lusin. Rzeczywiście trochę spóźniony earl Crissand wyjechał właśnie z bramy i mijał czekające na załadunek wozy.

Nie przyjechał jednak w pojedynkę, lecz z osobistą eskortą. Okutani w płaszcze i uzbrojeni po zęby żołnierze z Meiden całkowicie zablokowali plac obok zaprzęgów. Straż Crissanda przewyższała liczebnością nawet orszak Tristena, jakby w pokazie siły zdziesiątkowanej majętności. Tristen zauważył, że żołnierze z jego świty, Gueleńczycy, prostują się w siodłach i spoglądają bacznie, jakby tknięci złymi przeczuciami.

Crissand też chyba zdał sobie sprawę z popełnionej gafy, podjechał bowiem do diuka mniej buńczucznie, niż wpadł na dziedziniec.

–Panie – przywitał się wśród gniewliwego porykiwania wołów, po czym zeskoczył z siodła, okazując uszanowanie Tristenowi. – Spodziewałem się, panie, że wyruszysz z dużo większą świtą. Proszę o wybaczenie. Mam odesłać swoją gwardię?

Czyżby to rozsądek kazał Crissandowi zabrać tak liczną gwardię? Czy miał rację, określając stopień ryzyka na swoich włościach?

Crissand był jego rówieśnikiem, przynajmniej z wyglądu, i często miał skłonności do przesady, lecz nie wydawał się głupcem w sprawach Amefel, dobrze znał swoje ziemie. A mieli właśnie zamiar odwiedzić wsie Crissanda. Tristen wodził naokoło zakłopotanym spojrzeniem, kiedy na chwilę powstał zamęt na ciasnym dziedzińcu, a Gueleńczycy ze Smoczej Gwardii z podejrzliwością śledzili ruchy czekających pośród wozów Amefińczyków Crissanda.

W tymże momencie chłopiec stajenny, nieświadom panującego napięcia, przyprowadził ryżą Gery i podał Tristenowi lejce. Diuk z ulgą wsunął but w strzemień; przedkładał jazdę wierzchem nad rozstrzygnięcie kwestii liczebności gwardii, ilości broni, następstwa honorów, wrażliwości tego lorda, nieufności tamtego. Nie obawiał się jednak Crissanda. Nawet gdy stał nago w wannie, nie był bezbronny.

–Pojadą z nami! – odrzekł na pytanie wpatrzonego weń z uwagą earla.

Tak czy inaczej, był władcą Amefel i po odprawieniu gueleńskich żołnierzy do Guelessaru – co miał uczynić po skompletowaniu odpowiednio silnych amefińskich jednostek – musiał polegać wyłącznie na rodowitych Amefińczykach. Czyżby dlatego Crissand przyprowadził tak wielu ludzi? Miał zamiar użyć mu swojej eskorty?

Powstawało pytanie, jakim sposobem można do wiosny wystawić stosowny regiment bez prowokowania zatargów między earlami. Który z earłów odstąpi mu żołnierzy i ilu? Dziś jednak nie musiał się nad tym głowić... ponieważ ledwie poczuł pod sobą Gery, klacz z temperamentem, ruch i perspektywa wolności rozproszyły wszelkie zawile myśli. Znajdował się na właściwym miejscu, wykonał właściwe posunięcia. Sprzykrzyło mu się już długie siedzenie na krześle i podejmowanie, w ciągu ostatnich kilku dni, wielu trudnych i spornych decyzji. Pozostawał ślepy na życie kraju, nad którym miał sprawować rządy, ferując wyroki wychodzące z ust doradców. Teraz, skoro siedział pewnie w siodle, na Gery stęsknionej za biegiem, sam rwał się do jazdy i kręcił koniem w kółko, obserwując bramę i gwardzistów dosiadających koni. Dwa oddziały wymieszały się z sobą, po czym żołnierze, w dość dobrych humorach, zaczęli wyrównywać szyki.

Członkowie Smoczej Gwardii z zadowoleniem opuszczali baraki i atmosfera się poprawiła, aczkolwiek, zdaniem Tristena, nadal trwała ostra rywalizacja, co widać było choćby w pośpiechu, z jakim sierżant Gedd rozpostarł amefińską chorągiew. Orzeł w czerwonym polu mienił się feerią barw na tle bieli, brązów i szarości dziedzińca. Zaraz potem dwa czarne sztandary, oznaki pozostałych tytułów Tristena, załopotaly na drzewcach: wieża lorda strażnika Ynefel oraz gwiazda wielkiego marszałka Althalen... Obie włóści były nie zamieszkane, lecz wchodziły w skład Amefel, a więc sztandary te wiele znaczyły dla Amefińczyków. Pokaz był wspaniały. Zgodnie z protokołem, w drugiej kolejności rozwinięto chorągiew Meidena: błękitną ze złotym słońcem pośrodku, równie śmiałą jak sam earl Crissand, ciemną niczym jego amefińscy towarzysze, a zarazem lśniąca jak letnie niebo. Tristen mógłby się poczuć zażenowany dysproporcją w wielkości obu gwardii, lecz dzień był tak jasny i rześki, że nie posiadał się wprost z radości. W Crissandzie Adiranie, jeśli już nie w innych earlach, płonęło gorące uczucie, chęć przebywania blisko niego, zabiegania o jego przyjaźń – jakże mógł źle myśleć o motywach kierujących Crissandem?

Serdeczne uczucie, szczere i autentyczne, wzrosło między nimi w ciągu zaledwie kilku dni, z przyczyn niejasnych dla Tristena. Przyjaźń połączyła ich zniecacka, w pełnym oderwaniu od faktu, że nowy diuk zagroził Crissandowi, ale zarazem uratował mu życie. Obaj nie rozumieli tej sytuacji. Crissand, rzecz by można, wzeszedł nad horyzontem niczym słońce z jego sztandaru... i tyle. Precz z rozsądkiem, na bok troski związane z mistrzem Emuinem i jego radami, tudzież z robotnikami i całym gospodarstwem! Liczyło się tylko to, co zaistniało w ich przyjaźni; ich wspólne spędzanie czasu, które samo w sobie czyniło ten dzień cudownym.

Poprzedzani chorągwiemi, minęli żelazne wrota Zeide, a w nich stojących na bacność i salutujących wartowników. Tętent kopyt odbijał się echem od strzelistych fasad bogatych okolicznych kamienic. Nie tracąc czasu na placu, zaczęli zjeżdżać ku grodzkim bramom. Liczebność oddziału sugerowała raczej wojenną wyprawę niż wycieczkę za miasto. Przechodnie załatwiający swoje interesy przy bramie odprowadzali ich uważnym wzrokiem. Gdy wjechali na główną ulicę, słońce wyjrzało

zza chmury i oświetliło drogę przez miasto, aż szczyty frontonów rozgorzały oślepiająco białym kobiercem. Ten czarowny widok rozpraszał wszelkie zmartwienia.

Ludzie zdążyli już rozdeptać śnieg na drogach. Na brzegach zalegał ubity lód, a na brązowym bruku błyszcząca w słońcu brzydka breja. Jednakże wysoko, u podstrzeszy, widok zapierał dech w piersiach. Budynki, które Tristen znał od lata, były teraz ubielone śniegiem i obwieszane soplami; promyki słońca ozłacały je i tańczyły na nich. Rozchylane okiennice wywoływały opady śnieżnego puchu i pokruszonych lodowych grudek. Przejeżdżająca kompania зараżała swym entuzjazmem gapiów, którzy machali rękami na widok nowego pana po raz pierwszy opuszczającego mury twierdzy, na dodatek w orszaku Amefińczyków. Wszystkim udzielał się dobry humor.

I te sople! Małe, duże, a także ów olbrzym zwisający ze szczytu okna piekarni przy ulicy znanej Tristenowi jak jego własna sień w zamku... Znanej, aczkolwiek nigdy nie zauważył tego szczytu; nigdy nie zauważył bodaj połowy zakamarków i występów wysokich domów, ustrojonych dzisiaj skrzącymi się klejnotami.

Podziwiał cudowne otoczenie, nawet tutaj, wśród ciasnych ulic. Obejrzał się przez ramię i zerknął poza szeregi gwardzistów, wiwatujących mieszczan i ujadających kundli, które rzucały się za nimi w pogoń. Ukazał mu się niespodziewany widok: wysokie mury i żelazne bramy Zeide błyszcząły jak zaczarowane.

–Lord Sihhe! – krzyknięto z tłumu, a wtedy spojrzął znów przed siebie skonsternowany. – Lord Sihhe i lord Meiden! – wołano z okien, rosła wrzawa. Słowa te rozbiegły się po mieście, podchwytywane przez gapiów na ulicy.

Lord Sihhe, a to dopiero. Nie w smak mu były te okrzyki. Świętobliwy Ojciec w Guelessarze nigdy nie zaaprobuje tytułu, jaki mu nadali ludzie. A do miejscowego patriarchy quinaltynów – przez wzgląd na niego Tristen musiał dbać o pozory – dojdą zapewne wieści o tym, co krzyczano na ulicach. Może i był niezaradny, ale zdążył już poznać cenę słów. Żałował, że nie potrafi uciszyć co poniektórych wrzasków. Ludzie robili to jednak z miłości, nie mieli złych zamiarów. Teraz huczała cała ulica. Gueleńscy quinaltyni wyklinali starożytną krew, lecz tutaj, wśród Amefińczyków, wyznawców bryaltu, takie okrzyki stanowiły wyraz szacunku. A zatem wołali rozochoceni: "Lord Sihhe! Lord Meiden!", gdy Crissand machał im z zadowoleniem ręką, podkreślając partnerstwo najstarszego z amefińskich domów ze sztandarem Althalen... jak to było przed stu laty, kiedy Meidenowie przyjaźnili się z Sihhijczykami. Czy wciąż pamiętano o tym?

Na względnie czystym bruku za skrzyżowaniem w centrum miasta przyspieszyli biegu i pokłusowali wartko, mijając wyloty paru ostatnich bocznych uliczek, kilka sklepików i składów, aż zjechali między biedniejsze, prowizoryczne, przyległe do murów zabudowania. Bramy grodzkie stały otworem, jak to zwykle bywało za dnia,

wypadli więc za mury. Już nie musieli się troszczyć o mieszczan, tytuły czy ujadające psy. Rozległa śnieżna połać za mrocznym sklepieniem bramy wieściła dzień wolności.

Tristen poczuł się nagle panem zmienionej krainy, bielusieńkiej tam, gdzie ongiś zalegały jesienne brzozy, a jeszcze przedtem zielenie i złoto zaczarowanego lata... Wszystko to znikło, zostało przykryte śniegiem i uśpione na czas zimy.

Zawikłane kwestie dotyczące wojska, zatargów czy intytulacji* [*Intytulacja – właściwe tytułowanie arystokratów i osób zajmujących wysokie stanowiska.] lordów odeszły na dalszy plan wobec tego bezbrzeżnego zjawiska, bo mimo że przez zaparowane od oddechów okna Tristen widział okoliczne pola i sady w okryciu bladej bieli, nie dawało to wyobrażenia o bezmiarze, jaki przyjdzie mu oglądać. Nie sposób było go ogarnąć. Miedze, które latem i jesienią mówiły, że tu jest jedno pole, tam drugie, tutaj łąka, a tam znów pole, teraz zostały zakryte. W miejscu kamiennych murków i żywopłotów leżały garby śniegu.

Wielkie, rozgraniczające linie uległy wprawdzie zatarciu, lecz Tristen, patrząc z dalekich okien twierdzy, nie wyobrażał sobie nigdy bogactwa szczegółów wypisanych na świeżym śniegu – kronice wędrówek wieśniaków. Można było w niej wyczytać, dokąd szli ludzie i zwierzęta przed kilkoma godzinami, a nawet dniami. Po lądowaniu ptaka pozostawały ślady podobne do szlaczków na pergaminie.

Po śniegu sunęły także cienie ptaków, każąc mu unieść wzrok, a potem się uśmiechnąć. Jego znajomkowie krążyli w górze lub szybowali w dal; głupiutkie, kochane gołębice ruszały na codzienną wyprawę, by wieczorem wrócić do domu, na wieżę i gzymsy fortecy, w poszukiwaniu chleba i grzęd. Zataczały koła, po czym frunęły w nieznaną. Pewnie miały coś na widoku... Może stodołę, może ziarno sypiące się przez drzwi spichlerza. Lecz trzymały się z dala od lasu. Las był królestwem Sowy.

–To te z wieży? – zapytał Crissand, zadartszy głowę.

–Chyba tak.

–Latają za tobą?

–Latają, dokąd im się spodoba. Ja nimi nie rządę.

Czy jego ptaki dolatywały czasem na odległe pola, gdzie mogły się spotkać z gołębiami mającymi gniazda w Ynefel? W gruncie rzeczy nie był pewien, czy cokolwiek wciąż tam żyło.

Patrzył, jak zakręcając, biorą kurs na zachód, hen ku rzece... a zarazem w kierunku skalistych wzgórz opasujących zrujnowany Althalen. Dobrze się czuły wśród ruin,

lubiły murki i kamienne budowle. Bez wątpienia ptaki, które śmiały wic gniazda w Ynefel, nie bały się Althalen.

–Nie widać żadnych znaków – stwierdził Crissand z niepokojem w głosie.

–To prawda – odparł Tristen po chwili. – Tylko ptaki.

Po niebie przeciągnęła chmura. Wiele obłoków nadpływało i odpływało, pola to kryły się w cieniu, to znów lśniły jaskrawo. Krajobraz po wschodniej stronie przesłaniała śnieżna okiść, tworząca na szarych gałęziach jabłoni ażurowe wzory. Ruchome cienie dodawały szarości pagórkom, po cudownie przejrzystym, błękitnym niebie wędrowały puszyste chmurki, poranny opad spowił zimową szatą pospolite kamienie i przydrożny krzak żarnowca. Konie rozdymały chrapy i strzygły uszami na rześkim powietrzu. Biegły różnym, lekkim krokiem.

–Będziemy się trzymać Południowej Drogi? – zapytał w pewnej chwili Crissanda. Oglądał wcześniej mapy, lecz wzgórza były na nich labiryntem maleńkich znaczków, zapewne niekompletnym. Miał wielką ochotę skorzystać z jakiegoś skrótu i wjechać między te cudowne pagórki. O ile Crissand znał tę okolicę.

–Tak, panie. Jazda na południe zajmie nam godzinę – odpowiedział earl. – Musimy dotrzeć do Padys Spring, gdzie stoi mała kapliczka. Przebiega tamtędy wiejska dróżka do Levey, wsi w dolinie. Tam zjedziemy z traktu.

Nazwa "Padys" nie budziła w nim żadnych skojarzeń, podobnie jak "Levey" czy "Padys Spring", chociaż był pewien, że w miejscu opisanym przez Crissanda powinny tryskać źródła. Wydawało mu się jednak, iż nazywano je trochę inaczej.

–Bathurys – przypomniał sobie nagle z zadowoleniem.

–Panie?

–Bathurys – powtórzył. Był przekonany, że tak właśnie brzmiała prawdziwa nazwa tych źródeł, która objawiła mu się, podobnie jak robiły to niekiedy inne bardzo stare nazwy. Zdaniem Crissanda stała tam kapliczka, lecz w tej kwestii nie miał całkowitej pewności.

W każdym razie w miejscu zwanym Bathurys powinno bić źródło. Kiedy już poznał jego właściwą nazwę, stanął mu przed oczyma tamtejszy układ terenu... Pomyślał o chałupach z szarego kamienia, o stadach owiec.

A więc nie czekała ich zbyt długa jazda. Uczucie szczęścia pogłębiały w nim nie tylko radosne bryknięcia Gery, ale i coraz lepsza atmosfera w kompanii. Słyszał nawet śmiechy wśród jadących z tyłu żołnierzy, a obok niego Uwen, zazwyczaj nieśmiały w obecności lordów, w towarzystwie Crissanda tej nieśmiałości nie

okazywał, przekomarzając się po trosze z kapitanem earla.

Między dwoma oddziałami gwardzistów, Smokami i żołnierzami z Meiden, doszło do krwawego starcia w noc jego przyjazdu. Ale Smoki uchroniły Crissanda i jego ludzi przed egzekucją, więc obok złych uczynków mieli na koncie także dobre. Poza tym Smocza Gwardia wzbudzała większy respekt w Amefińczykach niż zwykła Gwardia Gueleńska, i to jeszcze przed panowaniem Parsynana. Bardziej zdyscyplinowane Smoki nigdy nie gnębiły mieszczan – nie postępowały na modłę żołnierzy z ich bratniej gwardii, jak doniesiono Tristenowi. A zatem ostrożnie, czujnie, zaczęto okazywać sobie dobrą wolę, najpierw w przyjaźni między lordami i oficerami, potem w szeregach.

Jakoż po pierwszym odpoczynku i przebyciu oblodzonej kładki Uwen i kapitan domu Meidenów beztrąsko porównywali minione zimy i wymieniali zalety owiec, natomiast żołnierze z tylnych szeregów gawędzili na temat tutejszych jesieni, tutejszego piwa, szynków w Guelemarze i w Amefel oraz kobiet, które poznali.

Pogawędki żołnierzy rozkręciły się na dobre, lecz rozmowa Tristena z Crissandem kulała, jakby byli sobie obcy, albowiem ich dotychczasowe spotkania zawsze dotyczyły polityki i spraw prowincji. Teraz mówili o błahych rzeczach, jak pospolicci ludzie, o jesieni, kraju, stadach i jabłkach. Nie ulegało wątpliwości, że Uwen, który przed wstąpieniem do wojska był chłopem, miał o tym znacznie większe pojęcie. Crissand wiedział wszystko o jabłoniach, ich gatunkach i wartości, Tristen ograniczał się więc do zadawania pytań. Earl znał się na pielęgnacji sadów i hodowli owiec, robocie prostych ludzi, którą sam wykonywał, toteż odpowiadał bez wahania.

–Stada owiec to główne źródło utrzymania moich ludzi – mówił. – Od pięciu lat, z powodu parcha, sady przynoszą mniejsze zyski. W dystrykcie lorda Drummana są tylko sady jabłkowe. To samo u Azanta. Nam jednak wiodło się lepiej w Meiden, bo mamy i jabłonie, i owce. Jęczmień tu wschodzi marny, sprowadzamy go ze wschodu, a także z Imoru i Llymarynu. – Po chwili milczenia podjął: – Ze wszystkich wiosek w Meiden najgorzej na bitwie nad Lewenbrookiem wyszło Levey. Czternastu poległych to dużo, kiedy wioska liczy dwustu mieszkańców. A sześciu rannych i siedmiu zabitych z mojej gwardii to bilans sprzed tygodnia. Jedna czwarta wioski, gdzie nie ostał się żaden mężczyzna w wieku od szesnastu do trzydziestu lat.

Tristen nie myślał dotąd o zabitych w takich kategoriach, ale teraz pojął rozmiary tragedii.

–Bardzo dużo wdów w jednej małej wiosce – ciągnął Crissand. – Na wiosnę same będą musiały orać, choć może pošlę im paru młodzieńców z innych wsi do pomocy w sadzeniu, kiedy już uporają się z pracą na swojej ziemi.

–Nigdy więcej nie zrobimy z Amefel pola bitwy – zapewnił go Tristen, mając

świadomość, że Cefwyn wybiera się na wojnę, a on będzie musiał pójść za nim. Ale nie zamierzał pozwolić, żeby działania wojenne przeniosły się za rzekę. W tym względzie był nieugięty.

–Wszystko łaska boska – dodał Crissand żarliwie.

Słońce zajaśniało, kiedy earl to powiedział. Przed chwilą zasłaniała je chmura, ale przesunęła się... Na niebie nastąpiło większe poruszenie, mimo że nie było wiatru. Coraz szybciej światło na przemian gasło i padało snopami na ziemię, rozjaśniając śnieg lub pograżając go w szarym cieniu.

Rozmowa – krępująca, ale zarazem odkrywczą, nawet na tym pierwszym etapie wycieczki – dotyczyła potrzeb wiosek i udręk Crissanda i innych lordów. Z początku obaj czuli się onieśmieleni; earl uważał, aby go czymś nie urazić, wszelako, jak to miał w zwyczaju, mówił prawdę, a Tristen pilnie nadstawiał ucha. Nagadawszy się o sadach i owcach, gawędzili o tym i owym, plotkowali o rozmaitych lordach, choć nigdy w złych słowach... O ambicji Drummana: chciał wyhodować nową rasę owiec. O drugim małżeństwie córki Azanta (owdowiała po bitwie nad Lewenbrookiem, będąc małżonką dopiero od siedmiu dni) oraz o innych tragediach, jakie ją spotkały. Parsynan, co było do przewidzenia, nie zrobił nic w celu poprawienia sytuacji na wsi, odbudowania Emwy ze zgliszczy czy wspomoczenia Edwylla w jego niedoli. Zamiast tego ścigał podatki na należność koronacyjną i tym sposobem ciemniżył jeszcze te wioski, dzięki którym wygrano bitwę.

–Kiedy ludzie króla przyszedli na nowo liczyć spichrze i sztuki owiec – opowiadał Crissand – mój ojciec nie wytrzymał, panie, i postanowił się zbuntować. W żadnej z naszych wiosek ludzie nie przymierają głodem, lecz za rok będą jeść ziarno siewne, a to, panie, już początek klęski. Dlatego właśnie oferta Elwynimów skusiła mojego ojca, a królewscy ludzie go rozgniewali. Tak wygląda prawda. Nie szukam okoliczności łagodzących, podaję jedynie powody.

–Nie rozumiałem jeszcze wszystkich motywów postępowania Parsynana – rzekł Tristen – lecz z tego, co widziałem, niczego nie zbudował. Ja pragnę naprawiać szkody, nie wydając przy tym wielkich sum, nie zamawiając złotych ozdób, nic z tych rzeczy. A mimo to oni chcą rzeźbić drzwi, co kosztuje sporo pieniędzy i czasu. Wszyscy, nawet posługacze, powiadają, że tak trzeba... Gdy tymczasem w wioskach brakuje jedzenia. Czy to rozsądne?

–Nasz diuk nie powinien mieć byle jakich drzwi – odpowiedział Crissand. – Wystarczy, że zrozumie dolę włościan i dopilnuje, by nie brakło im zboża, a nikt nie będzie sarkał na drzwi w pałacu.

–Bardziej potrzebuję wojska nad rzeką – stwierdził Tristen zduszonym głosem, nadal poirytowany na myśl o przedłużającym się struganiu drewna, coraz bardziej

przekonany, iż nie powinien wyrażać na to swojej zgody. – Każde drzwi potrafią ochronić przed zimnem. A ja potrzebuję brezentu, łuków, koni i żywności.

–Aby zaatakować Elwynor, panie?

–Aby nie dopuścić do wojny w Amefel. No i jeszcze ta zbrojownia. To następny kłopot. Parsynana nic nie obchodziła. Także lord Heryn nie dbał o nią za bardzo. Cefwyn doprowadził ją co prawda do porządku, ale gdy zbrojmistrz wyjechał razem z królem, Parsynan nie powołał na jego miejsce nikogo i dziś jest wielka rozbieżność między tym, co w składzie, a tym, co na wykazach. Przywiozłem z sobą zacnego człowieka, Cossuna, pomocnika mistrza Peygana, który nie może znaleźć nigdzie starych spisów, nawet w archiwum.

–Obawiam się, że dokonano kradzieży – rzekł Crissand. – Obawiam się nawet, że uczestniczyli w niej także moi ludzie. Ale broń mamy do dzisiaj. – Earl odwrócił wzrok. – Nie tylko Meiden brał broń. Jeśli chcesz znać prawdę, panie, to rozgrabili ją żołnierze z garnizonu – Gwardia Gueleńska.

–I co się z nią stało?

–Sprzedana w mieście, zastawiona za trunki w szynkach. Broń nie znikła, panie, opuściła jedynie zbrojownię. Oręż zdobiony srebrem i złotem mógł zawędrować bogowie wiedzą dokąd. Pewnie do dostawców wina, piwa, żywności, nie wspominając o innych rzeczach.

To było niczym olśnienie, którego już nieraz doznawał w ciągu dwóch tygodni sprawowania władzy. Gdziekolwiek się obejrzał, tam napotykał ślady haniebnych rządów Parsynana, dowody na to, jak ów pazerny chytrus ogałacał miasto i koszary ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość i mogło służyć Amefińczykom. Gueleńczycy, nie przestrzegając dyscypliny pod dowództwem Parsynana, widzieli w amefińskiej zbrojowni miejsce, skąd mogli czerpać do woli. Wiedząc to, Tristen był skłonny uwierzyć, że żaden oficer nie zamierzał się temu sprzeciwić.

–Słyszałeś, Uwenie?

–Ano – odparł Uwen poważnie. – I wcale mnie to nie dziwi, że broń po całym grodzie rozwleczone. Wcale mnie też nie dziwi, że wiele rąk ją stamtąd wytargało, nie tylko gueleńskich. Metal to metal, panie, no i zacne ostrze dla garbarza albo kołodzieja. Mam rację? – Z tym pytaniem zwrócił się do kapitana z Meiden.

–I mnie się tak wydaje – odparł żołnierz.

–A co z archiwum? – zapytał Tristen Crissanda.

–Każdy, kto chciał zmienić lub usunąć pewne dokumenty, mógł dopiąć swego za

złoto. Tak się już dzieje od zawsze. To przypomina zwykłą kradzież. W jednym przypadku zrobiono tak nawet dwukrotnie, raz dokonał tego lord Cuthan, a później inny lord, który przywrócił stan pierwotny. Jego imię wolałbym przemilczeć, panie... Nigdy nie doszło do procesu w sądzie, bo archiwista brał pieniądze od jednego i drugiego, tyle że ten ostatni dał więcej. Wobec tego nie wierzyłbym żadnym papierom załączonym do akt, panie, gdyż każdy mógł zostać sfalszowany. Znajdą się nawet włości poświadczane dwoma dokumentami zaopatrzonymi w pieczęcie i poręczonymi przysięgą. Często tylko sąsiedzi znają prawdę. A więc dojdzie do rozpraw w sądzie, w których Wasza Miłość będzie musiał wydawać sprawiedliwe wyroki.

Tristen nie zajmował się dotychczas czekającymi na rozpatrzenie kwestiami spornych ziem, a słowa Crissanda tylko go do tego zniechęciły. Tak więc poznał już dwie sprawy będące powodem zainicjowanej przez Crissanda wycieczki, ujawniające nieczne uczynki wicekróla i Gwardii Gueleńskiej. Lord wicekról wyjechał, ale kapitan gwardii nie, a że gueleński regiment był w mieście nieodzowny, Tristen znalazł się w trudnej sytuacji, rozdarty między potrzebą zachowania żołnierzy a koniecznością położenia kresu grabieżom, zwłaszcza broni.

Zaczynał pojmować, że po ostatniej mobilizacji i bitwie nad Lewenbrookiem broń po prostu nie wróciła do zbrojowni; mieszczanie byli uzbrojeni, teraz i dawniej, a mimo to młodzi ludzie nie mieli wprawy w posługiwaniu się bronią. Dlatego tak wielu poległo w bitwie. Nie spodobały mu się zasłyszane nowiny, zarówno te związane ze sposobem traktowania zawartości zbrojowni, jak i z fałszerstwami w archiwum.

–Nie powinni dłużej tego robić – rzekł Tristen z głębokim przekonaniem. – Nie będą dłużej tego robić.

–Twój gueleński urzędnik, panie, nie bierze łapówek. Uczciwy człowiek na stanowisku głównego archiwisty to frapująca okoliczność dla niektórych lordów. Ostatni człowiek, który zmienił dokument, raczej nie miał do tego uprawnień. Rzecz to powszechnie wiadoma i każdy się boi, że wszystko się wyda. Nie ufaj żadnym dokumentom Cuthana i, na honor, uważaj z papierami Azanta... Zacny to człowiek, panie, lecz zrobił, co musiał, żeby pomieszać szyki Cuthanowi. Teraz żałuje i żyje w strachu. Słusznie byłoby nakazać im wszystkim przywrócić porządek w papierach do stanu z czasów lorda Heryna. Sam to mówię, choć wiem, że na tym stracę, Azant zaś zyska. Tego wszakże wymaga sprawiedliwość, a Azant będzie bardzo wdzięczny Waszej Miłości.

Tristen pilnie słuchał informacji o tak wielkiej wadze.

–Oto ziemia, która żywi mieszkańców Levey – oznajmił Crissand na koniec, kiedy wjechali na szczyt wzniesienia. Na rozległym obszarze rzędy jabłoni odcinały się szarością wśród śniegów. – To ich sady. Na pobliskich wzgórzach mają pastwiska

owiec... Dobrze pastwiska, szczególnie latem. To bogata wieś. Szkoda, że straciła tak wielu ludzi. A do wiosny daleko, panie.

Śnieg zakrył większość punktów orientacyjnych. Tristen wiedział, że kiedyś już tędy przejeżdżał, lecz wszystko wydawało mu się jakieś obce, wieśniacy gdzieś poznikali... Zalegająca pokrywa śniegu była czysta, nie zmacona śladami. Pod starymi kamiennymi murkami otaczającymi sady wiatr spiętrzył zaspę.

–Jeździsz na łowy, panie? – Zaczynało wiać mocniej, więc Crissand nasunął kaptur na głowę. – Na wschód stąd, za sadami, ciągną się piękne bory, doskonale do polowań. Pełne zajęcy i lisów.

–Nie – odparł Tristen, wzdrygając się na samą myśl o krwawych plamach na czystym śniegu. – Raczej nie.

"Nie chcę tu żadnych łojówek", powiedział mistrz Emuin. Również Tristen nie chciał się stykać z niczym, co pachniało krwią. Z niczym i nigdy, jeśli to było możliwe. Dość miał widoku rzezi jak na jedno życie.

Na chwilę zaległo milczenie. Może odmówił zbyt gwałtownie? A może Crissand czuł się nieswojo i teraz zachodził w głowę, czym obraził swego pana?

–Z drugiej strony, kuchmistrzynie musi czymś wypełnić spiżarnię, prawda? – Tristen spróbował zatrzeć nieprzyjemne wrażenie. – Nie mam więc nic przeciwko polowaniom. Tyle że osobiście nie lubię jeździć na łowy.

–Jakie więc wolisz rozrywki, panie?

Obserwując spod przymrużonych powiek przesuwające się pejzaże, Tristen wspominał wszystkie miłe rzeczy, które wypełniały jego wolne chwile. Sięgał po wspomnienia pytań nurtujących go na widok roześmianych ludzi, pogrążonych w grze w kości lub oddanych innym uciechom, takim jak chów ogarów czy tresura sokołów. Albo zabieganie o względy młodych kobiet.

On sam był nienawykły do towarzystwa. Ze zbolałym sercem pomyślał o swoich gołębiach, o rybach śpiących w ogrodowym stawie i o koniach, które wysoko cenił.

Spośród dających mu radość zajęć tylko jazda konna była czymś, co mógł zrozumieć inny młodzieniec.

–Jego Miłość lubuje się w rozmyślaniach – rzekł Uwen, przerywając przydługą ciszę. Zawsze znajdował wytłumaczenie dla uchybień Tristena, zwłaszcza gdy jego pan zachowywał się niemądrze lub wzbudzał strach.

–Wybacz mi, ale zastanawiałem się, co lubię najbardziej – rzekł Tristen na swoją

obronę. – Chyba jazdę konną. – Nie rozminął się zbyt z prawdą: nie mniej lubił czytać, lecz ostatnio rzadziej to robił dla przyjemności, częściej usiłował rozwikłać znaczenia trudniejszych pojęć. – Jeśli nie przybędzie śniegu, będziemy mogli odwiedzać wszystkie wzgórza i wioski. Co ty na to?

–Jak sięgam pamięcią, przed zimowym przesileniem śnieg nigdy nie padał obficie.

–Wolę już brnąć przez głębokie zasy, niż dyskutować o drzwiach.

–Będąc lordem Amefel, możesz sobie kazać wyrzeźbić, co ci się żywnie spodoba. I możesz robić to, na co masz ochotę. Ludzie cię miłują. Wszyscy cię miłujemy, panie... My, lojalni poddani.

Słowa earla zadźwięczały dziwną, złowróżbną nutą. Zapewne zostały wypowiedziane bez ukrytego podtekstu, lecz Tristen poczuł bijącą z nich grozę, strach przed kontaktami z innymi, grozę objawiającą się tam, gdzie obcy sobie ludzie napawali się wzajemnie strachem, a spotkania rzadko były przyjemne. Potem wzmogła się w nim bojaźń przed władzą, jaką miał nad życiem innych ludzi. Bali się go lordowie, bali się zwykli ludzie. Wspomniał malowane na drzwiach sihhijskie gwiazdy, wspomniawszy wiaty na ulicach.

–Miłujecie? – To go zafrapowało. Tym razem Crissand zamilkł.

–To, że jesteś Sihhijczykiem, nie umniejsza cię w naszych oczach.

–Zostałem Zawezwany, jestem Formą – powiedział gwałtowniej niż kiedykolwiek podczas rozmów na ten temat, nawet z Uwenem, który jechał blisko po drugiej stronie; kapitan Crissanda dyskutował o czymś z jednym z żołnierzy z tyłu. – To, że jestem Sihhijczykiem, oznacza, że jestem martwym Sihhijczykiem.

–Ależ, panie! – zaprotestował Uwen.

–Godziwie nam panujesz! – dodał Crissand. – Nie chcemy lepszego! Nie chcemy lepszego!

–Jestem Formą, no i głupcem. Uwen wie o tym. To samo mi mówią kapitanowie Cefwyna.

–Z zawiści.

–Nie, i za to ich cenię. Uwen z wielką cierpliwością znosi moje potknięcia, zna wszystkie moje przywary, chroni mnie przed jeszcze większymi nieszczęściami...

–Ależ, panie! – Uwen, wstrząśnięty tymi słowami, nie odwzajemnił jego czulego uśmiechu.

–A jednak to prawda, Uwenie, nie zaprzeczaj. Cenię sobie twoje rady nie mniej od rad lorda komendanta, a przede wszystkim twoją pieczę nade mną.

–Ależ, panie – wymamrotał Uwen zażenowany. Nie mógł jednak zmienić faktów. Tego, co mu dawał Uwen, nie dało się przecenić. Tristen marzył, by móc liczyć na podobną szlachetność ze strony Crissanda. Wydawało mu się przez chwilę, że słyszy ją w jego głosie, lecz nagle ustąpiła miejsca pochlebstwom i wyrazom uwielbienia, które piekły niczym świeża rana.

–Uwen jest moim przyjacielem – zwrócił się do Crissanda, jadącego z nim strzemię w strzemię. – Lusin i gwardziści są moimi przyjaciółmi, podobnie jak Tassand i reszta służby. A także król Cefwyn, mistrz Emuin i Jej Miłość z Elwynoru. Oni wiedzą, że jestem głupcem. Jego Wysokość książę Efanor okazywał mi życzliwość i darował cenną książeczkę z modlitwami. Ale uważa mnie za heretyka. To samo komendant Smoczej Gwardii, Idrys. Nazywa mnie głupcem i widzi we mnie niebezpieczeństwo, choć ja zważam na jego rady. Tutaj, w Amefel, Annas, kuchmistrzynie oraz mistrz Haman byli dla mnie uprzejmi, ale sądzę, że uważali mnie za prostaka. A w Guelessarze byłem osamotniony. Lordowie, damy, służący w salach, kucharz, podkuchenni, wszyscy zegnali się na mój widok i stronili ode mnie.

–Wyznają quinalt – rzekł Crissand, jakby to tłumaczyło postęпки całego świata.

–Tak jak Uwen.

–Ino ja bez przesady – mruknął żołnierz pod nosem.

–Cefwyn jest moim przyjacielem – Tristen uparcie ciągnął swoje rozważania. – Jeśli i ty chcesz nim zostać, Crissandzie Adiranie, jeśli i ty nim zostaniesz, musisz wiedzieć, że łączą mnie z Cefwynem więzy przyjaźni.

–Ze względu na ciebie, panie, wyrzekam się wszelkich żalów, jakie mógłbym żywić wobec króla.

–I będziesz mu okazywał życzliwość?

Tristen miał, co uświadomił mu Emuin, pewien dar: łączył pytania z ujawnianiem zbyt szczerzej prawdy; obnażał grzeczne kłamstewka, dzięki którym ludzie oszczędzali sobie nieprzyjemności, oraz wielkie łgarstwa, dzięki którym nie skakali sobie do gardeł. Nauczył się poskramiać ów dar i częściej walczyć milczeniem.

Wszelako temu młodemu earlowi, który wystąpił niegdyś przeciwko niemu z mieczem w dłoni, by później z większą niż u innych lordów namiętnością złożyć przysięgę wierności, temu młodzieńcowi, który go tu sprowadził, by sączyć mu do ucha półprawdy, rzucił pytanie niczym rękawicę, ciekaw, czy ją podejmie, czy też wymyśli jakiś uprzejmy i pusty ogólnik, nie chcąc wyznawać lojalności

Marhanenom... a jemu prawdy. W każdym razie określili wymiar ich przyjaźni.

–Cóż ci mam rzec, panie? – Ku rozczarowaniu Tristena Crissand znowu próbował lawirować. – Darzę króla należną mu życzliwością.

Uwen odchrząknął i oświadczył nieśmiałym tonem, patrząc na Crissanda z ukosa:

–W przeróżnych kwestiach Jego Miłość zapytuje nieraz o prawdę oczywistą, Wasza Lordowska Mość, jak rzadko kto, atoli sam prawdy przed człkiem nie skrywa. Doświadczenia zbiera ledwie od tej wiosny, kiedy to na świat przyszedł, tedy czasem o rzeczy na pozór fantazyjne cię spyta, czym się nie zrażaj. Pamiętaj, jeśli zechcesz znać prawdę, usłyszysz ją od niego.

Taka wypowiedź wymagała od Uwena, prostego człowieka, wielkiej odwagi. Zwrócił się do kogoś, kogo uważał przecież za lepszego od siebie. Uwen przeprowadzał jednak Tristena przez dwory i wiejskie uliczki, poznał go lepiej niż ktokolwiek inny, a niekiedy nawet mówił za niego, gdy rozmowa się gmatwała. Nawet Cefwyn, nawet Emuin nie znał go tak dobrze jak Uwen.

–W takim razie wyznam całą prawdę – oświadczył Crissand w ciszy, jaka nastąpiła. – A będzie to prawda najszczerza... Zgodnie z prawem Jego Królewskiej Mości mój ojciec był zdrajcą, z czym się zgadzam, bo zdradził Marhanenów. A więc i ja zdradziłem. Nie żałuję niczego, com uczynił. Ty byś oszczędził mojego ojca, wiem to na pewno. Boleję nad tym, że mój ojciec zginął, a lord wicekról wciąż żyje. Od czasów, kiedy zacząłem okazywać świadomość świata, ojciec zawsze mi wpajał, że nic dobrego nie czeka Amefel, póki Marhanen zasiada na tronie w Guelessarze, a Heryn Aswydd w Henas'amef. Rzeczywiście, Heryn był naszym krewnym, lecz nikt z mojego domu go nie opłakiwał, nikt też się nie zdziwił, gdy król w Guelemarze zesał siostry Heryna do klasztoru żeńskiego, a władzę nad nami przekazał wicekrólowi. Nikogo też nie zdziwiły złodziejskie zakusy Parsynana. Bo i czemu miałby być lepszy od Heryna Aswydda?

Tristen wszystko dobrze rozumiał. Oprócz samej konkluzji.

–Spodziewaliście się czegoś lepszego po Tasmordenie?

–Nie. Ale łudziliśmy się, że Tasmorden dopuści do władzy mojego ojca, który zadbałby o sprawy prowincji. On, nikt inny. Nie dziwię się, że nie chciały przybyć nam na ratunek żadne wojska. Kiedy Cuthan zdradził, ty przyjechałeś, a gueleński wicekról rozkazał nas pozabijać, straciłem wszelką nadzieję. Lecz wcale się nie zdziwiłem... – Na krótko zapanowała cisza. Wspomnienie nie należało do przyjemnych. Crissand odetchnął głęboko i podjął pewniejszym już głosem: – Dopiero kiedy wróciłeś na dziedziniec i wyratowałeś nas od zguby, ktoś wreszcie zadośćuczynił sprawiedliwości, panie, po raz pierwszy od stu lat ktoś się ujął za

Amefińczykami. Wtedy zrozumiałem, że śmierć mojego ojca nie poszła na marne, że ostatecznie mamy pana, któremu godzi się służyć. Skoro więc każesz mi trwać w wierności dla króla, przez wzgląd na ciebie, panie, z całego serca powiadam: niech bogowie błogosławią królowi w Guelemarze!

Niewielu Amefińczyków zdobyłoby się na takie słowa.

Kiedy Crissand to powiedział, zaskoczony Tristen sięgnął mimowolnie do szarej przestrzeni... co nie sprawiało mu większej trudności od zaczerpnięcia oddechu, zagładnięcia poza welon słów czy wczucia się w rytm czyjegoś bijącego serca. Pomknął ku owej przestrzeni ze znajomą mu i nader subtelną świadomością obecności jadących przy nim mężczyzn.

Uwen, przykładowo, przypominał opokę, zawsze stateczny, przeciętny, niewzruszony; chociaż nie zagłębiał się w szarą przestrzeń ani nie zdawał sobie sprawy z zachodzących w niej zjawisk, to jednak czasami, wskutek zażyłości z nim, wędrował w jej pobliże. Kapitan z Meiden nie był zbyt widoczny. Podobnie reszta gwardzistów.

Crissand wszelako mienił się wyraźnie, co dowodziło jego powierzchownej, acz bezsprzecznej obecności w szarym miejscu. Crissand, earl Meiden, daleki kuzyn władców Henas'amef, wraz z krwią aethelingów odziedziczył dar magii. Wszystko wskazywało na to, że earl nie ma najmniejszego pojęcia o tkwiącym w nim, prawdopodobnie dość rozwiniętym talencie, dzięki któremu mógł zmieniać wyroki losu na swoją korzyść. Los nie okazał się jednak łaskawy dla ojca Crissanda, a przecież jego dziedzictwo nie mogło być skromniejsze. Jednak z wyroku losu ludzie Crissanda obronili go przed wykonawcami rozkazu wicekróla, dlatego też on i jego matka zdołali przeżyć.

Na chwilę zaprzątnęła Tristena mało istotna i nie nowa myśl, że obiecujący talent Crissanda, zjednujący mu przychylność losu, jest osią, wokół której obracają się większe rzeczy, a możliwość ich swobodnego ruchu to pole do popisu dla czarów. Na małych zawiasach zataczają łuk skrzydła wielkiej bramy.

Nie wiedział, czy to za sprawą jakiejś magii, czy też czarów odnosi wrażenie, iż bardzo dawno temu znał Crissanda Adirana lub kogoś niezwykle doń podobnego.

W szarej przestrzeni nie migotała bodaj iskra złej woli earla. Crissand błyszczał czystym, jawnym i niebezpiecznie bezmyślnym uwielbieniem, mogącym uderzyć do głowy niby mocne wino.

Podobnie jak upór Emuina w kwestii pszczelego wosku ugodził go z siłą czaru, tak nabyta jesienią stateczność potęgowała w nim teraz strach, gdy stawał się przedmiotem wylewu bezkrytycznego, przesadnego uwielbienia. Otwierając

niebacznie swoje serce, Crissand roztoczył jednak wkoło aurę szczęścia i nadziei. Nawet Smoki i przyboczni gwardziści earla zawarli rozejm na czas pogawędki, a świat wydawał się niebywale jasny i radosny, na przekór gorzkim słowom sprzed chwili. Promienie słońca, przedzierając się przez płynące po niebie szare obłoki, ujawniały lśniące szczegóły w miejscach, gdzie dotykały ziemi. Śnieżne drobiny skrzyły się niczym klejnoty na prawo i lewo od nie rozjeżdżonej drogi, a każdy pagórek i zagajnik odsłaniał nowe dziwy. Żyjąc zaledwie rok, Tristen wyobrażał sobie zimę jako porę pogrążoną w śmiertelnej martwocie, lecz kiedy nadeszła, okazała się pełna cudownych blasków i ruchów, gorejąca bezwarunkową miłością.

Czy w nadmiarze piękna mogą kryć się sidła? Czy realny jest nadmiar nadziei? Albo nadmiar wiary?

Czy można mówić o nadmiarze miłości? Czy wreszcie miłość potrzebuje kłamstw?

Takie oto pytania stawiał sobie w duchu. Wciągnął niegdyś Crissanda do szarej przestrzeni, lecz wątpił, by od tamtego czasu earl zapuszczał się w nią dobrowolnie. Wątpił też, by Crissand miał jakąkolwiek świadomość, co się z nim działo w tamtej chwili i jak to się stało, że stanął przed obliczem kogoś nieobecnego, a potem, bez płaszcza i w rozpaczy, błąkał się wśród śnieżnej zamieci.

Mógłby nauczyć Crissanda, jak dotrzeć do owego miejsca, gdzie nader trudno było się ukryć. Wiedział, że talent earla jest wystarczająco duży. Ale pozostawiać mu pełną swobodę w szarości...? Rozwijać w nim ten groźny talent wobec niebezpieczeństw, jakie czyhają na wędrowców w szarej przestrzeni? Czy powinien wierzyć, iż Crissand nigdy nie wybierze się tam samowolnie?

Tymczasem Crissand skierował uwagę na ośnieżony szczyt wzgórza. Wskazał palcem na lukę między białym polem, obsiewanym zwykle pszenicą, a sadem pełnym jabłoni o nagich gałęziach.

–Nieco dalej krzyżują się drogi. To Wzgórza Padys, zaraz za nimi zobaczysz źródła i kaplicę.

Tuż za starożytnym kamieniołomem rósł wiekowy, bezlistny o tej porze dąb, jedyny dziki przedstawiciel swego rodu w ujarzmionej krainie sadów i niskich, przyciętych drzewek. Dalej widniały ledwo zauważalne ślady zasypanej śniegiem drogi.

–Oto nasz skręt do Levey, panie.

–Choraǵwie! – rozkazał Uwen, kiedy za dębem zjeżdżali na mniejszą drózkę. Sztandary, ciemne i jasne, załopotwały na wietrze.

Crissand go uprzedził, że będzie kapliczka. Istotnie, spod śnieżnej kołdry wyzierał niewielki stos kamieni ustawiony rękami człowieka. Przywodził na myśl podobne

rumowisko w pobliżu wioski Emwy, daleko na zachód stąd. Widział je latem. Tutaj źródło było zamrożone. Gdzie zwykle tryskało ze skały, tam teraz zwisały girlandy sopli.

– Jesteśmy w Padys Spring, panie, a otóż i kaplica. Jedno z ostatnich starych miejsc. Ludzie króla odszukali i zburzyli większość podobnych kaplic. Proszę, abyś tę oszczędził. Wieśniacy przywiązują do niej wielką wagę.

– To świątynia bryaltynów? – zapytał Tristen, słabo zapoznany ze sprawami bogów, mimo że czytał książeczkę Efanora.

– Może nawet starsza, panie. Niekiedy, wbrew królewskiemu prawu i zakazom quinaltu, pojawiają się tu dary wotywno bryaltynów. – Crissand mówił tak, że słyszeli go Gueleńcy, a zwłaszcza Uwen, wcale się tym jednak nie przejmował. – Stąd pojedziemy w górę równą i łatwą drogą, bez zdradliwych dołów czy rowów po bokach, o ile sobie przypominam.

Żaden ślad nie odcisnął się na śniegu od ostatnich opadów, lecz pokrywa utworzyła długą linię wzdłuż zbocza, pokazując, którądy wiedzie droga. Potwierdzały to biegnące wzdłuż niej murki, widniejące w oddali. Gdy mijali stare kamienie, wielu Gueleńczyków czyniło znaki przeciwko złemu.

– Siedzą tu na zagrodach żarliwi wyznawcy bryaltu – powiedział Crissand, gdy ruszyli.

Akurat kiedy przejeżdżali pod rozłożystymi konarami dębu, wiatr dmuchnął w nich potężnie, przechylając na bok sztandary i strasząc wierzchowce śniegiem strzęsanym z obładowanych nim gałęzi.

Rozdział drugi

– O bogowie! – mruknął Crissand z trwogą, ściągając gwałtownie wodze. Obok kaplicy stała bowiem staruszka w szaro-brązowym szalu i spódnicach, a oko z trudem odróżniało ją od drzewa. Owinęła wprawdzie siwą głowę szalem, lecz kosmyki włosów fruwały chłostane wiatrem i śnieżnym puchem. Na jej szyi wisiał naszyjnik ze słomianymi supłami i gładkimi otoczkami z rzeki. Spódnice obciążała monetami i plecionkami ze sznura, frędzle szalika miały się dziko w rytm powiewów lodowatego wichru. – O bogowie! – powtórzył earl z nerwowym śmiechem, głaszcząc konia uspokajająco. – Napędziłaś mi strachu, matko. Nie znam cię. Mieszkasz w Levey?

Tristen znał ją jednak i wiedział, iż nie ma przed sobą zwyczajnej kobiety. Uspokajał Gery. Przy nim zatrzymał się Uwen. Cała kolumna przystanęła z tyłu, a jadący na przedzie chorążowie odwrócili się i przyjrżeli ze zgrozą starowince.

–Leciwa Syes – rzekł Tristen, albowiem nazwanie jej po imieniu pozwalało uzyskać nad nią pewną władzę. – Co cię tu sprowadza aż z Emwy?

–Ano przybywam, coby władcy Amefel do rozsądku przemówić – odparła kobieta, wysuwając ku niemu spośród fruujących na przenikliwym wietrze frędzli nagie, kościste ramię, sztywne i władcze. – Lordzie Amefel oraz aethelingu! Czemuż to ciągniesz samowtór na zachód jako dureń ostatni, skoro na południe droga ci wypada? Na południu druhów znajdziesz, lordzie Amefel, na północy i wschodzie zaś wrogów, a błogosławiony ów władca, którego jednych Od drugich odróżnić umie! Obyś ich więcej z sobą nie mylił, lordzie Amefel!

Tristen miał wrogów na północy, a na południu przyjaciół, o tym dobrze wiedział. Lecz na wschodzie leżał Guelessar, mieszkał tam król... oraz wielu nieprzyjaciół, a wśród nich baronowie. Tristen nie wątpił w słuszność słów wiedźmy, brał je sobie głęboko do serca. Leciwa Syes udzieliła mu już kiedyś paru rzetelnych wskazówek.

Dzisiaj powiedziała: "aethelingu", a właściwie: "lordzie Amefel oraz aethelingu", jakby to były dwie różne osoby... "Ciągniesz samowtór", tak się wyraziła. Lordzie oraz aethelingu... Słowa te pobudziły w jego sercu nutę dawnych rozmyślań, z których nigdy się nikomu nie zwierzał. Słyszający wszystko żołnierze mogli inaczej odebrać sens tego powitania: prości ludzie przypisywali mu oba miana. Być może nawet Crissand nie zrozumiał tej zasugerowanej dwoistości.

On ją jednak rozumiał. Siedział sztywno w siodle, uspokajając kolanami ryżą klacz, zdecydowany wysłuchać spokojnie wszystkich, nawet najgorszych wieści ze wschodu.

–Teraz jestem lordem Amefel. Co mogę dla ciebie zrobić, o pani z Emwy?

–Zaliś zdolny cokolwiek uczynić, nowy panie? Maszli władzę prawdziwą? A może jeno iluzja za twój oręż staje?

Kolejna strzała pofrunęła do celu z dokładnością, która mogła ująć uwagi wszystkich prócz Uwena: "Iluzja" była jednym z dwóch słów wykutych na mieczu, który nosił u pasa; po przeciwnej stronie błyszczącymi literami w pradawnym języku wypisano: "Prawda". Spośród towarzyszących dziś Tristenowi ludzi jedynie Uwen rozumiał znaczenie napisów na mieczu. Uwen oraz ta sędziwa kobieta.

Znienacka zdjął go strach. Zadrżał na myśl o wyzwaniu staruszki rzuconym nie w szarej przestrzeni, ale na ziemi. Rzadko dobywał miecza, owego ciemnego, metalowego przedmiotu, który na ogół spoczywał przy jego kominku. Prawda... i iluzja. Oba pojęcia odnosiły się do niego, czyżby więc zamierzała mu ukazać podział w nim samym?

–Jeśli mogę w czymś cię wspomóc, pani, mów.

–Wreszcie żywy król osądy wydaje. Na południe, na południe dziś spieszaj, młody lordzie. A kiedy wróbelki moje znajdziesz, ptaszęta moje, lordzie Amefel, ogrzej je i nakarm. Zbyt srogi wieje wicher.

Tristen trzął się na całym ciele. Głos uwiązał mu w krtani.

–Znajdź moje wróbelki! – zawołała Leciwa Syes. A może to wiatr zawył? – Znajdź moje wróbelki, gdy już znajdziesz przyjaciół! – Wściekły podmuch wichury uderzył w sztandary i pochylił je mimo wysiłków chorążych, którzy kołysali nimi pod naporem żywiołu. Konie siadały na zadach lub próbowały rzucić się do ucieczki. Zaprawiona w boju Gery tańczyła w miejscu z podniesionym łbem i położonymi uszami. Leciwa Syes nadal stała pośrodku zawieruchy; jej frędzle i naszyjniki huśtały się, gdy wiatr owiewał ją ze wszystkich stron, szarpiąc wiankami amuletów, płacząc sznurki. W śniegu zaczęły się pojawiać wpiery smugi, a potem krótkie i szerokie bruzdy, roztrącające na boki świeżo opadły puch, okrążające staruszkę niczym wesołe taneczniczki. Zasłona, którą Leciwa Syes rozsunała, ażeby dostać się do świata, teraz zaciągała się z hukiem. Inne duchy przepływały na krawędzi jej mocy, duchy bardziej niebezpieczne i mniej mądre.

–Chłopcze! – krzyknął przerażony Uwen. Wiatr strącił z wysokiej gałęzi śnieg i nieprzenikniona kurtyna bieli otuliła szary cień staruszki.

–Leciwa Syes! – zawołał Tristen, zaniepokojony tą rozmową o wróblach, przyjaciółach i królach. – Leciwa Syes, mam jeszcze kilka pytań do ciebie! Możesz chwilę poczekać?

–Przywołaj mnie pod swój dach, lordzie Amefel! – Głos cichł w dali, zagłuszony rykiem wichury. – Starczy ci odwagi?

–Przybądź, kiedy zechcesz, Leciwa Syes!

–Na bogów – ktoś szepnął. Może Crissand. Może Uwen. Tristen nie przyzywał więcej mocy, dość już mieli tej, która zajęczała wokół nich, kiedy opadł śniegowy welon.

Wówczas wiatr osłabł i pojaśniało na świecie. Zamiast kobiety, w miejscu gdzie przedtem stała, zobaczyli tylko bruzdy w kształcie łez. Nie zachował się żaden ślad stóp Leciwej Syes. Pośrodku kręgu leżał czysty i nie zmacony śnieg. Kosmate śnieżynki osiadały z wolna na kamieniach. Na najwyższym z nich stała zwykła gliniana misa, pełna śniegu, podobna do misek stojących na ołtarzu w świątyni quinaltynów. Ta jednak spoczywała pod gołym niebem i zawierała przypuszczalnie zimowe wotum dla niewiadomych bogów.

–Bogowie, uchowajcie! – ozwał się Lusin, dowódca gwardii przybocznej Tristena.

Uwen, Gueleńczyk wychowany w quinaltyńskiej wierze, szybkim ruchem ręki uczynił znak mający zapewnić wszystkim bezpieczeństwo.

–Zaliśmy tu, chłopcze, bezpieczni?

–Jedziemy na południe – oświadczył Tristen, zawracając konia. – Myślę, że tego od nas oczekiwała. – Zobaczył twarze żołnierzy nie mniej wystraszonych od Crissanda. Śnieg zalepiał kółka kolczug, Ignął do policzków, hełmów i końskich czapraków. Białe płatki coraz gęściej i gęściej spływały z nieba... Już nie ostre, zmrożone grudki, ale miękkie, wilgotne gwiazdki, które wszystko oblepiały. Chorągwie zatrzymały się pod konarami dębu.

–Ależ tędy wiedzie nasza droga do Levey, jestem tego pewien – rzekł Crissand cicho i bezmyślnie, jakby oprócz ich bezpieczeństwa podano w wątpliwość jego przewodnictwo.

–A więc celem naszej podróży nie jest Levey – odparł Tristen. Z absurdalności zapewnienia Crissanda wywnioskował, iż earl nie posiadał umiejętności rozumienia Leciwej Syes ani żadnego z towarzyszących jej duchów, spośród których kilkoro stanowiło groźbę nie tylko dla życia. – Ty i twoi ludzie wróćcie teraz do grodu, zanim pogoda się pogorszy. Ja zostanę z Uwenem i moją gwardią. Trudno powiedzieć, co nas jeszcze spotka.

–Tylko nie to, panie! Kobieta wszak powiedziała, że na południu znajdziesz przyjaciół! Czego mamy się lękać?

Doprawdy, czego? Wielu rzeczy, odpowiedział sobie w duchu.

–Owszem – rzekł na głos – lecz kto wie, co to za przyjaciele.

Gueleńczycy z oddziału, chorążowie oraz czterej jego przyboczni gwardziści, wszyscy oni wydawali się bardziej zatrwożeni od ludzi Crissanda. Uwen, który spotkał już kiedyś Leciwą Syes, marszczył tylko czoło z troską w oczach.

–Po tym, jak się ostatnio pokazała, panie, złe rzeczy na nas przysły – powiedział. – I ludzie pomarli.

–Ale sama nie wyrządziła nam krzywdy – odciął się Tristen. Istotnie, po jej pierwszym objawieniu umarł regent i zabito króla, zginęło wielu żołnierzy. Gdy ukazała mu się po raz drugi, czego Uwen nie widział, nad jego życiem zawisła groźba, choć przecież w konsekwencji spotkał Ninevrise.

Teraz nie miał wyboru. Leciwa Syes dawała im ostrzeżenia, owszem, o ile jednak rozumiał jej naturę, nie ponosiła odpowiedzialności za późniejsze wypadki. Ścisnąwszy Gery piętami, Tristen przejechał wzdłuż kolumny i dotarł do głównego

traktu. Tam skręcił na południe. Sierżant Gedd wraz z dwójką chorążych brnął przez niezbyt głębokie zasy wzdłuż rowu, aby wysforować się na czoło. Honor i królewski rozkaz nie pozwalały Gueleńczykom się wycofać, a ludzie Crissanda, pomni na dane słowo i mając na uwadze honor, również nie zamierzali odłączyć od kompanii. Tristen nie próbował już ich odsyłać, gdy Crissand wdrapywał się na pochyłość rowu. Jego kapitan, ślizgając się na stoku, nie odstępował swego pana.

Drobny śnieg zaczął gęściej sypać z nieba, okrywając świat szarością. Wiatr zawiewał z nową siłą, gwałtowne podmuchy potęgowały zamieć. Jabłonie w sadach stały niczym mroczne zjawy, a w miejscu niskiego murku widniała smuga cienia. Chorążowie nie zwinęli dotąd sztandarów. Pochylali je uparcie do przodu, jakby wyzywali na bój wicher, wroga bezkształtnego i zbrojnego w ostre szpile, targającego ich płaszcze, kiedy usiłowali – na wpół ślepi, ściskając oburącz drzewce – utrzymać wyrywające się chorągwie.

–Zwinąć sztandary! – zakomenderował Tristen, wystraszony tym nierozważnym bohaterstwem. Zastanawiał się, z czym chorążowie usiłują walczyć. Następny podmuch wstrząsnął nawet końmi. Wykazując więcej zdrowego rozsądku od swoich panów, odwracały się zadem do czoła burzy, wszelako jeźdźcy kierowali je znów na południe. Tymczasem chorążowie zwinęli zagrożone sztandary i nareszcie mogli otulić się szczelniej płaszczami. Ostry mróz szczypał w policzki. Crissand zmagał się z czapą, cuglami i umykającą mu połą płaszcz. Tristen cieszył się, że włożył czepiec i burkę.

–Ino raz jeszcze niech tak zadmie, a zdmuchnie nas z drogi! – rzekł Uwen, szcękając zębami. – Jak wpadniemy w rów, znajdą nas na wiosnę! Proszę bogów, byś gdzie nie zbłądził, bo jam się już dawno pogubił.

Tristen znał drogę, a przynajmniej rozpoznawał kierunek, lecz żal mu było ludzi i zwierząt. Nigdy tak naprawdę nie spotkał się z Leciwą Syes w szarej przestrzeni i tylko ze względu na dobro towarzyszy teraz próbował.

–Leciwa Syes! – rzucił głośno, tu i równocześnie tam, do kogokolwiek, kto słuchał. – Robimy, co chciałaś! Czy to za mało? Czy to twoje dzieło, Leciwa Syes?

Wiatr obdarzony był głosem i mówił, lecz w języku niezrozumiałym dla ludzi. To, co chciała bądź czego nie chciała Leciwa Syes, nie uwzględniało niewygód śmiertelników i ich życia. Tego się właśnie lękał. Leciwa Syes zrobiła, co mogła, po czym pozostawiła ich na łasce losu.

Pewna istota wszakże umiała okazać współczucie.

–Seddiwy! – zawołał. – Pomów łagodnie z matką! – Podejrzewał, iż córka Leciwej Syes uczestniczy jako Cień w tej burzy kapryśnych żywiołów, jeżeli w dalszym ciągu

zwykła biegać w podskokach wokół matczynej spódnicy. Sam wiatr mógł być częścią zabawy małego, zaradnego dziecka z cieniami... Zabawy czasami psotnej, czasami śmiertelnej dla wrogów matki. Dziecko miało dużą moc.

–Seddiwy! Skończ z tym wreszcie!

Jakby ktoś go faktycznie usłyszał; zawierucha ucichła raptownie i wietrzny wał, który ich przygniatał, obrócił się w nicość. Gery podrzuciła łeb, bryknęła i zarżała, zdziwiona spokojem.

Crissand położył dłoń na tylnym łęku siodła i potoczył wkoło wzrokiem, jak gdyby spodziewał się zobaczyć widmo lub coś jeszcze gorszego.

–Ona jest Cieniem – oznajmił Tristen. – Małą dziewczynką. Żywioty są wzburzone obecnością jej matki, tak mi się przynajmniej wydaje.

–Dziewczynką?!

–Jest trochę złośliwa, ale ma dobre serce.

–Wierzę ci na słowo, panie – rzekł Crissand cichym i zdławionym głosem. Podobnie jak kapitan earla i reszta żołnierzy, Uwen rozejrzał się czujnie dokoła. I miał rację: w pobliżu Leciwej Syes mogło dać znać o sobie nie tylko dziecko.

Teraz jednak, skoro przestało dmuchać, a padający śnieg zaczął marznąć, widzieli przed sobą – przysłoniętą z lekka białymi, puszystymi płatkami – drogę oraz faliste ślady biegnących wzdłuż niej rowów.

–A to dopiero przygoda – rzekł Crissand na koniec, ledwo łapiąc oddech, ucieszony niespodziewanym ratunkiem. – Przygoda, której nie zapomnę do końca życia. Wielkie nieba, panie, niezwykłych masz sprzymierzeńców!

–Ona jest sprzymierzeńcem Amefel – odparł Tristen, tak mu się bowiem zawsze wydawało. Mróz jakby zelżał, lecz jeden rzut oka wystarczył, by dojrzeć cień przebijający przez wszechobecną szarość, świadczący o burzy na zachodzie. – Uwen ma rację, ona mnie już wcześniej ostrzegała o zasadzkach. Rozmawiała ze mną w lesie w pobliżu Emwy, przy podobnym źródle i kto wie, czy nie przy podobnej kapliczce.

Wątpił, czy kiedykolwiek opowiadał o tym Uwenowi. Teraz też nie wdawał się w zwierzenia, tylko skupił wszystkie zmysły na drodze, przewiercając wzrokiem białe pustkowie i sprawdzając w szarości, dostępnej wyłącznie dla niego, czy ktoś nie podąża za lub przed nimi gościńcem.

Dość wyraźnie wyczuwał obecność zziębniętych żołnierzy oraz żywych stworzeń w

położonym na zachód miejscu, gdzie prawdopodobnie znajdowała się wieś Levey.

Czuł Gery pod sobą i otaczające go wierzchowce. Coś żywego objawiało mu się też nagle wśród sadów, jakieś małe stworzonko, może królik schowany w jamie lub pod chrustem. Leciwa Syes mówiła o ratowaniu ptaków, wiedział jednak, że co innego miała na myśli. On też żywił głęboką nadzieję, że jego ptaki szczęśliwie powrócą do domu... a także wszystkie te istoty, które wybrały się nieopatrznie w świat, nie przewidując nadejścia tak gwałtownej burzy.

Nie spodziewał się tego spotkania. Ani Emuin. Dzięki magicznemu zmysłowi poznał jednak, że coś złowieszczego zgromadziło się w tej godzinie na zachodzie i to coś daje im do zrozumienia, żeby w te pędy wracali do domu, aby znaleźć schronienie za ścianami i zaporami.

Przypomniawszy sobie, jak go tknęło trwożne przeczucie, zanim jeszcze opuścił Guelessar. Na wzgórzu nad królewską puszcza poczuł wtedy czyhającą groźbę.

"Czy coś cię niepokoi?" – zapytał dziś Emuina, lecz zamiast odpowiedzi usłyszał tylko prośbę o woskowe świece. I dlaczego? Zaiste, dlaczego czarodziej nie ostrzegł go przed nadciągającą burzą i działającą magią, choć tacy jak Leciwa Syes wyłaniali się z zawiei, by udzielać wskazówek dotyczących dalszego postępowania?

Nie znajdował w niczym pociechy, nagłąc Gery na zasypanej drodze.

–Słyszysz mnie, panie? – zapytał Emuina. – Słyszysz mnie wreszcie? Wiesz już, co się stało?

Czyżby powodowała nim złość? Owszem, osaczony i zaskoczony, popadał z wolna w gniewne uniesienie. Nie dość, że Emuin powziął żenującą decyzję o opuszczeniu króla, to na dodatek nie udzielał mu żadnych rad, nie wybrał się z nim nawet w drogę.

Chociaż wobec pojawienia się Leciwej Syes odstępstwo Emuina nabierało bardziej złowróżbnego i niepokojącego charakteru, to jednak Tristen, brnąc przez zasy, wciąż sobie wmawiał, że przecież czarodzieje chodzą własnymi ścieżkami i czasem milczą z konieczności.

O tak, Emuin go niegdyś przestrzegał... Mówił, że boi się jego woli i życzeń, zalecał mu jak najrzadsze ich używanie. Było więc całkiem zrozumiałe, dlaczego Emuin zachowywał we wszystkich kwestiach milczenie.

Jednak coś, może krytyczna sytuacja, kazało Leciwej Syes prosić Tristena, aby zabrał ją w obręb chroniących go zapór. Na zachodzie niebo wróżyło nieznaną groźbę, a tymczasem Emuin wciąż nic nie mówił, choć inni działali. To wykraczało poza ramy zdrowego rozsądku. Milczenie czarodzieja obejmowało, z czym

szczególnie ciężko było się pogodzić, całą sferę zamierzeń innych ludzi.

Rwały się rozmowy między gwardzistami, tylko niektórzy Gueleńczycy pytali wśród sypiącego cicho śniegu, czy o tej porze zawsze jest tu taka pogoda. Miejscowi odpowiadali, że w życiu nie widzieli czegoś podobnego.

–Ciągłeśmy na włościach Meiden? – chciał wiedzieć Uwen. Kapitan amefińskiej gwardii odparł, że owszem, choć blisko już do granicy. Za następnym strumieniem kończyły się ziemie Meiden, a zaczynało panowanie sędziwego earla Athela.

Szmer rozmów docierał do uszu Tristena, wytłumiony w tej dziwnej śnieżnej głuszy; ruchomej sennej cichości, która sprawiała wrażenie, jakby mocą jakiegoś czaru zostali umieszczeni na wyspie spokoju i odgradzeni od burzy i ciemności. Czy to za sprawą kolejnych psot Seddiwy, czy też w wyniku będących dziełem Leciwej Syes zaburzeń w przyrodzie, wybuchały, na szczęście ograniczone do wzgórz i krawędzi widnokrzęgu, białe zawirowania, niewielkie mętne splachcie, których nie przebijał wzrok.

Jechali tak przynajmniej godzinę wśród delikatnie prószącego śniegu drogą, która wydawała się nienaturalnie pozbawiona zasp, chociaż wzgórz pokrył gruby śnieżny kobierzec. Zdziwienie żołnierzy utwierdziło Tristena w przekonaniu, że zawieje zachowują się zwykle inaczej niż dzisiaj.

Kiedy wjechali pomiędzy pastwiska owiec na stokach południowych wzgórz, znaleźli się poza obszarem ładnej pogody. Niemal równie srogi jak na początku wichur wionął im w twarze lodowymi drobinami zmrożonego śniegu. Konie szły teraz z na wpół przymkniętymi oczami i położonymi uszami.

–Jak daleko jeszcze? – utyskiwał jeden z żołnierzy.

–Póki Jego Miłość nie rzeknie ci dość, człowieku. Tego się trzymaj.

Tristen nabierał coraz większej pewności, że wkrótce dotrą do celu. Odnosił też wrażenie, że doskwierającej im burzy nie zawdzięczali wcale przyrodzie rozjuszonej samoistnie, ale że ktoś rozpętał ją z rozmysłem, na przekór Leciwej Syes, nie chcąc dopuścić do ich rozmowy. Prosiła o wezwanie, o przyzwolenie, które miało otworzyć przed nią jego zapory. W podobnej sytuacji mógłby błagać zbieg, żeby nie ryglowano przed nim drzwi.

Prosiła o rzecz niebezpieczną, a on beztrąsko obiecał spełnić jej prośbę. Mimo to jedyną karą za jego postępek była dotychczas śnieżna zadymka i zimno, które mroziło kończyny i utrudniało podejmowanie decyzji. Może ktoś inny zamiast Seddiwy, ktoś nieprzyjazny Leciwej Syes, wywołał zamęt, lecz nie miał dość siły bądź chęci do pogorszenia warunków? To mógł być nawet mistrz Emuin, w co jednak Tristen powątpiewał.

Ale miał mocne przeświadczenie, że przyjaciele, o których wspominała Leciwa Syes, znajdują się tuż za następnym wzniesieniem. Sięgnął poprzez szarość. Uświadomił sobie czyjąś obecność, poczuł ją w głębi serca... Ujrzał mętną poświatę wokół Crissanda oraz podobne światełko w miotanej burzą mgiełce naprzeciwko, błękitne i kojące, świadczące o czyichś magicznych uzdolnieniach.

Tam, powiedziało mu serce. Nadjeżdżał ktoś niepospolity. Tylko czy przyjaciel? Ośmielił się niemal zgadnąć. Nadzieja wstępowała mu w serce.

–Witajcie – rzekł w stronę białej zasłony i akurat wtedy, na niewidocznym z powodu śnieżycy wzgórzu ukazały się, jakby zawieszony w powietrzu, cienie trzech jeźdźców, którzy ruszyli w ich kierunku, wiodąc za sobą szare zapasowe wierzchowce.

Za nimi wynurzył się z bieli czwarty, potem piąty, a potem jeszcze dwaj, wszyscy w kolorach śniegu i zamieci. Szare płaszcze zlewały się z szarymi końmi, choć ten idący na przedzie był niemal biały. Jakżeby inaczej, nadjeżdżali przyjaciele, Ivanimi z prowincji leżącej na południe od Amefel.

Może wybrali się na północ z kurtuazyjną wizytą, gdy wieści o mianowaniu Tristena rządcą Amefel dotarły do Ivanoru? Zrazu myśl taka wydawała się oczywista. Tylko dlaczego heroldem trywialnego przecież wydarzenia postanowiła zostać sama Leciwa Syes? W dodatku tak wielkim kosztem?

W miarę jak obie strony kontynuowały pochód, jeźdźcy stawali się coraz lepiej widoczni. Okazało się, że jadący na czele mężczyzna to nikt inny, tylko lord Ivanor we własnej osobie... który nie powinien w ogóle przebywać na południu, tylko w położonym na wschód Guelessarze, przy Cefwynie. Już sam ten fakt wróżył nieszczęścia.

–Ivanor! – zawołał Tristen, chociaż jadący z nim ludzie czynili nabożne znaki z obawy przed duchami i cieniami.

–To ty, Tristenie? – rozległo się w odpowiedzi.

Nie było większego sensu rozwijać chorągwi w tej pomroce, ale Gedd tak właśnie uczynił. Chorągiew Ivanoru także załopotiała. Również sztandar Crissanda, za którym słońce w niebieskim polu bieląco niby lód.

–Witaj! – krzyknął Tristen do lorda Ivanora, kiedy spotkały się oba oddziały. Podał Cevulirnowi rękę, po czym uściśniły się dwie rękawice, dobrze przyprószone śniegiem i stwardniałe na mrozie. – Witaj, panie. Co słyhać u Cefwyna?

–Ożenił się szczęśliwie. Takie doszły mnie słuchy. W drodze powrotnej zatrzymałem się na dłużej w klasztorze w Clusyn, gdzie usłyszałem nowinę. A jak stoją sprawy w Henas'amef?

–Bardzo dobrze, panie. – Dopiero teraz się połapał, że nie wolno mu zaniedbywać pozostałych grzeczności, więc dopełnił ich czym prędzej, skrępowany swoją nową pozycją: – Wasza Miłość, oto Crissand, earl Meiden. A to mój przyjaciel, diuk Ivanoru.

–Widziałem cię już na zamku, ale wtedy jeszcze jako syn mojego ojca – powiedział Crissand. – Lordzie Cevulirnie, uważaj mnie za równie oddanego przyjaciela, jakim ty jesteś dla mojego pana.

–Wasza Miłość – rzekł Cevulirn. Nowa godność Crissanda była jak otwarta księga, w której lord Ivanor mógł wszystko z łatwością odczytać: śmierć ojca, objęcie przez syna rodowej spuścizny. Naglący czas nie pozwalał jednak na dłuższą wymianę nowin. Wiatr szarpał płaszczami i wpychał lodowe łapy w każdą, nawet najmniejszą szczelinę, a zziębnięte podróżą konie stały na przenikliwym zimnie.

–Zakładam, że wędrujesz do mnie – Tristen przekrzykiwał ryk wichury. Gościniec przed Henas'amef nie prowadził do żadnego znaczącego miejsca. – Ty i twoi ludzie jesteście u mnie mile widziani. Ruszamy?

–W rzeczy samej – odparł Cevulirn, po czym szarpnęli za wodze i zawrócili konie. Wiatr zacinał im w plecy z mniejszą zajadłością, kiedy Tristen mijał własną kolumnę, a Ivanimi szukali sobie miejsc między Gueleńczykami i Amefińczykami.

–Czy Jego Królewska Mość potrzebuje mnie w Guelemarze? – zapytał Tristen, dając wyraz pierwszej i najdokuczliwszej obawie, która go dopadła, kiedy stanąwszy już w ordynku, ruszyli w drogę powrotną. – Jesteś tu dlatego, że wszystko dobrze się układa, czy wprost przeciwnie?

–Jest dobrze i jest źle. Jego Królewska Mość odesłał mnie na południe dla mojego własnego dobra. Najwyższa pora, żeby przyjaciele króla odbyli naradę.

Cevulirn nie zwykł się zwierzać, zwłaszcza obcym. Tristen wiedział o nim tylko tyle, że tej zimy planował dotrzymać towarzystwa królowi, meldować lordom z południa o każdym niesłusznym żądaniu ich pomocnych rywali i uzmysławiać ambitnej północy, że południe nie da sobie dmuchać w kaszę. Mimo to Cevulirn usłyszał o zaślubinach w prowincjonalnym klasztorze w Clusyn i wracał do domu wbrew uprzednim solennym zapewnieniom.

A więc cokolwiek zaszło w stolicy, nie było wcześniej zaplanowane.

–Earl Crissand jest osobą godną zaufania – powiedział. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że powinniśmy się naradzić?

–Baronowie z północy zdołali się mnie pozbyć – padła odpowiedź. – Tak samo pozbyli się ciebie, a mimo to doszło do zaślubin. A to znaczy, że przynajmniej połowa

ich planów wzięła w łeb. Lecz bogowie wiedzą, co zrobi Ryssand.

–Chyba nie uderzył w świątynię jeszcze jeden piorun? – Tristen na poły żartował, chociaż takie właśnie okoliczności wyгнаły go ze stolicy. Był ogromnie ciekaw, jak wrogowie uporali się z Cevulirnem, jednym z najbardziej wpływowych ludzi w królestwie.

–Bodajby poraził Ryssanda! Ale nie. To ja zadałem mu bolesną ranę i stąd moja rejterada. Stąd też mamy całą zimę na podjęcie odpowiednich kroków dla poprawienia sytuacji króla. Stąd wreszcie moja wizyta u ciebie. Jakże ci się tu wiedzie?

Zbyt dużo było do opowiedzenia... rzeczy przeważnie przykrych dla Crissanda, który bacznie przysłuchiwał się rozmowie.

–W miarę dobrze, biorąc pod uwagę to, co się stało. Meiden stracił wielu ludzi. Zginęli żołnierze gwardii. Pognałem lorda Parsynana pieszo do stolicy, bo ukradł konia Uwenowi. Poza tym wysłałem na granicę wozy Jego Królewskiej Mości. Chcę umocnić mosty. Właściwie to miały wyruszać dzisiaj rano, lecz pogoda mogła im pokrzyżować szyki.

–Doprawdy? – zapytał Cevulirn beznamiętnym głosem, wyrażającym jedynie czystą ciekawość. – Miałeś tu jakieś kłopoty?

Lord poruszył kolejną kwestię, która ciążyła na sumieniu Crissanda.

–Mój ojciec, panie – wdał się w rozmowę earl – utrzymywał korespondencję z Tasmordenem. Buntownicy zaofiarowali się wspomóc naszą rebelię, bo na nieszczęście dla mojego ojca, panie, rebelia istotnie wybuchła.

–Na razie ani śladu Elwynimów – rzekł Tristen. – Mimo to fortyfikuję mosty i zatrzymuję królewską gwardię, ponieważ nie mam jeszcze amefińskiego wojska. A co do wozów... Cefwynowi chyba nic się nie stanie, jeśli wrócą dwa tygodnie później. Oby tylko na północy był spokój.

–Spore to ryzyko – stwierdził Cevulirn po chwili milczenia. Tristen wciąż nie wiedział, czy może liczyć na jego poparcie.

–Cefwyn mówił mi, że planuje zaatakować Tasmordena ze wschodnich przyczółków zamiast z południowych. Chce, żeby północni baronowie okryli się chwałą na wojnie. Ja osobiście nie szukam chwały i nie życzę sobie bitwy w czasie siewów. Dość, że ostatnią stoczono w same żniwa.

O tym samym jeszcze niedawno mówił Crissand, lecz to nie on pierwszy musiałby się tłumaczyć przed ludźmi oderwanymi po raz wtóry od swoich gospodarstw, którzy

nie zdążyli obsiać pól i oczekiwali na ciężki czas wychowu jagniąt... Póki co, nie powoływał chłopów do wojska. Nad Lewenbrookiem największe straty ponieśli Amefińczycy, rekrutowani głównie z pasterzy i rolników, podczas gdy inne prowincje użyły świetnie wyszkolonych żołnierzy.

–Dlatego nie zamierzam przekraczać rzeki – dodał. – Ale nie zamierzam też dopuścić, by oni przedarli się na naszą stronę.

–Jego Królewska Mość postanowił wysłać w bój siły zbrojne Guelessaru, Murandysu i Ryssandu, razem z ciężką jazdą i taborami – rzekł Cevulirn. – Gueleńczycy są wprawieni w tego typu wojnie. Ja zaś namawiałem króla, żeby raczył pomyśleć o lekkiej jeździe i poprowadzeniu zagonów drogami, które wedle słów Jej Miłości nie są tak szerokie i dogodne jak nasze w Guelessarze. Są błotniste. Trudne do pokonania dla obładowanych sprzętem wozów, którym król przypisuje tak wielką wagę. Po znojnym marszu na Ilefian zaraz krwawa walka... Z całym szacunkiem dla twojego zacnego kapitana, Amefel, każda mila pochodu da się mocno we znaki ciężkiej jeździe. To zbyt długi marsz, a po drodze same wzgórza, gdzie łatwo ukryć łuczników.

–Zaiste krwawa to będzie przeprawa – ozwał się Uwen, gdyż dobrze znał Cevulirna. – Zgadza się z Waszą Miłością, jako i z moim panem. Sam słałbym lekką jazdę.

–I ja tak radziłem – powiedział Tristen.

–W tej materii król zamyśla co innego – podjął Cevulirn. – Chce słać Gueleńczyków, którzy pewnie się przedrą, ale okupią to wielkimi stratami. O ile pierwej Ryssand nie dźgnie w plecy naszego króla. Jego Królewska Mość pokłada całą nadzieję w Murandysie i Ryssandzie, choć winien od nich stronić. Ja zaś przebywam na południu, choć potrzebny byłbym gdzie indziej. A królowi nigdy bardziej nie groził sztylet w ciemności, nawet kiedy sypiał w Henas'amef, mimo że teraz ma większe straże.

Źle się działo. Tristen wyczuł to wyraźnie w głosie Cevulirna. Cefwyn pragnął osadzić Ninevrise na tronie w Elwynorze bez przelewu krwi, uważał, że buntownicy rozproszyli się po bitwie nad Lewenbrookiem. Tymczasem lord o mniejszym zrazu znaczeniu, Tasmorden, znalazł się na czele rewolty, a rebelianci, którzy nie potykali się wcześniej z Cefwynem, założyli obóz warowny na terytorium Elwynoru. Stworzyli od podstaw armię, której siły można się było jedynie domyślać; zapewne srodze opodatkowano elwynimskie wioski, żeby sformować oddziały.

W każdym razie Cefwyn zamierzał umieścić Ninevrise na tronie Elwynoru. Zapewniał jednak, że nie ma wyboru i tym razem musi zrezygnować z pomocy południa i na wojnę wezwać północ. Ryssandowie i Gueleńczycy byli solą Cefwynowego królestwa, natomiast południe zostało skażone czarną magią... Czyżby nie słyszał

tego z ust Cefwyna?

Tamto wspomnienie przepelniało go goryczą. Cefwyn w zapamiętaniu przypominał o swoich gueleńskich korzeniach i ubiegał się o poparcie ziomków, podczas gdy w każdej chwili mógł liczyć na takich ludzi jak Cevulirn i Sovrag. Mając przy sobie Cevulirna i Sovraga, odprawił do domu najpierw Olmerneńczyków, potem jego, a teraz... nawet Cevulirna!

W szarej przestrzeni panował spokój. Ale nie w sercu Tristena.

Czy to spotkanie, do którego doprowadziła Leciwa Syes, nie miało znaczenia? Wątpił w to. Obaj byli przyjaciółmi króla, a i Crissand pośrednio ślubował mu wierność. A jeśli on, to i pozostali earlowie Amefel. Leciwa Syes osobiście obwieściła przybycie Cevulirna. Czy to wszystko było bez znaczenia?

Piastował godności wielkiego marszałka Althalen oraz lorda strażnika Ynefel... Tytuły, które odeszły w cień po objęciu najwyższego urzędu w Amefel, czyniły go panem nic nie znaczących i nie zamieszkanym ziem, jak mawiali ludzie.

Jak mawiali ludzie. A może Leciwa Syes sugerowała mu rzeczywiste objęcie tytułarnych dotąd urzędów? Może jako aethelinga powitała Crissanda?

"Król, król powrócił!" – wołała ongiś do księcia Cefwyna. Słowa te niczym błyskawice płonęły we wspomnieniach Tristena.

Czyż Uleman, lord regent Elwynoru pełniący funkcję króla, nie przybył do Amefel, gdzie umarł? "Młody królu" – tak go nazwał przed śmiercią, aczkolwiek w szarej przestrzeni wszystko uzyskiwało dwojakie znaczenie. Uleman ustanowił go obrońcą niewinności. Choć spoczywał teraz wśród zapór Althalen, jego moc nie opuściła całkiem świata. Cefwyn przekazał Tristenowi władzę w Amefel... uczynił go zwornikiem kamiennego łuku, który powstrzymał elwynimską nawałę przed runięciem na ziemie Ylesuinu...

–O, widzisz tam? – usłyszał słowa Uwena, kiedy mijali pamiętne wzgórze i skrzyżowanie z drogą do Levey. Żołnierze z szeregu żegnali się i cicho modlili do swoich bogów: oto stary dąb upadł, korzenie sterczały z błota, naokoło leżały wielkie bryły ziemi, konary pogięły się i popękały.

–Nie masz wietrzyska, coby dąb tej postury obalić było zdolne – rzekł jeden z Gueleńczyków. – Święci bogowie, toż tu czarna magia działała!

–Jeno nie wyjeżdżaj mi tu z czarną magią! – odparł Uwen opryskliwie. – Mokra ziemia, dąb stary, jużci, nawet czarownica... Czarna magia wszelako to rzecz zgoła odmienna. Mój pan się w niej nie babrze, tedy bacz, co mówisz!

–Tak czy owak, niech nas wszystkich bogowie zachowają! – powiedział Crissand. Tristen przyglądał się wyrwanemu dębowi, poniekąd symbolowi Amefel, ciekaw, czy wiatr mógł rzeczywiście dokonać tego dzieła.

–Oho, widok to niezwykajny – zawyrokował Cevulirn.

–Stała tam wiedźma, która uprzedziła nas o twojej podróży, Wasza Miłość – rzekł Crissand. – Kazała nam wyjść ci naprzeciw i patrz, co narobiła.

–Niczego tu już nie ma – stwierdził Tristen. – Niczego szkodliwego czy groźnego. To wielkie drzewo, trudne do wyrwania. Ale i pani z Emwy to nie byle kto. Jedźmy dalej.

Tak też uczynili i chociaż Tristen był zaintrygowany, a w głowie kłębiły mu się pytania o los dębu, wolał nie niepokoić ludzi, odwracając się w siodle i gapiąc głupkowato. Był opoką, na której żołnierze budowali swoją pewność siebie i odwagę do konfrontacji z dziwnymi zjawiskami. Jakoż dziwów zdarzyło się dość, by na tydzień zaspokoić apetyty plotkarzy w mieście.

Jeszcze jeden dziwny widok ukazał się ich oczom po drugiej stronie następnego wzgórza. Oto nagle pojawiły się ich własne ślady, dotychczas całkowicie przysypane; prowadziły wyraźnie aż po sam horyzont. Burza tu nie dotarła. Ze szczytu wzniesienia widzieli za sobą grubą pokrywę świeżego śniegu, przed sobą natomiast nie dostrzegali żadnego znaku niedawnych opadów.

–Nie była to normalna zamieć – mówili żołnierze, rzucając załęcznione spojrzenia w kierunku zachodnim, gdzie widnokrąg nadal zakrywały ciemności. – Nie była normalna, jakem żyw!

–I nam popsuka się pogoda – napomknął Cevulirn. – Na godzinę przed naszym spotkaniem.

–Chyba jednak wozy wyjechały – rzekł Tristen, do tej pory przeświadczony, iż oddział Anwylla żadną miarą nie mógł wyruszyć w tak szaloną zamieć. Chociaż jego wyjazd i tak był przesądzony.

–Mistrzu Emuinie? – zapytał najbliższego mu znajomego czarodzieja. – Padał śnieg, zauważyłeś? Czy w ogóle padało w mieście? Chyba nie... Widziałeś kiedyś dąb wyrwany z korzeniami, mistrzu Emuinie? Niektórzy, na przykład żołnierze, mogliby wziąć coś takiego za złą wróżbę. Co mam im powiedzieć?

Nie uzyskał odpowiedzi. Chociaż ostatnimi czasy nie była to wielka niespodzianka, Tristen czuł zniechęcenie. W tej samej chwili usłyszał, jak Lusin i Gedd, w znacznie lepszych nastrojach, cieszą się, że na drodze nie będzie już zasp.

Kiedy dojeżdżali do murów grodu, przecinając ślady wieśniaków i głębokie koleiny

wozów, na zachodzie panował mrok, lecz na północnym zachodzie wieczorne zorze malowały ogniście granatowe niebo.

Gdy w zwartym szyku mijali bramę, earl Crissand rozmawiał po cichu z lordem Cevulirnem. Zapewniał gościa o spokoju na ulicach, który wykluczał wybuch rebelii. Przemierzali już ulice grodu, kiedy zaskoczeni strażnicy uderzyli w dzwon, aby powiadomić zamek o przybyciu gości.

Wówczas pierwsi ciekawscy poczęli wyglądać ze sklepów i przez okna. Powrót oddziału z jednodniowej wyprawy mógłby w mroźny wieczór wygonić za drzwi tylko największych zapaleńców, ale ponieważ huczał dzwon i trzepotały chorągwie, w tym białą koń Ivanoru między amefińskimi godłami, mieszczanie narzucali na ramiona płaszcze, wkładali rękawice i stawali przed progami lub spoglądali z dogodnie usytuowanych okien. Iwanimskich proporców nie widziano tu od lata, kiedy to Cevulirn razem z innymi baronami z południa rozłożył się obozem przed murami miasta.

Wyładowane wozy wyjechały na granicę, gdzie, jak chodziły słuchy, mogła wybuchnąć wojna. Możny baron zjechał w gości do nowego rządcy prowincji u boku świeżo upieczonego earla Meidena... Ludzie z pewnością mieli o czym gadać tego wieczoru, upamiętnionego poza tym jedynie lekkim opadem śniegu.

Rozdział trzeci

Dźwięki trąb cichły z drzeniem, lecz wciąż brzękały struny harf i zawodziły dudy, gdy król i jego małżonka, zasiadłszy na tronach na podwyższeniu w wielkiej sali, potoczyli wzrokiem po zebranej arystokracji Ylesuinu – szczęśliwi, jak przystało na nowożeńców, którzy znają wszystkie myśli gości. Smoczy Tron króla stał na niewielkiej kamiennej podstawie, trwałym i symbolicznym dziedzictwie Ryssanda usiłującego zapobiec małżeństwu. Kamień pozostał, aczkolwiek sam Ryssand musiał na dłuższy czas opuścić stolicę. Gdyby usunięto ów kamień, baronów porwałoby święte oburzenie, zlikwidowanie bowiem tego cokołu o grubości pięści obniżyłoby tron króla Ylesuinu do wysokości siedziska Jej Miłości, co złamałoby wszystkie zawile i nawet krwią przypieczętowane umowy, dzięki którym dwór przyzwolił na zaślubiny.

Cefwyna nachodziły posępne myśli. Bał się, iż obecność tego podwyższenia stanie się z czasem nie mniej, ale bardziej konieczna, wejdzie w zwyczaj i zapadnie w pamięć, aż przekłety kamor urośnie do rangi świętości. Władca Ylesuinu musiał siedzieć wyżej od swej małżonki, Jej Miłości z Elwynoru, w przeciwnym razie baronowie mogli poczuć się wystrychnięci na dudka. Zaczęliby wtedy szeptać po kątach, czego na razie i od niedawna nie ważyli się robić bez fałszywych uśmiechów na twarzach i sporadycznych, ugrzeczniionych pokłonów w stronę intronizowanych królewskich mości.

Tak czy inaczej, ten cholerny kamień musiał pozostać jako strażnik gueleńskiego honoru i przypomnienie, że żadna kobieta u boku króla: żona, kochanka, narzeczona czy wreszcie miłość jego serca – nie jest królową Ylesuinu.

Po prawdzie, odkąd wrócił z Amefel w chwale zwycięzcy znad Lewenbrookku, aby powiadomić baronów, iż jego ojciec nie żyje, a on jest nowym królem, co więcej, narzeczonym córki i spadkobierczyni ich odwiecznego wroga, regenta Elwynoru, napotkał na opór większy, niżli się spodziewał, a zarazem bardziej przemyślny i niebezpieczny, niż mu się wcześniej wydawało. Dawniej uważał, że ludzie ci po prostu tolerowali nieprzychylnie opinie jego zmarłego ojca. Zbyt późno i w zbyt małym stopniu zdał sobie sprawę, jak bardzo przywykli do uległości króla i kierowania nim. Obecnie zastanawiał się, ile z najgorszych decyzji podjął podczas ostatnich rządów jego ojciec, a ile wyniknęło z podszeptów Ryssanda.

Bez wątpienia życie ograniczyło jego zapędy i zaufanie do świata, z jakimi przybył na dwór. Wszelako to Ryssand ostatecznie pokutował za zuchwalstwo... a Cefwyn mógł sobie pogratulować, że udało mu się przeforsować własne zdanie we wszystkich ważkich sprawach oprócz tej jednej.

Oprócz tej jednej, bo na sam koniec, w przeddzień ślubu, kiedy quinaltyni ustąpili mu już we wszystkim, dali się ubłagać i zgodzili na przeprowadzenie ceremonii, dorzucił słówko "królowa", skutkiem czego niewielka delegacja lordów i kapłanów przedstawiła mu w zamian ostatnią, najsurowszą i bezwzględną obiekcję duchowieństwa: spełnienie roszczeń króla w tym względzie było wykluczone. Dlaczego? Bo nigdy nie istniał ktoś taki jak królowa Ylesuinu, wliczając w to nawet jego babkę i matkę. Quinaltyni przybyli zbrojni w stosowne rozdziały i wersety, istna parada archiwistów i kapłanów.

Mieli rację. Cefwyn mógł dowodzić, że tamtych przeoczeń nie wolno uznawać za precedensowe, ponieważ jego babka zmarła, zanim dziadek rozpoczął swe panowanie, matka zaś pochodziła ze szlchetnego i zamożnego mieszczkańskiego domu, a nie z królewskiej linii. Dziełem przypadku było, a nie rozmyślnego działania – argumentował – że Ylesuin nie uznał dotąd żadnej królowej. Lecz cóż to znaczyło, skoro na jeden dzień przed uroczystością, gdy już usunięto wszelkie inne przeszkody, doszło do szermierki na słowa i tytuły tudzież do wysłuchiwanie długich recytacji klerykalnych zapisków? Licząc się z konsekwencjami kolejnego rozdrażnienia quinaltyńskiego patriarchy, którego kupił za cenę wielu łask, Cefwyn musiał przyznać, iż niechęć do ukoronowania żony króla nie będzie może rażąca zniewagą wobec panny młodej, mającej tak czy inaczej rządzić Elwynorem, bez względu na zdanie Ylesuinu... a nadto proszącej go osobiście o zlekceważenie tej zniewagi i uzyskanie zgody na ślub. Chciała przede wszystkim sojuszu dla siebie i swoich ludzi, a także armii dość silnej, by mogła pokonać oblegającego jej stolicę Tasmordena. Nie godziła się na dalszą zwłokę i pragnęła zaraz po zaślubinach obsadzić mosty pierwszymi pułkami wojska. Aprobował jej zdanie, gdyż już wówczas

sytuacja w Elwynorze stawała się niewesoła, a teraz była bardzo trudna.

Zaprawdę, Ninevrise będzie rządzić, jak tego chciał; chociaż nie uczyniono z niej królowej, nie mogła zostać pozbawiona prawa do tronu regencyjnego w Elwynorze. A on zbierze armię – już ją zbierał, pierwsze oddziały rozbiły właśnie obozy nad rzeką.

To miało być jej królestwo, odrębne od Ylesuinu. O tym, jak nieszczęsny plan przyniosły intrygi baronów, nie zdołał jej przekonać – wbrew ustaleniom przedmałżeńskiej umowy, w której nalegała na niezależność i prawo do samodzielnego panowania nad sąsiednim Elwynorem – o potrzebie wcześniejszego zjednoczenia obu królestw. Dzięki baronom, jej żądania zostały spełnione i nie było od tego odwołania. Planowali, że latem będzie rządziła własnym krajem, a na okres zimy powierzała rządy wiceregentowi. I oby bogowie pozwolili im na wystarczająco częste przeprawy łodziami, inaczej oboje oszaleją.

Pominąwszy sprawę ściągania wojsk i obrony dwóch osobnych królestw, kochali się całym sercem, namiętnie, choć przestrzegali pewnych wyznaczonych rozsądkiem granic. Żar ich miłości nie przygasł od nocy poślubnej, wciąż nie mogli się sobą nacieszyć. Niczego im nie brakowało do szczęścia w ich gniazdku na górnym piętrze. Żadne nie zdecydowałyby się działać na szkodę odrębności obu królestw... lecz ich palce splatały się przy każdej sposobności i czyż kiedykolwiek widział oczy równie jasne jak jej, kiedy z nią przebywał?

O bogowie, jak udało mu się przeżyć bez niej tyle lat?

Nadal przeżywali swój sen pełen kwiatów i blasku świec. Nadal otaczały ich śpiewy i dźwięk dzwonek. Nadal widzieli girlandy i lśniące sztandary... jedyne, co tak naprawdę zapamiętał z dnia ślubu. Racja, pamiętał jeszcze miły i niezwykle widok markotnych baronów, dzielnie usiłujących zachować uśmiech w czasie ceremonii. Wspominał też równie niezwykle widok Sulriggana, diuka Llymarynu, kuzyna patriarchy quinaltynów, promiennego i zadowolonego z powrotu ze zsyłki, co było kosztem uzyskania aprobaty patriarchy.

Nawet teraz oblicze Sulriggana jaśniało radością. Wodząc wzrokiem po twarzach obecnych na sali baronów, dostrzegał zawsze te same źródła niezadowolenia oraz posępne miny u tych, którym przy najbliższej okazji pragnął odpłacić pięknym za nadobne... mając na uwadze wymogi polityki, a nie tylko zaspokojenie własnej żądzy odwetu. Baronowie mieli wybór: albo się dostosować, albo, na bogów, ustąpić miejsca tym, którzy okażą posłuszeństwo.

Jeden z elementów jego zemsty miał zostać wprowadzony w czyn jeszcze tego wieczoru, Cefwyn siedział więc uśmiechnięty nad przeklętym kamieniem, napawając się tą myślą, szczerze rozradowany. Wszelkie spiski zmierzające do obalenia nowego władcy były z góry skazane na niepowodzenie, skoro posiadał pewien demaskujący

list i mógł liczyć na lojalność takich ludzi jak Tristen z Amefel, Cevulirn z Ivanoru czy pozostali baronowie z południa. Nawet neutralne ziemie nabrały ducha po stanowczej kampanii sił południa pod koniec lata i mogły dojść do przekonania, że ich sprawy będą bezpieczniejsze w rękach silnego monarchy niż w rękach zgrai samolubnych baronów z północy.

Niejakie oparcie miał ponadto w patriarsze i lordzie Sulrigganie, najmniej spodziewanych sojusznikach... stosownie przekupionych i niegroźnych, póki trzymali się postanowień umowy, czasem może nadużywając nieco jego cierpliwości. Obie strony poznawały jednak granice własnych uprawnień.

Sulrigger nadskakiwał Efanorowi, ponownie zabiegając o jego przyjaźń, jednak bezskutecznie. Efanor, raz zdradzony, nie słuchał żadnych wyjaśnień. Chociaż w zgiełku walki Sulrigger mógł służyć marnym wsparciem, to jednak wśród dworskich waśni człowiek ten okazywał wiele zręczności i sprytu, a jego słusznych rozmiarów nos z wielką precyzją wietrzył woń wszelkich nadciągających zmian. Tchórzostwo Sulriggera w obliczu bitwy było dowodem daleko idącej ostrożności, jaką okazywał, kiedy zachodziła obawa, że ucierpią jego interesy.

Umiejący w każdych okolicznościach zająć neutralne stanowisko lord Llymaryn pogodził się z faktem, że hulaszczy księżę nie zasiada na tronie jako bezwolny i tolerancyjny monarcha, albowiem Cefwyn nie wykazywał właściwej swemu ojcu skłonności do podpisywania, czasem bez czytania, każdego dokumentu, który składano mu na biurku.

Ów księżę, teraz już król, nie znosił, co również odkrył Sulrigger, szastania pieniędzmi, na przykład na zbyt wykwintne stroje, kiedy wojna uszczuplała skarbiec, a lordowie byli zobligowani do wyekwipowania i uzbrojenia swoich części armii.

Mając to na względzie, Sulrigger, zmora jego pobytu w Amefel, lord, który go śmiertelnie znieważył, przyoblekł się tego dnia w skromne szaty, uwiesiwszy na szyi z ostentacyjną pobożnością quinaltyński wisior... najwidoczniej po to, by wszystkim przypomnieć, kto jest jego kuzynem.

Uczta weselna była czasem wybaczenia i zapomnienia. Z dworzan nie tylko Sulrigger odzyskiwał dzisiaj utracone względy. Na ten wieczór król planował dać kolejny dowód swej łaskawości, a zarazem odpłacić komuś za dawne przewinienia.

Otóż Prichwarrin, lord Murandys, również przyszedł na ucztę, a to przecież jego siostrzenica, Luriel, stanowiła ów drugi przedmiot królewskiej łaski. Luriel rzeczywiście przybyła tego wieczoru na dwór do Guelemary, zgodnie z zaleceniem swego pana. Cefwyn był pewien, że pokonałaby zasy pył śnieżny na bosaka, żeby tylko skorzystać z zaproszenia, podobnie jak lord Murandys przemierzyłby na bosaka piekło, byle temu zapobiec.

Dudziarze wygrywali skoczną melodię. Cefwyn ujął dłoń swej wybranki i spojrzał jej w oczy, szare ze złudnym odcieniem fiołków, w których odbijał się blask świec. Czegóż więcej prócz takiego spojrzenia potrzeba do szczęścia mężczyźnie i czego król mógłby się obawiać ze strony niegdysiejszej kochanki, widząc oznaki tak szczerzej i niezłomnej miłości? Jeśli istniało coś więcej niż miłość, czego mężczyzna śmiałyby oczekiwać po swojej wybrance, Cefwyn miał to wszystko u Ninevrise, toteż myśl o tych, którzy ją obrazili, dręczyła go niekiedy w czasie zabawy.

Nie królowa, a jedynie królewska małżonka... Quinaltyni i baronowie odmówili jej najwyższego tytułu, lecz w końcu wyrazili zgodę na przedrostek "królewska", uznając różnicę między córkami zamożnych mieszczan a władczynią rządzącą własnym krajem. Nie była wszakże królową, lordowie mieli więc powody do zadowolenia. Doszło jednakże do istotnego precedensu, który bardzo ucieszył Cefwyna, jako że Ninevrise, z braku rzetelnych quinaltyńskich odniesień, nie miała żadnego dowodu na swoje królewskie pochodzenie... Zaiste śmieszna przeszkoda. Jako potomkini domu Syrillasów wywodziła się z rodu prawdopodobnie starszego niż jego własna linia... Z rodu starszego, obdarzonego czarnoksięskim darem i bogowie wiedzą czym jeszcze, czego ortodoksyjni quinaltyni woleliby nie poznawać ani nie ujawniać, że już to znają. Jednak ród Syrillasów nie był wzmiankowany w quinaltyńskich dokumentach, a zatem nie był też "królewski", dopóki kapłani tego nie zapisali i nie zatwierdzili pieczęcią. Uwiecznienie owego faktu w kronikach zapobiegało wszelkim przyszłym kontrowersjom.

Tak więc Ninevrise miała zagwarantowaną godność bez względu na to, jakie pretensje mogli jeszcze wysunąć naburmuszeni baronowie. Bezpieczną niczym świętość quinaltyńskiego patriarchy, choć ta bywała wystawiana na sprzedaż. Otóż to. Sulrigger, uradowany otrzymanym ułaskawieniem, przypuszczałnie w tej właśnie chwili sposobił się, by podejść do tronu i wyrazić swoją wdzięczność.

Straszny byłby to widok, którego wolał uniknąć, wobec czego powstał, uprzedzając owo drapieżne nadejście. Pomógł wstać królewskiej małżonce i rozkazał muzykantom przygrywać do romantycznej paselli. Gdy razem z Ninevrise zstąpił z podwyższenia, dworzanie, strojni w klejnoty rodowe i wytworne szaty, niespiesznie i z gracją przerwali tany i znieruchomieli.

Muzycy żywo zagrali do zawilego dworskiego tańca. Pozostałe pary rozsunęły się z pokłonem na boki.

Ninevrise tańczyła z wdziękiem i radosną pewnością siebie; także Cefwyn uważał się za niezgorszego tancerza. Klejnoty posagowe, mieniające się w blasku świec, nie dorównywały pięknem błyskom zadowolenia w jej oczach, gdy wirowali dłoń w dłoni, ramię przy ramieniu, od siebie i do siebie na oczach publiki, jawnie szydząc ze wszystkich spiskowców, którzy usiłowali nie dopuścić do tej uroczystości. Pojedyncza halka, swego czasu przedmiot dworskiego skandalu, szokowała i teraz,

przy świadomym współdziałaniu króla. Ninevrise skupiała na sobie całą uwagę, była tematem plotek i dociekań... Co zrobi? Co powie? – oto jakie pytania przebiegały po sali, zagłuszone muzyką.

Kiedy taniec dobiegł końca, Cefwyn zatrzymał się jeszcze, by zamknąć usta swej wybranki ostentacyjnym i nader namiętym pocałunkiem, który wzbudził najpierw pomruk konsternacji tłumu, a potem śmiech i owacje licznie zgromadzonej młodzieży. Śmiech tego typu był ich przyjacielem, jeśli mogli stawić mu czoło bez wypieków na twarzy. I nie tylko niespecjalnie pobożna młodzież o dzikiej naturze, ale też małżonki zamożnych mieszczan wykazywały największe poparcie dla królewskich praw Ninevrise – one oraz prowincjonalni lordowie i ich nisko urodzone damy, przeważnie starsze kobiety, które dzięki małżeństwu weszły do wyższego stanu w czasach, kiedy obyczaje były mniej surowe niż w tej epoce doktrynerskich nakazów. Wiele par z neutralnych prowincji, rozumiejących znaczenie miłosnego pocałunku po ślubie, oklaskami wyrażało swą aprobatę. Niejeden wiedział, co zrobili baronowie z pomocy, aby zapobiec temu małżeństwu. Rzecz jasna, aplauz tych baronów był spóźniony, niemrawy i krótki.

–Oto i moja małżonka – obwieścił Cefwyn hardo przed zgromadzonym dworem, wysuwając wprzód dłoń splecioną z dłonią Ninevrise. – Oto moja małżonka, jakże mi droga – rzekł, gdy po raz drugi wstąpili na podwyższenie, a on odwrócił głowę w stronę sali. – Moja małżonka, której żołnierze walczyli z nami ramię w ramię nad Lewenbrookiem. – Nie całkiem tak było, albowiem garstka jej ludzi wyginęła jeszcze przed walną bitwą. Tymi słowami nadał jednak pożądaną bieg swego przemówienia. – Oto nasza sąsiadka, owa prawa i pobożna dama o niespożytych siłach, jedyna spadkobierczyni rodu Syrillasów, złączonego miłością i przyjaźnią z linią Marhanenów. Pokój i kres wojnom, które trapiły nas z dawien dawna; pokój na pograniczu, iskra nadziei dla naszych potomków, sprawiedliwość dla cnotliwych i nagroda dla pobożnych... – Ostatnie słowa wygłosił z myślą o quinaltynach. – Bogowie, błogosławcie Ylesuinowi!

–Bogowie, błogosławcie królowi! – rozbrzmiała w odpowiedzi przepisowa formuła. Zrazu wydobyta z jednego gardła, przeszła następnie w ogólny pomruk, który mógł zagłuszyć każdą mniej entuzjastyczną wypowiedź ze strony, przykładowo, Murandysa.

A ot, przy filarze, ledwie widoczny w swoich czarnych szatach, stał kapłan Ninevrise... Święci bogowie – z kielichem w ręku! Umiał zadbać w czasie uczty o pełen pucharek. Ojciec Benwyn był bryaltynem, owym kapłanem, któremu powierzono troskliwą pieczę nad Jej Miłością w sprawach ducha. Oraz męskim duchownym, co się bardzo liczyło. Wyznawał wiarę przynajmniej poświadczoną w quinaltyńskich księgach. To zupełnie wystarczało patriarsze, oszczędzało mu potrzeby zatwierdzania dopuszczalności kapłańskiej posługi wśród kobiet i naginania i tak już pogwałconych zasad. "Znajdźcie mi bryaltyna – rzekł Cefwyn w nerwowym

pośpiechu jednego z ostatnich wieczorów przed planowanym ślubem – żebyśmy wreszcie mogli podpisać to cholerne porozumienie".

Tyle że, na bogów, pomyślał teraz Cefwyn, mogli mi chyba znaleźć kogoś trzeźwego?

Bogowie pobłogosławili królowi, to prawda. Przypuszczalnie drugiego takiego kapłana nie było na całym dworze, a może nawet po tej stronie Assurnbrooku. Miał szczęście, że znalazł choć tego jednego. Bryaltynom nie służyło gueleńskie otoczenie, toteż nie spodziewali się tutaj wielu nawróconych.

Skinął lekko na pazia, nachylił się i szepnął:

–Każ gwardzistom odprowadzić ojca Benwyna do jego komnaty. I zanieś mu tam dzban wina.

To powinno sprowadzić nań kamienny sen i skutecznie zatrzymać go do rana w sypialni.

A także przetrzeć ścieżkę dla drugiego najbardziej osamotnionego człowieka na dworze. Prichwarrin przystanął przy kolumnie, gdzie nikt nie zamierzał podchodzić, by zamienić z nim bodaj słówko.

Król i królewska małżonka odtńczyli swój taniec. Zorganizowali ten bankiet w hołdzie tradycji. Oznajmiali tym samym, że ich związek trwa już siedem dni i został skonsumowany. Prezentacja szczęśliwej pary należała do gueleńskich obyczajów, praktykowanych zarówno w pałacach, jak i wśród gminu, w trakcie mniej lub bardziej burzliwych pijackich hulank. Stąd również gorący aplauz prowincjonalnej arystokracji, znającej wszelkie, nawet wyuzdane, zwyczaje. Romantyczni dworzanie (żaden z nich, niestety, nie piastował godności diuka) przybyli, by roztkliwiać się nad szczęściem nowożeńców, opoje pokroju ojca Benwyna nadciągnęli z myślą o jadłe i trunkach, a młodzież zamierzała się wytańczyć i pochwalić wytwornymi strojami. Wielmożni diukowie, którzy przetrwali królewskie narzeczeństwo bez osłabienia swoich wpływów, zebrali się po to, ażeby podyskutować skrycie nad losem Prichwarrina.

Coś się bowiem musiało stać. Król spłacił wiele swoich długów, ale nie ten, o którym szeptano przy dźwiękach muzyki i rozprawiano, zasłaniając ostrożnie usta. Na ucztę przybyła pewna dama, prawdopodobnie miała świętować wraz z resztą, lecz dotąd nie pojawiła się na sali... A więc teraz lub niebawem miała nadejść chwila wyrównania rachunków. Cały dwór wiedział, że król wezwał do stolicy swą dawną, niesławną kochankę. Podczas tej wystawnej uroczystości miało się odbyć jej spotkanie z królewską małżonką, na co ostrzyli już sobie zęby plotkarze i łowcy skandalów.

Pozwalało to niektórym mieć słabą nadzieję – świadczyły o tym zimne, twarde spojrzenia pierwszych dam królestwa – że Ninevrise z Elwynoru poczuje się obrażona.

Tymczasem uśmiechnięta Ninevrise rozmawiała z paziem, który podawał jej wodę w kryształowej misce. Dudziarze i harfiści, zgodnie z obyczajem, natychmiast zagrali do tańca, w którym każdy mógł wziąć udział. Na sali nastąpiło żywe poruszenie, błyszcząły klejnoty i mieniły się tęczo wykwintne kreacje, kiedy pary stawały w rzędach, patrząc z ukosa w stronę podwyższenia, aby niczego nie przegapić.

Wśród lśniących, migotliwych brokatów i aksamitów Cefwyn z chmurnym czołem wyłowił spojrzenie Prichwarrina i tym razem przywołał go gestem, okazując pełnię władzy koronowanego, żonatego i wciąż zagniewanego monarchy. Drugi pod względem wpływów baron z północy obrzucił króla spłoszonym spojrzeniem, jakby w rozterce, czy to właśnie jego wzywają, po czym ruszył chyłkiem spod filara, mijając tańczące pary, zapewne z nadzieją, że nikt go nie zauważy.

Damy i panowie stojący na obrzeżach sali wysłedzili jednak ów ruch, a ich drapieżne spojrzenia przyciągały uwagę innych. W zapadającej raptownie ciszy odwracały się głowy. Tańczący wyciągali szyje i umiejętnie manewrowali, byle jak najwięcej dojrzeć, potem zwalniali i oto porządek skomplikowanego tańca został zakłócony. Dudy, które ledwo co zaczęły przygrywać, zamilkły jęklonie.

Prichwarrinowi nie w smak była ta cisza i powszechne zainteresowanie. Lord Murandys wolałby raczej ugrząźć w zaspie śnieżnej gdzieś pod Sassury, niż stać przed monarchą, skupiając na sobie uwagę wszystkich zebranych na sali.

Cefwyn wyciągnął rękę ponad oparcie tronu i ujął, publicznie i z rozmysłem, dłoń swej elwynimskiej małżonki, podczas gdy Prichwarrin stanął u stóp podwyższenia – niżej w stosunku do króla niż zwykle, a to ze względu na kamień, którego ustawienie przeforsował jego sojusznik, Ryssand. Miał minę, jakby ugrzęzło mu w gardle coś, o czym z góry wiedział, że będzie niestrawne... a może wręcz trujące.

–Lordzie Murandysie.

–Najjaśniejszy panie – odparł Prichwarrin. Nadto, z poczuciem wyobcowania, wielce skonsternowany i zatrwożony, dorzucił w stronę Ninevrise: – Wasza Miłość. – Omal się nie zakrztusił.

–Lordzie Prichwarrinie – rzekł Cefwyn, nie puszczając dłoni żony. – Czekamy na twoją śliczną siostrzenicę. Dano nam do zrozumienia, że przybyła już do naszego grodu. Czy jest na zamku?

–Tak, najjaśniejszy panie.

–Cóż za rozterka wciąż ją zatrzymuje?

Cały ten pokaz miał odzwierciedlić wzajemny układ sił między Cefwynem a Prichwarrinem. Król, Ninevrise i wszyscy obecni na sali dobrze wiedzieli, że Luriel przyjechała na dwór i dlaczego to zrobiła. Jeszcze przed ucztą komendant gwardii, ów czarny kruk, Idrys, doniósł królowi, że dama oczekuje na wezwanie w przyległej komnacie, chociaż pyszni lordowie z północy i ich damy zachowywali się, jakby naprawdę wierzyli, iż król i jego małżonka nie zdają sobie sprawy z jej obecności.

Cefwyn w każdej chwili mógł oczywiście udać, że tak jest w istocie, pogłębiając tym damę i stawiając Prichwarrina w jeszcze trudniejszej sytuacji, w której musiałby albo wystąpić jawnie przeciwko monarsze, albo narazić się na głośny skandal.

Przysłuchujący się wszystkiemu dworzanie mogli domniemywać, że o to właśnie chodzi i że wkrótce będą świadkami czyjegoś upadku... Może zemsty Jej Miłości na rywalce.

Luriel udała się w podróż do Guelemary wiedzona nadzieją i wyniosłą dumą, wykazując sporo odwagi, albowiem nie otrzymała od króla żadnego zapewnienia, jak zostanie przyjęta na dworze. Nie wiedziała, czy przyjdzie jej doświadczyć okrutnego, publicznego upokorzenia, czy może – jak szeptano tu i ówdzie – odzyska dawną pozycję na dworze, w sąsiedztwie królewskiej sypialni, ku oczywistemu niezadowoleniu Ninevrise. Wydawało się, że niektóre kobiety i niektórzy mężczyźni są nawet tego pewni, taka już była ich natura. Podobne przypuszczenia mogły mieć swoje uzasadnienie. Oprócz cudzoziemskiej małżonki król utrzymywałby metresę, Guelenkę z północy, aby zapewnić sobie poparcie Murandysa... Jeśli mu na nim zależało lub nie kochał

zbytnio Elwynimki.

Cefwyn wiedział, że Murandysa ciągle trapiły wątpliwości co do intencji władcy, i cieszył się każdą upływającą chwilą, rekompensującą mu szkody powstałe w wyniku upartych starań Murandysa, który pragnął nie dopuścić do zalegalizowania małżeństwa. Owe starania nie ograniczyły się do rzucania oszczerstw, dlatego tej zimy lord Ryssand opłakiwał w domu śmierć jedyne go syna. Mimo że Murandys uszedł z życiem z opresji, a zemsta nie została dokonana, to jednak lord szybko się zorientował, że król, podobnie jak jego dziadek, zauważał i zapamiętywał. Choć potrafił też nagle zapomnieć, co to wyrozumiałość.

– Mam ją przyprowadzić? – zapytał Prichwarrin słabym głosem, ale nie dość głośno, aby zadowolić wszystkich, którzy gorliwie nadstawiali ucha. Cefwyn przekrzywił głowę, udając, że sam nie dosłyszał, wobec czego Prichwarrin musiał odchrząknąć i dodać: – Przyjęła z wdzięcznością łaskawe zaproszenie Waszej Królewskiej Mości.

No proszę, i znów wyzywająca nuta. Zaprawdę, Murandys od czasu do czasu zwykł zionąć jadem... Nie jakąś bitewną zapalczywością, a raczej podłą odwagą skrytobójcy.

Luriel, jego siostrzenica, okazywała oba rodzaje odwagi.

– Zaproszenie? – Cefwyn udał zdziwionego, wypowiadając tę złośliwą uwagę. Uczynił to na tyle głośno, iż stała się od razu przedmiotem plotek. Nie zamierzał dawać okazji do złożenia wyjaśnień lordowi, który postąpił jak głupiec, rzucając mu wyzwanie tutaj i w tych okolicznościach. Prichwarrin nie należał

do najtęższych mózgów na dworze i zapewne doskwierał mu brak mądrzejszego Ryssanda. – Racz więc przyprowadzić swoją siostrzenicę. Zobaczymy ją nareszcie.

– Tak, najjaśniejszy panie – odrzekł Prichwarrin ze ściągniętym obliczem, po czym odwrócił się i niczym puszczony przez praszczęta* – [*Puścić przez praszczęta – (dawn.) skazać winowajcę na przebiegnięcie między dwoma szeregami uzbrojonych w różgi żołnierzy.] – ruszył między zgromadzonymi w stronę drzwi.

Gdy się otworzyły, każdy z dworzan wbijał wzrok w wychodzącego barona. Ten jednak szybko powrócił. Nie eskortował siostrzenicy, wręcz odsuwał się na bok, jakby wpuszczał na salę zarazę.

Do tej pory Luriel musiała chyba czekać szczelnie owinięta płaszczem, albowiem teraz na jej widok rozbrzmiały powściągliwe pomruki. Dama nie przybyła w skromnym, pokutnym przyodziewku, lecz ozdobiona klejnotami, w sukni w kolorze cegły, błyszczącej w przyćmionym blasku świateł. Jasne włosy zaplotła w warkocze i spięła złotymi spinkami, a jej płaszcz obszyty był lisem i haftowany złotogłowiem.

Pod futrem z lisa serce lisicy, pomyślał Cefwyn, przywodząc przed oczy obraz owych cudownych włosów rozsypanych na poduszce i owego jedwabistego, jakże jędrnego ciała. Któryż mężczyzna nie wspominałby tamtych nocy, nawet mężczyzna wierny i związany przysięgą? Luriel odsłoniła swą suknię niby błyszczącą chorągiew. Wszystkie oczy baczenie śledziły każdy jej krok prowadzący – zdawałoby się – ku zagładzie. Mijała bogobojne quinaltyńskie kobiety, które wolałyby raczej umrzeć,

niż stracić cnotę, której ona dobrowolnie wyzbyła się w łóżu Marhanena. Mijała także szacownych, pobożnych mężczyzn, pragnących teraz zdobyć ją dla siebie. Była niczym wcielenie bitewnego okrzyku, kiedy podchodziła do stopni podwyższenia. Z bladym, ściągniętym obliczem pochyliła głowę i zgięła się w głębokim, pokornym ukłonie; tylko król mógł wybawić ją z tej pozycji, wybacząc albo skazując.

–Powstań, lady Luriel – rzekł Cefwyn. – Wielka to przyjemność znów cię zobaczyć. Witam serdecznie na dworze.

–Miłościwy panie – powiedziała, prostując się i unosząc wzrok z gorącym rumieńcem na policzkach. Nie był jeszcze królem, kiedy widzieli się po raz ostatni, kiedy opuszczała Henas'amef wielce naburmuszona, wracając do domu tylko dlatego, że nie zamierzał spędzać ostatniej zimy na ucztach i trwonić zasobów amefińskiego skarbcza na jej stroje. Nienawidziła prowincjuszy z Amefel, uważała ich za heretyków. Nie cierpiała też wiejskich manier i ciemnowłosych amefińskich arystokratów, nazywając ich, chociaż wywodzili się ze starych rodów, szlachtą zagrodową.

Luriel przeniosła wzrok na królową Elwynoru, kraju zamieszkanego przez bliskich krewniaków Amefińczyków – na czarnowłosą, szarooką kobietę, mogącą śmiało rywalizować z nią pod względem urody i mającą pełne prawo pogardzać dawną kochanką męża; kobietę zasiadającą teraz tam, gdzie ona sama miała kiedyś nadzieję zasiąść jako koronowana władczyni.

Jakież gorzkie i złowróżbne myśli snuły się Luriel po głowie? Z zamiarem jakiego zadośćuczynienia pisała listy z prośbami o zezwolenie na powrót do stolicy, jakkolwiek rozkaz wuja uwięził ją w rodowym zamku za jej niesławny występki?

Knując nieczne spiski, mające zapobiec małżeństwu króla z Ninevrise', Prichwarrin nie brał bynajmniej pod uwagę utraconej czci Luriel, i nie bez powodu. Luriel już od dzieciństwa żywiła nienawiść wobec wuja i wykorzystaby każdą sposobność, żeby go pogrążyć. Nikogo teraz nie obchodziło, co pomyśli Murandys o swojej siostrzenicy, bo póki co, władza spoczywała w innych rękach. Twarz Cefwyna przybrała pogodny, dobroduszny wyraz, kiedy jego małżonka i poprzednia kochanka po raz pierwszy skrzyżowały spojrzenia.

–Pani – rzekła Ninevrise, po czym, dając dowód mądrości i doskonałych manier, wyciągnęła nawet dłoń, każąc Luriel się zbliżyć. Powstała ze swego tronu, gdy Luriel wspinała się po stopniach niczym skazana w drodze na szubienicę. Na wielkiej sali zamarły nagle oddechy, kiedy Ninevrise pochwyciła Luriel za rękę, powstrzymując ją od drugiego, pełnego żenady ukłonu.

Po sali przetoczył się pomruk zdumienia, bo oto Ninevrise pochyliła się i pocałowała w oba policzki Luriel z Murandysu.

Jak dotąd nikomu nie udało się zbić Luriel z tropu, co przez całe życie dręczyło jej słabego ojca i bezradną matkę, nieraz zachodziło też za skórę jej wujowi. Tym razem jednak, stojąc oko w oko z Ninevrise, nie potrafiła wykrztusić z siebie żadnego słowa prócz cichego: – Wasza Miłość. – Na sali ciągle panowała grobowa cisza.

–Jesteś zaiste śliczna – powiedziała Ninevrise. – Rada bym cię widzieć wśród dworek z mojego fraucymeru. Powiem więcej, to rozkaz.

–Wasza Miłość – powtórzyła Luriel, oblana rumieńcem; zapewne

rumieńcem konsternacji i strachu przed kobietą zawiścią. Odprawiona w ten sposób, podkasała spódnicę i spłynęła w dół po schodkach, ucieszona, iż najwyższa zwierzchność zaprosiła ją publicznie do ścisłego kręgu dworek, kobiet, które w innych okolicznościach wyгнаłyby ją ze swego grona za pogwałcenie zasad. Chociaż, przewrotnie, przemilczałyby dyskretnie jej przewinienia, gdyby została faworytą króla i cieszyła się jego względami. Wszelako z braku jednoznacznego poparcia monarchy nie mogłaby liczyć na przyjęcie do owego grona bez wyraźnego zaproszenia królewskiej małżonki lub bez patronatu któregoś z mężczyzn. Pokrewieństwo z Murandysem nie wystarczało kobiecie okrytej tak wielką hańbą. Musiałaby wyrobić sobie jakieś koneksje bądź nawiązać z kimś romans, prawdopodobnie sekretny, zapewne z osobą niższego urodzenia, ażeby wdrzeć się do tego kobiecego towarzystwa pod ochroną cudzego immunitetu.

A tu proszę, akceptacja i szacunek zostały jej przyznane bez walki, jakby miała do nich prawo, w dodatku z ręki nieprzyjaciela. Luriel straciła kontenans i zarazem zadłużyła się u małżonki króla. Kiedy odchodziła, być może – Cefwyn łudził się taką nadzieją – jej twarde serduszko zabiło nawet z wdzięcznością... A przynajmniej wdzięcznością wyważoną, przemyślaną i zmieszaną ze strachem, albowiem Luriel w kwestiach swojego bezpieczeństwa nie była głupia.

Awans niewątpliwie odsłaniał przed nią nęcące perspektywy, odmienne od wizji nawiedzających ją zapewne w czasie pisania listów, w których błagała króla o ratunek. Nie mogła ich zlekceważyć bez względu na to, czy powodowała nią wdzięczność, czy też obawy, chyba że jej intrygi wykraczały poza

sztuczki, które on wcześniej miał okazję zgłębić.

Wzywając ją na dwór, nie wzywał jej bynajmniej do swojego łoża... co to, to nie. Odkąd zostali kochankami, wiedział, że najgłębiej i najgoręcej pragnęła zasiąść na tronie, a tylko lustro widywało miłość w jej błękitnych oczach. O nie, nikt nie śmiał zaczepiać opancerzonego serca Luriel, żaden zalotnik go nigdy nie zadrasnął, o czym najdobitniej przekonał się jej dawny kochanek. Należało tylko żałować, iż nie potrafiła pożądać władzy z pożytecznych i rozsądnych pobudek, dla samych możliwości, jakie ona udostępnia – kierowania wojskami, zakładania miast, pozostawiania spuścizny następnym pokoleniom... Niestety! Wszelkie przymioty swego intelektu zużywała w pościgu za ułudą władzy: klejnotami, muzyką, bankietami. W tym względzie wrodziła się w matkę.

Tymczasem uczynek Ninevrise dawał lady Luriel widoki na dostatek luksusów. Otwierał przed nią całą sferę nowych możliwości. Znow mogła liczyć na poważanie, aprobatę, stroje, muzykę, bale, zainteresowanie przystojnych mężczyzn – na wszystkie te rzeczy, które stanowiły esencję jej życia... Na spełnienie wszystkich tych ambicji, które czyniły ją śmiertelnie nudną po wschodzie słońca.

Jakoż oczy męskiej arystokracji już pały ciekawością; oczy małżonków i kawalerów, nieszczęsnych, zaślepionych głupców. Luriel zaś, oddalając się od króla, dokładała wszelkich starań, aby uwydatnić swój wdzięk i bogactwo, niczym wąż po zrzuceniu starej skóry wraz ze śladem dawnej niesławy. Błyszczała. Prichwarrin, jej wuj, zerwał się, żeby ją odprowadzić, chciał bowiem zaznaczyć, że to właśnie on sprawuje pieczę nad lady Luriel i zarządza jej fortuną. Doznawszy uszczerbku wskutek

czynu tyleż śmiałego, co nierozważnego, Luriel jaśniała teraz świeżym blaskiem. Lord Murandys ponownie wszedł w posiadanie cennej ruchomości. Przy założeniu, że zdoła z lepszym skutkiem upilnować siostrzenicę.

Zanim jednak lord Murandys pochwycił jej dłoń, ubiegł go nie kto inny, tylko Rusyn, drugi syn Panysa, oferując swoje ramię.

Nie było mowy o przypadku. Młody Panys wyraził zgodę, kiedy zaoferowano mu królewskie błogosławieństwo na zręczne i skuteczne zaloty. Cefwyn nie spodziewał się wszakże po młodzieńcu takiej żywiołowości. Jednym szarmanckim gestem, publicznie i sprawnie, przywłaszczył sobie nagrodę, której wielu zaraz mu pozazdrościło.

I chociaż Panys nie zacieśniał nigdy więzów przyjaźni z mieszkańcami ziem leżących na północ od Guelessaru, młody Rusyn szybko wdał się w uprzejmą pogawędkę z Prichwarrinem i jego podopieczną, składając z werwą i determinacją wyrazy uszanowania poprzedniej faworycie króla.

Ożeń się z nią, doradzał mu Cefwyn na osobności. Ożeń się z nią, sypiaj z nią i uniemożliwiaj wywoływanie dalszych skandalów, a możesz być pewien, że wniesie ci w posagu bogate majątkości. Zamężna i ukontentowana Luriel, zapewniał ojca Rusyna, będzie darzona królewską łaską... A syn Panysa zostanie uprawniony do dziedziczenia tytułów i rozległych ziem Murandysu.

–Dobra robota – szepnął w stronę Ninevrise wśród ogólnego rozgwaru. Muzykanci zagrali z wahaniem, jakby niepewni, czy rzeczywiście otrzymali sygnał od króla. Cefwyn skinął im

ponownie i dodał: – Kocham cię.

–Zali to w istocie młodszy syn Panysa? – zapytała Ninevrise.

–Owszem, nikt inny. Ma na imię Rusyn. Lubi się uczyć i świetnie jeździ konno.

Co takiego widział niegdyś w Luriel? Odnosił wrażenie, iż zeszłego roku miał o dziesięć lat mniej, był butnym głupcem, zatwardziałym w swym przewrotnym błazeństwie: buncie wobec ojca. A mimo to zdołał uniknąć małżeństwa z siostrzenicą Murandysa. Fakt ten dobrze świadczył o jego pomyślunku. Obnażył też zdradę Heryna Aswydda.

Wbrew przeciwnościom losu dożył chwili, gdy mógł objąć tron... ku wielkiemu rozczarowaniu baronów żywiących nadzieję na rządy delikatnego, marionetkowego Efanora, żarliwego wyznawcy quinaltu.

Tego samego roku sypiał zarówno z Luriel z Murandysu, jak i z bliźniaczymi siostrami Heryna Aswydda... a także spędzał noce z prawdziwie ukochaną kobietą, której imienia ani wizerunku nie umiał zestawić w myślach z nikczemną trójką.

Muzykanci grali z werwą ludową melodię, a syn lorda Panysa podrygiwał z Luriel w szalonych płasach pośród roztańczonej, zadyszanej młodzieży.

Osamotniony i zaperzony Murandys przystanął pod swoim filarem, skąd rzucał chmurne spojrzenia.

Rozdział czwarty

Przygotowująca kolację służba przyniosła proste, szklane kielichy... nie z zastawy lady Orien, rzecz jasna, aczkolwiek jej smoki dźwigały blat stołu i niestrudzenie popatrywały spod sufitu w książęcym apartamencie niczym spiżowi, niemi słuchacze, przypominający każdemu, kto ją znał, kobietę wrogo nastawioną do Cefwyna Marhanena... oraz do Mauryła. Zanim zgodził się zamieszkać w tej komnacie, Tristen zamówił nowe kielichy, nowy serwis, kazał wymienić zapasy w spiżarniach na żywność pochodzącą ze sprawdzonych źródeł. Proste naczynia doskonale spełniłyby swoją rolę, Tassand pojawił się jednak z solidnymi cynowymi talerzami oraz zielonymi szklanicami. Tłumaczył, iż takie bardziej pasują do stołu jadalnego diuka.

Wystrój wnętrza nie uległ wszakże zmianie. Masywne, kosztowne i będące częścią książęcego bogactwa sprzęty stanowiły, co Tristen stwierdzał ze smutkiem, dumę Amefel. Wolałby wymienić meble, draperie i zielone aksamity, usunąć zieleń i złoto Aswyddów, a wprowadzić stosowny amefiński szkarłat.

Jednak, jak powiedział Uwenowi i Crissandowi, jego najistotniejsze zadania nie były związane z kolorami draperii. Armia robotników uwijała się już przy naprawie rozległych szkód wyrządzonych w trakcie obejmowania przezeń urzędu, więc obecność paru smoków i zielonych tkanin wydawała się znośna i niegroźna, choć było mu ciężko na duszy. Udawał przed samym sobą, że smoki należą do niego, z uporem doszukiwał się swoistego piękna w obrysie ciał rozjuszonych, okrytych łuskami bestii. Wmawiał sobie, iż zieleń nie tylko znamionuje Aswyddów, ale jest też kolorem wzgórz i lasów.

Szykował się teraz na przyjęcie gościa. Niby ze względu na

zmęczenie lorda Ivanora wolał zaprosić Cevulirna tutaj, w towarzystwo smoków, aniżeli do wielkiej sali, ale tak naprawdę zależało mu na prywatnej rozmowie bez świadków. W tym czasie nie sprawdzone pogłoski krążyły po mieście i obiegały bogate rezydencje. Każdego zżerała ciekawość, jakież to straszne okoliczności zmusiły barona z Ivanoru do opuszczenia Guelessaru. Amefińscy earlowie (a teraz już wszyscy w Henas'amef) wiedzieli o jednej rzeczy: Cevulirn pozostawał w Guelemarze jako jedyny spośród lordów z południa, aby strzec interesów południowych prowincji. I raptem przyjeżdża tutaj, by rozmówić się z nowym rządcą Amefel.

Pilna wiadomość od króla? Rozbrat między królem a południem?

Czyżby Elwynimi zamierzali przeprowdzić się zbrojnie przez rzekę? Czyżby powoływali się na, ciągle w ich mniemaniu obowiązującą, umowę gwarantującą im wpływ w Amefel? Mieszkańcy grodu zdążyli się dowiedzieć, iż plan Edwylla uwzględniał wejście do prowincji sił rebelianckich zza rzeki. A może wojska z Elwynoru wtargnęły już w granice Amefel, diuk Ivanoru zaś przybywał w charakterze zwiastuna zimowej wojny?

Uwen zaznajomił go z tego typu nowinkami zaraz po obchodzie dziedzica stajennego i kuchni. Uwen miał dar wyłapywania plotek – zdawać by się mogło – z powietrza. Nie dość na tym, był prostym człowiekiem, który lubił rozmawiać z prostymi, acz dobrze poinformowanymi ludźmi i dowiadywać się od nich prawdy.

–Żołnierzom nie wolno rozpuszczać plotek – upomniał go Tristen, ledwie wrócili na zamek, ale równie dobrze można by zakazywać gołębiom latania lub kalania stopni quinaltyńskiej

świątyni. Żołnierze nie rozumieli takich zakazów lub po prostu nie umieli się powstrzymać.

Tristen nabrał więc przekonania, że w ciągu mniej więcej godziny żołnierze wygadają się ze wszystkiego, co widzieli, gawędząc w barakach i kuchniach z osobami godnymi – jakżeby inaczej – bezwzględного zaufania. A stamtąd plotki dotrą do karczm, i dalej, za pośrednictwem czeladzi, do uszu arystokracji, która niechybnie postawi następne pytania.

Earlowie będą musieli, przynajmniej do jutra, zadowolić się tym, co usłyszą od Crissanda. Cevulirn pozostawał do jego wyłącznej dyspozycji. Jedynie Emuina zaprosił jeszcze na naradę, co samo w sobie było niecodziennym zdarzeniem. Tristen pragnął zamienić z Emuinem słówko na osobności także w innych, acz pokrewnych kwestiach.

Jednak czarodziej nie pojawił się na razie ani w szarej przestrzeni, ani też pod drzwiami książęcych apartamentów. Gdy tylko Tristen znalazł się poza zaporami i w pobliżu Emuina, zaraz niczym z katapuły wystrzelił w szarość wezwanie dla Leciwej Syes. A potem wysłał w przestrzeń wszystko, co od niej usłyszał, z nadzieją, że samo jej imię wywabi Emuina z wieży.

Spotkało go jednak kolejne rozczarowanie. Ale dla Cevulirna Emuin powinien przyjść.

Za drzwiami nastąpiło ciche poruszenie. Przybył Cevulirn, nakazując swej niewielkiej eskorcie, czwórce sprawującej nocą wartę pod jego sypialnią, pozostać w przedsionku wraz ze strażą Tristena. Następnie wszedł do apartamentu skromnie ubrany, w towarzystwie najmłodszego sługi.

–Och – rzekł, zerknąwszy w stronę zastawionego stołu. Na jego ogorzałej twarzy zagościł wyraz zadowolenia. Kiedy oddał płaszcz służącemu, Tassand wręczył mu puchar z winem.

–Racz usiąść, panie. – Tristen skinął w kierunku stołu i czterech pustych krzeseł, z których jedno było zarezerwowane dla Uwena, drugie zaś dla Emuina. – Pomyślałem, że nie ma to jak kolacja.

–O tak, święta prawda, zwłaszcza po kilku dniach o sucharach i kiepskim piwie. A to – dodał, unosząc kielich – to nie jest kiepskie piwo.

–Miło słyszeć – odparł Tristen, gdy siadali za stołem. W kwestiach doboru, chociażby potraw, zdawał się całkowicie na gust Tassanda. Także tym razem ograniczył się do prośby o jakieś niewyszukane i gorące danie odpowiednie po jeździe w mroźną pogodę.

–Nie musimy na nikogo czekać. Uwen i Emuin mogą wprawdzie nadejść, ale to nic pewnego. – Rozsiadł się wygodnie, pozwolił służbie podać potrawy i zaczekał, aż gość przynajmniej zakosztuje wieczerzy, po czym przeszedł do tego, co przyjaciele określali mianem "jego pytań". – Czy przywozisz, panie, jakąś wiadomość od króla?

–Nie słyszałem, by po moim odjeździe sytuacja uległa pogorszeniu – stwierdził Cevulirn. Skoro mówili w cztery oczy, Tristen wierzył, że jest to wypowiedź szczerą, choć niewiele w niej było pociechy. – Wiedz, że Jego Królewska Mość odesłał mnie do Toj Embrel. Ryssand opłakuje śmierć syna i dlatego będę musiał spędzić zimę w domu.

–Brugana?

–Uczciwy pojedynek. Ryssand wszelako widzi to inaczej. – Cevulirn, zwykle oszczędny w słowach, teraz nie zamierzał milczeć.

–Brugan i lord Murandys zażądali od króla, by odcisnął swą pieczęć na pewnym dokumencie... Chcesz usłyszeć resztę w trakcie kolacji czy może później?

–W trakcie, jeśli łaska. Straciłbym tylko apetyt, czekając na zakończenie.

–Niech i tak będzie. A więc Brugan i dokument. Brugan przybył do Guelesfortu z Murandysem, ażeby pokazać dokument, na mocy, którego monarcha utraciłby wiele swoich uprawnień.

–Cefwyn nie podpisałby czegoś takiego.

–Otóż to, dlatego zamierzali wnieść publiczne oskarżenie, gdyby nie wyraził zgody. Działo się to przed ślubem, tedy powiedzieli, że w razie potrzeby przedłożą dowód na niewierność Ninevrise.

–Niewierność? Nikt nie jest bardziej wierny niż ona względem niego.

Cevulirn, nabierając łyżką zupę, obrzucił go przeciągłym, wnikliwym spojrzeniem.

–Jeżeli Wasza Miłość mówi o zwyczajnej stronie honorowego zachowania, to w tym względzie, zgoda, damie niczego nie można zarzucić. Im wszakże chodziło o tradycyjną niewierność, jak to między mężczyznami i kobietami. O tego rodzaju zdradę.

–Ale Ninevrise?

–Ani tobie, Wasza Miłość, ani mi nie przeszłoby to nigdy przez myśl. Tyle że są tacy, co chętnie uwierzyliby niecnym pomówieniom dotyczącym jej osoby... czy też twojej. O nie, nikt tak naprawdę nie chciał uwłaczać czci Ninevrise. Potrzebna im była jeno sygnatura króla, obietnica spełnienia wszystkiego, czego od niego żądali. Mieli nawet czelność spisać listę roszczeń, zatwierdzoną wieloma pieczęciami, przyznającą quinaltowi nowe uprawnienia. Na szczęście Ryssand, stojący na czele spisku, nie pojechał do króla sam, lecz posłał Murandysa z synem Bruganem, którzy, gdy im odmówiono prywatnej audiencji, wszystko bezmyślnie wyjawili przede mną, księciem Efanorem oraz Idrysem.

Tristen był przerażony, nie tylko ze względu na głupotę takiego zachowania. Murandys musiał jednak liczyć na to, że Cefwyn i Efanor powstrzymają Idrysa, który uczyniłby bez wątpienia wszystko, byle pomóc Cefwynowi.

Cevulirna widocznie to nie powstrzymało.

–A więc Brugan nie żyje? W rezultacie tego?

Cevulirn odłożył łyżkę i zatrzymał na nim nader skupione spojrzenie.

–Pozwól, że ci to wyłuszczę, Wasza Miłość. Treść oskarżenia była jednoznaczna: Ninevrise miała kochanka. Artisane, siostra Brugana, zgodziła się potwierdzić pod przysięgą... że to ty byłeś, cóż tu dużo mówić, kochankiem Jej Miłości.

– Kochankiem, panie? – Słowo to wywołało zrazu zamęt w jego głowie, aż nagle objawiło mu całą swą cielesną naturę. Czuł się zażenowany tym Słowem. A potem zrozumiał resztę i serce w nim niemal zamarło. – Nic podobnego, panie.

– Powiedziałem, że to nieprawda – ciągnął Cevulirn – a skoro Brugan obstawał przy swoim, zginął. Dlatego Jego Królewska Mość zasugerował mi, bym jeszcze tej samej nocy wyjechał z Guelemary. Nie przystałbym na ten pomysł, jeno zachodziła obawa, że jeśli swoją obecnością doprowadzę Ryssanda do ostateczności, ten gotów jeszcze publicznie obarczyć króla zarzutami, a wtedy, łaskawi bogowie to wiedzą, musiałbym usunąć najzacieklejszego podżegacza na dworze. Ze szkodą dla Jego Królewskiej Mości, powiadał, choć ja byłem innego zdania. Wszelako, wierny przysiędze, odjechałem wbrew swojej woli i nie wiem, jak to się dalej potoczyło i czy zarzuty w ogóle podano do publicznej wiadomości. Chyba tak się nie stało, bo ślub się odbył. A co się tyczy ciebie i Jej Miłości, możesz być pewien, że każdy, kto was zna, z góry odrzuciłby podobne brednie. Na nieszczęście wielu nie zna ciebie ani Jej Miłości.

– Ninevrise jest moją przyjaciółką – rzekł oszołomiony Tristen łamiącym się głosem. On, który ujrzał w życiu nie więcej niż rąbek kobiecego ciała... i to dzięki lady Orien Aswydd, kusicielce, która wabiła go z podejrzanych i niebezpiecznych pobudek. Zdumienie i przerażenie nie pozwalały mu uporządkować myśli.
– Jak mogli coś takiego powiedzieć?

– Artisane zełgała, aby przypodobać się ojcu – odparł Cevulirn zdawkowo, po czym odłamał sobie kawałek chleba. – I co, żałujesz teraz, że nie zjadłeś wprzód kolacji?

–Chyba mi będzie niedobrze. Powinienem wrócić do Guelemary!

–Tylko nie to! Kłamstwo z pewnością już zostało zapomniane, skoro wiadomo, że jest po ślubie. Nic więcej nie zdziałyśmy. Niechby cię tam znowu ujrzeli, a otworzy się wiele ran, czego skutek może być opłakany. Posłuchaj no, a bardzo się zdziwisz, nawet Efanor zamierzał dobyć miecza, takim zawrzał gniewem.

Efanor. Książę Efanor. Kiedyś Tristen otrzymał od niego w prezeńcie książeczkę z quinaltyńskimi modlitwami, która leżała teraz tuż przy jego łóżku. Pobożny Efanor, tak często rozmyślający o bogach, nigdy nie działał pochopnie. A jednak sięgnął po miecz w obronie honoru Jej Miłości. Gdy na dworze zaczęło dochodzić do desperackich aktów przemocy, Efanor opowiedział się po stronie brata, odrzucając łgarstwa Ryssanda.

–Zdumiewające – powiedział, a kiedy wreszcie ochłonął, podniósł łyżkę.

–W każdym razie Jego Królewska Mość poślubił lady regentkę, a ja przedłużyłem swój pobyt w Clusyn do czasu, aż otrzymałem zapewniający o tym raport.

–Następnie pojechałeś do domu... i znów wyruszyłeś do mnie.

–Chciałem cię odwiedzić w pierwszej kolejności, lecz długo przebywałem poza moim zamkiem, a tamtejsze sprawy wymagały, bym przynajmniej rzucił na nie okiem. Poza tym w dzisiejszych czasach, gdybym obrał od razu właściwy gościniec i pociągnął prosto na zachód, znowu wzięliby mnie na języki... A jako człowiek wojujący z Ryssandem naraziłbym się na poważne niebezpieczeństwo. Zbyt sobie cenię moich ludzi, by postępować

nierozważnie. Wróciłem tedy do domu, gdzie zarządziłem przygotowania do odparcia niewykluczonego najazdu z północy i kazałem dawać baczenie na wszelkich potencjalnych zamachowców. Potem już bez dłuższej zwłoki pośpieszyłem tutaj, słysząc wieści o niepokojach w Amefel. Rad jestem, że zastał tu spokój.

Cevulirn dowodził rzeszą wprawionych szpiegów, którzy zapewne, jak sądził Tristen, przeniknęli na każdy dwór w królestwie. Bo chociaż Cevulirn zwykł mówić nie za wiele, to jednak zawsze robił wrażenie dobrze poinformowanego.

–Rebelia była wymierzona w rządy wicekróla, lorda Parsynana – rzekł Tristen bez ogródek. – Tasmorden obiecał earlowi Edwyllowi przerzucić wojska zza rzeki w celu wsparcia buntowników. Tasmorden wciąż jednak oblega Ilefian. Chciał, żeby Edwyll wywołał tu wojnę i ściągnął na siebie całą uwagę Cefwyna.

–Wcale mnie nie dziwi postawa Tasmordena, tylko bezmyślność Edwylla. Miałem go za mądrzejszego człowieka.

–Był zdesperowany.

–No i zginął.

–Przypadkowo. Dokładnie w tej komnacie, podczas gdy jego ludzie oczekiwali odpowiedzi w kwestii złożenia broni. Napił się wina lady Orien... Bez obaw – dodał, widząc uniesione brwi Cevulirna – wymieniliśmy naczynia i nie pijemy z jej kielichów. Opowiedziano ci wieczorem, jak to Crissand, syn Edwylla, przekazał mi władzę nad cytadelą w zamian za obietnicę łaski.

Mimo to lord wicekról pozabijał ludzi, którzy się poddali. Omalże nie zabił Crissanda. Wypędziłem więc Parsynana z Amefel i zatrzymałem Gueleńską i Smoczą Gwardię na czas rekrutacji stosownej liczby Amefińczyków.

–To Prichwarrin poradził Cefwynowi złożyć ten urząd w jego ręce, bo obaj należą do jednego stronnictwa. Założę się o każde pieniądze, że to człowiek Corswyndama.

–Mam na to dowody – oświadczył Tristen. – Ryssand posłał Parsynanowi wiadomość z ostrzeżeniem, że jestem w drodze do Amefel, a posłaniec pędził co tchu, byle dotrzeć tu i przekazać ją przed przybyciem królewskiego herolda. Uwen, Anwyll i Emuin są zdania, że pogwałcono prawo.

–Uknuło haniebną zradę.

–To nie wszystko. Lord wicekról uznał za stosowne ostrzec tylko jednego z lordów, a mianowicie Cuthana, earla Brynu. Cuthan też wiedział, że Edwyll planuje zajęcie cytadeli, lecz obaj z sobą rywalizowali. Parsynan uprzedził Cuthana o nadchodzących zmianach, lecz ten chował sekrety przed obiema stronami, dopóki Edwyll nie zaatakował żołnierzy wicekróla. Wtedy dopiero powiadomił o wszystkim pozostałych earłów. Z tej przyczyny stronnicy odsunęli się od Edwylla i w każdym przypadku, czy Elwynimi przekroczyliby rzekę, żeby wspomóc rebeliantów, czy też gdyby Cefwyn odbił gród, Cuthan nie doznałby szwanku. Niektórzy wstrzymali się, by sprawdzić, czy Elwynimi rzeczywiście nadejdą, ale nie wypominam im tego, bo sami wiedzą, że to był zły pomysł. Pozostali earlowie przystali do mnie bez wahania. Udają, że nie wiedzą, iż są buntownikami, a i ja udaję, że nie mam o tym pojęcia, aby nie czuli się zagrożeni.

Crissand natomiast wytrwał przy ojcu, czekając na wiadomość z rozkazem przerwania walki, który jednak nie nadszedł. Ostatecznie poddał się, żeby uratować życie swoich ludzi. Złożył mi przysięgę i nie mam powodów mu nie ufać.

Kiedy skończył, Cevulirn obrzucił go badawczym spojrzeniem.

–Jestem pod wrażeniem. Stajesz się nad podziw mądry, Amefel.

–Mam nadzieję, panie.

Lord Ivanor znał go lepiej niż Amefińczycy, znał jego potknięcia i omyłki. Serce Tristena zabiło mocniej pod przenikliwym spojrzeniem szarych oczu Cevulirna.

–Strzeż się. Strzeż się, jak możesz – powiedział baron. – I miej na uwadze, że krew Aswyddów płynie zarówno w żyłach młodego Crissanda, jak i Cuthana, choć w zbyt małym stężeniu, żeby mogli się nie bać królewskiego wyroku banicji.

Wiedział o tym. Był w pełni tego świadomy. No i wciąż brzmiało mu w uszach powitanie Leciwej Syes: "Lordzie Amefel oraz aethelingu"...

–Ponadto żyją jeszcze obie Aswyddówny – podjął Cevulirn. – Tuż za granicą, w Guelessarze. Uczą się pobożności w klasztorze żeńskim... Posłaniec stamtąd może tu dotrzeć bez większych trudności.

Smoki Aswyddów, spozierające na nich z góry i z boków, nabrały złowieszczego wyglądu, atmosfera zrobiła się ciężka i pełna napięcia.

–Nigdy o tym nie zapominam. – Odwrócił wzrok i skinął w stronę smoków. – One mi przypominają.

–Święta prawda – odparł Cevulirn. – Wszak w tejże komnacie Orien oddawała się czarnej magii, czarom, bogowie wiedzą czemu.

–Jest różnica, panie.

–Niewątpliwie. Zaczęła od jednego, a potem postąpiła krok w stronę drugiego. Oby bogowie sprawili, żeby tam, gdzie przebywa, nie wymyśliła niczego gorszego. Ale od tych spraw mamy ciebie i mistrza Emuina... Tuszę, że Emuin cieszy się dobrym zdrowiem i że przyczyną jego dzisiejszej nieobecności nie jest jakaś dolegliwość.

–Dobrze się czuje, lecz zamknął się w swej wieży. Wygląda na to, że jednak nas nie odwiedzi. – Tristen powściągnął złość, którą zaczynał odczuwać z tego powodu. Gniew był jego wrogiem. Emuin przestrzegał go przed nim, a następnie sam prowokował, bardziej niż ktokolwiek inny z jego otoczenia. – Zadałem mu kilka pytań. Bez wątpienia ślęczy nad księgami. Albo zapomniał, która jest godzina. Nie mam pojęcia, czy moje pytania kiedykolwiek zostaną rozstrzygnięte.

–Trudną placówkę objąłeś.

–Trudną pod każdym względem. O jednym dotąd nie wspomniałem, panie. Wygnałem lorda Cuthana.

–Wygnałeś go?! Dokąd? Do Guelessaru? Do Cefwyna?

–Do Elwynoru, na co sam się zgodził. Wcześniej, podczas zamieszek, zginął jeden z kustoszy archiwum. Ktoś odszukał i ukradł zapiski Mauryła... Podejrzewamy drugiego kustosza. Jednak wina spada chyba na Cuthana, bo w jego domu znaleziono część dokumentów. Przeszukaliśmy wszelkie ruchomości, które z sobą zabierał, lecz żołnierze mogli pominąć parę zwojów.

–Ale że zapiski Mauryła?

–Listy do Amefel. Ostały mi się tylko nadpalone szczątki, z których mało co wynika. Pozostałe papiery mogły być ważniejsze.

Cevulirn zaczerpnął głęboko powietrza.

–Przejawy złych mocy. Cuthan wygnany. Edwyll nie żyje. Wozy wysłane nad rzekę. A na dokładkę zapiski z czasów Mauryła i nienaturalne zawieje. A tyś dopiero od dwóch tygodni na urzędzie, lordzie Amefel. Będiesz aktywnym sąsiadem moich ziem, widzę to wyraźnie. Szczęściem nie marudziłem długo przed przyjazdem.

–Panie. – Tassand wszedł do środka. Tristen zdał sobie sprawę z poruszenia przy zewnętrznych drzwiach. Zrazu przypuszczał, że wnoszą drugie danie, lecz zza pleców Tassanda wyłonił się spóźniony Emuin. Jeden ze służących nadal poprawiał mu płaszcz na ramionach. Z tyłu różnym krokiem nadchodził Uwen.

–Proszę, proszę – rzekł Emuin. – Widać zbiera się ptactwo przed burzą. Z południa nadfrunęła nawet szara mewa. Jakieś wieści ze stolicy? Wzięli ślub?

–O ile mi wiadomo, tak – odpowiedział Cevulirn. – Złożyłem krótką wizytę w moim zamku, a potem, zanim spadły śniegi, ruszyłem na północ, żeby złożyć sąsiedzkie wyrazy szacunku. No i żeby sprawdzić, czy lord Tristen wypchnął za bramę wicekróla Jego Królewskiej Mości, czy też trzeba mu pomóc. – Cevulirn bywał uprzejmy lub zdawkowy, w zależności od nastroju. Lubił wszakże Emuina i mu ufał, Tristen był tego pewien. Udzielił jednak nader zwięzłej odpowiedzi, więcej pominął, niż ujawnił. – Wolałbym nie mierzyć się ze srogą zimą w górach.

Wyraz twarzy Emuina uległ ledwo dostrzegalnej zmianie.

–Uwen już mi to powiedział. – Zasiadł za stołem. Uwen nieśmiało poszedł w jego ślady, choć mniej skrępowany w małym gronie. Czeladź wniosła drugie danie, a rozmowa zeszła chwilowo na temat podanych potraw.

–W drodze spotkałem Leciwą Syes – rzekł wreszcie Tristen. – Powiadomiła mnie, że na południu znajdę przyjaciół. Wtedy rozpętała się burza, o której Uwen zapewne ci opowiedział. Ustała, kiedy zawołałem Seddiwy po imieniu.

–Powiedziałem ci, o czym mówiła Leciwa Syes – zagadnął starca w szarej przestrzeni, spokojnie i z bliska, starając się wywołać jak najmniejsze zaburzenie. – O całej tej sprawie z królami i aethelingami. I o przyjaciółach na południu.

–Oraz o gwałtownej śnieżycy. Kiedy czyjś czar pobudza moce, jakiś inny czarodziej może się wtrącić i je wykorzystać. Mówię ci szczerze, wcale mi się to nie podoba.

–Burza nadeszła z zachodu, panie.

–Podobnie jak poranne słońce wstaje na wschodzie, młody lordzie. Czyżby niebieskie orbity przynależały do Mauryła lub kogokolwiek innego?

–Kto w takim razie posłał burzę, panie?

–Nie mam zielonego pojęcia. Wszak mnie tam nie było. Czy się ze mną konsultowałeś? Nie.

Służący podali mięsiwo. Tristen z grymasem na twarzy odkroił sobie kawałek sera, gdyż nie miał apetytu na martwe stworzenia.

–Coś nam się przeciwstawia – oświadczył Emuin przytłumionym głosem. – Trudno mi określić, skąd to do nas dociera, czy nadchodzi gromadnie, reprezentując wiele interesów, czy może pojedynczo jako jedna nadrzędna siła. Nie umiem powiedzieć nic więcej ani zbadać, z czym mamy do czynienia.

–W burzy? – zapytał Cevulirn, który nie usłyszał ani słowa z rozmowy odbytej w szarości z szybkością błyskawicy.

–Możliwe – odparł Emuin.

–"Daj schronienie moim ptakom", poleciała mi Leciwa Syes, mistrzu Emuinie. A mimo to nie zobaczyłem żadnych ptaków. Moje gołębie pofrunęły w dal, lecz wróciły bezpiecznie. Widziałem je dziś wieczór na gzymsie.

Emuin przybrał wyraz powagi.

–Miejmy nadzieję, że i tamte powrócą.

–Także Cevulirna pochwyła burza – powiedział Tristen. – Zabił syna lorda Ryssanda i opuścił Guelemarę. Przybył tu, żeby zobaczyć, czy potrzebuję pomocy.

–Burz co niemiara tej zimy w okresie międzywojennym – rzekł Emuin. – A więc się pobrali i uporali z protestami, hę?

–Padły zarzuty o niewierność, panie – odrzekł Cevulirn. – Wymieniono Tristena, co wyśmiałyby każdy człek przy zdrowych zmysłach.

–W Guelemarze nie ma zapotrzebowania na zdrowe zmysły – stwierdził Emuin. – Jeno na prawowierność. A zatem Brugan nie żyje. Mała to strata.

–Miałem właśnie mówić – ozwał się Tristen – o czymś, czego lord Cevulirn jeszcze nie wie. O liście.

–Jednym z listów Mauryła? – zapytał baron.

–O liście Ryssanda do lorda Parsynana. Ryssand posłał do wicekróla gońca z ostrzeżeniem o moim przyjeździe. Nie zdążyłem powiedzieć... że odesłałem ów list do Idrysa w nadziei, że tym sposobem szybciej trafi do rąk Cefwyna.

Cevulirn ściągnął brwi, na jego twarzy rozlał się z wolna wyraz zadowolenia.

–Ha, Jego Królewska Mość wielce rad będzie ze zdobycia tego listu. Ma ich teraz w garści. Na bogów, złapał Ryssanda we wnyki! Ryssand znalazł się w nie lada opałach!

–Miałem nadzieję, że ten list przyda się na coś Cefwynowi.

–Przyda się?! Zapewniłeś nam wszystkim spokojną zimę, a może nawet uratowałeś królestwo. Zaprawdę, będziesz o wiele lepszym sąsiadem od Heryna Aswydda, panie.

Biorąc pod uwagę uczynki Heryna oraz duchessy Orien, nie był to z pewnością wyszukany komplement, jednak podniósł Tristena na duchu.

–Bardzo mnie to cieszy, że jesteś moim sąsiadem, panie. Liczyłem na twoją pomoc dopiero na wiosnę i nie oczekiwałem, że przybędziesz jeszcze zimą.

–Jego Królewska Mość postąpił nader słusznie, posyłając cię na południe. Podobnież i mnie odesłał przypuszczalnie po to, abym się z tobą spotkał. No i proszę, pochylamy głowy w naradzie i rozprawiamy o machlojkach naszych wrogów. Pamiętny piorun, którego uderzenie wypędziło cię ze stolicy, rozświetlił chyba niebo płomieniem natchnienia. Jego Królewska Mość zdaje sobie sprawę, na jak kruche poparcie może liczyć na północy i że w każdej chwili gueleńskie trzciny, o które się wspiera, mogą pęknąć i przebić mu dłonie, jeśli nie serce. Niczym żeś go nie uraził, zabierając mu wozy, choć przez wzgląd na baronów z północy może udawać dąsy. Jego Królewska Mość wyraźnie tego nie powie, ale zdaje mi się, że świadom jest zdradliwych knowań, których dowód mu przesłałeś.

–A mimo to nie chce pozwolić, bym przekroczył rzekę – powiedział Tristen żałościwie. – W tejże godzinie Tasmorden oblega Ilefian lub czyni co gorszego, gdy tymczasem ja i ty na czele oddziałów lekkiej jazdy moglibyśmy temu zaradzić. Mówiłem o tym jeszcze przed wyjazdem z Guelemary. Ale Cefwyn surowo mi zabronił.

Oczy Cevulirna rozbłyły i zaszły cieniem. Pan Iwanimów był człowiekiem szarości, szarości w ubiorze, szarości opadających na ramiona włosów, a także ołowianych oczu, które mogły być świadectwem dziedzictwa starego sihijskiego rodu. Kto wie, czy obaj nie byli, w pojęciu Ludzi, dalekimi krewnymi. To, że dzielali swoje zapatrywania, nie podlegało dyskusji.

W ciągu tej wymiany zdań Emuin tylko spokojnie zajadał i słuchał.

–Jego Królewskiej Mości, skoro wpadł mu w ręce ten list, mogła przejść ochota na przemarsz przez terytorium Ryssandu – mówił Cevulirn. – Na bogów, ależ to był cios! Szkoda, żeś otrzymał tak bezwzględny zakaz, bo wnet bym ci tu przyprowadził moich ludzi, choćby padały śniegi i szalały burze.

–Nie – odezwał się nagle Emuin. Umilkli i spojrzeli nań uważnie.

–Jak to, nie? – zapytał Tristen.

Wydawało się, że Emuin, któremu chyba wymknęło się to słówko, był zaskoczony tak jak oni.

–Nie – powtórzył z większym już namysłem. – Tak być nie może. Należy się tego wystrzegać. Mam złe przeczucia, lepiej nie porywajcie się we dwójkę na takie rzeczy.

Tristen był świadom swojego niespełna rocznego istnienia, ignorancji oraz doświadczenia mniejszego niż u Ludzi. Emuin wszakże nie tylko zafrapował Cevulirna, ale i zdumiał samego siebie, sądząc po głębokich zmarszczkach na jego czole.

–Czy w związku z działaniami wojennymi Cefwynowi grozi niebezpieczeństwo? – Do takiego oto wyczulenia Tristen doszedł, wyrósłszy ze stanu pierwotnej nieświadomości. – A może zostanie naruszony porządek w sprawach cesarzy?

–Zostanie naruszony spokój północnych baronów, nie ma wątpliwości – odparł Emuin w zadumie. – Ale nie, ich wzburzenie nic mnie nie obchodzi w obliczu tego, co czuję. Coś nadejdzie, może z północy. Nie wiem skąd i co to właściwie będzie, nadejdzie jednak, a kiedy to się stanie, lepiej żebyśmy nie spali ani nie brali udziału w nieprzemysłanej wyprawie za rzeką.

–Myślisz o zamachowcach? – Podobno pojawiali się w Amefel za kadencji Cefwyna. Heryn Aswydd tak twierdził... kłamliwie.

–Po baronach z północy można się spodziewać najgorszego – rzekł Cevulirn, rodowity południowiec. – Gotowi pchnąć sztylet w plecy naszego zacnego króla i założyć nową dynastię. Gdyby Ryssand znalazł w sobie dość odwagi, gdyby wiedział, że nie wybuchnie wojna... wojna wewnętrzna i taka, która zaleje nasze granice. Ten list, coś go odesłał Idrysowi, zasieje strach w sercu Ryssanda i może go na chwilę uciszy. Zdrada Elwynimów? Ci mieliby powody, żeby targnąć się na życie Cefwyna bądź Jej Miłości. Nie ma nawet potrzeby ostrzegać króla przed tym niebezpieczeństwem. On wie, z kim ma do czynienia. A co się tyczy pozostałych baronów... tych, którzy niegdyś widzieli w Efanorze bardziej uległego władcę... Coś mi się zdaje, że po objęciu tronu książę Efanor rządziłby zgoła inaczej, niż im się kiedyś wydawało. W Efanorze drzemie gniew, który na razie nie znalazł ujścia. Myślę, że przynajmniej Ryssand mógł się o tym przekonać w dniu śmierci Brugana. Jeżeli cokolwiek przydarzy się Cefwynowi, Ryssand nie odniesie z tego korzyści.

Były to zimne, okrutne słowa, wypełniające wyobraźnię obrazami obalonego Cefwyna. Tristen poczuł, że serce bije mu żywiej. Dostrzegł w sobie horyzonty gniewu, którym nigdy dotąd nie poświęcał uwagi. Ujrzał drzwi i czym prędzej je zatrzaskał, po czym próbował odzyskać spokój, jakim tchnęło zachowanie Cevulirna.

–Cefwyn stanowi całe moje prawo, panie. Jeśli skrzywdzą Cefwyna albo Jej Miłość, nie ujdą przed moją pomstą! Ja nie pochodzę od Gueleńczyków. Ani od Ryssandów. I nie dbam o rzeczy, o które oni dbają.

Nastąpiło krótkie milczenie. Cevulirn patrzył nań badawczo, także Emuin nie spuszczał z niego wzroku, jakby wiedzieli o istnieniu tych drzwi.

–Nie wątpię – rzekł Cevulirn. – I ja nie pochodzę od Gueleńczyków ani od Ryssandów, jeśli już o tym mowa. Tylko pamiętaj, nie rzucaj otwarcie takich pogrózek.

–Mam im pozwolić, żeby spiskowali przeciwko niemu i wyrządzili mu krzywdę? – Tristen nie mógł usiedzieć spokojnie w tej prowincji odległej od Cefwyna. – Nie pozwolę!

–Przez ciebie Gueleńczycy chwyciliby za broń przeciwko Amefińczykom, a Amefińczycy przeciwko Ryssandom – powiedział Emuin. – Niechby się rozeszły wieści o twoich groźbach, w całym królestwie rozgorzałaby wojna domowa. Święta racja, nie jesteś Gueleńczykiem ni Ryssandem, młody lordzie. Świadectwo ludzi, w tym Uwena Lewen's-sona, pokazuje niezbitcie, że owładnięty gniewem, zasałbyś pola pokotami trupów. Lecz nie tego Jego Królewska Mość oczekuje od ciebie

w tej godzinie. O nie, pohamuj złość i poskrom wyobraźnię. Ale złość w pierwszym rzędzie musisz pohamować. Jeszcze nie czas na nią. Pora na bystrość umysłu i jasne myśli, których brakuje na północy.

–Wiesz może, co powinniśmy uczynić? Powiedz mi, co będzie korzystne dla Cefwyna, mistrzu Emuinie, a ja chętnie to zrobię.

–Obaj to zrobimy – dodał Cevulirn.

W pobliżu kręciła się służba, lecz w jej skład wchodzili zaufani i lojalni ludzie Tristena na czele z Tassandem; wszyscy zabrani z Amefel do Guelessaru, a potem z powrotem. Uwen, także spóźniony, zjadł w milczeniu kolację i nie zabierał głosu w dyskusji, tylko patrzył raz na jednego z nich, raz na drugiego – mądry, prosty człowiek, który niewątpliwie miał własne zdanie, albowiem sprawiał wrażenie zatroskanego i wystraszonego, targanego wątpliwościami.

–Opuściłeś Guelemarę nie z własnej woli, lordzie Ivanorze – rzekł Emuin. – Podobnie jak lord Tristen. Sądzę, żeś miał dobrze przemyślany powód, by usłuchać Jego Królewskiej Mości w tym względzie.

–Gdybym tylko mógł umocnić królewską władzę tym, że pozostanę – odrzekł Cevulirn – nie omieszkałbym pozostać. Do czegoż jednak dojdzie, jeśli będziemy osłabiać królestwo wewnętrznymi waśniami? Jeżeli Ylesuin pozostanie silny, a regentka wkrótce wróci do Elwynoru, pospólstwo za rzeką skupi się pod jej sztandarem, mimo że poślubiła króla z linii Marhanenów. Jeżeli nie pośpieszy im z odsieczą przy pierwszej sposobności, zaczną wygasać nadzieje na jej powrót. W takim

przypadku Tasmorden rozbije w puch stronników Jej Miłości. Wystarczy, że doprowadzimy do rozłamu, który opóźni powrót regentki do Elwynoru i utrudni jej wywiązanie się z danej ludziom obietnicy, a zamiast wyświadczyć królowi przysługę, wyrządzimy mu szkodę.

Emuin pragnął wydobyć od Cevulirna jego jasno uzasadnione powody wyjazdu ze stolicy bez próby sprzeciwienia się rozkazowi. Uzasadnienie barona trafiło Tristenowi do przekonania. A jednak zmierzył Emuina wyzywającym spojrzeniem.

–Ale gdybyśmy unieszkodliwili Tasmordena, zadali mu klęskę...

–Tylko bogowie wiedzą, dokąd by nas to zaprowadziło. Przypuszczalnie do rewolty na północy. A nuż baronowie odmówiliby królowi zbrojnego wsparcia? On by ich wzywał, oni poddawaliby sprawdzianowi siłę królewskich rozkazów. Nie, młody lordzie. Słuchaj, co mówi Cevulirn. Nie wolno nam, lojalnym poddanym, okazywać królowi nieposłuszeństwa. Bo jeśli nie my będziemy mu posłuszni, to kto? Gdybyś nawet przeprowił się przez rzekę i zajął Ilefian, co byś wtedy począł, na miłość boską?

–Rozesłałem wszelako jeźdźców do Lanfarnesse i do Olmernu – odezwał się Cevulirn, uprzedzając Tristena. – A nawet do mojego sąsiada Umanona z Imoru.

Emuin nie okazał radości z zasłyszanej nowiny.

–Nadto – ciągnął Cevulirn – dałem mojemu głównodowodzącemu wyraźne wskazówki, aby zasiadł na tronie

provincji i w razie, gdyby spotkała mnie w drodze nieszczęśliwa przygoda, przysiągł Cefwynowi wierność, ale w polu. Nie będę wystawiał na ryzyko mojego sukcesora, wysyłając go do Guelemary w takich okolicznościach. W rzeczy samej, jeszcze przed końcem roku spodziewam się ze strony Ryssanda zamachu na moje życie, radzę więc wszystkim moim sojusznikom, jak również wyznaczonemu przeze mnie następcy, żeby się mieli na baczności. Do ciebie przyjechałem osobiście, jak widzisz. Rozmówiłem się też z Idrysem, znasz jego opinię o Ryssandzie. Nadstawiając własną głowę, Idrys podejmie odpowiednie kroki wobec Ryssanda i Murandysa. Ale nie robi tego, jeśli Ryssand powściągnie swoje groźby, co uważam za rozsądne postawienie sprawy. Król potrzebuje ustępliwego Ryssanda, który teraz pokutuje za swoje błędy. Dobrze wie, że nad jego głową wisi miecz. Niechaj po nocach drży ze strachu, że Idrys postąpi wbrew rozkazom. To go powstrzyma od hultajstw.

–Oby Idrys nie podejmował żadnych samowolnych działań, inaczej biada królestwu – mruknął Emuin posępnie. – Któż bowiem obejmie w Ryssandzie sukcesję po śmierci Corswyndama?

–Już raz Tasmorden próbował oderwać Amefel od reszty monarchii – powiedział Tristen. – Będzie chyba szukał sposobów, żeby nas poróżnić. Wolałby przecież rozniecić wewnętrzne walki w Ylesuinie, niż odpierać na wiosnę atak naszych wojsk. – Nurtujący go dzisiaj niepokój wezbrał nagle po brzegi. – A czarne moce, jeśli trzymają stronę Tasmordena, czyż w tym nie pomogą? Czyż nie uderzą w obluzowany kamień, żeby rozwalić mur?

Cevulirn obrzucił go przenikliwym wzrokiem.

–Oho – rzekł Emuin – zdumiałbyś się, co takiego ostatnimi czasy pojawia się w snach naszego młodego lorda.

–Nic z moich snów nie rozumiem – zaproponował Tristen, na samą myśl o nich czując niepokój. – Wiedźcie, że śnię o smokach. I o Sowie.

–To prawda, nie miewasz takich snów, jak inni ludzie – potwierdził Emuin – a mimo to masz osobliwe myśli, młody lordzie, przez co utrzymujesz mnie w ciągłej niepewności, co jeszcze zrozumiesz. Prosisz o rady. Tym razem udzielę ci jednej. Nie prowokuj Ryssanda do śmielszych poczynań. To cenna rada, młody lordzie. Godna królewskich uszu. Oby i nasz król z niej skorzystał.

–Mówisz o tym, czego nie powinienem robić, ale powiedz lepiej, panie, co robić powinniśmy.

–Cóż, mam nadzieję, że obaj będziecie postępować mądrze, zgodnie z potrzebą chwili.

–Mądrze?

–Nie powiem ci jednak, co masz zrobić, młody lordzie, choćbyś się srożył jak burza. Powiadasz, jakobym cię nie słuchał. Otóż bądź pewien, że jest wprost przeciwnie. Cały czas słucham.

–Nie srożę się, panie, jak burza! Emuin wyciągnął rękę.

–Chyba poczułem pierwsze krople.

–Zapewniam cię, panie, że na nic nie nalegam.

–Aha. – Czarodziej sięgnął po kielich i wśród panującej przy stole głuchej ciszy wolno upił mały łyczek wina. – Skoro więc pozwolisz, odłożę żarty na bok. Cefwyn zechce przekroczyć rzekę na czele pierwszych oddziałów. To żadne proroctwo, jest Marhanenem, toteż podobne niedorzeczności są w jego ocenie niezbędne podczas sprawowania władzy. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, a potem Cefwyn by poległ, prawdopodobnie wojska cofnęłyby się od granicy, a Ninevrise została by wdową, której król nie mógłby już pomóc w odzyskaniu tronu w Elwynorze. I tu się kryje prawdziwe niebezpieczeństwo. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Cefwyn zaryzykuje życie w starciu z Tasmordenem... o ile w ogóle zdoła dotrzeć nad rzekę. Tak, tak, Tasmorden uderzył już raz na południu, wprowadzie przy niewielkim zaangażowaniu środków i bez użycia ludzi, lecz dał się poznać jako zwolennik forteli i okrężnych dróg. Jest bardziej wyrafinowany od swojego poprzednika, Aseyneddina. Nie zmierza wprost do celu. Wybiera dłuższe, kręte ścieżki. Pod wieloma względami jest groźniejszy niż Aseyneddin.

–Dzięki Jego Miłości nie dojdzie już do buntów na południu – powiedział Cevulirn. – A skoro ta część planów naszego wroga spełzła na niczym, musi najpierw zdobyć i ujarzmić Ilefian, zanim zajmie się czym innym. Tak czy owak, udowodnił już swoje umiejętności w dążeniu do dwóch celów naraz.

Po tych słowach Cevulirn ciągle coś mówił, jednakże blask świec został przyćmiony, głosy jakby odeszły w dal. Siedząc nieruchomo, Tristen ujrzał wbity weń wzrok Emuina, lecz nie przebywał w szarej przestrzeni. Miał wrażenie, że zwykły świat ucieka mu spod nóg. Czuł chaos pośród zmysłów i usiłował

zaprowadzić w nich porządek. Nie był już tym młodzieńcem, który uciekał we śnie, kiedy objawiały mu się wielkie Słowa i mąciły zmysły, doznawał jednak teraz podobnego uczucia. Ścisnął poręcz krzesła i wziął głęboki oddech, gdy wokół zamykała się ciemność.

Ujrzał pogrążoną w półmroku celę, z którą się ongi zapoznał jako z pierwszym pomieszczeniem w twierdzy Kathseide, nie licząc wartowni przy bramie. Nie wiedział, co wartownia przed majdanem czy zachodnie schody mają wspólnego z Tasmordenem, oblężeniami, planami – coś je wszakże łączyło.

Zaraz też zobaczył sień wiodącą ku wielkiej sali, poprzetykaną, jakkolwiek w środku nocy powinno tam być zupełnie ciemno, smugami dziennego światła padającego od strony zabitego deskami końca.

Usłyszał dźwięk podobny do dźwięku bijącego serca. Puls tętnił mu w uszach, jak gdyby wspinał się na niezwykle wysokie schody, prosto w ciemność i ku szarej przestrzeni, gdzie ktoś na niego czekał.

Nie chciał dalej iść.

Bo tam było to Miejsce.

Oraz cela pod zachodnimi schodami, będąca co prawda czymś innym, lecz pozostająca w ścisłym związku, mimo że zauważył ją tylko wskutek zaciekawienia dolną salą. Światu groziło zawalenie, w delikatnej równowadze pozostawały szansę rozstrzygające między złym a dobrym zakończeniem tego wieczoru. Czuł, że jest słabo osłonięty przed niebezpieczeństwem. Jakby ciężar

spoczął na jego głowie... i wtedy się obudził, przestraszony i obolały.

–Panie?

Głos Uwena, którego obdarzył umiejętnością Wzywania go z zaświatów, którego dłoń złapała go teraz ostrożnie za ramię, dzięki czemu najpierw zdał sobie sprawę z obecności Emuina, jasnej i błyszczącej, potem bledszej obecności Cevulirna, a na końcu z obecności żołnierza, pospolitej niby aura kamienia, równie nieruchomej i równie stabilnej. Uwen był niczym czysta, jednolita opoka, twarda i niezmienna.

–Znowuż go dopadło – zawyrokował Uwen. – A już jakiś czas było spokojnie. Zali mnie słyszysz, panie?

Słyszał każdy szczegół, lecz na razie mógł tylko trzymać rękę Uwena. Nareszcie złapał oddech.

–Idę do celi pod zachodnimi schodami.

–Do celi pod zachodnimi schodami? – zapytał ostro Emuin. Na pochylonej ku niemu twarzy Uwena malowała się głęboka troska, ale nie chęć odmowy.

–Ano, panie, jeśli taka wola. Mamy czynić coś szczególnego, kiedy już tam zejdziemy?

–Myślę, że tak – odparł Tristen. Był pewien, że Uwen zrobiłby wszystko, aby nie myśleli o nim jako o szaleńcu. Sam jednak musiał obstawać przy swoim, bo właśnie zdobył coś, czego długo szukał. Czuł wyraźnie gęstą sieć, rozpiętą wokół nich przez

Emuina, mającą im służyć za ochronę w tym strasznym pomieszczeniu. Także Cevulirn zachowywał czujność. Baron nie był wprawdzie czarodziejem, lecz z drugiej strony, uzbrojony w nie wykorzystywane dotychczas umiejętności, nie stanowił dla żadnego czarodzieja łatwej zdobyczy. – Zobaczyłem jakiś dziwny cień – oznajmił Cevulirnowi i owej dwójce, której bezgranicznie ufał. Próbował skierować ku nim wzrok, nie zdołał jednak oderwać spojrzenia od spiżowego smoka górującego nad wejściem do sąsiedniej komnaty. Smok przykuwał jego uwagę. Tristen czuł tętno w opuszkach palców, nie był w stanie dobyć głosu, na poły stracił czucie w kończynach. Smok chciał wyjawic mu swe myśli, usiłował coś powiedzieć. Był kolejnym czynnikiem rozpraszającym jego uwagę.

–Panie mój – rzekł Uwen, wyszarpując go, choć niezupełnie, z owej sfery rozległej świadomości. Nie był wcale skrępowany, zdawał sobie tylko sprawę z powagi sytuacji i znaczenia celi umieszczonej w obrębie chroniących ich zapór.

–Może my pójdziemy, a Wasza Miłość odpocznie – zaproponował Cevulirn.

–Nie! – sprzeciwił się Tristen, lecz szybko zmiarkował, iż zrobił to cokolwiek za ostro. Nie spuszczając wzroku ze smoka, zapanował nad wzburzeniem. – Nie. Posłuchajcie i zapamiętajcie, bo ja mogę o tym wkrótce zapomnieć. Nie mamy do czynienia z czymś na podobieństwo Cienia znad Lewenbrookku, a jednak dręczy mnie niepokój. Widzę coś niekiedy... głównie na wschodzie, czasem też na zachodzie, jak dzisiejszą burzę. Emuin powiada, że jeśli to jest burza, musi nadchodzić z zachodu, bo wszystkie burze tak czynią, co brzmi rozsądnie i ja mu wierzę. Ale nie mam pewności, czy to jedyne

wytłumaczenie i czy to zawsze ten sam cień. Cienie bytują wewnątrz zapór, także w sali na dole... Ujrzałem je już pierwszego dnia mojego pobytu w Henas'amef. Emuin wie, o czym mówię. I on je widział. Coś tam jest. Coś innego zaś przebywa w celi pod schodami, przy dziedzińcu stojącym.

–W lochach?

–W celi. Powinniśmy tam zejść.

–Oczywiście – sapnął zdesperowany Emuin. – Oczywiście, że musimy tam zejść. Tylko, na miłość boską, powiedz nam, młody lordzie, czego właściwie szukamy?

–Złodzieja – odparł, choć sam nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy, sprawa bowiem nie dotyczyła zaginionych listów Mauryła, tego był pewien. Wstał od stołu, nie skończywszy kolacji, ciągle świdrując oczyma smoka... Wreszcie zdołał oderwać od niego wzrok. Wiedział, że lord Cevulirn jest zmęczony wielodniową podróżą i chętnie dokończy posiłek, który dla niego stał się nagle nieistotny. – Proszę, byś został, panie, i nie przerywał sobie kolacji. Sprawa dotyczy pewnego drobiazgu, którym muszę się zająć. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo i pewnie też długo tam nie zabawię. Kiedy się z tym uporam, wrócę i wychylimy kielich wina przed snem.

Towarzyskie grzeczności, gładkie słowa, jakie zwykle padały z ust innych ludzi. Powiedział jednak prawdę. Miał świadomość, że wezwanie jest pilne i że ktoś znaczący, ktoś oczekiwany chce spotkać się z nim w celi.

Rozdział piąty

–Ano, panie – odpowiedział mu amefiński strażnik... Ness, właśnie tak miał na imię. Ness opuścił posterunek i podążał za nimi bez rozkazu, pozostawivszy na straży swojego kamrata. – Capnęliśmy go, panie, Selmwy i ja, jeno zemknął nam przez tych Gueleńczyków. Tedy na rozkaz Waszej Miłości klucze im odebrał.

Słowa Nessa przeplływały mimo uszu Tristena, odbijały się echem od ścian prowadzącego do kilku cel korytarzyka w ten sam sposób, w jaki głos Nessa huczał nad nim pewnej nocy ostatniego lata, kiedy to on sam, jako więzień, siedział w ostatnim loszku pobity, posiniaczony, oszołomiony.

Bał się wówczas Nessa i tego miejsca. Obecnie stoły były poprzewracane. Ness, wystraszony, tłumaczył, że gueleńscy gwardziści zrobili coś lub czegoś nie zrobili, wyrażając nadzieję, iż lord mu wybaczy cały ten bałagan.

Wybaczyć było łatwo. Wybaczyć oznaczało po prostu wyrzucić z myśli wszelką złość na Nessa, który nigdy nie był złym człowiekiem, tylko porywczym, a tamtego letniego dnia miał na uwadze jedynie ochronę swojego księcia przed bandytami i zamachowcami. Teraz Ness zniósł na dół pęk kluczy, wydarty z rąk Gueleńczyków w sali na górze, po czym drżącymi rękoma otworzył w pośpiechu drzwi, ukazując Tristenowi przedmiot bójek między dwiema kompaniami gwardzistów.

Uwen, zaradny w każdej sytuacji, przyniósł z góry kaganek, którego osłonięte światelko oparło się hulającym na schodach przeciągom. Tymczasem, wciąż święcie oburzony, obrabowany z kluczy i odpowiedzialności, gueleński gwardzista następował Uwenowi na pięty, ażeby śledzić dalszy rozwój wypadków.

Toczył się bój zawistnych, podległych odrębnemu zwierzchnictwu oddziałów, wobec czego Lusin i Syllan, oficerowie straży przybocznej diuka, zajęli stanowisko na szczycie schodów, rozmyślnie rozdzielając żołnierzy królewskiej Gwardii Gueleńskiej i podlegających diukowi amefińskich wartowników, którzy przejęli pieczę nad królewskim więźniem i traktowali go jak własną zdobycz. Emuin pozostał na górze wraz ze zwaśnionymi żołdakami. Oświadczył, że nie będzie pchał się na wąskie, zatłoczone stopnie.

W gruncie rzeczy sprzeczka pomiędzy gwardzistami przypominała walkę gołębi o pajdę chleba, przy czym surowe oblicza zaczynały nadawać zdarzeniu charakter komediowy... Albo nadawałyby, gdyby nie pewna chwiejność w powietrzu, znamionująca ingerencję czarodziejskich wpływów. Poza tym młodemu człowiekowi uwięzionemu w tej celi groziła śmierć.

Otworzono drzwi i oto światło trzymanego wysoko kaganka wydobyło z mroku łokcie i kolana. Kolana drgnęły. Chłopiec zmrużył oczy i skrył twarz, spozierając ukradkiem zza kolan i łokci, po czym wydobył z gardła dramatycznie żałosny dźwięk. Starał się być całkowicie niewidoczny. Trwoga wstrząsnęła szarą przestrzenią. Tristen wziął głęboki oddech i zakazał chłopcu tej niewidoczności w obu sferach.

–Nie ruszaj się! – nakazał. Teraz już wiedział, dlaczego zlecił gwardzistom odszukanie oprócz rozproszonej służby także tego chłopca. Tkwiła w nim pewna moc.

–Panie! – krzyknął nieborak i padł plackiem na brudną słomę. Wszystko się zatrzymało, w szarej przestrzeni i zarazem w tym miejscu, cuchnącym pamiętnym smrodem i tchnącym grozą,

jaka i jego tu kiedyś przejmowała.

–Paisi – rzekł Tristen łagodniejszym tonem. – Masz na imię Paisi?

–Nie, nie, panie, mylisz mnie z kim innym.

–Spójrz na mnie. No, dalej!

Emuin powinien zejść na dół, pomyślał Tristen. Czarodziejskie siły stukotały wręcz o ściany. Z drugiej strony starzec nie musiał schodzić, gdyż i tak nad wszystkim czuwał, nasłuchiwał w szarej przestrzeni, nie narażony tam na ostrzegawcze, budzące strach podmuchy, które owiewały celę.

W żyłach Amefińczyków, mawiali Gueleńczycy, płynęło sporo sihhijskiej krwi. Tristen nie zdziwiłby się wcale, gdyby oczy Paisiego okazały się szare jak przydymione szkło; jednak słabe światło i spuszczone wzrok chłopca nie pozwalały chwilowo tego stwierdzić.

–Paisi – znów zagadnął. – Nigdy się przede mną nie ukrywaj. – Czyż Mauryl nie zwrócił się kiedyś doń w podobny sposób?

I rzeczywiście, chłopiec spojrział na niego trwożnie i ukradkowo.

–Widzisz, nic ci się nie stało. I nic ci się nie stanie. Trwoga wciąż jeszcze wisiała w powietrzu, a także chęć obrony, choć nie odmowa.

–Chłopcze – ozwał się Uwen za ramieniem Tristena. Mówił pomału i łagodnie. – Ludzie twojego nowego pana dwa tygodnie po tropie twym gonili, niemałe trudy ponosząc, tedy nie chyl

głowy, jeno w twarz mu patrzaj, jak na porządnego, dzielnego zucha przystało. Wstawaj, nuże, Jego Miłości cześć oddaj. Jużeś w połowie mężczyzną, czas stać się nim w zupełności.

Młodzieniec, urażony, stanął na równe nogi, lecz wtulił się plecami w narożnik, jakby ściany stanowiły gwarancję bezpieczeństwa lub niezbędną podporę.

–Cóż mu zarzucacie, hę? – zapytał Uwen, zerkając przez ramię na Nessa. Słyszeli już na górze chaotyczne wzmianki o kradzieży, lecz Uwen pytał o szczegóły.

–Plądrowanie wozów Jego Miłości – odpowiedział Ness.

–A więc jednak złodziej – mruknął Tristen na wspomnienie wrażenia, jakiego doznał przy kolacji.

–Ino dzieciak głodny, panie – rzekł Ness odważnie. – Bał się pode bramą pokazać, gdzie zwykle skibę chleba dostawał, a czasem cosik na ząb z resztek z pańskich stołów, w zamian za co z posyłkami biegał. Kiedy rozkazy przyszły, by go szukać, jakoby kamień w wodę.

–No i oprowadza przyjezdnych, prawda, Paisi?

–Panie... – Tylko tyle chłopiec zdołał wyjąkać. Wielki strach przenikał szarą przestrzeń.

–Calutki dzionek za nim gnali. Już, już mieli go wieszać – mówił Ness. – Za kradzież prywatnej własności.

–Nikt go nie powiesi – oświadczył Tristen. Widział niegdyś wisielców i wolał, żeby podobny los nie spotkał tego chłopca. –

Nie będzie się wieszać ani jego, ani nikogo innego. Jeśli gdzieś są złodzieje lub głodni, przysyłajcie ich do mnie.

–Panie – rzekł Ness słabym, zatrwożonym głosem, podporządkowując się rozkazowi.

Także Paisei wlepił weń spojrzenie wytrzeszczonych oczu, częste u pacholąt z wiosek Guelessaru, u których pałaca ciekawość mieszała się z dławiącym strachem. Upłynęło lato i minęła jesień, odkąd po raz ostatni spoglądali na siebie – Tristen nie miał pewności, czy byłby go rozpoznał po wyglądzie. Nie umiał określić, ile lat ma chłopiec, lecz bez wątpienia to właśnie jego spotkał w czasie tułaczki po ulicach grodu i to on zaprowadził go do Cefwyna. Podejrzewał, że to wcale nie przypadek skrzyżował ich drogi, choć żaden z nich wówczas o tym nie wiedział. Ness był wtedy strażnikiem. Z pewnością pamiętał.

–Ile możesz mieć lat? – zapytał. W oczach Tristena był to prawie mężczyzna. Paisei tylko wzruszył ramionami, jakby i to, razem z innymi rzeczami, wypadło mu z głowy.

–Od czternastu do szesnastu wiosen, nie więcej – odezwał się Uwen, ponieważ winowajca milczał. – Brak mu dobrych manier, panie, by go w przyzwoite progi zapraszać. Może do straży by się nadał, jeno trza by go nauczyć stać i na człeka patrzeć.

Co powinien zrobić z tym chłopcem, skoro go już znalazł? Nie zastanawiał się dotąd nad tym. Chciał jedynie wiedzieć, gdzie Paisei się znajduje, oraz upewnić się, że chłopiec będzie przy nim i nie wpadnie w obce ręce. Dołączył go do listy osób wymagających odszukania, a następnie odnalazł z tej samej

przyczyny, dla której poprawiał zapory i ryglował okna. Gromadził w jednym miejscu rozproszone dotąd siły służebne zamku, ratując je przed wpadnięciem w sferę złych wpływów promieniujących z Elwynoru.

Kiedy po raz pierwszy spotkał Paisiego, nie dostrzegł tkwiącej w nim mocy. Ale owego wieczoru dość mgliście wyczuwał nawet własną moc. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, czemu to właśnie Paisi spośród wszystkich chłopców w Henas'amef znalazł się na jego drodze i zaprowadził go do bramy Cefwyna. Nie dzięki przypadkowi, ale czarom trafił do księcia. Dawniej zastanawiał się, czy nie powinien był raczej pójść gdzieś indziej, może do Elwynoru, do lorda regenta... Drugie spotkanie z Paisim uświadomiło mu jednak, że nie przywiódł go tu ślepy los; Mauryl chciał, żeby dotarł na dwór Cefwyna.

Doznane olśnienie pchnęło go hen, ku Ynefel i z powrotem. Dopiero gdy poczuł na ramieniu dotknięcie ręki Uwena, przypomniał sobie, co tak naprawdę się liczy: wyciągnięcie chłopca z tej wyściełanej słomą celi.

Nie chciał go wypuszczać na wolność bez nadzoru, podobnie jak nie chciał tracić z oczu listów Mauryla, jego książek ani laski czarodzieja. Czar, który ściągnął jego samego na świat, ogarnął również Paisiego i uczynił zeń oś obrotu wielu istotnych spraw.

–Jeśli ma ochotę, może pomóc Tassandowi w wieży Emuina. Chętniej widziałbym go w domu niż gdzieś na ulicach.

–Ależ panie, on nam pokradnie srebra! Nie będzie tego chciał, ino strach mi, że go silna pokusa przemoże. Nie doceni łaskowości losu. Czego byś nie zechciał dzieciaka nauczyć, to

rozum jego przejdzie niby słońce czy gwiazdy. Zwyczajnie nie będzie wiedział, co myśleć o srebrze, głodnych gębach i swoich potrzebach.

–I ja tego nie potrafię – odparł Tristen, a wokół zaległa cisza. – Mimo to próbuję. – Nabierał coraz głębszego przekonania, że skoro na świecie tyle rzeczy ulegało zachwianiu, każdy należący doń element, pozostawiony na pastwę losu, mógłby ulec wpływom czarnej magii i ściągnąć na nich większe niebezpieczeństwo niż złamana zapora. Nie spodziewał się, iż odnalezienie Paisiego tak bardzo zaprzętnie jego uwagę, a zwłaszcza że będzie go wyciągał z tarapatów, uwięzionego przez królewską gwardię za kradzież. Ale nie był też specjalnie zdziwiony. Uwen miał rację. Paisi nie dawał się łatwo polubić.

Ciekawiło go, czy oprócz Nessa ktoś kiedykolwiek troszczył się o chłopca. Zastanawiał się także, z jakiego powodu, nie licząc zwyczajnej życzliwości Nessa, ktoś miałby się martwić o jedzenie i ubiór dla Paisiego. Kiedy on sam był bezradny, znajdował oparcie w Maurylu. Kogo jednak obchodził los Paisiego? I dlaczego?

–To twój chłopak? – zapytał Nessa. – A może twój krewny?

–Panie – odrzekł strażnik cicho, najwidoczniej w strachu, czy nie zostanie obarczony winą, niepewny reakcji Paisiego. – Jaki on tam mój krewny? O ile mi wiadomo, nie ma żadnych krewniaków. Jenó ja i moje kamraty troskę mu okazujemy, a on po mieście gania i donosi, kiedy cosik złego się wyrabia.

–A zatem był użyteczny?

–Ano, panie, był z niego jaki taki pożytek. Może raz lub dwa zdarzyło mu się coś ukraść.

–Okłamał was kiedyś?

–W niczym poważnym nie zełgał. Czasem bajki prawi, jak to dzieciaki. Dyc to jeszcze pędrak.

–W takim razie przygarnijcie go przynajmniej na noc. – Następnie zwrócił się do więźnia: – Pójdiesz z Nessem i zrobisz, co ci każe. Weźmiesz kąpiel w pomywalni, zjesz coś, a rano poślę do ciebie kogoś, kto ci powie, co masz dalej robić. Do tej pory broniłeś miasta i tak już pozostanie. Będziesz uczciwym chłopcem i niczego więcej nie ukradniesz, inaczej Emuin zamieni cię w ropuchę.

Paisi miotał rozpaczliwe spojrzenia to na niego, to znów w stronę Nessa i Uwena. Nie wiadomo, czy uwierzył w groźbę z ropuchą, lecz bez wątpienia zyskał pewność, że znalazł się w sferze wpływów czarnoksięskich działań i grozi mu niebezpieczeństwo.

–Mam wrogów – rzekł Tristen spokojnym tonem – i tylko uczciwość oraz służba u mnie mogą być ci ochroną. Nieuczciwość zaprowadzi cię prosto w sidła wroga. Równie dobrze mógłbyś pójść i zakołatać do bram Tasmordena.

–Dyc ja nic nie wiem o lordach i czarodziejach! – zaprotestował Paisi, po raz pierwszy wypowiadając dłuższe zdanie. – Nie wiem, co trza robić w Zeide!

–Ucz się, próbuj popełniać jak najmniej błędów. I niczego nie kradnij. – Kiwnął głową na Nessa. – Znajdziesz dla niego łóżko.

Niech mu dadzą coś do jedzenia. Ja przez to wszystko musiałem przerwać posiłek i opuścić mojego gościa. Wracam na górę. – Nagle dostrzegł ogrom swojego zaniedbania. Jak przedtem czuł mocną potrzebę, by tu przybyć, tak teraz jasno sobie uzmysłowił, że musi wrócić do Cevulirna i poprosić go o przebaczenie. – Przyślę rano Tassanda.

–I niechże mu bród spod paznokci wyskrobiają – dodał Uwen. – Widzi mi się, że jemu przez myśl to nigdy nie przeszło. Naucz go stać po żołniersku i tak się odzywać.

–Rozkaz, kapitanie – odparł Ness przestraszonym tonem. Na tym ostatecznie zakończyła się sprawa z Paisim i Nessem.

Tristen był przeświadczony o słuszności swego postępowania.

–Panie... – dobiegł go nagle młody, drżący głos. Zatrzymał się i odwrócił głowę. Pasi wszedł na najniższy stopień, a potem na jeszcze jeden.

–Panie... Chceszli cosik usłyszeć? Bo chodzą słuchy... Przy mnie o tym gadali...

–O czym gadali?

Zapadło milczenie, jakby chłopiec zbyt szybko się pośpieszył, chcąc udowodnić swoją użyteczność, chociaż mógł nie mieć nic istotnego do powiedzenia. Ness doszedł chyba do podobnego wniosku, dogonił bowiem chłopca i położył mu uspokajająco rękę na ramieniu.

–Na targu prawili... Prawili, jakobyś starą wieżę chciał

odbudować.

–Ynefel?

–Ano, panie, tę właśnie... I dawną magię przywrócić.

–Kto tak mówi?

–Ano, znachorki takiej prawią.

–Ma na myśli uzdrowiaczki – wyjaśnił Uwen. – Takie różne baby położne, zielarki.

Nie wiedział, jak ma się zachować wobec tego zarzutu, który prawdopodobnie był prawdziwy. Wszak przybył z Ynefel. Nie chciał jednak, by paplano o tym na ulicach, nie cieszył się szczególną przychylnością quinaltynów, o czym go Idrys przestrzegał.

–Nic o tym nie wiem – odrzekł. – Nie znam też żadnych znachorek. Co ci jeszcze wiadomo?

–Ledwie co wozy powyjeżdżały – mówił dalej Paisi – ludzie jęli o bliskiej już wojnie gadać. I o zaciągach do wojska.

–Nie zamierzam tu prowadzić wojny. Mam całkiem inne plany.

–Wiem, panie.

To nie były zwyczajne słowa. Kamienie wręcz dzwoniły ich echem. Na takie dźwięki zwyczajni ludzie byli jednak głusi.

Raptem Tristen sięgnął do szarej przestrzeni i pochwycił uwagę

Paisiego, przepelniając trwogą jego serce i tam, w szarości, mierząc go baczny spojrzaniem...

–Sądzę, że mnie słyszysz, Paisi.

–Święci bogowie! – wrzasnął chłopiec. W jednym świecie padł na kolana, w drugim zawirował w panice... i osunął się w ramiona Nessa.

Tristen nie dawał mu wytchnienia, zszedł jeden stopień niżej, przykuwał jego uwagę.

–Panie...

–Nie kłam – odparł Tristen w obu światach jednocześnie. – Skoro chcesz mi się przysłużyć, zapytaj znachorki, co chcą mi powiedzieć. Skupił na sobie uwagę Emuina, o czym dobrze wiedział. Starzec wyczuwał wyraźnie zarówno jego, jak i nieszczęśliwca. Paisi zauważył nagle obecność Emuina, odwrócił bowiem gwałtownie głowę i uciekł.

W świecie Ludzi Paisi nie trafił na stopień i znów runął na kolana.

–Panie – rzekł, dygocząc.

–Pójdiesz z Nessem – powiedział Tristen, po czym dodał: – Chłopcze? – Usłyszał jakby echo słów Mauryła, wypowiedanych życzliwym i stanowczym tonem. Kiedyż to role uległy odwróceniu? – Nigdy cię nie skrzywdzę.

–Panie mój – wyszeptał Paisi na kolanach.

–Poślij go rano do Tassanda – zwrócił się Tristen do strażnika. –

A potem niech się powłóczy po mieście, jak dawniej. Zleciłem mu pewną pracę.

Tym to akcentem zwieńczył pożyteczne dzieło. Odwrócił się i wspiął z Uwenem na schody.

Czekał tam na niego Emuin wraz z garstką Gueleńczyków. Wsunął dłonie w rękawy szarej tuniki, skąpany w złotym blasku kaganka osłoniętego przed przeciągiem. Podmuchy wszakże i tak kołysały płomykiem, przez co na twarzy Emuina przesuwwały się złowieszcze cienie.

–Złodziej, powiadasz? – zagadnął czarodziej głośno. – I co jeszcze? – zapytał w szarej przestrzeni. Szare chmury kłębiły się, wzburzone frasunkiem starca.

–Chłopiec – odpowiedział Tristen. – To on zaprowadził mnie do Cefwyna. Miałbym go odegnać bez opieki? On jest jak szczelina nad progiem. Teraz należy do nas.

–Do ciebie, młody lordzie, do ciebie. Ja nie mam z nim nic wspólnego!

Pamiętnego wieczoru Pairsi poprowadził Tristena prosto do bramy zamku Cefwyna. Czary umiały wykorzystać głód Pairsiego. Wykorzystywały słabe punkty, a jakież mógł być słabszy od bezdomnego chłopca w nocy? Wykorzystywały osoby z odrobiną daru, nie potrafiące się nim posługiwać. Jeśli istotnie szarą przestrzeń nawiedziła złośliwa wola, poszukująca wszelkich niedoskonałości jego Miejsca na świecie, właśnie wzmocnił jedną z nich silnymi zaporami. Był z Pairsim najzupełniej szczery. Jeżeli wroga siła dopadnie chłopca, który przyczynił się do jego pobytu

tutaj, on z miejsca pozna, że coś przestąpiło przez ten próg. Jednak sam chłopiec był równie niegroźny jak stare kobiety, o których mówił Uwen.

–Niegroźny! – Emuin podchwycił jego myśl. – Teraz niegroźny. Przywracasz dawną magię, nie ma co.

–Czy jest w tym jakaś prawda, panie? Czy ty to rozumiesz? Bo ja nie. I kim są te znachorki?

–Prawda, o bogowie, prawda! Przeklęta prawda jest taka, że magia osłabia i ponowne jej wskrzeszenie to ciężki trud, młody lordzie, trud tak wyczerpujący, że wylewasz z siebie łyk własnej osobowości, w której czarodziej, co ma przecie swój rozum, rozsmakował się jak w przednim winie. Niech mnie bogowie mają w swej opiece! Niech bogowie mają w opiece nas wszystkich!

Gueleńscy gwardziści, straciwszy więźnia z rozkazu diuka, stali naburmuszeni, gdy odbywała się ta krępująca, trwająca mgnienie oka rozmowa, podczas której Tristen wpatrywał się w Emuina, a czarodziej najwyraźniej unikał jego wzroku.

–Ten chłopiec jest złodziejem – oświadczył gueleński oficer. – Okradnie Waszą Miłość, jeśli puścić go wolno.

–Puszczę go wolno z pewną posługą. – Tristen nie miał pojęcia, co chłopiec ukradł i czy to odzyskano. Wyjeżdżające na granicę wozy załadowane były rozmaitym bagażem, zapasami żywności, dobytkiem żołnierzy, namiotami, częściami zapasowymi, obrokiem dla zwierząt. Paisi nie mógł jednak wykraść worka z ziarnem. Wziął pewnie coś mniejszego. – Cokolwiek zabrał – oświadczył Tristen – niech właściciel zgłosi się do Uwena, a ja

pokryję straty.

–Wasza Miłość – powiedział sierżant – to był żołnierski ekwipunek, któregośmy dotąd nie odzyskali.

–W takim razie Paisi powie, gdzie go schował. – Nie widział sensu w przeciąganiu dyskusji z oficerem, ruszył więc szybko ku dolnej sali, nauczony umykać przed napastliwymi natrętami. Rozwiązywał sprawę, wydawał precyzyjne rozporządzenia, po czym odchodził, wypłatając z kłopotów gwardzistów i inne towarzyszące mu osoby.

Zawsze jednak czuł się skrępowany.

–Cóż cię, na bogów, opętało, żeś urządził sobie dziś wycieczkę? – zapytał Emuin. Nie zapytał wszakże: Czemu nie dokończyliśmy kolacji? Nad tym przeszedł do porządku dziennego. Ale wyjazd z earlem... wielce go poruszył.

–Crissand mnie poprosił – odpowiedział bez osłonek. – Zauważyłeś, panie, jego dar?

–Podobny jak u tego chłopca. Jesteśmy w Amefel. W mniejszym lub większym stopniu połowa mieszkańców prowincji odznacza się tym darem.

–Ale nie aż w takim.

–Racja, nie aż w takim.

–Robię to, co uważam za stosowne. Proszę, panie, tym razem proszę usilnie, byś mi udzielił rady.

–Oho, nie zamierzam...

–Dobrze wiem, czego nie zamierzasz, panie! Ale racz wziąć pod uwagę, że zło przekroczyło rzekę. Przekroczyło, czyż nie?

–Na to wygląda.

–Tam szalała wielka burza! – W towarzystwie Uwena czy Lusina nie musiał zachowywać dyskrecji, oni bowiem przekonali się o wszystkim na własne oczy. Z wielkim trudem próbował jednak zapanować nad głosem, ażeby echo jego słów nie dotarło do pozostałych gwardzistów, którzy mogliby usłyszeć sprzeczkę między nim a Emuinem, a nawet treść owej sprzeczki. – To Crissand namówił mnie do wyjazdu. Spotkałem się z Leciwą Syes, lecz kiedy opuszczałem gród, Cevulirn był już od dawna w drodze. Twierdzę, że wyczułem na zachodzie jakieś zakłócenie, ty zaś mówisz, że nie na zachodzie. Gdzież więc mam tego szukać, panie? I co zrobić, jeśli już to znajdę?

–Nie mam zielonego pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi, młody lordzie. Już ci to powiedziałem.

–A jednak wróciłeś ze mną do Amefel.

–Ktoś musiał.

–Odkąd tu jesteś, nic nie robisz ze strachu przed wplątaniem się w zakłęcia Mauryła. Myślę, że Mauryl chciał, byś mi doradzał.

–To pewne, że chciał, młody lordzie! I w tym sęk, do licha! Miał cholerną czelność pozostawić ciebie i mnie w niewiedzy co do swoich zamierzeń. Ciebie, na domiar złego, nie powiadomił

nawet o twoich celach. Czy dlatego mam zmieniać moje plany? Bo gdyby pokrywały się z jego zamiarami, czyż rządziłbym teraz w Ynefel? Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie jestem sukcesorem Mauryła, a już z pewnością nie twoim panem! Jemu się użalaj, że ci nie doradzał! Czegóż chcesz ode mnie? Ja tylko idę za jego przykładem. Pozostawiam cię w niewiedzy niczym świeżo powite szczenię i ufam, że rozwijające się zakłęcie kiedyś ci ujawni twoje motywy i jego intencje. Dlaczego więc ponoszę większą winę od niego, hę? – Rozmowa nabierała zbyt ostrego tonu, nawet dla gwardzistów takich jak Lusin i Syllan. Emuin zdał sobie chyba częściowo sprawę z obecności świadków, zniżył bowiem głos. – Wybacz mi. Musisz jednak myśleć o polityce i odpowiednim zachowaniu, młody lordzie. Jestem głęboko przekonany, że znajomość tych sztuk tkwi gdzieś w tobie i objawi ci się w stosownym czasie. Jesteś lordem Amefel, zachowuj się więc, jak na lorda przystało! Udzielaj ludziom audiencji i nie skarż mi się więcej, że ci nie doradzam, skoro nie chcesz słuchać moich najprostszych wskazówek! Cóż mam ci powiedzieć? Załóż dwór! Znajdź sobie jedno miejsce i niech błagalne prośby przychodzą do ciebie, a nie na odwrót. Nie włócz się po okolicy w poszukiwaniu kłopotów! Jeszcze do tego nie doszło, byśmy musieli sami szukać kłopotów gdzieś przy wiejskich kaplicach!

–Nie wspominałem o żadnej kaplicy.

Na chwilę zapadła cisza, Emuin odwrócił wzrok.

–To znaczy, że wiedziałeś – ciągnął Tristen oskarżycielskim tonem. – Spodziewałeś się, że ją spotkam, a mimo to milczałeś.

–Powiedzmy, że nie poczułem się zaskoczony – przyznał Emuin.
– Ale ona zawsze wróży nieszczęścia, a nieszczęścia nawiedzą

nas na wiosnę, młody lordzie. Czy to dziwne, że wyrwała się już zimą? Posłuchaj mnie, jeśli zastosujesz się najpierw do rad, które ci teraz dałem, to później przejdziemy do tych, których podobno nie chcę ci udzielić.

–Mam założyć dwór, panie?

–To na początek.

–I spędzać całe dni na omawianiu dekoracji rzeźbionych drzwi, na dysputach z rzemieślnikami? W ten sposób nie dopilnuję naprawdę ważnych spraw.

–Lepsze to niż wywoływanie burz po wsiach. Niech ci się nie zachciewa figłów! Nie prowokuj niczego przed czasem.

–Czego mam nie prowokować, panie? I przed jakim czasem? – Tristen pragnął koniecznie poznać odpowiedzi na te pytania, bez względu na to, czy Emuin wiedział, co się czai za widnokrzem, czy też, równie jak on zdezorientowany, próbował zebrać strzępy informacji o tym, co im zagrażało. – Burze mogą sobie przychodzić zawsze z zachodu, ale i Ynefel leży na zachód stąd. Ciekawi mnie, czy wieża nadal jest pusta. Czuję, że nikt w niej nie mieszka. Tak mi się wydaje. A co ty o tym myślisz?

–Pusta ruina, bez dwóch zdań! Jestem przekonany, że nikogo tam nie ma, podobnie jak jestem przekonany, że nie ma żadnej czynnej kaplicy w Levey, żadnego upiora czy cienia pod przewróconym dębem, nie tej nocy, cokolwiek tam przebywało o świcie. Byłbym ci wszakże niewymownie wdzięczny, gdybyś przestał wraz ze swoimi ludźmi myszkować pod każdym kamieniem na tych ziemiach. Bierz sobie do serca moje

wskazówki, zamiast się pchać, gdzie popadnie, a potem biec do mnie po radę, jakbym miał wszystko z góry przewidywać! Nie umiem, nie chcę, nie będę. Patrzcie go! Odeszła mnie ochota do jedzenia i grzecznych pogawędek. Idź, zabaw swojego gościa. Ja, jeśli pozwolisz, wrócę do wieży, mój szanowny, łaskawy panie. Debatę nad pognębieniem Tasmordena pozostawiam młodszym głowom. Jużem znużony.

–Nie dokończyłeś kolacji. Z chęcią wysłuchamy twoich rad. Chodź ze mną i zjedz swój posiłek. Proszę, panie.

Znów nastąpiła długa pauza. Emuin wyglądał na zmieszanego i zmęczonego.

–Ty mnie wcale nie słuchasz! Już nic do ciebie nie dociera? Crissand wywabił cię z zamku. Crissand zaprowadził cię do kaplicy. Kim właściwie jest Crissand? Czym jest Crissand?

–Moim przyjacielem, panie. Moim wiernym przyjacielem. – Strach ścisnął serce Tristena. – Twierdzisz, że nim nie jest?

–Nie aż tak wielkim, jakby tego pragnął. – W mętnym świetle usta Emuina zadrżały, jak gdyby zamierzał powiedzieć więcej, ale się powstrzymał. – On jest Aswyddem. I Amefińczykiem. A ty należysz do Mauryła. Zawsześ doń należał... No, idź już do swojego gościa. Jego przybycie to także doniosłe wydarzenie. Tak samo jak zabranie z ulicy tego łapserdaka, którego teraz posyłasz, żeby dręczył znachorki. Ja wracam do siebie.

–Gniewasz się, panie, a ja chcę tylko poznać prawdę.

–Ależ skąd, jestem w doskonałym nastroju. Pragnę już wrócić do

wieży. Jakoś zdołam się wdrapać na schody, lecz nie zniósłbym wspinaczki do ciebie na górę, potem znowu w dół i znowu na górę. Wybacz, ale obmierzło mi już to łażenie po schodach, raz na obiad, raz do wartowni, raz na wieżę. Twoje kości nie znają jeszcze bólu starości, młody lordzie. Tamte schody są dla mnie niczym góra. Tak samo wieża, lecz w niej przynajmniej czeka na mnie łóżko.

–Panie. – Poczł skrucę. Podniósł głos na Emuina, choć marzył o zdobyciu jego zaufania. Nie wiedział, jak je sobie zaskarbić. – Każę przysłać ci kolację.

Emuin popatrzył nań starczymi, budzącymi wspomnienie o Maurylu oczyma, przysłoniętymi pełnymi zmarszczek powiekami. Od ostatniego lata skóra na twarzy mu obwisła, pogłębiły się bruzdy. Wszelako gdy tak patrzył, w głębi jego mrocznych źrenic dostrzegał ogniki, lustrzane odbicia tańczących płomyków świec.

–Mistrzu Emuinie, Leciwa Syes opowiadała mi różne rzeczy. Próbowałem powtórzyć ci jej słowa. Słyszałeś mnie?

–Owszem, słyszałem. Wszystkoś mi powiedział?

–Wszystko, co zrozumiałem.

–W takim razie rozumiesz więcej ode mnie – stwierdził Emuin. – No, z chęcią wrócę już do wieży, młody lordzie.

–Czy dobrze postąpiłem?

Czarodziej znów obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

–Spisałeś się świetnie – oświadczył niespodzianie, po czym

odwrócił się, by odejść. Pozostawił Tristena oszołomionego, acz zadowolonego z tej ostatniej wypowiedzi niby z ciepłego płaszcza na mroźnym wietrze. Odchodząc, starzec wyglądał na osłabionego i kruchego w tym korytarzu, gdzie zawsze czuło się obawę.

Tristen i tym razem zaniepokoił się, nawet silniej niż zwykle. Wiele świec pogasło. Winę za to ponosił nieustanny przeciąg we wschodnim skrzydle zamku, z którym walczyli służący, raz za razem zapalając świece. Czemu tak się działo, nikt nie wiedział. Światło gasło tu od niepamiętnych czasów, jak mawiali służący.

Mroczniały przez to także schody w wieży Emuina, zwłaszcza gdy mistrz otwierał swoje drzwi na górze.

–Syllan – rzekł Tristen.

–Tak, panie.

–Idź z nim. Niech mu niczego nie braknie. Zrób mu herbatę. Przynajmniej dwaj gwardziści zawsze mieli strzec Tristena, ale był z nim przecież Uwen. Syllan pokłonił się i ruszył za mistrzem Emuinem, Tristen zaś razem ze swoimi uzbrojonymi towarzyszami zaczął się wspinać na górę.

–Mistrz Emuin powiada, że mamy kłopoty – mruknął Uwen w drodze do apartamentów Tristena. – Niebezpieczeństwo jakoweś nam grozi. Cóż my, prości ludzie, czynić mamy, jeżeli to czary?

–Chyba nie musimy teraz tym się przejmować – odrzekł Tristen.
– To, czego powinniśmy się bać, przebywa na razie za rzeką.

–Zali potrzebowalibyś nas, gdyby tak było? Uwen miał sporo racji.

–Żałuję, że tak się uniosłem i go rozgniewałem – powiedział Tristen. On też wpadł w złość, a to mu się dawniej nie zdarzało. Ze zgrozą wracał myślami do niedawnej przeszłości, wspominał swój uzasadniony gniew na Parsynana, potem gniew wywołany zamordowaniem kustosza i gniew na pracujących robotników. Właściwie już od wielu dni powodował nim gniew. Odnosił wrażenie, iż nie ma nawet czasu odłożyć miecza... Był inny niż reszta Ludzi. A dopóki dzierżył miecz w dłoni, dopóty różnił się od nich jeszcze bardziej. Doznawał uczucia, jakby go dobył u bram Amefel i od tamtej pory bez przerwy nim władał.

O mało nie zrugaliby Emuina... gdyby nie obecność świadków. Wygnał Cuthana, wypędził w okrutny sposób Parsynana i zrobił całe mnóstwo rzeczy, na które nigdy by się nie zdecydował, gdyby nie dobył ongi tego miecza pod bramami Henas'amef.

Nie wiedząc, jak ma postąpić, postanowił nie chować broni do pochwy, tylko nadal stać w obronie miasta. Powinien jednak panować nad swoim wzburzeniem, powiedział sobie w duchu, kiedy weszli na właściwe piętro. Nauczyć się nosić przy sobie miecz, ale go nie używać – o to chodziło. Przypuszczalnie Cefwyn opanował tę sztukę, a także Uwen i inni, których rzemiosłem była wojaczka... Sam fakt, że doskonale posługiwał się bronią, nie oznaczał wcale, iż potrafił z jej pomocą zapewnić całkowitą ochronę tym, którzy byli po jego stronie.

Czyż pod Emwy nie rozbił w pojedynkę pierścienia nieprzyjaciół? Czyż nie naraził na niebezpieczeństwo wszystkich, których próbował ratować?

Dostał surową lekcję. Udzielił mu jej Emuin, prawdopodobnie nie za pomocą słów, ale poprzez swoją nieobecność. Znacznie już uspokojony, zbliżył się do drzwi, gdzie czekała nań pozostała część jego przybocznej straży, Aren i Tawwys, a także ivanimska eskorta. Obecność tej ostatniej wskazywała, że Cevulirn jeszcze nie wyszedł, co napełniło Tristena szczerą wdzięcznością.

–Potrzebuję gwardzistów ze względu na możliwość zamachu – powiedział do Uwena, gdy wchodzili do przedpokoju. – Myślę, że Elwynimi pošlę swoich zamachowców. Obawiam się przede wszystkim o moich przyjaciół. O ciebie. Miej się na baczności.

–Skoro Tasmorden za rzeką zawiaduje, jużci, że nadejść łącno mogą i to by mnie nie zdziwiło – odparł Uwen. – Martwi mnie jeno, żeś niepotrzebnie owego rzezimieszka najął, panie. Gotów jeszcze wszystko Nessowi wyszczekać, a i bez tego dość plotek o tobie chodzi.

Uwen miał rację i warto było rozważyć jego słowa.

Cevulirn uporał się już z kolacją. Siedział z kielichem wina w ręku, grzejąc stopy przed kominkiem, zapewne pod troskliwą opieką Tassanda. Mimo że głowę miał zwieszoną na piersi i wyglądał na zmęczonego, popatrzył na Tristena spokojnym i całkowicie trzeźwym wzrokiem, kiedy ten podszedł do paleniska.

–Sprawa załatwiona – poinformował go Tristen. Usiadł obok na krześle, zapraszając gestem Uwena i Lusina do stołu z resztkami wieczerzy. – Dziękuję, że zaczekałeś.

–Czy zechcesz, panie, coś zjeść? – zapytał cicho Tassand tuż nad jego uchem.

–Nie, już się najadłem – odpowiedział, siłąc się na jak najuprzejmiejszy ton. Tassand dyskretnie, z ledwie słyszalnym szmerem trzewików, wsunął mu w dłoń kielich z winem, a na stoliku stojącym w zasięgu ręki położył tacę z ciastkami. – Dziękuję, Tassandzie.

–Panie. – Kiedy opuścił ich ochmistrz i siedzieli wygodnie przy ogniu, Cevulirn wciąż powstrzymywał się od pytań, choć jego ciekawość wisiła wręcz w powietrzu.

–To był chłopiec, którego szukałem – ozwał się Tristen.

–Aha.

–Chłopiec z darem. Podobnym do twojego – rzekł, wpędzając jedną błahą myśl w gmatwaninę skojarzeń. Cevulirn przypominał Paisiego, nie chciał się więc rozstawać z owym istotnym filarem bezpieczeństwa Cefwyna.

Cevulirn spuścił wzrok, skrywając na chwilę swoje szare oczy. Tak poświadczona prawda wystarczyła Tristenowi, nie potrzebował bardziej naciskać. Baron znał treść jego misji, jak również własną wartość, czuł się więc zobowiązany do działania. Crissand, także mający dar, zakłopotany podczas wycieczki, zabrał na nią istny pułk eskortantów. Młody Paisi wprawdzie zaprzeczał, jakoby dopisało mu coś więcej prócz szczęścia po wtrąceniu do lochu, lecz wszystko to zdarzyło się jednego dnia. Wiatry wiały dawnym trybem i nie było w tym niemal żadnego przypadku.

Kiedy tej nocy przeszukiwał szarą przestrzeń i okoliczne ziemie, dostrzegał nie dokończone prace, nie rozstrzygnięte pytania...

Uzmysłowił sobie, że wieczorem uzyskał ważniejsze informacje niż rano, nawet wzięwszy pod uwagę wizytę w wieży, skąd chciał wyciągnąć Emuina. Znał wszelkie uszkodzenia w zaporach broniących zarówno Zeide, jak i Henas'amef. Te spośród nich, które nadawały się do usunięcia, zdążył już zlikwidować.

Ale pojawienie się Leciwej Syes wzbudziło w nim niepokój. Podobnie jak przewrócony dąb albo niedostatek oficerów i lordów umiających utrzymać porządek podczas jego wypraw za miasto. Niepokojem napełniał go brak armii na granicy między jego włościami i Elwynorem, którą tworzyła długa, płynąca borami rzeka. A on nawet nie widział elwynimskich ziem.

–Zostaniesz ze mną czy musisz wracać na południe? – zapytał Cevulirna.

–Mam u siebie parę spraw do załatwienia. Ogłoszę zaciągi na wiosenną kampanię. A nuż Jego Królewska Mość wezwie mnie na pomoc?

Skażone południe, tak brzmiały słowa Cefwyna. Owo określenie uparcie nawiedzało myśli Tristena: bzdura, bzdura, bzdura, uważał, aczkolwiek Cefwyn miał swoje racje.

–A jeśli nie wezwie ani ciebie, ani mnie? Co wtedy? Stoję tu na straży granicy i nie pozwolę Elwynimom walczyć na amefińskiej ziemi. Cefwyn twierdzi, że północ musi wygrać wojnę, ja zaś powiadam, że południe nie może jej przegrać.

–Zaprawdę, dobrze powiedziane. Jeślibyś zapragnął, Wasza Miłość, bym przyprowadził tu swoją jazdę na zimowe leże, a

namioty choćby pod granicą rozstawił, niechby tak było. Gdybyś tylko uznał za stosowne... lub bodaj wygodne... Południe nie może ponieść klęski w wojnie.

Sam nie wiedział dlaczego, może z powodu odrobiny magicznego daru, który wyczuwał w Cevulirnie, czuł do tego szczupłego, siwego człowieka największą sympatię spośród wszystkich lordów południa i północy.

–Tasmorden oblegał Ilefian, a równocześnie obiecał Amefińczykom wsparcie, jeśli przystąpią do buntu – rzekł. – Ale srodze się zawiódł. Teraz ja władam prowincją. Chcę tylko, żeby Cefwyn pozwolił nam pomaszerować na Ilefian.

–O to samo zabiegałem u Jego Królewskiej Mości i lorda komendanta.

–Prosiłem Cefwyna, żeby wysłał nas obu na wojnę. Ale on się uparł, że atak należy przeprowadzić z północy. Pewnie boi się Ryssanda i Murandysa. – Tristen potrząsnął głową. – Dlaczego tak na nich polega?

–Bo jest Gueleńczykiem – odparł Cevulirn. – Hołduje przekonaniu, że ciężkozbrojna jazda i pikinierzy stanowią główny trzon jego armii. Dyskutowaliśmy na ten temat długo i zawzięcie. Podtrzymuje swoje zdanie wyłącznie po to, żeby ukryć prawdziwe powody, dla których wrócił latem do Guelessaru. Boryka się z rozłamem wśród Gueleńczyków. Dostrzega zagrożenie związane z Murandysem, z ambicjami Ryssanda, a zwłaszcza z jego wpływem na quinaltynów. Gdybyśmy tego lata ruszyli na Ilefian i odzyskali tron dla Jej Miłości, gdyby wszystko poszło jak z płatka, musiałby po powrocie do Guelemary przedstawić treść

przymierza z Elwynorem, które Ryssand natychmiast by oprotestował. Cała północ opowiedziałaby się za Ryssandem: Nelefreissan, Isin, bez wątpienia Murandys... W królestwie zapanowałby rozłam. Cefwyn stawił im czoło w boju o traktat dobrosąsiedzki i zarazem o swój ślub. Wszystko wskazuje na to, że pokonał większość przeciwnych mu baronów. Dopiero gdyby Ryssand nastawał na cześć Jej Miłości, wówczas wystąpiłby przeciwko niemu i Murandysowi, a w razie zbrojnego konfliktu pogrzyzył królestwo w ruinie. Niech bogowie zlitują się nad Ylesuinem... No i dzięki bogom, żeś przysłał mu ten list. Teraz możemy mieć nadzieję, że nas wezwą, a Ryssandem pogardzą. Ale musimy być gotowi... Gotowi do szybkiego działania, tak by północ nie zdążyła przedstawić zastrzeżeń.

–Musimy się zbroić zimą. Cefwyn zakazał nam, bo musiał. Czyż lordowie nie mogą tu przybywać na narady... w bardzo licznej eskorcie? Graniczymy z Elwynorem. Crissand uznał za właściwe wziąć dużą eskortę, a inni też chyba mają do tego prawo?

–Lordzie Amefel, stałeś się nad podziw chytry.

Zapadło tak głębokie milczenie, że trzask ognia wydawał się wyjątkowo donośny. Żaden dźwięk nie dobiegał od strony Uwena i Lusina, którzy czekali w pewnym oddaleniu.

–Możemy przecież powtórzyć to, cośmy zrobili latem – rzekł Tristen. – Chyba się nie mylę? Trzeba przygotować ognie sygnałowe, jak przed Lewenbrookiem, Wszcząć konieczne przygotowania, żeby Tasmorden stracił ochotę na najeżdżanie naszych ziem. Czyż tego roku nie świętujemy zimowego przesilenia? A może źle usłyszałem? Wolno mi chyba zapraszać przyjaciół na ucztę? Ponoć w taki sposób lordowie ukrywają swe

prawdziwe zamiary. Pod pozorami, które nie zwiodą nikogo przy zdrowych zmysłach, a których nikt nie ośmieli się otwarcie kwestionować. – Takie właśnie zachowania obserwował w Guelemarze, tak postępował Cefwyn i Ryssand. Znaczenie pozorów objawiło mu się niczym nowe Słowo, skuteczne jak dobrze wyważona klinga. – Jeżeli przyjadą do nas te wszystkie liczne eskorty, jeżeli zbierzemy armię – ciągnął – czy baronowie z północy nie rozumieją, że jesteśmy lojalni wobec Cefwyna? I czy lord Umanon nie dołączy raczej do nas niż do reszty Gueleńczyków? A jeśli tak się stanie, czy Llymaryn i Marisał nie przystaną do Cefwyna zamiast do Ryssanda? Jeśli zaś Tasmorden zacznie bać się naszych planów, czy nie podzieli swojej uwagi między nas i Cefwyna? I czy Elwynimi popierający sprawę Jej Miłości nie odzyskają wiary?

Znowu zapadła krótka cisza.

–Wasza Miłość – rzekł Cevulirn – niech nikt nie mówi, żeś głupi.

–Emuin nie podziela tego zdania. Ani Idrys. Nie minęła jeszcze godzina od ostatniego głupstwa, które popełniłem: rozzłościłem Emuina. A jednak wiem, że Corswyndam i Prichwarrin będą łączyć i troszczyć się tylko o siebie, nigdy o Cefwyna. Jeśli Cefwyn będzie miał oparcie tylko w nich, zaczną wysuwać żądania, ilekroć poprosi ich o pomoc.

–To prawda.

–Wobec tego my mu pomożemy. Cefwyn twierdzi, że nie może zmobilizować południa, aby nie urazić północy. Tylko że północ jest nam nieprzychylna bez względu na to, czy chwycimy za broń, czy też nie. Maszerowaliśmy już razem do boju. Znamy

nasze miejsca w obozie. Wszystko to już wiemy. Nie musimy się kłócić jak baronowie z północy. Założymy po prostu obóz, a wiosną, kiedy Cefwyn ruszy na wyprawę, my też przekroczymy rzekę. Staniemy na drugim brzegu i niech Tasmorden myśli, co chce. Nie wolno nam wprawdzie wygrać wojny, lecz Cefwyn przysłał mnie tu do obrony granicy. A więc będę jej bronił... z przeciwległego brzegu Lenuaimu.

–Możesz liczyć na Ivanor – oświadczył Cevulirn z ogniem w oczach. – Olmern, Lanfarnesse... wszyscy nadejdą.

–A co będzie z Imorem? – Jak daleko Tristen sięgał pamięcią w swą krótką przeszłość, lord Umanon zawsze stronił od reszty i gardził niedawno uszlachconym lordem Olmernem. – Jego jestem najmniej pewien, ale coś mi się zdaje, że prędzej opowie się przy nas niż przy Murandysie. A jeśli on do nas dołączy, wszystkie neutralne prowincje Ylesuinu pójdą za jego przewodnictwem.

–Nie znosi Murandysa, to nie podlega dyskusji. Pozwól, bym to ja rozesłał listy. Jeżeli ich zwołam w moim imieniu, północ nie będzie niczego podejrzewać. Jeżeli moi gońcy będą jeździć tam i z powrotem, nikogo to specjalnie nie zdziwi. Bogowie wiedzą, że lordowie z północy chętnie poznaliby treść naszych rozmów, ale niechbyś jeno sam zaczął wysyłać wiadomości, nie wiem, co by sobie wyobrazili... Twoje zdrowie, Amefel. – Cevulirn przytknął kielich do ust i pociągnął spory łyk... tutaj, między spiżowymi smokami i zielonymi tapiseriami, świadkami śmierci zadanej za pomocą podobnych kielichów. – Obyś długo panował... lordzie Sihhe, lordzie Amefel i Althalen.

–Nigdy tak nie mów. – Tristen uczuł gorąco na twarzy,

zaniepokojony dziwnym nastrojem i gadatliwością Cevulirna. –
Wciąż na próżno namawiam ludzi, żeby tego nie powtarzali.

–Jesteś, czym jesteś. I szczęście to dla Jego Królewskiej Mości,
że mu wiernie służysz. Bałbym się wchodzić ci w drogę.

–Emuin mówi to samo, choć chciałbym, żeby mi się sprzeciwił.
Potrzebne mi jego rady.

–A zatem ja ofiaruję ci swoje. Jego Królewska Mość znajduje się
w poważnym niebezpieczeństwie, które nie ma związku z tym, że
jesteś Sihhijczykiem, lordzie Amefel. Nie wiąże się ono nawet ze
ślubem króla, Gueleńczyka, z Elwynimką. Niebezpieczeństwo
polega na tym, że Selwyn Marhanen, aby objąć tron,
sprzeniewierzył się nikczemnie łatwowiernemu władcy, a
Inareddrin Marhanen zyskał władzę, podsycając niezaspokojone
ambicje rywali swojego ojca. Obaj zwykli napuszczać lorda na
lorda i syna na syna z obawy przed zamachem... którego nie
ustrzegł się Inareddrin, jak pokazała przyszłość. I zwykły
człowiek, i król są kowalami swego losu.

–Co masz na myśli?

–Zauważ tylko, że w wyniku żądań Ryssanda tron Cefwyna stoi
na kamieniu. Układność wobec Ryssanda, udzielenie mu
jakiegokolwiek władzy, było fatalnym błędem. Ustępstwa,
ustępstwa, ustępstwa... Daj to, daj tamto, a wszystko z powodu
małżeństwa, cała ta wojna. W dodatku pod pretekstem obawy
przed Tasmordenem, który jedynie dlatego stał się zagrożeniem,
że Cefwyn nie zechciał natychmiast po Lewenbrookku
przekroczyć rzeki i zdobyć dla Jej Miłości elwynimskiej stolicy. A
teraz proszę, Tasmorden wygubił rywali, wzmocnił wojska i

jeszcze tej zimy, kiedy upadnie Ilefian, zgładzi stronników regentki. Wiosną my wybijemy jego stronników, podobnie jak latem Aseyneeddin, a przed nim Caswyddian rozprawili się z opozycją. Jeden rok więcej takiej rzezi, a w Elwynorze nikt nie oстане się przy życiu poza głodującym chłopstwem, łgarzami i kurkami, które tak się obracają, jak wiatr powieje. Z taką ludnością nie zbudujesz silnego państwa. A niech to, Amefel. Nie słynę z rozmowności i wyczerpałem już chyba cały mój zapas słów, podsumowując sześć miesięcy spędzonych w bliskiej kompanii Jego Królewskiej Mości.

–On wielce sobie ceni twoje rady.

–W każdym razie zwraca na nie uwagę. Chociaż Jego Królewska Mość dostawał mądre rady ode mnie, od Idrysa, od Jej Miłości i od ciebie, haniebnie je zignorował, byle zadowolić Corswyndama i Ryssanda, którzy sprawowali niemalże królewską władzę w czasie ostatnich rządów. Nie dziwota, że nadal walczą z monarchą o prymat. Oto człowiek, dobrze mnie zrozum, który wyrządzi nam jeszcze większe szkody od Tasmordena. Jego Królewska Mość uważa, że zdoła pokonać buntownika rozumem, nie siłą, ja wszakże twierdzę, że jedynie solidny płot powstrzyma osła, którego interesują cudze pastwiska.

Tristen usłyszał prawdę. Wszystko, co dotąd zaobserwował, potwierdzało słuszność wywodów Cevulirna. Doszedł nawet do własnych wniosków.

–Jak dobry władca postępuje z ludźmi pokroju Ryssanda, panie?

–Komuż zależy na tym, by władca był dobry, Amefel?

–Poddanym, panie.

–Tak, to prawda. Cefwyn zna odpowiedź. Łudzi się jeno nadzieją, że jego reakcja na wyzwania Ryssanda będzie nieco inna, o ile jutro wykaże więcej sprytu. Tak czy inaczej dobrzy, lojalni poddani nie powinni być dzisiaj narażeni na złośliwości Corswyndama. Król ma już traktat i małżonkę. Nie czas mu teraz bawić się z samolubnym lordem, nie czas i jego ludziom. – Cevulirn odstawił pusty kielich. – Rad jestem, że mam Ryssanda za wroga. Wolę już mieć go przed sobą niż za plecami, ze względu na dobro własne i moich ludzi. Oby Cefwynowi wrócił zdrowy rozsądek.

–Rozumiem wszystko, co mi mówisz, panie – stwierdził Tristen.
– I zgadzam się z tobą.

–Wychylmy jeszcze po kielichu, a potem pójdę posłusznie spać. Dosyć zdrad z mojej strony, jak na jeden wieczór. Pobędę u ciebie jeszcze kilka dni, a potem wrócę do domu dla uporządkowania pewnych spraw... na święta zaś przycwałuję tu z powrotem w stosownej sile. Jeśliś nie żartował.

–Nie żartowałem. W Henas'amef dostaniesz wszystko, czego ci będzie trzeba: drewno na opał, płótna, ziarno, cokolwiek. Mam tu stu żołnierzy Gwardii Gueleńskiej i dwustu Smoków, którzy muszą wracać z nadejściem wiosny. Póki co, są na moje rozkazy. Lord Parsynan nie zamierzał przeprowadzać zaciągów, nie uzupełnił zapasów broni ani rynsztunku po bitwie nad Lewenbrookiem. – Tristen nie chciał wyliczać uchybień Parsynana, przeszedł więc do rzeczy: – Obietnica, którą złożyłem Cefwynowi, nie pozwala mi beczynn timer patrzeć, jak Tasmorden przekracza granicę. Musimy zdobyć przyczółki

mostów.

Wypowiedź ta spotęgowała osobliwy nastrój Cevulirna.

–Jako żywo – powiedział. – Może zanim wyjadę, powinienem osobiście zerknąć na te mosty?

Tristen nie miał pojęcia, czy Emuin słuchał jego rozmowy z Cevulirnem, lecz odnosił wrażenie, że zamknięty w swej wieży starzec rzeczywiście odżegnał się od lordów snujących plany, których nie pochwalał.

Ale Uwen wszystko słyszał.

–Czy to niedorzeczne? – zapytał go później Tristen, po odejściu Cevulirna, kiedy Tassand i pozostali służący zdejmowali mu przed snem szaty. – Myślę, że życzy Cefwynowi jedynie dobra. Z pewnością nie jest głupcem. Ufam mu.

Uwen dawno już przyzwyczał się do tego rodzaju pytań i do wygłaszania sądów na temat ludzi, których nazywał lepszymi od siebie. Lecz zawsze na osobności i po cichu.

–Głupim zaiste on nie jest i nigdy nie był. – W spojrzeniu Uwena czaiła się jednak jakaś obawa, jakby czegoś nie dopowiedział. Milczał wpatrzony w ogień kominka, dopóki Tassand i reszta czeladzi, ludzie przecież zaufani, nie opuścili komnaty.

Uwen zawsze tak postępował, ilekroć chciał coś wyznać w cztery oczy. Tristen otulił się ciepłym szlafrokiem i podszedł do kominka. Płomienie rzucały na twarz Uwena świetliste refleksy, najjaśniejsze na srebrzystych włosach, które kapitan trefił, odkąd urosły.

–Znać, że ten gołowąs, Jego Lordowska Mość Crissand i Cevulirn to pionki od kompletu, panie – odezwał się Uwen. – Razem z tą kobietą... Wiedźmą.

–To dobrze czy źle?

Uwen ustawił się doń profilem, zatopił wzrok w płomieniach.

–Sam chciałbym to wiedzieć, chłopcze. Nie mi jednak doradzać diukowi.

–Powiedziałaś do mnie "chłopcze".

–Owszem, racz mi wybaczyć. Nie powinienem.

–Nadal mnie tak nazywaj i powiedz prawdę. Czy jestem głupcem?

Spojrzenie kapitana znów padło na Tristena, skupione, odrealnione wśród blasków i cieni.

–Jakże mi rzec coś takiego?

–Uleman nazwał mnie królem. Leciwa Syes powiedziała: "lordzie Amefel oraz

aethelingu". To drugie określenie dotyczyło Crissanda, jestem tego pewien. Crissand jest dziedzicem aethelingów. Ona chciała zasugerować, że to on powinien tu rządzić. Wobec tego czym ja powinienem być? Czym powinienem być, Uwenie?

–Kobieta jakoweś dyrdymały prawila – rzekł Uwen poważnie – aliści w Ylesuinie jeden król władzę trzyma i rzec co inszego, to jakoby maczać ręce w zdradzie, chłopcze, o czym dobrze wiesz. W ogień bym za tobą skoczył, to ino wiedz, że Jego Królewska Mość nie chce słyszeć o żadnym królu w Amefel. Wątpię, by Jego Miłość z Ivanoru takóž chciał o tym coś usłyszeć. O nie, on nie przekroczy tego progu. Co innego ja, ale nie on.

Rozmyślanie o jakimkolwiek królu prócz Cefwyna budziło lęk, więc się przed tym bronił.

–Wiem. I nie zrobiłbym niczego przeciwko Cefwynowi.

–Cosik mi się zdaje, że Jego Królewska Mość wyrobił już sobie osąd, czymżeś jest, chłopcze, a i lord komendant wątpliwości nie żywi.

–Rozmawiałeś z Idrysem? Wiesz to na pewno?

–Wiem to, panie, ajuści. Tyś jest mój pan i o tym lord komendant nie zapomina, kiedy ze mną rozmawia, co, przyznaję, uczynił, nim ruszyliśmy do Guelemary.

–Co takiego mówił?

–Rozsądnie prawil. Cobym strzegł twoich pleców, panie, i uważał, żebyś nie postępował pochopnie. Lord komendant lepiej ci życzy, niżbyś sądził. Bądź sobie, kim chcesz, i tak nie jesteś lordem Ryssandem, a o prowincję aniś słowem nie prosił. Jego Królewska Mość ci ją nadał, nie brakło też błogosławieństwa Jego Świątobliwości. Toż sam król patriarchę przejednał, nie na odwrót. Spać możesz spokojnie, bo Jego Królewska Mość wie, ktoś ty, a mimo to popiera cię przeciwko Ryssandowi, quinaltowi i całej reszcie.

Tristen upajał się cichą muzyką słów Uwena. Uśmierzała ona jego lęki, rozwiewała rozterki i mówiła mu rzeczy, którym z całego serca pragnął dać wiarę.

–Ty się mnie nie boisz, Uwenie?

–W kółko o to pytasz, panie, a odpowiedź wciąż ta sama. Może winieneś był rozmawiać z mistrzem Emuinem nieco spokojniej, aliści rozumie on, jako i ja rozumiem, iż ciężkie brzemie teraz dźwigasz, nader dokuczliwe. Nie dziwota, że ci ono doskwiera. Wszelako trza było spokojniej.

–Wiem i żałuję. Pożałowałem zaraz po tym, kiedy to się stało.

–Panie, ja w tym nie widzę nic zdrożnego.

–Nie. Tyle że jestem głupcem. Głupcze, powiedziałaby Idrys. I Mauryl. Leciwa Syes wystraszyła Emuina. A przecież tylko ostrzegała, o ile mi wiadomo. Co robią czarodzieje... to zupełnie inna sprawa.

–To już nie na mój rozum.

–To, co ja robię, co zrobił Mauryl i Emuin... Wszystko to jest ze sobą powiązane. Cevulirn przyjechał nie dlatego, że tak chciała Leciwa Syes. Kto rozpętał burzę, Uwenie? Kto rozpętał burzę?

–Ani chybi, panie, nie była to rzecz naturze przyrodzona. Ale żeby takie mocarne drzewsko obalić... Cokolwiek tam od wieków stało, teraz już, myślę, do cna rozwalone.

–Rzeczywiście. – Tristen wskrzesił w pamięci obraz sędziwego drzewa, którego wyrwane korzenie wyjrzały na światło pomiędzy cieni i tajemniczych czeluści, gdzie głęboko pod ziemią oplatały stare kamienie. Kto wie, czy Cienie nie wydostały się na wolność? Mogły podążyć za Leciwą Syes albo za jej córką. To również musiał rozumieć Emuin, skoro Tristen to pojął.

Chociaż wspierał boscie stopy na ciepłych kamieniach, dreszcz nim wstrząsnął, gdy poczuł nagły przeciąg. Nad nim czyhały smoki, rzucając w blasku ognia chybotliwe cienie na sufit.

–Powiniennem napisać list – powiedział. Mijał ledwie drugi tydzień, odkąd po raz ostatni wysłał gońca zaśnieżonymi drogami, trudnymi do przebycia dla człowieka i dla konia.

–Do Jego Królewskiej Mości?

–Tak, do Cefwyna. Idrys mi mówił, żebym pisał, kiedykolwiek zechcę. Ostatnio pisałem o Cuthanie.

–Listy mają tę cechę, że niekiedy błędzą, panie. Na miłych bogów, ino nie wspominaj o spotkaniu z Ivanorem.

–Wiem. – Nie był aż takim nowicjuszem, by się nie domyślić, co zrobiłby Ryssand z takim listem w ręku. – Spodziewałem się, że Cefwyn do mnie napisze.

–Nowożeńcy nie zwykli myśleć o słaniu listów, panie. Z drugiej strony... może i posłał. Zali ostatniemu królewskiemu kurierowi nie brakło nieco szczęścia?

Mówił prawdę, zabili go ludzie Edwylla, ojca Crissanda.

Gościł u siebie Cevulirna i oczekiwał wizyty następnych lordów... Cóż wobec tego mógł lub powinien napisać? Nie wiedział też, kogo wysłać, by zyskać pewność, że list trafi do rąk Cefwyna. Nawet pośród królewskich heroldów wielu służyło kiedyś staremu królowi. Ci równie dobrze nadal mogli być wierni Ryssandowi, nawet jeśli przyjeżdżali do niego. Może i był głupcem, ale to rozumiał.

–Napiszę, co mogę – powiedział. – Oby się domyślił wszystkiego, czego nie oddam piórem. Napiszę, ale wprawdzie muszę się dowiedzieć, jak stoją sprawy nad rzeką.

Rozdział szósty

Cefwyna głowa bolała w miejscu, gdzie przylegała korona. Tego ponurego, mroźnego poranka jadł samotnie śniadanie, siedząc przy niewielkim stoliku blisko okien, przez które wpadało o wiele za dużo światła. Zabolał go też kark, kiedy odwrócił głowę, aby spojrzeć w stronę posępnego komendanta gwardii.

–Herbaty – mruknął do najbliższego pazia. – I to już. Również dla lorda komendanta... Usiądźże, mości kuku. Jesteś punktem w blasku słońca.

Idrys odsunął jedno z trzech krzeseł z pomalowanego drewna i usadowił się ostrożnie – był w zbroi – na obitym brokatem siedzisku. Zjawiał się zawsze rankiem, nigdy nie uskarżając się na ból głowy czy inne dolegliwości. Nader rzadko zmieniał wyraz twarzy, czy to przynosił nowiny o nieszczęściu, czy też o tryumfie.

–Cóż więc za kłopoty? – zapytał Idrysa.

–Czyżbym wspominał coś o kłopotach? – odciął się Idrys. – Skąd wiesz, że nie przynoszę dobrych nowin?

–Prędzej konie zaczną strugać w drewnie, niżli mości kruk przyniesie same dobre nowiny. No, wykrztuś je nareszcie. Nie milcz dłużej. Gdzie dziś rano przebywa Tasmorden?

–Do tej pory pewnie marznie pod Ilefianem, jeśli mamy szczęście. Nie, nie mam dziś wieści o Tasmordenie. Ani nawet o lordzie Tristenie.

–Dzięki bogom.

–Chodzi o Luriel.

–Oho, w takim razie powinienem chyba cofnąć moje dziękczynienie.

–Nie, nie, wszystko idzie dobrze, najjaśniejszy panie. Dama tej nocy weszła z Panysem w serdeczną komitywę.

–Komitywę?

–Spędziła noc w jego komnacie.

Cefwyn uniósł brwi, choć go raził blask słońca, a tymczasem powrócił paż z nowym dzbankiem i drugą filiżanką. Począł, aż chłopiec naleje, po czym odprawił go machnięciem ręki.

–Nie marnuje czasu, kiedy już przystąpi do oblężenia. Powinien ją zatrudnić Tasmorden.

–Podobne ambicje zżerały połowę mężczyzn zeszłego wieczoru.

–Tylko połowę?

–Reszta zna się z Prichwarrinem.

–Niewątpliwie niektórzy zdążyli też poznać Luriel... W jego komnacie, powiadasz. Grali tam w warcaby? A może dyskutowali o świętości, co ty na to?

–Ona wykazuje pewną skwapliwość – stwierdził Idrys oschle.

–Na bogów, jakżem mógł być taki ślepy!

–W związku z czym? Żeś myślał o małżeństwie?

–Żem wpuścił tę lizkę do mojego łóżka. Niech bogowie zlitują się nade mną. Nade mną i nad Ylesuinem.

–Panysowi to nie przeszkadza. Otrzyma w posagu Murandys od tej damy. Bez względu na awersję jej wuja, byle nie straciła głowy.

–Ta śliczna główka jest dobrze strzeżona – bąknął Cefwyn, krzywiąc się nad goryczką herbaty. A może z powodu bólu głowy? – A więc ślub nastąpi nieuchronnie, co jest również po myśli damy.

–Na to wygląda.

–Tym oto sposobem mości kruk stał się zwiastunem ślubów.

–Zmarszczył czoło oślepiiony słońcem. – A sądziłem, że rolę tę pełnią gołębie.

–Kruk to odpowiednie stworzenie dla Murandysa – odparł Idrys, smarując masłem kromkę chleba. – Ukochany wujaszek damy nie ma się z czego cieszyć. Siostrzenica nierychło mu wybaczy swoją niewolę w niesławie. Każdy, kto ją poznał, wie, że marne są widoki na ich pojednanie, o ile dama nie dojrzy w tym dla siebie wyraźnej korzyści.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Luriel wyśpiewa wszelkie sekrety wuja nowemu kochankowi, który choć młody, ma łeb na karku. Przekáže je więc natychmiast ojcu, on zaś spotka się z Waszą Królewską Mością lub ze stosownie wyznaczonym reprezentantem Waszej Królewskiej Mości. Wszystko to pod warunkiem, że Murandys nie zdoła kupić milczenia siostrzenicy. Cóż jednak Murandys może zrobić prócz dobrej miny do złej gry? Jego jedyna latorośl płodzi same córki. On sam nie ma już szans na męskich potomków, prędzej uwierzę w latające rumaki. Kiedy Luriel wyda na świat syna, Murandys będzie tańczył, jak ona mu zagra.

–Najpierw ogołoci z pieniędzy Panysa, potem dorwie się do skarbcza swego wuja.

–Wstawiennictwo Waszej Królewskiej Mości uchroni oczywiście Panysa przed grabieżami damy, co pozwoli mieć pewność, do którego ucha popłyną jego pierwsze raporty.

Rzecz jasna, Luriel nie mogła ogołocić Panysa do cna. Źródłem jego bogactwa były sady jabłoni, nie złoto. Dama gustowała w wykwincie i nie zadowoli się pewnie beczułkami z jabłecznikiem, lecz sady stanowiły koronne nadanie i nie podlegały sprzedaży. Luriel zdoła wszelako wynieść potomka Panysa do wysokich godności wśród królewskich doradców oraz wzbudzić w nim żądzę złota... którego Panys nie mógł zdobyć inną drogą. Monarchia tylko na tym zyska, albowiem Murandys, nie Ryssand, powiązany z Panysem, zagwarantuje królowi o wiele spokojniejsze rządy.

Czy mógłby jakoś wytłumaczyć się z wydatku na dar dla Panysa – na ustanowienie dla niego, przykładowo, dodatkowej pensji, zabezpieczając się uprzednio przed obiekcjami Murandysa?

–Luriel nie jest głupia – rzekł. Romansując swego czasu z tą damą, spełniał wyższą konieczność... on, dziedzic Ylesuinu, z siostrzenicą wpływowego barona, stronnika nikczemnej frakcji Ryssanda. Przestało to wszakże być konieczne w obliczu korzystniejszego związku z kobietą wnoszącą większy posąg, którą w dodatku namiętnie miłował. – O cóż więcej możemy prosić?

Idrys napił się herbaty, odstawił filiżankę, wsparł łokcie na stole i zrobił poważną minę.

–Mam ci na to odpowiedzieć, najjaśniejszy panie?

A więc przyszedł czas na gorsze nowiny. Przewidział to. Zachęcił Idrysa gestem.

I Idrys przemówił:

–Możemy prosić o dyskrecję ze strony lorda Tristena. Uczynił nader mądrze, gdy wysłał nam list demaskujący Ryssanda i stłumił rebelię, która mogła się łączyć

przerodzić w wojnę na południu. Niestety, moi wiarygodni informatorzy donoszą, jakoby znów sprzedawano fetysze na targowisku. Podobno ludzie obwołują Tristena lordem Sihhe, ilekroć pokaże się na ulicach.

–Tak było, kiedy sam z nim wyjeżdżał. Żadna to dla mnie nowość.

–Syn Meidena przysięgał mu na kolanach wierność i nazwał go aethelingiem.

To zasługiwało przynajmniej na chwilę namysłu.

–Ażeby obrazić dumę Gueleńczyków. Czytałem twój raport.

–Tamtejsi quinaltyni sarkają. Wysłali nawet list do Świętobliwego Ojca, którego ci nie przedstawił, najjaśniejszy panie.

–Ufam, że Świętobliwy Ojciec zna granice swego bezpieczeństwa i pocieszy skarżących się kapłanów. Święci bogowie, przecież quinaltyni w Amefel nawykli do czarodziejstwa! Skąd się biorą ich żale?

–Skąd się biorą, dobre pytanie.

–Ryssand?

–Ha, i on śle listy do quinaltynów. Tylko że przez świątynię przewija się codziennie spory tłumek, a ja nie mogę śledzić wszystkich naraz.

–Tych, co zdążają do Ryssanda, łatwo wytropić.

–Toż czynię. Na nieszczęście nie mogę przestąpić progu świątyni.

–No więc znajdź sposób! Gdzież twoja inwencja?

–Trochę czasu. Czasu, najjaśniejszy panie. Jednemu ze sług Ryssanda przytrafiło się nieszczęście, kociołek z olejem w kuchni. Drugi nie żyje, upadek ze schodów. I ja mam tam swoje uszy, ale muszą się mieć na baczności. Zachowuję ich na czarną godzinę. Podejrzewam, że quinaltyni z Guelessaru spotykają się z kapłanem Ryssanda, lecz nie mam dowodów. Strzeż się Ryssanda, powiadam. Strzeż się jego kapłanów i śledź ich działania.

–Przeklęta północna ortodoksja.

–Właśnie, północna ortodoksja. Ostrzegałem lorda Tristena, zanim wyjechał, żeby okazywał publicznie swoją łaskę amefińskim quinaltynom. Oświeciłem też jego doradców.

–Mądrześ uczynił. – Cała kwestia niewinności Tristena, zagubionej w gąszczu

quinałtyńskich, terantyńskich i bryaltyńskich ambicji w Amefel, mroziła krew w żyłach. – Podejrzewam, że łapy Ryssanda sięgają do Amefel nie tylko w sprawie Parsynana. I nigdy nie ufałem tamtejszym quinałtynom.

–Tristen nie zachowuje się zbyt taktownie. Muszę także donieść... o ile nie zaszło nic nadzwyczajnego... że dobytek Parsynana wciąż pozostaje w Henas'amef, a wozy pojechały nad rzekę.

–Moje wozy?!

–Wszystkie twoje wozy wysłał na granicę, wobec czego rzadziej będziemy dostawać raporty. Tristen odprawił również mojego informatora, który nie mógł, rzecz jasna, zapobiec całemu przedsięwzięciu. Zdołał jeno pchnąć do mnie gońca z wiadomością o rozkazach. Zakładam, że już wyjechali.

–Co ten Tristen zamyśla, hę?

–Śle zaopatrzenie na granicę. No i wstrzymał powrót Gwardii Gueleńskiej i regimentu Smoków Anwylla. Oni się wcale nie spóźniają. Zatrzymał ich wszystkich i wygląda na to, że umacnia posterunki wzdłuż rzeki. Szczerze mówiąc, wyświadcza nam przysługę.

Cefwyn westchnął głęboko, zadumany.

–Moje wozy mogą ugrzęznąć gdzieś w zaspach i co my wtedy zrobimy? Ale o tym to już nie pomyślał.

–A może zamierza z czasem usunąć śnieg z drogi? Cefwyn nie był pewien, czy Idrys żartuje.

–Umacnianie granicy to żaden grzech, przyznaję. Niechże mu te wozy dobrze służą, one i cała reszta. Tristen przecież nie ma własnej gwardii, jedynie Gueleńczyków z garnizonu i mój oddział. Nie jest półgłówkiem. A co się tyczy tej wyprawy nad rzekę, nigdy mi o niej nie wspominałeś, racja? Ufam, żeś tylko mnie o niej powiedział.

–Dzisiaj w Guelessarze o wszystkim wiedzą wyłącznie kurierzy Anwylla. Oczywiście, quinałtyński patriarcha w Amefel też wie, co się święci... A to wydłuża listę tych, którzy przypuszczalnie już zostali poinformowani.

–Kapłani! Gdzie spojrzeć, tam kapłani! Jakżeż oni mnie nużą!

–Przynajmniej Świętobliwy Ojciec pozostaje niewzruszonym obrońcą swoich dobrze pojętych interesów. Ale kapłani urażeni przez Waszą Królewską Mość nie pójdą do Świętobliwego Ojca. Wątpię też, czy pójdą do niego ci, których zaalarmowano o poczynaniach Tristena.

–Dokąd w takim razie pójdą?

–No właśnie, dokąd?

–Nie trzeba daleko szukać, co? Mówię ci, mości kruku, Świątobliwy Ojciec drży ze strachu przed Ryssandem. Boi się go też Sulrigan. – Rozważywszy w duchu układ sił, Cefwyn westchnął i dodał: – Do licha z nim! Dlaczego ja tu jestem, a wszyscy moi przyjaciele na wygnaniu? Dlaczego muszę obściskować starców na północy i mieć poważanie u głupców? Odpowiedz mi na to, kruku?

–Twój dziadek od czasu do czasu bezlitośnie odchwaszczał ogród. Twój ojciec był zbyt pobłażliwy. Nie mam pojęcia, jaki ty będziesz, miłościwy panie, ale jeśli okażesz się pobłażliwy, zacznę się o nas bać.

Cefwyn doskonale wiedział, co Idrys ma na myśli.

–Otóż i mamy Murandysa, fundament wiosennej kampanii, cokół naszej ofensywy. Cóż mam uczynić? Usunąć go i mianować Luriel wodzem mojego wojska? A może mam wyrwać Panysa wprost z matczynych ramion? Niech to lichy weźmie, ja potrzebuję tych starców, co wciąż knują spiski! Przynajmniej walczyli w przygranicznych wojnach.

–Podobnie jak całe południe.

–Tylko że ja rządę tutaj.

–Przenieś stolicę.

Cefwyn parsknął nerwowym śmiechem.

–Chyba żartujesz.

–Skoro twierdzisz, że twoja siła leży na południu, stamtąd sprawuj władzę.

Marhanenowie nie byli mile widziani w Henas'amef. Mogli sobie pozwolić na paradny przejazd ulicami grodu, ale nie na zakładanie tam stolicy.

–Nie mógłbym tam zamieszkać... – odrzekł. – To niemożliwe.

–A zatem rządź tutaj – brzmiała zwięzła porada Idrysa. – Jeno rządź i nic więcej, najjaśniejszy panie.

Idrys miał w zwyczaju omijać jego gardę dobitnymi argumentami, co i tym razem uczynił. Rządź tutaj. Rządź Ryssandem. Oto była rzecz, w której, zdaniem Idrysa, zawiódł jako król. To bolało.

Kapitan tymczasem dopił herbatę i powstał bez rozkazu.

–Służba mnie woła, najjaśniejszy panie. Mogę się oddalić?

–Idź – odrzekł król, wlepiając wzrok w białe, zimowe światło, padające przez zmrożoną szybę.

Rządź, dobre sobie. Jakby nie rządził. Rządź tutaj. Jak gdyby był gdzie indziej.

Czyżby Murandys nie został poskromiony, a Ryssand unieszkodliwiony i odesłany do domu? I czyżby nie zaprowadził porządku na południu, powierzwszy pieczę nad wszystkim Cevulirnowi i odesławszy Tristena do obrony prowincji?

Tylko bogowie wiedzieli, co Tristen zrobi w czasie swoich rządów w Amefel, lecz Cefwyn zdawał sobie sprawę, z czym nie przyjdzie się Tristenowi zmagać: po pierwsze z nieuczciwością przy płaceniu podatków, po drugie z wrogą napaścią na podległe mu terytorium. Był głęboko przekonany, że Tasmorden gorzko pożałowałyby każdego wypadu za rzekę. Nie wierzył, że Tristen powstrzyma się od magii, ale na szczęście byłaby to magia ukryta przed gueleńskimi oczyma. Zanim wieści dotarłyby do pospólstwa, uzyskałyby znamiona zwyczajnej plotki, niezbyt wiarygodnej ze względu na odległość od Guelessaru.

Idrys zbeształ go i radził podjęcie zdecydowanych kroków, lecz on przecież dwoma śmiałymi posunięciami zabezpieczył południową granicę, nie trwoniąc nawet strzały. Tak właśnie rozumiał pojęcie mądrych rządów: należało działać po cichu, bez rozgłosu. Czyż sam Idrys nie był mistrzem podobnych posunięć? Czyż kiedykolwiek oczerniał jego spokojne rządy na południu, które w ostatecznym rozrachunku spowodowały i doprowadziły do śmierci jego ojca?

Nie. Idrys nie zarzucał mu nieudolności w postępowaniu z południem. To na północy nie okrył się chwałą, przynajmniej w tym względzie Idrys miał rację. To, że Ryssand przebywał u siebie w domu, nie wchodząc mu w paradę, zawdzięczał raczej poświęceniu Cevulirna niż swojej pomysłowości; aczkolwiek ograniczył na okres zimy szkodliwe wpływy Ryssanda na dworze, to jednak rozstał się przynajmniej do wiosny z nieocenionym Cevulirnem, ostatnim przedstawicielem południa w Guelemarze. Ponadto między dwoma baronami rozgorzał ostry zatarg. Luriel trzymała w szachu Murandysa i powstrzymywała go przed połączeniem sił z Ryssandem, lecz była to bardzo chwiejna sytuacja, skoro wszystko zależało od kaprysów Luriel, jej wuja i przebiegłości młodszego syna Panysa.

Jak najprędzej trzeba wydać za mąż tę grymaśnicę, pomyślał. Włości dla Panysa, a królewski prezent ślubny dla Luriel, żeby ją olśnić i zadowolić. Posiadał majątność w Panysie, Aysonel: królewskie, żyzne ziemie, będące niegdyś własnością jego dalekich krewnych, tereny łowieckie od dawien dawna kultywowane wśród

najstarszych na północy dąbrów. Korona nie mogła sobie pozwolić na nadmierne uszczuplanie swoich majątków, lecz po to właśnie je miała: na dary wagi państwowej. Panys był wrażliwy i lojalny, przynajmniej w tym pokoleniu... Nie wiadomo, jak przykład Luriel wpłynie w przyszłości na ich potomstwo.

Kiedy jednak potomkowie Luriel dorosną na tyle, żeby popełniać własne niedyskrecje, przy dobrej woli bogów sprawa elwynimska będzie już zamknięta.

Żył jeszcze starszy, dziedziczący prowincję brat Rusyna, spokojny, rozsądny młodzieniec – oby bogowie ustrzegli go od nieszczęśliwych wypadków i ambicji Ryssanda.

Cefwyn dopił zimną herbatę, myśląc o kolejnym ślubie na dworze, który miał się odbyć przy najbliższej dogodnej okazji. Na razie para nie przedstawiła się oficjalnie i nie wniosła swojej prośby.

–Przywołaj Annasa – rzucił w stronę przechodzącego pazia, a kiedy pojawił się jego szambelan, uprzedzając nadejście Ninevrise, rzekł mu: – Daj synowi Panysa wyraźnie do zrozumienia, że sugeruję dyskrecję i pośpiech. Zimowe przesilenie. Zimowe przesilenie to wcale nie za wcześnie.

Nie sposób było powstrzymać ludzi przed rozgłaszaniem pogłosek o tym, co widzieli, tym bardziej że obecność lorda Ivanora budziła powszechną ciekawość. Tak powiedział Uwen i to samo Tristen wnosił z docierających doń wieści. Nazajutrz po ich wyprawie, kiedy słońce osiągnęło najwyższy punkt na błękitnym, pogodnym niebie, w każdej amefińskiej karczynie opowiadano z przekonaniem, jak to wśród łoskotu piorunów żołnierze ujrzeli na rozstajnych drogach czarownicę w ogniu błyskawic, a zaraz potem widmowe trąby zagrały na powitanie oddziału lorda Ivanora, który ponoć w tej samej godzinie opuścił Toj Embrel... Absurd, aczkolwiek ocierający się o sedno rzeczy: lord Amefel rzeczywiście wyjechał u boku earla Meidena, by powrócić w kompanii barona Ivanora i jego ludzi, a w drodze ukazała im się wiedźma – wymowa tej wróżby wciąż pozostawała sporna.

A tymczasem earlowie usiłowali połapać się w tym wszystkim, biegali więc w odwiedziny do lorda Ivanora, ażeby z jego ust usłyszeć – jak się wyrażali – o poczynaniach na gueleńskim dworze. Wszystkich, którzy szturmowali drzwi Cevulirna, Tristen znał, żadnego więc nie zatrzymał.

W ten sposób pozbył się natrętnych interesantów i mógł w spokoju karmić podfruwające do okna gołębice, a nawet miał dość czasu na śledzenie ich wybryków, krótkich starć i przepychanek, tudzież pociesznego, chwiejnego dreptania po gzymsie. Skrzydła ptaków oczyściły go ze śniegu. W dole rozciągał się już tylko dziedziniec wolny od niebezpieczeństw i zadziwiająco opustoszały.

Dzieciaki biegały i obrzucały się śnieżkami w miejscu, gdzie nie tak dawno walczyli dorośli i gdzie – przy tymże murze – dokonano mordu.

Jakże beztroskie są dzieci, pomyślał. Z jak lekkim sercem dokonują podchodów i urządzają na siebie zasadzki. Smutkiem przejmowała go myśl o przyszłym losie, który włoży im w dłonie żelazo. Były niewinne i skore do śmiechu.

Nagle wśród nich pojawiła się ciemna sylwetka, zdecydowanym krokiem zmierzająca od Południowej Bramy ku frontowym drzwiom zaniku. Otóż i gniewny człowiek, pomyślał Tristen, rozpoznając okrytą płaszczem z kapturem dostojną postać wielebnego, który o włos uniknął przelatujących kulek, rozbryzgujących się tuż za nim w śniegu – psotnicy nie zważali na autorytet kapłana.

Co z pewnością nie poprawiło jego nastroju.

Tristen miał niejasne, lecz z każdą chwilą wyraźniejsze przecucie, że kapłan idzie ze swoją sprawą właśnie do niego. Nie miał żadnej wymówki, ażeby tego uniknąć, i nie znał nikogo innego, przed kim patriarcha quinaltynów mógłby wyjawić swoje żale.

I rzeczywiście, nie trwało długo, a Tassand przyniósł wiadomość, że Jego Wielbność wystosował protest do burmistrza i gwardzistów, żądając aresztowania kilku przekupek z targowiska.

Wiedział, o co chodzi. Przypuszczalnie nawet tamta mała, ukradkowa strzała, którą wypuścił w ich stronę, nie uszła uwagi kapłanów. Uwolnił jednak więźnia Gwardii Gueleńskiej. Wywołał niezadowolenie gueleńskich żołnierzy, teraz więc demonstracyjna złość gueleńskiego kapłana, miotającego oskarżenia przeciwko starym straganiarkom na targu, nabierała dziwnej wymowy w kontekście przemyśleń Tristena.

Nie zapominał o pogłoskach, jakie, według Uwena, krążyły po mieście. Kapłan nie wypowiedział się chyba jeszcze w kwestii czarownic, burz i lorda Ivanora, tylko starych kobiet i sprzedawanych przez nie drobiazgów.

–Powiedz o tym Emuinowi – rzekł. Na odjeźdnym z Guelemary Idrys przestrzegwał go przed kapłanami i radził podarunkami zdobywać sobie ich przychylność. Tristen złożył im dary, a mimo to nachodził go rozgniewany kapłan. Również Emuin piastował wśród terantynów pewne niby-kapłańskie funkcje. Tristen osobiście wolałby zaprosić także bryaltyńskich duchownych, aby jeszcze jedną kapłańską opinią osłabić quinaltyńskie poczucie absolutnej władzy i prawa do rozkazywania wszystkim. Po prawdzie nie miał pewności, czy Emuin raczy przyjść, lecz żaden z bryaltynów nie był zeszłego wieczoru przy gwardzistach. Czarodziej i owszem, Tristen żałował więc, że nie skierował doń bardziej naglącego wezwania. Uwen załatwiał pewne garnizonowe sprawy, mające jakiś związek ze zbrojownią, toteż

Tristen został zupełnie sam, nie licząc Lusina i straży przybocznej.

Tassand ruszył w pośpiechu na dół z wiadomością dla wielebnego, iż zostanie przyjęty na audiencji, o którą zabiegał – a następnie pognął zawiadomić Emuina, że jest pilnie wzywany.

Tristen przywołał tymczasem jednego z młodszych służących, decydując się na wykwinniejszy strój, bynajmniej nie po to, żeby dodać sobie splendoru. Wiedział, że Tassandowi zajmie trochę czasu obudzenie Emuina, jako że starzec zwykł przesypiać dzień, a wstawać nocą. Przez wzgląd na uczucia kapłana Tristen nie wybrał znamionującej Ynefel czerni, lecz swój nowy kaftan w kolorze amefińskiej czerwieni, jedyny tego rodzaju, jaki posiadał. Uważał za rozsądne nie drażnić quinaltyna barwami i symbolami sihijskiego władztwa, które, z czego zdawał sobie doskonale sprawę, zostały potępione przez quinalt.

Dostojnym krokiem, z nadzieją na rychłe pojawienie się Emuina, Tristen zszedł wraz z przybyłym doń Uwenem po schodach do sali audiencyjnej – tej starszej, gdzie służba zapaliła świece. Było w niej zimno za czasów Cefwyna, było w niej zimno i teraz. Patriarcha czekał już okutany w burkę, nadęty niczym rozjuszony zimowy wróbel. Ku niepomiernej uldze Tristena, Emuin nadszedł w pośpiechu, jakiego nie okazał ani razu, odkąd przybyli do Amefel. Miał na sobie nieskazitelnie szare szaty i wyglądał nader schludnie, pominąwszy rozwiane na wietrze włosy.

–Wasza Miłość – przywitał się oschle patriarcha. Tristen podszedł do książęcego tronu i usiadł.

–Słucham.

–Przybywam prosto z targowiska.

–Wiem o tym. A także od burmistrza, ze skargą mającą pewien związek ze straganiarkami. – Przymuszczałnie oszczędził tym sobie półgodzinnej oracji, gdyż usta kapłana, skoro tak zwięźle streszczono całą jego sprawę, otworzyły się tylko i zamknęły. Emuin schował ręce w obszerne rękawy, przez co jeszcze bardziej upodobnił się do rozbudzonej w środku dnia sowy.

–Nie chodzi jeno o straganiarki, Wasza Miłość, a o niebezpieczeństwo dla miasta, jakoż proszę Waszą Miłość, byś poświęcił tej materii należyłą uwagę. Owe kobiety, sprzedające zwykle śmiechu warte fidrygałki, obnoszą się teraz jawnie po placu z zakazanym towarem, urągają prawu Jego Królewskiej Mości i zarazem prawu kanonicznemu. Otwarcie sprzedają trucizny i inne szkodliwe driakwie. Proszę Waszą Miłość, byś nakazał burmistrzowi natychmiastowe zajęcie się tą sprawą.

–Trucizny? – Tego się nie spodziewał.

–I ja je niekiedy sprzedaję – rzekł Emuin spokojnie. – Na szczury i myszy. Śniegi przegoniły te stworzenia z pól do spichlerzy. Są na ogół skuteczniejsze od zaklęć, nawet moich.

–Przybywam tu z całą powagą, Wasza Miłość. Oczekuję, że wysłucha mnie człowiek uznawany za przyjaciela Jego Królewskiej Mości!

–A zatem słucham, mój panie. – Tak naprawdę popełnił mały błąd, szukając odpowiedzi, Emuin zaś nieopatrznie jej udzielił; zrozumiał groźbę związaną ze swoim rozkojarzeniem. Nie miał jednak zamiaru aresztować staruszek za drobny handel; nawet jeśli była w tym jakaś magia, jego zdaniem nikomu nie dokuczala.

–Są to przeważnie kobiety, Wasza Miłość, o wątpliwej reputacji i lichej praktyce...

–Raczej wdowy – wtrącił Emuin – którym zioła, eliksiry i trutki na szczury dostarczają skromnego zarobku.

–Bądź tak łaskawy i pozwól mi dokończyć, duchowny bracie, czekając na swoją kolej – rzekł patriarcha ostro.

–Przyjmuję twą naganę – odparł Emuin, kładąc dłoń na terantyńskim medalionie wiszącym na jego piersi. Skłonił z lekka głowę. – Opowiedz, proszę, Jego Miłości coś więcej o tych truciznach. On się nie zna na tępieniu szczurów.

–Nie tylko szczurów, nie tylko szczurów! – zawołał patriarcha wielce wzburzony. – Miłościwi bogowie świadkami, w jak pospolitym są zastosowaniu, czy to pozwalając żonom pozbyć się niechcianych mężów, czy też oczyścić spichrz z myszy. Ale myszy są tu nieistotne. Mówimy o czarach!

W Henas'amef nastaly pogodne, chociaż mroźne dni. Przekupki widywane przez Tristena w czasie jego sporadycznych wypadów do miasta stawiały czoło zimnu w znacznie cieńszych płaszczach niż ten, który chronił Jego Wielebność. Poza tym wielebny zszedł ze wzgórza zaraz następnego ranka po tym, jak Tristen zwrócił wolność Paisiemu. Ów zbieg okoliczności wydawał się mniej zagadkowy po głębszym zastanowieniu.

–Ani królewskie, ani boskie prawa nie zakazują czarów – stwierdził Emuin. – Wasza Wielebność myli pojęcie prawa.

–Tu rzecz dotyczy guseł, czarnej magii...

–Gusła i czary nie różnią się od siebie, choć Gueleńczycy odgraniczyli jedno od drugiego. Król poprze moje zdanie, dobrze znam prawo i regułę mojego zakonu, Wasza Wielebność. Możesz być pewien, że ja i moi zakonni bracia doskonale wiemy, w czym rzecz. A czarna magia? Te nieszczęsne kobiety nie potrafiłyby rozbudzić

pijaczyny, a cóż dopiero okiełznać Cię dysponujący mocą.

–Obracają zakazaną monetą, której część bezspornie należy się Jego Królewskiej Mości.

–Musiałyby opróżniać ze sreber starożytne skarbce, a potem handlować łupem, czego jednak nie czynią. Amulety przeważnie się fałszuje, bracie. Są po prostu z miedzi, co tylko podnosi jej wartość. Bo srebro, jeśli już się trafi, ludzie zazwyczaj przetapiają na bransoletki i pierścienie, o czym powinieneś wiedzieć, skoro od tak dawna piastujesz tu swoją godność.

–Królewskie prawo zabrania podobnego handlu! O czym powinieneś wiedzieć, skoroś piastował swoją godność w stolicy, mój panie!

–Nieboszczyk lord Heryn tylko wtedy umacniał królewskie prawo, gdy w grodzie mieszkał królewicz. Król nie widzi najmniejszej korzyści w konfiskowaniu tandetnych drobiazgów i bzdurnych amuletów odstraszać szczury. A może chciałbyś zapytać, z jakiego kruszcu pochodzi połowa zawartości amefińskiego skarbcza? Tak, tak, to twoje pytanie.

–Ależ to czcza rozmowa! Tymczasem rzecz idzie o prawo, bracie, bez względu na to, jak niefrasobliwie twój zakon przymyka oczy na przejawy czarnej magii, zarówno w teorii, jak i w praktyce!

–Mój panie – rzekł Tristen. – Mistrz Emuin nie toleruje czarnej magii. Ani te kobiety.

–Ależ sprzedają amulety!

–To tylko gusła – zareplikował Emuin. – Niegroźne gusła, zawarte w dogmatach ich wiary zatwierdzonej przez króla, radę i prawnie usankcjonowanej, niezależnie od twoich uprzedzeń.

–Cienka to granica – rzekł patriarcha oziębłe – której przekroczenie do najczarniejszych praktyk wiedzie.

–Nie, mój panie, to nieprawda – odparował Emuin. – Nie jest to cienka granica, tylko otchłań ziejąca! Kobiety ze swoimi amuletami działają przeciw czarnej magii, nijak jej nie wspierają... Co prawda równie skutecznie mogłyby rozświetlać knotem z sitowia ciemną zimową noc, jednak pomagają, biedaczki, wyleczyć dziecko z kolki lub przepędzić szczury z ubogiej komórki nędzarza. Ale czarna magia niszczy. Czarna magia wypacza. Czarna magia użycza mocy Cieniom, a każdy człek, czy to z darem, czy bez daru, jest głupcem, jeśli miesza się między Cienie i pragnie im wydrzeć wiedzę. Jeszcze większym głupcem jest ten czarnoksiężnik, który sięga ku nim, by przeciągnąć na swoją stronę coś, co ma mu przynieść korzyść. Największym z głupców był Hasufin Heltain, który sam usiłował wymknąć się spomiędzy Cieni i

zamknąć wszystkich, żywych i umarłych, w uścisku swej pazernej łapy!

Ściany rozbrzmiały gniewem Emuina, a potem nastąpiła głęboka, krępująca cisza. Emuin nigdy jeszcze tak otwarcie nie odsłaniał prawdy. Tristen ze strachem słuchał jego słów.

Podobnież patriarcha, który zrazu poczerwieniał z oburzenia, lecz później, w miarę słuchania, twarz mu poszarzała.

–Cóż innego sprowadza takie niebezpieczeństwa, jeśli nie czary?!

–Ludzka zachłanność, która się pleni na świecie! Owszem, jam też praktykował czary w owych dniach i dalej to czynię, bracie, i nie poprzestanę, bo tylko dzięki temu następny Cień nie runie na Amefel, by pożreć jej dzielnych, pobożnych obrońców. Weźmy dla przykładu twoją duchessę Orient, subtelną, niebezpieczną kobietę; ją też ostatecznie zgubiły własne praktyki. Zapewniam Waszą Wielbność, że każdy objaw czarnej magii w dolnym mieście zostanie natychmiast zauważony.

–To twój osąd. Ja nie mam dostępu do źródeł, z których czerpiesz swoją ufność, za co dziękuję bogom.

–Lepiej podziękuj młodemu lordowi Tristenowi, gdyż to on powstrzymał upadek prowincji. Podziękuj tym z nas, którzyśmy wykryli działanie czarnej magii i zawczasu położyli jej kres! I podziękuj lordowi Tristenowi oraz Jego Królewskiej Mości, że wystąpili zbrojnie przeciwko wojskom najeźdźczym, które przewaliłyby się jak taran przez amefińskie ziemie. A przecież za nimi stał czarnoksiężnik żądny zawłaszczenia Guelessaru i pozostałych prowincji. Omal mu się to udało, bracie, tegoż lata, i chociaż twój światopogląd może temu przeczyć, te właśnie kobiety ze swoimi amuletami modliły się wspólnie z wami, a w kaplicy każdej sekty w Amefel paliły się kadzidła, podczas gdy quinaltyni w Guelessarze żyli na swoim wzgórzu, nie wiedząc nic o groźbie, dopóki nie została przegnana. W porównaniu z innymi tyś był bohaterem, bracie, na równi z tymi, co chwycili za broń. Paliliście świece i wznosili modły, w tej prowincji, aby zażegnać grożące nam wszystkim niebezpieczeństwo. Przystań do nas. Po cóż mamy się kłócić o przekupki i sprzedawane na targu amulety, skoro twój tymczasowy lord miałby pożytek z waszych modlitw?

–Jego Miłość jest Sihhijczykiem – stwierdził patriarcha niepewnym głosem, jakby to wszystko tłumaczyło. Może i tłumaczyło. Tristen wiedział, że człowiek ten traktował go jak to, co książeczka Efanora, niezbyt wprawdzie przydatna, opisywała jako zło.

–Nigdy nie dopuszczę się czarnej magii, mój panie – oświadczył Tristen. – Te kobiety nie są naszymi wrogami – dodał, aby rozwiać w tym względzie wszelkie wątpliwości. – Czytałem wasz modlitewnik. Dostałem go od Jego Wysokości. Czyż nie jest w nim napisane, że bogowie stworzyli cały świat? A więc stworzyli także

Sihhijczyków.

Miał nadzieję przynajmniej zachwiać głębokim przekonaniem patriarchy; zauważył u niego pewną zmianę, patriarcha wydawał się bowiem zaskoczony. Podobnie jak Emuin, co było sygnałem, że mógł osiągnąć jakiś zupełnie nie zamierzony skutek.

–Jego Miłość zajmie się tą sprawą – powiedział Emuin. – Zapewniam, że żadna czarna siła nie zaszkodzi nam ani w grodzie, ani tam, gdzie Jego Miłość może ją wyśledzić. Prawdopodobnie jest Sihhijczykiem, ale nikt tego jeszcze nie dowiódł. Za to na pewno jest prawnym spadkobiercą Mauryła Gestauriena, przyjacielem królestwa. Nie da wyrządzić krzywdy duszy i ciała poczciwego obywatela.

–Z takich rzeczy nigdy nie wynika nic dobrego – rzekł patriarcha. – Niech Jego Miłość nie liczy na wielkie poparcie dla swoich działań. Przez wzgląd na dobro zwyczajnych mieszczan, którzy nie utrzymują stosunków z czarodziejami, a którzy błagają mnie o modlitwy za zbawienie ich dusz, proszę, byś wstawił się u Jego Miłości, skoro masz na niego wpływ, ażeby honorował przemyślane, rozsądne prawa Jego Królewskiej Mości i zabronił okazywania wyklętych symboli.

–To trudne, bo znajdziesz je też w broni diuka darowanej mu przez Jego Królewską Mość.

Patriarcha wciągnął powietrze.

–Chodzi mi o religijny kontekst, mój panie!

–Zwyczajna moneta nie skaże twej trzódki na potępienie, ojcze, nie zapędzi żadnej z owieczek na manowce bryaltyńskich dogmatów, bo bryaltynem trzeba się urodzić. A takich urodzonych jest, co Wasza Wielbność musi przyznać, dość wielu w Amefel.

–Proszę, byś potraktował tę sprawę poważnie – rzekł quinaltyn – i poprowadził Jego Miłość możliwie prostą i godną ścieżką.

–Jego Miłość cieszy się łaską u Jego Królewskiej Mości i aprobatą Świątobliwego Ojca w Guelemarze, który błogosławił mu podczas zaprzysiężenia i polecił go w dobrej wierze Waszej Wielbności. To ci powiem, bracie, że za sprawiedliwe sądy oraz opiekę nad przywilejami i powinnościami twojej trzody, tudzież za powstrzymanie zgubnych wpływów... czarów i czarnych mocy pospołu... przed wtargnięciem zza niebezpiecznego zachodniego pogranicza... winieneś mu wdzięczność. Żadne widma czy bezbożne knowania nie dopną już tutaj swoich celów, a pamiętaj o nader nieroztropnym zachowaniu Jej Miłości Orien Aswydd, będącej dzisiaj na wygnaniu.

–Nigdyśmy nie tolerowali zachowania Jej Miłości.

–Słusznie, zaprosiła bowiem samego czarta do apartamentu, który Jego Miłość zabezpieczył teraz zaporami przeciwko złośliwym duchom. Sprawdzałem te zapory, są dyskretne i cudownie wykonane... A może sam chcesz się o tym przekonać?

–Nie chcę!

Dziwnie było stać z boku, słuchając dyskusji i sporów na własny temat. Patriarcha wytrzeszczał nań oczy w oszołomieniu, co kazało przypuszczać, iż sprawy przybrały odmienny od stosownego obrót. A zawdzięczał to tylko Emuinowi.

–Panie – rzekł Tristen, kiwając głową i pragnąc uśmierzyć obawy zatrwożonego człowieka. – Jeśli kiedykolwiek postąpię nieprawidłowo, zawsze cię wysłucham, a ty mi powiesz, co zrobiłem źle. Nie sądzę, by Cefwyn bał się kobiet z targowiska, nie wyczuwam tam działania czarnych mocy. Ale jeżeli masz złe przeczucia, przejdę się po targu, żeby sprawdzić, czy są jakieś powody do niepokoju.

–Wasza Miłość. W twoich darach, w twoim przestrzeganiu etykiety nie znajduję żadnego uchybienia. Ale wątpię, czy Waszą Miłość zaniepokoją owe błahostki, które budzą strach w moim stadku.

W tej ostatniej uwadze tkwiła kąśliwa i zdradliwa nuta. Nie był aż tak naiwny, żeby jej nie wychwycić.

–Jego Wysokość pouczył mnie i dał mi w prezencie książeczkę z modlitwami. Powiedział, że byłoby dobrze, gdybym ją przeczytał, odnalazł bogów i odżegnał się od zła. Zgadza się z nim. Ze wszystkich sił staram się unikać zła. – Zastanawiał się, dlaczego kapłan przyszedł doń ze sprawą targowiska właśnie teraz, kiedy ono i znachorki zaprzętały jego myśli. Dochodził do wniosku, że jeśli ten zbieg okoliczności nie był dziełem magii, to zrobili to Ludzie. – Poszło o chłopca, czyż nie, Wasza Wielebność?

–O chłopca?

–Paisi postąpił nikczemnie, kradnąc żołnierski ekwipunek. Ale większą podłość popełnił ten człowiek, który dał ci do zrozumienia, że na targu dzieje się coś złego, choć w rzeczywistości chciał, żeby ktoś zginął za tę kradzież, mimo że ekwipunek nie był nawet jego, a jak miemam, należał do żołnierza Smoczej Gwardii.

–Nic mi o tym nie wiadomo, Wasza Miłość!

–Czyżby nie przyszedł do ciebie żołnierz?

–Ani słowem nie wspomniął o żadnym chłopcu.

–To zrozumiałe. Ale powinieneś być go zapytać o prawdę.

–Wasza Miłość – powiedział patriarcha, jakby powikłał sprawę i sam się pograżył, w rezultacie czego odrzucono jego skargę. Przeżegnał się gestem, jaki Uwen czasem czynił w obliczu magii lub czarów. Najwidoczniej pragnął już odejść, a i Tristen nie mógł się doczekać jego wyjścia. – Zapytam, Wasza Miłość.

Pokłonił się, wymruczał coś na pożegnanie, cofnął się niepewnie ku drzwiom, ukłonił po raz drugi i zniknął.

–Uwienie – rzekł Tristen.

–Panie.

–Chcę mówić z tym żołnierzem. Sierżantem.

–Tak, panie.

–Chyba zgaduję jego imię – oświadczył Emuin. – Muszę ci przyznać rację, młody lordzie, wielebnym nie kierowała pobożność. Trafnieś odgadł, com i ja uczynił... no, może z pomocą małych czarów. Oby tylko Jego Wielebność nie pomyślał, żeś mu czarnoksięską sztuką myśli z głowy wykradł. Napędziłeś mu stracha. Tak samo wystraszysz człowieka, którego będziesz przesłuchiwał, rzecz to pewna.

–Ale ja się domyśliłem, panie. Nie korzystałem z magii.

–W gueleńskim garnizonie znajdziesz pewnego oficera, któremu nie w smak to miasto ani ta prowincja. Był posłuszny rozkazom Parsynana, tym, które potem obalono. Musi chować w sercu ciężką urazę. Podobnie myśli sierżant i spora część żołdaków. Chociaż mieszkam w wieży, nie jestem głuchy na to, co się dzieje na dziedzińcu.

–Gdyby to ode mnie zależało, wysłałbym patriarchę do Guelessaru – odparł Tristen. – Tylko co by na to powiedziała załoga garnizonu? A jeśli odeślę sierżanta i wszystkich jego ludzi z powrotem do Guelemary, stawi się natychmiast u Ryssanda i nietrudno chyba przewidzieć, co się później stanie. Mam słuszość?

–Niewątpliwie – odpowiedział Uwen. – Jako i mistrz Emuin. Rad bym tego sierżanta ku mostom na stróżę posłać i niechby tam sobie mąciwoda domysłem swoim rozgłos nadawał, boć stamtąd żadne słowo do uszu Ryssanda nie dotrze. Jeno że tej zimy żołdactwo rozeźlone, choć przecie nie ma nic do roboty z wyjątkiem mielenia językami. Ani chybi wygadywać będzie, jakoby żaby, panie, przez ciebie z nieba leciały. Kapitan Gueleńczyków zgoła nie lepszy. Próżnom usiłował do rozsądku mu przemówić, takż i z rzeczonym sierżantem rozprawiałem. Żał mi, żem go nie posłał gdzieś, gdzie nie mógłby węszyć. A tak, niestety, zamącił w głowie Jego Wielebności.

–Szkoda, że nie mogę odesłać do domu wszystkich żołnierzy.

–I bronić ziemi siłami Iwanimów? – zapytał Uwen.

–To jedna z możliwości – odrzekł. Wszyscy dobrze wiedzieli, jaki mu pozostał wybór. Zima dałaby się srodze we znaki amefińskim wioskom, na wiosnę byłoby jeszcze ciężiej, a jesienią przyszłoby chłopstwu głodować, gdyby zaciągnął żołnierzy do zimowego obozu. W ciągu ostatniego półwiecza królewskie prawo nie zezwalało tu na wystawienie rodzimego zbrojnego hufca, zawierając obronę prowincji straży przybocznej Aswyddów i regimentowi Gwardii Gueleńskiej, jednej z czterech gueleńskich kompanii, najslabiej wyposażonej i sformowanej głównie z pospólstwa. Tak więc teraz, w pilnej potrzebie, kiedy straż Aswyddów ze strachu przed odwetem Cefwyna zbiegła za rzekę lub pod skrzydła miejscowych możnowładców, Amefel nie dysponowała własnym wojskiem oprócz marnie uzbrojonych, służących u earłów wieśniaków, którzy w czasie wyprawy wojsk za rzekę musieli dopilnować siewów i odchować jagnięta.

Z teje przyczyny, ale nie tylko, zatrzymał Gwardię Gueleńską. Ostatnio dostawał jednak dowody na niezadowolenie Gueleńczyków, nadto ich frustracje miały dobrze ugruntowane podłoże. Popsuła się pogoda, żołnierze zatrzymani wbrew wcześniejszym oczekiwaniom trwali w niełasce z powodu służby u Parsynana, wreszcie musieli się przyglądać wzrostowi znaczenia Amefińczyków... jakkolwiek to właśnie Amefińczyków trzymali dotąd w karchach – byli żelazną pięścią Parsynana. Tristenowi nie przypadła do gustu ta gwardia. Czyżby popełnił błąd? Czy inny lord rządziłby lepiej na jego miejscu?

Z pewnością Parsynan nie podniósł wartości tych ludzi. Uwen wstawił się za nimi, twierdząc, że tylko lepszy pan potrafiłby przywrócić im honor. Byli dawnymi druhami Uwena, użytymi, według jego słów, do niewłaściwych celów i wyprowadzonymi na manowce.

–Pomówię z ich kapitanem – oznajmił Tristen. – W cztery oczy.

–Dobra myśl – rzekł Emuin. – W cztery oczy. To jeno wiedz, młody lordzie, że w tych ludziach wzrosło niezadowolenie, gdyż zostali zlekceważeni.

–To ja ich niby lekceważę?

–Jak również niemają rzeszę lordów i mieszczan. Bo i skąd mają czerpać wiedzę o twoich planach, jeśli nie z pogłosek? Bądź bardziej przystępny. Zwołuj audiencje. Częściej działaj publicznie.

–Ależ rozmawiam z tuzinem jednocześnie, ilekroć wejdę na salę. – Starał się zawsze odpowiadać na przypadkowe pytania, czuł się więc w tej kwestii usprawiedliwiony. – Rozmawiam z żołnierzami, robotnikami i służbą kuchenną. I nie tylko z nimi, także z lordami. Udzielam im odpowiedzi.

–A mimo to decyzyje podejmujesz w prywatnych apartamentach. Na tym polega twój błąd. Prosiłeś o radę, oto ją masz.

–Podjąłem lordów kolacją.

–Zwołaj niezwłocznie audiencję, najlepiej jeszcze dzisiaj. Musisz naprawić to uchybienie. Ludzie wierzą w ciebie, kiedy słońce świeci i mają pełne spiżarnie, ale niech tylko przyjdą ciężkie czasy, a nie pójdą za tobą, jeśli cię wpierw nie poznają. Nie wystarczy samo uwielbienie, młody lordzie. Wykazuj troskę o ich potrzeby. Wsłuchaj się w cichsze głosy. Jego Wielebność przestąpił nasze progi, kipiąc od plotek i oskarżeń, lecz tego należało oczekiwać. Pewien czas musisz codziennie spędzać w wielkiej sali, zerwać z dysputami w korytarzach Zeide, gdzie przyznawałeś to i owo najgłośniejszym i najbardziej natarczywym. Pomijasz cichych, acz zrozpaczonych. Owszem, pojedź na wieś, wysłuchaj ich zdania. Lecz nie zaniedbuj Henas'amef ani swojego dworu.

–Jego Miłości i tak już snu brakuje – rzekł Uwen. – Kiedyż ma odpoczywać?

–I ty, Uwenie Lewen's-sonie, masz w tym uchybieniu swój udział! Nie pełnisz już straży u boku lorda Tristena, jesteś jego kapitanem. Nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Obejmij dowództwo nad gwardią i weź żołnierzy w obroty, żeby z braku tchu nie mieli sił plotkować.

–Uwen sprawuje się dobrze – zaproponował Tristen.

–Dobrze to za mało. Ty zaś, młody lordzie, albo udostępnisz swą osobę ogółowi, nie tylko wybrańcom w korytarzach, albo tam właśnie będziesz sprawował rządy nad prowincją, nagabywany przez wszelkich przypadkowych interesantów. Jego Wielebność nie powinien cię nigdy wzywać do zejścia na salę, jakbyś był dzieciakiem na wagarach, który będzie musiał wyrecytować lekcję. Potępiam jego zuchwalstwo, a ciebie uważam za zbyt skrytego i niedostępnego dla potrzebujących. Wszystko, co chcesz oznajmić earlom na osobności, oznajmij im wszem wobec. Uczestnicz we wspólnych naradach zamiast w rozmowach bez świadków. Sprawuj swój urząd tak, by każdy składający petycję widział, jak się ma jego sprawa względem innych próśb o wstawiennictwo Waszej Miłości. Jeżeli ich skargi okażą się trywialne, czasem ze wstydu poproszą o mniej. Dwa problemy mogą się zrównoważyć nawzajem. To ci jeszcze powiem, że i Cefwyn mógłby skorzystać z tej rady. Nie może rządzić ze swojej komnaty. Zaprawdę, nie może. Unikając ludzi pokroju Ryssanda, zamykając się w swoich apartamentach, nie słyszy głosu rajców grodzkich, choć wojna za pasem. Cefwyn to dla ciebie najgorszy przykład.

–Powiedziałeś mu o tym?

–Powiedziałem jego ojcu, który miał te same przywary. Niech tylko rozprawia dalej z

każdym w cztery oczy, jednemu mówi to, drugiemu co innego, a rychło na tronie zasiądzie lord Nieufność! Nawet Idrys, najbardziej skryty człek na świecie, przyznał mi w tym rację. Ylesuinem nie może władać widmo zmarłego króla, podobnie jak Amefel nie może mieć diuka imieniem Podejrzenie, a za wodza swych wojsk Pogłoski. Owóż Jego Wielebność słucha sierżantów gwardii, żołdacy szepczą ze strażnikami w bramach i tylko bogowie wiedzą, o czym się mówi w kuchniach. Nie wiń ich jednak za to, póki nie zażadasz, a oni nie odmówią. Kapitan Anwyll odjechał wczoraj ze swoimi ludźmi, by rozłożyć obóz nad rzeką i tam walczyć ze śniegiem... Z ulgą go pożegnałem, muszę przyznać. Anwyll to człowiek, który nie powie "dzień dobry", jeśli mu ktoś na to wcześniej nie zezwoli. Oczekuję po nim ślepego posłuszeństwa. Wszelako ty, Uwenie Lewen's-sonie, choć minęła cała noc i rano, nie wzięłeś Gueleńczyków w karby. Przejmijże wreszcie nad nimi dowództwo!

–Tak, panie.

–Po tobie zaś, młody lordzie, diuku Amefel, zanim zbierzesz dwór i zaczniesz nim rządzić silną ręką, oczekuję, że dobierzesz się do skóry gueleńskiego kapitana, który zna twoją nadmierną pobłażliwość dla głupców. Lordowska władza nie zobowiązuje do trwonienia zasobów skarbcza czy wyrażania zgody na każdą prośbę. Zeszłej nocy dostrzegłem w Lewen's-sonie promyk nadziei. Dostrzegam go i dzisiaj. Ale co z tobą?

–Czemu teraz mi to radzisz, chociaż odkąd nastąpiła jesień, ja i Cefwyn wciąż prosiliśmy cię o rady? Czy masz prawo mnie winić, panie, skoroś mnie raczył z wieży tak skąpymi wskazówkami? Powiadasz, że powinienem opuścić moje komnaty i zasiadać w sali. Nie mógłbyś jednak zejść tam ze mną i mnie wspierać?

Emuin przekrzywił z lekka głowę i popatrzył uważnie.

–Doradzam, kiedy uważam za stosowne. Widzę teraz pewne poruszenie woli, młody lordzie, w tobie i w twoim zacnym kapitanie. Posłuż się nią.

–Earlowie okazują mi dobrą wolę, lecz Gwardia Gueleńska to trudniejsza sprawa.

–Sam Parsynan swoich oficerów mianował, panie – rzekł Uwen. – I słuszność jest przy mistrzu Emuinie. Trza wziąć żołdactwo w obroty, coby się go psoty nie trzymały. Ani jeden do domu nie może być odesłany, boby zaraz Parsynanowi bogowie wiedzą jakich bredni nagadał. Gdybyś chciał usłyszeć mój żołnierski osąd, panie, toć rzeknę, iż kapitan i najważniejszy z sierżantów ten wielki ferment powodują. Sierżant awanturował się wczoraj na sali. Na imię ma Gellyn. Wydaje mi się, że to on do patriarchy poszedł. Na niego możesz strach rzucić, atoli z kapitana sztuka jest zacięta, boć to gorliwy quinaltyn, na domiar wielce przebiegły. On się już nie zmieni i lepiej będzie, jeśli to ja się z nim wprzódę rozmówię. Nikt rychlej od kapitana i sierżanta nie poskoczył na rozkaz Parsynana, by więźniów mordować,

reszta zaś przez prąd niejako porwana została, niechętna w głębi duszy.

Najpierw Emuin raczył mu znieńska udzielić rady, potem Uwen otworzył przed nim swe myśli, choć dotychczas milczał uparcie.

Informacje Uwena o trudnościach z gueleńskimi oficerami nie były zaskakujące, słyszał już wzmianki na ten temat. Skoro jednak wyjechał z grodu Anwyll, jego światło, gueleńskie kompetencje zarówno przestały powstrzymywać oficerów gwardii z załogi garnizonu, jak i umożliwiły Uwenowi pełną władzę nad nimi. Od dwóch tygodni starał się pozbyć Anwylla i proszę: wszystkie kamienie, które zrazu nie chciały się ruszyć, naraz się zawaliły.

–Słucham i biorę sobie do serca twoje rady – rzekł Tristen.

–Twoje i mistrza Emuina. Każę Tassandowi nauczyć Paisiego, jak ma błagać o wybaczenie okradzonego żołnierza. Dla dobra wszystkich żołnierzy, aby i oni zrozumieli, i on rozumiał. Nie wolno mu już nigdy tego robić.

–Rad jestem to słyszeć – odparł Emuin. – Kiedy Tassand ma dokonać tego cudu, jeszcze dziś po południu?

–Zważam na twe rady, panie. – Przypuszczał, iż łagodny balsam na nadszarpnięty honor żołnierzy i ich żale uzdrowi panujące wśród gwardzistów stosunki. Lepszy pan, co stwierdził Uwen podczas pamiętnej krwawej nocy, mógłby pomóc tym ludziom w odzyskaniu czci.

Skoro już zaczęto mu udzielać rad i kazano założyć dwór, postanowił wypłynąć na głębsze wody, tym razem z Emuinem.

–Powiedz mi, panie, co z Leciwą Syes, skoro już dzisiaj udzielanie rad stało się możliwe? – Wyzbył się strachu przed proszeniem o coś lub mówieniem czegoś w obecności Uwena, a nawet Lusina.

–Cóż bowiem powinienem odpowiedzieć, kiedy earlowie zaczną pytać, kim była i co wróżyła? Zdaję sobie sprawę z krążących pogłosek. I jak według ciebie powinienem postąpić z sierżantem?

–Chcesz rad? Teraz chcesz rad, kiedyś już rozbudził duchy tej ziemi? Niech bogowie mają nas w swej opiece, tyle ci powiem. Naucz sierżanta karność albo niech maszeruje wraz ze swym kapitanem nad rzekę. Załóż drugi obóz dla krnąbrnych, a Uwena ustanów tu pierwszym kapitanem.

–Mogą?

–Co niby mogą?

–Czy bogowie mogą nas mieć w swojej opiece? W księżeczce Efanora nie znalazłem niczego, co by o tym mówiło.

–Ech, młody lordzie... – Emuin potrząsnął głową z poważną miną. – Nie o to chodzi. Nie pora teraz na podobne rozważania. Uporządkuj sprawy. Po to tu jesteś. Uporządkuj wszystkie sprawy, które pogmatwali Parsynan i Cuthan. Wiedza, którą już posiadasz, pozwoli ci niezawodnie dostrzec groźbę w nieładzie. Wobec czego wracam do swojej wieży oraz moich zamkniętych, zaryglowanych okiennic, młody lordzie. Dość już powiedziałem. Należy przywrócić porządek, to nasza jedyna nadzieja. Bardzo cię proszę, zaprowadź porządek wedle uznania, byleby to nie był cudzy porządek.

Przy tych słowach wionęło na Tristena lodowatym oddechem z szarej przestrzeni, zrozumiałym dla nich obu.

–Czujesz, panie, czarne moce?

Emuin znów się odwrócił. Zmierzył go baczny spojrzeniem, lecz odpowiedział bezgłośnie, w szarości.

–Czyż nie szukają ciągle szczeliny w murze, młody lordzie?

To właśnie, ukradkiem, zapoczątkowało ruinę Ynefel, stara szczelina pod jego małym okienkiem. Tymże pęknięciem między kamieniami, które się z czasem rozrosło, wniknęło wszelkie nieszczęście. Jakże mógł tego nie pamiętać, skoro nawet piorun, co rozłupał dach świątyni quinaltynów, nie wstrząsnął nim bardziej od ostatnich słów Emuina.

Owszem, serce Zeide było pocięte wieloma szczelinami, nie tylko krwawą rysą oddzielającą Meidena od gueleńskich gwardzistów. Nawet quinaltyni, podżegani przez sierżanta gwardii, składali zażalenia przeciwko Amefińczykom.

–Lepiej będzie, jak już nic nie powiem – oświadczył Emuin na odchodnym.

Emuin znów mu się wymknął, poprzestał o krok od ujawnienia całej prawdy albo tylko taką prawdę miał mu do przekazania.

Uwen wzruszył ramionami i pokiwał głową. Zaczął coś mówić, lecz światło przybladło i raptownie otuliła ich szara przestrzeń.

Tristen mógł przyciągnąć uwagę czarodzieja. Zastanawiał się, co pragnąłby usłyszeć. Jaką władzę powinien sobie przywłaszczyć? Jak się nią posłużyć?

Czy powinien najechać Elwynor? Dysponował upoważnieniem Cefwyna do wystawienia armii, co stanowiło precedens w stosunkach między Ylesuinem a

Ameffel. Crissand argumentował jednak, że letnia wojna zubożyła prowincję. Mimo to, dziwnym trafem, odwiedził go Cevulirn.

–Kto za tym stoi? – rzucił daremne pytanie w otchłań... a także w stronę starca, który słabowitym, artretycznym krokiem zdążał do swej wieży. – Kto to zrobił, Emuinie? Tyś wezwał do mnie Ivanora?

–Czarodzieje to drażliwe plemię, żeby nie rzec czego gorszego – mówił Uwen w świetle materii, koloru i zapachu świec. W świetle zimnych kamieni oraz dymu z kadzidła, który wciąż unosił się tam, gdzie przedtem stał wielebny. – Jakiś rozkazał, panie, znajdę dzieciaka i znajdę człeka, którego z kapłanami rozprawiał. Słusznie mi się należało łajanie mistrza Emuina. Dobry wojak to zagoniony wojak. Jużci, że kapitan i sierżant w obozie nad rzeką śnieg będą wnet łopatami odwalać. Sprawiedliwieś im czas na poprawę ostawił, odkąd złamali twe nakazy, oni wszakże znowuż ci za plecami brużdżą, nie czekaj więc trzeciego razu. Nad rzeką ich miejsce.

–Wydasz takie rozkazy, jakie uznasz za stosowne. I w dowolnym czasie. – Tristen nie miał ochoty potępiać nikogo zaocznie. – Ale zanim to nastąpi, wysłucham argumentów sierżanta. Jeżeli nie udzieli mi zadowalającej odpowiedzi, pošlesz ich wszystkich do obozu Anwylla.

–Zasadnie prawisz – zgodził się Uwen. – Zaraz go tu przyprowadzę. Rzeknę mu, że chcesz z nim słówko zamienić. Zapytałbym go też, panie, czyli kapitan jego postępek pochwalił, jeno myślę sobie, iż znam już właściwą odpowiedź. Nie tylko sierżant maczał w tym palce. Inaczej by postąpił, gdyby nie kapitan.

–Polegam na twoich radach. Niech sierżant przyjdzie do mojej komnaty, a zaraz po nim, osobno, kapitan. I pošlij ludzi do earłów. Zawiadom ich, że zwołuję dziś dwór.

Zgodnie z planem sierżant miał się pojawić późnym popołudniem, a kapitan garnizonu tuż po nim, lecz wkrótce po umówionej godzinie Uwen przybył do jego komnaty, by mu osobiście zakomunikować, że wszelki słuch zaginął po obydwu żołnierzach.

–Rzecz to niezwykła, żeby kapitana nie sposób było znaleźć – rzekł Uwen. – Zamierzam niezwłocznie zapytać w dolnych stajniach.

–Przypuszczasz, że zbiegli?

–Mogą doglądać koni, zwyczajnie lub dla pozorów. Jeno tak, wolno żołnierzowi bez rozkazu opuszczać garnizon. Jeśli gdzie nie piją ani po grodzie się nie włóczą... Jeśli nie są przy koniach, całe cholerne miasto trzeba będzie przepatrzyć.

–Dowiaduj się o nich. – Szara przestrzeń mogłaby coś mu podpowiedzieć, gdyby lepiej znał zaginionych. Badanie całej ludności grodu i wyszukiwanie żołnierzy byłoby

niczym odnajdywanie igły w stogu siana... Oznaczałoby wtargnięcie w cudzą prywatność i spokój, co nie wydawało się uczciwe. Zabrałoby także sporo czasu.

–Co z gwardzistami? Szukają ich?

–Nie prosiłem ich o to, cóż dopiero mówić o rozkazywaniu. Dyc to ich dowódcy, panie. Rozpytuję o nich za pośrednictwem amefińskich straży i czeladzi. Nagabywałem też niższych rangą oficerów, żeby się bliżej przyjrzeć tym, których niegdyś znałem, panie. Kilku z nich znam dobrze.

–Ale nie wszystkich?

–Nie tylko w Guelessarze werbują ludzi do Gwardii Gueleńskiej, panie. Także w Panysie i w Murandysie. Każdy drugi i trzeci syn, co mu żadna scheda nie przypada, pod regularne chorągwie się zaciąga. Moźni panicze służą z Dragonami lub w Gwardii Książęcej, aliści zwykle chłopaki... no i ci, co już są dorośli, jak ja... ciągną pod sztandar Gwardii Gueleńskiej. Owszem, z niektórymi przybyłem do Amefel, innych poznałem, kiedy bawił tu Jego Królewska Mość. Poznałem wśród nich także łotrów, do których starszy sierżant przynależy.

–Ale nie znasz wszystkich?

–Wielu wstąpiło do gwardii na jesień, kiedy Jego Królewska Mość do Guelessaru odmaszerował, ustępując tu miejsca Parsynanowi. Część z nich to pocziwe chłopiska, lecz są i tacy, co im źle z oczu patrzy. Wszyscy quinalt wyznają, ino niektórzy nazbyt zapalczywie, jeśli wiesz, panie, co mam na myśli. Ci nie darzą sympatią Amefińczyków.

–Zaprowadź porządek w garnizonie. Odsyłanie wojsk na granicę to nie jest wyjście. Sierżant i kapitan wyjechali tak zupełnie bez słowa? A może ludzie nie chcą mówić?

–Wygląda na to, panie, że nie przekazali nikomu dowództwa, liczy się tedy zwykle starszeństwo stopni. Człek najwyższy rangą prawi, że miejsca ich pobytu nie zna, a jam skłonny mu wierzyć. Wasza Miłość ma rację: tak być nie powinno.

–Anwyll pozwalał na takie rzeczy?

–Kapitan Anwyll rzadko kiedy się wtrącał.

–Teraz ty dowodzisz garnizonem. Wszystkimi żołnierzami w fortecy. Zaprowadź wśród nich porządek.

–Rzecz tyczy gwardzistów Jego Królewskiej Mości – odparł skonfundowany Uwen. – Jakże mi tak od ręki odprawiać królewskich oficerów, panie? Nie mam do tego upoważnienia, mimo najszczerzych chęci. Zaczynałem w Gueleńczykach, potem

trafiłem do Smoków. Naonczas mógłbym jeszcze nimi dowodzić, gdyż sierżantowi Smoczej Gwardii wolno rozkazywać kapitanowi pospolitych kompanii. Jenó żem później opuścił Smoki, by tobie służyć, panie, a to oznacza, że nie jestem już królewskim oficerem. Gdyby nad wojskiem nie stał dowódca, mógłbym, na twój rozkaz, wziąć ich w tej prowincji pod komendę, aliści oni mają swojego kapitana. Anwyll mógłby nimi dowodzić, aleś go wysłał na granicę.

Tristen nie zamierzał tolerować tego, że żołnierze Jego Królewskiej Mości robią, co im się żywnie podoba, i w odległości rzutu kamieniem od twierdzy krzywdzą Amefińczyków. Jego zdaniem kapitan pozbawił się dowództwa tamtej nocy, gdy posłuchał słów Parsynana zamiast nowego diuka Amefel. Skoro on i sierżant jednocześnie zniknęli, nie zostawwszy żadnych poleceń, wiedział, jak to nazwać: nieodpowiedzialność była Słowem, które poznał w obu miejscach. Tutaj, w Amefel, poznał też, co to zdrada.

A skoro dobro miasta i amefińska sprawiedliwość zależała od poprawnego zachowania załogi garnizonu, Gniew wezbrał w Tristenie już po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni.

To niezwykle, pomyślał. Ową rzecz, ten gniew, odsunął ostrożnie od siebie w celu późniejszego zbadania w spokojniejszej chwili. Nie powinien pozwolić, aby złość wpływała na treść wydawanych przezeń rozkazów, nawet jeśli go rozgrzeszały okoliczności.

–Słyszałeś? – zapytał Emuina poprzez dzielące ich zwały kamieni. – Wiesz już, że kapitan i sierżant zniknęli? Uważasz to za przypadek, czcigodny panie? Powiniennem być zły z tego powodu?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, czego się w głębi duszy spodziewał. O tak, Emuin bez wątpienia wszystko słyssał. Porządkował swą izbę, rozgrzebywał węgle w palenisku i choć milczał, zwracał nań uwagę.

Sam przecież, o czym sobie teraz przypomniał, powiedział patriarsze, iż domyśla się, z jakiego źródła kapłan czerpał informacje na temat handlarzy drobiazgami. Czyż w takim razie mogło dziwić, że patriarcha ostrzegł sierżanta, a ten kapitana? Osobiście niewiele miał wspólnego z tymi ludźmi i wciąż był zmuszony ich szukać. Zaczynał jednak podejrzewać, że zagubiona igła jest już w innym stogu siana.

–Mogli zabrać konie – rzekł do Uwena, który cierpliwie czekał na odpowiedź. – Wówczas ty objąłbyś dowództwo.

–Pytałem – odparł – ino wciąż nie ma wieści.

–Nie dotarły jeszcze z podgrodzia?

–Spore zamieszanie nastąpiło, zwłaszcza że zjechało się z górą sześćdziesiąt ivanimskich koni i wszystkie trza gdziesik pomieścić. Mistrz Haman kazał koniuchom przeprowadzić zwierzęta na odległe łąki i zbić tam dla nich pomieszczenia na zimę. Do niektórych takich miejsc jazda tam i z powrotem zabiera przeszło godzinę, a przecie mus nam rachunek mieć dokładny. U koni nadto obyczaj taki, że leżą między drzewa i pod skarpy nadrzeczne, schronu przed wiatrem szukając, choć im się budy solidne kleci...

–A więc przed wieczorem niczego się nie dowiemy, chyba że kapitan wróci wcześniej.

–Pytałem też wartowników w bramach. Nie wiedzą, czy nasi oficerowie są w grodzie, czyli żeń wyjechali. Małą uwagę do przechodzących żołnierzy przykładają. Kazałem im mieć oczy szeroko otwarte. Pod moją oni są komendą, tedy proszę o wybaczenie, panie.

Jeżeli kapitan zabrał konia i odjechał, nie ulegało wątpliwości, dokąd się udał: do Guelessaru, do Parsynana, zdać wrogom relację.

–To znaczy, że musimy czekać na wieści od Hamana. Co z lordami, przyjdą w ciągu godziny?

–Tak, panie. Wiadomości posłane.

Nader długo już zwlekał z napisaniem listu. Idrys polecił mu pisać często, jak najczęściej. Teraz, w czasie rozmowy z Uwenem, doszedł do wniosku, iż powinien wreszcie zrobić to, co od wielu dni odwlekał.

–Na razie czyń, co możesz – powiedział. – Ale wróć, kiedy będę schodził do sali.

–Tak, panie.

Uwen odszedł, żeby odszukać tych, co do których Tristen miał pewność, że są nieosiągalni i od dawna w drodze. Zasiadł przy biurku o smoczych nogach, pod rozwartymi spiżowymi paszczami, po czym uniósł pióro – chciał bezzwłocznie poinformować Idrysa o wszystkim, co się stało. Dręczyła go świadomość, że wraz ze Smokami odprawił swych najbardziej zaufanych gueleńskich kurierów, nie licząc straży przybocznej. Amefińskich żołnierzy z pewnością by zauważono i napastowano podczas ich przejazdu przez Guelessar, mogliby mieć trudności z dotarciem do Idrysa. Nie zostawił sobie na podorędziu ani jednego Smoka, a w tych okolicznościach powierzenie Gueleńczykowi złożenia oskarżycielskiego raportu na własnych oficerów zakrawało na szaleństwo. Na szczęście był jeszcze Gedd. Mógł śmiało posłać Gedda.

Istniała też możliwość, że Uwen znajdzie ze dwóch uczciwych ludzi w oddziale, w

którym jeszcze latem sam służył. Nie wszyscy spośród tych, co walczyli nad Lewenbrookiem, odmaszerowali do domu. Niestety, nie mógł sobie pozwolić na zwolnienie Gwardii Gueleńskiej, chociaż Cevulirn obiecywał mu pomoc. Powinien był otoczyć się uczciwymi ludźmi i czym prędzej rozprawić z Gueleńczykami. Należało zdegradować bądź wysłać na pogranicze tych oficerów, którzy przewodzili masakrze. Teraz, skoro kapitan uciekł z sierżantem – jeśli tak się naprawdę zdarzyło – szansę na spełnienie miało całe zło, jakie mógł wyrządzić swoim meldunkiem... Tristen nabierał coraz większego przekonania, że oficerowie, ostrzeżeni przez quinaltynów, istotnie uciekli.

Dopaść zbiegów w drodze, spłoszyć ich konie... Mógł tak zrobić: podobnie postąpił w przypadku Parsynana. Nie zdołał wszakże tym sposobem powstrzymać wicekróla przed dotarciem do Guelessaru, co niewątpliwie uczynił Parsynan. Czuł także coś więcej niżli zwykłą niechęć do wtargnięcia w szarą przestrzeń z tak beztróskim zamiarem.

Kiedy zdał sobie sprawę, o czym myśli, zatrzymał pióro. Zapytywał się w duchu o przyczynę swojego wahania.

Chodziło o strach przed zabijaniem. Nie miał wszak pewności, jak pospadają z siodeł. Ich upadek byłby przypadkowy, a na przypadku swoje królestwo budowali czarodzieje.

Nie miał również gwarancji, że swoim uczynkiem powstrzyma kłamliwe pogłoski i że nie rozniosą się w złą godzinę. To, kiedy się zaczną rozchodzić, zależało obecnie od wytrzymałości wierchowców, na ogół silnych zwierząt. Wprowadzenie ich jednak do królestwa przypadków otwierało drogę nieprzyjaznym siłom, było zaproszeniem dla wszelkiego rodzaju mocy skłębionych tuż poza zasięgiem jego wzroku.

Był z nim Ivanor... Przybył tego samego dnia, kiedy Smocza Gwardia odjeżdżała nad rzekę. Ivanor zapowiedziany przez cuda i wróżebne znaki, słowa o lordach i aethelingach związane z Tristenem, Crissandem oraz przepowiednią.

Na dodatek Paisi, rzezimieszek budzący obrzydzenie Gueleńczyków, korzystający jednak z opieki amefińskich wartowników, przyczynił się do powstania zamętu w Gwardii Gueleńskiej, w garnizonie będącym dotąd najpewniejszym i zawsze gotowym do działania obrońcą Amefel.

Nieco drżącą ręką zamaczał pióro w atramencie. Niespokojne myśli przychodzące mu do głowy były źródłem rozterek. Nagła chęć Emuina do udzielania rad nasuwała skojarzenie z osiągnięciem kamienia milowego, punktu, od którego starzec skłonny był mówić. A teraz Tristen miał wrażenie, że Emuin podsłuchuje.

–Ty wiesz – powiedział do niego. Wyczuł tylko umykającą mu obecność, znów

uparcie milczącą.

Powrócił srogi gniew, który jednak Tristen natychmiast zdusił w sobie, jakby walczył z obcą i wrogą istotą.

Ujrzał w dali wyprostowaną sylwetkę wpatzonego weń czarodzieja. Milczącego, nietkniętego w swej władzy. Emuin wciąż umiał chować przed nim tajemnice.

Czyż Emuin nie powtarzał wielokrotnie, że nie będzie nigdy sprzeciwiał się jego zamiarom? A mimo to, niczego innego nie robił. Uchyłał się od jego żądań, uniemożliwiał mu przeskok z jednego stopnia wiedzy na drugi, pomnażał wątpliwości i kierował nim w gąszczu rozpaczliwych pytań, tak aby sam dochodził do sedna sprawy, poznawał objawiające mu się Słowa. Kierował nim za pomocą uczucia przywiązania, złości, wpajał mu nawet przekonanie o istnieniu ukrytych tajemnic.

Póki nie było odpowiedzi od Emuina... zwlekał z działaniem. Póki zwlekał z działaniem...

Dostrzegł możliwość wyboru.

Złość przeminęła. Mistrz Emuin nie odzywał się ani słowem. Stojąc wśród wiatrów szarej przestrzeni, Tristen wyczuł pewną niewielką satysfakcję, unoszoną szarym podmuchem.

–Czy tak wygląda twoja strategia, panie?

Emuin go nie ignorował, przyglądał mu się badawczo, on zaś zlekceważył starca, świadom uciekającego czasu i rychłego spotkania z earlami.

Pisał spiesznie. Lecz wnet znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w płomień świecy, muskając piórką usta i wspominając, jak to kiedyś w tajemniczy sposób nęcił go ogień w kominku Mauryła. Wciąż miał na dłoni małą bliznę. Od tamtej pory pamiętał, że nie można pochwycić w garść płomienia, a jedynie podsycić go lub zagasić.

Musiał pogodzić się z naturą czarów. I z naturą Mauryła.

A także z naturą Emuina, nieuchwytnego dlań mimo posiadanej mocy. Jeśli jego moc była wichrem i zawieją, to moc Emuina, podobnie jak Mauryłowa, była ogniem – małym niby skierki, które skaczą, by trawić całe domy, a nikną pod dotknięciem ciekawskiego palca.

Czyż i Maurył nie zachowywał się dokładnie tak samo? Maurył, którego na wpół spalone listy zawierały tylko prośby o zaopatrzenie i wskazówki w kwestii zmian pogody? Morderca zamyślał odnaleźć dużo więcej w zapiskach Mauryła, a mimo to... czegoż mógł się dowiedzieć o Maurylu czy o jakimkolwiek czarodzieju z lapidarnej

korespondencji? Tylko długie dzieło mówiło więcej, upór iskierki tlącej się poza paleniskiem, ów drobny, niezauważony akt przypadkowości.

–Bardzo cię szanuję – powiedział do tego, kto w jego przekonaniu szczelnie zatkał sobie uszy i obwarował serce. – Szanuję twą pracę, panie, nie jestem aż takim głupcem, żeby ją lekceważyć. Kiedy popełniam uchybienie, milczysz. Gdybym jednak uchybił tobie, panie, proszę, abys zwał mnie głupcem. Nawet Cieni tak się nie lękam jak ciszy.

Chcę czynić dobro, panie. Jesteśmy jednak – czyż nie? – trochę różni od siebie. Jeżeli ja jestem wichrem, to ty ogniem i możesz płonąć, lecz mój żywioł jest silniejszy.

Pochodzę z rodu Sihhe. Czyż nie jest to ostatnia lekcja, jakiej mam się nauczyć? Ponieważ nie jestem Człowiekiem, nie powinienem praktykować czarów?

Jeśli to prawda, panie, chyba cię potrzebuję. I to bardzo.

Kapitan Gueleńczyków przypuszczalnie uciekł, z czego wyniknie nieszczęście, o ile nie zatrzymają go czary.

Ty jednak twierdzisz, że nie powinienem nimi władać. Że magia jest moim narzędziem, czarów zaś mam się wystrzegać.

Słuchał, dopóki atrament nie wyschnął na końcówce pióra, lecz nie usłyszał odpowiedzi.

Wyraźnie jednak poczuł narastający spokój, dotknięcie delikatniejsze od muśnięcia piórka, bardziej wyrafinowane od słowa. Owemu spokojowi zagrażały zerkające z góry smoki, stworzenia żywiołu ognia spozierały z gniewnymi minami.

Czy to rzeźba z dębowego drewna, czy może koń?

Czy to podobizna ze spiżu, czy też wszystko, czym mógł być smok?

Najbliższy z nich wznosił hardo głowę, zaklęty własnym zaklęciem, tocząc bój przeciwko spokojowi. To zerkał mu ukośnie przez ramię, to go zachodził z boku, to znów patrzył wraz z nim w dal niewidzącym wzrokiem ze spiżowym, strasznym obliczem; bestia Aswyddów, świadek wszystkiego, co tu się wydarzyło... usiłująca być, jak się wydawało, jego sprzymierzeńcem.

Czy mogę rozkazywać smokom? – zapytał owego cichego czarodziejskiego świadka. Skąpą myśl poświęcił też żołnierzom króla, noszącym to samo miano, oraz herbowi Marhanenów, złotemu smokowi w czerwonym polu, stanowiącemu zarazem herb królestwa. Nurtowało go pytanie, w jakim stopniu mógł sięgnąć wstecz ku

władzy Aswyddów i na niej się oprzeć. Podobne pytania miały jednak tę właściwość, że odpowiedzi na nie przychodziły pokrętną drogą.

Gdzieś w zakamarkach jego świadomości narodziło się zrozumienie trapiącej go kwestii: smoki Aswyddów rozpościerały swe wpływy aż do Guelessaru, wspierały tron Marhanenów, a nie sihhijskie godła... Smoki były wyłącznie herbami Ludzi, królów i lordów Ludzi. Odnosił wrażenie, że ta komnata była mu zawsze obca. Mieszkał w niej, ale i strzegł jej zarazem. Pilnował zabezpieczeń dla bezpieczeństwa ogółu.

Mimo to pojął, że może rozkazywać smokom, teraz i tylko do czasu, gdy owe zapalczywe, ogniste istoty wywołają w nim gniew albo furię... albo też strach. Tylko w takich granicach mógł nimi dowodzić i tylko w takich granicach mógł dowodzić tymi, którzy byli ich panami.

Smoki i ci, co nimi kierowali, nie mogli złamać tego warunku. Nigdy nie wolno im było tego zrobić. Mogli wprawdzie korzystać z ognia i wichru, lecz tego ograniczenia musieli bezwzględnie przestrzegać. Pisał wiadomość do lorda komendanta o rozprężeniu w garnizonie. Zbliżało się spotkanie z amefińskimi lordami, miał siedzieć na tronie i ferować wyroki, a tymczasem smoki patrzyły nań z góry, przypominając mu, że ich gniew jest ogniem, a jego wola wichrem.

Poczuł obecność milczącego czarodzieja, świadka swoich rozmyślań, podobnie jak on wyobcowanego, umknął więc z rozmysłem bezdźwięcznemu dźwiękowi ciszy, która przyoblekła jego przytulisko. Emuin czuwał.

Pióro, kiedy zaczął nim pisać po zamoczeniu go w atramencie, zazgrzytało niczym pazury na kamieniu, jakby smoki poruszyły się na swych grzędach. Cienie, te niegroźne, mające prawo tu przebywać, czaiły się i pełzały pod stolikami, ukryte wśród fałdów zielonych kotar, w szufladkach i w kątach.

Tristen miał w sobie magię, dziedzictwo przodków. A jako jej posiadacz musiał się z nią nader ostrożnie obchodzić. Nigdy nie pozwalał na swobodę tutejszym Cieniom, nigdy się nie godził na wygaszenie świateł. Świece płonęły tu bez ustanku, za dnia nie zasłaniano okien. Ci, którzy umarli w tej komnacie, nie byli tak do końca jego ludźmi, lecz wytrwali w wierności dla Amefel, toteż chętnie żył w ich towarzystwie, świadom ich upodobań, teraz już pewien – podobnie jak wtedy, gdy Leciwa Syes witała jego i Crissanda – że ma coś, co nie zawsze będzie jego własnością.

Emuin znowu go podsłuchał i usiłował teraz umknąć cichaczem. Lecz nie mógł już uciec przed Tristenem. Czarodziej śledził go wielokrotnie, niewidoczny i nieufny, lecz teraz tę niewidoczność utracił bezpowrotnie.

–Wiedz jedno – rzekł strapiony Tristen. – Wiedz, że wysłuchałem przynajmniej

jednej lub dwu twoich lekcji, mistrzu Emuinie. A ponieważ ich wysłuchałem, zamierzam też wysłuchać uwag kamieniarzy i earłów. Nie chcę, żeby Gueleńczycy i ludzie z domu Meidenów skakali sobie do gardeł.

Czemu, mistrzu Emuinie, czemu wydaje się, że niecne zamysły tak łatwo realizować, czemu ci ludzie uciekają mi, żeby czynić zło, czemu płoną listy Mauryła, a powody tej całej podłości przepływają mi między palcami? Czy w ten sposób toczy się świat? A może istnieje jakaś przyczyna, niezależna od ciebie i ode mnie?

Czy istnieje powód twojej nieufności?

Czy właśnie ta nieufność przywiodła cię tutaj za mną?

Rozdział siódmy

Dwór się zebrał, a tymczasem nie nadeszły żadne wieści o zbiegach, co wcale nie zdziwiło Tristena i Uwena. Jednakże gorliwość, z jaką zebrali się zaproszeni, zaskoczyła nieco młodego diuka. Do earłów rozesłano wiadomości, by przybyli wcześniej i jeszcze przed bankietem przedstawili swoje petycje. Wobec zaplanowanej na ten wieczór uczyty, będącej wyrazem szacunku dla gościa, kuchmistrzynie już zeszłego wieczoru rozpoczęła przygotowania, przez co w kuchniach zapanował wielki rozgardiasz i rozlegały się częste krzyki. Przy takiej okazji nie mogło być mowy o opieszałości.

Wszyscy earlowie pojawili się jeszcze przed wyznaczoną godziną. W generalnej audiencji diuka swej sąsiedniej prowincji uczestniczył również Cevulirn i choć odziany był w proste, praktyczne szaty w szaro-białych kolorach, to żadnemu z obecnych na sali lordów wykwintny strój nie przydawał dostojęstwa bardziej niż Cevulirnowi jego górne maniery. Już sama obecność barona ściągała nań spojrzenia, kiedy stał obok stopni podwyższenia, by zdać sprawę z wydarzeń na dworze, takich jak zaślubiny Jego Królewskiej Mości z Jej Miłością czy śmierć Brugana, syna Corswyndama, lorda Ryssanda. Słuchacze zachowywali absolutny spokój, chłonąc relację człowieka, który zwykł odmierzać słowa niczym monety, rozważnie i oszczędnie.

–Co mamy teraz robić? – wyrwał się z pytaniem Drumman, gdy usłyszał, w jakich okolicznościach odprawiono Cevulirna z gueleńskiego dworu. – Toż to atak na południe i na nas wszystkich. Najpierw na nasze przywileje i prawa, później na nasze włości. Król Cefwyn to monarcha, który przynajmniej szanuje naszą ziemię, ale patrzcie, jak postępują z nim ci przekłęci baronowie z północy!

–Słusznie prawi – rozległo się tu i ówdzie, także wśród rajców miejskich, jako że Cefwyn przez kilka tygodni rządził Ylesuinem właśnie z Henas'amef.

–Ledwie uznawać nasze racje zaczął, a już baronowie grymaszą i sarkają! – krzyknął

ktoś następny. – Earl Drumman w sedno utrafił. To myśmy nad Lewenbrookiem bój z Elwynimami toczyli, przez co nam przyszło własnych synów pogrześć... Tych, cośmy ich znaleźli. Gdzież był wówczas cholerny Ryssand, pytam?

–Bezpieczny – odparł Cevulirn, kiedy wszyscy umilkli po tych dosadnych słowach. – Bezpieczny, mój panie. Żadny luksusów i władzy, a dać mu ich nie mogło małżeństwo króla z regentką Elwynoru, które wzmocni pozycję Cefwyna Marhanena. To oczywiste, że Ryssand jest moim wrogiem. Zapewniam was, że jest także wrogiem waszego lorda.

–Lorda Sihhe! – odważył się ktoś zawołać. – Lord Sihhe jeszcze utrże nosa temu Ryssandowi!

Tristen z niechęcią słuchał tego pomstowania na baronów z północy. Widział, jak sprawy wymykają mu się spod kontroli już na początku audiencji, której zwołanie doradził mu Emuin. Wiedział, że nikt celowo nie pogarsza nastrojów, a już z pewnością nie Cevulirn, uniósł więc dłoń nad oparcie tronu, by choć na moment zapadła cisza.

–Jestem przyjacielem króla. Wszystko, co robię, zmierza do zabezpieczenia amefińskich granic i niedopuszczenia do wybuchu wojny na ziemiach tej prowincji. Nie pozwolę na to ja, a sądzę, że i Cevulirn.

–Nie pozwolimy na to – oświadczył zwięźle lord Ivanor. – Ale com miał do opowiedzenia, panowie, opowiedziałem.

–Niech żyje diuk Ivanoru! – zakrzyknął Crissand, co wszyscy natychmiast powtórzyli.

Tymczasem na rozstrzygnięcie czekały też inne kwestie.

–Panie – rzekł Tassand, który podszedł do stopni podwyższenia z listą tematów wymagających omówienia na zebraniu. – Sprawa gwardii, poszukiwanie oficerów. Zaniedbanie obowiązków dowódcy garnizonu. Kapitan Waszej Miłości przybył z raportem.

–Znaleziono ich?

Tassand wszedł na pierwszy stopień i pochylił się nad uchem Tristena.

–Lord kapitan sierżantów zawezwał – szepnął, a wszyscy zgromadzeni starali się coś posłyszeć. – W kupie ich trzyma razem z Paisim i paroma żołnierzami. Wprowadzi ich na salę na rozkaz Waszej Miłości.

–Niech wejdą – odrzekł Tristen, choć nie chciał roztrząsać tego problemu na oczach

earłów i jakiegoś stolarza czekającego z petycją o przydział materiału. Emuin radził mu rządzić, oczekiwał więc rozwlekłego wprowadzenia do sprawy i debaty earłów nad każdym jej podpunktem, łącznie z wymaganą formą przeprosin Paisiego.

Nie brał jednak pod uwagę zaradności Uwena Lewen's-sona, który wprowadził żołnierzy w regulaminowym szyku i dopilnował, by stanęli na baczność. Za żołnierzami przydreptał Paisi ze skruszoną miną i tobołkiem w rękach. Tristen przypomniał sobie radę Emuina: powinien umożliwić ludziom publiczne zabieranie głosu, a wszelkie kwestie rozwiązywać jawnie.

–Uwene – powiedział. – Kapitanie Uwene, jaki masz dla mnie raport?

–Najsampierw, panie, ten tu młodzik czyn swój naprawi – odpowiedział Uwen, ani trochę nie onieśmielony. – Mus mu zabraną własność zwrócić należycie. No jazda, chłopcze. Do dzieła!

–Panie – rzekł Paisi lękliwie. – Dyc nie mogę. Nie ma go tu.

–Gdzież jest w takim razie? – zwrócił się Uwen do najbliższego z żołdaków.

–Na granicy – odparł zapytany.

–Tedy oddaj ekwipunek jemu na przechowanie – nakazał Uwen chłopcu – i z rozkazu twego pana po męsku złóż przeprosiny.

Niemalże biegiem Paisi dopadł do żołnierza i oddał mu zawiniątko, po czym wydukał:

–Świadom swej omyłki, panie, obiecuję już nie kraść i przez wzgląd na kapitana i pana mojego błagam o przebaczenie.

–Udzielam – padła lakoniczna odpowiedź, nie płynąca chyba z głębi serca.

–Przez okres dwóch tygodni służbę pełnić będzie – oznajmił Uwen – i nocą na wartowni straż trzymać, oprócz zwykłych domowych obowiązków.

–Tak jest – odparł żołnierz w dużo lepszym humorze. Zdawało się, chociaż żołnierze stali na baczność, iż w szeregu nastąpiło raptowne poruszenie, jakby każdy poczuł się nagle usatysfakcjonowany tym wyrokiem.

–Tak, panie – bąknął Paisi.

–To dopiero rzecz pierwsza – oświadczył Uwen, krocząc po błyszczącej posadzce w butach wypastowanych na wysoki połysk (czego nie dało się powiedzieć o obuwiu lordów) i z rozwianą grzywą srebrzystych włosów. Jego krzepkie, zaprawione w

trudach ciało, nosząca ślady wielu walk zbroja, tudzież niezachwiana pewność przy wygłaszaniu komend nie pozostawiały wątpliwości, że człowiek ten czuje się doskonale w roli dowódcy. – W regimencie tym, panie, uczciwych wojaków znajdziesz, aliści kapitan i starszy sierżant bez nijakiego zezwolenia do Guelessaru niezawodnie ujechali. Cień hańby na uczciwych ludzi to rzuca, zwłaszcza że znikli, zaledwieś, panie, chęć rozmówienia się z nimi wyraził. A skoro tak sprawy stoją, co poniektórym nie w smak uciążliwa służba i źle im w Amefel. Są tu ci, co rzekli mi to bez osłonek. Na to jam im odrzekł, ręką na honorem i powołując się na twą władzę, panie, iż wolno im będzie pójść w ślady kapitana i sierżanta, zabrać konie, dobytek i bez przeszkody ni ujmy na honorze wyjechać, ino z jednym warunkiem: mają się tu stawić osobiście, po męsku, jak żołnierzom przystoi, ażeby uprosić pozwolenia pana tej prowincji, miast dezertować niby banda przeklętych opryszków. Jakoż przybywa tu ze mną spora gromada zacnych żołnierzy, którym się tu nie podoba, tedy jeśli zgodę swą wyrazisz, panie, wyjadą. Są także inni, którym się tu podoba i którzy dumni są ze służby w tym regimencie. Ci pozostaną. Prócz tego, panie, przyprowadziłem sierżanta, Wynneda, com z nim dawniej służył. Prosi on o zwolnienie z odmiennej przyczyny, pragnie się z matką obaczyć, jako że nagła ją niemoc złożyła. Wróci, jeno pokłoni się matce i dopilnuje, by jej czego nie brakowało.

–Całkowicie zgadzam się z Uwenem – rzekł Tristen spokojnie, bacznie obserwowany przez żołnierzy. – Skoro chcecie wyjechać, jedźcie, a czego wam trzeba na drogę, dostaniecie. – Plotki już i tak się rozeszły, a zło dokonało. Cieszył się, że Uwen pozbył się części żołnierzy.

–Wasza Lordowska Mość – rzekł jeden. – Konie i pałatki na drogę.

–Konie i pałatki to rozsądne życzenie, zważywszy na pogodę – zgodził się Uwen. – Namioty i juczne konie tutaj są potrzebne.

–Co mówi Uwen, popieram – oświadczył Tristen.

–Odegrali swą rolę i są zwolnieni z przysięgi. Mogą jechać.

–A zatem jedźcie – rzekł Tristen. – Przekażcie ode mnie pozdrowienia lordowi komendantowi. Życzę dobrej pogody... Tobie zaś, Wynedd, życzę, by twoja matka wyzdrowiała.

–Wasza Miłość. – Człowiek imieniem Wynedd splonął szkarłatnym rumieńcem. Tristenowi przyszło na myśl, że Uwen mógłby wybrać Wynedda na posłańca.

–Ruszą, nim upłynie godzina – powiedział Uwen. – W tył zwrot! Naprzód marsz! Ino się zachowujcie, jak na żołnierzy przystało, żadnych pożegnań w karczmach...! Lewes!

–Panie. – Jeden z mężczyzn został w miejscu, kiedy reszta wychodziła. Uwen skinął

nań i żołnierz podszedł bliżej.

–Otóż i kapral Lewes, którego jest człek obiecujący i zamierzam go sierżantem mianować. Lewes to kapral Wynedda. Za pozwoleniem, panie, także mianuję pozostałych.

–Co uznasz za stosowne. – Tristen nie posiadał się ze zdumienia. Uwen, jakże nieśmiały i powściągliwy przy nim i w towarzystwie lordów, na polu bitwy ujawniał zupełnie inne cechy. Również między żołnierzami, jak się okazywało. Nie przypominał sobie, żeby na dworze Cefwyna Idrys kiedykolwiek wprowadził na salę tak wielką grupę żołnierzy, aczkolwiek był na tym dworze nader rzadkim gościem. Cała sprawa z gwardią została przeprowadzona i rozstrzygnięta w znacznie krótszym czasie, niż to zazwyczaj bywało na podobnych naradach. Arystokracja nowo zebranego dworu w zdumieniu przyglądała się tej publicznej rozprawie i garnizonowym przetasowaniom.

Czyż jednak Emuin nie doradzał mu rządzić na oczach ludzi? Godziło się ukazać mieszkańcom prowincji prawdziwą wartość ludzi, którzy pilnowali porządku w mieście. Nikt też nie wyglądał na niezadowolonego z wyjazdu okrytych niełaską żołnierzy, z wymówki Wynedda, promocji Lewesa czy wreszcie z postępowania Uwena. Szeptano, zasłaniając usta dłonią, ale bardziej z grzeczności i dla zachowania spokoju niż dla ukrycia wrogich zamiarów.

–To cały mój raport, panie – oznajmił Uwen na koniec, kiedy ucichł tupot żołnierzy.

–Dobra robota – pochwalił go Tristen, po czym, spojrzawszy na listę Tassanda, przygotował się do rozpatrywania mniej ważnych petycji, jakimi zarzucano go zwykle na korytarzach. Była wśród nich prośba o pozwolenie na ślub z księżecą podopieczną.

–Czy jestem opiekunem tej osoby? – zapytał. Lord Azant wyjaśnił mu, że księżeca podopieczna była krewniaczką lorda Cuthana, pozostawioną na łasce losu po jego ucieczce. Tassand, zaznajomiony ze sprawą, dodał, że ma dwanaście lat i na imię Merilys.

–Dwanaście? – powtórzył Tristen. Słabo orientował się w wieku Ludzi, lecz dziewczyna wydała mu się bardzo młoda. – To jeszcze dziecko.

–Zaprawdę, panie – rzekł drugi, starszy mężczyzna. – Potrzebujące rady i przewodnictwa, a także opieki nad majątkiem, którym żadną miarą nie jest w stanie zarządzać.

–Kim jesteś, panie?

–Thane Ausey, Wasza Miłość. Dueradd, thane Ausey, zaręczony z rzeczoną damą.

–Panie – ozwał się earl Azant, występując do przodu. – Jestem dalekim krewnym tego dziecka. Ze względu na nieobecność earla i jego wywłaszczenie, wszelkie wynikające z pokrewieństwa zobowiązania przechodzą na Waszą Miłość. To małżeństwo...

–Kontrakt małżeński został podpisany przez lady Idas'aren – wtrącił narzeczoną – ponadto zatwierdzony i opatrzony pieczęcią earla Brynu, o czym Wasza Miłość może się naocznie przekonać...

–Wszystkie umowy earla zostały unieważnione – rzekł Azant – a to małżeństwo nie leży w interesie dziewczyny.

–Nie wszystkie umowy zostały unieważnione. Umowy handlowe są nadal honorowane...

–Lady Idas'aren nie jest jałówką wystawioną na sprzedaż, a jej matka, kuzynie, sprzeciwia się temu związkowi!

–Co na to sama lady Idas'aren? – zapytał Tristen, który pogubił się wśród tylu różnych argumentów.

–Panie mój, ona jest zbyt młoda, żeby wiedzieć, co dla niej dobre.

–A więc dopóki nie dorośnie, aby się tego dowiedzieć... – zaczął Tristen. Ogarnęło go współczucie dla tej młodej duszyczki, będącej przedmiotem handlu, przekazywanej z rąk do rąk wbrew woli, niczego nieświadomej. Niewiele wiedział o ślubach, rozumiał jednak los osoby napastowanej i przerzucanej z miejsca na miejsce. – Mogę wstrzymać ślub?

Rozległy się pomruki, a Tassand, zwykły służący w Guelessarze, obecnie piastujący funkcję ochmistrza, rzekł cicho:

–Jestem pewien, że Wasza Miłość może zrobić wszystko, co zechce.

–W takim razie nakazuję wstrzymać się ze ślubem, dopóki dziewczyna nie dorośnie i nie powie, czego pragnie.

Azant parsknął stłumionym, triumfalnym śmiechem,thane Ausey zaś odszedł, mrużąc ze złością pod nosem, zagłuszony jednak przez gwar panujący na sali. Oprócz niego nikt nie sprawiał wrażenia zagniewanego, natomiast niejeden jawnie wyrażał swoje zadowolenie.

Następnie Tassand odczytał treść kolejnej petycji dotyczącej naprawy muru przy bramie.

–...wymaga jedynie zgody Waszej Miłości na zapłatę dla robotników – ciągnął Tassand – co wydaje się usprawiedliwioną prośbą.

–Zgadza się – oświadczył Tristen; w taki sposób załatwił już ze sto podobnych spraw.

Czy naprawdę przysłużył się młodej damie? Czuł ucisk w sercu i zrobił to, co uznał za właściwe. Zatwierdził coś, co z jakiegoś powodu wymagało jego zatwierdzenia. Pozostałe sprawy były równie przyziemne, jak prośba o zapłatę... Prośbę grodzkich archiwistów o udostępnienie im pewnych dokumentów z Zeide uznał za niemożliwą do spełnienia.

–Podobno zaginęły – powiedział. Zobaczył, że urodzony w Guelessarze archiwista, ten, który przyjechał wraz z nim ze stolicy, wystąpił naprzód, acz nie dalej, jak na skraj zgromadzenia. – Czy to prawda?

Archiwista pokłonił się lekko.

–Osiągnęliśmy pewien sukces, panie, lecz z żalem muszę przyznać, że wciąż nie możemy znaleźć wszystkich dokumentów. Sędziowie żądają zaświadczeń o stanie majątków i o spadkach, ale wszystko poginęło, o czym Wasza Miłość dobrze wie.

Nawet za życia lorda Heryna w archiwum panował bałagan, prawdopodobnie rozmyślny, jak utrzymywał Cefwyn, skutkiem czego żaden królewski archiwista nie mógł się połapać w poczynaniach Aswydda. Obecny nieporządek powstał wszelako z przyczyn naturalnych, jako że Parsynan nie zrobił najwyraźniej niczego w celu zaprowadzenia ładu w papierach. A główny kustosz, mogący pamiętać miejsce przechowywania ważnych dokumentów i ksiąg, już nie żył, zamordowany przez swego młodszego współpracownika.

–Sporządzamy listy tak szybko, jak tylko się da – stwierdził archiwista – lecz szczerze mówiąc, Wasza Miłość, dwaj dodatkowi urzędnicy wielce przyspieszyliby porządkowanie. Albo chociażby chłopak do wspinania się i noszenia. No i gdyby Wasza Miłość zechciał przewodniczyć w dysputach nad badaniem zgodności dokumentów ze stanem rzeczywistym.

–Tassand – zwrócił się Tristen do ochmistrza.

–Popytam, panie – zapewnił go Tassand. Tristen miał nadzieję, że wyniknie z tego coś dobrego, inaczej Tassand by zaoponował. Nie miał pojęcia, ile wynosiło wynagrodzenie archiwistów, wiedział jednak, że książki, zgromadzone obecnie na stołach w niebotycznych stosach, nie dające się ułożyć na wszystkich istniejących półkach, wymagały troskliwszej opieki niż ta, którą im zapewniał Heryn. Nie chodziło jedynie o księgi podatkowe i spadkowe, ale też o dzieła z zakresu filozofii, historii, poezji, rozrzucone bezładnie po kątach. Nie ulegało wątpliwości, że archiwum kryje w

sobie niejeden skarb bez względu na to, co udało się wykraść bądź zniszczyć lordowi Cuthanowi. O ile wiedział, nie dysponowano spisem książek zabranych przez króla Ylesuinu, choć ten przynajmniej żadnej nie zniszczył. Cefwyn na pewno wziął księgi podatkowe i kilka dzieł historycznych.

Cuthan wyrządził znacznie większą szkodę.

Dumając o popełnionych w archiwum zbrodniach Cuthana, Tristen pomyślał też o losie ludzi w majątkach starego earla... Gdyby osobiście przygotowywał listę spraw do załatwienia, byłoby to najważniejsze zagadnienie na dzisiejszej audiencji. Dyskusję taką należało jednak podjąć w obecności samych lordów, a nie kiedy mieszczanie, urzędnicy i pospolici żołnierze tłoczyli się w gromadzie.

Toteż gdy Tassand powiadomił go o wyczerpaniu listy petycji, pytając, czy chce coś dodać, Tristen nie miał nic szczególnego do powiedzenia. Skoro pochwycił miotłę, by wymieść spod progów brudy i pajęczyny, dostrzegął brak już tylko jednego kamyka do kompletnej i nie wypaczonej struktury Amefel. Pozostawał mu ostatni uszczerbek, związany z człowiekiem, który w czasie jednej audiencji dwukrotnie przewinął się w poruszonych sprawach.

Cuthan, lord Bryn.

Cuthan, zdrajca Edwylla.

Cuthan, nieprzyjaciel Crissanda, zbiegły do Tasmordena.

Interludium

W dawnym skryptorium, gdzie w mroźne, zimowe dni było najjaśniej, fraucymer małżonki króla oddawał się szyciu i plotkowaniu. Główny przedmiot zainteresowania stanowiła lady Luriel. Ninevrise zachowywała milczenie, zajęta swoim drobnym, równiutkim ścięciem, słuchając nowin o dawnych i niedawnych niedyskrecjach Luriel, pewna, że pod jej nieobecność to ona, Cefwyn i ojciec Benwyn stanowią temat plotek.

Luriel nie mogła liczyć na litość tych kobiet. Zaczęły się szepty o Jego Królewskiej Mości, lecz jedna z matron rychło je uciszyła. Niczym pszczoły, damy brzęczały jednak na ogół o siostrze Panysa, Brusanne: prostym, niezgrabnym i krótkowzrocznym dziewczęciu, którego wyszywanki zawsze miały nadmiar zbędnych supełków. Brusanne była w centrum uwagi, a że nie przywykła do takiej sytuacji, kiedy zaczęto mówić o jej bracie, obwieściła bezmyślnie:

–Jego Królewska Mość powiedział, że być może da mu Las Eveny i Aysonel, jeśli ją poślubi.

Wszystkie oczy zwróciły się błyskawicznie na Ninevrise. Niewiasty sprawiały wrażenie, jakby wpadły w potrzask, toczyły wkoło błędnym wzrokiem, odkryte i obnażone, nad wyraz skonsternowane.

Ninevrise spokojnie przewlekła nitkę.

–Cóż za wspaniały pomysł – powiedziała beztrósco, udając ignorancję. – Tyle się nacierpiała. Murandys to skaliste ziemie, prawda? A Panys porastają bory.

–Tak, Wasza Miłość – rzekła Brusanne oblana szkarłatnym rumieńcem.

–Nie mogę się doczekać, kiedy do nas dołączy – oznajmiła Ninevrise. – Ponoć jest bardzo czytana.

–Myślę, że sypia do późna – zauważyła bezwstydna wdowa z Bonden-on-Wyk, budząc ogólne poruszenie.

–Ależ, Madiden! – zawołała lady Curalle, rodowita Guelenka znana z cnotliwości.

–No cóż, tak to chyba wygląda – odparła wdowa. – Wyjdzie za mąż, bez dwóch zdań. Za cenę małżeństwa umknie spod ręki wuja. Też bym tak zrobiła. A ty nie? Wcale jej się nie dziwię.

–Oho, potańcowałabym z samym Murandysem! – oświadczyła zadziornie Byssalys. – Klejnoty przyćmią każdą ułomność, a przecie ten człek na skarbach siedzi.

–Ostatnia z jego żon miała piękny pochówek – rzekła niesforna wdowa Madiden.

Może inna dama tak wysokiej rangi położyłaby kres tym nieprzystojnym plotkom, lecz Ninevrise słuchała i gromadziła wiedzę o Murandysie i Panysie. Po wygnaniu lady Artisane dworkom rozwiązały się języki, stały się istną skarbnicą informacji. Dowiedziała się na przykład, że Murandys, chociaż nie należał do ludzi godnych zaufania, to jednak w planach Cefwyna był niezastąpiony. Człowiek ten okazywał trzem swoim żonom gruboskórne maniery, bezlitośnie obchodził się z dzierżawcami, martwiło ją więc, że Cefwyn toleruje jego obecność... Gdyby to ona była władczynią Ylesuinu, pozbyłaby się Murandysa, nie zważając na zwyczaje i politykę poprzedniego króla.

Tymczasem splot wydarzeń nie uczynił z niej udzielnej monarchini, a nawet rządzącej królowej, przy czym nie mogła powiedzieć, że elwynimska szlachta jest pod jakimś względem lepsza od ylesuińskiej. Co trzeci lord w Elwynorze odmawiał córce prawa do dziedziczenia tronu po ojcu, który nie pozostawił męskich potomków. Caswyddian i Aseyneeddin próbowali zbrojnie zmusić ją do ślubu i nawet jeśli nie wszyscy elwynimscy lordowie przystąpili do buntu, nawet jeśli dzielna garstka poświęciła dla niej życie, a druga dzielna garstka w Ilefianie wciąż powstrzymywała

napór Tasmordena, nie miała podstaw twierdzić, iż Murandys czy Ryssand są gorszymi ludźmi. Będzie musiała objąć tron regencyjny siłą, wraz z gueleńskim wojskiem. Nikt go jej nie daruje na skrzydłach miłości, wśród sypanych pod nogi płatków róż.

Ukłuła się igłą w palec, pojawiła się kropla krwi. Uważała, aby nie zabrudzić wybielonego płótna, ale poplamiała nić. Wyssała krew z palca i odcięła zabarwioną nitkę, smakując gorzką krew i patrząc w stronę drzwi. Luriel, stanąwszy w progu, złożyła głęboki, oficjalny ukłon.

–Wasza Miłość – przywitała się.

–Pani. – Pod wpływem impulsu Ninevrise wyciągnęła skaleczoną dłoń z wilgotnym palcem. Luriel podeszła bliżej i ujęła ją z kolejnym pokłonem, szeleszcząc modną suknią; wokół niej rozścieliły się aksamity i wełny. Kiedy Luriel uniosła głowę i wbiła w nią wzrok, Ninevrise uśmiechnęła się. Widok tej twarzy o wyraźnie zarysowanym podbródku i brwiach niczym skrzydła szybującego ptaka, owo spojrzenie pełne ostrożnej żartobliwości, uporu i nadziei, wszystko to nasuwało wspomnienie tamtego wieczoru, gdy Luriel paradowała w rdzawych szatach. – Witaj – powiedziała. Nie powodowała nią wcale chęć przysłużenia się Cefwynowi. W pewnej mierze, wskutek braku inteligentnych ludzi w jej niewielkim zgromadzeniu, wiązała sporo nadziei z tą kobietą, którą Cefwyn zamierzał niegdyś poślubić. – Masz na czym szyć? Ejże, zróbcież miejsce dla damy, jeśli łaska.

Nastąpiło drobiazgowo szacowanie pierwszeństwa, kto ma się przesunąć, a kto nie. Luriel zasiadła na stołku pomiędzy wdową z Bonden-on-Wyk i Brusanne z Panysu, rzucającą jej baczne spojrzenia – zajmowała miejsce przed Margolis, żoną zwykłego szlachcica, szczodłą niczym ziemia i równie pospolitą.

–Jak ci minęła podróż? – chciała wiedzieć dama z Bonden-on-Wyk. Luriel, szperając w gustownym koszyczku z przyborami do szycia, spojrzała na wdowę chłodnym, uważnym wzrokiem.

–Bardzo dobrze, Wasza Miłość – odparła. – Podobnie jak każdy powrót. Nie chowam w sercu żalu... Żadnego.

Tylko czy naprawdę? Brusanne, wprawdzie niezbyt pojętna, łącząc tę wypowiedź z plotkami z zeszłego wieczoru, oblała się ciemnym rumieńcem.

W rzeczy samej, Luriel nie była tępą ani nie należała do grona cnotliwych, zagorzałych quinaltynek. A roli królowej podjęłaby się z wielką chęcią. O tak, z pewnością nie przez przypadek jej uwagi zawierały takie, a nie inne treści i pretensje.

–Jak dobrze się złożyło, że twój przyjazd poprzedziła odwilż – odparowała cios Ninevrise.

Spojrzenia skrzyżowały się niczym szpady. Dawna faworyta Cefwyna przybrała obojętną minę.

–Też tak uważam.

–Niechaj zamęt i szarugi nękają moich nieprzyjaciół, wszystkich bez wyjątku, a pomyślnie wiatry wieją przyjaciom, którzy przybywają na ten dwór. Czy to płótno z lnu? Jaki piękny odcień! Pozwól, że rzucę okiem.

Luriel podała jej tamborek i przez chwilę były bardzo blisko siebie.

–Wasza Miłość mi schlebia.

–Tylko przyjaciom. Nade wszystko cenię sobie lojalność. Pozostałe dworki zamilkły, słuchając tej wymiany zdań. Na koniec dama z Bonden-on-Wyk zapytała:

–Ślub jeszcze tej zimy, co?

–Ależ, Madiden! – upomniała ją Olwydesse.

–To jak będzie? – nalegała wdowa.

–Ech, każda pora w tej komnacie odpowiednia dla plotek, czyż nie? – odrzekła Luriel, rozchylając lekko usta w szyderczym uśmiechu.

–A więc?

–Jest przystojny – stwierdziła Luriel, ustawiając tamborek pod światło. – I ma doskonale widoki na przyszłość.

W tym towarzystwie nie raczyła jednak wyjawiać bliższej natury tych widoków. Ninevrise dostrzegała znaczące spojrzenia i zamykane rozważnie usta. Głowa wdowy Madiden pochyliła się niby łeb chytrego, padlinożernego kruka nad smakowitym kąskiem.

Och, Cefwynie, wciąż czujesz ukłucie ostrej stali, myślała Ninevrise. Całe szczęście, że uciekła. Szczęście, że nie zaszła w ciążę.

Miałabym być zazdrosna? Chyba nie o tę, która ledwo co wywinęła się z opresji? Cefwyn dobrze poznał tę zimną damę, nie zasługującą już nigdy na zaufanie.

Ani na zazdrość... Bo i czegoż miałabym kiedykolwiek zazdrościć Luriel, która już straciła swą szansę, a teraz, póki mogła czerpać z tego korzyści, roztropnie przyjmowała moją litość? Chętnie bym ją polubiła, lecz ona jest tylko mądrzejszym odbiciem Artisane.

Oddajcie mi moje królestwo, oddajcie mi ziemię za rzeką, poza Murandysem, a zobaczymy, które łowiska będą dostarczać ryb na dworskie stoły. Dajcie armię gotową na każde moje skinienie, a zobaczymy, czy córka Ryssanda rzuci na mnie kolejną kłamliwą potwarz.

Igła w dół, igła do góry, złote listki i zielone listki na płótnie, podczas gdy mróz bieli szyby, a niebiosa barwią się biało i ognście. Zimowe śluby i wiosenna wojna.

Niechże poczuję pod stopami moją ziemię, a Cefwyn się przekona, że nie poślubił idiotki. Tymczasem będę się uśmiechać do jego byłej faworyty, tak aby reszta lisic z mojego orszaku dochodziła powodów. Na razie widzą we mnie cudzoziemską żonę, a nie dostrzegają jeszcze córki mego ojca.

Mego ojca pogrzebanego pod kamieniami wśród zrujnowanych murów Althalen. Ojca, który strzeże siedziby królów przed zabłąkanymi amefińskimi owcami i towarzyszy pastuchom w ich wędrówkach... który uchronił mnie przed tchórzliwymi zalotnikami i do chwili śmierci pomagał mi dotrzeć do męża. Mądry ojciec, dzielny ojciec, spójrz, jak siedzę i cierpliwie szyję. Przy każdym ściegu wypowiadam w duchu życzenie. Daję Luriel czas do wiosny na zaskarbienie sobie mojej przyjaźni. To chyba uczciwe postawienie sprawy.

Ojciec, któryś przekazał mi swą sihijską krew, wpleć życzenia w nici, z jakich w ten chłodny, biały dzień haftuję łąkowe kwiaty. Wyczaruj mi jaskrawy błękit pilnowanych przez ciebie Linii, pilnowanego przez ciebie pałacu, wszystkie Linie i światło. Bo ja nie zapomniałam. Jakżeby mogła?

Ojciec, Ulemanie, regencie, przez wszystkie te lata kocham go szczerą miłością. Wybaczam mu całą przeszłość, wszelkie uczynki jego dziadka i ojca. Kocham, a przecież wielkoduszność jest naturalną cechą tych, którzy kochają. Wyszywam te głupie kwiatki, tworzę wiosenne łąki przypominające porę roku, kiedy wyruszymy na wojnę, on i ja. Oby ludzie we mnie uwierzyli, ciągle się o to modłę. Wyszywam błękitne Linie, wspominam granicę i pałac ze światła, drogi ojciec.

Przydzielili mi, ojciec, tego kapłana, nedorajdę i pijacznę, ponieważ quinaltyni boją się mojej spódnicy. Czy tam, gdzie spoczywasz, doszły cię słuchy o tej nedorzecznosci? Rzekłeś mi, że w małej części mam Dar. Nawet jeśli go mam, nawet jeśli w małej części, wyszywam życzenia w płócienną szmatkę i uśmiecham się do faworyty mojego męża, myśląc sobie, że my dwie musimy zawiązać sojusz przeciwko głupocie, jaka się rozplenila w tej komnacie.

Wyszywam życzenia wczesnej wiosny. I twego niezmaconego spoczynku. Twego, jak i zmarłych w Ilefianie, albowiem zginie tam wielu, wielu ludzi. Oby Tasmorden nie zaznał spokoju, a wierni zmarli zyskali przynajmniej nadzieję na ratunek.

Wszywam życzenia pomyślności dla Tristena, najlepszego spośród sprzymierzeńców mojego męża, którego on bał się wysłuchać. Tristen chciał przekroczyć rzekę, lecz mój mąż mu tego zabronił. A wszystko przez Murandysa i Ryssanda, i ich pogróżki. Kiedy zostanę regentką Elwynoru, wypomnę im te przewinienia...

Zaledwie tarcza słońca minęła skraj okna, światło przygasło.

–Nie podoba mi się ta zielona – oświadczyła wdowa. – Chyba lepiej będzie znaleźć coś jaśniejszego.

–Już ta jest za jasna – orzekła córka Panysa, istota uwielbiająca szare, stonowane suknie.

–Wcale nie za jasna – powiedziała Luriel. – Dodaj dla kontrastu czegoś ciemniejszego. Tej drugiej zielonej. Patrz, pasuje... Co o tym sądzisz, Wasza Miłość?

To samo dziewczę, które przyobleczone w lisie rudości usiłowało przejednać króla, prosiło ją teraz o opinię.

–Hm, masz zupełną rację – odrzekła Ninevrise, chcąc być jej sojuszniczką. Niech sobie pobiega na smyczy, zobaczymy, dokąd się zapędzi, pomyślała, przywołując uśmiech na usta. – Pochwalam.

–No, no – powiedziała wdowa, zerkając na zestawienie zieleni. – Kto by przewidział, że będą do siebie pasować?

KSIĘGADRUGA

Rozdział pierwszy

Niebo nad dwoma diukami wisiało zaciągnięte gromadą puchatych obłoków, jakby na niebieskiej łące pasły się zbłąkane owce. Wróżyło to ładną, acz niestałą pogodę, kiedy mijali bramy Henas'amef w mieszanej świcie Iwanimów i Gueleńczyków... oraz stadka spłoszonych gołębi, które frunęły ku wciąż jeszcze uśpionemu zachodowi.

Zwołaj dwór, radził Emuin, co też Tristen w pośpiechu uczynił. Rozeznaj się w sytuacji, sugerował Emuin i wydawało się to, że względu na krótką, lecz niezbędną obecność Cevulirna, najbardziej nagłą sprawą.

Część spraw znalazła swoje rozstrzygnięcie. Na szczycie wzgórza powiewała flaga garnizonu, którym nie dowodził już poprzedni kapitan, gdyż pełne dowództwo objął teraz Uwen Lewen's-son – trochę markotny tego ranka, bo zostawał sam w grodzie. Miał jednak w ręku władzę i kwita.

"Nie o ciebie się troskam, panie – powiedział Uwen zeszłego wieczoru – boć wiesz, jak sobie radzić, kiedy co do czego przychodzi, ino masz dryg do wynajdowania wszelkiego rodzaju kłopotów. Chłopcze, to nie przelewki, na północ nos wytykać. Zaliś pewien, żeśmy na to gotowi?"

Tristen zaśmiał się wtedy, gdyż nawet w obliczu tak niepokojących możliwości Uwen potrafił go rozweselić. Uważał jednak, że owszem, są gotowi. Proponował przypatrzeć się rzece i odwiedzić kapitana Anwylla, choć nie zamierzał prowokować Tasmordena.

"Obawiam się, że będzie gorzej, jeśli pozostawimy Brynowi swobodę działania choćby jeden dzień dłużej – powiedział Uwenowi rano na dziedzińcu, zbierając się do odjazdu. – Poza tym możesz liczyć na pomoc Drummana i Azanta, więc dasz sobie świetnie radę, nawet gdyby królewscy oficerowie przyjechali tu z wizytą. Głowa do góry!"

"Bardziej nęka mnie myśl o wizycie Elwynimów – odparł Uwen. Kiedy Tristen wkładał stopę w strzemień, on stał tuż przy nim i patrzył mu prosto w twarz. – Uważaj na siebie, chłopcze. Uważaj tamoj na siebie, mówię".

"O to bądź spokojny", pocieszył go Tristen, po czym uścisnęli się i rozstali... Nikogo innego nie obdarzyłoby tak wielkim zaufaniem, zwłaszcza wobec prawdopodobieństwa, iż rejterada oficerów do Guelessaru może nastręczyć szereg pytań. Sumienni żołnierze z Gwardii Gueleńskiej migiem stanęli w ordynku, kiedy Uwen z ogniem w oczach wkroczył między nich, ażeby zaprowadzić ład w barakach. Część z nich towarzyszyła dzisiaj Tristenowi. Zapewne Uwen póty będzie potrząsał

gwardią, póki nie przywiezie jej do porządku. Chociaż do tej pory wykręcał się od dowództwa, to teraz podszedł do problemu z pełną świadomością, czego oczekuje, jak się wyraził, od zacnych w gruncie rzeczy wojaków. Mógł polegać na lojalności pozostałych sierżantów, co stanowiło nader sprzyjającą okoliczność.

Wobec powyższego Tristen opuszczał miasto z o wiele mniejszą obawą w sercu, niż gdyby pozostawiał w nim poprzedniego kapitana na czele znienawidzonego cudzoziemskiego oddziału. Nie miał wątpliwości, że jego list dotrze do rąk Idrysa za pośrednictwem zaufanego sierżanta. A lord komendant po otrzymaniu ostrzeżenia z łatwością poradzi sobie z gueleńskim kapitanem.

Tak więc on i Cevulirn, Amefel i Ivanor, okrążając gród w kierunku północnym, wyjechali razem, by odwiedzić pogranicze.

Niebawem skręcili na rzadziej uczęszczany, zasypany śniegiem gościniec, biegnący między niskimi pagórkami w stronę wiosek na północy. Tą właśnie drogą – przeprawiając się na drugi brzeg rzeki przez most, którego strzegł teraz Anwyll – można było ongiś dojechać do Elwynoru, gościniec wiodł bowiem do samego Ilefianu.

Nie tylko ich oddział wyjeżdżał tego dnia z Henas'amef. Tristen posłał Crissanda, swoją prawą rękę, do Levey i innych wsi, także na południe... Elementy składowe polityki zaczęły się wreszcie zazębiać, zatem gońcy roznosili wieści o powziętych decyzjach. Przed przyjazdem Cevulirna Tristen bał się, że nie mając wyboru, będzie musiał po raz drugi tego roku zwołać ludzi i poprowadzić ich celem wsparcia króla Marhanena przeciwko lepiej uzbrojonemu i wyszkolonemu wrogowi. Amefińczycy stali w obliczu kolejnej nie chcianej wojny, mogącej wybuchnąć jeśli już nie na ich własnej ziemi, to zaraz za rzeką, gdzie mając za plecami wodę, byłiby w pożałowania godnej pozycji, nie dość silni, by atakując, pokonać pieszo jakikolwiek dłuższy dystans. Musieliby przyjąć rolę kowadła dla młota, którym Cefwyn uderzyłby z północnego wschodu.

Skoro jednak Cevulirn obiecał mu pomoc, ożyły nadzieje, że w takich południowych wioskach jak Levey pozostaną mężczyźni, którzy będą obsiewać pola i potem pomagać przy żniwach. Zrodziła się szansa na obsadzenie wojskiem nadrzecza, umocnienie pozycji i założenie wiosną obozu na przeciwnym brzegu rzeki. Albowiem dzięki lekkiej jeździe pod wodzą Cevulirna oraz oddziałom pozostałych baronów z południa mogli stworzyć armię zdolną zadać dotkliwy, niespodziewany cios. Bez strachu, że zostaną przyparci do muru, mając zabezpieczone tyły i strzeżone mosty.

Sytuacja uległa wyraźnej poprawie. Jechali na północ, aby powiadomić nadrzeczne wioski o przymierzu Iwanimów z Amefińczykami i pozwolić tamtejszym mieszkańcom naocznie się przekonać, iż broni ich silne wojsko.

Drugim i równie ważkim powodem wyprawy w tym kierunku był fakt, że między Henas'amef a rzeką rozpościerały się włości lorda Bryna. Ziemie Cuthana zaczynały się w pobliżu grodu, ciągnęły zaś hen ku granicy, tworząc dystrykt, którego lord miał największą siłę przebicia podczas amefińskich narad i mógł dostać wszystko, czego tylko zapragnął, nawet od wicekróla.

I oto włościanie z Brynu znaleźli się w położeniu gorszym niż to, które znamionuje ludzi pozbawionych pana. Okazało się nagle, że są złączeni przysięgą na wierność z zagniewanym i rozgoryczonym wygnańcem za rzeką... Dręczeni niepewnością, o czym mówił lord Drumman, jakie uczucia żywi wobec nich nowy diuk Amefel, zastanawiali się, czy pod rządami owego diuka padną łupem jakiegoś zażartego wroga Cuthana, który przejmie cały dystrykt, czy może zostaną odtrąceni i zajmą poślednie miejsce wśród pozostałych dystryktów prowincji. W najlepszym razie mogli powątpiewać, czy entuzjazm nowego diuka dla budowania linii obrony uwzględni także ich ziemię.

Wszyscy doradcy Tristena zgadzali się, że podobne wątpliwości należało jak najszybciej rozwiązać. Lord Cuthan został oficjalnie wywłaszczony podczas głosowania na posiedzeniu arystokracji. Nic nie odbyło się bezprawnie, co zamknęło sprawę ewentualnej sukcesji. Earlowie podjęli też szereg uchwał zrywających umowy łączące ich z Cuthanem, poświadczonych i opieczętowanych przez opata bryaltynów. Dokumenty te Tristen zgromadził w swoim ręku z myślą o dzisiejszej wyprawie, choć nie tylko dlatego.

Oddział konnych posuwał się w stronę granicy znacznie sprawniej od obładowanych wozów. Podążali po głębokich, zamarzniętych śladach, zmuszających konie do stąpania obok kolein. Droga prowadziła w głąb wzgórz, a okolica stawała się coraz bardziej zalesiona, choć wzdłuż traktu wycięto wszystkie drzewa. Według słów Crissanda lord Heryn niszczył potencjalne kryjówki zbójców wzdłuż trasy swoich przejażdżek. Heryn przeprowadził wyrąb lasów bez pomocy leśniczego, takiego jak ten, który u Cefwyna zawiadywał rozległymi królewskimi borami i dbał o puszcę. Aswydd po prostu pokazywał, gdzie należy wyciąć drzewa i które obszary leśne można wydzierzawić earlom za słoną cenę. Zubożenie lasów było prawdopodobnie błędem i Tristen dumał, jak wyglądały te ziemie przed panowaniem Heryna. Niemniej jednak w skład wojsk wystawianych przez Amefel wchodziła głównie piechota przyzwyczajona raczej uderzać w szyku, niż przekradać się przez chaszczę. W czasie walki w lesie mieszały się szeregi i myliły sygnały, Tristen rozumiał więc motywy Heryna. Użyczeni przez Cevulirna lekkobrojni jeźdźcy także mogli skorzystać z poszerzonych przez Aswydda dróg i mknąć po nich z szybkością błyskawicy, jak to mieli w zwyczaju, każdy z zapasowym wierzchowcem... W razie potrzeby na przełaj, wszakże nigdy lasami.

Gdyby jednak pozyskał pomoc barona z Lanfarnesse, który chętnie korzystał z osłony wzgórz i lasów, mógłby rozstawić jego żołnierzy w ciągnących się na zachód

lasach, co dałoby Amefińczykom pewność, że stamtąd nie nadejdzie chyłkiem elwynimskie wojsko.

A gdyby nadto zapewnił sobie wsparcie Sovraga z Olmernu, zdolnego dostarczać barkami zaopatrzenie pod same przyczółki mostów, mógłby mocno zaszkodzić Tasmordenowi zajętemu akurat starciem z Cefwynem. Tasmordenowi nie będzie wcale do śmiechu, kiedy zostanie zepchnięty na płaski teren, znajdujący się – według map – w środkowej części Elwynoru, prosto w paszczę gueleńskiej ciężkozbrojnej jazdy.

Zwierzył się Cevulirnowi ze swoich myśli, gdy jechali we dwójkę, wysforowani nieznacznie przed oddział.

–Tasmorden sądził, że uda mu się wszcząć zamęt w Amefel – powiedział. – Ale jeśli udzielisz mi pomocy, nie będzie miał czego szukać na naszej granicy.

–Miła perspektywa – zgodził się Cevulirn, podczas gdy ziemia rażno uciekała koniom spod kopyt.

Tristen dosiadał Petelly'ego, a w rezerwie wiódł Gery. Cevulirn jechał na starszym z pary nakrapianych siwków, koniu ze słynnej ivanimskiej hodowli, niemal białym, niezwykle pięknym nawet w zimowej sierści... czego nie dało się powiedzieć o gniadym Petellym. Wszyscy jeźdźcy za nimi byli Ivanimami. Odziani w szarozielone stroje, jechali głównie na stanowiących ich dumę krysinach: lekkich, rącznych i posłusznych zwierzętach, wykazujących inteligencję na szlaku, a odwagę w zgiełku bitwy. Nawet krnąbrny Petelly przestał być uparty w kompanii Ivanimów. Gery biegła równie spokojnie, jak reszta wierzchowców na przedzie. Jeśli umiejętność Ivanimów w obchodzeniu się z końmi wspomagała jakaś magia, to Tristen postanowił ją posiąść. Nie łudził się jednak, że zdoła tę magię kiedyś przekazać Amefińczykom, ludziom oddanym ziemi, którzy mocno po niej stąpali, a w bitwie zawsze parli do przodu. Gueleńczycy nie różnili się od nich aż tak bardzo, lecz preferowali rozwagę i ciężkie uzbrojenie. Choć przemierzali się w ślimaczym tempie, stanowili niszczącą siłę. Jednak Tristen zazdrościł Cevulirnowi Ivanimów, których chyża pomoc pozwoliła mu zrewidować wszystkie możliwości.

Zachodziła obawa, że w sercu Crissanda wezbrała gorycz i troska, wszak zostawiono go z tyłu. Jednak earl zobowiązał się odwiedzić Levey. Ruszył sam i prawdopodobnie w ponurym nastroju, skoro nie mógł być równie pomocny jak Cevulirn. Nie miał konnicy, a jedynie przetrzebioną piechotę i skład broni.

"Zapewniam Waszą Miłość o ich wierności – rzekł Crissand o świcie. – Zawiozę im twoje dobre słowo".

Bez wątpienia Crissand pragnął towarzyszyć Tristenowi, lecz jego nadzieje się

rozwiwały.

"Ufam ci – odparł mu wówczas Tristen, po czym dodał coś, na wspomnienie czego nadal przechodziły go dreszcze: – Jako aethelingowi, kiedy przyjdzie czas".

Crissand nie mógł ukryć wielkiego zakłopotania. Natychmiast pierzchło malujące się na jego twarzy rozżalenie.

"Panie", wykrztusił tylko, po czym wyruszył do Levey, równie oszołomiony tym, co usłyszał, jak i Tristen swoimi słowami, kiedy wyjeżdżał na czele wzbudzającej jego zachwyty kawalerii oraz u boku Cevulirna. Przymierze z tym ostatnim dawało mu oręż, jakim mógł władać z o wiele większą finezją niż tępą, zwierzęcą siłą amefińskich i guieleńskich piechurów.

Cóż go opętało, że to powiedział?

Czy jednak nie dostrzegł wcześniej urazy w oczach Crissanda i nie zdawał sobie sprawy z jej słuszności? Wiedział też, że i młody earl usłyszał słowo "aetheling" wypowiedziane przez Leciwą Syes. Dlatego postanowił wydobyć to na światło dzienne i uświadomić Crissandowi, że nie jest wywłaszczony ani z przyjaźni, ani ze swego dziedzictwa. W gruncie rzeczy obaj byli zaskoczeni: Tristen swoim stwierdzeniem – bynajmniej nie bezmyślnym – Crissand zaś zasłyszana uwagą. Earl podejmował się dziś misji, mając w rękach klucz do swej wielkiej przyszłości. Budziło to w nim zarówno dumę, jak i strach.

Po wydobyciu całej tej wiedzy na światło dzienne, odzyskawszy wreszcie swobodę podczas jazdy z Iwanimami, Tristen czuł tego ranka lekkość na duszy jak nigdy, odkąd skończyło się lato. Zrobił to, co powinien był zrobić. Odnalazł zagubionego chłopca i ugruntował w swym sercu miejsce dla przyjaciela. Naokoło zalegały śniegi, mróz dawał się we znaki, a on mimo to szybował na skrzydłach nadziei, jakby owego poranka ważne rzeczy wkroczyły nareszcie na właściwy tor.

Dzięki ładnej pogodzie i jakże niezwyklej przychylności niebios w szybkim tempie pokonywali drogę. Kilkakrotnie zmieniali konie wedle iwanimskiej modły i jechali o tyleż prędzej od zaprzęgów wysłanych przez Tristena w dniu spotkania z Cevulirnem, że zdążyli minąć dwa stare obozowiska, gdzie odpoczywały woły, nim słońce wspięło się wysoko nad zachodnie wzgórza.

–Kto wie, czy nie dogonimy kapitana – zauważył Cevulirn. – Może jeszcze nie rozbił obozu.

Nie dogonili Anwylla. Pod wieczór dotarli na miejsce, gdzie planowali postój. Był to równocześnie ich pierwszy cel: uboga wioska, położona wśród zaśnieżonych pastwisk i porośniętych lasami wzgórz. Chatki przycupnęły tu wokół brzydkiego, lichego dworku, z przysadzistą, kamienną wieżyczką od północnej strony, mającego

pełnić cele obronne i strażnicze, choć jego jedynym wojskowym elementem z prawdziwego zdarzenia był drewniany, okalający szczyt wieży taras dla łuczników. Drewniana konstrukcja przypominała o niebezpieczeństwach minionego lata, ostrzegając jednocześnie, że o zdobycie tych chałup i szop, owiec i skromnego plonu ani chybi trzeba będzie walczyć. Zbójcy bądź Elwynimi powinni uznać wioskę Modeyneth za niewygodne źródło zaopatrzenia.

Ludzie i owce stratowali śnieg w okolicy, lecz koleiny świadczyły o przejeździe zaprzęgów, a to oznaczało, że Anwyll naglił do pośpiechu; wołał nie mitrzyć czasu w drodze, co było, pomyślał Tristen, godnym pochwały zachowaniem ze strony kapitana, który postępował chwalebnie w wielu sprawach. Tristen nakazał mu pośpiech, zatem Anwyll się spieszył.

A może, co już nie świadczyłoby tak dobrze o kapitanie, Anwyll przedkładał przydrożne obozowanie nad nocleg pod słomianym amefińskim dachem i upraszanie o gościnę wiejskiego szlachetki? Nikt tu nie darzył Gueleńczyków miłością, a stanowiska łucznicze mogły być odpychającym chłodem w oczach królewskich żołnierzy.

Kiedy wśród dzwonienia uprzęży i parskania spragnionych odpoczynku zwierząt oddział Tristena wjeżdżał do wioski przy rozpostartych sztandarach, zaskrzypiały zrazu jedne, potem zaś kilkoro następnych drzwi, a czujne oczy zaczęły przyglądać się przyjezdnym.

Wówczas sam thane Modeyneth, dość jeszcze młody mężczyzna, wybiegł bez płaszcza na podwórzec przed dworem, pobladły na twarzy i zgoła zaskoczony tymi odwiedzinami, chociaż skoro przemaszerowała tędy kolumna Anwylla, nie powinien okazywać zdumienia faktem, że lord Ynefel i Althalen włada teraz prowincją.

Białe koło w godle Ivanora oznajmiało wszystkim, iż lord towarzyszący diukowi to Cevulirn z Toj Embrel, zawsze uważany tu za przyjaciela. Jego obecność w tym miejscu mogła budzić zdziwienie, lecz przyjaźń między oboma zbrojnymi mężami, którzy wprowadzali właśnie żołnierzy do wioski, nie podlegała dyskusji.

–Wasza Miłość – brzmiało powitanie thane'a. Nie "panie mój", co mogłoby zostać poczytane za oznakę poddaństwa, ale "Wasza Miłość", jak każdy miał prawo zwrócić się do Tristena czy Cevulirna. Amefińczycy cenili sobie niezależność, nic więc dziwnego, że i thane wyrażał się powściągliwie. – Czym możemy służyć?

Człowiek ten podlegał niegdyś władzy Cuthana, wszyscy earlowie byli jednak zgodni, że jest to thane z najwyższym poczuciem honoru w całym dystrykcie Bryn. Ów młodzieniec poślubiony kobiecie z gminu poprowadził w czasie ostatniej wojny kontyngent rekrutów, chociaż mógł się bez trudu wymówić ze względu na położenie geograficzne dystryktu. Walczył nad Lewenbrookiem, gdzie oprócz niego pojawiła

się tylko licha garstka ludzi z Brynu, a i to niechętnie. W ciągu ostatnich zamieszek nie opuszczał swych włości i nie rościł sobie praw do najwyższych urzędów. Za panowania wicekróla ani razu nie pokazał się na dworze. Podobnie za panowania obecnego diuka.

–Kwaterami – poprosił Tristen thane'a. Zazwyczaj to Uwen mówił zamiast niego, a on tak się do tego przyzwyczaił, że teraz, kiedy stawiał się na równi z Cevulirnem i przemawiał w imieniu swoim i nielicznie towarzyszącej mu świty, ogarnęły go wątpliwości w kwestii etykiety. – I strawą.

–Bezpiecznym dachem nad głową – dodał Cevulirn.

Młody thane wciągnął powietrze, jakby nie dowierzał ich intencjom. Może ciągle miał w pamięci przejazd wielkiej kolumny wozów, które przetoczyły się środkiem wsi ku rzece – w tym samym kierunku wyruszył przedtem także jego zaginiony earl.

–Wasza Lordowska Mość – odpowiedział thane Cevulirnowi. – Wasza Miłość. Witajcie w Modeyneth. – Zaczęli się schodzić młodzi i ciekawscy, niebawem pojawili się też starsi: matki w spódnicach, ciepłych szalach i chustach, czasem z małymi dziećmi na ramionach, ledwie dostrzegalnymi pod zwojami tkanin; starcy okutani w ciężkie burki; rzemieślnicy i pasterze ze swoimi narzędziami w rękach. – Stajnie pomieszczą jeszcze kilka zwierząt, reszta przeczeka noc w zabudowaniach gospodarskich. Waszymi końmi zajmą się chłopcy, a wy wejdźcie do środka, bo tu strasznie wieje.

Ivaniami, rzecz jasna, nie zamierzali nikomu powierzać opieki nad swoimi wierzchowcami i ekwipunkiem, za ich przykładem poszli więc też Gueleńczycy ze świty Tristena. Wszyscy udali się do stajen, a wśród nich również Tristen, który umieścił Petelly'ego i Gery w najdalszej i najobszerniejszej przegrodzie, po czym dopilnował, by nie brakło koniom wody ani owsa.

Na koniec dwór otworzył swe podwoje przed całą kompanią, oferując ciepłą wodę do mycia przy niedbale obmurowanym palenisku, na tyle dużym, by upiec w nim całego barana. Do gotującej się w kotle polewki kobiety dołały wody i dorzuciły kilka rzep z ziemniakami, podczas gdy młodzieńcy ustawiali ławy. Część z nich przyniesiono ze składu wraz z dzbanami piwa i chlebem dla uśmierzenia głodu – a wszystko to w ciasnym i staromodnym budynku, gdzie u krokwi wisiały narzędzia gospodarcze, a psy wydeptały wąskie ścieżki na glinianej polepie, okrążając niespokojnie stoły i stojące przy ścianach ławy. Psy przypominały nachalnych żebraków, toteż ludzie rzucali im kąski, dzięki czemu oswajali zwierzęta.

W ciepłej, przytulnej izbie popuszczano rzemyki spinające zbroje. Żołnierze zasiadali pod ścianami na niskich, okalających pomieszczenie ławach. Młodzież wniosła z zewnątrz ośnieżony błat wraz ze stojakami, by więcej ludzi mogło usiąść przy

lordach. W progu domostwa pojawiały się chłopki w fartuchach i zimowych płaszczach, przynosząc z własnych chat dodatkowe łyżki i miski, czemu Tristen przypatrywał się z ciekawością. Przynosiły jedną, dwie sztuki, od razu było widać, że nie zajechali w gości do Zeide czy do którejś z bogatych miejskich rezydencji.

Lordowie zasiedli przy jednym z kilku prostych, porysowanych stołów, w poczesnej części izby, gdzie psy w pełnym nadziei oczekiwaniu wałęsały się z wywieszonymi jęczorami u boku swego pana. Młodzi ludzie wnosili chleb i gliniane miski. Piekły się już następne bochny, chętnie raczono się piwem. W miarę jak polewka przyjemnie rozgrzewała ciało, prowadzono coraz żywsze rozmowy o wydarzeniach dnia, pogodzie oraz, co miało większe znaczenie dla mieszkańców wsi, rozgłaszano wieści z Henas'amef, mówiono o przyjeździe Iwanimów, nieszczęściu Meidena i pomocy dla wiosek na południu.

Wspominano też o długiej kolumnie wozów, która skorzystała we wsi jedynie ze studni i przyjęła darowane im piwo, po czym bezzwłocznie ruszyła dalej, ku rzece.

–Gueleńczycy – rzekł starszy kuzyn thane'a, jakby to wszystko tłumaczyło. – Wyekwipowani jak na wojnę.

–Z rozkazami od Waszej Miłości, czym obudzili powszechną ciekawość – dopowiedział sam thane. – Będzie wojna jeszcze przed wiosną? Na naszej ziemi?

–Nie aż tak prędko – odparł Tristen. – A jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, wybuchnie z dala od tej ziemi. Usiłuję nie dopuścić, by działania wojenne objęły swym zasięgiem ten dystrykt. Czy poprzedni lord powiadomił was, gdy tędy przejeżdżał, co się stało?

–Nasz lord... – odrzekł thane, który sprawiał wrażenie, jakby żył w udręce i niepokoju jeszcze przed ich przybyciem. Widząc nadto zbrojne guieleńskie oddziały na swych włościach, wozy ciągnące z zaopatrzeniem jakby dla wielkiej armii, utwierdził się w uzasadnionych wątpliwościach. – Nasz lord, Wasza Miłość, przejeżdżał wtedy dwa tygodnie temu o świcie, w asyście guieleńskich żołnierzy i z chmurnym obliczem.

–Mówił coś?

–Żołnierze mu nie pozwalali. Uznałem, że zlecono mu jakąś tajną misję w Elwynorze. – Przypuszczalnie thane zmienił już zdanie. Patrzył posępnie, przesuwając wzrok kolejno po twarzach gości... ponieważ, jak się okazało, nie znał okoliczności wygnania swego pana.

–Walczyłeś na Równinie Leweńskiej – rzekł Cevulirn.

–Owszem, walczyłem. – Uniósł lekko czoło, z dumą.

–Widzieliśmy tam to i owo, prawda? – powiedział Cevulirn. – Rzeczy, dzięki którym nikt na gueleńskim dworze nie wie tyle co my o naszym wrogu. Wszyscy lordowie z południa stanęli do boju jak jeden mąż, więc całe południe za sprawę najwyższej wagi poczytuje rozstrzygnięcie waśni z Elwynimami, zanim jakiś czarodziej czy kto inny opowie się po stronie Tasmordena, bo ten mógłby zakolatać do naszych bram z dużą większą siłą. A twój nowy diuk, będąc tym, kim jest, ściga przeciwko sobie pewne siły. Sądzę, że to rozumiesz, mój panie.

Thane zerknął spode łba na Tristena.

–Wasz były lord nie wyjechał do Elwynoru z żadną misją – oznajmił mu Tristen.

–Jakże to: nasz były lord, Wasza Miłość?

Gwardziści pomieszani z ludźmi thane'a, stłoczeni na ławach pod ścianami skromnej izby, zabawiali się rozmową przy piwie i posiłku, gdy nagle zapadła tak głęboka cisza, że nawet psy zaniechały swych niespokojnych wędrówek.

–Wasz lord został wygnany. Nie ma już lorda Bryna. Zamarły oddechy.

–Cóż zatem sprowadza Waszą Miłość? – zapytał thane.

–Lord Cevulirn ma rację. Im dłużej Elwynimi będą walczyć, tym większe prawdopodobieństwo, że jakaś siła skorzysta ze stwarzanego przez Tasmordena niebezpieczeństwa... kiedy nadejdzie król. Nie pytasz, czemu wypędziłem twego lorda?

Na twarzy Modeynetha zagościł zimny wyraz ostrożności.

–Czynić tak możesz z mocy prawa i daru, Wasza Miłość. Wszyscy ci podlegamy.

–Jeszcześ nie nazwał mnie swym panem. Czyżbym nim nie był?

Cisza się pogłębiła, o ile było to możliwe. Przez chwilę nic jej nie mąciło.

–Ze względu na moich ludzi owszem, uważam cię za swojego pana, słusznie ci się ten tytuł należy.

–Złożysz przede mną przysięgę? – zabrzmiało ponad chlebem, kubkami oraz resztką wspaniałej polewki, która była dziełem żony thane'a. – Lord Cuthan nie zwolnił cię z przysięgi, lecz ja cię z niej zwalniam, podobnie jak przed dwoma tygodniami zwolniłem twego lorda. Złożysz przede mną przysięgę czy przeprosisz się za rękę do lorda Cuthana? Pozwolę ci odjechać bez przeszkód, jeśli wyrazisz taką wolę.

–Tylko czy moi ludzie zdołają się przeprosić wraz z ziemią i inwentarzem? O nie,

ziemi nie można ze sobą zabrać.

–Lord Cuthan może po nią wrócić. Znowu chwila ciszy.

–Wasza Miłość prosi mnie, bym przysięgał przeciwko swemu panu.

–Nie inaczej. Masz przysiąc wierność mi i temu, kogo uczynię earlem Brynu. Lord Cuthan zdradził Meidena i nie przekazał mu pewnych wiadomości, co kosztowało życie earla i wielu ludzi. Nie chcę tu wspominać innych zbrodni Cuthana. Z tego względu wygnałem waszego lorda, pozbawiłem go honorów i tytułów. Jeżeli wciąż pragniesz służyć Cuthanowi, pozwalam ci zabrać cokolwiek zechcesz, z ludzi i dobytku i dołączyć do Cuthana za rzeką, aby tam dzielić jego los. Jest moim wrogiem, stał się też wrogiem rady, za co Meiden zapłacił krwią.

To, że thane wahał się długą chwilę, mogło świadczyć o jego uczciwości. Wsparł łokcie na porysowanym blacie stołu i splótł palce przy ustach, spoglądając bystrym, śmiałym, acz nieco zakłopotanym wzrokiem.

–Szedłem za tobą nad Lewenbrook.

–Wiem o tym.

–Jestem zaskoczony, że przysłał cię tu król z Guelessaru, jeśli Wasza Miłość wybaczy mi takie słowa. Wróżę z tego lepsze rządy niż za czasów Parsynana.

–I jego odprawiłem. Był złodziejem. Ukradł klejnoty, które przy nim znaleziono, ale nie tylko. Nie uważam za karygodne tego, że Cuthan przeciwko niemu spiskował, ale że spiskował z Tasmordenem i wydał Meidena na pastwę królewskich żołnierzy, tego nie mogę mu wybaczyć i nigdy nie wybaczę. Tak samo nie wybaczy mu reszta earłów, których nie uprzedził o przyjeździe żołnierzy.

–Naprawdę zrobił coś takiego?

–Owszem, między innymi.

–I mi o tym mówili – rzekł Cevulirn. – Młody Meiden oraz inni earlowie.

Thane słuchał tego wszystkiego z zatroskanym obliczem, głęboko zamyślony. Ostatecznie kiwnął głową.

–A zatem złożę przysięgę każdemu lordowi, którego nade mną postawisz. Przynajmniej to dobrowolnie, a także zapewniam o posłuszeństwie nowemu earlowi. Czym jeszcze mogę służyć memu panu, diukowi?

–Zbuduj mur między dwoma wzgórzami za wsią i bądź gotów do jego obrony.

Niechże te góry będą twoim przedmurzem.

Modeyneth odchylił się od stołu z podejrzliwym wzrokiem.

–Królewskie prawo zabrania Amefińczykom wznoszenia fortyfikacji... z wyjątkiem Henas'amef.

–Król nic mi o tym nie wspominał, a ja powiadam, że powinniście tu zbudować mur, co należy od teraz do zadań lorda Bryna.

–Ależ lord Bryn przebywa za rzeką, Wasza Miłość.

–Doprawdy? Nie sądzę. Ty jesteś lordem Brynem. Ciebie wybieram.

–Mnie?! – Nowo mianowany earl omal nie przewrócił kielicha z wrażenia. – Święci bogowie!

–Zostałeś rekomendowany przez earłów z Henas'amef, wobec czego niniejszym czynię cię earlem Brynu i pragnę, byś wszelką broń, jaką zdołasz zebrać, przysposobił na wypadek wybuchu wojny w Amefel. Co, mam nadzieję, nie stanie się, jeżeli bez zwłoki wybudujesz ten mur. To nie są żarty.

–Panie mój. – Prawdziwe imięthane'a brzmiało Drusenana. Teraz był earlem Drusenana, a owo wiejskie obejście urosło do rangi posiadłości earla. Kobieta, prawdopodobnie żona Drusenana, zasłyszawszy wieści, stanęła u boku męża i wytarła dłonie w fartuch. On tymczasem wciąż dygotał, poblady. – Cóż mi rzec na to?

–Obiecaj, że Tasmorden tędy nie przejdzie – odparł Tristen.

–Że ta droga będzie strzeżona. Że nad ziemiami Brynu zapanuje sprawiedliwy sąd i dobra rada.

–Panie mój, tak będzie.

–O nic więcej nie proszę.

Nowy earl zrobił obok siebie miejsce dla żony, kobiety z wypiekami na twarzy, która nerwowo miętoszyła skraj fartucha. Miała zniszczone od pracy ręce i spocone czoło, a sądząc po wypukłym kaftaniku, była w ciąży. Tristen nauczył się dostrzegać takie rzeczy. A więc earlowi urodzi się dziedzic, którego będzie musiał ochraniać. Drusenana, obecnie niemal młodzieniec, miał przed sobą długi okres piastowania swej godności... pod warunkiem, że doczeka lata – dotyczyło to właściwie całego dystryktu, albowiem mostem, ku któremu zdążał gościniec, mogły przeprowadzić się wojska Tasmordena, żeby najkrótszą drogą podejść pod Henas'amef.

–Niech bogowie sprzyjają tobie i twemu domowi – rzekł Cevulirn, jak to Ludzie mieli w zwyczaju mówić. Tristen już dawno się przekonał, że jemu nie udało się tego powiedzieć, gdyż, jak zawsze twierdził Cefwyn, nie umiał kłamać. Teraz więc tylko pochylił głowę, pozwalając Cevulirnowi zadbać o wymianę koniecznych grzeczności na cudzej ziemi.

Żołnierzom udzieliła się radość ich panów i dawali jej upust. Niebawem wieści opuściły dworek dzięki pacholкови, który ani chybi zamierzał czym prędzej obieć dokola wioskę.

Jakoż wkrótce pojawili się w proggu pierwsi ciekawscy. Na zaśnieżonym podwórku zaczęło przybywać ludzi, przynoszono piwo. Nagle do izby zawitał dudziarz, jakby wyrósł spod ziemi. Earl przepędził psy i usunął stoły, robiąc nieco miejsca dla zapaleńców pragnących potańczyć.

Tristen nie spodziewał się, że temu wydarzeniu będzie towarzyszyć tak wielki harmider, choć wymawiał sobie teraz w duchu, iż należało przewidzieć, jak szybko rozniosą się wieści i z jakim entuzjazmem Ludzie je przyjmą. Tańce zagrażały cennym naczyniom i natrętnemu kundlowi, lecz żona earla sprawnie sobie z tym poradziła. Piwo lało się szeroką strugą wśród hałasu i zamieszania aż do północy, a przynajmniej tak się zdawało utrudzonym jazdą żołnierzom, wyruszającym nazajutrz w długą podróż.

Wszelako żaden z Iwanimów ani Gueleńczyków, w odróżnieniu od wieśniaków, nie pił na umór, co wśród hałasu dyskretnie wyjaśnił Cevulirn.

–Ufam naszemu gospodarzowi, ale go nie znam. To ci chyba wystarczy.

Pijacka wrzawa stała się wreszcie zbyt dokuczliwa i niestosowna, dlatego przeniesiono zabawę na podwórzec. Lady Bryn przegnała świętujących, robiąc miejsce na posłania dla żołnierzy i łóżka dla szlachetnych gości.

–Wszyscy się pomieścimy – oświadczył młody Bryn. – Przyjmijcie naszą gościnę i połóżcie się spać na piętrze. Czujcie się jak u siebie w domu.

Tristen, a niewątpliwie i Cevulirn, wolałby raczej ułożyć się do snu na materacu obok znajomych, godnych zaufania ludzi. Tylko jak mógł odmówić, skoro młody gospodarz, dostąpiwszy tak wielkiej łaski z jego strony, postanowił ofiarować im możliwie najlepszą gościnę? A ponieważ Tristen powierzył temu człowiekowi pieczę nad spokojnym snem całego dystryktu, czyż nie powinien poprzeć swej decyzji okazaniem mu zaufania?

–Dziękuję – powiedział, a wtedy lady wstała i ruszyła bez słowa, wskazując im drogę.

Tylko jedno słowo padło między Cevulirnem a jego porucznikiem; baron nadal był ostrożny. Tristen niemal natychmiast sięgnął ku szarej przestrzeni.

I nic. Wyczuwał jedynie Ludzi w okolicy, z których jedni leżeli zamroczeni alkoholem albo pogrążeni we śnie, inni zaś czuwali... Jakżeż nie mieli czuwać, skoro zakłócano ich spokój? Wspiął się po wytartych drewnianych stopniach na górę. Przed nim kroczyła lady Bryn, z tyłu postępował Cevulirn.

Żołnierze ułożyli się do snu na ziemi, do czego byli przyzwyczajeni, lecz w dworku znajdowała się także przytulna, rozjaśniana przez płonący na dole ogień sypialnia na półpiętrze. Mądre i wygodne umiejscowienie zapewniało jej ciepło, a nawet mdłe światło, którego brakowało wielu komnatom w Zeide.

Tam właśnie zaprowadziła ich gospodyni. Cevulirn nie musiał mówić, iż nie czuje się dobrze, nie mogąc przebywać w towarzystwie swoich ludzi... Cevulirn, który posiadał odrobinę czarodziejskiego daru, a może nawet wrażliwość na zdarzenia zachodzące w szarości, jawił się Tristenowi jako osoba pełna obaw.

–Nie wyczuwam żadnego zagrożenia – zapewnił go Tristen. Cevulirn wprowadził zbył to milczeniem, lecz spojrzał nań zdecydowanie weselszym wzrokiem. Usiadł i ściągnął buty.

Tristen zrobił to samo, nasłuchując uporczywie. Przypuszczalnie źródłem ciągłego niepokoju, który wyczuwał w otoczeniu, byli wieśniacy, a przede wszystkim nowo mianowany lord i jego żona, nadal roztrzęsieni ostatnimi wydarzeniami. Drusen prawdopodobnie rozmyślał ze strachem o losie swego przegranego, skazanego na banicję pana, a także o swym nagłym wyniesieniu do niespodziewanych godności. Może zastanawiał się też nad owym nakazem budowania umocnień i podjęcia przygotowań do wojny. Dwie osoby z czarodziejskimi darami mogły jeszcze spotęgować obawy Drusenana, któremu od tych wszystkich kwestii zapewne i tak mąciło się w głowie. A przecież strach był zaraźliwy.

Na szczęście goście zaczęli jeden po drugim wychodzić z domu i wreszcie przygaszono ogień w palenisku, a we dworze zapanowała cisza. Tristen położył się obok Cevulirna pod miękką, puchową pierzyną. Przez krótką chwilę rozmawiali o rzece i mostach, wnet jednak obaj zamilkli, usiłując zasnąć w domu, gdzie ostatecznie nastał spokój i przygasły blaski.

Na koniec Cevulirn zapadł w lekką drzemkę, jego obecność zmętniała. Tristen miał świadomość tego, gdzie się znajduje, co oznaczało, że sen go jeszcze nie ogarnął. Wciąż dręczył go niepokój związany z obcym otoczeniem i odpowiedzialnością, jaką wziął na siebie, spowodowany też trwającą już cały dzień rozłąką z Uwenem, który czuwał przy nim lub przebywał gdzieś w pobliżu niemal od chwili, kiedy Tristen wkroczył pomiędzy Ludzi. Zaczął dumać, co też Uwen Lewen's-son porabia teraz w

Henas'amef i jak mu upłynął ten pierwszy dzień samodzielnego sprawowania władzy w mieście. Czy spał właśnie w swoim łóżku? Czy także za nim tęsknił?

Mógł zdobyć odpowiedzi na te pytania. Mógł sięgnąć stąd do Emuina, a za jego pośrednictwem poznać przynajmniej część nowin. Powstrzymała go wszakże jedna myśl: znajdowali się o dzień drogi bliżej rzeki, gdzie każdy bardziej wytężony wysiłek tego typu wiązał się z możliwością ściągnięcia niepożądanego czarodziejskiej uwagi.

Tristen czuł się dziwnie zagrożony mimo dostępu do magii, mimo miecza spoczywającego na podłodze przy łóżku, mimo gwardii na dole, wreszcie mimo śpiącego obok nieulękiego kompana, jednego z najodważniejszych i najzręczniejszych szermierzy w Ylesuinie. Nie zabrał na tę wyprawę nawet Lusina, Syllana i swej zwyczajnej straży przybocznej. Wybrał nocną straż: zacnych ludzi, dzielnych i lojalnych, dźwigających na zmianę sztandar diuka. Lusinowi i reszcie dziennej straży zaczęły stopniowo przypadać inne obowiązki, ważniejsze niż pełnienie warty przy drzwiach. Widywał ich coraz rzadziej, gdy doglądali rozmaitych spraw w Zeide, z czego z każdym dniem wywiązywali się coraz sprawniej. Pełnili rolę dodatkowych rąk i oczu, na których Tristen nader często polegał, zarządzając fortecą.

Czyż mógł ich odebrać Uwenowi, kiedy ten najbardziej ich potrzebował? Chociaż nie widział wyraźnego powodu do strachu, zwłaszcza w towarzystwie Cevulirna, to jednak pewna widmowa obecność nie dawała mu zasnąć.

Leżał nieruchomo, zapatrzony w rzucane przez tłący się ogień, mamiące wzrok odblaski, które pełgały wśród krokwi, belek biegnących tak nisko nad głową, że mógłby ich niemal dotknąć. Te same belki tworzyły strop nad izbą, gdzie spali żołnierze. Tristen obserwował, jak wzdłuż nich płasają cienie, łagodne i grzeczne, bo też w całym dworku nie czuło się niczego złego.

Przypatrując się bliżej cieniom, Tristen dostrzegł precyzyjnie wytyczone Linie odpowiedzialne za układ domostwa. Niektóre były starsze i jaśniejsze od innych, co oznaczało, że dom kilkakrotnie przebudowywano, za każdym razem prawdopodobnie uwzględniając już istniejące Linie.

Tristen zamknął oczy i zdecydowanym poleceniem przywołał sen, zdając sobie sprawę z czekających go trudów jutrzejszej jazdy zasypanymi śniegiem drogami.

Coś go wszakże tknęło, musnęło niczym letni wietrzyk: świadomość życia, podobnie jak świadom był jastrzębia na niebie, borsuka w jamie, koni w stajni czy ludzi sunących bardzo cicho po dziedzińcu.

Wsluchał się w dal, zadając sobie w duchu pytanie, czy ma do czynienia z czymś niewinnym zachowaniem. I czy powinien obudzić Cevulirna.

Ledwie o tym pomyślał, a już Cevulirn się ocknął; jego obecność jaśniała równie silnie, jak świeca zapalona w mroku.

–Coś jest przed domem – szepnął Tristen, a wtenczas obaj, jako że leżeli tylko częściowo rozebrani, nałożyli szybko buty, zarzucili płaszcze na ramiona i w półmroku sypialni pochwycili za miecze.

Póki co, nie było potrzeby alarmować śpiących na dole ludzi. Zeszli po wytartych drewnianych schodkach. Płomyki paleniska rozjaśniały schody w stopniu wystarczającym dla oczu nawykłych do ciemności.

W bladej poświacie ujrzeli ciemną postać w płaszczu. Nowy earl zamykał właśnie drzwi frontowe. Albo wyjrzał tylko na dziedziniec, albo też miał tam do załatwienia jakąś sprawę.

Młody Drusenau potoczył dokoła wzrokiem, a potem zerknął w górę, dostrzegł obu lordów i znieruchomiał ze strachu. Wszędzie wokół niego leżeli pokotem uśpieni łowcami, acz nie tak zamroczeni piwem, by głośne słowo nie mogło ich obudzić.

Tristen pokonał resztę stopni z obnażonym mieczem w dłoni, tuż za nim stąpał Cevulirn. Żaden nie wydał dźwięku. Gospodyni także nie spała i wyszła teraz z rozplecionymi warkoczami z kąta zasłoniętego kotarą.

Może earl wyszedł do niespokojnego konia lub chciał sam sprawdzić, co się dzieje przed domem? Wyraz przerażenia na jego twarzy mówił wszakże co innego. A bał się kłamać.

W końcu, zbudzony cichymi odgłosami, poruszył się jeden z gwardzistów, potem dwóch następnych, pół tuzina i cała reszta – wszyscy sięgali po broń i wstawali, rzucając na ściany długie cienie.

W blasku ognia pot perlił się na twarzy Drusenana. Jego żona, okryta chustą, lawirowała wśród żołnierzy z rozrzuconymi włosami. Stała przy mężu.

–Coś słyszę – rzekł Tristen, gdyż dobiegało go pewne poruszenie, dość odległe. Żołnierze zrobili zdziwione miny, Cevulirn spoglądał niedowierzająco. Jednakże Drusenau wciągnął powietrze jak człowiek obłany kubłem zimnej wody.

–Panie, powiem całą prawdę. Mam też innych gości... nieszczęsnych uciekinierów z Elwynoru. Powinienem był się do tego przyznać, alem honorem zaręczył, że ich nie wydam, panie. Nie mogłem złamać przysięgi. Oni nie są twoimi wrogami. To głównie kobiety, dzieci i starcy. Daliśmy im jedzenie i schronienie przed zimnem.

–Żadna to niespodzianka – mruknął Cevulirn. – Jestem pewien, że tu na pograniczu nigdy nie było inaczej.

Podobnie oddział ojca Ninevrise widział w Amefińczykach naturalnych sprzymierzeńców i otrzymał pomoc od mieszkańców wioski Emwy. W pościgu za nimi Caswyddian wdarł się w amefińskie granice, szerząc śmierć i zniszczenie. Nie sposób było rozróżnić wrogiego Elwynima od Elwynima nastawionego pokojowo, kiedy obaj szukali schronienia i tępilli się nawzajem na amefińskiej ziemi.

–Błagam o litość, panie – rzekła żona, po czym dodała słabym głosem: – Panie, sama jestem Elwynimką i jest z nimi moja kuzynka. Czyż mogłam odmówić?

–Tutaj miesza się nasza krew – stwierdził Drusenan. – Łączą nas więzy pokrewieństwa, a także inne zależności. Wasza Miłość, okaż łaskawe serce, wspomóż ich. Daj im schronienie, daj im jeść.

"Nakarm moje wróbelki", powiedziała Leciwa Syes.

Wreszcie napotkał owe "wróbelki" Leciwej Syes. W szarej przestrzeni niosły się echa wspomnień wiedzmy z Emwy i przewróconego dębu.

–Pokażcie mi tych uciekinierów – nakazał.

Rozdział drugi

I rzeczywiście, były to głównie kobiety z małymi opatulonymi dziećmi, wielce strwożone, gdy wyławiano je z kryjówki w stajni. Schowane wśród koni wypełniających przegrody i przejścia, nie miały powodów do narzekań na ziąb i niewygody. Teraz stały oko w oko z uzbrojonymi żołnierzami. Wyciągnięte na mróz, drżały ze strachu.

–Nic dziwnego, że wieśniacy sami chcieli się zająć naszymi końmi – rzekł Cevulirn oschle. Skoro Ivanimi nie mieli w zwyczaju składać tego obowiązku na niczyje barki, Tristen zgadywał, że uciekinierzy musieli czekać gdzieś w ukryciu, dopóki przyjezdni nie poszli spać. Wtenczas dopiero powrócili chyłkiem do stajni, gdzie siano i stłoczone ponad miarę zwierzęta pozwalały im w ciepłe doczekać świtu.

Tak więc tajemnicze nocne odgłosy – owo wrażenie czyjejś nieoczekiwanej obecności, które spędzało mu sen z powiek, znalazło wreszcie swoje wytłumaczenie.

Nie miał przed sobą wojowniczej bandy. Grupa liczyła niespełna dwadzieścia osób. Był wśród nich malec na ramionach matki, a także otuleni grubymi płaszczami i wszelkiego rodzaju szmatami anonimowi ludzie, z czego przynajmniej trzy sylwetki były dziecięce.

–W niczym nie mogą mi zagrozić – ocenił Tristen.

–Chyba że wzięci na spytki przez tych, którzy mogą – odparł Cevulirn. – Lepiej

niech nie płatają się na drodze do rzeki, patrząc na przejeżdżające wozy z zaopatrzeniem. Chłopi z Brynu wiedzą, dokąd uciec w razie nadejścia kłopotów. Ci są w gorszej sytuacji.

Utrzymywanie obozu elwynimskich uchodźców pod murami lub w obrębie murów Henas'amef także nie byłoby dobrym rozwiązaniem. Zbiorowisko uciekinierów z Elwynoru wzbudzało co prawda litość, ale mogło też stanowić schronienie dla elwynimskich szpiegów. Tristen nie znał miejsca, gdzie by ich można było bezpiecznie ulokować. Nie wchodziła w rachubę żadna z okolicznych wiosek, w której grupa Elwynimów, mająca zapewne w swym gronie osobników sympatyzujących z Tasmordenem, mogłaby przecież wyrządzić jakąś szkodę. Należało liczyć się ze światłami sygnałowymi, a nawet sztyletami w nocy, ktoś mógł też zanieść nowiny za rzekę.

Wiatr szeptał jednak do ucha Tristenowi...

O czym właściwie mówiła Leciwa Syes? Magia z reguły odwracała uwagę od rzeczy najistotniejszych, które przepływały jak woda między palcami.

"Żywy król wreszcie wydaje osady".

I znów sobie przypomniał: "A kiedy wróbelki moje znajdziesz, ptaszęta moje, lordzie Amefel, ogrzej je i nakarm. Zbyt srogi wieje wicher".

Ptaki uciekały przed burzą – nie jego ptaki, nie owe tłuste, głupiutkie gołębie, które karmił na parapecie okna. Nie te beztroskie gołębie, które ściągnęły nań gniew Świętobliwego Ojca w Guelemarze, brudząc świątynne schody. O nie, miał przed sobą ptaki innego rodzaju, "wróble" Leciwej Syes, przybyłe do niego w poszukiwaniu schronienia.

Czy mogło dziwić, że szukają schronienia, skoro wiatr zdmuchnął z konarów ich gniazda, skoro zniszczono im domy, skoro maszerowały armie, płonęły wioski, a zachłanni ludzie dochodzili do władzy? Te ptaki przyfrunęły na skrzydłach zapowiedzianej przez Leciwą Syes burzy... Smagały je wichry, dręczyła zima, dopadała śmierć. To magia i czary doprowadziły go tutaj, a tym uchodźcom kazały zwrócić się doń o pomoc.

W którąż inną stronę powinni uciekać lojalni poddani Ninevrise?

Nie mogli szukać ostoi w Guelessarze, to nie podlegało dyskusji. Lady Ninevrise poślubiła wprawdzie Cefwyna i uzyskała od niego obietnicę pomocy, lecz zarówno elwynimska szlachta, jak i pospólstwo czuły dużo większy strach przed przekroczeniem rzeki i oddaniem się w ręce Gueleńczyków niż przed wojskami Tasmordena.

Nie, szukający schronienia Elwynimi musieli liczyć wyłącznie na tych, z którymi łączyły ich więzy krwi i wspólna historia. Oczywiście musieli uciekać na południe. Leciwa Syes obarczyła Tristena zadaniem przyjęcia i otoczenia ich opieką bez względu na sytuację w Elwynorze.

W blasku pochodni przypatrywał się żalosalnej gromadce bezradnych, dygoczących ludzi, którzy do złudzenia przypominali znękaną, zimowe ptactwo, popatrujące lękliwie na tego, w którego rękach znajdował się ich los.

–Wracajmy do stajni, nie stójmy dłużej na wietrze – zakomenderował. – Tam mi powiecie, co was tu sprowadza. Mogę wam zapewnić ochronę, ale tylko pod warunkiem, że będziecie mówić prawdę. – Nadal pamiętał, że Edwyll, ojciec Crissanda, spiskował z Tasmordenem, który przyrzekł wysłać mu z odsieczą elwynimskie wojsko... I poniekąd wywiązał się z obietnicy, tyle że wysłał oddziały morzonych głodem desperatów, czekając, kiedy zacznie się wielkie plądrowanie amefińskiego zaplecza. Ów okropny czyn Tristen dodał do listy zbrodni Tasmordena. – Zapalcie kaganek – rzekł u wejścia do stajni. Nie powinni wnosić płonących pochodni do budynku pełnego siana. Ktoś znalazł i zapalił kaganek, tak że mogli wejść między uśpione konie, gdzie ścisnęły się siwe i kasztanowe grzbiety, a czujne, ciemne ślepia migotały w blasku, zdumione osobliwym zachowaniem Ludzi.

W stajni, schowany przed wiatrem, grzany ciepłem wielu koni, Tristen zasiadł na tronie z worków zboża. Cevulirn wybrał beczkę.

Drusenian stał, trzymając kaganek, którego światło padało kręgiem na twarze uchodźców – jak się okazało, gdy zdjęli wierzchnie okrycia – wyłącznie kobiet, starców i dzieci.

–Otóż i Tristen z Ynefel, nasz nowy diuk Amefel – oznajmił im Drusenian. – A wraz z nim diuk Cevulirn z Ivanoru, najzaciejszy z lordów południa. Obaj mnie pytają, czemu wam udzielił schronienia.

–Domy nasze z dymem poszły, Wasze Miłości! – odpowiedział ktoś udręczonym głosem.

–Nic nam nie zostało, jeno do Amefel uciekać! – dorzucił kto inny.

–Gdzie wasze domy? – zapytał Tristen łagodnie.

–W Nithen, panie – odparła jedna z niewiast, szczupła młoda kobieta ze świeżą i paskudną oparzelizną na dłoni, w której kurczowo trzymała wełniany płaszcz, pełen żdźbeł słomy.

–Większość z nas pochodzi z dystryktu Nithen. Jedna z Criess. – Młoda kobieta z uczepionym spódnicy dzieciakiem pochyliła głowę. – Żołnierze Tasmordena zabrali

nam zboże i zwierzęta. Wnet z głodu przyszłoby pomrzeć.

–To moja kuzynka – ozwała się żona Drusenana. – Gdzież miała iść, jeśli nie do mnie?

–Żono – upomniał ją Drusenana. Zerknął spod oka na sędziów. – Błąkają się, szukając jedzenia. Są bezbronni i niegroźni. Czyż mogliśmy ich przepędzić?

Tristen niewiele wiedział o rolnikach i pasterzach, ale znalazł aktualną mapę Elwynoru. Nithen na niej co prawda nie zaznaczono, lecz miejscowość Criess i owszem, znajdowała się blisko granicy. Cevulirn ją zadawać zbiegom rozumne pytania, a to jak dużą wioską był Nithen, a to z czego się tam utrzymywano, jaki los spotkał mężczyzn, tudzież ilu ludzi, w przybliżeniu, uczestniczyło w napadzie na wieś, jakich koni dosiadali, czy pozabijali mężczyzn, czy też wcielili ich do wojska. Z otrzymanych informacji wynikało, że napadło ich mniej więcej stu żołnierzy, część mężczyzn z różnych wiosek pojmano do służby u Tasmordena, lecz tych, którzy stawiali opór, zabito. Starzec z Criess stracił syna. Kobiety łzami i gniewem usiłowały zagłuszyć wspomnienia swoich niedoli.

Odpowiedzi na pytania Cevulirna szybko nabrały kształtu w myślach Tristena, ukazywały mu stan armii i liczebność wroga, a nawet pogodę w dniu, kiedy nieprzyjaciele wtargnęli do rzeczonoego dystryktu. Objawił mu się niepokojąco przejrzysty wizerunek, pozwalający wszystko zrozumieć. Zapragnął przynieść spokój i pociechę niewinnym ludziom.

–Kiedy Tasmorden maszerował na stolicę – rzekł – przechodził przez Nithen. A to zdarzyło się ponad dwa tygodnie temu, mam rację? – Był przeświadczony o prawdziwości zeznań tych ludzi, a zarazem wiedział, że ich rozpaczliwe położenie zasługuje na miłosierdzie. Nithen był małą wioską w pobliżu Ilefianu, majątkiem położonym w obrębie włości samego lorda regenta.

Opowiadali, że kiedy przeprawiali się przez rzekę, nie dochodziły ich żadne słuchy, jakoby wojska Tasmordena maszerowały ku granicy w celu wspomoczenia amefińskiej rebelii. Cała armia poszła na Ilefian.

A więc obietnice złożone Edwyllowi przez wodza buntowników były rzeczywiście łągarstwem, granicę przekraczały jedynie gromady wygłodzonych nieszczęśliwców, którym pozwolono na ucieczkę bynajmniej nie z litości. Dzięki działalności band uchodźców Tasmorden mógł odnieść znaczne korzyści bez narażania swych wojsk. Owe bandy sprawiałyby Amefińczykom problemy z zaopatrzeniem, być może rabowałyby amefińskie wioski, a nawet – co stanowiłoby spełnienie przyrzeczenia danego Edwyllowi i reszcie – zaprzątnęłyby uwagę królewskiego wojska. Zostały rzucone na pożarcie.

Tristen miał teraz do czynienia ze zrozpaczonymi ludźmi, ale wcale by się nie zdziwił, gdyby przez rzekę zaczęli przeprować się także uciekający przed wojną uzbrojeni żołnierze, może nawet dezercerzy z armii Tasmordena. Nie ulegało wątpliwości, jak mniemał w oparciu o rady Cevulirna i własne przemyślenia, że nie powinien pozwalać wychodźcom z Elwynoru mnożyć się na szlakach zaopatrzeniowych. Jeśli jednak mieszkańcy Modeyneth byli spokrewnieni z uciekinierami, zechcą nadal karmić owe "wróble" Leciwej Syes...

Czy mógł gdzieś znaleźć dla nich lepsze schronienie niż w dystrykcie Emwy, na ziemiach podległych opiece Leciwej Syes, chronionych jej potężnymi zaporami – jej i nieboszczyka lorda regenta? Ojciec Ninevrise, będący teraz jednym z Cieni, umiał odróżnić prawdę od fałszu.

–Prawdopodobnie wojna nie dotrze na zachód, między wzgórze – stwierdził Tristen. – W Althalen pozostały ściany i sklepienia, znakomita osłona przed wiatrem. Jeśli pošemy tam brezent i drewno, stare mury posłużą im za schronienie. Wiem, że zło nie ma tam dostępu. – Wolał nie dodawać, iż błyskawicznie zauważyłby każde podjęte tam podejrzaną działanie... Wątpił, aby można było napaść na Althalen bez jego wiedzy.

–Ależ, Wasza Miłość – zaproponował Drusen. – Dyc nie wolno tam nawet stopy postawić.

–Tym bezpieczniejsi tam będą. Osobiście nie zabraniam im tam przebywać, a to ja jestem władcą tego miejsca.

–Król tego zabronił, podobnie jak zabronił... – Drusen powstrzymał się na szczęście od dokończenia: "...budowania umocnień".

–Król jest moim przyjacielem i wiem, że sam zaprowadziłby tych ludzi do Althalen, gdyby mógł dzięki temu zażegnać groźbę głodu i śmierci. Niewinni nie mają tam się czego obawiać. Ruinami włada mała dziewczynka i lord regent. Jeśli uchodźcy dostaną od was choćby płótno i słomę, będzie im ciepło i wygodnie wśród murów zbudowanych z grubego kamienia, które nie wypuszczają ciepła, kiedy wewnątrz płonie ognisko.

–Gdyby im pozwolić ścinać drzewo... – powiedział Drusen.

–Dość go tam rośnie.

–Gdybyś nam pozwolił je ścinać, panie.

A na co wam ono? – omal mu się nie wyrwało, lecz pomny na układy panujące w Guelessarze rozumiał zazdrość, z jaką lordowie chronili swoje puszcze. Znał też tego przyczynę: niefrasobliwy wyrąb mógł zniszczyć ziemię i doprowadzić do wyginięcia

zwierzyny.

–Macie moje przyzwolenie – rzekł, patrząc na kobiety. – Jeśli zaczną się pojawiać widma, nie bójcie się. Wśród gruzów pochowano Ulemana. Zapory są tam trudniejsze do pokonania niż w zwyczajnym miejscu.

Imię regenta wielce poruszyło niewiasty. Jedna z nich pochwyciła jego dłoń i przycisnęła do niej czoło.

–Niech bogowie błogosławią Waszej Miłości. – Poranione ręce splotły się na jego dłoniach, tak iż nie mógł ich wyszarpnąć bez dotykania blizn po oparzeniach. Kobieta nosiła amulety, co wyszło na jaw, kiedy rozchyliły się brzegi szala przywodzącego na pamięć Leciawą Syes. Była czarownicą, lecz nie miała mocy, a przynajmniej Tristen żadnej nie wyczuwał. Cevulirn miał jej o wiele więcej, lśnił delikatnie w szarej przestrzeni. Dotykając rąk kobiety, Tristen zażyczył sobie w duchu, by rany jak najszybciej się zagoiły, bez dalszych powikłań. Przyłożyła zapłakaną twarz do jego ręki, po czym padła na kolana... Miał nadzieję, że dlatego, iż wyświadczył jej jakąś dobroć.

–Królewskie prawo zabrania osadnictwa w Althalen – mruknął Cevulirn ściszonego głosem, stojąc z drugiej strony. – Nie zapominaj o tym, Amefel, chociaż sam jestem zdania, że nawet Jego Królewska Mość naruszyłby to prawo w razie konieczności. Królewskie prawo zabrania również wznoszenia murów i fortyfikacji w Amefel.

–Czy to prawo wymyślił Cefwyn?

–Nie, jego dziadek.

To zmieniało postać rzeczy.

–Gdy przyznawał mi sztandar Althalen, także łamał prawo swego dziadka, jednak nie powstrzymało go to. Kazał mi postępować sprawiedliwie, a ja mu to przysięgam. Muszę więc znaleźć tym ludziom jakieś miejsce. – Tristen zatrzymał wzrok na Drusenanie. – Zaprowadź ich tam jutro. Możliwie prędko. – Przyszło mu na myśl, że wysoki urząd, budowa muru i uchodźcy, wszystko to spadało na ramiona Modeynetha jak ciężkie do udźwignięcia brzemię. – Nie musisz tego robić w pojedynkę. Masz do dyspozycji wszystkie środki dystryktu, stąd aż po mury Henas'amef. Roześlij jutro gońców do swoich majątków z wiadomością, że ja tak postanowiłem, z czym jest zgodny dekret wydany przez radę.

–Przysięgam, że tak uczynię, panie – rzekł Drusenan z gorliwością w głosie. – Będziesz miał swój mur.

–Z bramą pośrodku i dwiema wieżyczkami dla łuczników. – Oglądał w myślach dokładny obraz tego, co należało wykonać. Gładki, biały kamień, wspaniałe wieże.

Rozsądek wszelako podpowiadał, że niewprawni robotnicy spoją w pośpiechu jedynie z grubsza obciosane kamienie i drewno.

–Tu niedaleko są ruiny – powiedział Drusenan. – Mamy tam zacząć budowę? Na starych podwalinach?

Tristen był przez chwilę w rozterce, lecz Cevulirn odparł za niego:

–Myślę, że Jego Miłość zezwala na wszystko, co pomoże wam szybciej wznieść ten mur.

Obaj wrócili do dworku i wspięli się do swej wyziębionej pościeli, podczas gdy reszta ludzi, poznavszy tajemnicę wsi i przekonawszy się zarazem o lojalności Brynu, kładła się w izbie na dole.

–Tu już kiedyś stał mur – oznajmił mu Cevulirn. – Tam, gdzie każesz go wybudować. Widnieje na starych mapach. Nie wiedziałeś?

–Sihhijski? – Była to dla niego nowość. Poczul pewne zakłopotanie, ale się otrząsnął.

–Wzniósł go Barrakketh... a i w innych miejscach wśród wzgórz... – mówił Cevulirn, lecz Tristen wiedział już, co baron chce powiedzieć. Znow miał przed oczyma swój mur, jakim widział go podczas planowania. Ciąg małych posterunków, które poniekąd odpowiadały dzisiejszemu położeniu wiosek, łączący w łańcuch szereg wzgórz o stromych zboczach.

Wioski owe pełniły ongiś funkcję zaplecza dla potężnych garnizonów, z czego wynikało pierwszorzędne znaczenie Brynu, a także starożytna powinność, jaką te ziemie spełniały wobec sihijskich królów. Oto skąd się brała wyższość tych ziem względem pozostałych amefińskich dystryktów. System umocnień objawił się Tristenowi w całej okazałości, wraz z nie obwarowanym Althalen, leżącym w samym sercu niezdobytego pierścienia fortyfikacji.

Rozpad Althalen nastąpił wszakże od środka, a zainteresowanie półkrólów ludem, który harował w nieciekawej, spokojnej wsi, stopniowo malało. Nastąpił długotrwały pokój, zabrakło ambicji i celu egzystencji.

Czy pod ich panowaniem chłopom wiodło się dobrze, czy wręcz przeciwnie?

Crissand przemawiał w obronie wsi, rozumiał rolników, usiłował skierować jego uwagę na ich los. Crissand... będący aethelingiem, którego więzy krwi musiały łączyć z lordem Cuthanem, a może nawet z Drusenanem z Brynu.

Tristen milczał, czuł tylko chłód przenikający poprzez koc i ubranie, mimo że obok

spął drugi człowiek.

Co właściwie uczynił, nadając sprawom taki bieg? Zrazu nie miał żadnych wątpliwości, teraz jednak przenikał go dreszcz na myśl o tym, co powołał do istnienia swoimi rozkazami, a także na wspomnienie tytułu, jaki poniekąd obiecał nadać Crissandowi.

On, który przeczytał Książkę od Mauryla... albo mu przezeń zwróconą. Tak czy inaczej książkę Barrakketha zawierającą podstawowe prawa magii, wywód o płynnym charakterze czasu i przestrzeni – fundamentalnych pojęciach czarodziejów.

Błąd, rzekłby Barrakketh. Nie ma nic pewnego. Jedyne formuły się liczą. Formuły, a nie materia. Wioska jest królestwem, królestwo wioską, monarchia dzieli los swych poszczególnych części.

Czy wobec tego powinien zaleczyć Althalen?

Poranek wstał pochmurny. Wyprowadzili konie, budząc ze snu uchodźców z Elwynoru. Kobiety ze wsi ugotowały na dworze wielki kocioł owsianki, więc każdy – mieszkaniec wioski czy uciekinier, czy żołnierz – jadł gorącą, parującą na mroźnym wietrze potrawę. Tego ranka na czerwonych z zimna twarzach gościły uśmiechy.

–Szczęśliwej podróży! – rozbrzmiewały okrzyki, kiedy ruszali w dalszą drogę. – Niechaj bogowie darzą Waszej Lordowskiej Mości i Waszej Miłości! – rozlegało się za nimi. – Niech bogowie mają w swej opiece Amefel i Ivanor! I niech bogowie wspomagają lorda Bryna!

Lord Bryn odprowadził ich kawałek drogi ku wzgórzom. Rzeka wyłobila tam wąwóz między dwoma bliźniaczymi pagórami. Majestatyczne, огоłocone z liści buki rzucały cień na płytki bród.

Na obu brzegach rzeki, skrzące się od sopli i ozdobione śnieżnymi czapami, stały ruiny dwóch wież wznoszących się w skalne fundamenty wzgórz. Na bliższym ze stoków widniały ślady przysypanego śniegiem kamieniołomu.

–Ależ to mój mur – rzekł Tristen, zdumiony, jak wiernie ów widok odzwierciedlał to, co ukazało mu się wcześniej w wizji. Wyobrażał sobie strącone kamienne bloki na właściwych miejscach oraz bramy ze spiżu z wyrytymi twarzami o nasrożonych minach.

–Bramy, przez które przepuszczano uczciwych wędrowców – powiedział do Drusenana. – I gdzie stały straże.

–Skoro już mamy budulec, do wiosny twoje wieże zostaną wykończone. – Po chwili Drusenana dodał: – Jako dziecko bawiłem się na tych wzgórzach, w wieżach i wokół nich. Jak każdy chłopiec z Modeyneth. Tworzyliśmy oddziały i toczyli bitwy.

–Z kim? – Nie będąc nigdy chłopcem, Tristen nie pojmował zachowania dzieci.

–Z owcami, a jakże. Mieliśmy licznych wrogów.

–Udawały Gueleńczyków – dorzucił szydlerczo Cevulirn, wprawiając w zakłopotanie młodego earla Bryna.

–Chyba tak żeśmy właśnie myśleli.

–Tym razem to walka z Tasmordenem – powiedział Tristen cicho, niepewny, jakie tu przepływają prądy. – Ale nie z ludźmi, którym dajecie schronienie. Rozkażę kapitanowi Anwyllowi, by miał oko na następne gromady. To dobry człowiek. Kiedy on albo jego posłańcy tu zawitają, co się na pewno stanie, zaufaj im. Jego raporty

nie wyrządzą wam krzywdy.

–Polegam na twoim słowie, panie. Bez zastrzeżeń. I daję ci swoje. Czegóż więcej można chcieć od słów?

Przy podobnych wymianach drobnych uprzejmości Tristen częstokroć czuł się zagubiony, lecz podczas tej pogawędki dostrzegał między sobą a earlem Brynu wartkie prądy wirujące w szarej przestrzeni. Nawet zwykłe kamienie nabierały jakiejś wielkiej mocy, którą wdychał niby zapach śniegu i zimnych skał.

Podniósł wzrok ku białym zboczom, wieżom tudzież nagim bukom, których nie widział w swej wizji. Przybyło tu więc zieleni, a niegdyś jałowa, tchnąca grozą okolica od wielu już dziesięcioleci służyła jedynie za miejsce zabaw dzieci i pastwisko owiec.

Jego rozkazy przywracały dawny stan rzeczy. Znowu zostanie tu wzniesiona posępna budowla, dzieci będą się bawić gdzie indziej, żołnierze staną na warcie, a zakazany mur przypomni o dawnych czasach. Tristen jechał wzdłuż gruzowiska i chociaż czasami zamykał oczy, wciąż widział stare Linie, które świeciły jaśniej, gdy się do nich zbliżał, a które, dzięki pracy ludzkich rąk, miały jeszcze nabrać siły.

Cefwyn wybaczy. Cefwyn wybaczył i uczyni to jeszcze raz, nie będzie zważał na oburzonych baronów z północy.

–Wydając rozkazy, nie przypuszczałem, naprawdę nie przypuszczałem, że te kamienie tam leżą – rzekł Tristen do Cevulirna, kiedy odjeżdżali na północ, pozostawiając lorda Bryna z jego zadaniem. – Czy wiesz, kto je zburzył?

–Och, to proste. Selwyn Marhanen rozkazał wyburzyć amefińskie fortece, a ich los podzieliły wszelkie umocnienia na północy. Cóż za głupota – wyjaśnił Cevulirn, podczas gdy konie szły żywym, rytmicznym stępem. – Rozbiórka umocnień była głupotą, skoro w Elwynorze ciągle wybuchają wojny. Ale na decyzję króla wpłynął też fakt, że murów można bronić również z drugiej strony.

Oznaczało to, że Elwynimi mogli zająć znaczną część amefińskiego terytorium... A jeśli wierzyć Czerwonej kronice, wielu Amefińczyków miało na to głęboką nadzieję.

–Pozwoliłeś na odbudowę murów – powiedział Cevulirn. – Cefwyn chyba się zgodzi, jednak lepiej, żeby wiadomość o tym dotarła do niego po cichu. Baronowie z północy niewątpliwie nie będą zadowoleni. Jego Królewska Mość powinien wiedzieć o wszystkim z góry, zamiast z zaskoczeniem wysłuchiwać wieści o tym, że łamiesz prawo.

–Racja – odparł Tristen, zdecydowany zaraz po powrocie na zamek pchnąć gońca w ślad za ostatnim kurierem, i to najkrótszą drogą.

Lecz budowę muru należało co rychlej rozpocząć, by już na początku prac mógł powstrzymać ewentualne natarcie na Henas'amef. Nie wahał się w tym względzie.

Jeżeli pomniejsze najazdy zostaną powstrzymane, a rolę jedynych dróg wiodących w głąb prowincji będą pełnić pasterskie ścieżki, łąki i kamieniste stoki wzgórz, żadna większa armia nie zdoła się przemieszczać z rozsądną prędkością, nie mówiąc już o machinach oblężniczych, których obawiał się Cefwyn. Podobno wysłużone obwarowania Henas'amef nie nadawały się do nowoczesnej wojny. Niestety, rzecz przedstawiała się podobnie w przypadku Ilefianu za rzeką – tak mówiła Ninevrise.

Mury te wzniesiono jako dodatek do magii, powiedział kiedyś Cefwyn. Za dni swej chwały sihhijscy półkrólowie, dufni w posiadaną magię, nie raczyli nawet obwarować stolicy w Althalen.

I on miał w tym wszystkim swój udział... Nie wiedział, czy Cevulirn cokolwiek w tej kwestii podejrzewa.

Ach, jakże chętnie popędziłby tą drogą jako wódz lekko zbrojnej konnicy, znacznie liczniejszej od oddziału, który im dziś towarzyszył. I byłoby tak pewnie, gdyby Cefwyn mu tego nie zabronił.

W czasie jazdy bez przerwy omiatał wzrokiem pokryte śniegiem szczyty, wypatrując przełęczy i punktów widokowych.

Także Cevulirn częściej się rozglądał, niż mówił.

Po określonym czasie zatrzymali się, by zmienić konie, a w południe, w miejscu, gdzie według wszelkich oznak Anwyll obozował minionej nocy, posilili się chlebem i serem – darami od mieszkańców wioski. Ludzie Cevulirna nabrali otuchy i przejawiali coraz większą ochotę do śmiechu wobec bezspornego sukcesu ich wyprawy do tej zaśnieżonej krainy.

Po południu minęli ostatnie pasmo wzgórz przed szerokim korytem Lenuaimu i odtąd posuwali się głównie w dół, przez co konie szły rażniej. Z wierzchołka jednego z mniejszych wzniesień ujrzeli rozległą połąć ziemi, hen po czerwony widnokrąg, białe szczyty i linię niewielkich lasów. Na tle ciemniejącego na wschodzie nieba zobaczyli dym z wiejskich kominów.

Ten widok objawiał Tristenowi nowe miejsca: Asfiad i Edlinnadd. Kiedy jednak zapytał Cevulirna, czy tak w istocie brzmią ich nazwy, baron odparł, że inaczej: Aswyth i Ellinan.

Zdawało mu się, że czyta Książkę napisaną nieznanym charakterem pisma, aż nagle poznawał same słowa i wówczas rozpoznawał nie tylko charakter pisma, ale każdą skazę na karcie, każde miejsce, gdzie ścieśniono literę dla uniknięcia nierówności.

Gdy pomyślał o Asfiadzie, nawiedziło go wspomnienie studni i ciemnokookiej kobiety, jakby widział ją wczoraj. Zerwał się wiatr i Tristen z dreszczem spojrzął na szare, błędne niebo. Zorze wieczorne powoli gasły.

Musiał kiedyś dobrze znać te strony, gdyż gdzieś w głębi serca objawiła mu się cała nadrzeczna kraina, nigdy przezeń nie oglądana. Rzecz jasna, sporo ślęczał nad mapami i doskonale orientował się w położeniu wielu miejsc, teraz jednak rozwinęła mu się przed oczyma zimowa przestrzeń, biała i mętna o zachodzie słońca, pełna nazw nie umieszczonych na mapach, pełna wspomnień o wiosnie, lecie i jesieni – tak żywych, że wręcz zapierały dech w piersi.

– Chyba nie dojedziemy dziś do obozu – zauważył Cevulirn. – Co innego Anwyll. Dotąd mu się szczęściło.

Wozy zaprzężone w woły przewoziły ciężkie towary i poruszały się niezwykle ślamazarnie. Nie należało oczekiwać, by szybciej pociągnęły do Guelessaru, przy czym wielką niewiadomą była pogoda. Tristen roztrząsał w myślach kwestię wozów Cefwyna. Patrzył przed siebie ponad uszami ryżej Gery. Niekiedy myślał, iż dosiada karego Dysa, co było niemądre: Dys pozostał bowiem w domu. A niekiedy, co z pewnością wiązało się ze wspomnieniami znad Lewenbrookku, słyszał szcęk zbroi, hałas szykującego się do natarcia południa i szarży ciężkozbrojnej jazdy, brzęk blach i tętent kopyt na zielonej murawie. Czy i tutaj odbyła się kiedyś bitwa?

Tego wieczoru Gery miała pod kopytami jednolicie białą, chrzęszczącą pokrywę śniegu, jechała stępa obok siwka Cevulirna. Chorągwie zwinięto, gdyż przejeżdżali przez opustoszałą okolicę, gdzie i tak nikt ich nie widział.

Tristen dygotał mimo ciepłego płaszcza. Być może, podobnie jak w przypadku muru i Książki, zakłęcie Mauryła, które go Zawezwało na świat, było zapisane wszędzie w tej krainie, gotowe mu się objawić z zastraszającą nagłością.

Czas ucieka, coś nieustannie szeptało mu do ucha. Miał coraz mniej czasu na pochwylenie tej Formuły i ułożenie jej we właściwy sposób.

Rozdział trzeci

Na królewski pulpit trafiały wszelkiego rodzaju błahostki tudzież stosy codziennych spraw wymagających pilnego załatwienia: już to lista proponowanych jazów na Lissenbrookku, już to podanie łuczników o dodatkowy przydział gęsich piór, które zdaniem Cefwyna powinno zostać rozpatrzone przez komendanta gwardii; prosił, aby informowano go wyłącznie o trudnościach związanych z przygotowaniem do wojny lub ściąganiem wozów.

Oprócz pisma donoszącego o niedostatku gęsich piór Cefwyn otrzymał raport od łowczego koronnego na temat stanu lasów, obfitości zajęcy oraz populacji jeleni i

ilości ubitych sztuk tych zwierząt w królewskiej puszczy podczas zimy nie tak srogiej, jak się wcześniej obawiano.

Pewien dzierżawca skarżył się jak zwykle na lisy dokonujące spustoszeń w jego składach, prosząc, by na nie polowano. Poza tym jeden z murów wymagał naprawy w Imorze – na królewskich terenach, których Cefwyn nie odwiedzał, odkąd zasiadł na tronie, a za którymi bardzo tęsknił. Uwielbiał tamtejszy domek myśliwski, skąd rozciągał się piękny widok na południowe wzgórza.

Przypomniawszy sobie lasy rosnące wokół Wys, ujrzał we wspomnieniach blask popołudniowego słońca sączący się między nagimi gałęziami. Pamiętał, jak pachnie tam wilgotne powietrze, gdy przestanie padać śnieg, i zazdrościł leśniczemu, których jedynym obowiązkiem była troska o lasy i łowienie jeleni, podczas gdy jego jedyną, wieczną i bezowocną pracą stanowiło łowienie elwynimskich buntowników.

Rozmyślał, jak by to było budzić się co rano ze świadomością, że jego jedynym obowiązkiem są spacer po puszczy, liczenie jeleni, zajęcy i borsuków, obserwowanie przelatujących ptaków oraz wypatrywanie oznak zmiany pogody. Zdawał sobie jednak sprawę, iż urząd leśniczego to nie sielanka; niczyje życie nie było tak proste, jak pozornie wyglądało. Ale o czym myślał leśniczy? Może debatował nad wspaniałą dolą króla, który budzi się uradowany perspektywą przyjmowania pochwał niezliczonej rzeszy dworzan, jada ze złotej zastawy, a wszyscy naokoło mu nadskakują?

Wprawdzie złota zastawa była rzeczywistością, lecz w złotych kubkach gorąca herbata stygła momentalnie. Wolał już skromną porcelanę, uważał ją za luksus dla króla skazanego na picie diabelnie zimnej herbaty, trzymał więc przy kominku komplet najtańszych filiżanek. A co do nadskakiwania... dość było popatrzeć na Ryssanda. Poranek, kiedy listy nie mówiły o niczym poważniejszym od waśni o prawa do połowów czy próśb o błahe zezwolenia, już sam w sobie był luksusem, jeśli wziąć pod uwagę knowania lordów, a także, na bogów, nadwornego jałmużnika, o którym wiedział, że czeka tylko na okazję do wniesienia skargi.

Zbyt rzadko udzielał audiencji. Ludzie nie mieli wyboru, musieli słać mu listy, za co ganił go Emuin. Czytanie o lisach trwało jednak krócej od wysłuchiwanie opowieści zgryźliwego dzierżawcy, który czekał na swą kolej w zimnej sali audiencyjnej. Nawet sihhijscy lordowie przyjmowali z reguły pisemne petycje, odkładane następnie do przepastnych archiwów... które przypuszczalnie strawił potężny płomień podczas upadku Althalen. Tak oto treściwe i uporządkowane regały w ciągu godziny spłonęły za sprawą jego dziadka, pochodzącego z krain nieustępliwych ludzi, gdzie włościwanie czuli się upoważnieni do wylewania swych żali przed królem. Odprawieni z kwitkiem posyłali mu pisma ze skargami, do skutku, opłacając czasem urzędnika albo, co gorsza, kapłana, aby ten napisał im list jak należy, jeśli sami tego nie potrafili.

Gdyby Najwyższy Król w Althalen wysłuchiwał włością i zwracał na nich uwagę, stwierdził raz Emuin ze złością, mógłby usłyszeć coś, co uchroniłoby jego i królestwo przed Selwynem, który pomimo rozlicznych wad zważał przynajmniej na słowa poddanych. Papier i pergamin nigdy nie zastąpią widoku twarzy i pól uprawnych.

Istotnie, nigdy ich nie zastąpią. Cefwyn wolałby oglądać pole obsiane rzepą niż oblicze lorda Murandysa. Ostatnimi czasy straż z rzadka wpuszczały do Guelesfortu pospolitych farmerów. Za rządów jego ojca możni baronowie przestali się zadawać z pospólstwem, czyniąc wyjątki w czasie świątecznych biesiad.

–Miłościwy panie – podbiegł jeden z paziów. – Lord komendant czeka.

Paż kazał lordowi komendantowi zaczekać w przedpokoju. Cefwyn surowo przykazał służbie, żeby szanowała jego prywatność (Ninevrise lubiła dłużej pospać), lecz oni brali sobie to napomnienie chyba zbyt głęboko do serca.

Paż wręczył mu zalakowaną kopertę z kolorami Ryssandów.

Natychmiast opuścił go spokój.

–Wezwijcie lorda komendanta – rozkazał, kiedy z sąsiedniej komnaty wychodziła jego małżonka... drugi świt tego dnia. Zanim przyszła, czytał. No a teraz... – Wybacz, ale Idrys zaraz tu będzie.

–Ilefinian? – zapytała z troską w głosie.

–Nie, chyba nie. Lecz list od Ryssanda też nie wróży dobrych nowin. Usiądź obok mnie, proszę.

Jeszcze zanim usiadła, w komnacie pojawił się Idrys, lord komendant gwardii, czarny zwiastun nieszczęścia.

–Ryssand odważył się przysłać mi list – oznajmił Cefwyn. Sięgnął po nożyk, żeby szybciej uporać się z pieczęcią. – Wiesz już, o co mu chodzi?

Okazało się, że pieczęć była już złamana. Zwyczajna sprawka Idrysa. Miał obowiązek o wszystkim wiedzieć.

–Muszę przyznać, że tak – odparł komendant. – Jednak Wasza Królewska Mość powinien sam to przeczytać.

Wiadomość zawierała zwyczajowe formułki, aż jego wzrok spoczął na linijce:

"...proszę Waszą Królewską Mość o wyrozumiałość w kwestii twego wiernego

poddanego w Amefel, mając na uwadze dobro interesów Waszej Królewskiej Mości... – i nieco dalej: -...upraszam tedy o pilną audiencję dla człowieka, którego Wasza Królewska Mość niegdyś darzył zaufaniem w sprawach najwyższej wagi..."

Cefwyn wbił spojrzenie w Idrysa, wielce zagniewany, ale nie treścią nowiny, która właściwie nowiną nie była, lecz jej zuchwałym brzmieniem.

–Ależ on mówi o Parsynanie. Wygnałem go z dworu w związku z tą sprawą. Jak śmie?

–Czytaj do końca, najjaśniejszy panie.

Czytał więc dalej, znajdując po drodze formalną skargę na Tristena, który rzekomo zrabował Parsynanowi jego własność, oraz zarzut straszenia pogroźkami królewskiego oficera.

–Co w tym właściwie dziwnego? Wylicz mi powody, mości kruku, dla których miałoby mnie zdziwić owo słodkie przymierze interesów. Parsynan i Ryssand! Zdumiewa mnie tylko moja łatwowierność, sam bowiem zdałem się na rekomendacje tego człowieka, mianując na urząd przeklętego złodzieja! O przenajświętsi bogowie!

–Bogowie sprzysięgli się z Jego Świątobliwością, można by przypuszczać... Zatem boskie wstawiennictwo ma dzisiaj swoją cenę. Pilnie nadstawiam ucha.

–No i proszę – omiół list spojrzeniem. – Obrza godności osobistej. Czarna magia nastaje na życie Parsynana?

–Koń go zrzucił.

O wszystkim donosił list. Zaiste, niewinny koń został zaczarowany, aby nastawać na życie lorda Parsynana. Nadto zbuntowani Amefińczycy, podżegani przez bryaltyńskich kapłanów, napastowali królewskiego oficera na ulicach Henas'amef.

To ostatnie brzmiało dość prawdopodobnie. Również koń mógł się zachować zgodnie z opisem, lecz nie pod wpływem czarnej magii, jeżeli stał za tym Tristen. Emuin, jego stary nauczyciel, wyjaśnił mu, na czym polega subtelna różnica.

–Ta skarga znowu może narazić na szwank honor Ryssanda.

–Najjaśniejszy panie, racz przeczytać do końca.

"...zarówno reprezentacja lojalnych oficerów Waszej Królewskiej Mości, którzy poświadczą pod przysięgą prawdziwość rzeczonych faktów, jak i ja, com godnie i wiernie wspierał Koronę i bogów, wielce jesteśmy zaniepokojeni. Pragnę zadośćuczynienia za szkody i, odkładając na bok ciężką żalobę, narady z Waszą

Królewską Mością w sprawie środków prowadzących do zacieśnienia, a nie rozluźnienia naszej wspólnoty interesów".

–Do kroćset katów! Wspólnota interesów! Ciężka żałoba! A to drań!

"Wasza Królewska Mość sam był świadkiem okoliczności, które pozbawiły Ryssand spadkobiercy, toteż przelewam wszelkie moje starania na ostatni już mój skarb: córkę, której związek z wpływowym domem osłoni bogate ziemie Ryssandu. Brałem pod rozwagę różnorakie przymierza, wszelako nic nie wydaje się bardziej chwalebne i sprzyjające łądowi w Ylesuinie niżli połączenie linii Marhanenów z linią Ryssandów, co utrwaliłoby sojusz i pozwoliło nam przystąpić do działań wiosennych w obronie wspólnych korzyści i celów. Z racji tego napisałem do Jego Wysokości..."

–Przenajświętsi bogowie, postradał zmysły!

–Który urywek wpadł w oko Waszej Królewskiej Mości?

–Czy on mówi o małżeństwie? O małżeństwie? – Ninevrise nachyliła się, żeby lepiej zobaczyć.

–Świeci bogowie, Artisane! – warknął Cefwyn. – Z moim bratem Efanorem...

–Podejrzewam, że już niebawem zjawi się tu Jego Wysokość – mruknął Idrys. – Kurier dostarczył na dwór dwa listy. Jakże Wasza Królewska Mość odpowie na tę błyskotliwą i niesamolubną propozycję pokoju?

Brakowało mu słów. Przez moment pragnął poprowadzić armię na Ryssand, a nie przeciwko wojskom Tasmordena.

–Mierzi mnie ten człowiek. Jakżeż on mnie mierzi!

–Efanor także za nim nie przepada – powiedziała Ninevrise. – Poza tym Artisane jest chytra, ale nie mądra.

–To cecha rodu Ryssandów. – Krew przestała się w nim burzyć, kiedy odetchnął głębiej i zdał sobie sprawę, że z jednej strony ma do czynienia z rozmyślną obrazą, mającą wprawić go w złość, ale że zarazem Efanor, chociaż bezkrytyczny, gdy rzecz dotyczyła kapłanów, jest jednak Marhanenem z krwi i kości. Efanor nie był chytry, ale za to mądry. Szlachetny, ale nie naiwny... A także, kiedy jego wrodzony temperament wymykał się poza granice religijnej powściągliwości, szlachetny Efanor umiał pokazać pazury.

Jeśli Ryssand napisał ów bezczelny list jako swego rodzaju groźbę i niezbyt oględne przypomnienie o zasięgu własnych wpływów w Ylesuinie, gorzko się pomylił w swej opinii o synach Inaredrina.

Zamieszanie pod zewnętrznymi drzwiami, otwartymi jakiemuś gościowi bez specjalnego sprzeciwu paziów, dało Cefwynowi wymówkę do zaproponowania, choć tego gościa jeszcze nie zobaczył, by przeszli do sąsiedniej komnaty i tam usiedli przy stole.

–Twoje rady będą mile widziane – rzekł do Idrysa, dając równocześnie znak paziowi.
– Wina i zapas kielichów. Bogowie wiedzą, jak długo potrwa ta konferencja. Zanim skończymy, może nas tu odwiedzić pół królestwa.

Przybliżał się gwar głosów. Cefwyn bez pośpiechu ujął rękę Ninevrise, lecz zanim zdążył zasiąść za stołem, Efanor wpadł do komnaty, purpurowy na twarzy.

Cefwyn i Ninevrise usiedli, a Idrys, który zwykle stał w obecności króla, kiwnął głową.

–Bracie – przywitał się Efanor. – Wasza Miłość. Lordzie komendancie. – Książę niósł w garści zwinięty pergamin.

–Dzień dobry, bracie – odparł Cefwyn. – Widzę, żeś otrzymał odpowiednik tegoż pisma.

–Owszem – powiedział Efanor, a gdy go zaproszono gestem ręki, przysiadł się do narady. – Wątpię, czy przysłano je nam z życzliwego serca.

–No i? – zapytał Cefwyn.

–Uważam to za afront wobec ciebie. Przecież on nie może oczekiwać spełnienia swoich żądań.

–A ja uważam to za skandal – rzekła Ninevrise. – Ten człowiek to twój zagorzały wróg.

–To zagorzały wróg mojego brata – sprostował Efanor beznamiętnie, co oznaczało, że jest zły, choć sili się na spokój. – Skoro nie spryjam jego zamysłem, postanowił uderzyć w ten podstępny sposób, nie przejmując się wcale moim zdaniem. Wygląda na to, że Ryssand rzucił nam w twarz rękawicę.

–Niestety – wtrącił Idrys – nie mamy na to stosownej odpowiedzi.

–Wiem, że mam pewne poważanie wśród baronów z północy, o które nigdy nie zabiegałem.

Inareddrin pragnął korony dla Efanora, lecz nigdy nie znalazł środków dla zapewnienia tronu swemu młodszemu łagodniejszemu synowi. Również Ryssand podzielał kiedyś pragnienia króla. Dostrzegał w Efanorze naturę mnicha, skłonność

do celibatu i studiowania ksiąg, a także ową religijność, która zdominowała przedśmiertne lata dziadka, obsesyjnie bojącego się piekła. W ostatnim roku rządów Selwyna na dworze panował religijny terror.

W rzeczywistości Efanor nie tyle lękał się piekła, ile hołubił swe nadzieje i wyobrażenia o bogach. A mimo to, w tejże chwili, jasne i nieugięte spojrzenie księcia oraz rumieniec na jego policzkach nasuwały królowi wspomnienia owego psotnego brata, który podczas bankietów pomagał mu podbierać łakocie z tacek i który kiedyś schował się z nim w stogu siana, przygotowując o rozpacz kapitana Smoczej Gwardii.

–A może lepiej będzie, jak mu odpiszę, udając prostoduszność? – zapytał księżę. – Jakbym wierzył w każde jego słowo i rozważał złożoną mi propozycję?

Oto jakie Efanor knuł z nim niegdyś zmowy, oto jakiego Efanora Ninevrise jeszcze nie poznała w ciągu tych paru miesięcy rządów nowego króla. Figlarny uśmiech zadrżał na wargach Cefwyna. Jego brat objawił swą prawdziwą naturę.

–To jakby wprowadzić lisa do kurnika – rzekł Idrys, który znał prawdziwe oblicze Efanora. Ale Ninevrise była zdumiona.

–Ryssand dwa razy rozważy, co posiada i co mógłby stracić – stwierdził księżę.

–Może sobie rozważyć nawet trzy razy. Artisane to złośliwa dziewczyna – powiedziała Ninevrise. – Zdecydowanie odradzam.

Cefwyn podał jej dłoń.

–Nie mógłbym czegoś takiego tolerować – zwrócił się do Efanora – a to z jednego powodu: młoda Artisane ubliżyła mojej Nevris i nie ma znaczenia, czy działała sama, czy też ojciec jej podyktował, co ma mówić. Nie mogę tego wybaczyć ani sprowadzić jej przed oblicze Nevris, za żadne skarby świata. Nie poświęcę też szczęścia mojego brata.

–Och, nie miej przeze mnie żadnych skrupułów, bracie. Kłopot tylko w tym, że Jej Miłość nie przebaczy tej damie.

–Gdybym choć dostała w zamian armię zdolną wyzwolić moje ziemie i dodać królowi otuchy – oświadczyła Ninevrise – ucałowałabym ją na oczach całego dworu i zapewniła o moim przebaczeniu. Tak mało mnie obchodzi. Ty jednak, mój drogi Efanorze, mój drogi przyjacielu, jakże dobre masz serce, aż za dobre. Przez wzgląd na samego siebie nie lekceważ tej sprawy. Ta kobieta to żmija, w dodatku ma żądło. Niech bogowie bronią, byś miał dopuścić do podobnego małżeństwa.

–Jeśli o mnie chodzi – odparł Efanor, czerwony jak burak – to dbałem o swoją reputację. Kobieta nigdy nie poruszyła mnie do tego stopnia, żeby... – Głos Efanora

ścichł, lecz Cefwynowi obca była małomówność:

–Chyba nie zamierzasz iść w moje ślady? – spytał. – Popełniać te same głupstwa?

–Mógłbym wytrwać w obojętności wobec tej damy, która będąc przykładną quinaltynką, zapewne jest nieskalana.

Ninevrise położyła dłoń na rękawie Efanora.

–O nie, nigdy nie odrzucaj miłości.

–Wszak w połowie jestem mnichem, czyż nie tak mówią? – odparł Efanor. – Co mam do stracenia? A ona jest młoda. Jeszcze się nauczy, jak być miłą.

–Miłą?! – Cefwyn nie mógł już tego dłużej znieść. Efanor obrzucił go jednym ze swoich krystalicznie czystych spojrzeń. Mówiąc o kapłanach i swoich świętych aspiracjach, patrzył oczami niewinnymi niczym oczy Tristena.

–Królowie i książęta żenią się ze względów politycznych, nie z miłości. Czy sam nie poślubiłbyś Luriel, gdybyś nie miał innych widoków? Ta dziewczyna jest młoda, praktykującą quinaltynką. Na miłość boską, dzięki prawdziwej wierze mamy ze sobą coś wspólnego! Ryssand złożył propozycję. Nie może się sprzeciwić, jeśli zostanie przyjęta.

–Na bogów, a to dopiero swaty! Nie pozwolę, żeby brat, którego kocham, rzucał się między mnie i ambicje Ryssanda.

–Nie dałbym jej dziedzica – oświadczył Efanor z niezmaconą pewnością siebie. – I bądź pewien, że dla niej byłoby to jak pójście do klasztoru, dla mnie zaś nie stanowiłoby żadnej niedogodności. Moje życie jest proste... jak życie mnicha. I niech już tak zostanie. Mówimy tu wyłącznie o pozytywnej odpowiedzi na propozycję Ryssanda, a nie o konkretnym ślubie. Weźcie Luriel jako przykład. Do żadnego małżeństwa nie doszło.

Cefwyn nigdy sobie nie wyobrażał tak chłodnej głębi pod przykrywką spokojnego, pogodnego nastroju Efanora. W jakiś sposób Ryssand musiał wzbudzić w księciu niepokonany wstręt. Efanor omal nie dobył miecza w obronie króla i Ninevrise i chociaż sięgał po niego bez szczególnej ochoty, przejawiał wtedy rzeczywistą naturę tego dawnego Efanora, który zaplanował przynajmniej połowę wybryków w ich dzieciństwie i który stał mu się później wrogiem, wierząc, że brat wszczął rebelię.

A teraz Ryssand wprowadził księcia w gniew. I chociaż Efanor przyznawał się do swych upodobań, to jednak ciągle był Marhanenem.

–Zniosę wszelkie umizgi – stwierdził Cefwyn – ale nie dopuszczę do małżeństwa.

Już ja znajdę przeszkody. W każdym układzie znajdę wadę.

–Oni też znajdowali – wtrąciła Ninevrise. – A przecież jesteśmy po ślubie.

–Ponieważ myśmy chcieli się pobrać, a bogowie świadkami, że Efanor nie ma na to ochoty. O bogowie, bogowie! Idrysie, cóżeś taki milczący? Cóż powiesz na to wszystko?

–Wiem na pewno, że każdy plan Ryssanda sprzyja tylko jemu. Ale wątpię, czy uwzględnił przychylną odpowiedź Jego Wysokości. Miałby o czym myśleć.

–A więc pisz – zwrócił się król do Efanora – i ja też napiszę. Jego własna przekłeta arogancja każe mu pewnie sądzić, że uważamy to za dobry pomysł. Jeno niech bogowie bronią, Nevris, by to babsko miało ci jeszcze kiedykolwiek ubliżyć. Skróciłbym ją o głowę, a także jej ojczulka...

–Tego babska wszyscy się boją. Cleisynde ze strachu woli nie wchodzić jej w drogę. Ale Luriel...

–Luriel nienawidzi swojej kuzynki, i to nie od dzisiaj.

–Luriel jest nowo koronowaną królową wszystkich oczu – powiedziała Ninevrise. – Jest także sprytna. Pod wieloma względami mądra. Po odejściu Artisane nastąpiły wielkie zmiany. Ale niech tylko wróci i spotka Luriel kręcącą się wokół Panysa, podnieconą perspektywą wspaniałego weseliska, a nas zajętych szyciem jej sukni ślubnej, będzie to zaiste niczym włożenie kija w mrowisko.

Cefwyn nie bardzo się orientował, co się dzieje wśród dam dworu, które uważał za owce pozbawione pasterza po śmierci matki Efanora. Wydawały się bardziej przebiegłe, odkąd Ninevrise zasiadła obok króla.

Cefwyn czujnym uchem łowił wszystko, co mówiła Ninevrise, bo chociaż Artisane czy Luriel nie miały własnej armii, nie władały mieczem, a głos szacownych quinaltyńskich dam nie był brany pod rozwagę podczas państwowych narad, kłótnia między siostrzenicą Murandysa a córką Ryssanda mogła naruszyć więzi łączące te dwa domy. A przecież owe więzi, bez względu na karygodność ostatnich poczynań lordów, były opoką, na której zbudowano północny sojusz.

Stanowiły także rafę, o którą królestwo mogło się roztrzaskać w drzazgi. Swary we fraucymerze, gdzie trudno było interweniować królowi, niosły rzeczywiste zagrożenie.

–Gdyby Luriel okiełznała Artisane – powiedział Cefwyn – całe królestwo byłoby bezpieczniejsze. Jednak tobie żadna Nevris już nie zagrozi, przysięgam. W twoim tajemnym królestwie na górze i ja mogę interweniować w pewien sposób. Jeśli

sprykrzą ci się ich klótnie, umieścę obie w klasztorach na dwóch przeciwległych krańcach Ylesuinu. Może i nie jesteś królową, ale klnę się na honor, damy tego dworu przywykną do kłaniania się tobie i tylko tobie... O twój spokój też zadbam, bracie, mogę ci to przysiąc.

–Więc jak będzie, zakłócimy spokój Ryssandowi? – zapytał Efanor ze znajomą iskrą w oku i poruszeniem nozdrzy, co świadczyło o tym, iż księżę powziął ostateczną decyzję.

–Tylko uważajcie – przestrzegła Ninevrise obydwu. Idrys, szara eminencja, dodał natychmiast:

–Słuchaj, co ona mówi, miłościwy panie. Baczenie tego słuchaj.

Nie spotkali w drodze żadnej przeszkody. Pod wieczór oczom Tristena i Cevulirna ukazał się rozbity nad rzeką obóz. Poniżej punktu widokowego, na szczycie wzgórza, ustawiono w rzędach namioty. Dalej widniał jeden z kilku mostów spinających brzegi Lenuaimu... a w zasadzie jedynie filary i szkielety przęsła, albowiem zdjęte deski ułożono w stosy po amefińskiej stronie rzeki, gdzie przez cały czas pilnowali ich strażnicy. Dawny obóz, zawierający kilka bud i małą kompanię żołnierzy, po przyjeździe Anwylla utonął w morzu rozbitych wzdłuż rzeki szaro-burych namiotów. Znad ognisk, przedtem palonych ostrożnie i w małej liczbie, ulatywał teraz błękitny obłok dymu, niosąc się nisko nad wodą.

Za rzeką po raz pierwszy zobaczyli Elwynor. Przeciwny brzeg nie sprawiał bynajmniej złowieszczonego wrażenia, wyglądał identycznie jak jego amefiński odpowiednik: niskie, zaśnieżone pagórki tu i ówdzie porastał bór. Oto i królestwo Ninevrise, pomyślał Tristen. Oblężony Ilefian leżał hen poza tymi wzgórzami. Ciemne wody Lenuaimu, które wiosną i latem lizały, niby węzowymi jęzorami, kamienne bloki Ynefel, płynęły tu szerokim korytem, skutym na krawędziach lodową skorupą.

Gdy zjeżdżali ze wzgórza, śnieg padał drobnymi płatkami. Rozwinięte chorągwie powiadomiły obóz, kto przybywa, żołnierze wychodzili więc z namiotów i biegli co żywo, aby powitać, z niepokojem, gości. Kapitan Anwyll, który sam niedawno dotarł nad rzekę, wyszedł na wpół ubrany z największego namiotu i stanął w głównej alejce, gdzie pozdrowił przyjezdnych.

–Wasze Lordowskie Mości – powiedział, patrząc na jeźdźców. Wydychał małe kłębuszki pary. – Jakież kłopoty?

–Nie, ale mój gość chciałby obejrzeć obóz – odparł Tristen, sam nie widząc tu żadnych uchybień. – Jego Miłość z Ivanoru przybywa, żeby się zapoznać z naszą sytuacją.

–Czuję się zaszczycony – rzekł Anwyll, lecz Tristen przypuszczał, że ich wieczorna wizyta nie jest całkiem mile widziana, nie zapanował bowiem jeszcze absolutny porządek. Anwyll wciąż miał markotną minę. Wydawał się skrępowany. Posłał wszakże po kaftan i płaszcz, ofiarowując się oprowadzić gości po swym posterunku.

–Rad bym rzucić okiem na most – powiedział Cevulirn – jeżeli kapitan zechce nam wyświadczyć tę łaskę.

Anwyll spojrzął z ukosa na Tristena, jakby chciał się przekonać, czy jego pan nie zgłasza sprzeciwu, skoro jednak nic takiego nie nastąpiło, zaprowadził ich w pobliże przyczółka mostu. Potężne bale odcinały się niczym żebra na tle zabarwionego wieczorną zorzą nieba, belki dowiązane do samotnych słupów chroniły konstrukcję przed zawaleniem.

–Trochę się tu boimy wiosennego przyboru – rzekł Anwyll. – Deski co prawda zabezpieczone, jeno słyszałem, że jeśli woda przybierze, nim położymy kładki, na krzyż trzeba stemple związać.

Gdyby rzeka porwała deski albo słupy, nie uniknęliby podczas przeprawy opóźnień i wielkiego mozołu. Tasmorden sam chętnie dokonałby tej dewastacji, tyle że potrzebował wszystkich ludzi przy oblężeniu stolicy. Zniszczenie mostów mogło być jego następnym posunięciem.

–Nie wolno nam utracić tego mostu – powiedział Tristen. Anwyll, dygocząc, kichnął w odpowiedzi. – Na zdrowie. – Kapitan przeżegnał się z wystraszoną miną. – Schrońmy się tam, gdzie jest ciepło – zaproponował Tristen. W drodze powrotnej do obozu zauważył, że Anwyll przyciska dłoń do piersi, gdzie wielu żołnierzy nosiło pod bluzami quinaltyńskie bądź terantyńskie amulety. Amulet Anwylla wisiał na złotym łańcuszku.

Wnet jednak zaniepokojonego kapitana przestał dławić urywany kaszel, który mu dokuczał w drodze nad rzekę. Nie słysząc już było jego kichnięć.

Namiot Anwylla był skromnym, acz przytulnym schronieniem. W dość dużym przedsionku znajdował się stolik z mapami i krzesła polowe, które się składało, łącząc kołkami poszczególne części. Na dworze już zmierzchało. Zapalane latarnie, od których robiło się ciepłej, napełniały powietrze gryzącym dymem. Unoszący się zapach jakby rzucał czar na sąsiednie namioty, przywoływał w ich miejsce obraz gotowego do boju wojska... Nie był to, co ciekawe, nieprzyjemny odór – mieszanina zapachu oliwy, skóry i koni, a także przepływającej opodal rzeki – budził jednak wspomnienie wysuniętej broni, bitewnego napięcia, przeciwstawnych armii.

Specyficzną woń roztaczało na dodatek piwo z osobistych zapasów Anwylla. Siedząc przy stoliku w towarzystwie Cevulirna, Tristen obwieścił kapitanowi nowiny

o mianowaniu Drusenana earlem Brynu.

Anwyll zbył milczeniem tę informację. Zapewne nie miał pojęcia, czy Drusenana na nią zasługiwał, czy też nie. Jednak przy wzmiance o uchodźcach w Modeyneth zmarszczył czoło, nie uśmiechała mu się bowiem obecność Elwynimów między nim a stolicą. Musiała go również gnębić myśl, że niczego nieświadom, przeprowadził oddział elitarnej gwardii pod samym nosem bandy Elwynimów.

Dopuścił się zaniedbania, lecz Tristen mu tego nie wypomniał.

–Posłałem tych ludzi przez wzgórza do Althalen – powiedział – gdzie będą bezpiecznie mieszkać w obrębie murów, zamiast zbierać się gromadnie po drogach.

–Do Althalen? – powtórzył Anwyll z lekka przestraszony.

–Kobiety i małe dzieci. Trwa oblężenie Ilefianu i chyba coraz więcej ich będzie uciekać za rzekę.

–Co mamy z nimi robić?

–Kto zechce się przepawić, niech to uczyni, ale najpierw musi przysiąc wierność Jej Miłości.

–Także zbrojne kupy?

–Jeśli Tasmorden siądzie im na karku – zauważył Cevulirn chłodnym tonem – nadejdą w pośpiechu, nieskorzy do pogawędek. Trudno też będzie rozpoznać żołdaków Tasmordena.

–Jeśli tak, strzeżcie się przyjmować zbrojnych w obozie – powiedział Tristen. – Spychajcie ich brzegiem na wschód, niech pod żadnym pozorem nie wychodzą na wzgórze. Utrzymajcie się na pozycjach i nie miejcie obaw. Jeśli będą posłuszni waszym rozkazom, pozwólcie im rozbić obóz, tylko niech się z niego nigdzie nie ruszają. Jeżeli jednak nie posłuchają, czym prędzej daj mi znać. W Modeyneth proś o rozstawne konie. Od Drusenana otrzymasz wszystko, czego ci będzie potrzeba.

Ta wskazówka poprawiła nieco nastrój Anwylla, jednak minę miał wciąż nietęgą.

–Rozumiem, Wasza Miłość. Dobra to nowina. – Tak czy inaczej, Anwyll chyba czerpał otuchę z tej wizyty, a już ze szczególnym zadowoleniem przyjmował obecność Cevulirna. Jakby, pomyślał Tristen, nie dowierzał dotąd rozkazom swego pana, lecz teraz widok diuka Ivanoru nappełnił go ufnością co do rzetelności otrzymywanych poleceń.

Szczęśliwie się składało, albowiem wszystko, co podnosiło na duchu kapitana,

utwierdzało go w chęci wytrwania na posterunku. Podczas gdy na zewnątrz nadal prószył śnieg, oni do późnych godzin wieczornych siedzieli w namiocie Anwylla, rozmawiając przy świetle latarni o murze Drusenana i o rozstawieniu straży wzdłuż całej granicy.

–W obu przypadkach – mówił Cevulirn – nie uchroni nas to przez niedużymi bandami hultajów, ale też nie pozwoli przedrzeć się tu chyłkiem żadnym liczniejszym grupom.

Większe oddziały potrzebowały ciężkich taborów, a tym samym i dróg z dobrą nawierzchnią. Tristen miał świadomość, że gdyby nie wyraźny zakaz Cefwyna, wybrałby z Cevulirnem zupełnie inny sposób prowadzenia działań wojennych.

–Tasmorden siłą wcielił do armii mężczyzn z elwynimskiego dystryktu Nithen – powiedział – a więc służą mu też pewnie inni żołnierze z przymusowego naboru. Tacy mogą znaleźć wiele okazji do ucieczki w pojedynkę lub dwójkami. Wypytajcie szczegółowo wszystkich schwytanych Elwynimów, kobiety i mężczyzn, lecz traktujcie ich z życzliwością. Baczcie jednak, aby was nie podpatrywano. Przy każdej sposobności dopytajcie się o los Cuthana: co robi i czy dołączył do Tasmordena. No i jaka sytuacja panuje w Ilefianie, jaką siłą Tasmorden rozporządza.

Zanim członkowie tej maleńkiej narady rozeszli się do łóżek, Tristen zagadnął Anwylla:

–Kapitanie?

–Wasza Miłość. – Ramiona gwardzisty wyprostowały się natychmiast, oczy popatrzyły czujnie.

–W drodze do Guelessaru gościniec biegnie obok Henas'amef. Nie wysyłaj Idrysowi wiadomości brzegiem rzeki. Nie zyskasz w ten sposób na czasie, a twoim kurierom będzie grozić wielkie niebezpieczeństwo.

–Zapewniam Waszą Miłość... O żadnej nielojalności mowy być nie może...

–Wiem o tym, kapitanie, a Idrysa uznaję za przyjaciela. To uczciwy człowiek, za jakiego i ciebie uważam. Wiem też, że to twój dowódca. Możesz mu śłać dowolne wiadomości, pozwalam ci na to. Proszę tylko, by twój goniec zabierał też moje listy, bo wtedy jeden człowiek zamiast dwóch będzie ryzykował życie.

Anwyll wyglądał na przytłoczonego tymi słowami i gdyby mu tego nie zabraniały dobre maniery, usiadłby na krześle.

–Wasza Miłość, nigdy na ciebie nie donosił.

–A mimo to składasz raporty Idrysowi.

–Owszem, Wasza Miłość.

–To normalna rzecz. Musisz wykonywać swoje rozkazy. Smocza Gwardia podlega mi tylko do wiosny. Powinieneś wiedzieć, że Uwen odprawił do domu część Gwardii Gueleńskiej, ludzi, którzy prosili o zwolnienie ze służby. Dopóki nie wystawię armii do obrony prowincji, kazałem mu na razie przejąć dowodzenie.

–Których oficerów odprawiono, o ile Wasza Miłość raczy mi wyjawić?

–Kapitana i starszego sierżanta oraz kilku innych oficerów, lecz nie pytałem o ich imiona. – Tristen nie miał jasnej świadomości, w jakim zakresie mógł wydawać rozporządzenia, będąc diukiem Amefel, wszelako je wydawał, dręczony przecuciem zagrożenia, które czasami wpływało na jego decyzje. Nic mu się przy tym nie objawiało, choć stopniowo poczynił rozumieć kolejne logiczne kroki: objęcie dowództwa, wytrwanie przy nim oraz nadanie mu właściwego wymiaru, odpowiedniego dla człowieka, który je następnie przejmie. – Uprzedziłem lorda komendanta, że Uwen Lewen's-son będzie moim kapitanem. I tak też się stało. Odkąd Cefwyn uczynił mnie rządcą prowincji, prawnie mu się należy komenda nad garnizonem.

–I mi w tym względzie doradzał lord komendant – odparł Anwyll, spoglądając wyzywającym wzrokiem. – Mam dowodzić Smoczą Gwardią, Wasza Miłość, której nie obejmuje twa zwierzchność. Tak mi zalecono.

Ów środek ostrożności Idrysa nie stanowił bynajmniej obrazy, owszem miał miły, swojski posmak. Uśmiech zagościł na wargach Tristena.

–Uczciwe postawienie sprawy – rzekł. – A mimo to przyjechałeś tutaj.

–Mam wykonywać rozsądne, korzystne dla króla rozkazy.

–Zechcesz mianować oficerów Gueleńskiej Gwardii? Uwen dał mi listę. Podobno nie może promować nowych oficerów, ale ty tak. Kto według ciebie najlepiej się nadaje?

–Wynned.

–Wróci, kiedy tylko ozdrowieje jego matka, co oby się stało jak najprędzej. Wygląda mi na prawego człowieka.

–Hm, mur we włościach Brynu, odwołanie kapitana gwardii. Wasza Miłość, wołałbym nie doradzać w tych sprawach. I powiadomię o nich lorda komendanta, co z góry zapowiadam.

–Idrys oczekuje ode mnie, że będę miał na uwadze bezpieczeństwo króla, że utrzymam tę prowincję w sile i gotowości. Nie pozwolę Tasmordenowi najechać jej ani nie dopuszczę, by nad rzeką mordowano ludzi Jej Miłości. – Uzmysłowił to sobie wyraźnie, wyraźniej niż podczas wszelkich debat i narad, w jakich uczestniczył, teraz, gdy ujrzał owo miejsce nad rzeką i ów bliźniaczy, zaśnieżony brzeg. – Ty też pochwalaleś poczynania gueleńskich oficerów?

–Nie, Wasza Miłość. Nie pochwalalem ani nie pochwalam. Gdyby służyli pod moją komendą, zostaliby ukarani.

Doszedł do przekonania – choć sam nie wiedział, co je w nim wzbudziło – że kapitan uważa się za kogoś lepszego od gueleńskich oficerów. I słusznie, pochodził ze szlacheckiej rodziny, toteż w jego towarzystwie Uwen najczęściej milczał skrzępowany, myśląc o swym pospolitym rodowodzie.

Na jego decyzję o wysłaniu Anwylla nad rzekę wpłynął również do pewnego stopnia fakt, iż człowiek ten przejawiał niechęć do zadawania się z Amefińczykami, terantynami, bryaltynami, pospolitymi sierżantami czy chłopstwem. Była to jego wada, trudna do wyplenienia i nie od razu zauważalna.

Anwyll traktował z wyższością żołnierzy Gwardii Gueleńskiej, lecz wystąpiłby w ich obronie przeciwko wszelkim zarzutom, jakimi obarczono by ich w mieście.

Tristen uważnym spojrzeniem mierzył speszzonego kapitana.

–Postąpili nikczemnie – powiedział. – Nie jestem do końca przekonany, co quinaltyni rozumieją pod pojęciem "nikczemne", lecz takie właśnie było zabijanie więźniów. Uwen twierdzi, że ci, którym rozkazywali, nie są złymi ludźmi. A on to powinien wiedzieć, skoro kiedyś służył razem z nimi.

I znów to samo niezdecydowanie, jakby to, co Uwen twierdził, nie było zbieżne z osądami Anwylla.

–Wynedd to dobry człowiek – rzekł kapitan. – Wyznaczam go bez żadnych skrupułów. Jego zastępcą niech zostanie Ennyn. Wypiszę odpowiednie rozkazy i oddam je w twoje ręce.

Anwyll nadal czuł się nieswojo. Pragnąłby nie przyjeżdżać nigdy do Amefel. Z tą myślą Tristen udał się do swojego namiotu.

–Może jeszcze dziś Anwyll pchnie gońca do Idrysa – powiedział Tristen, napotkawszy Cevulirna w namiocie wojskowym, w którym rozlokowali się na noc. Cała gwardia nocowała w namiocie służącym za jadalnię, przylegającym do szopy, składu z bronią, dzięki czemu przynajmniej z jednej strony nie groziły im podmuchy wiatru.

Cevulirn siedział na materacu w swojej części namiotu. Jedyne światło wpadało z zewnątrz, od ogniska.

–A nie powinien?

–Zgoda, powinien. Ale pośle swoje wieści tak prędko, że goniec prawdopodobnie jeszcze przed świtem ruszy w drogę. Oby tylko wybrał gościniec przez Modeyneth. Anwyll mi nie ufa, a ja chciałbym to zmienić. Nie dowierza też Uwenowi, który nie jest, jego zdaniem, godzien dowodzić garnizonem. W czym się z nim nie zgadzam.

–Oszczędź sobie złudzeń, Amefel. To przecie szlachetnie urodzony Gueleńczyk, wyznaje quinalt i wciąż mu się coś nie podoba.

–Służy Idrysowi, a jemu ufam.

Szary lord Ivanor zachichotał, co mu się rzadko zdarzało.

–Takoż Idrys ufa tobie, lecz strzeż się tego zaufania.

–Jak mam to rozumieć?

Kiedy Cevulirn patrzył tak na niego w nikłym, chybotliwym świetle docierającym od ogniska, przypominał istotę złożoną z cieni i domysłów.

–A tak, lordzie Amefel, że Idrys buduje swoje zaufanie na twej uczciwości i przyjaźni z Jego Królewską Mością. Ale jeśli zwątpi w tę uczciwość lub przyjaźń albo też w dar, któryś otrzymał od Mauryla Zguby Królów, jego zaufanie przeminie. W najbardziej nieoczekiwanej chwili. Tak to już jest, kiedy ufasz lojalnym ludziom.

–Czemu go tak nazwałeś?

–Mauryla? Czy Idrysa?

–Zguba Królów, Twórca Królów. Czytałem w Czerwonej kronice.

–Cóż, przynajmniej zgubił Elfwyna. Twórca Królów. Burzyciel Królów. To tylko słowa.

–Słowa czarodziejów wiele znaczą.

–To prawda. Wiedz jeno, Amefel, że Idrys pamięta, jak nazwano Mauryla Gestauriena. Dzień w dzień o tym myśli, bądź pewien.

–Nigdy nie zdradzę Cefwyna.

–Jesteś Formą Mauryla, Twórcy Królów – rzekł Cevulirn. – Dla wdzięcznych

Amefińczyków jesteś lordem Sihhe. Choćbyś chciał okazać Cefwynowi najwięcej na świecie dobrej woli, choćbyś go nie wiem jak miłował, czy zaprzeczysz jednemu lub drugiemu?

Może to tylko chłodny powiew przeszedł po namiocie, lecz Tristen czuł się niczym wypytywany przez Mauryła. Siedzieli pogrążeni wśród fruujących wokół cieni. Dreszcz nim wstrząsnął przy pytaniu Cevulirna. Przez długą chwilę nie potrafił wykrztusić słowa sprzeciwu, tylko wciąż dygotał.

–Przejrzałem twoje serce i twoje zamiary – ciągnął Cevulirn nieubłaganie. – Chociaż trwam w niewzruszonej wierności względem króla, odpowiem na twoje wezwanie i sprowadzę tu w dniu przesilenia pozostałych baronów południa. Wystraszymy tym naszego zacnego kapitana dużo bardziej niż dotychczasowymi wieściami. Snu mi to jednak z oczu nie spędzi. Anwyll, mimo swoich zalet, jest Gueleńczykiem z krwi i kości. Podobnież ja jestem Ivanimem, południowcem. W moich żyłach też płynie sihhijka krew, tedy nigdy nie będę przykładowym Gueleńczykiem, lordzie Amefel, zawsze jednak oddanym przyjacielem Jego Królewskiej Mości, jak również twoim. Jeśli już o tym mowa, Idrys również jest południowcem, chociaż Anwyll okazuje mu wierność. To człowiek, Człowiek... Żaden co prawda dziedzic starej krwi nie dowierza zupełnie tobie ani mi, ufaj mu jednak, powiadam, pisuj doń często i na bieżąco zdawaj mu sprawę ze swoich poczynań. Nie wolno dopuścić, żeby Jego Królewska Mość stracił wiarę w południe. Zarazem nie powinien jej tracić Idrys. To tyle. Czyżbym się zapędził?

–Nie, panie. Wcale nie.

Tristen utwierdził się w swej opinii co do Cevulirna, wiedział też, że wytycza niebezpieczną ścieżkę pośród gueleńskich resentymentów. Baronowie z północy gorączkowo szukali jakiegoś pretekstu, aby wystąpić przeciwko niemu. Z pewnością potępiają zakładanie obozów nad rzeką, a tym bardziej pogwałcenie królewskiego prawa decyzyjną o budowie muru niedaleko Modeyneth.

"Przyprowadź swoje wojsko – chciał powiedzieć dziś wieczór Cevulirnowi, tak żeby tylko oni mogli słyszeć i razem planować. – Przyprowadź mi armię, a przejdziemy rzekę i pociągniemy na odsiecz oblężonym".

Słowa ugrzęzły mu jednak w gardle. Kiedy pomyślał o naruszeniu surowych zakazów Cefwyna, nasunęła mu się przed oczy nagła wizja, pełna krwi i ognia. Gdyby nie został poskromiony wstrzymującą go na jawie obecnością Cevulirna i jego następnym pytaniem, które zbył milczeniem, mógłby wyruszyć w dal, żeby potwierdzić to, co i tak uważał już niemal za pewnik. Ogarnęła go rozpacz i przygnębienie.

–A tobie co? – spytał Cevulirn.

–Bramy – odrzekł Tristen. Widział wysokie wrota i postaci w biegu na tle buchających płomieni.

–Jakie znowu bramy? – dopytywał się Cevulirn, gdyż w obozie nie było żadnych bram.

Tristen westchnął przeciągle. Szukał miejsca, gdzie znajdowało się jego ciało. Uciekał od słupów ognia i szczęku oręża.

–Otworzyły się bramy. Dokładnie w tym momencie.

–Ale gdzie? – pytał Cevulirn. – Co za bramy?

–Ilefinian zdobyty.

Cevulirn słuchał w grobowym milczeniu.

–Już za późno, już im nie pomożemy – ciągnął Tristen. – Nie mam pojęcia, skąd o tym wiem, ale myślę, że ktoś otworzył bramy. – Przypuszczał, że i czary przyczyniły się do tego. Działały powoli, aby na jedną krótką chwilę uderzyć ze zwielokrotnioną mocą. Im dłużej o tym myślał, tym głębiej w to wierzył. Zdecydowanie rozpostarł zaporę w szarej przestrzeni.

Narastało uczucie duszności.

–A teraz zlecą się ptaki – rzekł, wspominając Leciwą Syes. – Spełnia się jej przepowiednia. Sami musimy posłać wieść do Cefwyna. Jeszcze tej nocy.

Aby wiadomość dotarła do rąk Idrysa, należało wyprawić żołnierza z oddziału Anwylla.

–Wasze Lordowskie Mości? – Wywołany Anwyll wstał z łóżka i wyszedł z płaszczem na ramionach do mrocznego przedsionka swego namiotu.

–Ilefinian zdobyty – poinformował go Tristen. Cevulirn stał tuż za nim, obaj wyglądali na zdecydowanych.

–Wasza Miłość przyjął kuriera? – zapytał Anwyll roztropnie.

–Nie – odparł Tristen – ale mam pewność. Kryjcie most.

–Wasza Miłość... – Kapitan wyglądał na roztrzęsionego. Odgarnął włosy z czoła, usiłując pozbierać myśli. – Zamierzasz im pozwolić na przeprawę?

–Pierwsi nadejdą żołnierze Jej Miłości.

–Jego Miłość sądzi, że najeźdźcy weszli do miasta – rzekł Cevulirn. – Jeśli to prawda, sam diabeł nie odgoni ich od składów piwa.

–Tak, panie, rozumiem, jeno żaden goniec, jak powiadacie...

–Rozbrajajcie żołnierzy – przerwał mu Tristen – i odsyłajcie ich pod eskortą do Drusenana. On im wskaże schronienie. Potrzebuję kogoś, kto pojedzie do Guelemary, do Cefwyna, i wszystko mu opowie.

–Szybciej przybędzie do stolicy wieść od strażników czuwających w dole rzeki, Wasza Miłość.

–Gorzej, jeśli coś przytrafi się posłańcom. Musimy wyprawić gońca.

–Tak, Wasza Miłość.

–Przez siedem dni nie rozbierajcie mostu. Potem ściągnijcie kładki.

–Tak, Wasza Miłość. – Anwyll wodził wkoło osłupiałym wzrokiem. – Tylko co się stanie, jeśli nadejdą wrodzy Elwynimi, a most będzie złożony?

–Wtedy ich zatrzymacie, kapitanie – odparł Cevulirn bez ceregieli. – Macie tu aż nadto ludzi.

–Wasza Miłość – zaprotestował Anwyll w przyływie pasji. – Nie było planów bronić otwartego mostu! Trzeba nam łuczników!

–Będziecie ich mieli – powiedział Tristen. – Z Brynu.

–Amefińczyków, Wasza Miłość?

–Jesteśmy w Amefel – wtrącił Cevulirn. – Amefińczyków tu nie brakuje.

–Wasza Miłość. – Anwyll chciał jeszcze coś dodać, ale się zreflektował i na chwilę zamilkł. – Zaraz wyznaczę kuriera, Wasza Miłość.

Tristen skreślił w pośpiechu list i wręczył go posłańcowi Anwylla. Kapitan dodał mu własną przesyłkę, po czym człowiek odjechał. Pozostawało im wrócić do łóżek i przespać resztę nocy, lecz Tristen z Cevulirnem odbyli jeszcze cichą, dwugodziną rozmowę. Doszli jedynie do konkluzji, że trzeba zgromadzić dostateczne siły do obrony granicy, przy czym należało też zdobyć wsparcie łuczników oraz skierować ludność Brynu do budowy muru i obsadzenia mostu.

Jeżeli wszakże przybędą Elwynimi, skorzy toczyć swoją wojnę na amefińskiej ziemi, niełatwo będzie rozdzielić zwaśnione strony. Bez pewności, co zauważył Cevulirn, że ci, którym się pozwoli zamieszkać w Amefel, uznają nad sobą zwierzchnictwo

Henas'amef.

–Cały czas miałem nadzieję, że przebijemy się niewielkim oddziałem i przełamiemy linię okrążenia – rzekł Tristen w pełnym cieni półmroku. Niepokojące wizje nadal pojawiały się w mdłym blasku ogniska wpadającym do namiotu. – Ale teraz już się to nie zdarzy. Teraz mamy wojnę Cefwyna, aa którą czekał.

–Zostawię tu na posterunku moją gwardię – oświadczył Cevulirn. – To jedyne rozsądne rozwiązanie. Jest ich zaledwie garstka, ale to najlepsi z najlepszych. Dobrze strzelają z łuku.

–Dziękuję – rzucił Tristen w ciemność. Nie miał pojęcia, gdzie po tej stronie Assurnbrookku można znaleźć więcej żołnierzy, nie licząc wzburzonych Gueleńczyków. Słaba poświata, znamionująca w szarości Cevulirna, na chwilę pojaśniała, a w obozie rozbłysło kilka małych, acz prawych światełek.

Następnie, bardzo ostrożnie, Tristen zaczął wspierać uchodźców swoimi życzeniami. Prowadził ich ku rzece.

Ze wszystkich sił pragnął, ażeby wokół Ilefianu spadł gęsty śnieg, który zasypie całą okolicę... Żeby spadł nie przy rzece, gdzie uciekinierzy mogli przeprować się do Amefel, ale naokoło plądrowanego grodu, rozścielając biały kobierzec nad obrzydliwym żniwem śmierci i ognia.

Czysty, nie zbrukany śnieg, mający moc tłumienia gniewów, przeganiania ludzi pod dachy i postawienia Tasmordena przed obliczem wroga, którego nie imają się miecze.

Wydawało mu się, że nie jest osamotniony w swoich wysiłkach, że w całkowitej ciszy coś mu w Cevulirnie odpowiedziało. A z Henas'amef coś ku nim sięgnęło, coś przebudziło się w tamtejszej wieży i nasłuchiwało.

Ta noc dźwigała brzemień jednej wieści: "Ilefian zdobyty". A na drodze dwóch jeźdźców – jeden od Anwylla, drugi wysłany przezeń na rozkaz Tristena – zdążyło w stronę Modeyneth i dalej, do Henas'amef, do Guelessaru.

Rozdział czwarty

Rankiem było dość czasu, by przedyskutować treść rozkazów z kapitanem Anwylllem, który w nocy z nieufnością i wzburzeniem słuchał nowin.

Anwyll wypełnił jednak swoją powinność. Nakazał, by skoro świt rozpoczęto odbudowę mostu. Żołnierze z jego elitarniej Smocznej Gwardii, przyzwyczajeni do schludnych kwater i wyszukanego wikt, miotali przekleństwa, mozolnie zmuszając woły do posłuszeństwa... Woły, które tegoż dnia powinny ciągnąć skradzione

królowi wozy z powrotem do Guelessaru. Zgodnie z meldunkiem Anwylla, rozgniewanych i protestujących wozaków także zagoniono do pracy – musieli kierować zwierzętami. A gdzie zniknęła pokrywa śniegu i lodu, tam pojawiało się błoto.

Tristen był przekonany, że wozacy wpadną w jeszcze większą furię, kiedy usłyszą o mającej nastąpić za siedem dni rozbiórce mostu, w której znów przyjdzie im uczestniczyć, a skoro nie mogło się przy niej obyć bez pomocy wołów, także wozy musiały poczekać.

Nastrój Anwylla uległ wszelako znacznej poprawie na wieść o tym, że złożona z wyborowych strzelców ivanimska gwardia pozostanie nad rzeką do czasu ponownego zamknięcia i rozebrania mostu. Ludźmi tymi dowodzić miał porucznik Cevulirna, co w jeszcze większym stopniu podniosło kapitana na duchu, jako że teraz ciężar odpowiedzialności za podejmowane decyzje nie spoczywał już tylko na jego barkach. W przeciwieństwie do Anwylla, ivanimski porucznik był wojakiem zaprawionym w rozlicznych działaniach wojskowych. Był energiczny, zdecydowany i pewny siebie. Potrafił odróżnić jedną bandę Elwynimów od drugiej, co trochę rozwiało obawy Tristena.

Odkąd ivanimski oficer wziął się do roboty, nastał zupełnie nowy porządek, ludzie i konie raźnie pracowali przy zakładaniu trwalszego obozu. Nie dysponując zrazu żadnymi środkami, już po godzinie mieli ich pod dostatkiem. Ivanimi znajdowali się, można by rzec, wszędzie, rozważając budowę solidnej stajni i debatując nad użyciem drewna, gdyż w ciągu tego tygodnia pogoda mogła ulec pogorszeniu. Dokonali istnych cudów organizacji, zanim na porannych ogniskach zagrzała się woda na owsiankę. Anwyll był już wtedy w dużo lepszym humorze.

Upłynęła ponad godzina. Tristen pożegnał ivanimskich żołnierzy Cevulirna, po czym wyruszyli w powrotną drogę w towarzystwie skąpej gueleńskiej gwardii. W krótkim czasie stracili z oczu rzekę.

Nie jechali zbyt szybko, albowiem broń, zbroja i ciężkie kulbaki nazbyt obciążały konie, aby je ponaglać do szybszej jazdy. Jednak żwawo parli do przodu, tak iż w późnych godzinach popołudniowych dotarli do zrujnowanego muru w okolicy Modeyneth. W pobliżu zrujnowanych wież widniały pierwsze ślady prowadzonych tu prac: ścięto drzewa, a poprzewracane kamienne bloki oczyszczono ze śniegu.

Nowy earl osobiście nadzorował pracę grupy robotników w gęstwinie zarośli porastających stare kamienie. Przywitał ich wprzód zdziwiony, a potem zaniepokojony, widząc, w jak nielicznej świcie wracają.

–Niepomyślne wieziemy nowiny – rzekł Cevulirn. Opowiedział mu o upadku Ilefianu i przypuszczalnej sytuacji w Elwynorze.

–Kapitan Anwyll ze Smoczej Gwardii będzie wysyłał do ciebie uchodźców, może cię też poprosić o przeprowadzenie mobilizacji miejscowej ludności – powiedział Tristen. Zdawał sobie doskonale sprawę, jak wielkim ciężarem obarcza tego człowieka, który przeżył już walkę, owszem, nad wyraz straszliwą, lecz nie stał nigdy na czele oddziału znaczniejszego niżli wiejski kontyngent. – Zaraz po powrocie do Henas'amef powiem lordowi Drummanowi, żeby ci pomógł. Użyczy ci wozów i wołów. Wszystkie woły nad rzeką są tam bardzo potrzebne. Nade wszystko musisz uważać, aby nikt uzbrojony nie osiedlił się w Althalen. Wszelką znalezioną broń rekwiruj. Nie pozwolę, żeby i tu rozgorzała elwynimska wojna.

–Panie mój – rzekł Drusenana wielce poważnym tonem. – Czegokolwiek pragniesz, wykonam. Pozwól tylko, że wezmę konia, a wrócę z wami do wioski.

–Nie zatrzymamy się dzisiaj na noc – powiedział Tristen, lecz powodów, dla których Cevulirn gnał bez wytchnienia na południe, nie wyjawiał nawet temu przychylnemu i uczciwemu człowiekowi. W przeciwnym razie zaraz rozeszłyby się alarmujące pogłoski, mogące dotrzeć do uszu Elwynimów, a stamtąd... Lepiej nawet nie myśleć.

Tak czy inaczej, lord Drusenana odprowadził ich do Modeyneth, a nawet nieco dalej. W wiosce, gdzie odpoczęli i zmienili konie, uraczył ich kielichem grzanego wina.

–Rzesłałem już wieści do innych wiosek – oświadczył Drusenana. – O tym, jak się rzeczy mają w Brynie i czego od nas wymaga Wasza Miłość. Jestem pewien, że nas wesprą.

–Możesz czerpać do woli ze środków, jakimi Bryn dysponuje w grodzie. Masz tam sporo ludzi i skarbiec, którego nie pozwoliłem zabrać. Co mogę, to pošlę razem z lordem Drummanem. Przyślę ci też potrzebne Anwyllowi konie, tylko mu je odeślij bez zwłoki.

Inny człowiek na miejscu Drusenana, pomyślał Tristen, pogalopowałby od razu do miasta i na dwór po wytworne szaty, lecz lord Bryn zrezygnował nawet z uroczystej ceremonii. Związał się swą skromną przysięgą niby solennym przyrzeczeniem złożonym w wielkiej sali. Pomagał oczyszczać z zarośli i śniegu okolice przewróconych kamieni, sam machał siekierą, aż zrobiły mu się pęcherze na palcach. Żona jego, Ynesyne, ustawiła pośrodku wioski wielkie kotły, spodziewając się, jak powiedziała, stu par pomocnych rąk z sąsiednich wsi. Poczyliła przygotowania, by ulokować ich w stajniach, izbach dworku i wszędzie tam, gdzie w chatkach znalazło się choć trochę miejsca.

Oprócz tego chłopki ładowały na jedyną w wiosce furmankę zaopatrzenie dla uchodźców w Althalen, podczas gdy dwóch mieszkańców Modeyneth wybrało się tam z siekierami w celu przygotowania schronień i drewna na opał, o czym Drusenana doniósł, dodając:

–Byłe pogoda dopisała.

Musi dopisać i dopisze, o ile się nie sprzeciwi jakiś czarodziej. Wtedy jednak on podejmie wyzwanie i biada owemu czarodziejowi.

–Chciałbym, żeby na północ od nas sypał śnieg – wypowiedział na głos swe najgorętsze życzenie, które od świtu powtarzał w skrytości serca. Nurtujące go na początku wątpliwości teraz się rozproszyły.

Życzył w duchu zdrowia i pomyślności mieszkańcom wioski oraz "wróblom" Leciwej Syes, zdążającym w tej chwili pieszo ku ruinom Althalen, dokąd mieli ich doprowadzać przewodnicy ze wsi.

–I wybaczyć Anwyllowi – dodał. – To dobry człowiek. Ma lepsze serce, niż się zdaje. Nikt z domu Meidenów nie przeżyłby w Henas'amef, gdyby on nie powiadomił mnie o poczynaniach Parsynana. To jemu zawdzięczają życie ci, którzy ocalili.

–Przyjmuję twe słowa do wiadomości, panie. Będę o nich pamiętał.

Nowy lord Bryn nie chciał się jednak rozwodzić na ten temat, rozumiejąc ich pragnienie dotarcia do Henas'amef przed końcem następnego dnia – jechali wszak ledwie w kilka koni. zaproponował jedynie, że on sam oraz dwóch młodzieńców dołączy do świty.

–Dość spraw masz tu na głowie – odparł mu Tristen, kiedy dosiadali wierzchowców – a ja nie lękam się zbrojczy. Chcę, żebyś przede wszystkim pilnował muru.

–Ucz też młodzież bronią władać, a nie tylko budować – doradził Cevulirn Drusenanowi. – Jeśli Elwynimi zechcą gdzieś szybko i mocno uderzyć, to, wiedząc o naprawie muru, ruszą na most, a potem gościńcem. Tasmorden nie będzie zachwycony tym, co się tu dzieje, kiedy dojdą go wieści z południa o silnej władzy w prowincji.

Prowincja Amefel, dawniej najdogodniejsza droga w głąb Ylesuinu, postanowiła najpierw obwarować się kamieniami, a potem stworzyć barierę ze stali oraz wierzchowców i ivaniskich kawalerzystów. Co, wedle domniemań Tristena, służyło Cefwynowi lepiej niż wozy i kompania Smoczej Gwardii.

Przebyli szmat drogi, nim zdecydowali się zatrzymać na krótki odpoczynek, głównie po to, żeby mogły wytchnąć utrudzone konie. Kiedy nastał jasny, pogodny ranek, pędzili dalej, omawiając po drodze szczegóły planów (wierzyli w dyskrecję swej przybocznej straży). Cevulirn, który miał napisać do pozostałych lordów, snuł przypuszczenia, na jaką pomoc mogą liczyć ze strony każdego z nich. Ustalili, że lordowie na czele swoich hufców stawią się w Henas'amef w dniu zimowego przesilenia – zwykle w tym uroczystym dniu zbierali się przyjaciele, żeby świętować

nadejście nowego roku. Czyż quinaltyni mieli prawo zżymać się na widok zgromadzenia przyjaciół, nawet jeśli ci przybędą w eskorcie licznych oddziałów? Lordowie, którzy walczyli w Amefel minionego lata, zbiorą się, aby złożyć dziękczynienie i wspólnie ucztować. To samo czynili chłopcy przy ogniskach i szlacheckie rodziny w całym kraju.

Wtedy będą mogli układać dalsze plany, czego ich wrogowie łatwo się domyśla.

To jednak, czy lordowie w ogóle przybędą, zależało od ich dobrej woli... i od tego, czy dopisze pogoda.

Tristen podejrzewał, iż spełnienie tego ostatniego warunku leży w zasięgu jego możliwości. Chociaż mógł sobie zażyczyć, by śnieg padał gdzieś dalej albo żeby pogoda była dla nich łaskawsza, to jednak wątpił, czy dałby radę dokonać wielkiego dzieła przyspieszenia nadejścia pory roku.

Jednak bardzo tego pragnął. Musieli podjąć trudnemu zadaniu, bo choć do chwili przesilenia pozostawało jeszcze sporo dni, czas ten kurczył się w pewnym sensie, jeśli wziąć pod uwagę wielkie założenia ich planu... Albowiem planowali zgromadzić wojsko zdolne uderzyć na Ilefian i upomnieć się o zdobycze rebeliantów.

Gdyby przynajmniej ośmieszili Tasmordena, zrobili zeń głupca, ożyłyby nadzieje poskromienia buntownika, zaczęłyby przybywać ludzie chcących wesprzeć prawa Ninevrise. Skorzystałaby na tym także ciężkozbrojna jazda Cefwyna spieszącego ze wschodu z odsieczą. Aczkolwiek nadzieja, jaką Cefwyn wiązał z ciężką jazdą, mającą przemieszczać się nader niepewnymi drogami, napawała Tristena lękiem. Cała jego znajomość sztuki wojennej, którą zdobył, przeglądając mapy, mówiła mu teraz, że nie bez powodu Selwyn Marhanen zrezygnował z atakowania Elwynoru od wschodu, gdzie drogi nie odpowiadały gueleńskim standardom, a pobocza porastały gęste zarośla. Tristen nigdy tam nie był, lecz tak dobrze znał ukształtowanie tamtejszego terenu, jakby oglądał go na własne oczy. Nic więc dziwnego, że wszystko, co mógł uczynić na południu w celu zmuszenia Tasmordena do działań na dwa fronty, zmniejszyło jego obawy.

–Zwycięstwo przypadnie królowi i północy, a Murandys zostanie uznany za walecznego żołnierza – mówił Cevulirn szyderczym tonem. – Niech mu będzie, bylebyśmy tu mieli wolną rękę i mogli wskrzesić armię na gruzach Elwynoru.

–Żeby tylko Umanon nas nie zawiódł – odparł Tristen, ponieważ Umanon był człowiekiem najbardziej zmiennym spośród ich sojuszników. Dowodził waleczną ciężką jazdą, dla której lekka konnica dokonywała zwykle rozpoznania sił wroga. Nie koniec na tym. Także Pelumer z Lanfarnesse mógł im odmówić pomocy, zwłaszcza gdyby nie przyjechał Umanon. Pelumer, jak kiedyś powiedział Cefwyn, spóźniał się na każdą bitwę, co rodziło obawy, że zrobi to i teraz. – Ale Sovrag przybędzie.

Bardzo na niego liczę.

–Człek ten był niegdyś korsarzem. Marhanenowie nadali mu szlachectwo i jeden z dystryktów tylko dlatego, że nie mogli zdobyć jego skalistej fortecy. Nadto potrzebowali łodzi Sovraga, tak jak i my teraz.

–Dzisiaj to uczciwy człowiek.

–Uczciwy łotrzyk, owszem. Łotrzyk zreformowany. Zaniechał łupienia moich ziem i kraju Umanona, ale w zamian grabi od czasu do czasu południowe królestwa. Przyniosło nam to na razie wytchnienie, byle nie sprowadziło na nas w przyszłości srogiej zemsty. Zdumiewające, prawda? Ale posłuchaj dalej: Olmerneńscy zajęli się uprawą ziemi! Tegom się nigdy nie spodziewałem. Muszę przyznać, że w ciągu dwóch ostatnich lat bardzo polubiłem tego człowieka. Sporo widział w czasie pobytu w Amefel. Przekonał się, że chłopcy mogą wyżyć z ziemi. No i potrafi się utrzymać w siodle... jeśli posadzić go na starej i posłusznej szkapie.

–A co powiesz o Pelumerze? – zapytał Tristen, zaintrygowany ciekawym opisem byłego pirata. O ile Sovraga znał dość dobrze, o tyle o Pelumerze nie wiedział zbyt wiele.

–Ciężko ich złapać – powiedział Cevulirn. – Zarówno dragonów z Lanfarnesse, jak ich lorda, co to zawsze lubi dobrze wybadać grunt pod nogami, a ludźmi swoimi nie szasta. Spóźnia się na każdą bitwę, ale nie z tchórzostwa.

Lekko zbrojne siły Pelumera spisywały się wspaniale, ale podzielone na małe oddziały. Las był ich żywiołem, jednak gorzej im szło w walnej bitwie, do jakiej Cefwyn ostatnio ich poprowadził. Tristen nie obwinał Pelumera za opieszałość, z jaką wiódł ludzi na wojnę, bo chociaż Cefwyn odznaczał się odwagą, to jednak wykazywał pewną zatwardziałość w obstawaniu przy własnej koncepcji prowadzenia walki, która polegała na użyciu wielkiej siły, pracy niezmordowanie naprzód. Pelumer miał inne zdanie w tej kwestii, podobnie jak sam Tristen. Dlatego bał się o Cefwyna, ślepo wierzącego w siłę gueleńskich wojsk.

Najwięcej wątpliwości budziła postawa Umanona z Imoru Lenuaimu: chytrusa, Gueleńczyka i wyznawcy quinaltu, wyróżniającego się na tle pozostałych baronów z południa. Imorim dbał przede wszystkim o swą niezależność i interesy własnej prowincji, w czym pod wieloma względami przypominał Cefwyna.

–A Umanon? Przystanie do nas? Czy może do Ryssanda?

–Nie cierpi Corswyndama, a od bitwy nad Lewenbrookiem żywi urazę do Sulriggana. – Cevulirn mówił o lordzie Ryssandzie i lordzie Llymarynie, dwóch najważniejszych siłach na północy. – Zawsze potrafi zaskoczyć. Jest przykładowym południowcem tylko wtedy, gdy chodzi o jego interesy i kiesę. Nie darzy też romantycznym

uczuciem północnej prawowierności.

–I quinaltynów?

–Quinaltyńskich purytanów. Kilku swarliwych kapłanów, rozsianych tu i ówdzie po ziemiach północy, między innymi w Murandysie. Żarliwych czytelników ksiąg i ich bezkrytycznych interpretatorów... Tutaj, na południu, nie są tacy aktywni. Umanon nigdy jednak się nie opowie przy Murandysie i Ryssandzie, albowiem nie znosi ludzi wychwalających prawowierność, która piętnuje rodowód Umanona.

–Jak to możliwe?

–Jak? Ano matka Umanona i jej rodzina są terantynami, równie oddanymi swej wierze, co Umanon quinaltowi. Jakże mu potępiać własną matkę, ciotkę i jej dom... albo też kuzynów, możnych właścicieli rozległych pól uprawnych, które są bogactwem Imoru? Baron wymienia zboże na bydło z północy, a za bydło otrzymuje południowe złoto od żeglarzy wpływających na Lenuaim. Panuje w prowincji w poszanowaniu gueleńskich i quinaltyńskich praw, ale to terantyni najlepiej radzą sobie w handlu z obcymi ludami. To wyśmienici kupcy. Niczego się nie lękają, akceptują wszelkie odrażające zwyczaje cudzoziemców.

–Nawet czarodziejów? Akceptują ich?

–Dość spojrzeć na Emuina.

–Czy w dzikich stronach na południu spotyka się czarodziejów? – Nigdy o tym nie czytał.

–Naturalnie. Może nawet potomków zbiegłych Sihhijczyków. My, Iwanimi, handlujemy wzdłuż granicy końmi i jedwabiem. Z Chomaggarami i plemionami żyjącymi dalej na południu. Nigdy dotąd nie przeszkodziły nam czarodziejskie siły.

–Ty też masz pewien dar – zauważył Tristen z rozmyślną bezpośredniością. Cevulirn spojrział nań spode łba. – I go wykorzystujesz. Użyłeś go, gdyśmy byli w Modeyneth. Myślę, że wiesz o jego istnieniu.

–Przyznaję, że członkowie naszego rodu mają wiele nadprzyrodzonych cech – rzekł baron. – Zwierzam się z tego komuś, kto, tuszę, nigdy nie zawiedzie mojego zaufania. Nie jesteśmy czarodziejami. Choć mamy w sobie pewien dar.

–Jeśli chodzi o nas dwóch, nie potrzeba nam ogni sygnałowych. Mógłbyś mnie chyba wysłuchać nawet u siebie, w Toj Embrel.

Dość długo Cevulirn patrzył na Tristena w milczeniu. Szara przestrzeń kipiała od jego stanowczych sprzeciwów.

–Nie uczynię tego – odparł – chyba że w wielkiej potrzebie. Zaufałem ci, Amefel, jakem nie zaufał nikomu poza Ivanorem. Jeżeli więc będę ci potrzebny, wzywaj mnie w każdy możliwy sposób.

–Myślę, że już cię wezwałem – stwierdził Tristen po krótkim namyśle – chociaż nieświadomie i nie po imieniu. Potrzebowałem doradcy i oto jesteś. I wierzę głęboko, że wrócisz. – Miał wszakże świadomość, iż jego życzenie mogło być jednym z wielu powodów przybycia Cevulirna, albowiem istniało wielu czarodziejów, jak powiedział Emuin, żywych i umarłych, a ich działania krzyżowały się, utrudniając sprawdzenie, które odgrywają kluczową rolę.

Czarodziejskie składniki łączyły się wokół niego, przyciągane wspólnym celem, wspólnymi zależnościami, wspólną koniecznością... Emuin w swojej wieży, on i Cevulirn. Crissand i Pasi. Ninevrise w Guelemarze i Uleman w swym grobie w Althalen.

Należało także uwzględnić Mauryla... oraz Hasufina, aczkolwiek moc tych dwu uległa rozproszeniu.

Wszyscy tu jesteśmy, pomyślał Tristen.

Podróżowali pod nieskazitelnie błękitnym niebem i wśród skrzących się bieli. Tylko na północy gromadziły się ciemne chmury, wróżące nastanie zimy.

Słońce wisiało nisko, kiedy grupka jeźdźców ujrzała przed sobą panoramę Henas'amef, a był to krzepiący widok błyskających światełek, widok spokojnego miasta otoczonego ośnieżonymi polami. Tristen doznawał dziwnie radosnego uczucia, myśląc o rozmaitych obliczach grodu latem i zimą, za dnia i w półmroku.

Poczucie radosnego oczekiwania spotęgowało się jeszcze, gdy zobaczył wieżę Zeide. Wiedział, że mieszka w niej jego przyjaciel, podobnie jak wiedział, iż czekają nań inni przyjaciele... tudzież łóżko na górnym piętrze. Wkrótce go powitają Uwen i Tassand, a także wszyscy, którym zależało na jego szczęściu. Utrudzony podróżą, lecz uradowany perspektywą powrotu, wyobrażał sobie, co zrobią. Wszystkie usługowe osoby roztoczą nad nim opiekuńcze skrzydła. Znały go równie dobrze, jak on je. Crissand prawdopodobnie też już wrócił z wyprawy, będą więc rozmawiać, usadowieni wygodnie przy kominku.

Tak właśnie wygląda powrót do domu, rzekł sobie w duchu. Tak się właśnie czują zwyczajni Ludzie, gdy wracają, tknięci wspomnieniem rzeczy zapamiętanych i znajomych, po dniach spędzonych wśród znojów i w otoczeniu obcych twarzy; po dniach skromnych posiłków, zmarzniętych palców u rąk i nóg, pilnego przypatrywania się ruchom nieznanym.

Mknęli ulicami, pozdrawiani przez zadowolonych rzemieślników. Dźwięczny dzwon u

bramy oznajmiał miastu i twierdzy na szczycie wzgórza powrót lorda Amefel.

Aczkolwiek przybywali w mniejszej asyście Iwanimów, to jednak cali i zdrowi, dając powód do plotek i pobudzając ciekawość każdego mieszczucha, który obserwował przyjezdnych i ich sztandary.

A gdzie reszta Iwanimów? Czy doszło do potyczki? Nikt nie dostrzeże żadnych oznak stoczonej bitwy, będą więc pytać tak długo, aż ze wzgórza nie nadejdzie odpowiedź.

Kiedy przejechali pod opuszczaną kratą Zachodniej Bramy, na dziedzińcu czekał już Uwen... Należało zmienić konie Cevulirna, gdyż baron zamierzał wyjechać jeszcze tego wieczoru. Mistrz Haman miał za zadanie wybrać wierzchowce dla niewielkiej, acz godnej zaufania eskorty lorda Ivanora, złożonej z najlepszych żołnierzy Gwardii Gueleńskiej, mającej odwieźć Cevulirna do jego pałacu na południu, w Toj Embrel.

Tak zarządził Tristen.

–Przydzielił swoich ludzi Anwyllowi – powiadomił Uwena.

–Rozbije obóz w drodze. Zapewnijmy mu wszystko, czego potrzeba w drodze powrotnej do domu.

–Tak, panie – brzmiała odpowiedź Uwena. Kapitan wysłał chłopca po konie i żołnierza po ludzi, wymieniwszy niemal jednym tchem imiona tych, których chciał widzieć w eskorcie.

Na podwórcu zapanowało radosne poruszenie. Chłopcy Hamana przyprowadzali konie i znosili uprząże, asystując też lordowi Cevulirnowi, który osobiście opiekował się parą swoich siwków; miał względem ich karmienia i pojenia wiele szczególnych życzeń. Zabierał je ze sobą, gdyż nigdy nie rozstawał się z nimi na dłużej.

–Cosik mi się zdaje, panie, że nie sprawił się dobrze – zwierzył się Uwen Tristenowi na osobności, z posępnym obliczem.

–Jego Wielebność ruszył w drogę, w czym nie mogłem przeszkodzić.

–Wyjechał? – zapytał przerażony Tristen. – Jego Wielebność wyjechał z Henas'amef? Do Guelessaru?

–Ledwieś gród opuścił – odpowiedział kapitan. – Jeźdźcem on dobrym nie jest, przeto dał mu towarzysza do opieki w drodze. Nie wiedziałem, co więcej czynić.

Rozdział piąty

List Efanora został już wysłany, lecz nie upłynęło jeszcze dość czasu, aby mogła nadejść odpowiedź. W głowie Cefwyna ścierały się ze sobą obawa przed grą brata i myśl o konsternacji Ryssanda – jako że Efanor napisał w tymże liście, iż w bliżej nieokreślonym terminie pragnie ogłosić zaręczyny. Oznaczałyby one bezprecedensowe naruszenie żałoby lady Artisane i – co gorsza dla damy – mogły zachwiać jej reputacją, gdyby z jakiegoś tajemniczego powodu zostały nagle zerwane. Ale czy ktoś ośmielił się wątpić w cnotę tej damy? Ninevrise tylko dlatego nie wygnała Artisane, że ta natychmiast uciekła w żałobę. Czyżby teraz miała czelność rzucić się z powrotem w wir dworskich intryg z nadzieją na nietykalność? Ryssand musiał przemyśleć wiele rzeczy.

Cefwyn wiedział, podobnie jak Efanor, że przygotowania do ślubu, na który księżę rzekomo wyraził zgodę, byłyby żmudnym procesem o delikatnej naturze, zwińczonym małżeństwem tylko i wyłącznie pod warunkiem pozytywnego rozstrzygnięcia wojny z Elwynimami i istnienia obopólnych korzyści. Cefwyn wciąż zastanawiał się, czy ród Marhanenów powinien połączyć się z rodem Ryssandów.

Gdyby wieść o zaręczynach w domu królewskim się rozeszła, mogłaby przyćmić blask rozstawanego związku Luriel i zbliżającego się ślubu, planowanego na wigilię zimowego przesilenia. Taka sytuacja miała również złe strony, lecz jeśli straszna Luriel skoczy do gardła Artisane, tym lepiej.

W świetle tego wszystkiego fakt, że lord Murandys prosił Jego Królewską Mość o posłuchanie, nie był niespodzianką, skoro szpiedzy, którzy czaili się po kątach, zauważyli ową niezwykłą wymianę wiadomości, a może nawet domyślali się ich treści. Murandys, wuj Luriel, miotał się ostatnimi dniami pomiędzy nadzieją osiągnięcia zysków – dzięki niespodziewanej przyjaźni Luriel z małżonką króla i samym królem – z jednej strony, a znacznie bardziej przyziemną nadzieją utrzymania sojuszu ze swoim odwiecznym sprzymierzeńcem Ryssandem z drugiej. To zwykle Ryssand, obdarzony lotniejszym umysłem, knuł intrygi. Prichwarrin zaś, nie dorównujący mu intelektem, musiał się ostatnio czuć bardzo samotny, rzucony na żer plotkarzom i ludziom, których obraził... a których było bardzo wielu.

Murandysa z pewnością nurtował gorączkowy niepokój z powodu wymiany korespondencji między królewskim domem a Ryssandem.

Tym bardziej że odmówiono mu posłuchania. Prichwarrin musiał chyba bardzo cierpieć z powodu braku informacji.

Cefwyn nie czuł jednak żalu. Stał przy zamarzniętym, przymglonym oknie blisko biurka, sycąc się rzadką chwilą spokoju, cichym dniem, który zawdzięczał odrzuceniu prośby Prichwarrina. Z nieco większą pogodą ducha rozmyślał o najbliższej audiencji generalnej. Na rozpatrzenie czekały między innymi sprawy sądowe, a wśród nich jedna prośba o ułaskawienie, do której był skłonny się

przychylić: oszczędzał już złodziejów i łotrów gorszych od pewnej służącej, oskarżonej o kradzież kilku miarek mąki.

W czasie tej z trudem zdobytej chwili prywatności obserwował gołębie spacerujące po gzymsie.

A nuż należały do nielicznych szpiegów Tristena pozostających w Guelessarze? Jakimś dziwnym trafem większość tych ptaków odleciała tego samego dnia, kiedy odjechał Tristen, i teraz schody świątyni zawsze były czyste. Chciał, żeby gołębie wróciły razem z ich panem – pragnął tego jak człowiek, którego życzenia spełniają się tylko wtedy, gdy popiera je Tristen... Pożyteczny talent, nie ma co.

Nie było przy nim Emuina, nie było Tristena. Życie płynęło dużo spokojniej, odkąd ci dwaj przestali, i to dosłownie, ściągać gromy na dachy. Czuł się wszakże samotny. Trwał w złudzeniu, że jest panem swego czasu, że w każdej chwili może się wybrać na konną przejażdżkę, z Tristenem, z Idrysem... O nie, nie po to, aby polować na jelenie, Tristen byłby przerażony. Nie, chciałby wyruszyć po prostu z zamiarem podziwiania zimy i posłuchania, co Tristen ma o niej do powiedzenia. Tristen zawsze wpadał w zadziwienie na widok rzeczy, które ludzie jakoś przestają dostrzegać, gdy dorastają.

Ach, jakże cenne były te chwile! Patrzyć w niebo, łapać w płuca chłodny wiatr, pozwolić zmarznąć palcom, zaczerwienić się policzkom, a sercu bić żywym rytmem... Na bogów, był martwy, dopóki nie przybył Tristen i nie zadał mu pierwszego, zenującego pytania, pierwszej niewytłumaczalnej zagadki, nie okazał zdumienia na widok gradu i żalu z powodu spadających liści. Jakież cuda go zewsząd otaczały, gdy miał przy sobie Tristena... Przekląty Ryssand, który nie pozostawił mu wyboru!

Dostał list od Tristena. Oby los pognębił tego barona... a sprzyjał Tristenowi za to, że przysłał mu tak dobre wieści z Amefel. Ryssand ważył się teraz jedynie na małe, ostrożne ruchy, stąpając po niepewnym gruncie.

Z równą ostrożnością poruszać się musiały małe figurki ludzi na ośnieżonym dachu, pełzające na wysokości czterech zwykłych domów, wdrapujące się tam po drabinach ustawionych naprzeciwko królewskich okien, ażeby umocnić rusztowania na spadzistym, oblodzonym dachu quinaltyńskiej świątyni. A wszystko to w celu naprawienia szkód, jakie uderzenie pioruna wyrządziło w ziemskim przybytku bogów.

W dole posuwały się wozy z deskami... Bardziej byłyby potrzebne do dostarczenia sprzętu żołnierzom, tyle że należały do Jego Świątobliwości, a ten strzegł ich zazdrośnie.

Dziwne, z jaką namiętnością nauczył się patrzeć na tak przyziemne rzeczy. Wozy, których Tristen nadal mu nie zwracał, mogły w ogóle nie nadjechać, jeśli zima będzie

sroga. Poza tym bogowie wiedzieli, co Tristen teraz z nimi wyprawiał.

Oczywiście nie odwoziły do Guelessaru dobytku Parsynana.

Będąc wszelako zaradnym królem, rozumiejącym, że nie sposób przewidzieć poczynań Tristena, znalazł pewne środki i z pomocą dostępnych jeszcze wozów, nawet tych należących do pośledniejszych domów w Guelemarze lub do gildii kupieckich, słał ludzi nad rzekę ku mostom. Wykorzystywał straż przyboczną i Gwardię Gueleńską, a więc mieszkańców Guelessaru, nie wzywając na razie innych prowincji do nadsyłania swoich kontyngentów.

Póki co, ustawiał scenę, dobierał odpowiednie rekwizyty... bacznie przyglądając się rzece.

Pogoda była zaskakująco ładna. Podczas ostatnich dwóch dni pociemniało na zachodzie, mrok panował nad Elwynorem, a duże, szare od spodu chmurzyska już drugi dzień przesuwaly się pędem po gueleńskim niebie, lecz nie padał śnieg i nadal świeciło słońce. Zima była wyjątkowo ciepła... Zawitała późno, a mimo paru porannych i wieczornych opadów śniegu ziemia po tej stronie rzeki nie zamrzła. On, który nawykł dopatrywać się wszędzie działania czarodziejów, obserwował sytuację na zachodzie i zastanawiał się, czy dobrą pogodę można przypisywać działaniu naturalnych sił.

Lecz chociaż owo niezwykajne o tej porze ciepło było przyjemne... to zarazem przysparzało zmartwień: oto wołek zbożowy zaatakował królewskie spichlerze w Nelefreissanie, z których Cefwyn planował zaopatrzyć wojsko, spalone myszy harcowały do woli, roztocza atakowały ptactwo w sokolarniach i drób na podwórkach, pchły zaś stały się utrapieniem w psiarniach – a co gorsza, przeniosły się do baraków, gdzie je przeklinano, chociaż żaden egzorcyzm nie okazał się dotąd skuteczny. Starania czarodziejów, Cefwyn był tego pewien, przyniosłyby żołnierzom dużo większą ulgę niż palenie siarki i kapłańskie modły. Król wyobrażał sobie przewrotnie, jak pchły kásają hurmą pobożnych quinaltynów, którzy przyczynili się do nieobecności Tristena i Emuina.

Napomknął urzędnikom i oficerom, że gdyby był tutaj Emuin, nie byłoby pcheł, nie wspominał jednakże o Tristenie, bo chociaż czarodziejski kunszt Emuina darzono pewnym respektem, to czary Tristena przypominały każdemu, z jakiego powodu obaj musieli opuścić Guelemarę.

A tymczasem Annas, przerażony atakiem robactwa, pędził posługaczy do cięższej niż zwykle pracy, każąc im szorować do połysku zaatakowane pomieszczenia.

Zaprawdę, problematyczne błogosławieństwo. Nikt z żyjących nie widział zimy tak łagodnej, żeby zapasy drewna znacznie przewyższyły bieżące zapotrzebowanie, a lód

puszczał na stawach ku ucieście chłopów, którzy nie musieli już wyrąbywać przerębli, by napoić zwierzęta, czy też trzymać bydło stłoczone w oborach. Jesień przeciągała się ponad miarę. Wciąż należało się liczyć z możliwością nagłego nastania srogiej zimy, zdolnej zmrozić ziemię w ciągu jednej nocy i na wiele dni pozbawić ich słońca. To się jednak jeszcze nie zdarzyło. Pozostało jedynie tyle śniegu, by zapędzić robactwo pod dachy, a z nimi przekłete pchły – taką teorię snuł Cefwyn. Nie wspominając już o możliwej działalności wrogich czarów i złorzeczeń z za rzeki, którym nie przeciwstawił się obecnie żaden czarodziej.

Waśń z Ryssandem uczyniła go bezbronnym, i to nie tylko wobec pcheł. Jeżeli miało zdarzyć się coś gorszego, jeżeli owe mknące po niebie chmury wieściły nadejście jakiejś potwornej burzy, wszyscy jeszcze mogli pożałować, że czarodzieje odjechali.

Chociaż jeden pozostał. Także Ninevrise posiadała czarodziejski dar, jakkolwiek pomijał ją w swych rozważaniach. Może, pomyślał z żalnym uśmiechem, powinien zwrócić się do małżonki z prośbą o odegnanie plagi myszy? Może dwór by jej to wybaczył?

Jednakże ów maleńki dar, z którego istnienia doskonale zdawał sobie sprawę, nie nastrajał do żartów. Sprawa była tym bardziej poważna, że oficerowie, którzy powrócili znad Lewenbrookku, wiedzieli, iż w rodzie Syrillasów płynie czarodziejska krew. Nie zamierzał ich prowokować do wspomnienia o tym quinaltynom, którzy i tak już niewątpliwie to i owo słyszeli. Niech będą przekłete pchły, myszy i dachówki!

Na szczęście weterani zachowywali dyskrecję, nawet w szynkach rzadko wspominali o manifestacjach nadprzyrodzonych sił nad Lewenbrookiem. Słuchając opowieści, jak ta czy inna kompania nacierała na wroga i gromiła nieprzyjacielskie szyki, można było odnieść wrażenie, że mówią o zupełnie innej bitwie.

Gołębie walczyły o miejsce na wąskim gzymsie, uderzając się wzajem szarymi skrzydłami. Przegrane zataczały koła i siadały w innym ośnieżonym miejscu, niesforne, bez krzty szacunku, teraz, gdy ich pan przebywał na wygnaniu.

Tyle dziwów się wówczas wydarzyło, że żyjący świadkowie nie mieli dziś pojęcia, kto za nie odpowiadał i co właściwie widzieli. Widma umarłych, niewyjaśnione światła, mrok zapadający podczas dnia... Wspomnienia owego dnia mieszały się niczym plamy oleju na wodzie, tak iż żaden spośród tych, którzy tam byli, nie pamiętał niczego wyraziście... albo też nie chciał pamiętać. Ludzie potracali się i przepychali w walce o pozycję, lecz nikt nie wspominał o bitwach czarodziejów.

Zadrzał, gdy zdał sobie sprawę, że dłoń na szybie przemarzła mu do szpiku kości. Odsunął palce i ścisnął je w pięść dla rozgrzania, spostrzegając, że jego wspomnienia wcale nie są aż tak przyjemne. Miał ochotę posłać sługę po chleb dla

tych niemądrych gołębi o szarym upierzeniu i przez pamięć o Tristenie objąć je królewskim patronatem bez względu na to, co powie dwór. Okazałyby tylko zwykłą życzliwość biednym, głupiutkim istotom.

Ale plotka wszystko wyolbrzymi i wnet zacznie się mówić, że przeklęte gołębie służą mu za posłańców i mają czarodziejską naturę. Zacznie się je posądzać o podsłuchiwanie i bogowie wiedzą co jeszcze. Gdyby zaopiekował się tymi gołębiami, zaraz by go pomówiono o uprawianie najczarniejszej magii.

Gdy opadły wreszcie emocje związane z jego niedawnym ślubem i ze zdradą Ryssanda, Cefwyn ochłonął na tyle, aby zrozumieć, że chociaż stanowi wraz z Ninevrise pewną całość, to wokół nich dzieją się niebezpieczne rzeczy, a ci, na których liczyli – między innymi Idrys – czekali tylko na stosowną chwilę, żeby zobaczyć, co nowożeńcy zrobią, kiedy stanąwszy oko w oko ze światem, zdadzą sobie sprawę, jak bardzo wykruszyły się ich szeregi.

I tak też się stało, dlatego tęsknili teraz za nieobecnymi, którzy powinni dzielić ich nowe życie, za ich twarzami, głosami i radami. Zyskawszy siebie nawzajem, osiągnąwszy przymierze umożliwiające światu wzrastanie w dostatku, stracili to, co najwyżej cenili. Mogli już nigdy nie zobaczyć dwor takiego, jaki był dawniej. Raporty z Amefel alarmowały o stłumionej rebelii i podejmowanych tam śmiałych krokach... W razie potrzeby Tristen ujawniał nieprzeciętne zdolności.

Jednak ta właśnie część jego natury, uzewnętrzniona w Emwy i nad Lewenbrookiem, była najbardziej przerażająca. Nie znamionowała naiwnego poczciwca, obrońcy gołębi i serdecznego druha lubiącego podziwiać promienie słońca, ale żołnierza, upiora, którego doświadczenie wojenne pochodziło z innego życia – życia dawno, dawno minionego.

Parsynan spowiadał się komuś w Ryssandzie, ale zanim tam dotarł, przejechał przez wiele krain. W konsekwencji quinaltyni uwijali się niczym pchły w psiarni, sącząc jad to w jedno, to w drugie lordowskie ucho, utyskując na czary i herezje na pograniczu, na ludność obnoszącą się z zakazanymi godłami i sławiącą Tristena jako lorda Sihhe.

"Ucisz ich – nakazał wczoraj patriarsze, tracąc cierpliwość. – Potrzebuję spokoju i bezpieczeństwa w Amefel i nic mnie nie obchodzi, jakimi środkami Tristen to osiągnie".

Ostatnie słowa dodał jakby z zamiarem usprawiedliwienia swojego rozkazu, jak gdyby jakaś korzyść wynikająca z działań Tristena miała znaczenie dla Świętobliwego Ojca.

Gniew w nim wzbierał na myśl, że słabość kazała mu dodać ten argument, że nie odziedziczył po dziadku daru ucinania sporów po wyłożeniu swoich racji.

Inareddrin na jego miejscu rzekłby: "Przyjaciół króla jest przyjacielem króla i ktokolwiek mu ubliży, będzie miał ze mną do czynienia. A w ogóle to idźcie wszyscy do diabła!"

Cenna wiadomość od Tristena mówiła ze zdumiewającą zwięzłością o zburzeniu wszystkiego, co on zbudował w Amefel. Zachodziła obawa, że Tristen okaże się autorem niezwykle skąpych listów. Mistrz Emuin odzyskał swoją wieżę. Lord Cuthan, potomek starożytnego rodu, cierpiał na wygnaniu.

Tristen wygnał amefińskiego earla. Jagnię szarżowało na lwa...

I niechaj się mają na baczności wszyscy buntownicy i konspiratorzy od Henas'amef po Lanfarnesse, ci południowi rebelianci, którzy nigdy nie chcieli uznać w Marhanenach królów. Jednym spojrzeniem szarych oczu i kilkoma pytaniami Tristen był w stanie pojmać i uwięzić ich dusze, schwytać we wnyki zaklęcia nieuleczalnej sympatii... Cefwyn sam mógł o tym zaświadczyć, albowiem czuł bezbrzeżną tęsknotę za człowiekiem, który i jemu to uczynił.

Posłał gońca do Tristena, drugiego zaś do Cevulirna, pytając ich o zdrowie i wyrażając podziękę... A także zapytując Tristena o los wozów, baronowi natomiast przypominając o gotowości do wymarszu. Dzięki szybkiej interwencji lorda Inefel mógł się teraz cieszyć z uwolnienia Amefel z rąk rebeliantów. Miejscowa ludność zamiast ciskać kamienie w królewskich żołnierzy, dziękowała mu wśród wiatów za dokonany wybór. Gdyby tylko hardzi bryaltyni przestali marzyć o powrocie zaginionych królów.

Wszystko to opisał w listach do dwóch najserdeczniejszych przyjaciół. Nareszcie sobie uświadomił, dotychczas pochłonięty zalotami i małżeństwem, iż dotąd dopisywało mu wielkie szczęście, że nie wydarzyła się żadna katastrofa.

A co do Tristena, którego wskrzesiła czarodziejska sztuka, uformowała czy jak to tam zwali czarodzieje... nie było dlań bezpieczniejszego miejsca. Mauryl, Twórca Królów, podesał im dar obosieczny, istotę mogącą być wcieleniem samego Barrakketha.

Swoją drogą, Elwynimi od dawna przepowiadali nadejście Zapowiedzianego Króla, przeświadczeni, iż któryś z ocalałych potomków z linii półkróla Elfwyny wychynie znieścacka z ostępów, ogłaszając się spadkobiercą Sihhijczyków i sięgając po koronę niegdysiejszych Najwyższych Królów.

W każdym razie pomyślnie się złożyło, że to on osobiście przyczynił się do spełnienia wszystkich przepowiedni, jakie były w zasięgu jego ręki, czyniąc Tristena nie tylko lordem Ynefel, do czego miał on zapewne prawo, ale i lordem Althalen oraz rządcą heretyckiej prowincji Amefel, gdzie każdy jego nowy tytuł mógł zostać

odebrany ze względym spokojem. Terantyni przeszliby do porządku dziennego nad podobną herezją. Nawet on zniósłby obecność innego króla u swego boku, choćby i Najwyższego Króla, jeśli Tristenowi przypadła tak ogromna władza.

Czyż miał jednak odwagę, prawo, powinność... zwierzyć się z takich myśli małżonce, co do której żywił nadzieję, iż pozostanie po tej stronie rzeki, w jego królestwie, jako powściągliwa żona bez monarszych uprawnień? Mimo prowadzonych przygotowań, rozstawiania wojsk, obmyślenia środków pomocy podczas narad, wreszcie mimo przeforsowania tytułów mających przypaść Ninevrise Syrillas? I mimo przeklętych utarczek z kapłanami, pijanymi i trzeźwymi, czyż powinien snuć podobne myśli, mając żonę obdarzoną darem, o jakim wspomniał mu kiedyś Tristen, żonę potrafiącą w każdej chwili wydobyć na światło dzienne jego wyobrażenia? Był królem. Los jego i obowiązek nakazywały mu tak postępować, aby przynosiło to jak najwięcej korzyści jemu, a pośrednio również poddanym.

Gołębie wleciały raptownie w powietrze, okładając się skrzydłami: zauważyły ruch i usłyszały hałasy. Otworzyły się drzwi i do komnaty wszedł posłaniec, dwójka przybocznych gwardzistów oraz Ninevrise... pobladła i przestraszona, unosząc fałdy spódnicy, jakby biegła. Zaraz za nią sunęły dwie zaniepokojone dworki, Cleisynde i Odrinian, krewniaczki Murandysa. Żołnierz w barwach Gwardii Gueleńskiej, ochlapany błotem po żmudnej podróży, rozmazał plamy po młodej, piegowatej twarzy. Wyglądał na wyczerpanego i oszołomionego.

–Miłościwy panie – zdążył wykrztusić młodzieniec, zanim przybył Idrys z ordynansem u boku. Posłaniec obejrzał się za siebie.

Nieszczęście. Jakie było jego źródło, zarówno on, jak i Ninevrise łatwo zgadywali. Ów młody oficer, który przyszedł z dziedzińca przed stajniami, prosto po podróży, zmęczony jazdą, był żołnierzem lorda Maudyna, gońcem od komendanta nad rzeką.

–Miłościwy panie – wysapał kurier. – Ilefian wzięty... Cleisynde pierwsza spośród dwóch obecnych kobiet, kuzynek Murandysa, przypadła do ramienia Ninevrise. Potem obie pochwyciły regentkę za ręce, spodziewając się omdlenia bądź wybuchu.

Nic podobnego nie nastąpiło. Nie pokazała się żadna łza, a tylko wyraz udręki.

Mało zaskakujący cios, pomyślał Cefwyn. A zatem, pomimo czarnych chmur, Tasmorden przełamał obronę grodu, co oznaczało śmierć lojalnych poddanych Ninevrise w stolicy: przyjaciół z dzieciństwa, stronników, bliskich i dalszych krewnych. Wszyscy byli skazani na rychłą zagładę.

Mimo to stała blada, acz opanowana; dumna królowa, twardo stąpająca po ziemi.

–Kiedy i jak? – zapytała posłańca.

–Pan mój nie otrzymał jeszcze dokładniejszych wieści – odparł goniec ostrożnie, wiedząc zapewne, kim jest Ninevrise, pamiętając jednak – niech go licho! – o sztywnej gueleńskiej etykiecie, każącej mu zwracać się bezpośrednio do króla. – Miłościwy panie, wsiadłem na koń, ledwie zapłonęły ognie. Pan mój, lord Maudyn, w miarę rozwoju sytuacji będzie słał raporty. Kiedym wyjeżdżał, tyleśmy jeno wiedzieli, że ognie płoną.

Spadła na nich potworna wieść – wieść katastrofalna. Nadal jednak wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi: czy miasto się paliło, czy zostało poddane, jaki los spotkał jego obrońców i tamtejszą szlachtę.

–Dajcie odpocząć posłańcowi – rozkazał Cefwyn. W postępowaniu z kurierami przewożącymi królewskie wiadomości i ich końmi obowiązywały ustalone reguły, toteż paziowie dobrze wiedzieli, co mają robić. – Wołajcie Annasa.

–Miłościwy panie – padło. – Tak, miłościwy panie. – Wszyscy zerwali się spełnić rozkazy, lecz jego władza nie sięgała aż tak daleko, by mógł zapewnić swej damie lepsze nowiny, a w takim razie, jaki był z niej pożytek? Umożliwiła co prawda zorganizowanie armii, czy jednak mógł w ten sposób naprawić wyrządzone krzywdy?

–Wiedzieliśmy, że to nieuniknione. – Tyle tylko zdołał jej powiedzieć. Żal rozsadzał mu piersi.

–Wiedzieliśmy, że to nieuniknione – przyznała Ninevrise, po czym odwróciła się i w cichych słowach odprawiła dworki. – Zaopiekujcie się posłańcem w moim imieniu – nakazała im. – I powiadomcie Margolis.

Słowa "powiadomcie Margolis" zawierały w sobie wszystkie te rozkazy, które należało wydać na dworze Ninevrise. Podobnie jak "wołajcie Annasa" było ujęciem wszystkiego, co jego służba mogła zrobić. Wieść obiegnie niebawem cały dwór, a wtedy spłyną na nich słowa otuchy od dworzan i szczerze oddanych sług. Pogłoski będą krążyć wsparte na rzetelnej podstawie, kiedy tych dwoje obejmie nadzór nad ich obiegiem.

Regentka Elwynoru stała z dumnym obliczem, nieugięta podobnie jak król Ylesuinu, nie pozwalając mężowi, żeby ją głaskał czy całował w czoło, nawet wobec lorda komendanta.

–To wszystko, co wiemy? – zapytał Cefwyn Idrysa, kiedy zamknęły się drzwi za dworkami i zapanował chłodniejszy, wojenny nastrój.

–Niestety, wiemy jeno to, co nam rzekł ten człowiek. Kolejne informacje są już pewnie w drodze do Guelemary. W tej kwestii polegamy w zupełności na lordzie Maudynie. Zwięzłość wiadomości niesie w sobie także pewną pociechę. Nie ma w niej nic o nieprzyjacielskich wojskach nad rzeką, żadnych sygnałów o nadciągającej

wojnie. Według raportów panuje tam teraz ciężka zima. Nikt nie przejedzie drogami do naszych mostów.

–W Amefel nie wybuchły bunty, dzięki bogom – powiedział Cefwyn. – Tristen poradził sobie przynajmniej z granicą.

Zachodziła teraz pilna potrzeba wysłania na zachód większej liczby żołnierzy, a tymczasem środki transportu utknęły w Amefel.

Właśnie do Amefel zaczęły prawdopodobnie uciekać uchodźcy z Ilefianu. Wywołają zamęt w prowincji, zwracając się o pomoc i schronienie do człowieka obdarzonego najlitościwszym sercem i najhojniejszą ręką w królestwie. Te cechy Tristena mogły doprowadzić do diabelnie niebezpiecznej sytuacji... mogącej w równym stopniu co rebelia wstrząsnąć prowincją, gdzie przebiegała najbardziej niestabilna i wrażliwa na ciosy granica z Elwynorem.

–Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na dalsze wieści – powiedział Cefwyn. – Wyślemy jednak trzy odwodowe regimenty do obsadzenia nadgranicznych posterunków. – Ze względu na niedostatek wozów i furmanów ciężkie stopy płócien, nieodzownych w zimowym obozie, były transportowane o wiele wolniej, niżby sobie tego życzył. Żołnierze mający spać w tych namiotach mogli więc jechać na swe posterunki nie szybciej od tychże wozów.

Psiakrew, zaklął w duchu, po czym, pomny na swe myśli i własne słowa uznania dla Tristena za przywrócenie spokoju w prowincji, doszedł do ulotnego przekonania, że tam, gdzie przebywa Tristen, pojawiają się czary... W znacznie większej mierze, niż wynikałoby to z obecności Emuina. Tristen umiał jednak pokrzyżować każde nieczne zamiary.

W ślad za poprzednią, w głowie Cefwyna zakiełkowała straszniejsza myśl, iż dziura w dachu świątyni nie była dziełem przypadku, tak samo jak nie było nim zatrzymanie tych wozów. Bezsposornie Tristen nie zamierzał udaremnić obronnych planów północy, działał zapewne w przeczuciu zagrożenia ze strony Elwynoru. Jednak splot tych wszystkich okoliczności niewyraźnie dowodził czarodziejskich knowań, wypadki biegły w tym samym kierunku, zacieśniała się pętla przeciwstawnych zdarzeń.

Ilekczo próbował zrozumieć całość spraw Ylesuinu, ogarniał go paniczny strach i rodziła się w nim świadomość, iż wszystkie te bezosobowe linie na mapach i wykresach są miejscami, gdzie ludzie nieustannie mordują się nawzajem, staczając się w swym szaleństwie i w braku przewodnictwa ku wydarzeniom, nad którymi nie potrafiłby tak do końca panować, a które owe mapy na jego biurku przestały już wiarygodnie przewidywać.

Zawisło nad nimi widmo nieuchronnej wojny, ale nawet ten, kto był teraz ich

sprzymierzeńcem, nastroczał wątpliwości.

Nie wiadomo było, kto pociąga za sznurki i czy ktoś w ogóle kontroluje to, co się wokół nich dokonywało. Mroczny władca Lasu Marna, Hasufin Heltain, ów złowróżbny upiór, jak go nazwał raz Tristen, lub diabeł, według przekonań quinaltynów, został rozgromiony i rozproszony nad Lewenbrookiem. Jego zamiary obróciły się wniwecz, nie trzeba go więc było brać pod uwagę. Nad polem tamtej bitwy załopotąła zwycięsko chorągiew Ylesuinu.

Tristen walczył z nimi ramię w ramię do pewnego czasu, a potem stało się coś, czego do dziś w pełni nie rozumiał, co częściowo zatarło się w jego pamięci. Ciemność okryła pola, zgasło światło, w miejscu dnia nastąpiła noc.

Niekiedy cień zasnuwał słońce, a wydarzenie to czarodzieje umieli przewidzieć z dokładnością do dnia i godziny. Ale w tamtym mroku coś się chyba kryło. Wydawało się, że realną groźbę stanowił nie Aseyneeddin, ale Hasufin Heltain. Dopiero kiedy Hasufin umknął, a Tristen spętał go jakimś bliżej nieokreślonym czarem, wówczas Aseyneeddin poległ, bitwa dobiegła końca, ciemność się rozjaśniła i wyszło na jaw, że buntownicze wojska zostały tymczasem rozbite. Słońce oświetliło ziemię usłaną trupami, spośród których wiele nie miało na sobie śladów obrażeń.

Każdy, kto walczył nad Lewenbrookiem, miał co rozpamiętywać, przy czym nawet wspomnienia dowódców nie były z sobą całkowicie zgodne, choćby w tak błahych kwestiach, jak ta, w jaki sposób zmuszono nieprzyjacielskie wojsko do odwrotu, czy dlaczego zwycięskie oddziały znalazły się dokładnie w tym miejscu pola walki, gdzie padały promienie słońca. Żołnierze mówili tylko, że w mroku i zgiełku ujechali dalej i zdobyli więcej, niż oczekiwali.

A mimo to rzadko się na ten temat wypowiadali, jakby nie zasłużyli na takie szczęście i nie rozumieli, co się tam z nimi działo.

Jednak wygrali, czyż nie? Czemu więc stał obok żony, a Idrys twierdził, że niewiele mogą zdziałać?

Nawet jeśli ktoś ich wepchnął w przepaść następnego konfliktu, ciskając piorunem w dach i zmuszając Tristena do swego rodzaju ucieczki... i tak odnieśli zwycięstwo w tym ostatnim starciu.

Pokonają chyba pomniejszego czarodzieja, którego Tasmorden wydobył gdzieś z matecznika?

Przekłęci quinaltyni, owładnięci bojaźnią przed czarami, dali mu jedynie wskazówkę, by unikał magii... Podczas gdy wszyscy quinaltyni razem wzięci nie wskóraliby tyle, co sam Tristen nad Lewenbrookiem, i nigdy nie wskórają tyle, co Tristen w przyszłości.

Niech będą przeklęci po dwakroć: to oni odesłali Tristena do Amefel, jeżeli nawet sam wpadł na ten pomysł, kiedy cała prowincja sposobila się, by chwycić za broń.

Czyż nie dopisało mu szczęście? Pominąwszy utratę wozów, choć tak czy inaczej, zła pogoda nie pozwoliłaby ich użyć podczas wyprawy za rzekę.

Teraz mieli związane ręce. Zima nie zdążyła zmusić buntowników do zrezygnowania z bezowocnego oblężenia. Bogowie nie interweniowali, aby uchronić stolicę Ninevrise. Sprawdziły się, niestety, ich przewidywania... Przynajmniej nie łudzili się płónnymi nadziejami.

Odprawił Idrysa i Annasa z rozkazami. Dopiero teraz, gdy zostali sami, z oczu Ninevrise pociekły łzy, ale nie było ich wiele.

–Długo się tam nie utrzyma – pocieszył ją, jak mógł. Pod nieobecność świadków otoczył regentkę Elwynoru ramionami i przycisnął mocno do piersi.

–Nigdy nie chciałam rzucać czarów – rzekła Ninevrise, zaciskając palce na jego rękawach. – Aż do dzisiaj. Teraz o tym marzę. Ach, bogowie, jakżeż o tym marzę!

–Lepiej tego nie rób – powiedział wystraszony, albowiem ona wiedziała, jaki jest koszt spełnienia się tych marzeń. Sięgała po przedmiot swoich pragnień, jak żołnierz sięga po miecz leżący blisko niego... bardzo blisko. A nie było na podorędziu ani Tristena, ani Emuina, którzy mogliby ją powstrzymać. Drżącymi z przejęcia palcami dotknął jej policzka, on, Człowiek i tylko człowiek, nie mający daru. Ujął delikatną piąstkę regentki i spróbował odwrócić jej uwagę. – Lepiej tego nie rób. Wiem, że potrafisz. Wierzę, że potrafisz. Jako córka swego ojca możesz pójść tam, gdzie ja nie mam dostępu, i robić to, czego ja nie umiałbym odwrócić. Wiem. Wiem, jaki dar masz w sobie, nie dałem się zwieść pozorom. Gdyby był z nami Emuin... Na bogów, gdyby Tristen był z nami, powiedziała ci teraz, żebyś kontrolowała swoje pragnienia.

Patrzyła nań uważnym wzrokiem, jakby usłyszała samego Tristena. Poczuli, że się uspokaja. Uniósł dłoń i położyła mu palce na ustach, jak gdyby prosiła o milczenie, wyrozumiałość i cierpliwość. W białym, śnieżnym blasku padającym przez okno łzy potoczyły się po jej twarzy, zostawiając szkliste ślady. Cały świat zdawał się zawieszony w bolesnym wyczekiwaniu.

–Kocham cię – powiedziała. – Będę cię kochała zawsze i na wieki. Czy trzeba coś dodawać?

–Nie trzeba. Oni nie wygrają, Ninevrise. Nie wygrają.

–Ach, tylko co z moimi przyjaciółmi, co z nimi? Z moją rodziną, z moim domem i ludem?

–Wiem. – Przytulił ją mocniej, a ona wsparła głowę na jego ramieniu. Z jej piersi wyrwało się głębokie, żalosne westchnienie. Zadrżała. – Niech bogowie mają ich w opiece. Pojedziemy. Odbierzemy miasto. Zaprowadzimy sprawiedliwość.

Szkoda, że pod koniec lata nie zapaścił się na terytorium Elwynoru w pościgu za Tasmordenem. Szkoda, że tak mu było spieszo do uporządkowania spraw dworu (dworu jego ojca), do dogadania się z tymi wszystkimi starcami. Zaślepiła go wiara, że może liczyć na lojalność ludzi, którzy woleliby widzieć na tronie inną osobę.

Głupota, wyrzucał sobie teraz. Impet Ylesuinu znacznie osłabł. Należało bezzwłocznie wprowadzić wojska południa w drugą fazę działań, nie zważając na opinie starców, którzy wspierali tron na północy. Gdyby choć dwóch, trzech baronów z neutralnych prowincji stawiało się pod jego porządek, żeby wspólnie z południem ruszyć na wojnę, mogliby sforsować rzekę, przedrzeć się do stolicy... Miał wówczas u boku Tristena, na miłość boską!

Cóż jednak uczynił z pomocnym Tristenem? Odsunął go i próbował nakłonić do milczenia ze strachu przed rozjuszeniem północy, a powinien był skorzystać z jego pomocy. Nie nakazał Emuinowi zejść z wieży i służyć mu przestrogią. Nierozważnie przeciągał dysputy z ludźmi rzekomo godnymi zaufania. Szanował ich argumenty przez wzgląd na długą służbę u jego ojca. Wmawiał sobie, że ich opory znikną, odkąd włożył na skronie koronę. No i teraz ponosił konsekwencje.

Jednak przeprawa przez rzekę z pomocą Tristena i przy łopocie czarnych chorągwi Althalen byłaby obrazą dla północy, zgorszyłaby quinaltynów, zraziła do niego pospólstwo, a to wszystko mogłoby doprowadzić do katastrofy i osłabienia monarchii, od której stabilności zależały nadzieje na pokój... Taka była prawda.

Cóż by się stało z Ylesuinem, gdyby się wtenczas nie zatrzymał nad Lewenbrookiem, nie powstrzymał magii, a do rodzinnej Guelemary powrócił już jako Najwyższy Król, zaślubiony Elwynorowi?

Czym staliby się on i Ninevrise z władzą, jaką w tamtych dniach dzierżył w rękach? Cokolwiek zrobił, zrobił to w celu uzyskania błogosławieństwa i zgody na ślub, poświadczoną pieczęcią quinaltynów i prawnie niepodważalnej, koniecznej dla zapewnienia sobie bezspornej sukcesji.

Przez cały ten czas jedyną szansę regentki na zdobycie męża i uzyskanie zbrojnej pomocy stanowiło cierpliwe pokonywanie każdej przeszkody, którą stawiał na jej drodze. Cóż bowiem miała uczynić bez wojska, a jedynie z obietnicą przymierza, którego warunkiem było małżeństwo?

Był jej winien lepszy los, pomyślał, tuląc ją w ramionach. Do licha z Tasmordenem, do licha z Ryssandem i jego poplecznikami, do licha z jego własnym, błędnym

zaufaniem do baronów! Był jej winien o wiele, wiele lepszy los.

Rozdział szósty

Dzięki staraniom Tassanda koszyki dawno już znikły ze schodów mistrza Emuina. Tego dnia po powrocie do domu Tristen zostawił na dole straż przyboczną i zaczął się wspinać długimi, krętymi schodami wieży.

Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarł. Z wnętrza tym razem nie dochodziło dzienne światło, lecz ciepły blask świec, a w nim ukazał się rozpędzony chłopiec... który nie spodziewał się zobaczyć diuka z twarzą na wysokości swoich stóp. Paisi znieruchomiał, usiłował wtopić się w ścianę na podeście.

–Panie – wyszeptał, gdy znacznie wyższy Tristen stanął obok niego.

–Mam nadzieję, Paisi, że zastałem mistrza Emuina.

–Jużci, że jest, panie, ino sługa jego po sól i drewno mnie posłał, tedy i biegnę, panie, coby jak najrychlej się sprawić.

–Pacholek z dziedzińca wniesie drewno zamiast ciebie, rozumiesz? Musisz go tylko poprosić. Z solą sam sobie poradzisz, bo żaden z kuchcików nie zajrzy na te schody. Skarżą się na duchy.

–Tak, panie. – Ukłonił się głęboko, wytrzeszczając na Tristena wylęknione oczy. – Tak, panie. Rozumiem, panie.

–Emuin cię nie skrzywdzi.

Paisi całkowicie zaniemówił. Na swoją porwaną koszulę zarzucił jakiś kaftan, liche buty wsunął na bosc stopy. Nie uczesał włosów, ale przynajmniej wziął kąpiel.

–Czyżbym nie wysłał cię do gwardii i do Tassanda? – zapytał Tristen, przypatrując się chłopcu uważniej w przyćmionym świetle. – Takie ci dali odzienie?

–Przeciem był na targowisku, panie. Wasza Miłość wybaczy, alem nadstawiał tam pilnie ucha, jakeś mi rzekł. Stary odziewek zachowałem, boby mnie palcami wytykano, gdybym się w strojnyc szatach pokazywał.

W szarej przestrzeni nastąpiło pewne poruszenie, kiedy chłopiec z darem usiłował stać się niewidzialny, gdy tymczasem w tym ubraniu przypominał chłopca, jakim był zawsze... Jeśli nie liczyć nowego kaftana.

–Idź już. Rób, o co cię proszą – rzekł Tristen, nie chcąc kwestionować rozkazów

mistrza Emuina. Wolał też nie roztrząsać tego ranka zawitych pobudek Paisiego. Miał do załatwienia znacznie ważniejsze sprawy.

Paisi minął go biegiem. Tristen przestąpił próg izby dużo schludniejszej, niż kiedy ją widział po raz ostatni.

–Dzień dobry – rzucił Emuin od kominka. Siedział na niskim stołku, mieszał w garnku i nie patrzył na gościa, lecz w szarej przestrzeni Tristen wyczuł coś jakby tknięcie uwagi starca, poniekąd równoważne ze spojrzeniem. – A więc Cevulirn odjechał na południe, zostawił nad rzeką żołnierzy, ty zaś ustanowiłeś nowy porządek w Brynie, kazałeś zbudować mur i umieścić wśród ruin zgraję uchodźców.

–Wszystko dla dobra Cefwyna. Jesteś innego zdania?

–O, nie – odparł Emuin. – Ja nie.

Zawsze padała taka sama odpowiedź. Mistrz odmawiał bądź zaprzeczał niejako ukradkiem. Nigdy nie opowiadał się otwarcie za dokonany przez Tristena wyborami, również i tym razem można było odnieść wrażenie, iż ledwie się powstrzymuje od wyrażenia dezaprobaty.

–Kazałem trzymać w gotowości stosy pod ognie sygnałowe – powiedział Tristen, stając nad sędziwym czarodziejem. – To wielka męka dla ludzi, którzy ich pilnują, dlatego pragnę, aby zła pogoda odsunęła się na północ od rzeki. Mógłbym powiadomić Cevulirna inaczej, ale chyba lepiej będzie użyć ognia. I zapalić je również tam, skąd ich blask byłby widoczny w Lanfarnesse, Olmernie i Imorze.

Emuin pokiwał głową.

–Czy to źle? – zapytał Tristen.

Emuin wzruszył z lekka ramionami, nie przerywając mieszania. Czy był to czarodziejski wywar, czy może śniadanie, trudno było ocenić, patrząc na białą, bulgoczącą zawartość garnka. Pachniało owsianką.

–Nie myślę zamartwiać się niedogodnościami Tasmordena – odparł Emuin. – Nic mnie nie obchodzą, ja się do tego nie mieszam.

Znowuż nastąpiło milczenie, które wystawiało cierpliwość Tristena na ciężką próbę. Ale ją wytrzymał. Uczony przez Mauryla przede wszystkim panowania nad nerwami, zmusił się teraz do spokoju.

–Owsianka? – spytał, taktownie zmieniając temat.

–Krupnik.

–Jak radzi sobie chłopiec?

–To ladaco – odrzekł Emuin. – Ale bardzo obrotny. U mnie nic nie ukradnie. A co do powodów twego przyjscia... jeśli mnie pamięć nie myli, pragnąłeś, żeby Jego Wielebność był w Guelessarze. No więc tam właśnie wyjechał.

Cios z flanki. W rzeczywistości nie tylko po to tu przyszedł. Wiedział jednak, że nie miał racji i obrał złą taktykę w stosunkach z wielebnym.

–Uwen nie umiał go zatrzymać.

–Bo i cóż twój sługa mógł zrobić? Aresztować go, usiąść nań okrakiem? Co kleryk sobie zamyśli, to wykona, choćby go chciano powstrzymać z upoważnienia samego diuka. Chybaby ściąć mu łeb, rzecz jasna, jeno by zaraz taka nieprzychylność duchowieństwa powstała...

–Napisałem do Cefwyna – rzekł Tristen cierpliwie.

–Dobrześ zrobił.

–Oraz do Idrysa, ale już bez ogródek.

–W sprawie?

–Ilefinianu.

–Ach, to...

–Ależ, panie! Tam giną ludzie Ninevrise! Czyżbyś o tym nie wiedział? Dlatego właśnie przyszedłem.

Emuin popatrzył nań spode łba.

–To było z góry przesądzone, stąd mój spokój. Kto wie, czy rzecz nie ma się tak samo z twoją osadą w Althalen. O tak, to kwestia warta rozważenia.

–Mogłeś mnie uprzedzić.

–Uprzedzić cię? Uprzedzić? Czyżbyś nie rozumiał znaczenia Althalen i nie wiedział, co za sobą pociąga ponowne zasiedlenie tego miejsca?

Tristen wciągnął głęboko powietrze. Nie, nie mógł powiedzieć, że nie rozumie znaczenia Althalen.

–Działałeś w nieświadomości?

–Nie, panie. Ale gdzie ich miałem umieścić? Tutaj nie byłoby bezpiecznie.

–W tej kwestii zapewne masz swoją rację.

–Czy postępuję źle, panie?

–Źle? Uważam, że taki już los nam przypadł w tamtej godzinie, kiedy niemądry Cefwyn dał ci chorągiew Althalen razem ze swoją przyjaźnią. O czym wtedy myślał?

–A więc postąpiłem źle, panie?

–Wątpię, czy powinniśmy o tym mówić w kategoriach dobra i zła. Jeśli Althalen pisany był najpierw upadek, a potem odrodzenie, to, do diaska, ani Cefwyn, ani ja nie mogliśmy temu zaradzić.

–A ja, panie?

–Przynajmniej ten rodzaj odrodzenia nie może zaszkodzić Cefwynowi.

Od brzegu wody do głębokiej otchłani, pełnej zatrważających oskarżeń.

–Jestem jego przyjacielem, panie! – Tristen opadł na ławkę przy palenisku, wsparł łokcie na kolanach i zajął w twarz starcowi w nadziei na jedno otwarte, uczciwe spojrzenie z jego strony. – Spójrz na mnie, mistrzu Emuinie! Czyżbym dał komuś powód do myślenia, że jest inaczej? Czyżbym kiedykolwiek dał tobie lub Cefwynowi powód do myślenia o mnie inaczej?

–Tak się składa, że ów chłopiec – powiedział Emuin, wracając do poprzedniego tematu – ten co to sprowokował Jego Wielbność do podjęcia tak drastycznych środków i wpędził nas wszystkich w nie lada kłopoty, czasem mi się zwierza. Pewna znachorka piastowała małego Paisiego, kiedy podrzucono go pod jej drzwi jako niemowlaka. Mam niejaką pewność, że płynie w nim stara krew. Napędziło to pewnie takiego stracha nieszczęsnej piastunce, że i ona zaniechała opieki nad dzieciakiem. A może była wizjonerką i ujrzała, jak jego los splata się z twoim?

–Jeszcze mnie tutaj nie było! Mauryl mnie jeszcze nie Zawezwał!

–To niczego nie zmienia.

–Tylko dlaczego? Dlaczego ktoś miałby się mnie bać?

–Czemu ktoś miałby się ciebie bać? A jak sądzisz? Wróćmy może na chwilę do błażej sprawy Jego Wielbności. Co, twoim zdaniem, zamierza teraz uczynić?

–Zasiać niepokój w Guelessarze.

–Czego bardziej potrzebujesz: rozgrzeszenia czy lepszej odpowiedzi?

–Co mam teraz począć?

–Czemuś wypuścił Paisiego z więzienia? Czemuś tak się starał go odnaleźć?

Ech, ci czarodzieje. Podobnie jak Mauryl, Emuin odpowiadał na pytania pytaniami z zupełnie innej dziedziny. Wystarczało puścić strzałę, a zaraz wracała, dwakroć groźniejsza... brzemienna w okropne, przerażające implikacje.

Wziął się w garść, by udzielić zrozumiałej i możliwie wyczerpującej odpowiedzi, bo przywołując swego nauczyciela do złych wniosków, nie mógł spodziewać się niczego dobrego.

–Paisi był moim pierwszym przewodnikiem, kiedy przyszedłem od Mauryla do Henas'amef. Powinienem go puścić na wolność, panie? Biorąc pod uwagę wszystko, czego mnie nauczyłeś o czarach, mógłby wejść w zasięg obcych wpływów. Coś mu kazało przyprowadzić mnie o właściwej porze na właściwe miejsce. Podobnie jak coś kazało mi umieścić zbiegów w Althalen.

–To zastanawiające, prawda? Czy w ogóle powinieneś być słuchać Paisiego?

–Myślisz, że to Mauryl posłał mi go za przewodnika? Czy to jego sprawka?

–A jak ci się zdaje? – Emuin odpowiedział pytaniem.

–Jeśli nie jego, to czyja? – Trawiony niecierpliwością, ledwo powstrzymywał się przed zaciśnięciem pięści. Pragnął zerwać się na równe nogi i uciec stąd, wyrwać się z tej kłopotliwej konfrontacji, do której sam doprowadził.

Nie poszły na marne wszystkie te chwile spędzone na poznawaniu zachowań czarodziejów. Słuchając i próbując odpowiadać na pytania Emuina, miał pewność, że podąża słuszną drogą, jedyną mogącą mu kiedyś przynieść odpowiedź. Prawdopodobnie Mauryl, pogrzebany w zburzonej Ynefel, sięgnął daleko, nad wyraz daleko swoimi zaklęciami. Swego czasu wydawało się oczywiste, że prawdziwym powodem strachu Emuina jest Hasufin Heltain. Ale Hasufin został zniszczony, czyż nie? A mimo to Emuin sprawiał wrażenie o władniętego większym niż dawniej lękiem.

–W rzeczy samej, któż inny posłałby tego dzieciaka? – rzekł Emuin. – Przecież tylko Mauryl znał szczegóły.

–A może życzenia Mauryla, które mnie dotyczyły, splotły się z czyimiś planami?

–Kłopotliwy dylemat – mruknął Emuin pod nosem, stukając mokrą łyżką w brzeg garnka. – Jest tyle możliwości.

-Ty.

-Nic mi o tym nie wiadomo. Zapewniam cię, że nigdy nie błagał bogów o następnego ucznia.

-A więc nieprzyjaciel... Hasufin.

-Mało prawdopodobne – orzekł Emuin, po czym z powrotem włożył łyżkę do garnka z zupą i zestawiał go z ognia.

-Wątpisz w to?

-Owszem, wątpię.

-Może Pasi działał w pojedynkę?

-Też możliwe, aczkolwiek jeszcze mniej prawdopodobne. Zgadzał się z nim.

-Ktoś powinien opiekować się chłopcem – powiedział. Teraz on usiłował uciec od problemu, jakiego nie chciał w tej chwili roztrząsać. – Brakowało ci służącego. Ty potrzebujesz kogoś na posyłki, on zaś jakiegoś Miejsca. Bo inaczej ktoś inny go znajdzie. Chyba miałem rację w tej kwestii.

-Ma dar, który wciągnęliśmy w naszą sieć. Co więcej?

-Myślę, że to znikomy dar.

-Czyżby nieszczęście, jakie wywołał swoją obecnością, też było znikome? Jego Wielebność uciekł do Guelessaru! I teraz ten chłopiec ma być pod moją opieką? Kto się pcha z magicznymi paluchami do rondli czarodzieja, ten łącznie może narozrabiać. Dość już miałem kłopotów z braćmi z Anwyfaru, chociaż ciągle trzęśli się ze strachu. Daru nie rozpoznaje się po jego powierzchni czy rzekomej głębi. Posłuchaj, po wzburzeniu wód, które go opływają, poznają, że to groźny chłopiec.

-Może, ale to oznacza, że jest także niebezpieczny, kiedy tuła się po ulicach i burzy inne wody.

-Możliwe.

-Potrzebuje Miejsca, mam rację? Czyż bez Miejsca nie jest groźniejszy?

-A zatem używasz mu tego, ku mej niedoli? On wnet wyrośnie z ubrania, zacznie jeść niczym pułk żołnierzy, urosną mu stopy. Nie jestem kucharzem, pamiętaj! Gotuję tylko dla siebie.

Tristen zauważył z zadowoleniem, że wbrew jego wcześniejszym obawom Emuin nie

wydaje się aż tak wrogo nastawiony wobec Paisiego. W owych przyziemnych skargach nie usłyszał niczego równie okropnego, jak podczas niedawnej wymiany zdań.

–Wszystko, czego mu trzeba, dostanie w Zeide. Wystarczy, że poprosi. A gotować to on może i dla ciebie. – Znów zmienił temat: – Przypuszczam, że wypełnia na targu nie tylko moje, ale i twoje misje.

–Wysłałem go wczoraj po rzepę.

–Po rzepę? Co złego widzisz w rzepie kuchmistrzynie?

–Ależ ty jesteś nieznośnym młodzieńcem!

–Niestety, takim się chyba staję – odparł ze smutkiem. Zazdrościł Paisiemu. Jedynym zajęciem chłopca było robienie tego, co kazał mu czarodziej, zdobywanie wiedzy o ptasich gniazdach i zajmowanie się tymi wszystkimi rzeczami, które jemu przemknęły koło nosa. Chłopiec należał do Emuina. Ale nie on. On stał się czymś innym, podobnie jak Cefwyn. Rozgraniczenie nastąpiło niespodziewanie i bez jego wiedzy.

Przyswoił sobie jednak najważniejsze lekcje Emuina. Umiał zachowywać cierpliwość, badać samego siebie. O czym to właściwie mówił Emuin, zanim mu przerwał? Coś o rzepach i targowisku.

–Przyjmujesz złodziei – mruknął Emuin. – Dyskutujesz z wygnańcami...

–Cevulirn przybył na północ, żeby porozmawiać ze mną o sprawach Cefwyna – rzekł Tristen ostro. – Jakaś wielka moc chciała mu w tym przeszkodzić. Mam niemal całkowitą pewność, że rozpętanie burzy nie było dziełem Leciwej Syes. Powiedz mi jeszcze raz i powiedz mi prawdę: czy to zrobiłeś?

Emuin uniósł brwi w lekkim zdziwieniu, zatapiając wzrok w Tristenie. Przybrał na chwilę skupiony wyraz twarzy.

–Nie, nie ja. Masz jakieś inne pomysły?

–Czego szukasz na targu? – zapytał Tristen, korzystając z metody czarodzieja: odwrócić uwagę, zrobić unik, zachować ostrożność.

–Odpowiedzi na mniej więcej te same pytania, któreś zadawał chłopcu. Stare kobiety mają uszy. Prócz tego ten rodzaj świadomości, jaki posiadamy ty i ja. Amefińskie wiedźmy i znachorki są cennym źródłem informacji, z którego czerpię od czasu do czasu. Nareszcie skierowałaś myśli we właściwym kierunku i zadałaś odpowiednie pytanie. Mam ci powiedzieć, co wiem?

–Tak, panie. Jeśli łaska.

–Wystarczy się tylko rozejrzeć. Stara wiara przeżywa wśród ludu swoje odrodzenie. Tak powiadają bryaltyni. W pewnych uliczkach pojawiają się otwarcie dawne symbole, ludzie noszą amulety i umieszczają je na drzwiach domów. Wieszają dzwonki na wietrze, żeby mimo przytępionego słuchu usłyszeć to, co i my w nim słyszymy. Nic dziwnego, że zacny quinaltyński ojczulek poczuł się obrażony, a nasz zaginiony sierżant uciekł zgorszony, niech bogowie mają w opiece jego pobożną duszę. – Ostatnie słowa Emuin wypowiedział bez cienia sarkazmu.

–Chyba to wszystko widziałem.

–Dobrze wiesz, żeś widział. I nie dostrzegłeś w tym nic dziwnego, pókim ci na to nie zwrócił uwagi. Podczas twej krótkiej nieobecności okazało się, że bryaltyński kapłan powołał do zakonu dwie nowe zakonnice, kobiety niegdyś służące w twierdzy, które dwa dni temu głosiły proroctwa na ulicy. Mówiły bez osłonek, jakoby w Henas'amef i Amefel przebudziła się sihijska potęga. Co ciekawe, przepowiedziały też, że na powrót odżyje Althalen. – Przeraził tym Tristena. – A stało się tak, zanim jeszcze obwieściłeś to po powrocie. Może tego samego dnia, kiedy podjąłeś decyzję. Mają więc dar widzenia i to widzenia wyostrzonego. Dopiero na wieść o tym zacny ojczulek ruszył z miasta gościńcem ze śmiertelną urazą w sercu, idąc w ślady kapitana i sierżanta, którzy także pognali do Guelemary. Wyobrażasz sobie ich zlot w Clusyn? – Miał na myśli klasztor, gdzie odpoczywali strudzeni podróżni. – Odbudowujesz Althalen. Zakonnice wróżą zmartwychwstanie lordów Sihhe i powrót Zapowiedzianego Króla. Niech się bogowie nad nami zlitują... Zobaczyły, co robisz.

Słowa odbijały się echem od ścian minionych i obecnych zdarzeń. Słyszał uderzenia młotków ludzi obrabiających kamień. Ostatnio w Zeide dźwięk ten był czymś zwyczajnym, ale tym razem Tristen usłyszał odgłosy pracy przy zrujnowanym murze. Usłyszał szept wiatru u podstrzeszy, przestrzegający przed zmianą pogody. Usłyszał też spieszne kroki chłopca biegnącego wykonać swoje zadanie; była to tylko iluzja, zropaczony chłopiec bowiem, w strachu zarówno przed złem, jak i przed pomocą, znajdował się teraz gdzieś daleko, szukając drewna i soli.

–Wcale nie wskrzesiłem Althalen. Ulokowałem tam jedynie grupę uchodźców, małą garstkę zdesperowanych ludzi, którzy pragnęli schronić się przed zimą. Mury nadają się tam do wykorzystania, samo miejsce leży daleko od drogi. Czyżbym zachował się niestosownie?

–Powiedz mi, młody lordzie, jaką jeszcze rolę spełniają budynki oprócz chronienia nas przed niepogodą?

Żadną, nasuwała się odpowiedź, lecz czarnoksięska wiedza mówiła co innego. W głębi serca Tristen znał odpowiedź: budynki mają zapory.

W tamtejszych ruinach znajdowały się najsilniejsze zabezpieczenia w całej prowincji. Chroniły lorda regenta, ojca Ninevrise, który leżał tam w grobie. Dokładnie z tego powodu wybrał Althalen. Zdawało mu się, że postępuje roztropnie. Teraz jednak dostał od Emuina burę, przez co cały charakter jego decyzji uległ przewartościowaniu.

–Są Miejscami – odpowiedział. – Liniami na ziemi.

–Wobec czego dałeś Elwynimom Miejsce w Althalen. Ho, ho, masz tam swoich poddanych, lordzie Sihhe. Masz poddanych, którzy nie są Amefińczykami, a nad którymi nasz król nie przekazał ci władzy. A po ulicach zakonnice głoszą proroctwa. Sam powiedz, czy to było mądre?

Mróz przeszedł mu po kościach. Milczał. Zadawał sobie w duchu pytanie, jakim sposobem tak się wszystko pomieszało.

–Nakazałem też naprawić mur niedaleko Modeyneth – wyznał po chwili. – Co ty na to? – Nie musiał pytać. Osobiście, z pełną świadomością, z myślą o obronie Amefel, zlecił odbudowanie tam zapory, lecz nie zdawał sobie przy tym sprawy z wydzwiku tego faktu. Przywracał zaporę ustanowioną ongi przez samych Sihhijczyków. Myślał o ochronie, jaką zapory mogły zapewnić uciekinierom, nie pomyślał jednak o sile, którą mieszkańcy przekazują zaporom: Althalen znów ożył, i to dzięki niemu.

–Chwała bogom, że Jego Wielebność wyjechał, zanim poznał tę nowinę – rzekł Emuin.

–Wysłałem list do Cefwyna z obozu Anwylla. Anwyll też pchnął swego gońca, kiedy dowiedzieliśmy się o zdobyciu Ilefianu. Posłańcy mieli jechać do stolicy bez żadnych postojów, nawet tutaj. Zeszłej nocy posłałem przed snem jeszcze jednego człowieka. Ludzie uciekający przed Tasmordenem zbiegną do Amefel. Ale nie pozwolę, żeby uchodźcy i żołnierze hasali po pograniczu, rabując i mordując wieśniaków. Czyń sprawiedliwość, rozkazał mi Cefwyn, a ja mu to przysiągłem. Czy byłoby sprawiedliwe, gdybym usunął się na bok i patrzył, jak wojna przenosi się tutaj, choć mógłbym temu zapobiec?

–Niełatwo zdefiniować sprawiedliwość. Królowie toczą o nią boje.

Znów unik i przegrupowanie. Stanęli na niepewnym gruncie.

–Czyja to była burza?

–Czemu miałbym ci bronić rozmowy z Cevulirnem? Nic mnie przed nią nie przestrzegało. Poza tym nigdy nie klóciłbym się z Leciwą Syes. A tak przy okazji, kto pokierował piorunem, który wypędził cię z Guelessaru?

–Nie wiem – przyznał Tristen. – Może czarodziej? Musiał być potężny, skoro tego dokonał. Co myślisz o Leciwej Syes?

–Wątpliwe. Ona się troszczy tylko o Amefel. I o swoje Miejsce.

–A mimo to... Konszachty earłów, obalenie lorda Parsynana... Wszystko to się działo, kiedy uderzył piorun.

–Jego Królewska Mość nic o tym nie wiedział, gdy cię tu posyłał. Ale piorun trafił w dach świątyni, a ty znalazłeś się w drodze.

–A więc to nie był zbieg okoliczności?

–I tak, i nie. Czyżbyś tak mało wiedział o czarnoksięstwie, młody lordzie? O, nie. Wciąż zapominam, że ty nie musisz wiedzieć nic o czarach. Nie musisz się niczego uczyć. Wszystkie rzeczy ci się objawiają. Moc spływa na ciebie, a kiedy tupniesz nogą, cała natura ulega zakrzywieniu.

Starzec mocno przesadzał, lecz to mu przypomniało, jak niewielką uwagę przykładają do sztuki Emuina, jak pobieżną wiedzę o niej posiadał.

–Według nas, zwyczajnych Ludzi – ciągnął Emuin zgryźliwym tonem – splot takich wydarzeń to zarówno przypadek, jak i nie przypadek. Wiedz jedno, czary mogą zwichrować kości do gry, lecz one i tak potoczą się do ściany. Tyle chyba rozumiesz. Może to i twój mankament, że nie potrzebujesz brać lekcji, ale znajdujesz wszystko na rękach. Bogowie wiedzą, do czego jesteś zdolny.

–Pragnę się uczyć, mistrzu Emuinie. Pragnę, żeby mnie uczono. O nic więcej nie proszę.

–Oho, prosisz o wiele więcej, młody lordzie. Prosisz o wiele więcej, rzecz to bezsporna. Ale przejdźmy się troszkę tą ścieżką gdybań i przeciwstawnych możliwości. Poszukajmy punktów orientacyjnych, nabierzmy mądrości. Gdyby piorun nie uderzył w dach i gdybyś tu nie przyjechał, a w Amefel wybuchłby bunt... co by się wówczas stało?

–Nieszczęście.

–Owszem. A jak było naprawdę?

–Ojciec Crissanda i jego ludzie zajęli fortecę. Później ją odzyskałem.

–Crissand Adiran ocalał, ale nie jego ojciec. Czy to także był przypadek? Rebelianci zajęli fortecę. Zginęli. Obie te rzeczy niekoniecznie przyniosły korzyść tej samej potędze. Crissand uniknął rzezi. Trzecie zdarzenie. Zdobyłeś władzę w Amefel.

Czwarte.

Obie te rzeczy niekoniecznie przyniosły korzyść tej samej potędze...

–Chłopcze. – Emuin wpatrywał się w niego bacznie. – Hejże, słuchasz, co do ciebie mówię?

–Tak, panie.

–Co ci powiedziałem?

–Że mogą być dwie potęgi.

–Nie. Może ich być więcej niż jedna.

–Tak, panie – rzekł uroczystym tonem. – Słucham.

–Jesteś jedną z tych potęg – mówił Emuin. – Zawsze warto o tym pamiętać. Działaj rozważnie. Niech ci się nie wydaje, że kostka ma jedną ściankę. Dopiero po obejrzeniu wszystkich ścianek możesz przeciążyć jedną z nich. Takie są czary, młody lordzie. Dlatego właśnie konieczna jest wiedza. Trudna, dalekowzrocza wiedza.

Echa nadal niosły w powietrzu pochopną, żywiołową nutę – niepokojącą, jakby wszystkie zdarzenia drżały w jednym, rozchwianym punkcie czasu i mogły lada chwila, bez ostrzeżenia, runąć na złamanie karku w dowolnym kierunku.

–Przysięgam, nie wywołałem burzy i nie wyczarowałem Leciwej Syes – oświadczył Tristen, chwytając się tej deski ratunku.

–Można więc założyć, że w tą sprawę wmieszane są przynajmniej trzy siły. A nawet cztery, młody panie, bo i ja ich nie wywołałem.

–Lady Orien?

–Tak uważasz, lordzie Amefel?

Emuin użył takiego zwrotu nie bez powodu. Stanowiło to część lekcji. Dawało mu sygnał, że w tejże chwili nie był już "młodym lordem".

Udzielał Emuinowi nie mniej uczciwych odpowiedzi niż te, których wiosną udzielał Maurylowi. Miał nadzieję usłyszeć wreszcie jakąś nowinę na swój temat.

–Kiedy piszę, pochylają się nade mną jej smoki. Lady Orien przełamała wielkie Linie, zwłaszcza w swojej komnacie, gdy otworzy drogę Hasufinowi. Co mogłem, naprawiłem. Jednak zawsze trochę się tam boję.

–No, no, całkiem dobrze rozumiesz – odparł Emuin. – Nigdy już nie mów, że ci nie doradzałem. Bo ci doradzam. Może, wbrew moim oczekiwaniom, w końcu usłyszałeś, co do ciebie mówię. Ostrzegłem cię najlepiej, jak umiałem.

–A co z resztą? – zapytał Tristen. – Czy ostrzegasz mnie wyłącznie przed Orien? A może też przed Hasufinem?

Blat stołu usłany był wykresami Emuina, pełnymi wielkich, zamaszystych linii i pisma, które nęciło oko niemal rozpoznawalną treścią, chociaż litery nie miały takich okrągłości, jakich używali dzisiejsi Ludzie. Tristen poruszył jeden z wykresów, kiedy starzec milczał, lecz pergamin nie odsłonił przed nim żadnych sekretów. Stanowił tylko świadectwo studiów prowadzonych przez Emuina, z których nie chciał się nikomu zwierzać.

–Bądź łaskaw zostawić w spokoju moje wykresy! Lepiej idź i stawiaj mury w niezgodzie z prawem. Zwymyślaj durnowatego chłopca, któregoś mi przydzielili. To twoje zadanie. Lecz nie tykaj moich rachunków. Święci bogowie! Nie ruszaj...!

Tristen podnosił właśnie jeden arkusz, szybko go jednak upuścił.

–Zostaw je w spokoju. I tak mam dosyć kłopotów.

–Czy ważna jest ich kolejność? Co liczysz, panie? Czy praca czarodziejów polega na dokonywaniu takich właśnie obliczeń? Czyżbyś rysował Linie na niebie i zabezpieczał także gwiazdy?

–Nie twoja rzecz, młody lordzie! Powtarzam, zostaw w spokoju wykresy i poszukaj sobie tego występnego, młodocianego magika, któregoś wyratował od sprawiedliwego i zasłużonego stryczka. Pewnie w drodze do kuchni zwędził ze trzy sakiewki.

–Jest mój, bo... bo to ja się nim opiekuję. Dla mnie słucha, co ludzie mówią w mieście. Jeśli będzie ci pomocny, możesz mu przydzielać obowiązki, lecz on nigdy nie przestanie być mój, mistrzu Emuinie, chyba że o niego poprosisz. Dopóki nie dasz mi zasadnych powodów, nic się nie zmieni. – Rozmowa z Emuinem, coraz bardziej oględna i krępująca, wciąż omijała najistotniejsze kwestie. – Dlaczego gwiazdy, panie? Co masz nadzieję znaleźć? Albo czego dokonać?

–Czysta ciekawość. Pasja życia. Rozrywka. Każdy czarodziej ma takie wykresy.

–Miał je również Mauryl. Pergaminy, papiery, wszędzie. Kiedy waliła się wieża, podmuch je porozrzucił. Trochę się dziwię, że studiujesz to samo.

–Mauryl żył długie wieki. Planety były dla niego niczym przemijające widowisko.

–A czym są dla ciebie?

–Do licha, toż to istny rój pytań. Pytania, pytania, nic, tylko pytania!

–Dlatego Mauryl mnie uczył. Dlatego się uczę, panie, a przynajmniej próbuję. Przez cały czas uważałem i mówiłem: "Tak, mistrzu Emuinie". Ale ty powiedziałaś, że powinienem studiować czarnoksięską sztukę. Że powinienem patrzeć na wszystkie ścianki kostki. – Rozumiał jednak zniecierpliwienie Emuina widoczne w jego powściągliwości. Emuin chciał, żeby już sobie poszedł, zatem Tristen wstał, zbliżył się do drzwi i położył dłoń na klamce, spoglądając przez ramię na kamienną, nie otynkowaną izbę, na nie uporządkowane półki, uginające się pod ciężarem swego bagażu, oraz na łóżko – przynajmniej przykrywały je nowe koce.

Być może więcej koców leżało pod łóżkiem, na wciśniętym tam przez Paisiego materacu. Na to wyglądało, chociaż mogła tam się też mieścić składnica nie chcianych ubrań Emuina.

–Cieszę się, że pozamykałeś okna – zauważył na odchodnym. – I cieszę się, że już nie jesteś tu sam.

–Bryaltyńskie zakonnice – mruknął Emuin. – Sihhijska gwiazda na targowisku, wieszana na filarach. Jego Wielebność w drodze do Guelessaru. Nie zrób Cefwynowi niespodzianki. A pisząc osobny list do Idrysa, gruntownie mu wytłumacz co i jak, chłopcze. Wytłumacz mu to w miarę przystępnie. Bo nie wątpię, że uczyni to Jego Wielebność.

Rozdział siódmy

Na prośbę Tristena w książęcym apartamencie zjawił się starszy księgowy, żeby z dumą zaprezentować gruby plik papierów, spisów, rozwlekłych list z rzędami starannie naniesionych liczb i zestawień. Po wyprawie nad rzekę Tristen zainteresował się środkami, jakie pozostawały do jego dyspozycji. Zwrócił się więc do księgowego z pytaniem o ich wielkość.

Nie takiej odpowiedzi jednak oczekiwał, która nic a nic mu nie wyjaśniała. Zapytawszy urzędnika, co mógłby kupić za taką sumę, wysłuchał jedynie zawiązanego wywodu o kwotach należnych, wpłaconych i zaległych, tudzież o przejściowych trudnościach z przeciwnymi wiatrami na południu w odległym Casmyndanie.

–Ach, te rachunki – rzekł Uwen po odejściu księgowego, po czym dodał z lekkim uśmiechem: – Palcami muszę przebierać, by się w nich nie pogubić. A przy większych sumach i palcom u nóg robotę daję. Nic ci tu nie pomogę. Trza mi koni i żołnierzy doglądać, tedy będziesz mógł sobie spokojnie poczytać, a sądząc po tym stosie, lektury ci nie zbraknie.

–Chodzi o monety. Wszystko sprowadza się do monet, czyż nie?

–Do monet, panie? Ano, w rzeczy samej, racja.

–Korony i grosze – powiedział Tristen, wyciągając arkusz zwykłego papieru, podobny do dziesiątków innych, po których długie kolumny cyfr maszerowały w wojskowym ordynku. Sprawa nie dotyczyła jednak wojska. – Pięćset koron i siedemdziesiąt groszy za owce.

–Całkiem sporo tych owiec – rzekł Uwen. – Dlatego właśnie Wasza Miłość rachmistrzów zatrudnia.

–Nie mam problemów z liczbami, gorzej mi idzie z zamianą ich na te wszystkie grosze i półgroszki.

–Są grosze, półgrosze i kwartniki – powiedział Uwen spokojnym, łagodnym tonem z niewielką dozą zdumienia, która towarzyszyła zwykle takim dociekliwym, dziwacznym pytaniom. – Tutaj, w Amefel, płacimy królewskim groszem jako i starym groszem, czworakami i półtorakami, wedle królewskiej rachuby i starej rachuby. Na amefińskim targu znajdziesz w obiegu wszystkie te monety. Nic dziwnego, że trudno ci się w tym połapać.

–Wytłumacz mi, jeśli łaska – poprosił Tristen, przesuwając papiery na drugą stronę biurka. – Ty to rozumiesz.

–Wielkie nieba, jam tu do niczego.

–Księgowy nie umiał mi pomóc. Ty mi to wytłumacz.

Nic mu się nie objawiało, nic nie zapowiadało bodaj w najmniejszym stopniu objawienia sensu istnienia tych papierów i rachunków, o które prosił, a miał czas zaledwie do pierwszej po południu. Wówczas miał się spotkać z earlami, by przedstawić im raport.

Uwen zbliżył się posłusznie, podniósł arkusz i przypatrzył mu się z bliska.

–Wszystko tu pięknie i zgrabnie opisane, panie, jeno nie na moją głowę.

–Podobnie jak nie na moją głowę są czwartaki i półtoraki. – Tristen wskazał palcem liczbę na leżącej przed nim przypadkowej kartce papieru, będącą ceną jednego owczego runa. – Ile to jest groszy? O, to tutaj.

Uwen przekrzywił głowę i popatrzył.

–To tutaj zaraz ci pokażę.

–Proszę, weź to. – Odsunawszy na bok papierzyska, Tristen położył przed Uwenem nie zapisaną kartkę. Uwen pogardził jednak piórem i czystym papierem, usiadł po drugiej stronie stołu, wysupał zawartość trzosa i pokazał mu, ile miedziaków składa się na jedną złotą koronę i jak to pięć miedziaków wchodzi w skład królewskiego grosza oraz jak wygląda półgroszek, wart tyle, co kufel piwa. Wyjaśnił też, że ćwierćgroszki istnieją wyłącznie w rachubach, gdyż w całej historii świata nikt jeszcze nie wybił takiej monety.

O arcybłahych sumach, wyrażanych ćwierćgroszkami, nie mówiło się przy obliczaniu kosztów wikt, zakwaterowania i odzienia dla służby, a tym bardziej ekwipunku dla wojska i budowy murów.

Uwen oświadczył, że ogołocił trzos z monet, a nie zebrało się tego nawet na jedno owcze runo.

–Przynieś pieniądze z kredensu – polecił mu Tristen, wiedział bowiem, że są tam złote i srebrne monety. Razem z Uwenem układali je w równe kupki, aż zebrali kwotę wystarczającą na zakup strzyży całego stada owiec.

Po tym doświadczeniu Tristen, patrząc na listę owiec, od razu wiedział, na ile złota można je zamienić, na ile takich woreczków, jakie leżały w skarbcu – głęboko, w samym sercu Zeide, gdzie postawiono najsilniejsze straże.

–Zejdźmy na dół – powiedział.

–Ależ, panie – zaproponował Uwen. – Jakże nam przekładać worki w sali obrachunkowej?

–Chcę się tam rozejrzeć, skoro już tyle rozumiem.

Wobec tego ruszyli na dół, a z nimi nie odstępujące ich nigdy straże. Zeszli do głównej sali, a potem jeszcze niżej i schodami, które prowadziły też do wieży Emuina. Na koniec stanęli przed pilnowanymi drzwiami skarbcza.

Na widok Tristena strażnicy, żołnierze ze Smoczej Gwardii, odryglowali zamek, rozwarli drzwi i stanęli z boku. Również eskorta diuka zajęła stanowiska na zewnątrz, gdy tymczasem oni rozglądali się wśród worków ze złotem, stosów naczyń i kielichów. Zobaczyli nawet zastawę, która uświetniała niegdyś stół Heryna Aswydda. Była także książęca korona, przeróżne wysadzane kamieniami bransolety i tym podobne kosztowności.

–Ależ tu klejnotów – mruknął Uwen. – Tegom się nie spodziewałem.

Tristen nic na to nie odrzekł, ponieważ na widok skarbcza zaczął nareszcie doznawać objawienia pozwalającego mu ogarnąć myślą wielkość skarbu lorda

Heryna. Już kiedyś odwiedził to miejsce, na początku urzędowania, ale dopiero teraz, w jasnym blasku świec, pojął ogromną wartość zgromadzonego tu majątku.

–Panie?

Tristen odetchnął głęboko, coraz bardziej strwożony tym, co widział.

–Ależ wielki stos złota – powiedział.

–Zaiste.

–Z jego powodu zginęło mnóstwo ludzi.

–Marny zeń pożytek – stwierdził Uwen, wkładając ręce za pas; ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi – póki się go nie wymieni na drewno opałowe czy tym podobne rzeczy. Tylko mnie nie pytaj, skąd taka wartość złota, aliści to wiem, że snadniej człowiekowi równowartość konia w monetach w sakwie zmieścić, aniżeli żywe zwierzę tam wcisnąć.

Tristen puszczał słowa Uwena mimo uszu – oprócz tych ostatnich. Wykrzywił usta w drżącym, spóźnionym uśmiechu.

–To prawda. W tym pomieszczeniu znajdziesz pieniądze na wiele koni, w stajni natomiast jest za mało wierzchowców. Są tu pieniądze na wiele bochenków chleba, podczas gdy we wsiach Meidena jest ich niedostatek, nieprawdaż? To właśnie miałeś na myśli?

–Chyba tak, panie. Pamiętasz skrzynię, cośmy ją z Guelemary przywieźli? Tutaj można by ją wielokrotnie napęlić, a przecie jedna taka skrzynia pełna złota starczy na półroczne utrzymanie dwustu żołnierzy z końmi. Ot i rachuby, w których się nie mylę.

–Imor i Olmern sprzedają zboże za złoto.

–Jużci, panie. Stąd, za przeproszeniem, zawiść między nimi. Imor nie lubi Olmerneńczyków, atoli Olmerneńczycy mają łodzie.

Prowincji przydałyby się łodzie i worki zboża, pomyślał Tristen. Otoczony tym ogromnym bogactwem, odnosił wrażenie, iż stoi oko w oko ze swoistą magią, zdolną sprowadzić łodzie i nakarmić ludzi. Złoto zapewniało zboże, owce i zasobność wiosek. Parsynan ścigał podatki i gromadził je w tymże pomieszczeniu. Identycznie postępował Heryn przez wiele lat swego panowania, przed nim zaś aethelingowie od czasów Barrakketha, a nawet dawniej. Tristen wiedział, że Cefwyn zabrał stąd pewną ilość pieniędzy dla dobra prowincji, jak wyraził się pod koniec lata, a także dla spłacenia koronnych należności. Tyle że było tu znacznie więcej, niż kiedykolwiek

mogła wynosić należność dla królewskiego skarbcza. Na co więc przeznaczano te pieniądze?

Ogrom bogactw wykraczał poza jego tymczasowe pojmowanie takich potrzeb, jak stada owiec, zboże, wozy, jedzenie czy konie.

Wizyta w skarbcu odbyła się rankiem, wszelako popołudnie należało do earłów: Crissanda, Drummana, Azanta, Marmaschena, Durella i pozostałych, z których część przybyła z wioski. Zgromadzenie odbywało się w dolnej sali, nad mapami opowiadającymi własną historię... Stolica Elwynoru, niezbyt oddalona od rzeki, została zdobyta. Lojalnych poddanych Jej Miłości napadli rebelianci pod wodzą Tasmordena. Czerwień oznaczała klęski. I krew.

–Udzieliłem poddanym Jej Miłości pozwolenia na przeprawę przez rzekę – oznajmił Tristen earlom, siedząc u szczytu stołu zarzuconego mapami, których rogi przytrzymały opasłe tomiska. Obok map piętrzył się stos ksiąg uznanych przez urzędników za przydatne w sprawie i odnalezionych w przewróconym do góry nogami archiwum – ksiąg przytłaczających ogromem niezrozumiałych treści. – Kapitan Anwyll dostał rozkaz odbierać broń napotkanym ludziom i powiadamiać ich, że mogą liczyć w Amefel na schronienie. Musimy więc zapewnić im ochronę. – Ażeby earlowie nie pomyśleli, że zamierzamy ogłosić zimowe zaciągi do wojska, dodał spiesznie: – Oddział ivanimskich łuczników osłania most na czas jego otwarcia, a lord Cevulirn obiecał przysłać więcej żołnierzy, gdyby sytuacja się zaostrzyła. Nie tylko on nam pomoże. W tej chwili powiadamia o niebezpieczeństwie pozostałe południowe prowincje. Naszym zadaniem będzie utrzymać gotowość do zaopatrywania wojsk. Potrzebne więc będą łodzie Olmerneńczyków. Lord Cevulirn poprosi o łodzie lorda Sovraga, który jest naszym przyjacielem.

–Olmerneńczycy niewątpliwie zażądają zapłaty – zauważył Drumman.

–Niech sobie wezmą złote zastawy obiadowe Heryna, jeśli są dla nich cenne – odparł Tristen. – Zamiast nich wolę mieć łodzie pełne zboża i ludzi do obrony granicy. – Myny earłów sposępniały, ale nie wiedział dlaczego. – Myślicie, że się mylę? – zapytał bez ogródek.

–Wasza Miłość, chcę mieć swój wkład – rzekł Azant.

–I ja – oświadczył Crissand, o włos wyprzedzając zgodny pomruk reszty. A przecież jeszcze przed kilkoma dniami ludzie ci mówili o ubóstwie swych poddanych.

–Raczej pomóżcie swoim wioskom. I wesprzyjcie Bryn przy budowie muru – powiedział Tristen. Zdążył już rozesłać wieści o danych Brynowi obietnicach. Drumman uczestniczył w zebraniu, lecz jego ludzie spieszyli właśnie na pomoc Drusenanowi. – Wszystkich was proszę o to samo. Skarbiec Amefel wypełniony jest

złotem Heryna Aswydda. Nie wiem, ile kosztują łodzie i zboże, lecz zakupimy je w pierwszej kolejności, następnie wzniesiemy umocnienia w dystrykcie Bryn oraz zapewnimy żywność i schronienie uchodźcom z Elwynoru.

–Nie możemy do cna ogołocić skarbcu.

–Jeśli rzeczywiście każda złota moneta to jeden worek zboża, to mam wrażenie, że jest więcej monet w skarbcu niż worków zboża w całym Amefel.

Znów zwróciły się nań zaciekawione spojrzenia.

–Ile konkretnie? – ktoś zapytał.

–Nie mam pojęcia – odrzekł Tristen. Wówczas jeden z młodszych amefińskich archiwistów zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, lecz milczał ze strachu.

–O co chodzi? – zapytał go Tristen.

–O ściąganie podatków... – wydukał, przelękając ślinę w pół słowa. – Niewiele mi o tym wiadomo, panie, jako że mistrz Wydwin, kiedy król wrócił z leweńskich pól, uciekł za rzekę i zabrał ze sobą kilka ważnych ksiąg. Dlatego od jesieni brak spisów zawartości skarbcu, nawet król takowego nie ma. Parsynan rozpoczął prowadzenie nowego rejestru, ale wyjechał. – Urzędnik zwilżył wargi. – Nigdy go nie dokończono.

–A więc nie posiadamy rejestru. Ma go za to Tasmorden? Wśród lordów rozległy się pomruki – wszyscy spiskowali ongiś z Tasmordenem... Okazało się, że Tasmorden wie więcej niż oni o zawartości amefińskiego skarbcu.

Sprawozdanie urzędnika potwierdzało inne fakty. Niejeden sługa pierzchnął z twierdzy, kiedy wyszło na jaw, że to Cefwyn zwyciężył nad Lewenbrookiem. Dawny kustosz archiwum, który prawdopodobnie znał wiele sekretów, został zamordowany podczas kradzieży listów Mauryla. Co więcej, nawet to, że Parsynan przeprowadzał rejestr, dotąd stanowiło dla Tristena tajemnicę.

–Kustoszu – zwrócił się do archiwisty, który przybył wraz z nim z Guelessaru. Mężczyzna wystąpił lęklivo z tłumu. – Masz ten częściowy rejestr lorda wicekróla?

–Nie, panie. Obawiam się, że nie.

–A więc i on przepadł?

–Na to wygląda.

Obfitość dokumentów docierających do Tasmordena budziła trwogę. Tasmorden był świetnie zorientowany w ich zasobach i działaniach, znał treść korespondencji

między Maurylem a Aswyddami i Herynem, a wcześniej i jego poprzednikami. W listach Mauryl pisał przypuszczalnie o możliwościach obronnych prowincji, o Althalen, może nawet o czarodziejach i ich potencjale, równie wielkim jak amefiński skarbiec. Rzecz dotyczyła nie tylko ksiąg rachunkowych, które Cefwyn po przybyciu do Amefel zastał w oplakanyim stanie, poupychane bezładnie na regałach i zalegające stosami stoły. Znikały bowiem także książki z samej biblioteki, aby Cefwyn nie rozeznał się w fortunie Aswyddów tudzież w ich układach z Maurylem i innymi czarodziejami.

Założono, że w murze ukryte były zapiski Mauryla, ponieważ to właśnie po jego listach pozostały nadpalone szczątki w kominku. Wszelako owe spalone listy, co wnosił po zbadaniu ocalałych fragmentów, nie miały większego znaczenia. Pytanie nie brzmiało, co odrzucono, ale co miało na tyle dużą wartość, że zostało zabrane. A także jak długo trwał ów przepływ ksiąg i rachunków.

I jaka ich część powędrowała do Elwynoru... Zaginęły książki o nieocenionej wartości. Starszy kustosz nie żył, młodszy zaś uciekł z niewiadomym skarbem, listami Mauryla... albo kogoś innego.

Zbiór listów zamurowano prawdopodobnie wtedy, gdy Heryn dowiedział się o przyjeździe Cefwyna. A kiedy nadciągał on, Tristen, młodszy kustosz zabił starszego, po czym czmychnął z kilkoma cennymi pismami, prawdopodobnie do lorda Cuthana. Z kolei lord Cuthan, obwiniony o zdradę, zbiegł do Elwynoru, pozostawiwszy mniej istotne, trudniejsze do ukrycia dokumenty. W jego domu odnaleziono bowiem pewne papiery, co do których powstawało uzasadnione podejrzenie, iż powinny znajdować się w archiwum. Przypuszczalnie stanowiły część łupu złodziei. Cuthan – mimo że go przeszukano – mógł wywieźć resztę do Elwynoru, lecz skoro nigdy nie znaleziono młodszego kustosa, wciąż nie było pewności.

Z każdą chwilą Tristen utwierdzał się w przeświadczeniu, że nie doszło do jednej odosobnionej kradzieży, ale że dokonywano ich systematycznie, przez lata, aż w końcu młodszy kustosz, ogarnięty strachem, pochwycił najważniejsze z ukrytych dokumentów, pozostałe spalił, a sam wziął nogi za pas z obawy przed zdemaskowaniem.

–Panie – rzekł Marmaschen, rzadko zabierający głos. – Lord Heryn znany był z tego, że w zamian za przysługi kazał sobie płacić złotem. Odkładał też dla siebie nadwyżkę z podatków należnych gueleńskiemu królowi. Wiemy, że zgromadził pokaźne bogactwa w skarbcu, lecz nikt tam nie zaglądał z wyjątkiem najbliższych przyjaciół lorda Heryna. No i rachmistrza, jednak człek ten umknął do Elwynoru.

–Wielce to możliwe – dodał Drumman. – Lord Heryn zaprzedał przecie króla, za co pewnikiem dostał złoto. Tak myślę. Żaden Amefińczyk nie będzie oplakiwał Inaredrina, jednak sporo pieniędzy z powodu jego śmierci zasiliło skarbiec.

–A o wszystkim, czego Aseyneeddin chciałby się dowiedzieć – podjął Marmaschen – lord Heryn skłonny był mu donosić w zamian za złoto.

–Co z nim robił? – zapytał Tristen, lecz odpowiedziały mu zdumione, zakłopotane spojrzenia. Zdał sobie sprawę z absurdalności pytania. – Kupował za nie zboże?

–Gromadził majątek – odparł Drumman.

–Miał złote talerze, złote kielichy. Skrzynie pełne kosztowności.

–Panie – rzekł ostrożnie Marmaschen, gładząc brodę. – Czy to oznacza, że Wasza Miłość nie będzie ściągać kwart na utrzymanie wojska?

–Na razie nie widzę takiej potrzeby. Wszyscy niemal jednocześnie odetchnęli z ulgą.

–A co ze ściągnięciem kontyngentów? – indagował Drumman. – Ruszymy w pole czy mur wytrzyma? Nie tracimy wiele, odrywając ludzi od ziemi w czasie zimy, byle pogoda dopisywała.

–Sądzę, że wytrzyma. Życzę sobie, żeby wytrzymał. – Nie bał się tego powiedzieć wśród tych ludzi. – Aby zbudować ten mur, Bryn potrzebuje wszelkiej pomocy, jakiej możecie mu udzielić. Im więcej ludzi, tym szybciej można układać kamienie. Brakuje również wołów do ciągnięcia szczególnie ciężkich gładów. Z tego powodu wstrzymywałem odjazd wozów króla, lecz nie mogą tu zostać do wiosny.

–Ale wiosenny siew... – zaczął Crissand.

–Jeśli zajdzie konieczność, pozwolimy ziemi leżeć przez rok odłogiem. I tak będziemy mieć zboże. Przyplynie na łodziach z Olmernu.

Wywołał konsternację tym oświadczeniem.

–Czyż mamy przez to rozumieć, że Wasza Miłość zamierza dostarczyć zboże wszystkim rodzinom w wioskach i miastach, a także wojsku? I powołać do służby każdego zdolnego mężczyznę w Amefel? Czy taki los nas czeka?

–Nie – odpowiedział. – Ale możemy wyżywić armię. Lordowie z południa nadejdą bez wątplenia. Cevulirn ich zwoła. Nie pozwolimy Tasmordenowi sprowadzić na nasz kraj wojny, a ja nie pozwolę mu zająć pogranicza.

Lordowie oddychali z trudem, jakby wreszcie zaczęli rozumieć, że wszystko, o czym rozprawiali z Cevulirnem, zanim wyjechał z Tristenem nad rzekę, zaczyna się z wolna ziszczać.

–A więc mamy utrzymywać armię? – Crissand odważył się zapytać w imieniu reszty.

– Tylko czy gueleński król o tym wie, panie? Ku czemu ty nas prowadzisz? Pójść pójdziemy, ale ku czemu nas prowadzisz?

Tristen umilkł na dłuższy czas, wbijając wzrok w zasępione oblicze Crissanda.

–Nie wiem – odpowiedział z rozbrajającą szczerością. – Na pewno na wojnę z Tasmordenem. Ze względu na króla, na nas i na całe południe. Albowiem będzie wojna.

–Lord Ivanor odjechał bez słowa do domu – ozwał się Azant.

–Po co, Wasza Miłość? Chce przyprowadzić swoje wojsko?

–W jaki sposób określimy nasze zapotrzebowanie na złoto i ziarno? – spytał Marmaschen. – Kto rozpatrzy poszczególne żądania? Będziemy przychodzić z listą i mówić: Wasza Miłość, daj nam zboże?

–Poproszę was o uczciwość – odparł Tristen.

Jeden z lordów podniósł głowę, jakby chciał parsknąć śmiechem, ale się wstrzymał przez wzgląd na grobową ciszę, jaka zapanowała. Wreszcie Crissand niespodziewanie się zaśmiał i powiedział:

–Nasze łgarstwa się wydadzą, bo czyż od razu nie poznasz, kiedy ktoś z nas skłamie, panie?

–Chyba poznam – przyznał Tristen, choć nie zdradził nikomu prawdziwej natury szarej przestrzeni i tego, co mu mówiła... Wszystkich ludzi oceniał przez pryzmat zachowania Uwena Lewen's-sona. O tym, co napawało Uwena strachem, nie wspominał przy byle okazji. Nie zapominał także o baronach i dworze Cefwyna, o wiecznych zatargach, jakie tam panowały. – Ale mam nadzieję, że nikt z was nie będzie kłamał.

Ponownie zapadło milczenie.

–Nie – rzekł Crissand pogodnie. – Nie, panie, nie będziemy cię okłamywać. A ty nie będziesz nas obciążał podatkami jak Heryn.

–Nie widzę żadnej potrzeby ściągania podatków, skoro mamy tyle złota.

–Ale, Wasza Miłość, co z tym murem? – zapytał Drumman.

–Wybacz mi, panie, otwartość... Chciałem powiedzieć... Moi ludzie są już w drodze na miejsce, wypełnią każde zalecenie Waszej Miłości. Aliści gueleński król zakazał wznoszenia fortyfikacji i otaczania murami naszych domostw. Wszystkie rozkazał

wyburzyć.

–Właśnie – dorzucił Azant. – Co na to powie król w Guelemarze? I czy tylko w Brynie powstaną umocnienia? Znajdziesz u nas bez liku fortów zamienionych w ruinę z rozkazu Marhanenów. Dlaczego tylko w Brynie ma stanąć mur?

–Nie ściągniemy sobie aby na karki gueleńskiej armii? – zapytał Durell.

–Nie – odrzekł Tristen. – Cefwyn jej tu nie przyśle. Jestem jego przyjacielem.

–Doradcy przedłożą mu swoje racje, panie – powiedział Drumman. – Będą stanowczo protestować. Wasza Miłość, mam najszczerze chęci i spełnię twe rozkazy, wszelako nurtują mnie obawy.

–Racja, zaczną się złościć – przyznał Tristen. – Ale królowi nie podobają się ich rady. Król jest dużo mądrzejszy od Ryssanda. Wie, że najwierniejszych przyjaciół ma na południu.

–Niech więc bogowie zachowają Jego Królewską Gueleńską Mość! – rzucił Azant z wymuszonym uśmiechem. – Niechaj króluje długie lata... w Guelessarze.

–Prawda – dodał Drumman. – Nam niech zostawi naszego lorda Sihhe!

–Naszego lorda Sihhe – stwierdził Marmaschen – który woli czerpać ze swojego skarbcza, niż korzystać z dóbr poddanych i każe nam budować mury. I ja te mury będę budował, Wasza Miłość. Dwieście ludzi to kontyngent z moich włości, lecz dam trzysta, jeśli wspomóżesz wsie w czasie następnej zimy. Zgódź się, a dołączymy do Drummana, wybudujemy mur w Brynie, a potem u mnie.

–Licz na trzystu ludzi ode mnie, zimą, wiosną i latem – rzekł lord Drumman.

–Dwustu z Meiden – oświadczył Crissand. – Będą to przeważnie pasterze... ale umieją strzelać z proc do wilków, które krążą wokół owczarni. Daj im jakąś zbroję, a ci chłopcy i dziewczęta; obsadzą mur w Brynie. Tyle możemy zrobić i zrobimy.

Nie ulegało wątpliwości, że Crissand mówi poważnie. Po nim inni deklarowali swą pomoc. Jeden z lordów zaoferował setkę ludzi, drugi pięćdziesiąt, aż w końcu uzbierało się tego więcej, niż liczył cały kontyngent amefińskich wojsk w bitwie nad Lewenbrookiem.

–A teraz bieżąca potrzeba – powiedział Tristen. – Ludzie z Ilefianu ciągną na południe. Między nimi mogą być słudzy Tasmordena. Musimy rozmieścić ogień sygnałowe, jak to było przed Lewenbrookiem. Zanim nadjedzie ivanimska konnica, żeby nas bronić, zanim przyjadą nam na pomoc następni... A przyjadą, zobaczycie.

–Skoro padł Ilefian i nadchodzą śniegi – rzekł Drumman – w Elwynorze pewnie nie za wiele. W centralnych dystryktach zeszłego roku panował nieurodzaj, a i latem nic nie obrodziło, bo siali tam tylko żelazo. Tasmorden zagarnął dla swej armii wszystko, co mu oddali biedni chłopci. Jego żołnierze rozkradli, ile tylko mogli unieść, a teraz jeszcze plądruje się stołeczne składy, bo i któż powstrzyma żołdaków? Biorą wszystko, co tylko przetrwało oblężenie. Głód za rzeką to rzecz nieunikniona, Wasza Miłość ma rację. Z powodu braku zboża nawet niewinni wieśniacy mogą się łączyć w zbójckie gromady. Spokojni, nastawieni pokojowo ludzie zechcą tej zimy nie tylko przeprowić się przez rzekę. Niektórym będzie w głowie rabunek.

–Damy im tyle zboża, ile zdołają udźwignąć – zawyrokował Tristen.

Przewidywaniom Drummana towarzyszyły zaszępane oblicza, a odpowiedzi Tristena – zdumienie, niechętnie spojrzenia, jakby nie chcieli zaakceptować pomysłu, który jemu wydawał się rozsądny.

–Jeśli je od nas dostaną, nie będzie im groził głód i może wtedy zachowają spokój – rzekł Drumman. – Tylko czy zdołamy zebrać tyle zboża, Wasza Miłość? Skąd je weźmiemy?

–Poprosimy Olmerneńczyków – odparł Tristen z niezmaconym spokojem. – Cevulirn się tym zajmuje.

–Król powinien był jeszcze latem uderzyć za rzeką – mruknął Azant. – Jak chciała Jej Miłość i wojsko. Tymczasem on zwinął sztandary i wrócił do Guelessaru. Teraz musimy opróżnić skarbiec, żeby nakarmić Elwynor.

–Worek ziarna kosztuje jedną złotą monetę – rzekł Tristen.

–Jeżeli je wysiejecie, wyrosnie łan zboża, prawda?

–O ile żołnierze go nie splądrują – powiedział Azant. – W tym rzecz.

–A przecie wnet pojawią się całe rzesze żebrzącego chłopstwa z ziem Jej Miłości – dodał Durell. – Chcemy rozdawać zboże, lecz nie mamy gwarancji, że Jego Królewska Mość nam to zrekompensuje. A trzeba wiedzieć, że zanim się to wszystko skończy, będziemy mieć na karku nie tylko głodnych chłopów. Nadejdą też wygłodzeni żołnierze, tworzący zgraje, co to myślą jeno o tym, jak napełnić brzuchy.

Miał rację.

–A gdzie sroży się głód – odezwał się inny lord – tam przychodzi zaraza.

–Potrzebne więc będą także leki – powiedział Tristen.

–Jeno czy starczy nam pieniędzy w skarbcu?

–Znachorki nie proszą o wiele za swoje mikstury. Jednak dobrze będzie ustalić z nimi cenę. – Tristen rozumiał już istotę wynagradzania ludzi, dzięki temu mieli dość chleba. – Kiedy zabraknie im ziół na eliksiry, sprowadzimy je z Casmyndanu. Na łodziach Sovraga.

–Zdałoby się nam tego wiele – powiedział Marmaschen. – W całym królestwie Elwynoru nie zostały się żadne zapasy, żadne magazyny z żywnością. Na wiosnę pola nie będą obsiane. To ogromne przedsięwzięcie.

–Czy starczy złota w skarbcu, by pokryć takie koszty, Wasza Miłość? – zapytał rajca miejski. – By zapłacić za wszystko, czego dostarczymy?

–Po sprawiedliwej cenie? – dodał Crissand. – Kupcy znają się na tych sprawach. Dobra cena, duża ilość. Tkacze muszą tkać, ponieważ Elwynimom brakuje koców i płaszczy. Szewcy, farbiarze, kołodzieje, garbarze, kowale...

–Jest na to złoto? – dopytywał się rajca.

–Jest złoto – odparł Tristen i dodał, ponieważ Crissand miał rację: – A kupować się będzie po normalnych cenach.

–Panie – ozwał się Azant z drugiej strony stołu. – Dobrze wiemy, że w tym wszystkim o nasz interes chodzi. Ale dręczy mnie jedna kwestia, którą wyłuszczę bez ogródek, ufając Waszej Miłości. Król odprawił z dworu lorda Cevulirna, prawdopodobnie jedyne go uczciwego człowieka w Guelemarze. Przez całą jesień wysłuchiwał wyłącznie Gueleńczyków, nie pamiętając o krwi, którąśmy przelali na leweńskich równinach. W podzięcie przysłał nam Parsynana. Miałem kiedyś dla Cefwyna więcej poważania. Wiem, że ryzykuję głową, ale muszę przyznać, że jak dotąd okazał się tylko kolejnym Marhanenem. Wasza Miłość powiada, że on nas miłuje. Wasza Miłość mu ufa. Wasza Miłość twierdzi, że jeśli podejmiemy to dzieło i zjednoczymy nasze wysiłki, Gueleńczycy zgotują Elwynimom wojnę, idąc pod błękitnym sztandarem Jej Miłości. Zapewniam cię, panie, o naszej miłości względem ciebie, lecz gueleńskiego króla niełatwo nam obdarzyć podobnym sentymentem. Skąd mamy wiedzieć, czy Gueleńczycy faktycznie przekroczą rzekę?

Tristen pragnął wcześniej, aby earlowie mówili otwarcie. Jakoż słyszał prawdę – z ust ludzi, którzy byli niegdyś gotowi połączyć się z elwynimskimi rebeliantami w walce przeciwko Cefwynowi.

–Panie – rzekł Crissand, podczas gdy myśli Tristena pomykały niczym zające wśród zarośli królewskiego dworu. – Panie, po tośmy się tu zebrali, żeby mówić prawdę. Lord Azant ośmielił się wygłosić własne zdanie. Pora na mnie. – Wyciągnął niewielki plik mocno zniszczonych papierów, który trzymał dotychczas przy sobie. Położył

wszystko na stole. – Nie mam listów mojego ojca, posłanych do Tasmordena, choć zostały po nich dwa szkice. Ale proszę bardzo, oto są wszystkie przesyłki Tasmordena, te ważne i mniej ważne. Wiem, że znajdziesz w nich pewne obietnice i że zawierają imiona niektórych obecnych tu osób, które jednak wiedziały o mojej decyzji. Prosimy cię, panie, o wybaczenie wszystkim tam wymienionym. Jeśli zechcesz na nich wyładować swą złość, wyładuj ją najpierw na mnie, a każdą karę, na jaką ich skażesz, wprzód wymierz mi. Mówię to szczerze, lecz ufam memu łaskawemu panu, iż nie będzie żadnej kary.

–Nie będzie – zgodził się Tristen.

–Poproś opata bryaltynów o listy, panie – mruknął Azant – jeśli chcesz powiększyć kolekcję. Ano i ja dorzucę parę swoich, równie ohydnych. – Wysupłał z zanadru jeszcze jeden, tym razem schludniejszy plik papierów. Za jego przykładem poszli inni earlowie.

Tristen nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż część z nich została zrabowana z archiwum, rychło bowiem wzrósł pokaźny stos dokumentów. Czyżby opat bryaltynów także układał się z Tasmordenem? Miejscowy patriarcha quinaltynów darzył nienawiścią wodza buntowników, to nie podlegało dyskusji, lecz żeby bryaltyni, którzy popierali wiarę Emuina, knuli spiski... Tego się nie spodziewał.

A to oznaczało, że opat bryaltynów, podobnie jak Emuin, lubował się w sekretach.

Więcej niż jeden czarodziej, powiedział Emuin.

Wydawało się, że intryga Tasmordena nagle uzyskała nowe oblicze, a obłudne zachowania jego lordów wobec Cefwyna – odsłoniły następne strony.

A więc opat bryaltynów miał odrobinę daru, zdradził i postarał się, by nie wyszła na jaw.

–Uwienie – rzekł Tristen – poślij po opata. Crissandzie... Lordzie Meidenie. – Przypomniał sobie o tytułach, do których Ludzie przywiązywali tak wielką wagę. – Wiesz, co jest w tych listach?

–Świadectwo powiązań lorda Heryna z Elwynimami... Z Caswyddianem – odparł Crissand. Lord Azant, czerwony na twarzy, potwierdził, że i w jego listach znajdują się podobne dowody.

Wówczas earl Zereshadd przerwał swe długie, skupione milczenie, aby zdać sprawę z machlojek Aswydda.

–Caswyddian prosił lorda Heryna o pozwolenie na wejście w granice Amefel, by otoczyć oddział lorda regenta. I tak przekroczyłyby rzekę, ale prosił, bo chciał

zachować przyjacielskie stosunki. W owym czasie w Henas'amef przebywał książę Cefwyn. Lord regent słał wiadomości do księcia, lecz każdą z nich przechwytywał lord Heryn. Lord Heryn doszedł z Caswyddianem do porozumienia, żeby urządzić w Emwy zasadzkę na księcia.

Mówiąc o księciu, Zereshadd miał na myśli Cefwyna, zanim ten został królem. Earlowie wspomagali lorda Heryna w jego matactwach... Być może wszyscy oni, żądni nagród, spiskowali swego czasu z różnymi elwynimskimi pretendentami do tronu, niekoniecznie trzymającymi jedną stronę, prawdopodobnie nawet dwie lub trzy naraz. Zakłamanie stanowiło podstawową regułę rządzącą dworem Heryna. Cefwyn zdawał sobie sprawę z wiszącej nad nim groźby, lecz nie znał ogromu niebezpieczeństwa.

Pozostali lordowie także dodawali szczegóły, czasem nigdy wcześniej nie ujawniane, wymieniano więc zaczepne spojrzenia lub wykrzywiano usta w rozgoryczonym uśmiechu. Zwierzenia i oskarżenia wypadały jak orzeszki z koszyka. Każdy miał coś do powiedzenia, lecz Tristen nie dowiedział się już niczego nowego w związku z doniosłymi wydarzeniami nad Lewenbrookiem. Spisek przeciwko regentowi Ulemanowi, w efekcie którego uciekł on z kraju, by znaleźć swój grób w Amefel, był od początku do końca wspierany przez Amefińczyków.

Istniała jednak druga strona medalu: earlowie srodze cierpieli wskutek dekretów i restrykcji Marhanenów. To właśnie rozkaz zburzenia warownych rezydencji zmusił większość z nich do zamieszkania w Henas'amef, we wspaniałych domostwach wokół Zeide. Bolesna była też decyzja określająca dopuszczalną wielkość prywatnego wojska, jakie mogli utrzymywać, co pozbawiło prowincję stałej armii i składów broni. Zaginięcie mieczów i włóczni po ostatniej mobilizacji rodziło więc podejrzenia. Earlowie zapewniali spokojnie, że popytają w swych wioskach.

Liczba mężczyzn będących rzekomo nieślubnymi krewniakami możnych rodów, a zatem upoważnionych do noszenia broni, okazała się mocno przesadzona... Jednak domy obecnych tu lordów od pokoleń płaciły daninę, czy to pod panowaniem aethelingów, czy też Sihhijczyków. Wniosły swój wkład w dzieło budowy okazałego pałacu w Althalen. Potem jednak nastąpiła epoka podatków Marhanena i jeszcze dotkliwszych ekstrawagancji lorda Heryna. Arystokraci milczeli, lord Heryn był ich władcą, aethelingiem, źródłem królewskich prerogatyw i człowiekiem akceptowanym przez Koronę.

–Heryn mówił – odezwał się Marmaschen – że podatki są dla króla. Chyba jednak nie były.

–Cóż innego mogliśmy zrobić? – zapytał Zereshadd. – On był naszym jedynym władcą, tedyśmy tolerowali jego wybryki. Niech bogowie zachowają Waszą Miłość, bo zaiste, jeśli zostało tego tyle, ile powiadasz, może wyjdziemy z opałów.

–Wspomnijmy też o innych rezerwach – rzekł Drumman, wolno cedząc słowa – skoro już rozmawiamy szczerze. Niejeden z nas odkładał co nieco na czarną godzinę.

Lordowie poruszyli się niespokojnie na krzesłach.

–W istocie – powiedział Crissand. – Obiecaliśmy mówić prawdę. A czyż nasz pan nie wyjawiał nam jej?

–To właśnie moja prawda – podjął Drumman. – Kiedy król Marhanen rozkazał zrównać z ziemią nasze dwory, zaginęły archiwa. W ten sposób mój dystrykt zachował pewne fundusze, dzięki którym mieliśmy nadzieję odbudować w przyszłości nasze domy. Drewno i kamień oddam na budowę muru. A złoto... Złoto także się znajdzie.

Wśród zebranych tu i ówdzie pochylały się głowy; fortel Drummana nie był wyjątkiem.

–Znajdzie się go więcej – rzekł Zereshadd. Marmaschen kiwał głową z zadumany obliczem.

–Wasza Miłość pozwolił Brynowi fortyfikować północne wioski – zauważył Azant. On też mieszkał nad granicą. – Skoro każdy z nas posiada w swoim dystrykcie podobne ruiny, dobra zakazane przez gueleńskiego króla tudzież rezerwy pozwalające na odbudowę...

Tristen zaczął wolno pojmować, iż zasada sprawiedliwego podziału wymaga od niego zgody na rekonstrukcję wszystkich podobnych fortyfikacji, jeśli pozwolił na to w Brynie. To właśnie sugerował Azant. Na sali panowało głębokie milczenie. Na Azanta i Tristena kierowały się uważne spojrzenia, jakby wszystkich ciekawiła jego reakcja na takie postawienie sprawy.

–Najpierw trzeba zwyciężyć Tasmordena – powiedział. – Trzeba przypatrzeć się mapie i zabezpieczyć te miejsca, gdzie rebelianci mogliby próbować wtargnąć do Amefel.

–Będziemy musieli opuścić dwór i objąć komendę w naszych dystryktach – oświadczył Marmaschen niskim głosem. – Przynajmniej na początku.

–Nie mam dość gońców, żeby rozsyłać wiadomości – odparł Tristen. – Zabraknie mi nawet gwardzistów, kiedy odeślę Cefwynowi resztę jego ludzi, co muszę zrobić wiosną. Nie mam nikogo, dopóki Cevulirn nie nadejdzie z południa. Jeżeli ogłoszę wiosną zaciągi do mojej gwardii, stawią się ludzie niedoświadczeni, niezdolni mnie bronić. Potrzebuję silnej amefińskiej gwardii.

–Gdyby każdy z nas oddał w służbę Jego Miłości dziesięciu ludzi z końmi –

powiedział Crissand – dopóki nie zjawi się Ivanor, Jego Miłość miałby zarówno gwardzistów, jak i gońców. Uwen Lewen's-son jest Gueleńczykiem, owszem, ale też zacyjnym człowiekiem i dobrym kapitanem, więc każdy z moich podwładnych czułby się zaszczycony taką służbą.

–Dwukroć dziesięciu młodych żołnierzy na mój własny koszt – oświadczył Drumman. – Oraz konie. I nie tylko do czasu przyjazdu Ivanora. Nie pozwolę, żeby memu panu służyli cudzoziemcy. Miejcież honor, panowie! Zaklinam was.

–I ja dam swoich ludzi – powiedział Zereshadd. – Skąd tu jednak brać wyszkolonych żołnierzy? Skąd konie i, na bogów, wprawnych jeźdźców? Nie rosną wszak jak grzyby po deszczu. Gueleński król pozwalał nam trzymać straż jeno w domu.

–Przyślijcie, kogo możecie – rzekł Tristen. – Nauczają się.

–Dajmy Jego Miłości przynajmniej kilku wprawnych żołnierzy – zaproponował Crissand. – A resztę, jaką się uda zebrać. Jego Miłość nie ma własnego domu. Skąd ma ich brać, jeśli nie od nas?

–Tylko gdzie będą ich kwatery? – spytał Azant. – Gueleńczycy mają baraki.

Rozwiązanie nasuwała wizja innych baraków. Mogłyby one stanąć... albo kiedyś stały... Tristen wziął głęboki oddech, gdy raptem ujrzał obraz zabudowań na Południowym Dziedzińcu. Nie wiedział tylko, gdzie mieli szukać kamieni. Jednak już następna, głębsza myśl dotyczyła możliwości wykorzystania zwykłego drewna do budowy ciepłych, solidnych ścian. Szczyt najbliższego wzgórza porastały wszakże liczne drzewa.

Mogliby nająć do pracy robotników rzeźbiących wizerunki orłów i zdobiących drzwi, którym tak naprawdę niczego nie brakowało.

–Mam dosyć robotników, żeby zbudować nowe baraki – powiedział. – Przysłani przez was ludzie zamieszkają chwilowo w wartowni, na klatce schodowej i w dolnej sali, póki nie przygotujemy dla nich miejsca. Będą pomagać robotnikom... i mistrzowi Hamanowi. Nasi sprzymierzeńcy zjadą tu na święto przesilenia, przyprowadzą wiele koni. – Westchnął. – To byłoby na tyle. Zróbmy to wszystko, cośmy obiecali, i nie dajmy się zaskoczyć przyszłości.

–Jest ze mną Jego Wielebność – oznajmił Uwen, kiedy Tristen, zasiadłszy za stołem w swoim apartamencie, zabierał się do przeglądania stosu papierów. I rzeczywiście, u boku Uwena czekała złąkniona postać... złąkniona w szarej przestrzeni, pozbawiona maski, w tej chwili uczciwa, choć nie wydawała mu się taką nigdy wcześniej.

Spośród wszystkich znanych mu kapłanów – oprócz Emuina, który utrzymywał, iż

nie jest w ogóle kapłanem – tylko jego rozpoznawał w szarości. Człowiek ten miał nikły bądź skrzątnie skrywany dar. A jeśli tak, posiadał pewną siłę.

–Jak się okazuje, do niektórych z nas pisywał Tasmorden – rzekł Tristen. – Czy i do ciebie pisał, mój panie? A może pisał do ciebie kto inny, o kim powinienem wiedzieć? Zgromadziłem tu sporo listów o przeróżnej treści, które nadeszły z północy. Może i ty masz jakieś?

Z poszarzałą twarzą, opat dwukrotnie pochylił głowę.

–Wasza Miłość – zaczął słabym głosem, po czym odetchnął kilka razy. – Wasza Miłość... tak.

–Jaką dałeś odpowiedź?

–Żadnej. Nie wysłałem żadnej odpowiedzi. A jeśli lord zza rzeki jeszcze raz napisze, natychmiast dam znać Waszej Miłości, przysięgam.

–Czy aby mówisz prawdę? – zapytał Tristen, nasłuchując w obu sferach jednocześnie. Opat kiwnął głową i pokłonił się z werwą.

–Klnę się na życie, panie, na życie i na mą wiarę, że to szczerą prawdą.

Mówił prawdę, a przynajmniej nie zdradził go jego dar, który mienił się nader mętną, pełną strachu poświatą. Tristen nie wyczuł oszustwa w szarej przestrzeni.

–Dostawałeś wieści od innych?

–Od ojca earla Crissanda – odpowiedział opat z niepokojem. – Od starego earla, któremu popierał. Przeklinając zarazem wicekróla – dorzucił – i wszystkich jego ludzi.

–Nie przeklinaj Gueleńczyków – napomniął go Tristen łagodnym tonem – bo wszyscy Gueleńczycy, jacy tu z nami zostali, uczynili to z własnej woli i należą do mnie. A i Uwen, ten, który stoi koło ciebie, też jest Gueleńczykiem. Wystrzegaj się więc złych życzeń. Jesteś do nich zdolny, lecz ja nalegam, byś od nich stronił.

–Tak, Wasza Miłość.

–Quinaltyński modlitewnik Efanora zawierał wiele błogosławieństw i przekleństw. Ale było w nim napisane, że wszystkie one przepływają do i od bogów.

Nie był wcale pewien, czy nie przepływają też od takich ludzi jak opat: drobny czarodziej, cień czarodzieja, słabszy nawet od Jej Miłości, obdarzony jednak niezłomnym, ślepym samozaparciem i świadom swoich celów, których poszczególne

powłoki Tristen zdzierał niczym łupiny cebuli, nic nie uszkadzając, obnażając tylko rdzeń.

–Udasz się bezzwłocznie do mistrza Emuina – rozkazał – i wspomóżesz go we wszystkim, o co cię poprosi. Już mu kiedyś pomagałeś. Zrób to i teraz.

–Panie mój łaskawy – odparł opat, nadal pobladły. Zgiął się w ukłonie i ruszył ku wyjściu. Uwen zaczął go odprowadzać do drzwi.

Ten człowiek był zamieszany we wszystkie sprawy ojca Crissanda, a z listów wynikało, iż dawał schronienie zarówno szlachetnie urodzonym, jak i pospolitym ludziom, którym sprawiedliwość wicekróla przeznaczyła szubienicę.

–Kim są te zakonnice? – zapytał, poruszony nagłym wspomnieniem. – Emuin mówił mi o jakichś zakonnicach.

Niewiele miał do czynienia z kobietami, nie objawiało mu się też nic, po czym mógłby poznać, czy zagadnął o rzecz normalną i czy bogowie, którzy według quinaltyńskiej książeczki Efanora uważali kobiety za narzędzia niezdolne do samodzielnego działania, mówią to samo bryaltynom. Wszystko to jakoś umykało jego zrozumieniu.

–Panie? – rzekł opat.

–Czy są zakonnice?

–Kapłanki – odrzekł opat cicho, acz zupełnie szczerze. – Na co quinaltyni zawsze krzywo patrzyli. Towarzyszą mi od początku mojej posługi w tym mieście. Teraz jednak śmiało nakładają habity. Wszyscy służyliśmy Waszej Miłości, jak tylko pozwalają nam na to nasze skromne środki. Chwała bogom, że wreszcie możemy czynić to publicznie.

–Quinaltyni nie uznają kapłanek – mówił później do Uwena. Odnalazł w modlitewniku to, co i tak sobie przypominał. W opinii quinaltynów kobiety były źródłem zła. Nie dowierzał jednak wielu stwierdzeniom zawartym w tej książeczce.

–Ano, nie uznają – odparł kapitan. – Mi wszelako kobiety w niczym nie przeszkadzają, a oczko i uśmiech dziewczęcia to sama przyjemność.

–Quinaltyni są innego zdania.

–Quinaltynom nic tu do gadania. Obawiam się, że nie jest zbyt gorliwym wyznawcą.

–Dawniej często odwoływałeś się do bogów. Teraz rzadko to robisz.

–Ach, to. – Uwen zaśmiał się krótko. – Żołnierski nawyk. – Spoważniał. – Patrzałem przecie, jak ciemność nad Lewenbrookiem zstępuje, i między nami mówiąc, panie, odtąd mocnom w wierze zachwiany.

Cóż miał mu na to powiedzieć, skoro nie był pewien, czy Uwen żałuje straconej wiary, czy też nie.

I w tym punkcie skupiłyby się wszystkie sprawy poruszone podczas narady, gdyby nie fakt, iż godzinę później dwie kapłanki, służki opata, przybyły do jego apartamentu z grubym, spiętym czerwoną tasiemką plikiem listów nadesłanych z Elwynoru.

–Bądź pewien – rzekła starsza z zakonnicy, kobieta odziana w proste, szaro-czarne szaty – że Jego Wielbność nie spełnił nigdy żadnej z prośb Elwynimów, z jednym tylko wyjątkiem: posłał pomoc Jego Miłości lordowi regentowi.

To znaczy ukrywającemu się ojcu Ninevrise. Czyn ten nie przynosił bynajmniej ujmy opatowi, bo mimo że zdradził lorda Heryna, to jednak działał w słusznej sprawie.

Listy nie były jedyną ciekawostką przyslaną przez bryaltyńskiego kapłana, który musiał się najpierw mocno namyślić przed podjęciem tego kroku, pomyślał Tristen, zerkając na kobiety. Na twarzy starszej z nich, pospolitej jak u każdej mieszczki z Henas'amef, gościł spokój. Mogłaby być jedną ze znachorek na targowisku... Może nawet nią była.

Albowiem kiedy spojrzał na nią baczniej, jej obecność rozbłysła iskierką.

–Czy ja cię znam? – zapytał, gdyż twarz wydawała mu się znajoma. Kobiety pokłoniły się z lekka niczym bazyliki wietrze.

–Służyłyśmy w Zeide.

–W tej komnacie? – spytał, uświadomiwszy sobie nagle, że to właśnie tutaj zawarł z nimi znajomość. Wspomniał kobiety zebrane wokół czarodziejskich przedmiotów; lady Orien wraz ze swą siostrą złamała zapory i wpuściła Hasufina.

Wpiło się weń spojrzenie ciemnych, szeroko rozwartych i wylękłych oczu.

–Ty tu byłaś! – rzucił oskarżycielsko.

–Służyłam Aswyddom – padła cicha odpowiedź. – Lecz przez cały czas służyłam także bogom, jeśli łaska, panie. Podobnie moja siostra. Pozwól, że już pójdziemy.

Zapalona słomka – oto najlepsze określenie daru tej kobiety. Delikatny powiew wiatru mógł sprawić, że zabłyśnie jasnym płomykiem... mógł ją też całkiem zgasić. Czyż jednak nie istniała groźba, że owe znachorki, jak je nazywał Emuin, mogą

podpalić całe pole?

–Jak się nazywasz? – zapytał, nie spuszczać z niej wzroku.

–Faiseth – odpowiedziała, a przynajmniej wydało mu się, że takie właśnie imię usłyszał. Faiseth. Słowo to pobrzmiwało w dwóch sferach naraz i teraz już wiedziała, iż ją dostrzeżono. Podobnie jak jej siostra.

Czyjaś obecność przemknęła koło niego, szukając kryjówki w szarej przestrzeni, niby zając w norze. Obu siostrom serce biło przyspieszonym rytmem. Nie prosiły się wszak o tę misję. Opat także nie miał na nią ochoty. Ale to on rozkazywał. Tyle Tristen dowiedział się w ułamku chwili. A druga kobieta...

–Pei'razen. – Zagadnięta zarówno w szarości, jak i w rzeczywistym świecie, skierowała nań wystraszony wzrok. – Służące Orien?

–Służebnice bogów. Twoje służebnice, jeśliś łaskaw, panie. Rozważał zachowanie kobiet i swoją wiedzę, tak dogłębną, jakby mu się objawiła. Kobiety niczego nie ukrywały – w obrębie swoich dusz nie ukrywały absolutnie niczego.

Warto było poznać ich charakter. Warto było go zapamiętać. Jako ich pan, umieścił w duszach kobiet trwale zapory, by w przyszłości żadna z nich nie zdradziła go po kryjomu bodaj najbliższym występkiem. Należały do niego.

Młodsza z zakonnicy wciągnęła gwałtownie powietrze i zakryła usta dłońmi, jakby wstrzymując duszę od ucieczki. Druga położyła rękę na sercu.

–Nie wyrządziłem wam krzywdy – powiedział – lecz tamtej nocy naruszyłyście zapory tej komnaty, musiałem więc ustanowić nowe. – To, co uczyniły, napawało go wstrętem, teraz jednak ujrzał w nich małą, świtającą nadzieję, pragnienie życia, łaski, czegoś, co mógł im dać, a czego one rozpaczliwie, usilnie pożyły, czego poszukiwały i co nad życie miłowały.

–Macie jakieś życzenie?

–Nie, Wasza Miłość.

–To nieprawda – powiedział. – Jakie wasze życzenie mam spełnić?

–Bądź wiernym sługą bożym – rzekła jedna po chwili. Znów fałsz.

–Mówcie prawdę – nakazał, po czym sam ją wyłuskał. Może i nie godziło się tak robić, lecz przecież szukały miłosierdzia, a był to jedyny bezpieczny sposób, by im je okazać. Pragnęły osiąść umiejętności, stać się większe, niż były. Pragnęły być powszechnie szanowane, budzić lęk, albowiem znały pojęcie strachu. – Nie lękajcie

się. Nie musicie się nikogo obawiać. – Wyciągnął rękę i ujął chłodne, wiotkie palce, które mógł łatwo zgnieść w garści. Życzył zakonnicy wszystkiego dobrego, podobnie jak jej siostrze. Zadrżała. – Mistrz Emuin powiedziałby wam – ciągnął – i powie, kiedy do niego pójdziecie, że niszczenie rzeczy w niczym nie pomaga. – Ogrzał w swej dłoni dłoń kobiety, potem sięgnął po rękę jej siostry; jej palce wywierały tak nikły nacisk, że czuł się, jak gdyby dotykał jednego ze swoich gołębi. – Nie róbcie już nigdy niczego równie niemądrego. Nie rzucajcie klątw. Zapomnijcie o strachu.

Wypuścił ich dłonie, lecz teraz to one usiłowały, w tym drugim miejscu, przytulić się do niego, jakby tak naprawdę on sam był tym, czego chciały.

–Przekażcie opatowi moje podziękowania. A potem idźcie do mistrza Emuina. On wie, coście zrobiły. Ale się go nie bójcie.

Obie zaczęły się cofać, pragnąc jego wybaczenia, próbując sięgnąć do szarej przestrzeni i tam z nim pozostać. On jednak nie chciał być ich odpowiedzią. Wypchnął je delikatnie do świata i zamknął przed nimi iluzoryczne drzwi.

Nie mógł być Maurylem. Nie stworzono go jako Mauryla czy Emuina, którzy potrafili uczyć. Odprowadził kobiety wzrokiem, milczeniem kwitując badawcze spojrzenie Uwena. Dołączył listy do stosu na stole.

W owych czasach, kiedy taka korespondencja spływała w ręce lordów, kiedy kapłani prześcigali się w złorzeczeniu, Hasufin skradał się naokoło zapór niczym wilk przy zagrodzie. Ciemność nie zaprzętała sobie głowy wchłonięciem obu siostr. Miała inny łup na widoku, a one nawet nie pojmowały, jak groźny był to nieprzyjaciel.

Tristen nie wiedział, jakimi przekleństwami obciążył ich quinaltyński patriarcha, zanim wyjechał przed paroma dniami, lecz nie wyczuł żadnego ich śladu. Zapory Zeide nie pękały. Zło, jakie mógł wyrzucić kapłan, nie tknęło chyba niczego, co miał pod swoją pieczęcią.

Wrócił myślami do listów i zwierzeń, rachunków oraz petycji. A także do stosików monet, które w rzędach stały przed nim na pulpicie jako przypomnienie lekcji Uwena.

Takimi metodami pojmował prostsze rzeczy, które nie chciały mu się objawić bądź rozgorzeć w szarości pełni płomienia. Lord Amefel potrzebował wskazówek i miał oto przed sobą sfalszowane rachunki lordów oraz korespondencję, jaką bryaltyni i earlowie prowadzili z wrogiem.

Wszyscy nareszcie zaczęli mówić prawdę. Nawet służące lady Orien wyjawily mu ostatecznie prawdę, nim wybiegły z jego komnaty.

List od Tristena i list od Anwylla pojawiły się na biurku Cefwyna w tej samej paczce. Przyniósł je Idrys podczas chłodnej, deszczowej nocy. Coś przypominającego lód chrzęściło o szyby w oknach gabinetu. Niedawny wypad poza mury zamku pozostawił na czarnej zbroi Idrysa kropelki wody.

–Dwa listy – rzekł komendant. – Oraz pewna wieść, która, obawiam się, nie ucieszy Waszej Królewskiej Mości. Otóż w świątyni stawił się właśnie quinaltyński patriarcha Amefel. Przybył na kulawym koniu ze świtą czterech gwardzistów.

–Amefiński patriarcha?! – zdumiał się Cefwyn. Nie wyobrażał sobie, by cokolwiek mogło odciągnąć jego uwagę od trzymanyh w dłoni listów, lecz usłyszana wiadomość powstrzymała go na chwilę. – Jak to? Tristen go tu przysłał?

–Pod eskortą gwardzistów, którzy nie złożyli mi raportu, zauważ. Bez żadnej wiadomości dla mnie. Nie odziani w gueleńską czerwień. Nie wysłał ich lord Tristen. Tylko jeden przyjechał w stosownych barwach. Ten udał się zaraz do swojego dowódcy. Resztę nazwałbym dezenterami.

–Ale żeby z patriarchą Amefel? – Jakże straszne wieści. Tej nocy informacje nie napływały, ale wręcz wzbierały ogromną falą, a twarz Idrysa mówiła mu, że trzyma w ręku ledwie część nowin. Działo się coś, w czym swój udział mieli quinaltyni. A także człowiek, któremu wiek nie pozwalał już jeździć w poselstwie, a który nie zabiegałby tak spiesznie o spotkanie ze swoją zwierzchnością, gdyby chciał poruszyć jakąś błahą kwestię.

Odkąd Tristen objął rządy w Amefel, żadna religijna kwestia nie była już błaha...

–Melduj – powiedział. – Mości kruk, nie składaj mi raportów poszatkowanych jak sito. Chcę wiedzieć. Melduj albo pędź na dół i dowiedz się wszystkiego.

Idrys pozostał. Wznosił się nad królem niby czarna wieża na tle przyćmionego, połyskującego kolorami witraża. Na zewnątrz panowała noc, lecz pewien jej skrawek dostał się do zamku wraz z Idrysem, jakby lord komendant był jednym z owych Cieni, wspomnianych przez Tristena, albo jednym z chłodnych miejsc, które dziadek rzekomo wyczuwał na schodach.

Przed nadejściem Idrysa świat był w miarę uporządkowany. A teraz Cefwyn wątpił, czy opuści przed świtem swój gabinet.

–Ów człowiek – zaczął Idrys – sprawiający wrażenie uczciwego... twierdzi, że mu zachorowała matka. Teraz pora na dalsze nieprzyjemne wieści: do świątyni udał się również kapitan gueleńskiego garnizonu. Przypominasz sobie pewnie, panie, tego, który był kapitanem za twojej kadencji w Amefel, a później za kadencji Parsynana...

–Znam go dobrze – odparował Cefwyn. – To zarozumialec, człek uparty i wiecznie

niezadowolony. No i dezterter, czyż nie? Kapitan Gueleńczyków... dezterterem.

–Człowiek jadący do chorej matki twierdzi, jakoby nie byli dezterterami, a tylko się przebrali. Powiada, że nic mu nie wiadomo ponad to, że wyjechali za pozwoleniem lorda Tristena, a z patriarchą spotkali się w Clusyn. Według niego to właśnie patriarcha podsunął im pomysł z tym przebraniem. Ale jemu kapitan pozwolił, ze względu na matkę, podróżować dalej w żołnierskich barwach.

–Przyjechał z nimi?

–Ciekawa rzecz. Przyjechał tuż po tym, jak dotarły wieści od lorda Tristena i Anwylla. A te przywiózł ten sam człowiek, żołnierz Smoczej Gwardii, jadący znad rzeki.

–Znad rzeki?

–Tak mówi. Ponoć był tam lord Tristen. Na razie nie wiadomo, czy patriarcha wyjechał z Henas'amef pod nieobecność lorda Tristena, czy też nie. Jeśli wierzyć żołnierzowi, który ma chorą matkę, przebrali się razem z patriarchą i czym prędzej przybyli do stolicy.

–Za pozwoleniem Tristena, który z jakiegoś bezbożnego powodu podróżował nad rzekę?

–To pogmatwana historia, przyznaję. Racz wysłuchać mej skromnej sugestii, miłościwy panie, i przeczytaj te listy.

–Tyś ich jeszcze nie czytał?

–Badałem sprawę patriarchy. Nasamprzód do bramy zakolała goniec, kwadrans po nim przybył żołnierz w odwiedziny do matki, a pół godziny później amefiński patriarcha ze swoją świtą, wszyscy ubłoceni i przemoczeni do suchej nitki. Niekoniecznie byśmy o tym wiedzieli, jeno że ów samotny żołnierz złożył niezwłocznie raport w regimencie, co też winien był uczynić, a gueleński kapitan miał na szczęście dość oleju w głowie, żeby mnie powiadomić. – Wilgoć spływała z Idrysa na posadzkę. Sądząc po tym, jak zmókł, mimo szarugi za oknami nie założył nawet płaszcza. Idrys nie marnował czasu, gdy już przystępował do działania.

–Czas na przypuszczenia, kruku. Popuść wodze fantazji.

–Mam sporo wątpliwości. Moim zdaniem ten żołnierz faktycznie przyjechał do chorej matki i nie zamierzał się mieszać w sprawę z quinaltynami, ta część historii jest prawdziwa. Najadł się strachu. Kapitan regimentu posłał ludzi do jego matki. Rzeczywiście jest chora, choć już dochodzi do zdrowia. Była w domu, nie wiedziała nic o naszej sprawie, a nawet o tym, że jej syn przebywa w mieście. Zebrałem kilka

strzępów informacji, lecz jakoś do siebie nie pasują.

–Bo nie mogą. Cała ta banda zasłania się łgarstwem, Tristen nigdzie ich nie posłał. Odesłał tylko żołnierza do chorej matki. Tak przypuszczam, gdyż to do niego podobne. Zostań. Przeczytam ci listy.

–Przeczytaj je, najjaśniejszy panie, a ja w tym czasie, jeśli łaska, wydam kilka rozkazów. Może otrzymam jakiś raport. Uwinę się, zanim skończysz.

Jakie to miały być rozkazy, Cefwyn nie pytał. Lepiej dla dezertarów, żeby poszukali sobie schronienia za ołtarzem bogów, zanim Idrys dostanie ich w swoje łapy, pomyślał, w oczach komendanta bowiem błyszczał ogień.

"Ilefinian zdobyty. Piszę o tym z obozu Anwylla nad rzeką, gdzie Cevulirn rozmieścił ivanimskich łuczniczków, żeby strzegli mostów..."

Tristenowi towarzyszył Cevulirn. Obóz Anwylla nad rzeką. Słowa brzmiały w uszach króla niczym święte dzwonki; swojskie, dające wrażenie bezpieczeństwa, spokoju, kontroli... Dwaj najwierniejsi z jego lordów, świadomi zagrożenia, podejmowali środki ostrożności.

"Na nowego earla Brynu wyznaczyłem thane'a Modeyneth. Nazywa się Drusenana, a jego żona pochodzi z Elwynoru. Mieszka na wsi.

Natknąłem się na kobiety i dzieci, które uciekły przed wojną w Elwynorze. Powierzyłem je opiece Drusenana. Tamtejszy trakt kazałem zagrodzić murem z bramą, w miejscu, gdzie dwa wzgórza tworzą naturalną część linii obronnej. Droga do Emwy jest teraz strzeżona".

Tristen złamał prawo. Tego właściwie należało się spodziewać. Tristen nadał nieznanej osobie wysoki urząd, lecz Cefwyn poszedłby o zakład, że miał po temu słuszny powód. Na południu panował doskonały porządek... tyle że teraz wiedział, iż jego wozy są jeszcze dalej.

Co robić, Tristenie? – rzucił w myślach pytanie, choć wiedział, że nie ma szans, by go usłyszał, podobnie jak on nie miałby szansy zrozumieć dwóch czarodziejów, którzy mierzą się wzrokiem i kiwają głowami. Potrzebuję tych przeklętych wozów, Tristenie. Dobrze ci idzie nad rzeką, lecz mój ekwipunek czeka w obozie. Minie z górą pół miesiąca, nim zdążą tu dojechać.

Kroki Idrysa zapowiedziały jego powrót. Cefwyn przerwał czytanie i poczekał, aż lord komendant podejdzie bliżej.

–Jakieś nowiny?

–Posłałem człowieka do Jego Świątobliwości z wiadomością, że sytuacja może przedstawiać się nieco inaczej, niż mu powiedziano. Podobno Jego Wielbność był ochlapany błotem, kulejący i posiniaczony. Dostałem raport, jakoby zleciał z konia.

–To nie sprawka Tristena. Był wtedy nad rzeką.

–Nad rzeką, miłościwy panie?

–Razem z moimi wozami. Mam pewność, że tam właśnie je zabrał. Mów dalej.

–Nie ulega wątpliwości, że Jego Wielbność wniesie skargę na lorda Amefel.

Niestety, nawet Jego Królewska Mość Ylesuinu nie może się domagać wejścia do świątyni.

–Ale może się domagać innych rzeczy.

–Mam posłać po Świątobliwego Ojca?

–Niech zostanie u siebie, póki się czegoś nie dowie. Donieś mu o tym. Porachuj się z tymi zbiegłymi żołdakami. Uważam to za sprawę pierwszej wagi. Potęp ich za dezercję. Potęp każde ich słowo.

–A co z patriarchą Amefel?

–I tu sprawa się wikła. Rozwiązać ją będzie musiał sam Świątobliwy Ojciec. Lepiej, żeby to on ją rozwiązał, do cholery. Daj mu to do zrozumienia.

–Zajmę się tym – odparł Idrys i wyszedł. Zbroja jego dopiero co wyschła, wątpliwe jednak, by tracił czas na szukanie płaszcza.

Gueleńczycy podlegali wielu dowódcom, odrębne kompanie zazdrośnie strzegły swoich prerogatyw. W Gwardiach Gueleńskich, Smoczej i Książęcej, doszło do wyraźnych przetasowań, zwłaszcza wśród oficerów, kiedy na tronie zasiadł nowy król. Kapitan Gwywyn przeszedł do gwardii Efanora, Idrys stał się lordem komendantem w miejsce Gwywyna, przy czym po obu stronach wyrażono żal z tego powodu. Lord Maudyn był komendantem nad rzeką, gdzie wysłano większość Gwardii Gueleńskiej i część Smoków. Cefwyn miał nadzieję, że Idrys zdoła pochwycić zbiegłych żołnierzy, lecz sprawa była delikatnej natury, zahaczała o regulaminy. Tylko czujności Idrysa zawdzięczali, że raport owego ucziwego żołnierza dotarł natychmiast do komendanta, przez co uniknęli nieszczęścia.

Jeżeli do Guelessaru zaczną napływać następni zbiegowie spod komendy Tristena, lepiej będzie odsyłać ich niezwłocznie nad rzekę, gdzie trzeźwiący widok wrogiego brzegu pomoże im zapomnieć o urazach.

W drzwiach pokazała się Ninevrise w nocnym stroju i z włosami rozpuszczonymi na ramiona. Nie wracał przecież do łóżka. Nie wiadomo, jak długo na niego czekała.

Wszelako nie przywiodła jej tu urażona duma.

–Paż mówił, że przyszły listy.

–Raport Anwylla – odparł, świadom, z jakim utęsknieniem Ninevrise oczekiwała wszelkich wieści, każdego strzępu informacji o krewnych, poddanych, ziemiach i prywatnych włościach, choć niewiele z nich dziś pozostało. – Dopiero co nadeszły. Jest też list od Tristena.

–Wszystko naraz? – Poprawiła szlafrok i usiadła, aby przejrzeć listy, nie wiedząc nic o innych wydarzeniach. Najpierw przeczytała krótka notkę Anwylla, potem przeszła do listu Tristena, który był, jak na niego, dość długi. – Cevulirn tam pojechał – powiedziała.

–I tylko tyle wiemy – rzekł Cefwyn. – Sama zobacz. Nie ma tam niczego w rodzaju: Cevulirn przyjechał... Albo: Cevulirn przybył do mnie z Guelessaru. Do licha, wszystko takie oględne! On pisze jeszcze gorsze listy niż mój brat!

–Buduje mur...

–Królewski dekret, kilka norm prawnych i traktat... złamane za jednym zamachem. On naprawia sihijski mur.

–Niech mu bogowie błogosławią! – wykrzyknęła Ninevrise, kładąc rękę na sercu. – "Szykuję się na przyjęcie uciekinierów ze zdobytej stolicy. A także żołnierzy lojalnych Jej Miłości, którzy zdołają uciec. Będę próbował im pomóc..." Ależ on rozumie! Wyruszył im na pomoc. Szuka miejsca, gdzie mogliby się schronić moi poddani. – Oczy jej błyszczały, kiedy na niego patrzyła. Jakżeż mógł jej teraz powiedzieć, że Tristen źle postępuje? – Uda mu się? Jak myślisz? On sprawi, że nadejdą!

–Niewykluczone. – Ujrzał przed oczyma armię Elwynoru, tę, która w jego wcześniejszych wyobrażeniach ciągnęła z okolicznych elwynimskich wiosek pod sztandar maszerującej na wojnę Ninevrise. Ale powstającą w Amefel, daleko na południu.

Nie wydawało się prawdopodobne, żeby resztki wojsk lojalnych wobec regentki ruszyły na wschód, zdając się na łaskę Guelessaru bądź Murandysu. Pójdą do Tristena.

Po raz pierwszy, odkąd otrzymali wiadomość o upadku Ilefianu, oczy Ninevrise zapłonęły nadzieją.

–Żołnierze Tasmordena złupią wszystko, co tylko się da – powiedziała. – Aseyneeddin miał kilku dobrych ludzi, lecz Tasmorden pozbił pozostałości z trzech armii. Pozostanie w stolicy, aż całą splądruje. Nie pozwoli wytrzeźwieć żołnierzom, póki nie dokonają najgorszego... A zatem na razie nie będzie nikogo ścigał. Mają szansę.

Gdyby jednak wypadki miały potoczyć się inaczej, na litość boską, w odwodzie pozostawał jeszcze mur w Modeyneth, ogniwo starych sihijskich umocnień, gdyż za czasów ostatniego Najwyższego Króla Althalen nie miał obwarowań. Zabezpieczał go jedynie ciąg fortyfikacji Barrakketha: mur łączący amefińskie wzgórza, który popadł w ruinę jeszcze u schyłku panowania Sihhijczyków Wysokiego Rodu.

I oto gromada amefińskich chłopów z siekierami i kilofami wzięła się do jego odbudowy. Czy tylko przypadek sprawił, że Tristen pomyślał o tym właśnie murze?

Barrakketh. Pierwszy z sihijskich lordów. Barrakketh wojownik... którego czarne chorągwie siały popłoch na polach bitew, którego żelazna pięść spadała bez litości na wrogów.

Cefwyn siedział obok Ninevrise, zadumanej nad treścią listów. Posłał pazia po gorącą herbatę, żeby zwalczyć chłód ciemności. Krople deszczu bębniły o szyby.

–Mógłby ich do siebie sprowadzić – stwierdziła Ninevrise. – Mógłby nawet sobie zażyczyć, żeby przyszli.

Czyż miał prawo mówić, że Tristen jest w błędzie?

–Nie powtarzaj tego nawet w obecności pijanego kapłana – powiedział Cefwyn. – Ale mam nadzieję, że tak właśnie będzie.

Świat się odmienił od czasów jego dziadka, który korzystając z pomocy czarodziejów, wygrywał wojny. Odmienił się zupełnie od czasów sihijskiego lorda Tashanena, kiedy to czarnoksiężskie rzemiosło prześcignęło sztukę prowadzenia oblężenia.

Odkąd zaczęła w tym uczestniczyć magia, całkowicie zmieniły się atuty dające przewagę.

Wtem rozbrzmiał tupot stóp biegnącego chłopca. Zamiast herbaty przyniósł kolejne wieści.

–Jego Świątobliwość – rzucił paż od progu. – Najjaśniejszy panie, Wasza Miłość, proszę o wybaczenie. Jego Świątobliwość wchodzi już po schodach.

–W taką szarugę?

–Dawaj tu zaraz płaszcz i grzane wino! Wiesz może, co się dzieje z tą przeklętą herbatą?

–Wybacz, najjaśniejszy panie, ale nie wiem.

–No to się dowiedz! Przynieś, co kazałem!

Choć tego nie zamierzał, skrzyczał wyrostka. Chłopiec pobiegł co tchu.

Skoro jednak Świątobliwy Ojciec po spotkaniu z amefińskim patriarchą miał mu coś do powiedzenia, chciał, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Podszedł spiesznie do drzwi, wychylił się na zewnątrz i krzyknął:

–Hej, chłopcze! Zawiadom Annasa! Chcę tu mieć swoją gwardię!

–Nieraz już otrzymywał wieści od kapłanów w Amefel – odezwała się Ninevrise cicho, nie ruszając się z krzesła.

–O, nie wątpię. – Wrócił na swoje miejsce. Doleciał go odgłos biegnącego pazia, któremu zabroniono krzyczeć w królewskich apartamentach. – Uszy do góry, Idrys ma na wszystko oko. Poza tym patriarcha to nie chorągiewka na wietrze i jest po naszej stronie. Bo jeśli nie, osobiście dopilnuję, żeby Sulriggeran oczekiwał końca zimy na moście.

Herbatę przyniesiono równocześnie z przybyciem Nydasa, dowódcy nocnej straży, który nigdy nie potrafił nadejść dyskretnie, tym bardziej kiedy się spieszył. Za drzwiami panował większy ruch niż na głównej ulicy grodu w południe.

–Najjaśniejszy panie.

–Powiedz Idrysowi, że jest tu patriarcha. To wystarczy. Będzie wiedział, o co chodzi.

Za plecami Nydasa ukazał się niższy o ponad głowę Annas.

–Annasie, patriarcha.

–Tak, najjaśniejszy panie.

–Mam zostać? – zapytała Ninevrise, wykazując więcej niż on zdrowego rozsądku i uświadamiając mu, że, na bogów, patriarcha nie zechce się zwierzać przed wyznawczynią bryaltu, cudzoziemką i kobietą w jednej osobie. Świątobliwy Ojciec był obłudny i sprzedajny, lecz podczas podobnych zebrań obecność Annasa i Efanora wyczerpywała jego tolerancję (gwardziści, paziowie i kapłani nie liczyli się jako osoby). Dzięki temu przebywać mógł też z nimi Idrys. Ale nie Ninevrise'.

–Skarbie – powiedział, ujmując jej dłonie. – Ninevrise, serce ty moje... Masz rację, idź. Osobiście złożę ci raport ze wszystkimi szczegółami. Wyświadczysz mi tę łaskę?

Ścisnęła tylko jego ręce i wyszła, szeleszcząc pantoflami i przyzywając dworki i straże. Stało się to w samą porę, zadyszany paź bowiem zawiadamiał, iż Jego Świątobliwość jest już na korytarzu.

–Jako duch biały, najjaśniejszy panie.

–No cóż, dosuń krzesła do kominka.

–Tutaj?

–Tutaj, baranie! Przestań wreszcie sapać jak ogar na polowaniu, tylko rusz te krzesła! Ostrożnie, hej! Z wyczuciem.

Annas miał w zwyczaju zostawiać pogrzebacz między węglami i trzymać na palenisku ciepłe cegły. Teraz, zanim patriarcha dotarł do zewnętrznych drzwi apartamentu, Annas zdążył ułożyć na tacce dwa kielichy grzanego wina, a zanim wszedł do komnaty, przygotował ciepłe cegły dla jego stóp.

Istotnie, gość przypominał białe widmo. Popielate włosy lepiły mu się do twarzy, ramiona zmokły. Towarzyszył mu wyłącznie młody ministrant, który zdjął płaszcz Jego Świątobliwości, okrył mu ramiona suchą szatą, a jego stopy ułożył na ciepłych ceglach.

Annasowi pozostało już tylko podać mu kielich, z którego starzec upił spory łyk wina.

–Wasza Świątobliwość – zaczął Cefwyn, kiedy Annas przepędził za drzwi ministranta, paziów i służących. – Niech zgadnę. Patriarcha Amefel?

–Posunął się za daleko, miłościwy panie. Za daleko. Musisz; mu utrzyć nosa.

–Amefińskiemu patriarsze?

–Lordowi Amefel, miłościwy panie. Proszę, byś sobie z tego nie dworował.

–Ani myślę. – Cefwyn rozsiadł się wygodnie na krzesle, zerkając na owiniętego w ciepłe szaty starca, który sprawiał wrażenie, jakby tej nocy śmierć zajrzała mu w oczy. – Diuk Amefel przysłał mi list. Dziwna rzecz, ale ten list i patriarcha przybyli tej samej nocy.

–Zarówno patriarcha, jak i ci żołnierze tylko czekali na sposobność, która się nadarzyła, kiedy lord Tristen wyjechał z miasta. Uciekli aż do klasztoru w Clusyn, lecz gdy minął ich kurier zdążający do stolicy, popędzili za nim co tchu, bojąc się treści listu i ewentualnych próśb w nim zawartych. Niestety, Jego Wielebność wpadł do rowu. – Wino powoli rozgrzewało ciało. Patriarcha pociągnął spory łyk. – Jego Wielebność nakazał żołnierzom ruszyć naprzód i dogonić kuriera. Ledwie podjęli pościg, koń Jego Wielebności samowolnie podążył za pozostałymi. Jego Wielebność sądzi, że mu zaczarowano konia.

–Śmiałym się teraz, Wasza Świątobliwość – rzekł Cefwyn, przyciskając palcem wargi – gdyby nie powaga sytuacji. Konie podążają za końmi. Taka już ich natura.

–Zły los ściga każdego, kto spotka na swej drodze lorda Amefel. Może konie podążają za końmi, miłościwy panie, lecz za lordem Tristenem podążają nieszczęścia.

–Nieszczęścia? Tylko w przypadku jego wrogów. Nam przecież zawdzięcza same dobre rzeczy. Dlatego powinniśmy uważać się za szczęśliwców, mam rację, Wasza Świątobliwość?

–Proszę, tylko nie drwij. Jego Wielebność przyszedł do mnie ze strasznym raportem.

Cefwyn natężył uwagę.

–Mianowicie jakim?

–Po pierwsze, ludzie wołają "lord Sihhe"...

–Nie inaczej było, kiedy tam bawił, o czym Jego Wielebność dobrze wie. To żadna nowina. Prawdopodobnie jest nim. Cóż dalej?

–Wymowa tego...

–Co ja na to poradzę? Szewcy i straganiarze krzyczą na ulicach, tedy mam poprowadzić wojska na przyjaciela? Mój wróg czyha za rzeką, co dzień rzuca na mnie klątwy. Wolę oszczędzać siły na walkę z Tasmordenem.

–Ale prawo...

Nerwy w nim zagrały, lecz zdołał nad nimi zapanować.

–Zgoda, nie będąc przykładowym wyznawcą quinaltu, dwa lub cztery razy dziennie odstępuje od zasad wiary w jakichś mało istotnych szczegółach. Podobnie jak bryaltyński opat! O tym nie pomyślisz? Obaj wiemy, że prowincja jest zwolniona od przestrzegania obrządków na mocy traktatu i tradycji. Jeśli Tristen zechce skorzystać z tego zwolnienia, ma do tego pełne prawo.

–Wiedzmy. Pojawiły się wiedźmy. Wiedzmy kupczą na targowisku; bez strachu i umiaru sprzedaje się zakazane przedmioty...

–To samo robiły, kiedy ja tam byłem. Rzecz karygodna, lecz w żadnym razie nowa. Jego Wielebność już od dawna się z tym spotykał. Powiedział ci coś nowego?

–Jego Wielebność był naocznym świadkiem czarów. Lord Tristen przyjmuje złodziei do służby zamkowej, wywiesza czarne chorągwie, zadaje się z wiedźmami... – Kaszel pohamował zajadłe oskarżenia starca. – Spiskuje z Ivanorem, żeby zebrać armię, przedkłada amefińskich oficerów nad uczciwych Gueleńczyków.

–Ależ to Amefel, czarne chorągwie ja mu nadałem, zapisane są w Księdze królestwa, sam Jego Wielebność zatwierdził je na swym terenie. Na dokładkę nieraz widywał, jak

powiewają. Cevulirn opuścił stolicę i wcale się nie dziwię, że złożył wizytę Tristenowi. Wręcz się z tego cieszę. Cóż więc pognęło amefińskiego patriarchę na łeb, na szyję do Guelemary? I co człowiek, którego uważałem za czcigodnego i świętego, ma wspólnego z dezerterami?

–Kapitan gueleńskiego garnizonu...

–Stał się dezerterem, kiedy pod nieobecność Tristena, który zajmował się w tym czasie moimi sprawami, razem z pozostałymi wymknął się cichaczem z grodu! To dezercja, mój panie, a tu królestwo stoi na krawędzi wojny. Sam mi powiedz, co mam z nimi zrobić. Czy mam zachęcać każdego, kto poważni się ze swoim panem, aby brał nogi za pas? Każdego, kto nie zgadza się ze zdaniem swego sierżanta?

–Chodzi o to...

–Chodzi o to, że ludziom tym nie można ufać.

–Przywieźli jednak raport... – Patriarcha wziął głęboki oddech, jakby mu brakowało powietrza. – Miłościwy panie, nie lekceważ tego. W obecności świadków, gueleńskich gwardzistów, pewna wiedźma pozdrowiła go na wsi, wygłaszając wróżbę. Bezpośrednio po tym pojawił się lord Ivanor, jakby przyzwała go magia.

–Wiedźma, powiadasz?

–Wychynęła spod korzeni wielkiego dębu, którego siedmiu ludzi nie objęłoby ramionami. Zerwał się piekielny wichur, drzewo upadło i w śnieżnych tumanach ukazała się wiedźma.

–Chyba znam tę wiedźmę.

–Panie?

–Leciwa Syes. Czarownica z Emwy. Żywa czy umarła, nie wiem. Zwiastunka kłopotów.

–I wtedy nadjechał Ivanor.

–Nie dziwota.

–Wkrótce potem lord Tristen odsunął od dowództwa kapitana garnizonu i zaczął oczerniać wicekróla...

–Tristen to marny łgarz. Sam o tym wie. Co się tyczy Parsynana, będzie miał szczęście, jeśli nie każe go powiesić. Zauważ, że to Ryssand mi go polecił. Nie powinienem był mu ufać. Tristen nie miał wyjścia, musiał się tak z nim obejść. Nie

obwiniaj mnie za to. A Parsynanowi nie wierz.

–Miłościwy panie – rzekł patriarcha tonem męczennika. – Jego Wielbność ma ludzi, którzy poświadczą pod przysięgą jego słowa. Widział czarną magię. Jego zarzuty rodzą pytania, miłościwy panie, których nie mogę odeprzeć. Prawowierność popierana przez Ryssanda...

–Ryssanda?

–Owszem, Ryssanda. – Jego Świątobliwość z trudem łapał oddech. Zaczerpnął głęboko powietrza, złapał oburącz za kielich i pociągnął potężny łyk grzanego wina. Drżącą ręką starł krople z podbródka. – W grę wchodzi nie tylko Ryssand. Bezwzględni purytanie... mają swoich stronników w radzie synodalnej i w bractwach jałmużniczych... i byli... są... niezłomnie przeciwni przyznaniu lordowi Althalen i Ynefel rządów nad prowincją. Wierność dogmatom nie pozwala im zatwierdzić bryaltyńskich przekonań Jej Miłości, domagają się jej uprawomocnionego przysięgą nawrócenia i przydzielenia regentce przynajmniej quinaltyńskiego doradcy.

–Niedoczekanie ich!

–Wiem, wiem, miłościwy panie, ale... ale... – Kolejny atak kaszlu, kolejny solidny łyk wina. – Wybacz, ale Jego Wielbność posiada dokumenty... Bryaltyńskie proroctwo. Lord Amefel wypełnia je co do joty.

–Odkąd to quinaltyni uznają bryaltyńskich proroków?

–Posłuchaj mnie, miłościwy panie! Ci bezwzględni purytanie...

Niepotrzebnie droczył się ze Świątobliwym Ojcem. Starzec był wielce wzburzony. I przyszedł tu prosto z narady z amefińskim kapłanem, co mogło być niezbyt roztropnym posunięciem. Krokiem beztroskim, zważywszy na niesnaski wśród samych quinaltynów.

–Przeplucz gardło winem, Wasza Świątobliwość, i mów bez ogródek. Zachowam wszystko dla siebie. Purytanie. A więc kapłani Ryssanda macą wodę?

Świątobliwy Ojciec potrząsnął głową i napił się wina. Nieco ochłonął. Na białe, błyszczące i wilgotne policzki wystąpił mu gruźliczy rumieniec, włosy schnące w ciepłe paleniska były rozwichrzone.

–Nie tylko Ryssand ich namawia. Nie on jeden. Purytanie mają swoich mecenasów, takich jak Nelefreissan, Murandys... Właściwie cała północ ich popiera.

–Mam tego świadomość.

–Jestem stary. Chcą, żebym umarł.

–Mogą sobie chcieć.

–Z tymi purytanami nie da się rozmawiać... Poza tym to nie głupcy. Mają w rękach władzę... Tak, władzę, a uznają tylko własną prawdę. Pragną mojej śmierci.

–Król pragnie, żebyś żył. Coś mi się wydaje, że nawet Tristen tego pragnie, nie pamiętając dawnych krzywd.

–Ja...

–Piastujesz godność patriarchy, Wasza Świątobliwość. Skorzystaj ze swoich przywilejów! Pozbądź się tych kapłanów! Masz za sobą wyborców!

–Och, mam ich dosyć... Ale i oni są już starzy, targani podziałami. A tu, miłościwy panie, trzeba się borykać z patriarchą wygnanym z prowincjonalnej świątyni, którego autorytet został zbrukany, i ze świadkami składającymi doniesienia o wiedźmach i ludziach, co sławią lorda Sihhe...

W progu komnaty pojawił się Idrys. Cefwyn kiwnął mu głową, a wtedy komendant wszedł do środka, zaznajomiony przynajmniej z ostatnimi słowami patriarchy. Stał ze skrzyżowanymi ramionami, zwiastun złej wróżby i niepomyślnych wiadomości. Na jego czarnych, skórzanych naramiennikach błyszcząły jeszcze krople deszczu.

–A więc? – zapytał Cefwyn.

–Żołnierze zostali legalnie zwolnieni ze służby i mają pisemne poświadczenie zgody na powrót – oznajmił Idrys. – Patriarcha Amefel dogonił ich w Clusyn, gdzie upili się prawie do utraty przytomności. Najął ich do eskorty. Kiedy w drodze minął ich goniec ze Smoczej Gwardii, ruszyli co tchu, żeby się z nim zrównać, lecz Jego Wielebność miał przygody z rowem i stogiem siana. Goniec, całkiem słusznie, uznał ich za bandytów i uciekał przed nimi w obawie o życie.

Cóż za komizm. Cefwyn wyobraził sobie całą scenę. Zapadający zmierzch, patriarcha w błocie, kurier z elitarnej jednostki w desperackiej ucieczce przed amefińskim kapłanem.

–Błagam, byś traktował tę sprawę poważnie – rzekł Świątobliwy Ojciec. – Pobożni boją się... oni oraz wyborcy... boją się, żebyśmy wszyscy nie ulegli szkodliwym wpływom czarów i czarnej magii, a Wasza Królewska Mość wie zapewne, że to uczciwi ludzie, szczerze zgorszeni sytuacją w Amefel... i nie tylko. – Kaszel zmusił go do kolejnego sięgnięcia po kielich z winem, opróżniony już niemal do dna. Cefwyn nawet nie skosztował swojego, pragnąc zachować jasny umysł.

Patriarcha widać zrezygnował już z ostrożności.

–Wróżby, zapowiedzi bezprawia – mówił kapłan – to zjawiska realne, podobnie jak świadectwa magii.

–Nikt, kto walczył nad Lewenbrookiem, temu nie zaprzeczy, Świętobliwy Ojcie. O jakich wróżbach mówisz? Pora wezwać Emuina? Jeśli nie możesz ich powstrzymać...

Patriarcha potrząsnął głową.

–Nie. W tej sprawie terantyni nic nam nie pomogą, a tym bardziej Emuin. Przychodzę tu... z nadzieją na rozwianie wątpliwości. Przyjmuję amefińskiego patriarchę, wysłuchuję go cierpliwie, dochodząc do wniosku, że to, co on mówi, jest niczym woda na młyn purytańskiego strachu, podobnie jak... jak niektóre kaznodziejskie wystąpienia, w których nastawano przy okazji na życie lorda Amefel. Idrys wcale się nie uśmiechał. Wyraz jego ozdobionej ciemnym wąsem twarzy dowodził, z jaką uwagą słucha słów starca.

–Buren – rzekł, wymieniając imię, które już raz padło. Nosił je kaznodzieja-tułacz, jeden z owych nawiedzonych krzykaczy.

–Buren, Neiswyn, całe to bosonogie bractwo. – Także Świętobliwy Ojciec nie darzył ich szczególnym sentymentem. Ich pozycja była ugruntowana. Przemierzali wioski, wznosząc modły nad bydłem i sadami, żyjąc z jałmużny. Zawsze występowali przeciwko sytym duchownym ze wspaniałej świątyni. – Kapłani Ryssanda popierają ich, nazywają świętymi. I temu nie możemy się przeciwstawić. Wszak to są święci ludzie!

–Raczej święci awanturnicy.

–Buren łązi po kraju – powiedział Idrys – głosząc prorocstwa, snując niejasne wizje panoszącej się na ziemi bezbożności i ociekających krwią ołtarzy. To nic nowego. Z tego się utrzymuje. Zawsze tak było.

Samozwańczy prorocy, odcinający się od świątyni, pojawiali się i znikali, rozgłaszali wieści tylko trochę bluźniercze, tylko trochę zdradzieckie, a czynili to jawnie pod płaszczkiem modlitw o odnowienie królestwa i quinaltu.

–Miłościwy panie, to się stało niebezpieczne – rzekł Świętobliwy Ojciec ze zboląłą miną. – Tak być nie może. Wszystko to dzieje się w bardzo złym czasie.

–W takim razie proponuję, żebyś w swoich homiliach naświetlił różnicę między czarną magią a czarami, Świętobliwy Ojcie. Zacznij od zaraz. Nagnij dogmaty, poszukaj kompromisu z magią... Lepiej się pośpiesz.

–Nie ośmielę się!

–Sugeruję, żebyś się jednak ośmielił, Świątobliwy Ojcze. To nawet więcej niż sugestia. Jesteś zwierzchnikiem Jego Wielbności. Wykorzystaj więc to! Popraw jego zeznania! Wątpiący i ci, co byliby skłonni cię poprzeć, patrzą teraz na ciebie, aby poznać, po której stronie mają się opowiedzieć. Daj im jakiś znak, na miłość boską!

–Jestem już stary, miłościwy panie.

–Chcesz dożyć bardzo późnej starości? Działaj więc!

–Tak, miłościwy panie. Spróbuję.

–Dobrze się stało, żeś mnie dzisiaj odwiedził. Okazałeś odwagę... Annasie, odprowadź Jego Świątobliwość godnie do świątyni, w ciepłym i suchym płaszczu.

–Miłościwy panie. – Kapłan wstał ociężale, rozstawał się z winem i czekało go zmudne zejście po schodach. Póki paź nie sprowadził ministranta, asystował mu Annas, nalegając, by zatrzymał suchy płaszcz. Znalazł dlań jeszcze suchą opończę i razem wyszli.

Idrys czekał cierpliwie i dopiero gdy zamknęły się drzwi, zabrał głos:

–Są dwa listy od Jego Miłości z Amefel. – Komendant wyciągnął zza pasa małą, nie zalakowaną kartkę. – Całą tę bandę ścigał jeszcze jeden goniec. Pędził co sił z postscriptum. Czytałem.

–Złe wieści? – zapytał Cefwyn, dręczony niepokojem.

–Tylko to, co już wiemy. Lord Tristen uświadomił sobie groźbę wynikającą z ucieczki patriarchy. Najwidoczniej dowiedział się o niej po powrocie do domu i włożył wiele wysiłku w to, by goniec dotarł do nas przed Jego Wielbnością i gwardzistami. Warto zauważyć, że mu się nie powiodło... mimo jego możliwości.

–Wątpię, czy są nieograniczone – odparł Cefwyn. Wziął list i usiadł.

"Uważaj na quinaltyńskiego kapłana, który wyjechał z Amefel i zmierza do świątyni. Uczynił to w czasie mojej nieobecności, a Uwen nie miał upoważnienia, żeby go zatrzymać, choć żałuję, że nam się to nie udało.

Co do fortyfikacji, tych w Modeyneth i innych, zamierzam zapłacić za nie z amefińskiego skarbcza. Wielu earłów wyraża gotowość pomocy. Earlowie chcą mi też użyczyć ludzi do amefińskiej kompanii, którą wystawię na wiosnę. Wtedy też odeślę ci resztę załogi garnizonu w Henas'amef, a także Anwylla.

Prace przy murze pójdą chyba sprawnie. Mam nadzieję, że pochwalasz wszystko, co tu robię".

Wystawienie amefińskiej kompanii w miejscu Gueleńczyków mieściło się w granicach rozsądku. Osobiście dał diukowi Amefel stosowne uprawnienia. Lecz tylko ta jedna rzecz opisana w liście leżała ściśle w kompetencjach Tristena.

–Zwróciłeś uwagę na wzmiankę o fortyfikacjach? – zagadnął Idrysa.

–Swego czasu dekret dziadka o zburzeniu amefińskich wałów obronnych miał uzasadnienie. Dziś by go nie miał. Żałowałem latem, że są zrujnowane.

–To właśnie powiesz Ryssandowi?

–Do licha z Ryssandem! Do licha z patriarchą Amefel! – Zwinął list i wsunął go za pas. – Przynajmniej nie musimy się martwić o południe. Kiedy Tasmorden dowie się o poczynaniach na południu, poprowadzi wojska na północ, to proste. Nie będzie miał wyboru. Jeśli nie uderzy na Tristena, my staniemy się jego młotem, a Amefel kowadłem. Nawet dwakroć i trzykroć przeklęty Ryssand chwyci z Murandysem za broń, gdy ich ziemie najedzie Tasmorden. A co do Ryssanda... Mogę zezwolić na ślub mojego brata.

–To żart?

Cefwyn okręcił się na pięcie i wbił wzrok w Idrysa.

–Jeżeli Ryssand wpadnie do rowu, dziedziczyć będzie mąż Artisane. Mój brat ma szansę zostać diukiem Ryssandu i diukiem Guelessaru.

–Mam się rozejrzeć za rowem?

–Po zaślubinach. – Czuł, że wstępuje na niepewny grunt, gdzie ziemia potrafi szybko usunąć się spod nóg. – A może nie. Nie jestem moim dziadkiem.

–Twój dziadek umarł w łóżu, najjaśniejszy panie, lecz bogowie nie wyświadczyli podobnej łaski twemu ojcu, który oszczędzał wrogów.

–Mój dziadek zmarł przepełniony lękiem przed duchami, mości k roku.

–Czy i mój król się ich boi?

–Najpierw musi odbyć się ślub, dopiero potem będziemy myśleć o dziedziczeniu.

–Zastanów się już teraz, najjaśniejszy panie. A jeśli nie z Ryssandem, to przynajmniej porachuj się ze swarliwymi kapłanami. Quinaltyni nie będą cię winić.

–Nie można zwyciężyć, zabijając kapłanów. Oni się mnożą. Przeistaczają w męczenników. Święci bogowie, takich nam nie trzeba! Jego Wielebność z Amefel dostanie za swoje, kiedy Świętobliwy Ojciec ocknie się i ruszy głową. A potem Ryssand odpokutuje, kiedy mój brat poślubi ryssandyjską intrygantkę. Nie docenia Efanora, oj, nie docenia.

–Wedle woli Waszej Królewskiej Mości – rzekł Idrys. – I raz jeszcze, wedle woli Waszej Królewskiej Mości. I po raz trzeci, wedle woli Waszej Królewskiej Mości.

–Niech cię kaci! Masz inne zdanie! Wyduś je z siebie!

–Rozważ jedno, sam Tristen zapewne sobie życzył, by goniec przybył na czas. Lecz goniec się spóźnił. Nasz upiór z zaświatów wciąż jest niedoskonały. Czarodzieje zawodzą.

–Prosił człowieka, żeby nadrobił ileś tam dni drogi. To mu się nie udało. Jakaż w tym zła wróżba?

–Jego Wielebność wpadł do rowu. Niestety przeżył. Czyż to nie fiasko?

–On nie pragnął śmierci. – Cefwyn pograżył się w zadumie nad własnym postępowaniem. Czemu był taki niezdecydowany? Dawniej przejawiał gorętszy temperament. Teraz podążał ścieżką czarodzieja, nie mając w sobie czarodziejskiej mocy.

Rzecz w tym, że nie zamierzał się upodabniać do swojego dziadka. Chciał rozstrzygać losy królestwa na polach bitew, nie w przydrożnych rowach.

O nie, nie zamierzał sprawować rządów na podobieństwo dziadka. Owa czarna czeluść wciąż przed nim ziała, owo warowne miejsce, samotne, pozbawione miłości... Tam właśnie zmierzał, kiedy spotkał najpierw Tristena, a następnie Ninevrise. Słuchał Heryna Aswydda, przyozdobił bramę czaszkami ludzi, którzy mogli zostać jego najlepszymi przyjaciółmi, gdyby tylko poznał, jak jest oszukiwany.

Później, w towarzystwie Tristena, gdy odkrywał piękno leśnych liści i obmytych wodą kamieni, jakby światło nań spłynęło, jasny promień nadziei, że oto nareszcie patrzy na prawdziwy świat, prawdziwszy niż dawne mroczne widoki. Od tamtych chwil – i liczył, że tak już pozostanie – ilekroć zaprzętały mu głowę praktyczne sprawy, owo światło zsyłało nań sen, może nie czyniąc z niego dobrego i rozsądnego króla, ale króla chcącego być lepszym, króla pragnącego, by w jego królestwie ludzie cieszyli się z życia.

–Najjaśniejszy panie? – Idrys wyrwał go z zadumy. Wiedział, że Cefwym bujał w obłokach, patrząc ku nie istniejącemu, lecz jakże rzeczywistemu światłu, pogrążony w marzeniach, niepomny na swe obowiązki.

–Zaufajmy Jego Świątobliwości – usłyszał swoje słowa, chowając tę czulszą część duszy, która Ignęła do Tristena i niekoronowanej królowej. Uznał za słuszne zasłonić ją skrzącnie przed krytycznym okiem Idrysa. – On dostrzega groźbę tkwiącą wśród samych quinaltynów. Zobaczymy, jak sobie z nią poradzi.

Rozdział dziewiąty

Wicher dał niezmordowanie w ciemności nocy, tłukł o szyby, smagał deszczem, gwizdał u podstrzeszy i miotał okiennicami.

–Jakby wiosenna wichura – powiedział Lusin. – A tu ledwie przesilenie za pasem.

Tristen wspominał szare deszczowe welony, które opadały na ciemniejsze wieże. Z odrobiną strachu zdawał sobie sprawę, że oto nareszcie rok zatacza pełne koło. Ktoś wspomniał nadchodzącą porę roku, lecz ona nie potrzebowała mu się objawiać. Doskonale pamiętał jej przebieg w Ynefel: łoskot piorunów, krople deszczu pełnzące jak robaki w dół rogowych szyb w oknach jego pokoiku.

A tu służba wykazywała oznaki strachu. Nawet Tassand wylęknionym wzrokiem spoglądał na okna, mówiąc, że to nienaturalne.

–To tylko wiatr – tłumaczył im Tristen. – Najzwykleszy wiatr.

Pragnął ładnej pogody na południu, a jak najgorszej na północy, gdzie stały wojska Tasmordena. Jeśli więc tutaj padał deszcz, pomyślał, tam prawdopodobnie sypał śnieg.

Trwał przy swoim pragnieniu, wręcz się w nim umacniał, bał się jednak wtrącać do praw natury. Gdy szalała burza, a nad dachami przewalały się grzmoty, rozmyślał, czy nie należałoby odwiedzić i wypytać mistrza Emuina. Emuin tymczasem spał, owinięty szczelnie kocami w swej wieży, ignorując zamęt na niebie i nie chcąc zapewne, żeby go wyrywano ze snu.

Skoro mistrz Emuin spał mimo tak wielkiego hałasu, przypuszczalnie nie kryła się w tym żadna groźba. On jednak nie mógł zasnąć.

Uwen chyba też, zszedł bowiem do stajni, a teraz wrócił w mokrych butach i w ociekającym płaszczu.

–Niespotykana to rzecz, panie, żeby o tej porze roku było tak ciepło. Na podwórku ino kałuże i błoto.

–Za to żadnych kłopotów.

–Nic złego nie wypatrzyłem. – Uwen zrzucił płaszcz, natychmiast pochwycony przez

ślugę. – Lampę jeno zdmuchnęło. Koniom dobrze pod dachem. Liss nie cierpi piorunów.

–Nalej sobie piwa – powiedział Tristen, jako że Uwen lubił się napić pod koniec długiego dnia. Wychylili więc po kielichu, rozmawiając na różne tematy, takie jak budowa baraków na małym dziedzińcu. W ciepłe dni prace mogły postępować szybciej, podobnie szkolenie amefińskiej gwardii, które Uwen postanowił osobiście nadzorować.

Kiedy Uwen udał się na spoczynek, ucichły odgłosy piorunów. Tristen czuł, że gołębice znalazły sobie przytulne kryjówki; czuł ich senność, przebywały gdzieś blisko pod okapami i w stajennym stryszku. Były razem, spokojne, w ciepłe.

Sen wciąż od niego uciekał, mimo że mistrz Emuin spał twardo, na świecie się uciszyło, ogień trząsał w kominku i deszcz szumiał za oknami. Czytał... Czytał filozofię, kołysany szmerem deszczu. Aż wreszcie zasnął. Tuż po północy Tassand zastał Tristena śpiącego na krześle i okrył go kocem.

Rankiem przywołał go do okna, skąd przez jedyną bezbarwną szybkę mógł wyjrzeć na zewnątrz.

Ukazały mu się bure wzgórza, tylko gdzieniegdzie pokryte białymi skrawkami. W ciągu jednej nocy śnieg znikł w wielu miejscach, przywracając okolicy jesienny wygląd.

–Widziałeś? – zapytał Uwena, zasiadając do śniadania.

–I owszem – odparł żołnierz. – Wszędy błocko okrutne. Patrzałem na nie ze schodów przed stajnią. Woląłem nie leżeć w tę breję przed śniadaniem. Widziałeś kiedy taką pogodę? – Nagle parsknął śmiechem. – Pewnie, żeś nie widział. Jeszcze wszystko przed tobą.

–A ty?

–I ja nie. Tak po prostu mawiają: widziałeś kiedy coś takiego...? Hm, jam nigdy nie widział. Potoki spływają ulicami, pewnikiem będzie Powódź.

Powódź objawiła mu się w jednej przerażającej chwili, podczas której ujrzał, jak kłody drzewa druzgoczą mosty, jak spienione fale zabierają domostwa i trzody. Nie pomyślał o tym wcześniej. Ciekawiło go, ile w śniegu gromadzi się wody.

–Czy wioskom grozi niebezpieczeństwo? – zapytał. – Albo mostom?

–Oj, krucho będzie z mostami – odparł Uwen. – Atoli chłop nie w ciemę bity, wioski zwykle na wzniesieniach zakłada. Ongiś i w Amefel zdarzały się powodzie. Owce do

zagród ani chybi wczoraj już spędzono, jeno deszcz padać począł.

Zachował się nierozważnie. Zesłał niedolę na ufających mu ludzi, nie pomyślał o konsekwencjach.

–Pragnąłbym, żeby pogoda stała się łaskawsza.

–To przez ciebie – stwierdził Uwen.

–Chyba tak – przyznał. – O ile chciałem tutaj deszczu, o tyle życzyłem Tasmordenowi śniegu... Ale nie miałem zamiaru utrudniać ludziom przeprawy przez rzekę. Teraz pragnę, żeby ziemia wyschła.

–Jeśli tedy nie sprawi tego siła jakowaś nadnaturalna, idę o zakład, iż wicher chmury przegoni. A potem wiele dni dmuchać będzie.

Jakoż zaraz po śniadaniu zerwał się wiatr. Kiedy Tristen zaniósł codzienną porcję chleba gołębiom na parapecie, piórka ich były nastroszone, a skrzydła były zaciekle. Zapominały o dobrych manierach, spychając się nawzajem poza krawędź gzymsu.

Wszelako, na przekór wichurze, poranne niebo było za oknem czyste i błękitne. W krajobrazie zaszły zadziwiające zmiany.

–Mam dziś ochotę na przejażdżkę – powiedział do Uwena, który stanął obok, żeby wyrzeć na zewnątrz. – Chciałbym zobaczyć, jak płyną strumienie. Dys potrzebuje ruchu.

–Ziemia grząska – odparł Uwen.

Mimo to ułożyli plan wycieczki. Spodziewali się przyjazdu wielu koni, wobec czego ludzie mistrza Hamana od dawna już odmierzali ogrodzenia wśród śniegu i zmarzniętej ziemi, budowali schronienia przed niepogodą, znosili siano i słomę, a wszystko to w przekonaniu, że zima powróci na całego i lepiej już teraz zrobić to, co i tak trzeba zrobić przed zimowym przesileniem. Obecnie dalsze przygotowania udaremniał brak lodzi. Strumienie toczyły do Lenuaimu wody wezbrane wskutek odwilży, przez co mógł ucierpieć transport zboża. Podobne rzeczy przysparzały wszystkim wielu trosk. Drogą lądową wysłali wiadomość do Olmernu. Goniec, jeśli nie zatrzymał się gdzieś w wiosce, musiał zmarznąć i przemoknąć zeszłej nocy... To też był wynik życzeń Tristena.

Schodząc nieco lękliwie na błotnisty dziedziniec, przyrzekał sobie w duchu zachowywać w przyszłości większą ostrożność. Nie chciał, żeby się wydało, iż to dzięki niemu pogoda uległa tak nagłej zmianie, a porywisty wiatr szarpał namiotami i pogwizdywał pod okapami dachów tego jasnego poranka.

–Piękny ranek – stwierdził Uwen, jakby się tym wszystkim zbytnio nie przejmował. – I no szkoda, że ziąb kilkudniowy pcheł w szopach nie wymroził, jakich tam o tej porze jeszcze nie widziano.

–To pchły zamarzają?

–Był czas, kiedyś mnie pytał, co to zima. No a teraz zimę precz wyganasz. Jużci, pchły marzną.

–Wątpię, czy to dobry pomysł, żeby życzyć sobie czegoś, co nie chce przyjść – stwierdził Tristen. – A mistrz Emuin wszystko przespał. Nazywa mnie głupcem i chyba ma rację. Tej nocy nie powinno było padać. Bo ja wcale nie myślałem o deszczu. Myślałem o topniejących lodach i śniegach, ale nie o deszczu.

–Jakże więc będzie, możemy dziś liczyć na ładną pogodę?

–Raczej tak – odparł. – Chociaż wiatr nie ustanie.

Rano gołębie spacerowały nieco zmoknięte i skonsternowane, lawirując między kałużami; lawiowały wszakże w bardzo ważnych misjach, jak zawsze, tak się przynajmniej wydawało, gdy się na nie patrzyło.

Chłopaki Hamana, jak ich nazywał Uwen, osiodłały Gię, Gery oraz wierzchowce gwardzistów, albowiem za miasto wyjeżdżał też Lusin z Syllanem i resztą.

–Na dole blocko okrutne – przestrzegł ich Haman, kiedy czekali. – Gdzie schrony staną, teraz jeno leżą stosy belek.

–Tak czy inaczej, chcemy się rozejrzeć – rzekł Tristen. – Uwen twierdzi, że strumienie wystąpią z brzegów.

–Pierwsze zalane będą wschodnie łąki – powiedział Haman – belki wszakże złożono u najwyższego końca, panie, tam, gdzie budujemy. Głowę dam, że nic się nie zniszczyło. Jeżeli trawa, co spod śniegu wyjrzała, wyschnie, nim ją konie stratuja, wiele na tym skorzystamy.

Oznaczałoby to mniejsze zapotrzebowanie na siano, mniejsze ubytki w stajniach... Może konie mogłyby nawet zostać na dworze, gdyby pogoda nadal dopisywała. Tylko czy wolno mu było tolerować taki stan rzeczy? Nie mieli jeszcze za sobą zimowego przesilenia. Czy niebiosy przechowywały zapas śniegu, który w końcu musiał spaść?

Doszedł do wniosku, że powinien spotkać się z Emuinem i omówić z nim tę sprawę,

o ile mistrz zechce mu cokolwiek powiedzieć. Zapragnął ponownie przyjrzeć się doli wiosek i z własnej kiesy pokryć wszelkie straty. Co słuszne, to słuszne, jak mawiał Uwen, a któryż mieszkaniec Amefel ucieszyłby się widokiem zalanego pola?

Dawniej, gdy jeszcze wspinał się na balustrady w Ynefel, nie był w stanie dokonywać takich rzeczy. Ani przed bitwą na Równinie Leweńskiej. Nie wiedział, kiedy tak naprawdę i w jaki sposób objawił mu się ten dar. Może owego dnia, gdy wracał z Cevulirnem do domu. Ogarnęło go wówczas przeczcucie utrapień czekających uciekinierów w Elwynorze, nękanych przez żołdaków. Wpłynęła nań litość i gniew. Tylko czy namyślał się dostatecznie długo, zanim odruch serca kazał mu oczyścić pagórki ze śniegu?

Młody lordzie, słyszał niemal wyrzuty Emuina wypowiedane tonem pełnym dezaprobaty. Nie pytaj mnie o to.

Jakże mógł go pytać... skoro, z tego, co wiedział, mistrz nie posiadał takiej jak on siły – ów wąty starzec, który tym razem prawdopodobnie udzielił mu nagany. Tristen nie oczekiwał z utęsknieniem na to spotkanie, nie chciał też stawać twarzą w twarz z czarodziejem, dysponując jedynie przypuszczeniami co do sytuacji na swoich ziemiach. Pragnął się rozejrzeć, by przekonać się na własne oczy, że nie wyrządził poważnych szkód, że wieśniakom i osadnikom w Althalen nie dzieje się wielka krzywda.

Nie wybierali się z żadną oficjalną wizytą, zrezygnowali więc z zabierania chorągwi i całego zamętu, jaki zwykle temu towarzyszył. Owego wietrznego, wilgotnego poranka nie wyruszyła z zamku procesja. Ulicami grodu przemykała jedynie grupka okutanych w płaszcze osób, mijając sklepikarzy zmiatających z chodników śmieci, ludzi zbierających zerwane dachówki, naprawiających uszkodzone okiennice i porwane markizy.

Mimo wiatru dzień był cieplejszy od poprzedniego, a miasto z białego przeistoczyło się w bure i niezbyt ładne. Sople spadły z okapów budynków i leżały potrzaskane wzdłuż ulicy. W drodze do bramy napotykali wyłącznie błoto, kałuże i resztki śniegu. Rynsztoki wezbrały, w dolnym mieście potworzyły się bajora zimnej wody, po których konie przebiegały ze wstrętem.

Poza bramą ciągnęły się na zachód zabudowania stajen, chlewy, gęsiarnie, obory, różnorakie szopy i zagrody, a niektóre z nich zostały częściowo zalane.

Bardziej na południe znajdowały się sady i pastwiska owiec. Pod murami przycupnęły niechlujne chałupy gęślarzy i pastuchów bydląt tudzież psiarnie. Na wielu podwórkach stała woda. Jednak zbudowanym na wzniesieniu spichlerzom nic nie zagrażało. Na zachód i północ od grodu pastwiska zachodziły aż na stoki bliższych wzgórz. Te, które dla koni przezornie wybrał mistrz Haman, miały najlepsze

odprowadzenia wody. Wprawdzie spływały tamtędy górskie potoki, lecz nigdy groźnie nie wylewały.

Dysarys i Cassam, bojowe rumaki Tristena i Uwena, zajmowały zaszczytne przegrody w stajni. Tego poranka, kiedy nadszedł oddział Tristena, spacerowały na dwóch pierwszych wybiegach, zażywając świeżego powietrza. Były darem od Cefwyna. Od dnia narodzin miały własnych koniuchów, którzy musieli przyjechać do Amefel razem z nimi.

Nastąpiło niewielkie zamieszanie, kiedy pozostawiali na wybiegu Liss i Gery – lekkie wierzchowce, będące zawsze pod ręką w fortecznej stajni – żeby i one mogły nacieszyć się słońcem i przestrzenią. Rozkazali też stajennym wyszczotkować i osiodłać Gię i Petelly'ego na drogę powrotną do Zeide.

Owo szczotkowanie nie było wcale łatwym zadaniem, jako że tego ranka konie ochlapały się błotem. Wypielęgnowane zwierzęta z zimową sierścią stały ze zbryzganymi pęcunami. Chłopcy stajenni zajęci byli szczotkowaniem i czesaniem w zagrodach i wzdłuż ścieżki.

Co więcej, Lusin i reszta straży przybocznej także zażądali; zapasowych koni, wobec czego stajenni, wielce zażenowani, musieli im przyprowadzić kilka żałośnie wyglądających zwierząt.

–Bo nikt nam nie rzekł, iż przyjeżdżacie, panie.

–Siodłajcie nasze. Ino żadnego błota na uprzęży – rozkazał Uwen opryskliwie, nie okazując pobłażliwości ze względu na pogodę. Haman powiedziała by to samo, konie powinny być tego ranka pod dachem, w gotowości. – A gdyby tak Elwynimi przeszli rzekę, hę? Gdyby wsiadanego trąbiono, żołnierze po konie biegli, a te byłyby ubabrane jak świny? Co wtedy? Do roboty!

Chłopcy rozpierzchli się.

–Będą się tarzać – zawyrokował Tristen, widząc, jak Gery przewraca się na wybiegu. Pomachała kopytami w powietrzu, po czym triumfalnie wstała z pięknie ubłoconą sierścią.

–Ach, te konie – rzekł Uwen z udawanym obrzydzeniem, aczkolwiek niczego bardziej nie lubił, niż przebywać w stajni i głaskać dzielnego konika.

Jednakże Dys i Cassam, jako najważniejsze w stajni, czekały czyste i wyszczotkowane, jedynie z obłoconymi nogami. Tristen stwierdził z zadowoleniem, że są gotowe do przejażdżki i nie wymagają żadnych dodatkowych przygotowań. Co innego wierzchowce gwardzistów.

–Dawajcie tu jakieś konie – żądał Lusin. – Jego Miłość wyjeżdża, a my tu na nogach. Przeklęte błoto!

–Nie odjedziemy daleko – rzekł Tristen. – Nie macie się czym przejmować. Uwen będzie ze mną.

–Ależ, panie... – protestował Lusin z nieszczęśliwą miną.

–Zostańcie, to rozkaz. Zjedziemy tylko tą dróżką.

Lusin ubolewał, a tymczasem w mgnieniu oka osiodłano Dysa i Cassama, po czym Tristen wyruszył wraz z kapitanem bezpieczną ścieżką między zagrodami, pozbawiony straży przybocznej, ciesząc się chwilą prywatności. Dys i Cassam były w pogodnym nastroju, bo zamiast ciężkiego bojowego rynsztunku założono im lekką uprzęż podróżną i miały nadzieję, że nie będą pracować, a oddawać się ćwiczeniom i figlom. Oba szarpały niecierpliwie za wodze, gdy dotarli do końca dróżki.

–Oho, ale wigoru nabrały tego ranka – powiedział Uwen. I rzeczywiście, także Cassowi udzielało się podniecenie Dysa, rzucał bowiem łbem i gryzł wędzidło. Wierzchowce próbowały przejść do szybszego biegu, gdy wykonali zwrot. – Ejże, wolnego, gałganie!

Wielkie kopyta rozchlapły kałuże, Dys przyspieszał i przyspieszał. A Cass nie pozostawał w tyle. Stopniowo, krok za krokiem, zarówno konie, jak i jeźdźcy wyłamywali się beztrudnie z dyscypliny, aż błoto fruwało. Wypadli dziką szarżą poza ostatnią zagrodę. Dróżka pozostała daleko za nimi.

–Do drzew – zawołał Tristen, podniesiony na duchu brakiem jakichkolwiek kłopotów. Wiatr ciął go w oczy, po twarzy, targał płaszczem i końską grzywą, przejmował na wskroś zimnem.

–Co z Lusinem? – odkrzyknął Uwen, lecz ogarnął ich już zapach zwierząt. W dodatku linia drzew widniała tuż-tuż. Dotarli wreszcie pod szare, nagie konary, gdzie droga skręcała na zachód. A tam, na tej drodze, ujrzeli jeźdźców.

Nie mieli na sobie barw ani proporców. Nie byli Iwaniami. Tristen natychmiast ściągnął wodze, to samo Uwen, obaj od razu czujni i poważni. Dys i Cassam szarpały teraz wędzidłami, albowiem dobrze ich nauczono, co mają robić, kiedy przed nimi pojawią się obcy. Rozbudzony temperament zagrzewał je do natarcia, do walki.

Jednakże jeźdźcy – trzech mężczyzn, którzy sprawiali wrażenie utrudzonych i niewyspanych – nie zwolnili kroku, choć pewnie zdawali sobie sprawę z nieoczekiwanego towarzystwa.

–Panie – powiedział Uwen. – Lepiej się cofnij, a przynajmniej ostań w miejscu i

pozwól mi wy badać, co ich tu sprowadza.

–Nie – odrzekł Tristen. Mieli przy sobie miecze, choć nie wzięli tarcz. Nigdy nie wyjeżdżali poza bramy Zeide bez zbroi i bez broni.

–Masz jeno zwykły płaszcz na plecach, panie, żadnej barwy ni chorągwi.

–Tak czy owak sprawdzimy, co to za jedni i z czym przybywają. Podjechali więc jeszcze kawałek. Kiedy mieli za sobą bukowy gaj, a z przodu szerokie rozlewisko na drodze, stanęli.

–Sam się z nimi rozmówię – oświadczył Uwen. Tristen milczał. – Hej, wy tam! Z Brynu jedziecie czy co?

Wówczas jeźdźcy zatrzymali się po drugiej stronie rozlewiska.

–Wieści wieziemy – oznajmił ów na czele, po czym zsunął kaptur. Ukazało się brodate, dawno nie golone oblicze. Cała trójka wyglądała podejrzanie. – Jedziemy na spotkanie z lordem Sihhe w Amefel.

–Zgodnie z czym życzeniem, jeśli on was nie prosił? – odpowiedział Uwen. – Jaka sprawę macie?

–Sprawę do niego, powiadam. – Mowa jeźdźca nie wskazywała na kogoś pospolitego, na Amefińczyka... na kogoś spośród poddanych Jej Miłości. Słyszając ów pański akcent, Tristen zrzucił płaszcz z ramion, prezentując krwistą czerwień Amefel i czarnego orła. – A więc to ty? – zapytał nieznajomy głosem pełnym uszanowania. – Wasza Miłość?

–Tristen – przedstawił się. – Diuk Amefel. Skąd wieciecie wieści? Nie z Brynu.

–Z Elwynoru, Wasza Miłość.

–Moi ludzie mają rozkaz rekwirować wszelką broń. – Dostrzegł miecz przytroczone do łąku swego rozmówcy, lecz nie wiedział, co ukrywają pozostali. Przynajmniej zbroję, może nawet cięższą niż zbroje jego i Uwena. Ufał wszelako swej zręczności.

Tymczasem jego uwaga nie spowodowała żadnego zagrożenia, Wprost przeciwnie, przywódca trójki zsiadł z konia zwieszającego łeb ze zmęczenia, a następnie przyklęknął na jedno kolano w błocie na skraju bajora.

–Powiedziano nam w Althalen, że Wasza Miłość zezwolił zamieszkać tam uchodźcom. Przybywamy z prośbą o schronienie dla całej naszej kompanii. Możesz, Wasza Miłość, dowolnie naszym orężem rozporządzać.

–Nie przeszliście po moście – odezwał się Uwen – gdzie Jego Miłość przeprawę wam wyznaczył.

–Nie, na wschód stąd. Na wschód od Anas Mallorn. Gdzieśmy zdołali, tam i przeszliśmy.

–Razem z końmi w taką pogodę? – zdziwił się Uwen. – Ciężki to musiał być trud.

–Mieliśmy tylko tratwę i linę, panie. W Brynie lord Modeyneth kazał nam iść do Althalen, tedym posłał tam kompanię pod dowództwem sierżanta. My trzej przybywamy, żeby się pokłonić i prosić... – Dreszcze chwyciły oficera klęczącego w błocie, inni więc ześlizgnęli się z koni i go podtrzymali, sami w nie lepszej kondycji. – Ażeby prosić Waszą Lordowską Mość o pomoc dla Elwynoru – podjął z rozpaczliwym wysiłkiem – i żeby się zaciągnąć pod twoją chorągiew, albowiem nigdy nie przysięgniemy komuś takiemu jak Tasmorden.

–On mówi w imieniu nas wszystkich – dodał drugi. – Dowódca, żołnierze, blisko sześćdziesiąt koni z dziesięciu majątków, wszystko oddajemy do twej dyspozycji.

–Z takich majątków, jakimi są teraz – ozwał się trzeci. – Nasze włości to dziś jeno popiół i zgliszcza.

Sądząc po ich mowie, nie byli prostymi żołnierzami. Tristen nauczył się dostrzegać podobne niuanse, aczkolwiek nie wielką przypisywał im wagę, kiedy rzecz dotyczyła takich jak ci, dzielnych ludzi. Ich uczynki przydawały im szlachetności. Chociaż nie zamierzał dopuszczać uzbrojonych Elwynimów do Henas'amef, a to przez wzgląd na swe obowiązki jako diuka Amefel, miał oto przed sobą poddanych Ninevrise, walczących z Tasmordenem, sprowadzających waśń w granice jego prowincji.

Lecz miał także przed sobą konie bliskie ochwacenia i ludzi, którzy w siodle bądź pod namiotami przetrwali wywołaną przezeń nawałnicę. Dręczyły go wyrzuty sumienia na myśl o ich niedolach.

–Jedźcie dalej, a znajdziecie żywność i schronienie dla siebie i waszych koni.

–Pójdę pieszo, jeśli łaska – rzekł dowódca słabowitym głosem. – Chyba nie zdołam wsiąść na konia, a i on już ślania się na nogach.

Jak powiedział, tak uczynił. Grzęznąc po kolana w wodzie, ruszył niepewnym krokiem przez bajoro, wiodąc za sobą wierzchowca. Za nim szli pozostali, także prowadząc swe konie.

Tristen i Uwen jechali po bokach, eskortując ich aż do błotnistej dróżki między zagrodami.

–Hop, hop! – zawołał Uwen, gdy dreptali ścieżką. – Bywajcież, a żywo! Zająć mi się tymi końmi, jeno baczyć na ich nogi! Te zwierzęta przebrnęły przez burzę i powódź!

Z szop i bud powychodzili chłopcy. Lusin z resztą straży wyszedł ze stojącej przy murze chałupy stajennych.

Ubrudzeni Elwynimi zdołali jakoś dojść do chaty, gdzie Aswys i starsi stajenni usadowili ich w cieple, rozdali im suche koce, po kubku grzanego wina, a nawet świeży chleb z masłem... na który wyczerpani goście z brudnymi rękami mogli tylko patrzeć pożądliwie, zbyt zmęczeni, by przełknąć więcej niż kilka kęsów.

Tristen, w ciepłym płaszczu i w suchych butach, czego Elwynimom brakowało, siedział przy ogniu i słuchał wraz z Uwenem relacji ludzi, których nowiny brzmiały tak, jak się tego należało obawiać: upadkowi Ilefianu towarzyszyły grabieże i wielki zamęt, a tylko znikoma część sił Elfharyna zdołała ujść cało z murów.

Rdzenna jednostka tych żołnierzy, nie mając kontaktu z żadnym silnym punktem oporu, w wielkich trudach przedarła się spod Ilefianu w stronę rzeki, zabierając ze sobą konie i broń. Zamierzali przetrwać sposobem zbójców wśród amefińskich gór i wysłać wiadomości do Ninevrise, żeby się dowiedzieć, czy mogą liczyć na jej pomoc.

–Nowy lord Bryn przekazał nam niespodziewane wieści – mówił ów najwyższy rangą, człowiek o imieniu Aeself, pułkownik, siostrzeniec Elfharyna. – Usłyszeliśmy w Modeyneth o starym murze, Waszej Miłości i Maurylu Gestaurienie, tedy przybywamy, by złożyć w twe ręce wszystko, co mamy: nas samych, naszą broń i to, co zostało z naszych fortun.

Niewiele posiadali oprócz broni i wyczerpanych koni, aczkolwiek liczyła się ich odwaga i wytrwałość, dzięki którym tak daleko zaszli – do miasta, gdzie niegdyś, jako ozdoba bramy, wisiały głowy elwynimskich posłańców.

–Najpierw się wyśpijcie – powiedział Tristen. Przepuszczał, iż ludzie ci nie spali w nocy. – Kiedy już nabierzecie sił, przyjedźcie do Zeide. Pożyczcie sobie konie. Pokażecie mi na mapie, gdzieście się przeprawili. – Zdawał sobie sprawę, że skoro im się powiodło, mogli spróbować także inni, i to nie tylko poddani Ninevrise. Brakowało mu rzetelnych wiadomości na temat przepraw i brodów, których mogły używać grupy intruzów. Zwrócił się do Uwena: – Znajdź dwóch jeźdźców, niech zawiozą do Althalen wiadomość, że ich towarzysze dotarli do mnie bezpiecznie.

–Lepiej posłać od razu więcej ziarna. Trza im tam będzie teraz sporo koni wykarmić, a śląc ziarno do Modeyneth, dużo czasu stracimy.

–Zgoda.

–I namioty – mówił Uwen. – Takż siekiery i liny. Osada tam wartko się rozrasta,

panie, a teraz jeszcze ta kompania.

Już nie siedziba sów i myszy, pomyślał Tristen. Zanim wyszedł, Aeself padł na kolana, upierając się złożyć przysięgę, co też uczynił.

–Przyjmij moje przyrzeczenie – powiedział – albowiem ofiaruję ci me służby w życiu i w śmierci. I niech bogowie mają w opiece Elwynor!

–I my przyrzekamy – rzekł Uillasan, najstarszy z całej trójki. On też uklęknął, ujął dłoń Tristena i złożył przysięgę.

Jednakże Angin, ostatni i najmłodszy, powiedział:

–Przysięgnę przed Zapowiedzianym Królem... albowiem właśnie go ujrzałem.

Błysnęły zdumione spojrzenia, nawet Uwen był zaskoczony.

–Miej się na baczności, panie – mruknął na ucho Tristenowi. – Nie przyjmuj od niego takiej przysięgi, boć przecie nie byłoby to mądre, a i o braku lojalności by świadczyło.

–Przychylam się do zdania Uwena – powiedział Tristen do młodego człowieka.

–Wszyscy tak myślimy – odezwał się Aeself. – Możesz nas kazać oćwiczyć, panie, lecz chłopak prawdę rzekł. Tyś naszym panem i basta.

Tristen dostrzegł zafrasowane miny strzegących go gueleńskich gwardzistów, jak również minę Uwena. Także przerażone obliczają stajennych, zarówno Gueleńczyków, jak i Amefińczyków.

–Zostałem Uformowany, nie zrodzony – stwierdził otwarcie.

–Niektórzy powiadają, że jestem Sihhijczykiem, inni zaś, że byłem kiedyś Barrakkethem. Mogą mieć rację. Ja wam jednak mówię, że na imię mam Tristen, a dopóki tak mówię, nawet życzenie czarodzieja nie jest w stanie przemienić mnie w inną istotę.

–Wedle woli mego pana – powiedział Aeself, w czym mu zawtórowali pozostali, umęczeni, osłabieni wskutek zimna i trudów drogi, na granicy omdlenia.

–Zajmijcie się nimi – polecił Tristen stajennym, gdyż nie chciał przysparzać cierpień żołnierzom, każąc im znów siadać na konie i wspinać się na wzgórze, skoro dopiero co się ogrzali i ściągnięto z nich przemoczzone zbroje. Tutaj, w kwaterach stajennych, mieszkali ludzie znajdujący się na lekach, wyposażeni w balsamy i zapewniający wszelkie wygody ludziom i zwierzętom. – Niech przyjadą do fortecy, kiedy odzyskają

siły... Co z naszymi końmi? Gotowe?

–Gotowe, panie.

–A jeśli chodzi o to, o czym tu prawili i co chcieli przysięgać – rzekł Uwen ostrym tonem – i czegoście tu byli świadkami... Wino im do głów uderzyło, to wszystko. Zaczniście gadać, a porachuję się z wami!

–Wino uderzyło im do głów – powtórzył Aswys. – Nic, jeno wino. Niech no jeden z drugim coś innego zapamięta, a sam obedrę go ze skóry, panie.

Grzane wino mogło nakłonić żołnierzy do przysięgi, pomyślał Tristen, wziął sobie jednakże do serca ich słowa, podobnie jak kiedyś słowa Ulemana i Leciwej Syes.

Elwynimi mogli nazywać go królem, Najwyższym Królem czy jakkolwiek chcieli: w ujęciu czarodziejów prawdziwymi były pewne rzeczy, które nie wydawały się takimi zwyczajnym Ludziom i na odwrót. Ongiś był Barrakkethem, ale zarazem nim nie był, skoro był Tristenem, spadkobiercą Mauryła, i tego właśnie chciał. Barrakketh mógł być sihhijskim lordem, a także panem tych wszystkich ziem, którymi władali Najwyżsi Królowie, lecz nie był nigdy królem w takim sensie, w jakim byli nim późniejsi lordowie.

–Jeśli naprawdę jestem Barrakkethem... – powiedział do Uwena, Lusina i reszty przed bramą grodu, póki nikt im jeszcze nie towarzyszył -...jeśli naprawdę nim jestem, to przecież Barrakketh nigdy nie był królem. To, co myślą Elwynimi, i tak niczego nie zmieni.

–W winie prawda – odrzekł Uwen, jadąc na gniadej Gii obok Tristena na pocziwym, kudłatym Petellym. – To mówili, co im w duszy grało. Teraz pewno myślą, że ci przysięgali. Dziękuj bogom, że Jego Wielebność w Guelessarze siedzi. Ich pan nie żyje, jeden i drugi, a przecie Elwynimi od sześćdziesięciu lat króla wyglądają, tedy się i nie dziw. Ludzie od dawien dawna o starym prorocztwie bają. Szukają takiego miejsca, gdzie by mogło pasować.

–To nie jest to miejsce.

–Jesteś Sihhijczykiem i lordem. Sam przyznasz, panie, że to rzecz niezwykła w Ylesuinie.

–Jestem diukiem Amefel, przyjacielem Cefwyna i Jej Miłości. Spadkobiercą Mauryła. I Emuina, kiedyś. Tyle wystarczy.

–Racz wybaczyć, panie, ino ja bym się miał na baczości, mówiąc cosik takiego. Elwynimi gotowi jeszcze podejrzeń nabrać.

Ci sami mieszczanie, którzy w świąteczne dni pozdrawiali go na ulicach, wołając: "Lord Sihhe!", tym razem nie zauważyli niczego nadzwyczajnego w jego wyjeździe i powrocie. Skoro brakowało oznak oficjalnego przemarszu, przerywali tylko pracę i pochylali głowy.

Równoległe z nimi biegła podejrzana i hałaśliwa gromadka dzieciaków, na którą Petelly zerkał nieufnym wzrokiem. Podobne rzeczy często się trafiały w Henas'amef. Dawno już gród nabrał w jego oczach swojskiego charakteru, nawet mimo różnych przeszkód i zdarzeń. Postanowił go pokochać, lecz żołnierze w stajni zagrażali tej miłości... Zagrażali mu w równym stopniu, co pomagali lady regentce.

Musiał im to uzmysłwić. Chcieli od niego czegoś, czego im nie mógł dać. Chcieli dać mu coś, czego nie miał prawa przyjmować... Do czego nigdy nie miał prawa. To tu było jego Miejsce w świecie, jego, Crissanda, ich dwóch – dawno, dawno temu również Barrakketh wysoce sobie cenił praprzodka Crissanda – takie odnosił wrażenie, choć niczego nie pamiętał, nic więcej mu się nie objawiało. Trzech jeźdźców z północy mogło zakłócić jego spokój tej zimy, toteż wziął głęboki oddech i zapragnął spokoju dla prowincji, bezpieczeństwa dla gości i żeby wojna oszczędziła tych wszystkich, których pognębił deszczem i wichurą.

Niechaj śniegi zasypią Ilefian. Śniegi głębokie, nie dające wytchnienia wrogowi. A na południe niech spadnie błogosławieństwo wiatru, tak by znikły kałuże i wyschły pola. Niech rzeka da ujście nadmiarowi wody, niech łodzie z Olmernu dopłyną bez przeszkód, ażeby nakarmić głodnych i dostarczyć zaopatrzenie obrońcom prowincji. To było jego zadanie, a z tego, co widział, wnosił, iż idzie mu wcale niegorzej.

Tego pragnął. Kiedy nareszcie dotarł do fortecy i do własnych komnat, rozłożył mapy, przywołał Crissanda i posłał po Azanta, lordów będących akurat pod ręką.

–Mamy gości – obwieścił, stojąc przy stole, który o innej porze nakrywano do obiadu. – Mamy gości, jednych w stajniach u stóp wzgórza, drugich w Althalen. Elwynimska kompania uciekła do nas z bronią i przysięgła nam służyć.

Co ci żołnierze chcieli mu przysiąc i co być może zaprzysięgli sobie w sercach, tego ani on, ani Uwen nie wyjawili. Był pewien, że teraz śpią i prawdopodobnie zbudzą się dopiero po kilku godzinach.

Odkąd wrócił, przez cały czas wyczuwał obecność Paisiego, wielce zajętego, biegającego tu i tam z polecenia mistrza Emuina. Nadto czuł, że czarodziej pilnie nasłuchuje wieści o bieżących wydarzeniach.

Wspinaczkę do izby mistrza Emuina uważał wprawdzie za rzecz zbyteczną, kiedy jednak zdał pełną relację Crissandowi i Azantowi, cicho, wręcz z bojaźnią udał się do wieży.

–Proszę, proszę – rzekł Emuin, gdy Tristen zamknął za sobą drzwi i spojrzał mu prosto w twarz. – I cóżeśmy to dzisiaj działali, młody lordzie?

–Ustanowiłem w Althalen wioskę, a pewni żołnierze złożyli mi przysięgę jako Zapowiedzianemu Królowi – wyrzucił z siebie całą prawdę, dziwnie zażenowany. Obawiał się, że kwestia związana z zaproszeniem Elwynimów ma drugie dno i że istotnie jest głupcem, jak go nazywał Emuin. Co się stało, to się stało, lecz nie tak ostentacyjnie i jawnie, jak by mogło... lub jak jeszcze może się stać w przyszłości. Przynajmniej został uprzedzony.

–No i proszę. – Emuin siedział przy stole obłożonym wykresami przytrzymywanymi na brzegach podejrzanymi garnuszkami tudzież filiżanką herbaty. – Powiadasz więc, młody lordzie, że masz zmartwienia. Tylko czyś aby naprawdę zaskoczony?

–Nie pragnę niczego, co mogłoby zaszkodzić Cefwynowi. Co mam dalej robić? – Głos wiązał mu w gardle, z trudem wypowiadał słowa. – Coraz bardziej się boję, panie. W stajni są Elwynimi razem z ludźmi, którzy przyrzekli mi nic nie mówić. Ale i tak powiedzieli. I jeszcze nie raz powiedzą, a potem przyjadą lordowie z południa i co wtedy? Ta armia jest armią Cefwyna. Elwynor należy do Jej Miłości, nie do mnie.

Emuin wstał od stołu i odwrócił się doń plecami, wpatrzony w okiennice. Pasi był nieobecny, wypełniał jakieś polecenie, co cieszyło Tristena, mógł przynajmniej mówić bez świadków.

–Cefwyn wie – powiedział Emuin równie cichym głosem. – Podobnie jak jego ojciec, nawiasem mówiąc.

–Inareddrin? O mnie?

–Cefwyn napisał mu latem w liście, jakoby odnalazł Zapowiedzianego Króla Elwynimów. Nadmienił też, że związał cię przysięgą wierności... trochę na wyrost, boś wtedy nie miał pojęcia, czym naprawdę jesteś. Rozbudziło to wszakże królewską podejrzliwość: oto jego syn i dziedzic odebrał przysięgę od... – Emuin westchnął głęboko -...od sihijskiego dziedzica. Bez chwili zwłoki, wściekły i dręczony wątpliwościami, Inareddrin wyruszył na południe... gdzie wpadł w zasadzkę Aswyddów, która omal nie pochłonęła wszystkich trzech Marhanenów. Jego nierozważne działanie to typowy przykład królewskiej ekstrawagancji. Przecież mógł tam wysłać innych. Gdyby posłał kogoś w zastępstwie, inaczej by się to wszystko potoczyło. No i zginął z powodu swej nieokiełznanej pasji. Ale Cefwyn nie słuchał, kiedym mu to usilnie tłumaczył.

Tristen przysłuchiwał się temu z trwogą w sercu. Zrozumiał wyraźnie jedną rzecz.

–Cefwyn wiedział.

–O tak, niewątpliwie.

–Kiedy nadawał mi Althalen, znał treść przepowiedni.

–Owszem, młody lordzie. Prawdę mówiąc, sam się długo głowiłem nad tym, co zrobił. Może jednak musiał coś zrobić, jak nie jedno, to drugie, wybrał więc łatwiejsze rozwiązanie. Bezbolesne.

–Nigdy bym mu nie sprawił bólu. Nigdy.

–Oczywiście, że nie. Nazywasz go przyjacielem. Możemy teraz walczyć z proroctwami i czarami. Cefwyn jest twoim przyjacielem, dzięki czemu uniknął najgorszych pułapek. Już gdy cię po raz pierwszy zobaczył, dostrzegł w tobie coś niezwykłego, a mimo to cię polubił i za moją radą uczynił swym przyjacielem. Tak mu doradziłem i wyszło mu to na dobre.

Tristen czuł się dotknięty do żywego.

–Cieszę się, że tak mu doradziłeś, panie. Ale czy tylko za twoją radą?

Emuin potrząsnął głową.

–Nie, nie tylko za moją radą. On cię miłuje. To oczywista prawda. Podobnie ty miłujesz jego.

Strach go nie opuszczał.

–Co powinienem zrobić? I nie zbywaj mnie tym razem byle jaką odpowiedzią, panie. Czy powinienem sięść na koń, wrócić do Ynefel i stawić czoło wrogom Cefwyna? Albo... – Nawiedziła go pewna myśl, przypominająca wcześniejsze wyobrażenia: może Mauryl wyznaczył okres działania czaru, który go Wzywał i Formował, i który miał się urwać raptownie po dopełnieniu się roku lub pewnej wiosennej nocy? – Jeśli na wiosnę, któregoś dnia o północy, zaklęcie Mauryla przestanie działać, wszystko się rozstrzygnie, prawda? Czy i ja wtedy zniknę? I czy powinienem?

–Nie wiem – odparł Emuin. – Co się tyczy czarów, nie widzę powodu, by zaklęcie miało przestać działać.

–Ale ja widzę. Widzę mnóstwo powodów, o ile Mauryl troszczył się cokolwiek o Marhanenów, Emuin uniósł brwi.

–Miałby się troszczyć o Marhanenów? Nic mi o tym nie wiadomo.

To mu wcale nie dodało otuchy. Ów niezwykle rozpoczęty dzień zasnuwał się jakby mrokiem, w miarę jak padały kolejne straszne zwierzenia.

–Czy Mauryl był ich wrogiem? Co było w tych listach do Aswyddów? Przecież tu wtedy mieszkałeś. Co było w tych listach?

–Oho, dobre pytanie.

–W takim razie odpowiedz!

–Mauryl posłużył się Marhanenami, żeby zniszczyć Sihhijczyków. Nie darzyli się przyjaźnią, lecz postanowili sobie nawzajem pomóc. Dlatego Selwyn Marhanen ochronił dwóch czarodziejów przed quinaltyńskim prześladowaniem. Ja byłem jednym z nich.

–A drugim był Mauryl. Co z innymi, którzy mu pomagali w Althalen?

–Nie żyją. Trzech zginęło od razu, reszta w ciągu kilku następnych lat. Jeden w Elwynorze.

–W Elwynorze?!

–Nie żyje, powtarzam. Krewniak Aswyddów. Miał na imię Taryn. Gdyby żył, wiedziałbym o tym.

–Dlaczegoś mi tego nigdy nie powiedział?

–Może dlatego, że to bez znaczenia. Taryn Aswydd ma się nijak do ciebie. A inni...

–Inni?

–Inni mogliby mieć z tobą jakiś związek. Żywych i martwych Aswyddów Cefwyn wygnał z prowincji. Wykopał ich ciała z ziemi, wydzwignął z grobowców i całą zgraję odesłał za granicę, do poświęconej ziemi w Guelessarze. Brakuje tylko Taryna, który ma sarkofag lub mogiłę gdzieś w Elwynorze.

–Tym razem potrzebuję twojej rady, panie. Wiem, chcesz, żebym myślał samodzielnie, ale w tym przypadku proszę, byś mi szczerze powiedział, co o tym wszystkim sądzisz.

Emuin westchnął przeciągle.

–Chcesz rady? W porządku. Jak kiedyś kazałem Cefwynowi zdobyć twoją przyjaźń, tak teraz tobie radzę: zdobądź jego przyjaźń.

–Czyżbym jeszcze... jej nie zdobył?

–Zdobądź jego przyjaźń.

Znów dała o sobie znać pokrętna, tajemnicza, uparta i doprowadzająca do szału natura Emuina. Martwy Aswydd w Elwynorze, żywi Aswyddowie zesłani do Guelessaru, Elwynimi w stajniach, Emuin mówiący o przyjaźni. Cefwyn też narzekał na ten jego nawyk upartego milczenia, nawet go za to przeklinał... Tristen powstrzymywał się jednak od tego, na razie. Emuina krępowały osobiście surowe zasady, zaczynał to rozumieć. Pojmował, że coś wie, ale zarazem nie wie do końca, i że nazywanie rzeczy po imieniu ma pewną moc... i jest brzemieniem. Pofolgował życzeniom związanym ze śniegiem i ładną pogodą, przez co nieopatrznie omal nie spowodował katastrofy.

Myśl o ledwie uniknionym nieszczęściu otrzeźwiła go i przywołała do porządku. Uświadomiła mu, ile zawdzięczał Emuinowi, który robił bardzo mało, a i to po długim namyśle.

–Dziękuję, panie.

–Za co?

–Za twoją nieugiętość. Za twoje milczenie. Za to, że o wszystkim myślisz.

Emuin wybuchnął śmiechem, wyraźnie zaskoczony.

–Mauryl mawiał, żem zmienny jak chmura.

–I równie nieuchwytny.

Raptem na schodach dało się słyszeć tupanie i sapanie chłopca. Pasi taszczył jakiś ciężar, zatem kończyła się ich rozmowa sam na sam.

Zdobądź jego przyjaźń. Zdobądź przyjaźń Cefwyna. Ze wszystkich zadań, jakimi mógł go Emuin obarczyć, to było najbliższe jego sercu, choć może najtrudniejsze. Przyszedł tu niemal pogrążony w rozpacz, wszelako otwierał teraz drzwi Pasiemu z lekkim sercem i świadomością, że nie jest już chłopcem na posyłki czarodzieja. Oto mistrz Emuin porучzył mu zadanie, z którego mógł i chciał się wywiązać. Wielkie zadanie, godne lorda.

Pasi dźwigał koszyki z kolacją; sądząc po smakowitym zapachu, miał w nich ciasto faszerowane mięsem.

–Zali i tobie przynieść, panie? – zapytał wystraszony Pasi. – Nie widziałem twych straży, panie.

–Uciekłem im – odrzekł Tristen, po czym wyszedł na schody i zbiegł na dół, jakby miał skrzydła u ramion.

Dużo niżej, na sali, odnalazło go dwóch rozdrażnionych gwardzistów. Jak również natrętni robotnicy, wyrzucający mu, iż drzwi wymagają wykończenia, a oni są biegłymi snycerzami, nie zaś budowniczymi stajen.

–Na razie potrzebujemy stajni i baraków – odparł Tristen cierpliwie. – Po to, żeby tych drzwi już nigdy nie roztrzaskały topory. Później będziecie sobie rzeźbić. Ozdobicie je, gdy czas pozwoli. Teraz potrzebne nam belki i dachy.

–Zabierajcie się stąd! – nakazał im Lusin. Tylko on i Tawwys przyszli Tristenowi z pomocą. – Jak wam nie wstyd lamentami i kapryсами Jego Miłość napastować, a fe! Panie, Elwynimi na zamek zjechali, to znaczy Aeself przyjechał. Co do reszty... Mistrz Haman ich dogląda, boć na chorych wyglądają, a on takich do grodu nie chce puszczać.

Zaraza i wszelkie zmory wojny, wspomniął Tristen ostrzeżenie. Czyżby jakiś czarodziej bez skrupułów chciał zesłać na nich wszystkie te plagi? Najmniejszy ubytek w ich zbroi wymagał natychmiastowego załatwienia.

–Mistrz Haman poradzi sobie z gorączką – rzekł. – Mimo to pójdźcie na górę i powiadomcie o tym Emuina. Na pewno znajdzie jakieś lekarstwo.

–Tak, panie. – Tawwys migiem poskoczył ku schodom, lecz Lusin został na dole, z Tristenem. – Kuchmistrzynie posłała kolację do małej sali, panie, gdzie stolik dla gościa nakryto.

–Trzeba rozłożyć mapy. Nie wszystkie, ale musi ich być dość, żeby mógł nam wskazać, gdzie i jak przeprowił się przez rzekę oraz gdzie może teraz przebywać Tasmorden i co porabia. Chcę też, żeby archiwista wszystko zapisał.

Ten dzień wypełniał istny natłok wydarzeń. Lusin złapał przechodzącego sługę i posłał go biegiem do archiwum po pisarza.

Tristen chciał opisać Cefwynowi wszystko, czego się dowiedział. Chciał zasłużyć na jego przyjaźń.

Tymczasem u stóp schodów pojawił się Uwen, a od zachodniego skrzydła, krocząc wraz ze świtą od strony stajni, nadchodził Crissand. Krok w krok za nim postępował Durell.

Przypuszczalnie ciekawość ogarnęła cały dwór i równie dobrze mógłby powitać Aeselfa i resztę gości w dużej sali. Lordowie; których wcale nie wzywał, szukali pretekstu, by przyjść i zdobyć zaproszenie.

–Tu... i tu... – mówił Aeself, szlachcic obeznany z mapami i wykresami, który gdy wynoszono naczynia po skromnej kolacji, wodził drżącą i poranioną ręką po mapie,

starając się wskazać wszystko, co wiedział. – Tutaj... – Wytyczył palcem linię, najpierw przy Ilefianinie, gdzie rozłożyły się wojska Tasmordena, potem wzdłuż drogi prowadzącej ku granicy i nadrzecznego pasa obstawionego siłami Cefwyna. Zniszczono tam wszystkie mosty oprócz jednego. – Gueleńczycy przemieszczają się z ciężkimi taborami – powiedział – o czym Tasmorden dobrze wie. – Zaniósł się kaszlem, po czym łyknął wina zaprawionego jedną z mikstur Emuina. – Lord Elfharyn wierzył raportom, jakie do nas docierały. Teraz mój lord nie żyje, to jest już niemal pewne... tak samo jak cała armia... – Aeself przesunął ręką nad obszarami wokół miasta. – Bramy się nie oparły.

–Sile oręża? – zapytał Tristen. – Czy może wróg użył innych środków?

–Panie... – Aeself urwał w pół słowa z powodu kaszlu. – Nie wiem. Bramy otworzono nocą i jeśli to zrobił jeden z naszych, niech go piekło pochłonie! Lecz nie mamy pewności, musimy też brać pod uwagę czary.

–Pomaga mu czarodziej?

–Podobno sam jest jednym z nich, panie.

Żadna niespodzianka, żeby rościć sobie prawa do tytułu Najwyższego Króla, należało mieć w żyłach bodaj niewielką domieszkę sihijskiej krwi.

–Tylko czy byłby do tego zdolny?

–Tego nikt nie wie. Niektórzy powiadają, że to wszystko pozory, aby spełniło się proroctwo. Inni o nim mówią, że co ma, skrywa, i chociaż mógłby wygrać bez walki, woli przelewać krew własnych żołnierzy... byle tylko nie zdradzić się przed nami z posiadanych umiejętności. Dotąd nie mamy pewności.

A więc Tasmorden był silnym czarodziejem. Albo i nie. Czyli znów żadnych nowin.

–Nasza walka toczyła się za murami Ilefianu... – kontynuował Aeself. – Powzięliśmy zamiar przyścia miastu z odsieczą od strony północnej. Ale gdyśmy podeszli bliżej, okazało się, że bramy zostały strzaskane, a żołnierze earla plądrują domy. Powstał plan, żeby chytrze podejść oblegających. Tasmorden nas wszelako przechytrzył, u wschodnich bram łucznicy zasypali nas gradem strzał. Dwudziestu dwu naszych wtedy padło, a później jeszcze Saendalanie, ci przekłęci bandyci, następnych dwóch nam ubili. Nie honor nam było uciekać, panie, alem chciałem cokolwiek ocalić, bo tam już nie mieliśmy nadziei. Gdzie był earl, nikt wtenczas nie wiedział. Za to oni wiedzieli, gdzie jesteśmy my. Wiedzieli o tym cały czas i jeśli nie było w tym nic nadnaturalnego, to earl jest niesłychanie mądrym człowiekiem.

–A co ty o tym myślisz?

–Uważa się za króla i potomka Sihhijczyków. Płynie w nim stara krew, a nawet gdyby było inaczej, musi tak twierdzić. W jego wyglądzie jest coś takiego...

–Czyżby? – zapytał Crissand, wprawiając Aeselfa w zakłopotanie.

–Bez porównania z moim panem, rzecz jasna – powiedział cicho dowódca. – Dopiero teraz widzę różnicę, jakiej nigdy w życiu nie spodziewałem się zobaczyć.

–Armia Tasmordena – rzekł Tristen, chcąc zmienić temat. – Gdzie ona?

Aeself dotknął mapy i okrążył palcem Ilefianian.

–Tutaj rozmieścił większość swoich sił, lecz żołnierzom teraz w głowie łupy i knajpy, tedy nierychło się ruszą. Dalej na wschód czeka część rozbitych oddziałów Jej Miłości, przeciwko którym earl jeszcze nie wyruszył, jednakże słaba to armia, panie, bardzo słaba. Earl mapo swej stronie zbrojne siły, lecz nie tylko z nimi wiąże swoje nadzieje. Co poniektórzy twierdzą, że naprawdę jest tym, za kogo się uważa, że płynie w nim magiczna krew. Mimo to nie potrafi oderwać żołnierzy od piwniczek z winem. I to nas chyba uratowało.

Tristen słuchał z rękoma splecionymi nad brodą i wzrokiem utkwionym w mapie: wraz ze szczerym – wydawało się – opowiadaniem Aeselfa odsłaniał mu się jej obraz. Odwiedził Emuina w strachu, wyszedł od niego z nadzieją, teraz z kolei stanął przed trudną, zawikłaną kwestią... Otrzymał złe wieści o położeniu wojsk wokół Ilefianianu, nie lepsze o położeniu wojsk lojalnych wobec Jej Miłości w głębi kraju, nadto miał złe przeczucia, jeśli chodzi o mosty na wschodzie, gdzie Cefwyn zamierzał wedrzeć się do Elwynoru. Cefwyn przewidział jednak taką sytuację, no i miał dobre mapy... W gruncie rzeczy wywiózł z Amefel te najlepsze, pozostawiając mu starsze, mniej dokładne. Tristen zabrał wprawdzie z Guelessaru dwie dość dobre mapy, nie podawały one jednak wysokości gór i nie mówiły o jakości dróg.

Aeself mógłby służyć mu informacjami, lecz zmęczonym i pobladłym dowódcą zaczęły wstrząsać dreszcze, kiedy po obfitym posiłku i piwie musiał odpowiadać na mnóstwo pytań. Walczył desperacko z wyczerpaniem, żeby tylko uzyskać wiarygodność. Tristen położył mu rękę na ramieniu.

–Zechcesz wrócić do swych towarzyszy? Czy też wolisz odpocząć w Zeide?

–Jak mój pan rozkaże. Ale wolałbym być z towarzyszami.

–Jedź więc. Tawwys będzie cię eskortował. – Przy tych słowach sięgnął do szarej przestrzeni, lecz nie wyczuł tam żadnej obecności, podobnie jak nie wyczuwał jej tam od czasu spotkania z tymi ludźmi.

Jednakże wewnątrz owej przestrzeni potrafił zrobić kilka rzeczy, które w świecie

Ludzi były niemożliwe. Wydobył nieco blasku z szarości i umocnił życie w Aeselfie: uwięziwszy odrobinę srebrzystej siły, przekazał ją żołnierzowi, aż pierścień na jego zranionej dłoni rozbłysnął wewnętrznym światłem. Aeself poderwał się z miejsca, jakby świeży duch weń wstąpił. Spojrzał na Tristena z przestrawieniem.

–Przyjmij moje błogosławieństwo – powiedział Tristen. Znaczenie tego słowa umykało dotychczas jego zrozumieniu, choć pojawiało się w księżeczce Efanora i czasami w niespokojnych wypowiedziach Uwena. Teraz jednak, stojąc przed obliczem obolałej osoby, poznał jego działanie, na twarzy Aeselfa zagościł bowiem wyraz ulgi, oczy zajaśniały blaskiem.

–Panie mój – powiedział Aeself, otwarty przed nim bez granic, całą swą wiedzę udostępniając Tristenowi, przy czym nie była ona czymś niezwykłym.

Tristen po raz drugi dotknął Aeselfa, tym razem jego ręki.

–Odpocznij. Weź ze sobą koszyk.

Podczas kolacji Emuin przysłał im na dół wybór ziół, słoiczki z pachnącą zawartością, niewątpliwie zaczarowaną i skuteczną, a także maści i wonne żywice zdolne uleczyć zarówno ludzi, jak i konie.

Aeself zrozumiał Tristena, a także konieczność zachowania dyskrecji. Wiedział ponadto, że na tej małej naradzie nie obowiązuje hierarchia i że spotkał się tu jak równy z równymi, wśród przyjaznych mu lordów, gdzie nie trzeba klękać ani w inny sposób okazywać szacunku. Wystarczyło samo "Panie".

–Idź – powtórzył Tristen.

–Tak, panie – odparł Aeself, po czym wziął koszyk i wyszedł.

Pozostali goście, którzy nadal stali wokół stołu z mapami, nie zdawali sobie sprawy, iż coś szczególnego zaszło w tej ostatniej chwili. Durrell raczył się resztką wina.

Wszelako Crissand odprowadził Aeselfa z zamyśloną miną, niezbyt zadowolony.

–Coś cię trapi? – zagadnął go Tristen spokojnie.

–Nie, panie.

Przypadkowo pochwycił wzrok Crissanda i oto ogarnęła ich szara przestrzeń – nie z jego woli. Był zdumiony. Owa napaść w szarości stanowiła wielkie zuchwalstwo ze strony Crissanda, nierozsądną próbę sił, i to na cudzym terenie.

Szare miejsce bezlitośnie odsłaniało sekrety serca i tę jego cechę Crissand

dostrzegł zbyt późno... albowiem odskoczył, zły i zawstydzony, a szare wiatry zawirowały i z wolna pociemniały.

–Chodzi o to, że złożył mi przysięgę? – pytał Tristen, nie pozwalając Crissandowi uciec z powrotem do świata Ludzi. – Jesteś zazdrosny? Dlaczego?

Crissand wpadł w sidła i nie mógł się uwolnić. Wstyd palił go głęboko w sercu. W normalnym świecie skłonił głowę.

–Panie – rzekł, obłany rumieńcem, podczas gdy Durell i Azant popijali swoje wino.

Tristen przyjrzał się jednak Crissandowi, w którym – w większym stopniu niż u innych lordów – dostrzegł miłość... do niego, a nie do tego, kim był.

Wszystko, czego chciał, Crissand pożądał z wielką, niezłomną pasją, odrzucającą roszczenia innych. Pasja ta wzbierała i wzbierała, aż nadmierne nagromadzenie miłości i potrzeby doprowadziło do desperackiej rebelii, która pochłonęła ich obu, znajdując nagle swe błędne, karkołomne ujście.

–Czyżbym cię uraził? – zapytał Tristen.

Chmury przestały się kłębić, nastał przepelniony smutkiem spokój.

–To nie twoja wina, tylko moja. Jestem Aswyddem, czyż to wszystkiego nie wyjaśnia? Moja krew jest skażona. Nie byłem z tobą gdy to wszystko się działo, ja nie byłem z tobą, no i teraz znalazłeś sobie armię bez nas...

–Jak trafiłeś do tego miejsca? Kto ci o nim powiedział?

–Śledziłem cię, panie.

Śledził go, zaprawdę. Przyjaźń, miłość, zazdrość, wszystko to zburzyło mury. Crissand prawdopodobnie czynił tak już dawniej, lecz z dużej odległości, ucząc się tego, co mogło mu grozić zgubą.

–Łatwo tu zostać, kiedy już się odnajdzie wejście, nieprawdaż? – powiedział Tristen.
– Nie ma nic łatwiejszego. Wierzyłeś mi, kiedy przysięgałeś. Uwierz i teraz. Opanowała cię zazdrość.

–To prawda – odparł Crissand, przybity. Dodał jednak dobitnie: – Ale to my jesteśmy twoim ludem, panie. Byliśmy pierwsi!

Tristen rozważył tę myśl, po czym, zdobywszy pewność, potrząsnął głową.

–Na razie. Lecz nadejdzie dzień, że tylko ty się ostanieś spośród moich przyjaciół. Zasiądziesz, gdzie ja dziś zasiadam. Będziesz aethelingiem. Tak powiedziała Leciwa

Syes. Czyżbyś zapomniał? Albo nie usłyszał?

–Nigdy na twoim miejscu, panie!

–Nigdy beze mnie – rzekł Tristen, dziwnie w tym względzie przeświadczony, oddychając spokojniej. – Nie będę lordem Amefel. Będę lordem Althalen i Ynefel. Cefwyn miał rację, czyż nie?

–Panie – powiedział Crissand na głos, rozdygotany i pobladły.

–Wracajcie do domów – zwrócił się Tristen do wszystkich zgromadzonych. Crissand skłonił głowę i ruszył wraz z resztą ku wyjściu, przygnębiony i zawstydzony.

Także Tristen odszedł, z Uwenem i gwardzistami.

Towarzyszył jednak Crissandowi, gdy ten przemierzał salę i zwoływał za drzwiami swoją straż przyboczną. Czuł, że wychodzi na schody przed dziedzińcem stajennym, w strachu przed własnymi myślami. Wyczuwał go przez cały czas, kiedy sam wspinał się na górę, a on kroczył dalej i dalej po zabłoconym bruku dziedzińca, w kierunku Zachodniej Bramy i własnego domu.

Opuścił Crissanda, kiedy ten przystanął, zmieszany, na mokrych kamieniach poza bramą.

"Panie?", zagadnął gwardzista Crissanda, wyrywając z zadumy młodego earla.

Tristen nie zbliżył się doń więcej, zostawił go sam na sam z jego myślami, pozwolił mu dojść do własnych wniosków.

Aetheling. Władca Amefel.

Tristen wrócił do swoich apartamentów, gdzie troskliwa czeladź zajęła się nim. Podejrzewał, iż zamęt, jaki obaj wywołali w szarej przestrzeni swoją kłótnią, nie uszedł uwagi Emuina, który jednak nie zganił jego działań ani ostrzeżenia danego Crissandowi.

Oddał płaszcz Tassandowi, rękawice innemu słudze, trzeciemu pozwolił ściągnąć sobie pas, po czym odstawił miecz na zwykłe miejsce koło paleniska.

"Iluzja" – taki był napis na jednej stronie miecza, na drugiej zaś "Prawda". Wiedział już, że odpowiedzią jest ostrze.

Odnalezienie ostrza Crissanda nie należało do łatwych przedsięwzięć. Crissand, czego się obawiał, mógł mu jeszcze przysporzyć bólu, podobnie jak on sam

przysparzał go Cefwynowi.

Byli wzorami dla siebie nawzajem. Cefwyn uparcie podążał za radą Emuina; teraz on powinien tak samo postępować względem; Cefwyna... i Crissanda.

Chwycił pióro, zanurzył końcówkę w atramencie i spisał na papierze to, czego nie śmiał otwarcie wyrazić, ale czego wymowę; – miał nadzieję – Cefwyn zdoła zrozumieć... Prawdę, jak też iluzję. Ufał, że i tym razem Cefwyn znajdzie odpowiednie ostrze.

–Dyć spocznij nareszcie – ozwał się Uwen w progu sypialni Tristena, tocząc wokoło zamglonym wzrokiem. Świece błyskały ostatnimi płomieniami, niektóre zupełnie zgasły. Nastąpiła nocna cisza. Mąciły ją jedynie podmuchy wiatru za oknami i miarowe uderzenia okiennic. – Wciąż ino nie dosypiasz, chłopcze. Cóż tam u licha, jeszcze porabiasz o tak późnej porze?

Dopiero teraz słowa Uwena uświadomiły Tristenowi ogrom dźwiganego wysiłku, ciężar podejmowanych decyzji, nikłość nadziei na osiągnięcie celu. Ujrzał przed sobą stos spraw do załatwienia w ciągu nocy, które z różnych przyczyn (uwzględniających odpowiedź Emuina, los Elwynimów tudzież konfrontację z Crissandem) odbierały mu wszelką nadzieję na spanie.

Choć była to już druga taka noc z rzędu, mimo znużenia nie zamierzał zasnąć.

Uwen położył się spać o rozsądnej porze, około północy, ale twarz kapitana, pokryta siwym zarostem, również wyglądała w blasku świec na zmęczoną, naznaczoną znamieniem odpowiedzialności i udręki z powodu nieprzespanych nocy jego pana.

–Drzemię – odpowiedział Tristen. – Wracaj do łóżka. Nie martw się o mnie.

–Sam już nie wiem, skąd siły bierzesz, aby nie zasnąć – rzekł Uwen z chmurnym czołem. – Choć można zgadywać. Racz próśb mych wysłuchać. Idźże w końcu spać, jako przystało na przyzwoitego młodzieńca, głowę skłoń do poduszki. Nie wiem, czyli godziny czarów warto za poduchę mieniać, aliści dobry sen to rzecz wielce krzepiąca, panie. Rozum poprawia, a rozumu nigdy za wiele.

–Spróbuję. Idź spać.

Sądził, że Uwen odejdzie, on jednak pozostał, podszedł bliżej, aż objął ich swym zasięgiem ten sam świetlisty krąg rzucany przez dwie świece. Drugi kinkiet przygasł.

–Zrazu, kiedyś u nas zamieszkał – rzekł Uwen cicho – poznawałeś różne nowe rzeczy, a potem spałeś i spałeś. Pamiętasz, jako razu pewnego taki sen cię zmorzył, że i medycy ręce rozkładali. Pamiętasz?

–Pamiętam.

–A teraz to się nie zdarza, panie. Jenó żeście się z młodym Crissandem szklanym wzrokiem przeszywali, słowa rozumnego nie mówiąc. Atoli nie sypiasz. Nie pomagasz sobie.

–Nie – przyznał. – Chyba nie.

–Osobiście, panie, wolę spać, niżli nie spać, pojmujesz? Tedy proszę, pójdź do łóżka. Chcesz, to się wina napij. Ino spróbuj.

Początkowo Tristen zamierzał dać mu ostrzejszą odprawę, lecz kto jak kto, ale Uwen nie zasługiwał na szorstkie odpowiedzi.

Zaiste, istniały różnice. Dokonała się w nim zmiana: inaczej komenderował Ludźmi i traktował świat poznawanych zjawisk. Ostatnimi czasy nowo napotykané rzeczy nie tyle mu się objawiały, co majaczyły w cieniu jego zamiarów, udzielając ostróg na moment przed czasem, kiedy musiał posłużyć się wiedzą. W jego życiu pojawił się pośpiech. Czuł się, jakby stał nad przepaścią. Zajął się papierami, archiwistami i cieślami, miał na głowie elwynimskie oddziały i zboże z Olmernu, borykał się z adoracją zrozpaczonych ludzi i zazdrością przyjaciół.

Nie mógł więc spać.

Jednak... składał się z ciała, krwi i ducha, o czym niegdyś napominało go głośnie stukanie laski Mauryla na schodach. Stuk! Stuk, puk! Echa wciąż żyły w pamięci, wciąż wywoływały na twarzy grymas strachu. Uważaj! – napominał go Mauryl. Uwen też go napominał. Czy nie powinien mu zaufać?

–Posłuchaj no – rzekł kapitan, spozierając z ukosa na spiżowe smoki. – Legnij sobie na moim łóżku. Żaden z tych stworów nie wisi tamoj człowiekowi nad głową. Nie dziwota, że nijak ci spać pod tymi przeklętymi łbami, atoli kiedyś spać musisz.

–Obiecuję. Obiecuję, Uwenie. Wracaj do siebie. Za chwilę pójdę spać.

Uwen, choć powątpiewał, ruszył w stronę drzwi... Odwrócił się jednak.

–Przysięgnij.

–Na bogów? – zapytał kpiąco. Uwen z pewnością wiedział, że źródło tej kpiny mieści się w książeczce od Efanora. Ale milczał, choć wyjść nie zamierzał.

–Pójdę do łóżka – powiedział Tristen, pogodzony z losem. – Idź już sobie. Tassand nie będzie mi potrzebny.

–Tassand urwie mi głowę, jeśli go nie zawołam – oświadczył Uwen, po czym odszedł.

Ależ się nazbierało kłopotów. Uwen uczepił się kłopotów swego pana jak rzep psiego ogona i za nic nie chciał puścić.

–Panie?

Uwen nie okazywał współczucia ani znużenia. Tristen poszedł do łóżka, odprowadzony przez parę zaspanych służących. Z góry śledziły go uważnie smoki Aswyddów.

Potem, leżąc nieruchomo w ciemności, czuł ogarniające go zmęczenie. I strach. Pragnął bodaj częściowo upewnić się, że wokół panuje należyty porządek... Wysunął macki swej świadomości, równie cienkie i ulotne jak pajęczne nitki, ku sąsiednim komnatom, aż dotknął uśpionych myśli Uwena i nawiedził strażników drzemiących za drzwiami. Przywoływanie snu przypominało rozbijanie namiotu na noc, naciąganie linek to tu, to tam, w stronę solidnego podłoża.

A kiedy sięgnął dociekliwie dalej, dotarł do zajętego czymś Emuina, a także do chłopca, który wcisnął stopy w nowe buty, dostosowując się do nocnego trybu życia czarodzieja.

Nie napędził im strachu, nawet nie zwrócił na siebie ich uwagi podczas swej wędrówki. Chłopiec nalał herbaty do kubka i podał ją lękliwie, skoncentrowany wyłącznie na siwowłosym, nieporządnym człowieku, z którym dzielił wieżę. Emuin dociekał tajemnic gwiazd na wykresach. Chłopiec myślał głównie o jedzeniu i jak by tu zdobyć ostatnie ciastko.

Ten ostrożny wypad zakończył się pomyślnie. Tristen nabrał pewności, iż cały dom jest bezpieczny i otacza go jak koc.

Rozpływał się i rozpuszczał wśród niematerialnych nurtów... świadom obecności wartowników i całej służby w Zeide, zajętej teraz swoimi sprawami. Oglądał także uśpione miasto, w którym tylko kilku ludzi czuwało bądź pracowało... Wypatrzył jednego człowieka o niecnym zamiarach, próbującego uważnie, drżącą ręką, otworzyć pewien zamek. Łotrzyk rzucił się do ucieczki, jednak nie uciekł przed nim, choć skrył się w cieniu, napelńiony trwogą, ukarany w sposób wystarczający na kilka dni.

Tristen poprzestał na napędzeniu mu strachu, ale jeśli przyłapie go jeszcze raz...

Pożeglował dalej, pragnąc odwiedzić Crissanda, lecz w swym niezwykłym nastroju nakazał myślom ominąć jego dom i popłynąć ulicą w stronę bramy.

Niebawem wyczuł obecność ludzi i koni za murami, a później dotarł do uśpionych, przyprószonych śniegiem wioszek na północ i południe od Henas'amef.

Poczuł samotny obóz w Althalen, a także obozowisko żołnierzy nad zimnym, nawiedzanym przez wiatry brzegiem Lenuaimu. Śnił o skrzydłach rzucających cień na drogę, o szerokich zaokrąglonych skrzydłach, spokojnych nocą; pod nimi kłębiły się i wirowały puchate płatki. Zaczął padać śnieg.

Napotkał Sowę, o czym przekonywał go sen. Nareszcie odnalazł źródło swej osobliwej bezsenności. Dotarł do Sowich myśli, pokazywała mu bowiem cały kraj z niebotycznych wyżyn.

Sowa przeleciała dokładnie nad wsią Modeyneth, minęła wojskowe posterunki, most oraz rzekę i poszybowała nad Elwynorem w kierunku grodu zdobytego podczas oblężenia i trawionego przez Płomienie.

Przebywał tam Tasmorden. Wróg zagrażający ludowi Ninevrise i pokojowi w królestwie Cefwyna. Sowa zataczała szerokie kręgi, odnajdując niematerialne Linie zburzonego miasta, popękane i gasnące, coraz słabsze.

Niby śnił, ale zarazem czuł się w pełni rozbudzony, zdenerwowany, skory do pogwałcenia tych wszystkich środków ostrożności, do zachowania których sam przekonywał Crissanda.

Rzeczywiście, dostrzegł mętną czarodziejską poświatę wokół Tasmordena; Tasmorden nie władał nią biegle, jednak zalegała nad całą okolicą, poruszała się – rozjątrzona i wybladła w boju.

Także miasto broniło się własnym czarem, poszarpanym błękitem zapór i obwarowań, które zapewne wzniósł Uleman; owo czyste światło, mimo że fragmentaryczne, świadczyło o wytężonej pracy regenta, ojca Ninevrise. To jego troska, jego odwaga broniła Ilefianu, lecz pękła pod naporem. Do środka, na stępionych ostrzach mieczy i toporów, wdarła się czerwień, strzelała w górę z płomieniami i tliła się wśród zwęglonych szczątków.

Nie pogrzebane, porzucone ciała leżały zamrożone w progach domostw i przed kaplicami, obsypywane śniegiem, jakby miało to przywrócić nocy niewinność.

Ponad najwyższą fortecą w Elwynorze powiewała flaga, a on znał tę flagę... O nie, nie była to czarno-biała szachownica i wieża elwynimskiej regentki, ale czarna chorągiew z pojedynczą gwiazdą, przypominająca do złudzenia czarną chorągiew Althalen.

Nad gwiazdą widniała korona.

Czyżby wyrastała przed nim wizja bieżących wydarzeń, rozgrywających się tejże nocy, i czy Tasmorden tę właśnie chorągiew sobie przywłaszczył? A jeżeli tak, jakim prawem ów człowiek zagarnął ziemię i honory, które Cefwyn nadał już komuś innemu? Jakim prawem umieścił w godle koronę, symbol władzy królewskiej?

Odleć stąd, poprosił Sowę po namyśle, a ona, zatoczywszy duże koło, poszybowała na południe, aby ponownie przelecieć nad rzeką, tym razem bardziej na zachód, gdzie las Marna okrywał cieniem śnieg, połyskując znacznie potężniejszymi zaporami.

Unieśli się wyżej i ominęli barierę. Raptem skrzydła ptaka nachyliły się gwałtownie i Sowa dała zawrotnego nura przez napastliwe wiatry, napotkała bowiem coś, czego się wystraszyła.

Nagle Tristen zauważył, że wiatr ucieka gdzieś w górę, a z dołu pędzi mu ziemia na spotkanie.

Powietrze nabrało formy, przeistoczyło się w pościel. Szalone bicie serca ustąpiło miarowemu łomotaniu, wspomnieniu niedawnej groźby. Tristen wisiał zawieszony w próżni, choć przecież leżał w swym łóżku. Ale takie miał wrażenie. Pióro Emuina znieruchomiało, zaplamiło kleksem kartę. Poruszona w zdenerwowaniu ręka potrąciła kałamarz. Starzec poprawił go jednak machinalnie i wstrzymał oddech, wyczuwając obecność, która wprawiała noc w drżenie.

–Tristen? – zapytał go czarodziej.

–Nic mi nie jest – odparł w szarej przestrzeni.

Mimo to w szarości zachodnia strona okryła się mrocznym cieniem, podobnie jak w jego śnie. Mroźne wiatry przenikały do szpiku kości.

–To był tylko sen, panie, zwykły sen.

–Czy aby na pewno? – Głęboko w sercu Emuina czaiły się pytania i obawy związane z tym cieniem, był to bowiem cień głęboki, posępny.

Tymczasem na wschodzie zaczął rosnać drugi cień, na razie malusieńki, oraz blade światełko niewiadomego pochodzenia. I trzeci, na północy. Tam, gdzie łopotąła czarna flaga.

–Wyczuwani jakiegoś czarodzieja – rzekł Tristen i usiadł na łóżku w chłodnej komnacie, okrywając się szczelnie kocem. – Tam ktoś jest... i tam, i tam, i tam. Widzisz światełka, panie? Patrz, ile ich się pali. Jedno podeszło całkiem blisko... Jedno mnie śledziło...

–Uważaj na siebie! – napomniał go Emuin.

Tristen zeskoczył z łóżka, owinął się kocem i podreptał do sąsiedniego pokoju, strącając po drodze swe okrycie. Doszedł do kominka, gdzie jego miecz stał oparty o ścianę. Uchwycił rękojeść i ściągnął pochwę.

Srebrny grawerunek na klindze, "Iluzja", zajaśniał mdłym światłem, pochwa z klekotem upadła na posadzkę. Nagi, z mieczem w dłoni, wyjrzał przez okno, by wśród nocnych cieni ujrzeć, jak całe miasto Henas'amef płonie setkami Linii poza świecącymi Liniami murów Zeide. Miał oto przed sobą wszystkie zapory, magię rzemieślników i kamieniczników, którzy bronili swoich drzwi i murów; Pospolitą magię rodziców i służby, a także tę związaną z bezgraniczną ufnością dzieci... Doznawał wielkiego objawienia na widok owej nieziemskiej poświaty, obejmującej budynek po budynku, ulicę po ulicy, hen ku potężnym murom obronnym grodu, oślepiającej błękitnej Linii, częstokroć obchodzonej i nieustannie pielęgnowanej. Coś się z nią zmierzyło.

Ale póki co, wytrzymała...

W szybie odbiła się postać Uwena. Jego blada, widmowa skóra przysłoniła labirynt Linii, których gmatwanina wypełniała wizję. Srebrne włosy Uwena zwisały bezładnymi kosmykami wokół łysiejących skroni. Dzierżył miecz w ręku, na piersi przytrzymał koc – niczego więcej nie miał, nie pytał też o powód niepokoju swego pana... po prostu stawiał się uzbrojony u jego boku i stali tak obaj, wystawieni na zimno tchnącej grozą nocy. Przed nimi miasto ujawniało swą wspaniałość.

–Linie – powiedział Tristen. – Wszystkie Linie zabłysły. Tylko się nie ruszaj. Nie ruszaj.

–O co mu idzie? – Przybyły nowe odbicia; gwardziści nocnej straży nadeszli od drzwi, służący ze swych pomieszczeń i z głębi sali.

–Nic się nie wdarło – dodał Tristen. Mimo otwartych oczu miał świadomość wszystkich Linii przed nim, pod nim, nad nim i za nim, całej sieci. Oraz schodów prowadzących do wieży Emuina.

Owszem, wyczuwał także czarodzieja, który po kryjomu, z ostrożnością, jakiej Tristen dopiero się uczył, od kilku chwil stał wraz z nim w szarej przestrzeni, podczas gdy błękitne Linie świeciły mętnie wzdłuż krawędzi schodów w wieży, a potem niżej i niżej, i naokoło dolnej sali, potem znów biegły do góry, migotliwe i żywe niczym słoneczne iskierki na zimowym lodzie.

–Panie? – zapytał Uwen.

–Nic się nie wdarło – powtórzył. – Forteca bezpieczna.

–Tak, panie – odparł kapitan. Stojący nieopodal gwardziści patrzyli na siebie z konsternacją.

I właśnie wtedy Tristen dotknął kamiennego parapetu okna i wyraził w myślach życzenie bezpieczeństwa dla całego miasta.

Przeciwstawiło mu się tylko jedno miejsce. Owa nieciągłość posadzki w dolnej sali, zmiana ze starego na nowe, określająca punkt styczności starej i nowej fortecy. Już kiedy zetknął się z nią po raz pierwszy, wiedział, że to mankament budowli.

Czyżby naprawdę, zapytywał siebie w duchu, brak odwagi nie pozwalał mu zejść dziś na dół i zmierzyć się z czarną czeluścią wschodniej sali? A może to rozważa wzbraniała mu wyzwać na pojedynek coś, co chwilowo nie czyniło żadnego zła... i co, wraz z resztą miasta, opierało się mocom, które jego bezmyślna ciekawość wywabiła z ciemności?

Przesunął dłoń po nadwerężonym niegdyś parapecie, rysując palcem Linie i życząc sobie, aby wytrzymała napory. Dopiero wtedy mógł powiedzieć z pełnym przekonaniem:

–Teraz już jestem pewien. Wracajcie do łóżek. Wszyscy wracajcie do łóżek. Groźba minęła.

Gwardziści odeszli po cichu – niewątpliwie będą mieli o czym dyskutować na sali. Odbicie Uwena pozostawało niby blada mara wśród mroku, wypełniająca okno.

–Śniłem o Sowie – rzekł Tristen. – Na świecie działają czary.

–Ano, panie, tegom się i domyślał.

Tristen uczył w sercu wyciskającą niemal łzy z oczu ulgę, pogodny nastrój Uwena napełnił go wzruszeniem. Uwen nadal miał odwagę pełnić rolę jego przyjaciela i przewodnika, a on nie chciał tej odwagi nadużywać ani żądać jej dowodów.

–Myślę, że dziś już nic nam nie zagraża. – Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z niewzruszonym Uwenem. Oddał kapitanowi swój miecz w obawie, że zanim wsunie broń do pochwy, puszcza mu nerwy. Ciągle jawił mu się przed oczyma obraz Ilefianu i Henas'amef, widok czarnej flagi i błękitnych Linii. – Tasmorden wywiesił chorągiew Althalen.

–Doprawdy? – Uwen wolał go nie pytać, jak się o tym dowiedział, po prostu przyjął do wiadomości zasłyszana wiadomość. – Oj, mądre to nie było, racja, panie? Cosik mi się zdaje, że ty i Jego Królewska Mość zabierzecie głos w tej sprawie.

–Bez wątplenia – odparł Tristen, nie zapominając wszakże o "ptakach" Leciwej Syes

i zastosowaniu, jakie znalazł dla ruin Althalen. Tasmorden zamierzał odzyskać lub pozabijać tych, którzy uciekli przed brutalną wojną na swych ziemiach. A przywłaszczając sobie cudzą flagę, nie myślał wyłącznie o sprawowaniu władzy regencyjnej, ale i o godności Najwyższego Króla: o przybraniu tytułu należnego sihijskim lordom, do którego nawet Cefwyn nie rościł sobie prawa.

Czyżby, przelatując nad zdewastowaną stolicą regentki, pełną jej pomordowanych mieszkańców, sprowokował jakieś siły?

–Możesz iść spać – powiedział do Uwena. – Wybacz mi to zamieszanie.

–Mam tobie wybaczyć, panie? Dyć to ja cię do spania gonił, przez co caluśka noc na głowie stanęła. Jeśli coś tam się złego wyrabia, pewnikiem nie twoja to zasługa.

–Rzeczywiście, nie moja. Wiem już teraz, że to nie ja ściągnąłem błyskawicę na dach świątyni quinaltynów. Cefwyn musiał mnie tu przysłać, bo ja musiałem tu przybyć. Patriarcha wyjechał tam, dokąd musiał wyjechać. Także Aeself na czele swej kompanii zjawił się tu, gdyż musiał. A wszystko dlatego, że mam być lordem Althalen i Ynefel.

–Brr, dziwna to myśl i upiorna.

–Ale taka jest prawda. – Tristen nabrał nagle pewności, iż sama natura świata mogłaby ulec wypaczeniu, byle tylko spełnił się ów jeden cel. A on nie potrafił się temu oprzeć, podobnie jak nie umiał się oprzeć wzywającemu go Maurylowi.

Twór Mauryla? – zadał sobie pytanie. Czy był nim zawsze? Czy był nim nadal?

–Pójdiesz spać? – zapytał Uwen nieśmiało. – A może się boisz? Jeśli chcesz, będę czuwał.

Troska Uwena wydała mu się nęcąca. Po ciągle żywej w pamięci debacie z lordami ogarnęło go przemożne znużenie. Po wielu niedospanych nocach poczuł głębokie pragnienie snu, jak gdyby od dawna czekał na tę chwilę, a teraz, skoro nadeszła, nie potrafił się oprzeć pokusie.

–Tak – odpowiedział. – Tak, pójdę spać.

–Jesteś pewny?

–Jestem. Życzę ci dobrej nocy. Spokojnej nocy.

–Dobranoc, panie. – Uwena wciąż nękały wątpliwości, życzył mu więc spokojnej nocy, życzył mu jej z czarodziejską siłą, mając nadzieję, że Uwen zapadnie w twarde sen i nie będzie wystawiał się na ryzyko konfrontacji ze zjawiskami, które się działy

tej nocy.

Sam zaś wrócił do łóżka – łóżka Orien, łóżka Heryna. Nigdy o tym nie zapominał. Smoki patrzyły nań z wysoka, wysuwały szpony i prostowały skrzydła.

Sny o Sowie były lepsze od innych snów, lepsze też od ich braku, albowiem normalnie w wyobraźni nie jawiły mu się przyszłe czasy, które, jak przypuszczał, widywali Ludzie. Na nieszczęście mógł tylko dostrzegać dzień dzisiejszy oraz wspomnienia z jednego, krótkiego roku swego istnienia. Wszelkie wyobrażenia następnego roku nadal mu się ukazywały w niejasnych fragmentach. Nie miał też pojęcia, jak dużo Ludzie wiedzą o czekającym ich życiu.

Pewnego razu Mauryl powiedział mu, że jest czystą kartą. Pod pewnymi względami stan ten nie uległ zmianie, prawdy wciąż znajdowały miejsce na czystym podłożu.

Był kartą niosącą w sobie zgubę, jeśli na niej pisać – tak wyraził się Mauryl. Mimo to wielu ludzi wypisywało na niej swoje prawdy: Mauryl, Emuin, Cefwyn... nawet Uwen, Tassand, Lusin i cała reszta. No i Crissand. Orien Aswydd, na swój sposób. Oraz Ninevrise. Dlatego właśnie sprowadził na powrót Amana i Nedrasa, strażników bramy, i młodego Paisiego, którego czary były niby płomyk świecy podczas huraganu. Mogły łatwo zgasnąć, gdyby chłopiec wyszedł poza obręb bezpiecznych murów, albo też rozbłysnąć czarodziejskim płomieniem, gdyby natrafił kiedyś na właściwy materiał.

Była jeszcze kuchmistrzyni i Haman – przykłady uczciwej pracy i sprawnego zarządzania... Wszyscy ci ludzie służyli mu swymi umiejętnościami, kiedy objął władzę, kiedy rządził, kiedy usiłował rządzić mądrze i uczciwie.

Jeszcze nie tak dawno stał na szczycie wzgórza w Guelessarze, zastanawiając się, jak by to było cofnąć się wspomnieniami ku latom, których nie miał. I jak by to było wyobrażać sobie z wyprzedzeniem, jakich chwil będzie świadkiem po zejściu z pagórka.

Nie wyobrażał sobie wtedy, że tutaj powróci. W żaden sposób tego nie przewidział.

Wyobrażenia wciąż nie pozwalała mu zdobyć pewności, czy ujrzy wiosnę albo czy Zeide i Henas'amef nie stłamszą go swoją długą historią.

Czyż Emuin nie twierdził, że przesilenie zimowe jest punktem zwrotnym w roku, gdy wszystkie dokonane rzeczy zawracają i rok zaczyna nakładać się na siebie? Kiedy Jeśli nie właśnie wtedy, magia ma największe pole do działania? Wszystkie rzeczy wbiegają wówczas na nową ścieżkę i nie ma nic niemożliwego.

Jego własny rok życia miał dopełnić się gdzieś w środku wiosny. Czy zobaczy następny? Mimo zapewnień Emuina nigdy mu go nie obiecywano. Mauryl przyzwał

go na świat na wiosnę, lecz latem zostało już wykonane wszystko, co mu zlecił...
Czyż nie?

A może jego życie nadal się przekształcało, nadal wędrowało po świecie?

W szarej przestrzeni panowało delikatne poruszenie: Emuin myślał o nim, rozważał jego pytanie. Szkoda tylko, że mu nie wyjaśniał, dlaczego jednocześnie zabłyśły wszystkie zapory grodu.

Interludium

Nitka za nitką, kolejne perły, kolejne stosy błękitnych i białych tkanin... barwy Murandysu bowiem – niebieskie ze złotym skosem i quinaltyńskim emblematem w srebrnej podstawie – przypominały też barwy domu Ninevrise, barwy rodu Syrillasów. Ironia losu zawarta w tym zbiegu okoliczności nie uszła uwagi żadnej z dworek żmudnie obszywających perłami atłasy.

W szczególności nie uszła uwagi Ninevrise, która od czasu do czasu wracała wspomnieniami do o ile szczęśliwszych chwil własnych przygotowań, a także do ceremonii ślubnej w wielkiej, rozjaśnionej mnóstwem świec, dudniącej echami świątyni quinaltynów.

Luriel z Murandysu, obszywając koronką atłasowy rękaw, zręcznie balansowała między ubliżeniem żonie swego niegdysiejszego narzeczonego i wychwalaniem nadzwyczajnej okazji, jaka jej się trafiła w osobie obecnego narzeczonego... co było mądrym zachowaniem, ponieważ tuż obok siedziała siostra owego szlachcica, Brusanne z Panysu, dostojniejsza od niej członkini tego wąskiego grona. Luriel dawała wyraz swemu niezwykłemu zauroczeniu Rusynem z Panysu. Wprawdzie nigdy wcześniej nie uwzględniała go w swych rachubach, lecz teraz, kiedy już wysunął swoją kandydaturę, jakżeby inaczej, był miły, przystojny i inteligentny, oczarował ją swoją młodością i chyba, chyba się w nim zakochiwała... Może zbytek poświęcenia, jednak dzielny wysiłek.

Pokojowe spotkania łatwo przeradzałyby się w kłótnie, gdyby Luriel była idiotką. Lecz nią nie była, chwala bogom.

Nie zamierzała nią również być Ninevrise. Nawet jeśli zazdrość wgryzała jej się w serce, to nie dlatego, że Cefwyn kiedykolwiek kochał tę damę – w gruncie rzeczy była przekonana, iż Cefwyn nigdy nie troszczył się o Luriel, okazywał jej tylko rycerskość, tak samo jak innym wpadającym mu w oko damom. Małżeństwo z Luriel, do którego omal nie doszło, stanowiło podówczas rację stanu (przed podobną koniecznością stał teraz Efanor). Zazdrość Ninevrise miała jednak inne podłoże. Owa narzeczona pośledniego arystokraty, chociaż narażona na przytyki wdowy z Bonden-on-Wyk, zdawała się piastować niepodzielną władzę wśród dam dworu... jej dworu.

Ninevrise nie przewidziała takiej sytuacji i szukała na to jakiegoś lekarstwa. Póki co, nadaremnie.

Nitka za nitką, podczas gdy nie wolniej od srebrnych igieł latały języki: każdy grzeszek Artisane, każda ambicja dawnej prowodyrki wszelkiej złośliwości na dworze była obecnie przedmiotem namiętnej dyskusji. Damy uśmiechały się do Luriel, obmawiając najdrobniejsze gafy i niedostatki umysłu nieobecnej Artisane. Mnożyły się kąśliwe uwagi.

Czyż należało zakładać, iż tylko Artisane stanowi treść podobnych rozmów? O nie, Ninevrise miała pewność, że istnieją także inne tematy. Jedynym filarem powagi i zdrowego rozsądku we fraucymerze była Margolis, żona zbrojmistra, która zwykła mówić szczerą prawdę i nie tolerowała złośliwych pomówień.

Oczywiście, kiedy Margolis usługiwała swej pani, dowiadywano się mniej. A tymczasem do wielu domów dotarła już pogłoska o królewskim liście do Ryssanda, budząc odzew wart wysłuchania... Obecność Margolis czasem przeszkadzała.

Na dworze panowała zgodna opinia, że w ślad za tym listem pójdą negocjacje i pojednanie z królem. Co z kolei oznaczało, że wszystkie przymierza, niektóre dopiero co podpisane i bezprecedensowe, podlegały rychłej rewizji.

Czyżby Ryssand miał wrócić, i to połączony z tronem jakimiś nowymi, zacieśnionymi więzami? Czyżby obmyślił sposób bezbolesnego powrotu? Ba, cóż w takim razie robi Artisane, która obraziła małżonkę króla? Nastąpi pokuta? Może w postaci klasztoru? Podobna myśl przejmowała dreszczem młode kobiety, albowiem żadna z nich nie wyobrażała sobie życia spędzonego na kontemplacji, bez festynów i bankietów. Wszystkie wyznawały quinalt, choć ani jedna nie potrafiła podać racjonalnych założeń swojej filozofii. Recytowały tylko z pamięci, czego powinny się wystrzegać.

Dziwne, pomyślała Ninevrise, obszywając drobnymi, zwinnymi ruchami rąbek sukni swej rywalki. Dziwne, że normy i postulaty moralne wszystkich tych quinaltyńskich niewiast nie uwzględniały miłości. A nuż to za sprawą złego uroku król, miejscowym zwyczajem, podarował wybrance żołędzia? A nuż bryaltyni uprawiali czarowniczą sztukę? Czy ktoś w ogóle zwrócił uwagę, jak podczas uczyty kapłan bryaltynów wodził palcami wokół brzegu pucharu z winem?

Doniosła jej o tym wczoraj pokojówka – damy nie przejmowały się nigdy jej obecnością w czasie plotek. U kogoś innego podobny gest nie miałby żadnego znaczenia, lecz ojciec Benwyn, a jakże, oddawał się osobliwej bryaltyńskiej praktyce, broniąc się przed trucizną w winie. Tylko kto chciałby otruć ojca Benwyna, człowieka niegroźnego... aczkolwiek heretyka, rzecz jasna. No, może prawie heretyka.

Fiselle, jej pokojówka, roztropna dziewczyna, uznała za stosowne powiadomić ją o tym.

Tak więc dni przemijały, perła po perle, nitka po nitce. Ninevrise codziennie uśmiechała się do Luriel, mając na uwadze wojska i mosty prowadzące do Elwynoru. Co noc oddawała się miłości, niewyobrażalnej i bezbrzeżnej, w ciepłym blasku świec i namiętym uścisku kochanka. Szalona pasja porywała ją i Cefwyna. Nurkowali pod koce, gdzie założyli i badali własne królestwo. Wówczas wszystko było cudowne.

Każdego ranka jednak słońce wstawało nad widnokrzem i lypało na świat chłodnym, zimowym okiem. Trapiły ją bóle głowy i marzyła o malinach, których nigdzie nie mogła kupić. Nie przyznawała się do tego pragnienia, tylko patrzyła w lustro, zastanawiając się, na jakie igraszki losu naraziła swe życie.

Codziennie umierali jej ludzie, a igły wciąż szyły, sadząc perły i tworząc wzory w świecie panien i matron. Efanor ubiegał się o rękę Artisane, Cefwyn rozgrzeszył Murandysa i odbudowywał mury swojego królestwa.

"Nie czuję do ciebie urazy" – powiedziała Ninevrise do Luriel na samym początku ich znajomości, podczas ich jedynej rozmowy na temat dawnych związków.

"Wasza Miłość jest bardzo łaskawa – odrzekła wówczas Luriel – Jak rzadko która kobieta. – A potem dodała z brutalną szczerością, mającą posmak wzgardy: – Ja na twoim miejscu byłabym mniej łaskawa".

Słowa te przestrzegały, że ani miłość, ani łaskawość nie sprawiła iż siedzą koło siebie. Po prostu obie prowadziły własne kampanie, równie rozpaczliwe i narażone na krytykę. Obie postanowiły znieść każdą zniewagę, byle spełnić swe pragnienia... A pragnienia te były z sobą czasami zbieżne. Na tym kruchym gruncie zbudowany był pokój.

Ninevrise mogła się wtedy odciąć: "Ponieważ nie możesz być łaskawa, nie jesteś na moim miejscu". Ale nie zrobiła tego, chociaż tak właśnie myślała. Luriel skąpiła Cefwynowi miłości, wierności i lojalności, wobec czego Cefwyn, nie będąc głupcem, odplacał jej pięknym za nadobne. Cefwyn nie mógł pokochać tej kobiety, w miarę upływu czasu coraz dobitniej się o tym przekonywał.

Podczas tamtej wymiany zdań Ninevrise domyśliła się wszystkiego, lecz pominęła tę sprawę milczeniem. Wykorzystała jednak okazję, żeby dać jedną rzecz do zrozumienia Luriel z Murandysu.

"Cokolwiek robię – powiedziała – robię to dla mojego męża. Uważaj, byś nie wzięła za głupotę mojej tolerancji". Po tych słowach wiedziała, że już nigdy nie może ufać Luriel.

Nitka ściagała nitkę. Haftowanie pozwalało zapomnieć o bożym świecie. W czasie cierpliwego, mozolnego przewlekania igły nie istniał dzień jutrzejszy ani dzień wczorajszy, a jedynie konieczność zliczania nici i zapamiętywania. Paplaniny o intrygach i czcze dociekania były dla niej niczym odległy pogwar. Za oknami trwała szaruga, na zmianę to siępiło, to się nagle wypogadzało i chwycił siarczasty mróz. Marzenia o malinach ustąpiły miejsca marzeniom o budyniu, który uwielbiała w dzieciństwie. Nie umiała go zbyt dokładnie opisać kucharzowi, choć język wyraźnie pamiętał tamten smak. A tu każdy kolejny budyń zawodził jej nadzieje.

–Słyszałyście? – obwieściła Odrinian pewnego ranka. – Wczoraj ktoś namalował quinaltyński emblemat na ścianie obok drzwi ojca Benwyna.

–Doprawdy? – zapytała wdowa z Bonden-on-Wyk.

–Teraz Benwyn rzuci na niego klątwę – powiedziała Odrinian.

–Jeśli wytrzeźwieje – dorzuciła Brusanne.

Ninevrise nie zabierała głosu. Spojrzenia kierowały się ku niej niczym ćmy do płomienia, ona jednak nie spuszczała wzroku. Igły znieruchomiały. Na niektórych twarzach niewyraźnie malował się strach.

–Nic podobnego, on nie jest czarodziejem – oznajmiła wreszcie. – To nieprawda.

Cisza się przedłużała. Nie pytano jej nigdy, co to znaczy być bryaltnką; po prawdzie nie praktykowała tej wiary podczas nocnych rytuałów. W przeciwieństwie do Benwyna, który nocami nawiedzał kaplicę, zawsze z flaszeczką wina pod ręką... Choć ostatnio Benwyn rzadko się upijał, odkąd spotkało się to z ostrą reprimendą Idrysa.

Ów Benwyn z Amefel wyrabiał doskonałe maści. Używała ich wdowa z Bonden-on-Wyk. Narzekała wcześniej na bóle w stopach i dłoniach, lecz po kuracji gotowa była przysiąc, że Benwyn przyniósł jej większą ulgę niż quinaltyni swoimi amuletami i kąpielami ziołowymi. Tym razem jednak wdowa nie przemawiała w obronie ojca Benwyna. Głos zabrała Margolis:

–No cóż, malowanie emblematu na ulicy nie przynosi też chluby quinaltowi, prawda?

–Prawda – odpowiedziała Ninevrise z wdzięcznością. Tristen działał nierozważnie, o czym powiadały go listy od Cefwyna. Także Idrys doń pisał i żywiła nadzieję, że weźmie sobie do serca przestrogi, aczkolwiek wszystkiego można się było po nim spodziewać. Strach wzbudzały w niej pogłoski o schizmie. Tak wiele wisało na włosku. Na włosku wisił również los Elwynoru, zawieszony nad przepaścią głodu i rozpadu. Proroctwo o Zapowiedzianym Królu mogło się spełnić w osobie Tristena...

Dostrzegala nawet pewne znaki, co takze napawalo ja strachem. Zrazu sadzila, ze strachem samolubnym. Utwierdzala sie jednak w coraz glębszym przeświadczeniu, iż coś więcej niż tylko dobro Guelessaru powstrzymało Cefwyna przed przekroczeniem rzeki pod koniec lata. To, że Tristen jest w stanie wypełnić proroctwo, oboje początkowo przyjęli do wiadomości, lecz później opadły ją wątpliwości. Czasem pragnęła być królową, a nie cudzoziemką w Guelessarze. Czasem się zastanawiała, czy ma w sobie dość odwagi, żeby zagrozić drodze przepowiedni... i jak wielka byłaby to głupota.

Teraz jednak, kiedy usłyszała, jak kobiety rozprawiają o atakach na jej kapłana, poznała oblicze jeszcze jednego strachu, nigdzie bowiem w proroctwie nie obiecywano cudów czy nawet odrodzenia Elwynoru. Zapowiedziany Król miał być Najwyższym Królem i panować w Althalen, Elwynor zaś miał stanowić prowincję w jego rękach. Nie wspomniano, jaki los tym ziemiom przypadnie, gdy się wszystko dokona.

Wciąż wracała myślami do Elwynoru. W skrytości ducha pocieszała się pewną nadzieją, na razie nie poddaną próbie.

A tymczasem Efanor zalecał się do Artisane, słał jej prezenty i listy, Ryssand natomiast zachowywał spokój tym bardziej niezwykajny, że Świątobliwy Ojciec prowadził dysputy z wspieranymi przezeń finansowo kapłanami.

Wszystkie te sprawy ciążyły jej na sercu, gdy palce pozostawały beczynne.

Odżywały nadzieje i wstępowała w nią nowa otucha na wieść, że Elwynimi, jej Elwynimi, znajdują u Tristena bezpieczne schronienie; ale cóż – istniały też inne niebezpieczeństwa. Wiosna przyniesie odpowiedzi. Na razie jednak wszystkie wydarzenia dowodziły, iż słowa przepowiedni nabierają groźnego wydźwięku wobec dokonań Tristena, jakkolwiek kochała go za jego niewinność i oddanie Cefwynowi.

Złość w niej wrzała, złość, której dałaby upust, gdyby latem wjechali do Elwynoru i bez ostrzeżenia wezwali do broni cały kraj.

W takich momentach zachodziła w głowę, czy mądrze zrobiła, wiążąc się z bryaltynami, a nie terantynami, mimo że kosztowałoby ją to dużo więcej wysiłku. Benwyn, biedaczysko, nie wiedział, w co się wpakował. Gniewni Gueleńscy malowali znaki przy jego drzwiach. Był przedmiotem plotek.

Z rzadka tylko z nim rozmawiała, i to nie o filozofii czy religii, ale na temat elwynimskiego zielarstwa i mrocznych dziejów kaplicy w Amefel. Smutna prawda była taka, że ojciec Benwyn wiedział, jaką budzi nienawiść, pił więc zawsze przed wejściem do sali pełnej pobożnych quinaltynów.

W konsekwencji pił często... Nie najlepsze rozwiązanie, choć z drugiej strony,

gdyby Benwyn był mądrzejszy, zamknąłby granice swego urzędu w obrębie Amefel, zamiast pełnić funkcję jedyne bryaltyńskiego kapłana w Guelessarze.

A ona, gdyby była mądrzejsza, skłoniłaby głowę i zgodziła się na terantyński kompromis, zamiast przyjmować tegoż kapłana, mimo że jego obrządki najmniej się kłóciły z ceremoniami jej ojca. Teraz rozumiała, ile kłopotów nastęczało związanie przymierzem Ylesuinu i Elwynoru. Rozumiała też, że jeśli nie dojdzie do pokojowego kompromisu w gueleńskim duchowieństwie, Ylesuinowi zagrozi rozpad. Podobnie jak jej nadziejom.

–To wstyd – powiedziała Ninevrise, wspominając ów haniebny czyn – wstyd, żeby w ten sposób posługiwać się quinaltem. I wstyd traktować tak nieszczęsnego Benwyna.

Korona wszakże nie mogła, wręcz nie śmiała nazbyt gorliwie bronić ojca Benwyna. Ninevrise wiedziała, w jakiej delikatnej równowadze wszystko się znajduje.

–A niech to – pisnęła Brusanne, przeszukując gwałtownie spódnice w poszukiwaniu zagubionej igły. Pozostałe damy ruszyły jej na pomoc. Musiały przeglądać istne góry tkanin, jako że igły do przyszywania pereł były delikatne i lubiły ginąć, żeby potem się odnaleźć w fałdach sukni, kłując przy przymiarce.

–Mam ją – oznajmiła Margolis, po czym oddała zgubę córce Panysa, która wbiła ją w rękaw przy nadgarstku.

–O, nie – mruknęła Brusanne. – Nie pozwolę ci ukłuć narzeczonej mego brata. To przyniosłoby pecha.

–Wystarczy wspomnieć o pechu, a już pech gotowy – stwierdziła wdowa z Bonden-on-Wyk.

–Ejże! Może byście przestały w kółko to powtarzać? – zgaśniła je Luriel.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

Sierżant Gedd powrócił z Guelessaru dwa tygodnie później, niż oczekiwano, kiedy był już uważany za straconego.

–Szczęście, że wrócił, panie – rzekł z werwą, składając Tristenowi raport w zaciszu prywatnych apartamentów diuka. Gedd niewątpliwie przyszedł prosto ze stajni, zmywszy po drodze jedynie kurz z twarzy i rąk, jego jasne włosy były bowiem mokre, a obok brody, zwykle pieczołowicie przystrzyżonej, widniały teraz ślady twardej szczeciny. Ubranie miał pochłapane błotem.

Ubrudzony i zaniedbany Gedd wręczył Tristenowi cenny i nader opóźniony list. Po ściągnięciu służącego za opakowanie poplamionego sukna ukazał się czysty list, uświetniony czerwoną tasiemką i królewską pieczęcią.

–Wybacz mi, panie, opóźnienie. Ale przechowuję też w pamięci słowa od samego lorda komendanta.

–Mów więc – powiedział Tristen, odkładając kopertę na biurko. Blisko krzesła stał Uwen, cichy niby jeden ze spizowych smoków. – Co się stało?

–Przede wszystkim wyrazy uszanowania od lorda komendanta, panie, a potem jedna spóźniona prośba. Otóż gwardziści, co to za twoim przyzwoleniem garnizon amefiński opuścili, zwrócili się o opiekę do quinaltynów, jako i patriarcha Amefel. Lord komendant prosi tedy Waszą Miłość, byś z łaski swojej nie robił mu więcej podobnych niespodzianek. Wybacz panie, ale co mi kazano mówić, to powtarzam.

Tristen niemal słyszał słowa Idrysa, cieszył się jednak, że obyło się bez ostrzejszych wymówek. A wiedział, że na nie zasłużył.

Jednak przychodziły za późno. Nie miał żadnych nowin i bał się pisać do stolicy.

–Mam też słowo od Jego Królewskiej Mości – ciągnął Gedd – którego kazał powtórzyć Waszej Miłości, iż patriarcha Amefel postawił Świątobliwego Ojca w niezręcznej sytuacji, a wśród kapłanów są właśnie. Tak mi rzekł: wśród kapłanów właśnie. Kazał mi powiedzieć Waszej Miłości, że Jego Wielebność ma przyjaciół w Ryssandzie.

–I to wszystko?

–Tak, panie. Osobiście list ten mi przekazał, jam zaś, nie zwlekając, w drogę ruszył.

–Lecz przybyłeś za późno.

–Tak, panie.

–Czemu? – spytał Uwen stojący z boku i nieco z tyłu. Gedd spojrział lekliwie w jego kierunku.

–Jakowiś ludzie za mną jechali, tedym skręcił między wzgórze. Jeno...Wasza Miłość pewnie zechce usłyszeć... co w gospodach powiadają...

–Opowiedz mi wszystko – nakazał mu Tristen. – Bez pośpiechu.

Gedd zaczerpnął głęboko powietrza. Był silnym człowiekiem i dobrym żołnierzem. To zapewne z wyczerpania dygotała mu ręka, kiedy przeczesywał mokre włosy.

–Kapłani kazania po mieście głoszą, na czarodziejów i lorda Amefel wielce utyskują, a głównie potępiają wojnę. To jedno. Prócz tego, źle gadają ludzie o lordzie Amefel i Jej Miłości, że to niby zły wpływ na króla mają, no a wojna to rzecz kosztowna, niebezpieczna, wciągająca uczciwych ludzi między czary i herezje. To się wszędzie słyszy.

Tristen z przygnębieniem słuchał tych wiadomości. Działa się niesprawiedliwość. Choć Cefwyn był dobry, a to, co robił, też takie było, to jednak mówiono o nim równie nieprzychylnie jak o Herynie Aswyddzie.

–Wszyscy tak mówią? – zapytał.

–Ponoć prawić tak bezpieczniej, niżli Jego Królewską Mość wychwalać – rzekł sierżant – boć przyjaciele króla wyklęciem nie grożą ni wilkiem na człeka nie patrzą. W mieście nastroje podłe, panie, nóż w plecy łąco można dostać.

–Grozi mu niebezpieczeństwo?

–Tak sędzę. Wie o tym lord komendant i pewnie nawet Jego Królewska Mość. Atoli – dorzucił Gedd – król zmierzył się na Równinie Leweńskiej z ciemnością, jakiej żaden z tych narzekających łapserdaków nie stawił nigdy czoła. I czy to się hołocie podoba, czy nie, jest przecie królem.

–To prawda – rzekł Tristen, po czym dodał, żeby podnieść się na duchu: – A jeśli wie, da sobie z tym radę.

–Niech jeno zważa na plecy – odezwał się Uwen – bo Ryssand tylko czeka.

–Ktoś cię napadł? – zapytał Tristen.

–Tak całkiem to nie – odparł Gedd. – Atoli jechali za mną ludzie lorda komendanta, a

potem już ich nie było. Zamiast nich byli inni, nie od niego. Takem sobie wtedy pomyślał, że lepsza późna wiadomość niż żadna, tędym się zaszył na odludziu. Dziś nawet po wioskach podłe ludzie się kręcą, szczęściem w drodze do stolicy nie miałem na sobie amefińskich barw. Lepiej już być zwyczajnym wędrowcem. Jam się opowiadał, że do Llymarynu wracam, gdzie mój dom. Kraj to wielce nabożny, a ja znam tamtejszą gwarę. Przeciem Gueleńczyk, musiałem się przedrzeć. W drodze powrotnej przestałem kogokolwiek udawać, otwartych przestrzeni unikałem, cichaczem się przemykając... Nawet konia wolno puściłem. Mistrz Haman powiada, jakoby tu nie dotarł, tedy pewnikiem pobiegł ku swym dawnym pastwiskom w pobliżu Guelemary. A ten, com go od lorda komendanta dostał... i on gdziesik zbłądził. Szedłem na piechotę.

–Dobrześ się spisał, jeśli tak było – stwierdził Uwen.

–Mam też inne wieści... – Coś przypomniało się Geddowi, bo odetchnął głęboko. – Co prawda stare to są już nowiny. Córka Murandysa ma niebawem poślubić syna Panysa. Wróciła na dwór i zaraz jej zaręczyny z Rusynem z Panysu ogłoszono.

–Luriel? – W czasie swego pobytu w Guelessarze Tristen sporo słyszał o tej damie: że omal nie doszło do jej ślubu z Cefwynem i że przebywała jakby na wygnaniu.

To, iż pojawiła się z powrotem na dworze, nie było z pewnością dobrą nowiną.

–Wróciła na zaproszenie Jego Królewskiej Mości, inaczej być nie mogło – podjął Gedd. – Jej Miłość powitała ją publicznie i między swe dworki przyjęła. Nie rzekł mi tego król, jenom słyszał o tym w mieście, a skoro w niejednym miejscu, tedy za prawdę to biorę. Lord komendant wie, co robi. To on obmyślił, żeby zawinąć list w brudne, potargane sukno. W razie gdyby mnie ścigano, miałem go wsunąć gdzieś między kamienie albo do studni cisnąć. Było tak żem i o tym myślał. Miałem wszelako nadzieję, że jakoś się przekradnę.

–Dzielnieś postąpił – znów pochwalił go Uwen. – Ufam, żeś uważał w drodze, co mówisz. Gdzie cię śledzić zaczęli, w Guelessarze?

–Przysięgam, kapitanie, żem w gospodzie nie zaniedbał dyskrecji. Kiedym już się z lordem komendantem rozmówił, co nastąpiło zaraz po moim przyjeździe, dostałem tajemne wezwanie na wieczorną rozmowę z królem. Do tego czasu kręcili się przy mnie ludzie lorda komendanta. Otwarciem przyznawał, żem posłaniec, ino że z Llymarynu, tę nadzieję mając, iż się na żadnego Llymaryńczyka gdzieś nie napatoczę. Jakoś mi się udało. Po spotkaniu z Jego Królewską Mością i po opuszczeniu Guelesfortu od razu spostrzegłem na ulicy ludzi lorda komendanta, znajome twarze. Potem czym prędzej odebrałem swój ekwipunek i konia w gospodzie, gdziem go przedtem ostawił. Cały czas miałem ochronę, za bramą dali mi nawet zapasowego konia. Tak to nade mną czuwali, panie, a jam sobie do serca wziął

ostrzeżenie i często za plecy popatrywał. Aż tu gdzieś po godzinie patrzę: jacyś dwaj próbują mnie dogonić. Jeszcze tego samego ranka dołączył do nich trzeci, wtedy konia zdrowo popędzał, a później, zwierzęta odegnawszy, bez zwłoki kryjówki poszukałem. Resztę drogi przyszło mi pieszo pokonywać, przeważnie pod osłoną nocy.

–Wyprowadzili w pole ludzi lorda komendanta – rzekł Uwen, potrząsając głową. – Nie byli to pospolici zbójcy. I pewnie z miasta jechali. Mam wrażenie, że wśród nich jeden był dwulicowym łotrzykiem. Wszystko się działo zbyt prędko.

–Nie możemy ostrzec Idrysa, chyba że poprzez drugiego gońca – powiedział zafrasowany Tristen.

–Tusze, że lord komendant sam się w tym połapie. Jego ludzie nie są głupcami, ale dają głowę, że między nimi jest zdrajca.

–Pragnę, żeby go schwytali – rzekł Tristen z takim przekonaniem, że aż zadrżała szara przestrzeń.

–Ty i ja utniemy sobie małą pogawędkę – zwrócił się Uwen do sierżanta Gedda. – Wychylimy po kufelku na zdrowie i przy okazji się pokaże, czyliś nie pominął jakiegoś szczegółiku. Poza tym należy ci się kufel dobrego piwa i wierzchowiec, z czym pewnie się zgodzi Jego Miłość.

–Zgadza się – powiedział Tristen, chociaż wspomnieniami wędrował do gueleńskich wzgórz. Myślał o zasadzkach, Idrysie oraz ludziach Ryssanda, którzy wkradali się na każdą naradę i prawdopodobnie między kapłanów. A teraz jeszcze śledzili szpiegów Idrysa.

–Dziękuję, kapitanie. Panie.

–Dziękuję – odparł Tristen, a kiedy Uwen wyszedł wraz z sierżantem, z niepokojem rozciął nożykiem pieczęć i rozłożył list, który szedł doń tak długo.

"Mój drogi przyjacielu – brzmiał początek, a jemu się wydawało, że Cefwyn na głos wypowiada te serdeczne słowa. – Pogoda dopisuje, jak nigdy nie bywało. Wysyłamy właśnie zaopatrzenie.

Zacny sierżant, który zawiezie ten list, przekaże ci też zapewne inne, pospolite nowiny. Ja powiem tylko, że Jej Miłość ma się dobrze, pozdrawia cię i przesyła ci serdeczne wyrazy podziękowania za ratunek, którego udzieliłeś jej poddanym. Ja osobiście popieram wszystko, co zrobiłeś.

Proszę cię jednak, byś wspomniał na quinaltyńskie schody i okoliczności, w których błaha sprawa urosła do rangi wielkiej kontrowersji. Wiadomo ci chyba, że rozmaici

ludzie powracający z Amefel rozsiewają pogłoski o nastawieniu mieszkańców prowincji wobec ciebie oraz nieskrępowanej sprzedaży sihijskich symboli na targowisku. Wiem, że to wszystko prawda. Latem nie było inaczej. Miej jednak na uwadze, że co poniektórych sytuacja w Amefel napawa niepojętym strachem, a wieści o dziwnych wydarzeniach, jakie towarzyszyły twemu spotkaniu z Ivanorem, dotarty do uszu quinaltynów. Niewykluczone, że w znacznie wyolbrzymionej wersji".

Nader wyolbrzymionej, pomyślał Tristen. Wiedział, że jest jednym z czynników powodujących rozbrat wśród poddanych Cefwyna, źródłem jego kłopotów z kapłanami. Nawet posłaniec do króla wioził swoje listy z narażeniem życia. Tristen nie miał pojęcia, jak temu zaradzić.

"Wiadomość o twojej pomocy dla elwynimskich kobiet i dzieci była wielką pociechą dla Jej Miłości. Wiem, że będziesz je dalej wytrwale chronić, co napędza me serce otuchą. Udzielam ci wszelkich pełnomocnictw, jakich możesz potrzebować, żeby zapewnić im bezpieczne schronienie.

Chętnie bym się szerzej rozpisal, jednakże posłaniec czeka.

Mam nadzieję, że Emuin zdrowy. Chłód i wilgoć zawsze powodują u niego bóle w stawach, ale myślę, że urządził sobie jakiś ciepły i przytulny kąpielnicę".

A przecież król dobrze znał nawyki Emuina w kwestii okien.

"Przesilenie za pasem, a później tylko patrzeć wiosny. Nie jesteś Aswyddem, toteż nie dotyczą cię zakazy obowiązujące Aswyddów, Ufam, że podjęte przez ciebie środki ostrożności przed najazdem z północy pozostają w zgodzie z przysięgą, która każe ci bronić prowincji. Na dowód przyjaźni słowa te poświadczam królewską pieczęcią, mając przeświadczenie, iż słusznie wykorzystasz swoje uprawnienia".

Cefwyn pozostawiał mu zatem wolną rękę w sprawie obrony uciśnionych. Niewątpliwie świadom nieprzychylnych nastrojów wśród swoich poddanych, poszerzył jeszcze zakres jego kompetencji. Tymczasem rzecz nie dotyczyła już tylko Aeselfa i jego żołnierzy, ale też sporej liczby innych band, które podwoiły liczbę ludności w Althalen... o czym informował Drusenana przed dwoma dniami. Gromady Elwynimów wierne regentce i te walczące z Tasmordenem (niekoniecznie uważające się nawzajem za sojuszników) wietrząc jakąś pułapkę, unikały odbudowanego dla nich mostu, którego strzegli gueleńscy i ivanimscy żołnierze. Kobiety, dzieci, starcy i kalety obierali ten kierunek jako jedyną możliwość przeprawienia się przez rzekę, lecz uciekinierzy z oddziałów walczących pod Ilefianem byli weteranami i mieli się na baczności przed wszystkim, co kusilo swą prostotą. Nie zważając na trudy, pokonywali rzekę wpraw w innych miejscach. Nie wyzbywali się broni i szukali schronienia u przyjaźnie nastawionych Amefińczyków, którzy odsyłali zbiegów do Drusenana, ten zaś kierował ich do Althalen. Nie zamierzali odwiedzać obozu

Gueleńczyków, gdzie musieliby zdać broń. Drusenani przysłał w tej kwestii pełną obaw wiadomość, jednak w osadzie panował spokój, mimo że zamieszkiwali ją uzbrojeni członkowie dwóch różnych stronnictw... A sytuacja osadników wyglądała nad wyraz rozpaczliwie: ich pan zginął, wciąż majaczyło nad nimi widmo Tasmordena. Nic dziwnego, że zrezygnowali ze wzajemnych animozji.

W swoim raporcie Drusenani meldował, że w Althalen odbudowuje się mury, a dwie sale pokryto nawet dachem – wzniesiono je wprost na gruzowisku, wykorzystując elementy zrujnowanych konstrukcji. Jedna sala służyła kobietom i dzieciom, druga mężczyznom, przez co rodziny wymieszały się ze względu na niedostatek przytulnych pomieszczeń, a ludzie lojalni względem Ninevrise zostali skazani na towarzystwo tych, którzy wyznawali odmienne poglądy. Elwynimi z pewnością oczekiwali czegoś innego, lecz najpierw musieli wybudować więcej pomieszczeń i wspólnie się napracować, żeby mieć dach nad głową.

Narodziny dziecka w obozie, o czym pisał Drusenani, przemówiły chyba ludziom do rozsądku.

Drusenani przesał mu jeszcze jedną wiadomość:

"Pewna część poddanych Jej Miłości prosi o pozwolenie na rozbicie obozu nad rzeką, ażeby stamtąd przypuścić atak na Tasmordena. Nie zgodziłem się w przeświadczeniu, iż Wasza Miłość ma w tym względzie odmienne zdanie. Co mam im odpowiedzieć?"

"Odmów – odpisał bezzwłocznie jeszcze tego samego dnia. – Ich czas nadejdzie, krzywdy zostaną pomszczone, lecz muszą poczekać".

W Althalen przebywało już więcej mężczyzn niż kobiet, także sporo koni, wobec czego pierwszorzędne znaczenie miało obecnie zapewnienie im zboża. Żołnierze Cevulirna odjechali do domu, gdy dobiegła końca ich siedmiodniowa służba przy moście; uratowali przez to życie pięćdziesięciu ośmiu kobietom, starcom, rannym i dzieciom, którzy następnie zamieszkali w Althalen. Ludzie Drusenana mogli teraz przynajmniej liczyć na wsparcie roślących Elwynimów, zdolnych dźwigać na plecach zaopatrzenie, rąbać drewno i wznosić mury bez zbytniego narzekania i z należytą wdzięcznością.

Wyglądało na to, że wdzięczność krzewi się tam bez porównania bujniej niż na ulicach Guelemary.

"Bardzo za tobą tęsknimy – dopisał Cefwyn w postscriptum, poniżej pieczęci.

Gołębki pograżyły się w głębokiej żałobie. Zacząłem je karmić. Stałem się przesądny na ich punkcie".

Nie do wiary. Cefwyn miał przecież tyle ważniejszych spraw na głowie!

"Pogoda wciąż mnie zadziwia. Rozmyślam o tym, jak mnie nagliłeś po bitwie nad Lewenbrookiem, ale zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw, na jakie mogliśmy się wówczas narazić".

Poniżej pieczęci umilkł Cefwyn-król, a odezwał się Cefwyn-przyjaciel, bazgrząc w pośpiechu o tym, co mu leżało na sercu, zapominając o dotychczasowej rozwadze.

To, co następowało, nie było dyskretne.

"W pewnej mierze przyznawałem wówczas słuszność twoim racjom i chciałem przekroczyć rzekę, lecz widzę teraz naokoło jedynie podejrzliwość i swary, które i tak zniszczyłyby wszelkie nasze wysiłki na drodze do osiągnięcia prawdziwego, sprawiedliwego pokoju. Porozmawiaj z Emuinem. Żałuję, że sam nie mogę. Słuchaj rad Cevulirna. Polecam ci go jako człowieka mądrego oraz przyjaciela".

W tym momencie charakter pisma uległ zmianie, stał się bardziej wyważony.

"I jeszcze jedno: niektórzy dostrzegają w tobie spełnienie elwynimskiego proroctwa. Wiedziałem o tym od samego początku. Jeśli naprawdę jesteś tym, za kogo cię uważam, bez względu na swą mroczną osobowość możesz liczyć na moje oddanie i względy, czego, mam nadzieję, mogę się spodziewać również z twojej strony. Emuin poradził mi zdobyć twoją przyjaźń, co było najmądrzejszą i najlepszą radą jakiej mi kiedykolwiek udzielili".

Cefwyn o wszystkim wiedział, a mimo to ufał mu i nie okazywał złości.

Wzruszający list. Tristen położył dłonie na papierze, jakby mógł tym sposobem zniwelować odległość i dotknąć dłoni Cefwyna. Serce waliło mu w piersi, czuł dławienie w gardle, a w uszach znów słyszał głos dzwonów bijących w godzinę ich rozstania – dzięki zawodzeniu, jakże radosne, chociaż żaden z nich nie miał powodu do radości. Cieszyli się tylko ich wrogowie...

Gołębie wzbiły się w powietrze, chorągwie dzielnie łopotały na wietrze, lecz wśród ryków pustego spizu najgorętszą rzeczą na świecie był uścisk Cefwyna i pożegnalne spojrzenie, jakim go król obdarzył na schodach świątyni quinaltynów.

"Możesz liczyć na moje oddanie i względy", pisał Cefwyn. Na jedno uderzenie serca świat pojaśniał i stał się bezpieczniejszy.

Emuin przykazał mu zdobyć przyjaźń Cefwyna, lecz dodająca otuchy treść listu jeszcze nie dowodziła, że tego dokonał – całkowicie i bez zastrzeżeń, jakie rodziło magiczne podejście do sprawy. Emuin dał mu radę, która – podobnie jak rady Mauryła – odnosiła się do korzeni intencji, a nie do kwiatu.

A tymczasem znaczenie miały zarówno korzenie, jak i kwiaty: pierwsze dotyczyły tego, co się zamierzało zrobić, natomiast te drugie, najstraszniejsze, były owocem owych zamiarów.

Z całego serca pragnął odpisać Cefwynowi. Mając jednak świeżo w pamięci wiadomość od Idrysa, a także pamiętając o tym, jak lord komendant czuwał nad Geddem, oraz o zagrożeniach czyhających na kurierów, doszedł do wniosku, że taka wymiana korespondencji naraża na niebezpieczeństwo nie tylko gońca, ale też Cefwyna i Ninevrise. Nawet jeśli ich wrogowie nie poznali zawartości przesyłki, to przynajmniej wiedzieli, że takową wtedy a wtedy wysłano.

Nie miał aż tak pilnych wiadomości, żeby ryzykować życie posłańca. Sprawa mostu została zamknięta. Mimo że Idrys prosił go usilnie o powstrzymanie się przed kolejnymi takimi niespodziankami, Tristen bał się, iż sprawił mu jeszcze jedną. Wszyscy ci niezadowoleni wozacy, których obarczano ciągle nowymi pracami, opowiadali pewnie w tej chwili po gospodach i szynkach Guelemary historie o Elwynimach, murach i osiedleńcach w Althalen.

Nic nie mógł na to poradzić, życzył więc sobie tylko, aby poddani Cefwyna dostrzegli prawdę i zrozumieli, że ich dobro ma na względzie król, który pragnie szczerego, trwałego pokoju, nie zaś Ryssand, kreślarz zawitych, zaprawionych głuchą nienawiścią planów – nienawiścią częściowo do Cefwyna, lecz w głównej mierze do bryaltynów, terantynów tudzież wszystkiego o południowym rodowodzie. Tristen wiedział, że i on wśród obiektów owej nienawiści zajmuje poczesne miejsce. I to właśnie stanowiło podatny grunt dla nieprzyjaznych czarowników, ambitnych bądź chciwych, nie wzdragających się przed wykorzystaniem znienawidzonego i nienawidzącego człowieka.

Ryssand stracił syna. Dziedziczyć po nim miała córka... na co quinaltyni, o ironio, nie przyzwalali, a przecież był on najzagorzalszym orędownikiem quinaltyńskiego purytanizmu. Co teraz robi?

Niezawodnie coś, by poprawić swoje położenie. Wymyśli jakąś pokrętną i chytrą sztuczkę, dającą mu określoną korzyść.

Na razie z południa Tristen nie mógł posłać Idrysowi żadnego listu z ostrzeżeniem przed zdrajcą w szeregach jego ludzi – żadnych dobrych nowin z południa dla Cefwyna: musiałby narazić czyjeś życie, a istniała groźba, że ów list wpadłby w ręce lorda Ryssanda.

Czekał już tylko na łodzie Sovraga, lorda Olmerna, załadowane zbożem. Zgodnie z raportami Anwylla burze przetoczyły się w dół Lenuaimu, rzeka płynęła spokojnym nurtem, a poziom wody był w normie. Jeżeli łodzie Sovraga nie ucierpiały, powinny niebawem nadpłynąć.

Sovragiem targwały zapewne wątpliwości i strach przed udzieleniem mu pomocy, zważywszy na zamieszanie w samym sercu Ylesuinu. Każdy z lordów, który orientował się w nastrojach panujących w stolicy, dobrze się namyśli, nim przyjmie zaproszenie na świąteczną ucztę. A przecież tylko zboże Sovraga mogło oddalić groźbę głodu.

Postanowił poczekać jeszcze dzień, a potem pchnąć gońca na południe do Olmernu – w kierunku dużo bezpieczniejszym, jeśli chodziło o wymianę informacji. Drugiego jeźdźca musiałby posłać do Cevulirna, z zawiadomieniem o opóźnieniach w gromadzeniu paszy dla koni.

Przesilenie zimowe zbliżało się wielkimi krokami, a potrzeby prowincji były pilne. Gdyby z jakiejś przyczyny Sovrag zawiódł pokładane w nim nadzieje, wówczas musieliby szukać zboża gdzie indziej. A jeżeli nie do Sovraga, wypadałoby im zwrócić się do jego zawziętego nieprzyjaciela wśród sojuszników z bitwy nad Lewenbrookiem: do lorda Imora, wyznawcy quinaltu, posępnego Umanona.

Umanon mógł, ale nie musiał popierać ich przedsięwzięcia; mógł, ale nie musiał wiedzieć, jaką się cieszy u nich opinią; wreszcie mógł, ale nie musiał odpowiadać na zaproszenie Cevulirna – a nawet, w razie jego przyjęcia, mógł, ale nie musiał mówić swym przyjaciołom z południa o wszystkim, czego się dowiedział. Rzecz w tym, że Umanon był Gueleńczykiem, różnił się od reszty lordów z południa, a przybył nad Lewenbrook jedynie dlatego, iż wezwał go nie kto inny, tylko Cefwyn, gueleński książę, który liczył na ciężką jazdę barona.

Wezwanie na apel południowców rozeszło się ukradkiem, chciano je utrzymać w tajemnicy. A mimo to nie ominęło również Umanona, który wszak był jednym z nich... bez względu na to, kim był oprócz tego.

Czy odpowie na wezwanie, czy też zdradzi?

Złot wszystkich baronów południa stanowił sekret niezwykle trudny do zachowania, zwłaszcza że nadchodziła umówiona pora i cała służba, z kuchmistrzynią i podkuchennymi włącznie, zajęta była przygotowaniami do wielkiego święta.

Najlepsza wiadomość ostatnich dni mówiła o zaciągu amefińskich, zdecydowanych młodzieńców... Żółtodziobów, jak ich nazywał Uwen, ale pojętnych. Wśród nich znalazło się też kilku doświadczonych weteranów. Ogółem dobry nabytek. Jednak daleko im jeszcze było do amefińskiej gwardii przyszłości... która musiała powstać, zanim na drzewach rozwiną się pierwsze pąki.

Gwardia Gueleńska, na rozkaz Uwena, musiała rozpocząć szkolenie ochotników w sztuce posługiwania się długą gueleńską lancą i krótkim mieczem – aż dziw, że musztra, gorące temperamenty i zranione uczucia nie sprowokowały Amefińczyków i

Gueleńczyków do otwartej wojny... Ale tylko takim regimentem dysponowali, więc nie mieli innego wyjścia.

Wielu umiało strzelać z używanych na południu długich łuków, a mniej więcej połowie nieobca była konna jazda, lecz ci wywodzili się głównie z arystokratycznej młodzieży, nawykłej do polowań, rywalizującej z sobą o pierwszeństwo przy zdobyczy – a nie w stawaniu murem w obliczu nieprzyjaciela. Chłopaki, jak mówił o nich Uwen, z wielką powagą podchodzili do swoich obowiązków, ze względu na honor swój i ich lordów, ale dwóch odesłano do domu z połamanymi kośćmi, a jeden pewnego wietrznego dnia omal nie stracił życia w lodowatej wodzie Maudbrooku – koń go do niej zrzucił.

Ostatnio rekruci wypuszczali się w teren. Wędrowali do odległych wiosek, gdzie paradowali z bronią i dawali do zrozumienia, jaka zwierzchność ich przysłała.

Chociaż w prowincji prawdopodobnie ukrywali się wrogowie, ćwiczyli rozstawianie zasadzek na ostrym mrozie i wśród nagich, zimowych plenerów, weseli niby wydry, jak opisał ich Uwen. Byli hałaśliwi, zdeterminowani, a skoro nie zabijała ich nauka u Gueleńczyków, szybko nabierali wprawy w posługiwaniu się lancą i mieczem.

Nazajutrz – rozkazy leżały już na biurku Tristena, który czytał je uważnie – mieli udać się na wschód w stronę Assurnbrooku, aż po same obrzeża Marny. Odwiedzili już Modeyneth i obóz Anwylla, Trys Ceyl na południu, Sagany i Emwysbrook, jak również Dor Elen, Anas Mallorn i Levey, rozwijając sztandary, odpowiadając na pytania, zanosząc nowiny.

Tristen żałował, że nie może o tym powiadomić Cefwyna.

Brakowało im zboża, lecz światło dzienne ujrzały różnego rodzaju zapasy, pochowane dotychczas w miejskich piwnicach, górskich jaskiniach i komorach grobowych: rezerwy ziarna, suszone mięso, złoto i srebro ukryte w tajemnicy przez lordów. Spora ilość broni, która nie powróciła do zbrojowni po bitwie nad Lewenbrookiem, raptem odnajdywała się w dziwnych okolicznościach i trafiała do rąk młodych rekrutów.

"To przecie nie głupcy – stwierdził raz Uwen ironicznie. – Jeno się zwiedzieli, że pan ich nie jest Gueleńczykiem, dawaj rynsztunki spod łóżek wywlekać!"

Tak czy inaczej, podczas gdy wieści z Guelemary nie przypadły mu do serca, istniały powody, by przypuszczać, że południe jest bezpieczniejsze, niż było. Gdyby Tasmorden tejsze godziny wtargnął na jego ziemie, przyszłoby mu się potykać zarówno z uzbrojoną i zorganizowaną grupą elwynimskich weteranów, jak i z "wydrami", owymi małymi, rozsianymi po kraju szwadronami amefińskich kawalerzystów, o których rebeliant nic nie wiedział, dosiadających z każdą chwilą

bardziej zaprawionych do boju koni.

Amefińscy jeźdźcy, zbrojni w łuki i lance, mieli nękać nieprzyjaciela i uniemożliwić mu plądrowanie wiosek. Takie dostali rozkazy: żadnego walnego starcia, lecz nieustanne nękanie. Utrzymując kontakt z wrogimi oddziałami, powinni natychmiast posłać gońców do Henas'amef, gdzie czekała na znak gueleńska ciężka jazda.

Mieszkańcy Modeyneth i Anas Mallorn, wiosek leżących w okolicach prawdopodobnych przepraw wroga, mocowali solidne okiennice i budowali wieżyczki dla łuczników.

Dzięki pracy trwającej nieprzerwanie dzień i noc stary mur zagradzający drogę w pobliżu Modeyneth sięgał już wysokości człowieka, miał mocną bramę, przypory i wieżę strzelniczą. Robotnicy, chłopcy z Modeyneth i innych wiosek Brynu, pracowali, wykorzystując kamienie ociosane dawno temu. Na szczęście pogoda była dobra, a drogi nie rozmiękły.

Ważną rolę nad rzeką pełniła Smocza Gwardia kapitana Anwylla. Trzymała ona baczną straż przy elementach rozebranego mostu, które w każdej chwili mogły zostać szybko położone na konstrukcji nośnej, a które były na tyle mocne, żeby wytrzymać nawet przejazd ciężkich zaprzęgów – gdyby na naradzie, podczas święta, powzięto decyzję zajęcia przeciwległych przyczółków i założenia obozu po elwynimskiej stronie.

Tak więc przygotowania szły pełną parą... tyle że wciąż brakowało im zboża do wykarmienia ludzi. Tristena dręczyła też obawa, podszycona jeszcze przez raport Gedda, że w niektórych kwestiach wykazał zbyt wiele optymizmu. Nie docenił zwłaszcza strachu, jaki wobec niego i całego południa odczuwali Gueleńczycy i Ryssandowie.

Porozmawiaj z Emuinem, radził mu Cefwyn.

Paisi, ze zmierzwionymi włosami, rozbudzony w ciągu nocy jaka przy zatrzaśniętych okiennicach panowała za dnia w wieży, zaparzył herbatę. Emuin czytał rozpostarty na stercie wykresów list Cefwyna, kiwając z powagą głową, gdy Tristen powtarzał mu raport Gedda ze wszystkimi alarmującymi szczegółami.

–No tak, no tak... – rzekł Emuin, po czym zagryzł wargę i potrząsnął głową. – To, co Cefwyn chce, żebym ci wyjaśnił, dotyczy quinaltynów i odrazy, jaką czują do wszystkiego, co ma związek z Amefel. Ale myślę, że sam to wiesz.

–Wiem, że patriarcha i żołnierze, których odprawiłem, dołączyli do wrogów Cefwyna, a wracający do domów wozacy zaczną opowiadać różne historie.

–Wozacy będą opowiadać różne historie, a żołnierze, którzy odjechali bez pozwolenia, już teraz rozpuszczają plotki. Amefiński patriarcha na pewno nie mało nawygadywał w świątyni o znachorkach na targowisku, o mnie i o wszelkich przejawach czarnoksięstwa. Nic już na to nie poradzimy.

–A co do tego drugiego, panie... Proroctwa... – Nie znosił nawet myśleć o tym, ale miał to czarno na białym, w liście od Cefwyna, potwierdzone królewską pieczęcią.

–Wszystko jedno.

–Nie wszystko jedno, panie. Boję się, że nie. Wozacy będą w swych historiach kłaść nacisk na to samo, na co żalił się także patriarcha, czyli na amulety na bazarze, na Elwynimów w Althalen...

–Poważna sprawa.

–Tym poważniejsza, że ojciec Ninevrise nazwał mnie młodym królem. Podobnie nazwała mnie Leciwa Syes. Elwynimi czekają na Zapowiedzianego Króla, a Tasmorden wywiesił nad Ilefianem sztandar Althalen.

–Naprawdę?

–Tak!

–I co w związku z tym zamyślasz?

Nie pozwolę na to, cisnęło mu się na usta. Wtedy jednak pomyślał o tych kilku odrębnych elementach, które wymienił właśnie Emuinowi, dostrzegając w nich pewne powiązania z rozgrywającymi się wokół wydarzeniami. Na chwilę zamilkł ze strachu.

–Herbata, panie. Wasza Miłość. – Wykorzystując ów moment milczenia, Paisi bohatersko postawił przed nimi tacę i napełnił filiżanki. W wieży panował przenikliwy chłód i chłopcu dygotały ręce... równie brudne jak wtedy, kiedy wałęsał się po ulicach.

–Umyjże się wreszcie – powiedział Emuin. – Traktujesz moje mikstury, chłopcze, jak zwykle błoto. Wszystkich nas tu potrujesz!

–To od smoły, panie.

–To brud. Masz się wyszorować. Nie możesz chodzić spać brudny, chłopcze. Święci bogowie!

–Panie – bąknął Paisi i zaczął się wycierać. Emuin uniósł filiżankę.

–Co więc zamyślasz dalej czynić? – podjął.

–Nie wiem – odparł Tristen, obracając w palcach filiżankę z herbatą. – Wydaje mi się, że przede wszystkim muszę cię, panie, zapytać o zdanie. I usilnie prosić o odpowiedź. To coś więcej niż lekcje. Na lekcje jest już za późno. Bo teraz mogę łatwo zaszkodzić Cefwynowi.

Zapadła długa, przeciągająca się cisza. Emuin łyknął z namaszczeniem herbaty, lecz Tristen ani na moment nie spuszczał zeń wzroku, nie dotknął nawet filiżanki.

–A więc tym razem nie pozwolisz mi się wymigać? – zapytał Emuin.

–Ja proszę, panie. Nie żądam. Proszę przez wzgląd na Cefwyna.

–Z całego serca?

–Z całego serca, panie.

–Jak ci się zdaje, to ty jesteś owym Zapowiedzianym Królem? Objawiają ci się różne rzeczy. Czy i to ci się objawia?

Tristen prosił Emuina, żeby nie miał już przed nim sekretów, lecz powróciło doń to pytanie, proste i bezpośrednie, ostre niczym czubek miecza.

–Nie, nie pragnę zostać królem, Najwyższym Królem czy jakimkolwiek innym – odpowiedział szczerze. – Gdybym tylko mógł sprawić, żeby ojciec Cefwyna żył, a Cefwyn znów był księciem i miał mniej spraw na głowie, żebyśmy wszyscy mogli zebrać się ponownie w Amefel... Tego bym sobie najbardziej życzył... Żeby wszystko było jak latem. Jednak to już nie wróci i wyrządziłbym mu tylko krzywdę, gdybym tego zapragnął. Więc nie pragnę. I nie zapragnę. Twierdzisz, że muszę zdobyć przyjaźń Cefwyna... Ale nie widzę, żeby moje działania choć trochę mnie do tego przybliżyły. Przez to, co zrobiłem, nawet jego poddani są przeciwko niemu!

–Młody lordzie – rzekł Emuin. – Bardzo wiele zyskałeś wiesz teraz dużo więcej, stałeś się niemal uczciwy.

–Nigdy nie kłamałem, panie!

Emuin przewiercał go baczny, wyzywającym spojrzeniem.

–Czy aby na pewno?

–Nierzęsto... Ostatnio nie.

–Aha. To znaczy, że mówisz tylko prawdę?

–A czy sam nigdy nie kłamiesz, panie? Wybacz, ale czy to nie jedna z lekcji, których mi już udzieliłeś? Lekcja milczenia: wyjść i nie zadawać pytań. Owszem, uciszam

pewne rzeczy, żeby nie stało się coś złego! Nie ruszam tego, czego nie rozumiem!

–Tak jak ja.

Gdy złość w nim opadła, nic mu nie pozostało, żadna odpowiedź.

–Czyżbyś się tylko tyle ode mnie nauczył? – spytał Emuin. – Milczenia?

–Nie, panie, dałeś mi wiele dobrych lekcji.

–Sam, jak powiadasz, uważasz za konieczne milczeć wtedy, gdy zabieranie głosu może spowodować coś złego.

–Tylko co złego by się stało, gdybyś był przy mnie tego lata? Co złego stanie się teraz, jeśli opowiesz o grożących mi niebezpieczeństwach? Przysięgam posłuchać twojej rady.

–Oho, dużo złego mógłbym narobić. Bardzo wiele, gdybym zaczął się mieszać...

–Gdybyś zaczął się mieszać do dzieła Mauryła? Czy chcesz przez to powiedzieć, panie, że jest to w twoim zasięgu? W zasięgu kogokolwiek? Jesteś aż tak wielkim czarodziejem?

–Kim ty jesteś?

Znowu te pytania czarodziejów: szybkie zwroty, subtelne ataki. Ten ostatni mierzył prosto w jego serce.

–Kim ty jesteś? – powtórzył Emuin. – Tym razem to ja wymagam odpowiedzi.

Tristen zaczerpnął głęboko powietrza i żeby uchwycić się czegoś stabilnego, położył ręce na wykresach będących świadectwem i zapisem życia gwiazd... albowiem mało brakowało, a odrzekłby butnie, w zdenerwowaniu: Jestem Barrakkethem!

Nieszczęście było tak blisko, tak strasznie blisko, że poczuł mrowie na plecach.

–Jestem Tristenem – powiedział spokojnie, unosząc z lekka czoło i wbijając nieruchomy wzrok w przenikliwe oczy Emuina. – Jestem Formą Mauryła. Jestem przyjacielem Cefwyna i twoim uczniem. Jestem lordem Althalen i Ynefel. Wystarczy jednak, że jestem Tristenem, panie, cała reszta to drugorzędne dodatki.

–Nie jesteś lordem Amefel? – zapytał Emuin, wciąż świdrując go wnikliwie spojrzeniem. W Tristenie serce zabiło żywiej.

Crissand, pomyślał. Crissand, Crissand, Crissand.

–Cefwyn musi mi nadać Amefel – powiedział do ściany, do wiatru, do ognia w kominku, lecz nie do chłopca siedzącego cicho ani do czarodzieja wpatrzonego w jego plecy. – Cefwyn musi mi nadać jeszcze tę jedną rzecz.

–Czyżby nie nadał ci Amefel? Wydaje mi się, że to zrobił.

–Nie. Uczynił mnie tylko lordem Amefel, swoim lennikiem. On nie dał mi wcale tej prowincji. Ale musi to zrobić dla własnego bezpieczeństwa.

Zaległa bardzo długa cisza.

–Wątpliwe, o czym chyba wiesz – powiedział Emuin – żeby to uśmierzyło obawy Ryssanda i Murandysa.

–Lordem Amefel jest Crissand Adiran. To on jest królem, mistrzu Emuinie, to on jest Aswyddem, który powinien rządzić, gdybym więc posadził go tu na tronie, na tym wzgórzu, i dopilnował jego koronacji, chyba postąpiłbym właściwie. Chyba nie wyrządziłbym tym szkody Cefwynowi.

Po raz kolejny zapadło milczenie. Emuin i Paise wytrzeszczali oczy.

–Następne pytanie. Kim jesteś?

–Formą Mauryla, panie. Przyjacielem Cefwyna i twoim uczniem. Lordem Ynefel. Lordem Althalen.

–I tych ludzi, którzy się tam osiedlili?

–O ile zechcą tam zostać.

–Czego też sobie usilnie życzysz?

–Jestem Formą Mauryla.

–Jeśli coś po trzykroć powtórzyć, gromadzi się w tym moc. Jeśli ty coś powtarzasz trzy razy, gromadzisz w tym ogromną siłę, lordzie Althalen.

–Powiedziałem już wszystko, co wiem, panie, a nawet więcej, na co tylko mam nadzieję. Cóż zatem radzisz mi mówić? Mało tego, co mam robić, panie? Miedzy ludźmi Idrysa ukrywa się kłamca, a Cefwynowi grozi niebezpieczeństwo.

–Gdybym to wiedział, pewnie spałbym po nocach. – Emuin odsunął list i wydobył na powierzchnię jeden z wykresów: wyschnięty i wysłużony pergamin. Obejrzał go z dwóch stron i rzucił w stronę Tristena, na bezładny stos podobnych pergaminów. – Tyle, młody lordzie, tyle wiem w tej chwili. Masz tam wyniki obliczeń, do jakich doszedł też pewnie Mauryl. W sześćdziesięciodwuletnim cyklu tworzy się na niebie

pewien złowieszczy układ planet, a kiedy do tego dochodzi w dzień przesilenia zimowego, rozpoczyna się tak zwany Wielki Rok, trwający, dopóki wędrujące elementy nie zbiegną się z sobą, a potem znowu rozejdą. To pora niezwykłych przemian... Ale nic ci chyba nie świta, co? – W głosie Emuina zabrzmiała nuta zdenerwowania, rozpaczy. Taką samą Tristen słyszał u Mauryła, kiedy ten zmagał się z nieporadnością chłopca. – Nic ci się nie objawia? Nic cię nie olśniło?

–Nie, panie. – Tristen popatrzył na pergamin, rozważając słowa czarodzieja. Na koniec odłożył wykres, bynajmniej nie oświecony. – Nie wiem, o czym mówisz. Gwiazdy, to rozumiem, ale nic ponadto. Wiem, że Mauryl je badał. Tak jak ty. Ale ja nigdy nie pojąłem istoty waszych badań.

–Magia to rzecz nieskrępowana. I ty... nie jesteś niczym skrępowany. Ale czarnoksiężstwo, młody lordzie, czarnoksiężstwo oparte jest na liczbach. Na formułach, albowiem cała natura składa się z formuł, no i z nagromadzonych sił. Sądzisz może, że zim? przywołuje jakaś magia? Nie. Wszystko jest częścią natury, młody lordzie, korowodem formuł: chłód powietrza, sen drzew, zachód letnich gwiazd i wschód zimowych, które także zajdą... – Wszystko to wiem, chodzi o cykle.

–No, właśnie! Kiedy więc masz ochotę na jakieś wspaniałe czary... rozumiesz... nie ma sensu porywać się na trudne rzeczy, a tylko na te łatwe. Chcesz śniegu? Proś o śnieg zimą! Dużo prościej. Odczytuj prawidła natury i tam, gdzie cię zaprowadzą, wytyczaj własne Linie, jakbyś wytyczał Linie wielkiego domu, mając na uwadze stosowny rozkład drzwi i okien.

Wydawało się, że Emuin czeka na potwierdzenie, zrozumienie... cokolwiek.

–Tak, panie.

–Ale ty postępujesz na opak! Dla ciebie to wszystko jest igraszką! Dla ciebie formuły są niczym ogrodzenie dla żrebaka, który chce dostać się do smacznej zielonej trawy. I niech bogowie mają nas w swej opiece owego dnia, kiedy potraktujesz prawa natury podobnie jak ten twój rosły, ciemny ogier traktuje deski przegrody: po prostu strąca je kopytami.

–Ufam, że nie zlekceważę nigdy twojej pracy, panie, jak Dys lekceważył ogrodzenie mistrza Hamana.

Emuin chrząknął, potem uśmiechnął się nieznacznie, aż wreszcie zachichotał i po raz pierwszy od długiego czasu spojrział nań naprawdę życzliwie.

–Zacny, zacny chłopiec. Kiedy przerażasz mnie najbardziej, zawsze potrafisz mi przypomnieć, że jednak jesteś Tristenem.

–Jestem nim. I będę, panie. I nigdy nie potraktuję nierozważnie twoich formuł. Mam

więcej rozumu niż mój koń.

Emuin zaniósł się śmiechem, przetarł oko sękatym palcem, potem przetarł drugie, a nawet nos.

–Ech, chłopcze. Ech, młody lordzie. Jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie.

–Ale jesteśmy przyjaciółmi, panie. Jestem twoim przyjacielem tak samo, jak i Cefwyna.

–To także pułapka, młody lordzie, której ja wystrzegam się jak mogę. Nie wolno nam okazywać sobie zaufania, niczego też nie zakładajmy, o ile się miłujemy, o ile miłujemy tego łobuza Cefwyna. Strzeż się przyjaźni ze mną! Unikaj jej! Śledź moje poczynania, jako i ja śledzę twoje... I obyśmy się wzajemnie uratowali... Ale, ale pytałeś, a ja ci udzieliłem odpowiedzi, pozwól jednak, że w miarę możliwości udzielenie ci jej raz jeszcze. Hasufin...

–Hasufin!

–Opowiem ci coś w związku ze sprawą Wielkiego Roku, czyli cyklu sześćdziesięciu dwóch zwykłych lat, a także o Hasufinie Heltainie, który był czarodziejem i który powiązał swoje życie z wielkorocznymi cyklami. Znaczące dzieła wymagają znaczących formuł, a jego dzieła należały do najambitniejszych. Już samo wykorzystanie Wielkiego Roku daje mnóstwo okazji do tworzenia długotrwałych, trudnych czarów, oddzielonych długimi przerwami. Wszelako istnieje coś jeszcze, a mianowicie Rok Roków i związana z nim formuła formuł, którą tylko długowieczni są w stanie dostrzec, a cóż dopiero mówić o jej używaniu. Może już się domyślasz? Hasufin jest stary. Podobnie stary był Mauryl. To właśnie kiedy świtał Rok Roków, Hasufin po raz pierwszy zawładnął Ynefel, wypędził Mauryla Gestauriena i zmusił go do szukania ratunku na północy. Ale zanim tamten świt przeminął, przybyli lordowie Sihhe. Taka oto formuła powstała u zarania. I wiesz, co Mauryl zrobił Hasufinowi Heltainowi? Wplótł wątek sihhijskich lordów w pierwociny jego panowania, tak by czarodziej nigdy się od nich nie uwolnił. A wiadomo, że lordowie Sihhe, zupełnie jak twój koń, nie uznają ograniczeń i wierzgają. Hasufin przegrał. Mauryl wrócił do chwały... a lordowie Sihhe zaczęli sprawować władzę.

–Aż i oni zginęli.

–Świt ostatniego cyklu, drugi taki czas, jak się może domyślasz, nastąpił sześćdziesiąt dwa lata temu... kiedy Hasufin znów się ujawnił. Obecnie kończy się ostatni rok z sześćdziesięciu dwóch lat Wielkiego Roku, zapowiadając nadejście nowego Roku Roków. W czasie wiosennego zrównania dnia z nocą, gdy Hasufin pokonał Mauryla po raz drugi... Mauryl był świadom wiszącej nad nim groźby. Wtedy wybrał ów moment: czas ponownych narodzin... twoich narodzin, młody lordzie.

Teraz ten Wielki Rok dobiega końca, a nowy Wielki Rok w porze najgłębszego mroku ma rozpocząć następny Rok Roków. Podczas zimowego przesilenia ostatni element niebiańskiego dworu dołączy do oczekujących go dworzan. Ten ruch wyznaczy świt, o północy, nowego Roku Roków. W porze przesilenia księżyc, ów zmienny królewicz, wypłynie na niebo najciemniejszej ciemności. A gdy słońce wzejdzie, elementy Wielkiego Roku albo będą sprzyjały Hasufinowi... albo coś stanie do niego w opozycji. Cokolwiek ów świt przyniesie, przetrwa stulecia wedle rachuby Ludzi.

–Czy to znaczy, że Mauryl nie posłał mnie wcale nad Lewenbrook? Że nie tego ode mnie oczekiwał?

–Och, i to musiały uwzględniać jego plany. Ale Hasufinowi przeciwstawił się Cefwyn i przeciwstawia się do dzisiaj. Poza tym jest jeszcze ta przeklęta elwynimska przepowiednia o Zapowiedzianym Królu. Przypuszczalnie się sprawdzi, niestety. Uleman był poczciwym czarodziejem, tylko za dużo mówił, przez co każdy teraz oczekuje nowego, Najwyższego Króla. Oj, nie na rękę to Cefwynowi... No i przy okazji szkodzi córce Ulemana.

Tristen słyszał prawdę. Tak wiele prawdy, iż sam nie wiedział, nad którą jej częścią dalej dyskutować, aczkolwiek jedna nieunikniona kwestia była najważniejsza.

–Czy Hasufin nadal jest naszym wrogiem? – zapytał. – Znowu będę z nim walczył? I gdzie?

–Trudno powiedzieć – odparł Emuin, potrząsając głową. – Ale czas przesilenia to dla nas pora szczególnie straszna, dzień najgorszy ze wszystkich przeklętych dni, jakie mógłbyś wybrać na zjazd lordów... Jednak o to nigdy mnie nie pytałeś.

–Bo za mało wiedziałem. Teraz już rozumiem. Jakich jeszcze dni powinienem się lękać?

–Równonoc wiosenna... to na pewno. Nie wiem jednak, co jeszcze może się wydarzyć. Nie przeżyłem całego Roku Roków. Za to ty... tak.

–Ale nie jako żywy człowiek!

–To samo z Hasufinem. Jedynie Mauryl przetrwał, że się tak wyrażę, we własnej osobie. A teraz jest już kamieniem w swoim murze, jak sam twierdzisz.

Tristen zadrżał, nie chcąc wracać pamięcią do owego dnia pełnego rozterek – owej strasznej godziny, kiedy zrozumiał, iż zaczarowane twarze nie są na świecie wcale czymś powszednim a w Ynefel jest coś odpychającego – tam, gdzie ongiś panowali sihhijscy monarchowie, gdzie lord Barrakketh miał swą upiorną twierdzę... Gdzie na koniec żył tylko Mauryl, samotnie, wymieniając korespondencję z późniejszymi pokoleniami Ludzi, tymi z Althalen i tymi z miejsca zwanego ongiś Hen Amas,

obecnie zaś – Henas'amef.

–Tak więc Mauryl zrobił, co mógł: posłał cię bez ostrzeżenia bez przewodnika, bez żadnych wskazówek... Lord Althalen... Tak, jesteś nim bezspornie. Lord Ynefel... Nigdy temu nie zaprzeczę. A czy jesteś Tristenem... to już pozostawiam tobie do rozstrzygnięcia. Nie zamierzam się kłócić. Powiem ci jednak, że spotkanie gwiazd wypadnie podczas zimowego przesilenia. To będzie ós roku. Ós wielu lat tym razem. Naonczas wszystko zmierza do końca, ale zarazem do początku. Tworzą się formuły dla przyszłego Roku Roków. W porównaniu z twoim wiekiem, ja jestem młodzieniaszkiem. – Emuin sięgnął ponad stołem i położył swą gruzłową dłoń na rękę Tristena; dotyk ten przypomniał mu zatarte już niemal wspomnienie poruszającego serce dotyku Mauryla. – Masz na imię Tristen. Niechże i tak będzie. Napij się herbaty... Już wystygła, chłopcze. Chłopcze!

–Panie! – odezwał się Paisi, gramoląc się na równe nogi.

–Herbaty. I ciastek, jeśli jakoweś umknęły twej pazerności.

–Pazerności, panie?

–Jemu nic się nie objawia – wyjaśnił Emuin na boku. – Poza tym złodziejski żywot nie nauczył go, co to pazerność... Miły, dyskretny chłopiec, który nie chciałby zostać ropuchą. Gdzie ciastka, Paisi?

–Zapytam w kuchni – odpowiedział wyrostek, po czym zawiesił kociołek nad ogniem i rozgrzebał pogrzebaczem węgle. – Zaraz wrócę, panie, zaraz wrócę. Nic nie słyszałem, ni słowa.

–Pomyśl o ropuchach – rzekł czarodziej. Chłopiec śpiesznie poprawił kociołek i wymknął się z izby, głośno zatraskując za sobą drzwi, choć może uczynił to przeciąg wciskający się przez szczeliny w okiennicach.

W wieży zaległa cisza. Jedynie wiatr na zewnątrz pogwizdywał z cicha.

–Nie sprawia chyba wielkich kłopotów? – spytał Tristen z nadzieją, że nie obarczył mistrza Emuina nieznośnym towarzystwem.

Emuin zebrał garść paciorków, zbiór węzełków, sznurków i piórek, metalowe okrawki.

–Ochronne zaklęcia znachorki. Cały brzęczał od tego, jak tu przyszedł. Chociaż trzeba przyznać, że są to amulety o niewielkiej mocy. Zauważyłeś sihijską monetę?

–Owszem – odparł zaciekawiony, albowiem taki sam pieniążek wygnał go z Guelessaru. – Też masz takie?

–Mam ją od tego szubrawca – wyjaśnił starzec. – Dał mi ją, bo według niego pilnie potrzebowałem ochrony. A kupił to wszystko za monetę, którą dostał od twojego Uwena.

–Nie ma w niej nic groźnego – orzekł Tristen, obracając pieniądz w palcach. – Racja, mistrzu Emuinie?

–Nie dostrzegasz w niej nic dziwnego?

–Nie, panie. Nie dostrzegam.

–Zaklęcie znachorki rzucone na mnie, nie do wiary! W dodatku opłacone pieniędzmi kapitana, których mu nie zbywa, ma wszak godziwe uposażenie. – Emuin potrząsnął głową i sychnął do ognia szczyptę jakiegoś proszku. Rozbłysło, zadymiło i rozszedł się zapach mający odstraszyć robactwo. – Ach, ci chłopcy. Nęcą go proszki i dymy. To one mu dają pewność, że jestem czarodziejem.

–Choć sam nim jest.

–I kradnie ciastka, szelma! – Emuin odłożył na bok sznurki i resztę drobiazgów. Otrzeptał ręce z kurzu. – Wystarczy poprosić. Ale nie, on musi ukraść.

–Jest złodziejem. To jego zawód.

–Niech i tak będzie! Ale nie wolno mu rzucać klątw. Tego się w nim przede wszystkim boję. Dałem mu to do zrozumienia w dość jednoznacznych słowach.

–Przyjmij jego dar. A złodziejstwo to też umiejętność. Emuin nasrożył białe brwi.

–Zgoda, tylko że na wszystko jest odpowiednia pora. – W szarej przestrzeni nastąpiło pewne ożywienie, obecność Emuina przytłaczała tam swym ogromem, jako że zajmowane przez nich miejsce było ciasne i z konieczności sekretne, a ostatnimi czasy odwiedzali je rzadko. Teraz, po tych wszystkich wynurzeniach, po prostu siedzieli, dotykani i dotykając, szukając pociechy.

W niewielkim oddaleniu wyczuwało się nikłą, nie większą od myszy obecność, o ile ktoś wiedział, gdzie popatrzeć. Paisi Szary pomyślał Tristen. Paisi Mysz.

Nad nimi dzień, a przed nimi noc i złowróźbne gwiazdy. Tristena dręczyło jedno pytanie, wyrwał się więc z zacisza szarej przestrzeni z powrotem do zagraconej izdebki Emuina, gdzie siedział starzec już nie tak dostojny jak w tym drugim miejscu, w szatach z plamami po herbacie i z atramentem na palcach.

–Jak wyglądały gwiazdy, kiedy wzywał mnie Mauryl, panie? Powiedz mi coś jeszcze. Jestem związany z jednym rokiem? A może z tym twoim Wielkim Rokiem?

–Bogowie wiedzą, z czym jesteś związany. A skoroś Sihijczyk... Bogowie wiedzą.

Niczym koń biegnący przez pola. Serce jego nie wiedziało kiedyś, co to ograniczenie, miejsce, margines, kres wolności, dopóki Emuin i Uwen nie oświecili go w kwestii pór roku, a sam Rok nie objawił mu się w swych niezmiennych cyklach. Z trwogą uzyskiwał tę wiedzę, wystraszony istnieniem owych powtórzeń.

Jednak dzięki nim Ludzie mogli porządkować swoje wspomnienia. Uwen na przykład powiadał, że pewnej tęgiej zimy albo takiej a takiej wiosny walczył na południu. Było to świadectwo czarodziejskiej sztuki Ludzi, którzy zamykali zdarzenia w określonych granicach bądź utwierdzali formuły, tworząc Linie na ziemi.

–Czy to czarodzieje ustanowili lata? – zapytał. Wciąż nachodziły go pytania, aczkolwiek ostatnio bał się je zadawać.

–Tak sędzę. Zależy od nich bardzo wiele sztuk – odparł Emuin. – Mimo to księżyc jest poza naszym zasięgiem, wierny własnym cyklom.

–A co ty wplotłeś do tego Roku Roków? Co wymyśliłeś z myślą o mnie, panie?

Nastąpiła krótka pauza, w czasie której Emuin zachowywał się równie strachliwie jak Pasi. I nie od razu spojrział mu w oczy.

–Postanowiłem zrobić bardzo niewiele.

–Mieć mnie na oku, jak mawia Uwen?

–Coś w tym rodzaju. Nie mogę cię za nic ganić, jeśli pominąć twój zapał do budowania murów i pozbywania się prowincji.

Tristen zaśmiał się, lecz serce jego nadal łomotało po tym wszystkim, co usłyszał od Emuina.

–Bogowie wiedzą, czym ty właściwie jesteś – dodał starzec. – Wiem jednak, czym sam jestem: starym czarodziejem, który widzi, jak najdłuższa istniejąca za jego życia formuła dociera do końca i nawraca... Tak się przynajmniej stanie podczas zimowego przesilenia, kiedy mój młody lord wyda bankiet na cześć gości z południa. Nadejdzie wtedy godzina pilnowania zapór i podtrzymywania ognia. Dopiero potem będę mógł odetchnąć.

–Zapory. – Ich dziwne zachowanie wyleciało mu niemal z pamięci, jako że czary często umykały jego uwadze. – Pamiętasz tamtą noc, panie? Widziałeś, jak całe miasto zajaśniało blaskiem?

Emuin spoglądał nań badawczym wzrokiem, jakby usiłował sobie przypomnieć.

–Tak. Tamtej nocy. Zastanawiałem się, czy to nie twoja sprawka. Tristen potrząsnął przecząco głową.

–Jeśli nawet, to nieświadoma. Myślałem o tobie, panie. A nawet o Paisim. Wątpię, czy coś próbowało naruszyć zapory. Wyglądało raczej na to, że całe miasto budzi się ze snu. Wszystkie budowle.

Coś się wówczas wydarzyło w szarości, jakby ktoś dyskretnie nasłuchiwał. Dwunożna mysz skakała na dole, zdjęta strachem przed cieniami i odgłosami korytarza, który przybierał obcy wygląd.

–Właź na schody, młody głupcze!

Emuin był surowy i zarazem opiekuńczy. Odgłos spiesznych kroków rozległ się na schodach przed pomywalnią, a potem w dolnej sali, gdzie szczególne niebezpieczeństwo czyhało na chłopca niosącego tacę z ciastkami i słoik dżemu.

–Już lecą, panie. Już lecą.

Także Ynefel wydawała się czasami ożywać, a istoty znane mu teraz pod pojęciem duchów nawiedzały schody i podstawiały nogę nieświadomemu chłopcu.

Odczuwał nieokreślony żal, iż nie jest Paisim, który nie musiał obawiać się żadnych niebezpieczeństw, a który tylko roztropnie wystrzegał się Cieni i chłodnych miejsc na schodach.

I czyż sam nie poznał sztuki kradzieży i przemykania się ukradkiem, kiedy zwiedzał zakamarki starej fortecy Ynefel? I czyż nie żył wówczas w podobnej nieświadomości tamtejszych zapór i straszliwych sekretów?

–A to gagatek – westchnął Emuin. – Sam widzisz, że zdolny jest nas usłyszeć i trudno coś przed nim utrzymać w tajemnicy. Niech się jeszcze trochę poduczy, niech zacznie szanować zapory, a może będzie z niego jakiś pożytek.

W szarej przestrzeni sznurki i amulety znachorek miały szczególną moc, prawie świeciły. Gdzieś w mieście jakaś starowinka rozpoczęła dobre życzenie, teraz jednak przestała tkać swoją sieć z ręką na sercu, albowiem życzenie to wymagało siły, jakiej nigdy dotąd w sobie nie zebrała. Serce pękało jej niemalże z wysiłku, życie omal z niej nie wypłynęło, lecz Tristen dostrzegł to w porę i własnoręcznie zatkał otwór, dotykając równocześnie sznurków amuletu.

Pochwyił amulet w dwie ręce i poprowadził gorejącą, błyszczącą linię z fortecy do dachu pewnego domu przy zewnętrznym murze, a potem do starej kobiety, której śmierć zajrzała w oczy.

–Pochopnieś postąpił – stwierdził Emuin. – Wystawiłeś tę kobietę na cel.

–Dałem jej tarczę. Podobnie jak całemu miastu.

Zgiełk rozległ się na schodach, tupot i brzęk tuż za drzwiami. Kiedy Pairsi próbował je rozchylić, spocony z wysiłku i z szeroko otwartymi oczyma, do środka wionęło zimne powietrze.

–Nie rozbiłem słoika – oznajmił, odsuwając jedno ciastko od pozostałych. – Ale to upadło. Sam je zjem.

–Szlachetna oferta – rzekł Emuin. – Weź dwa. Patrz, woda już się dawno zagotowała, a Jego Miłość okazuje zniecierpliwienie. Nie radzę ci go urazić. Urażony bywa niezwykle niebezpieczny.

–Tak – odparł Pairsi wylękłym głosem, szukając filiżanek. – Nawet się umyłem, panie! Kuchmistrzynie mi kazała.

Rozdział drugi

Krawcy i dostawcy kosztownych towarów robili tej zimy świetne interesy, jako że najpierw odbyły się królewskie zaślubiny, a teraz przyszła pora na ślub Rusyna z Panysu i Luriel z Murandysu.

Luriel, którą niegdyś tylko przysięga dzieliła od dostąpienia godności królowej Ylesuinu, nie zamierzała być ani na jotę gorsza od wybranki króla pod względem strojności i przepychu. Wzięła sobie za punkt honoru wyprawienie wspaniałego widowiska, ażeby zatrzeć wszelkie wspomnienia o minionej hańbie. Pieniądze wydane na zakup samych tylko atłasów mogłyby pomóc wsiom jednej prowincji przetrzymać surową zimę.

Cefwyn przyglądał się bacznie wszystkim tym pośpiesznym i żywiołowym przygotowaniom, zastanawiając się w duchu, na jak wielką pompę przyzwoli lord Murandys i na jaką śmiałość zdobędzie się Luriel. Pilnował, by nie została naruszona owa niewyraźna granica między przywróceniem Luriel do łask i obrazą własnej żony.

Z ulgą patrzył, jak cały ten rozgardiasz i uciążliwe przymiarki dotyczą teraz innego pana młodego... a mimo to, co stwierdzał ze zdumieniem, stopy tkanin w dawnym skrytorium, obecnym dominium małżonki króla, znów ożywiały pewne kontrowersje w kwestii damskich halek. Otóż Luriel, zamiast pójść za modą wprowadzoną przez regentkę, wybrała tradycyjną suknię.

Taką decyzję Luriel można było tłumaczyć jej chęcią uniknięcia pewnych dwuznaczności tudzież pomówień o niewolnicze schlebianie swej królewskiej patronce – która czego jak czego, ale porównań do poprzedniej kochanki swego

męża nie zamierzała zapewne prowokować.

Dziwna rzecz, lecz owa odmowa opowiedzenia się po stronie Ninevrise w sprawie ubiorów wzbudziła w nim gniew. Poczł się urażony, aczkolwiek Ninevrise nie widziła w tym nic obraźliwego, lecz nie był w stanie położyć kresu temu, co go irytowało w zachowaniu Luriel.

W gruncie rzeczy, o czym szeptały damy, Luriel pragnęła tradycyjnego ślubu – z pełnym quinaltyńskim błogosławieństwem. Takie pogłoski docierały do uszu Cefwyna za pośrednictwem, o dziwo, Idrysa. Wrzał srogim gniewem, rozmyślając już, czyby nie okazać Luriel swej niełaski jakąś publiczną naganą.

Na miłość boską, w tak błahej sprawie nie chciał się posługiwać królewskim majestatem, nie chciał odciskać swej monarszej pieczęci na dekrete traktującym o damskich przyodziewkach. Istniały jakieś granice. Prowadził już kiedyś bój na tym gruncie, razem z Ninevrise i ani myślał go wznawiać.

I może na tym by się skończyło, gdyby nie Fiselle, pokojówka Ninevrise, trzpiotka i ladaco, która bezmyślnie dołała oliwy do ognia, paplając na ucho pokojówce Luriel, jak to Jej Miłość powstrzymuje się od słodczy i ciężkostrawnych potraw w trosce o zgrabną sylwetkę, naturalnie nieodzowną dla kogoś, kto pragnie nosić odsłaniające ciało stroje.

Nawet machina oblężnicza nie wywołałaby większego poruszenia niż wieść, która gruchnęła pewnego ranka, jakoby pewne dwie damy paradowały w skąpych sukniach na modłę Ninevrise.

Wówczas Luriel odrzuciła wszystkie swoje halki, zostawiając jeden spód z koronkami. Usunęła nawet dwie wstawki z sukni ślubnej.

Gdyby kaprysy były katapultami, ciała leżałyby pokotem.

Jednak każdy szczerze wychwalał figurę Luriel, a jej skąpa suknia przez okrągły tydzień gorszyła quinaltynów. Frywolność kobiet, ot co, głosili niektórzy kapłani. Obraza moralności.

Natenczas, zgodnie z sugestią króla, Jego Świątobliwość perorował z ambony, iż pewni kapłani zbyt wiele czasu marnują na studiowanie frywolności, zamiast dbać o potrzeby ludu.

Siedem dni wzajemnego ostrzału, przy czym, co uważano za złą wróżbę, za rzeką leżały kopne śniegi, choć w Ylesuinie niezmiennie wiał ciepły wiatr, aż z większości pagórków poznikały białe czapy. Czarna magia, powtarzano. Na drzwiach domostw jęły się pojawiać błogosławione przedmioty, a płonące świece wydzielały w świątyni słodką woń – dowód modlitw uczciwych, pobożnych ludzi. Kapłani w tym czasie

miotali na siebie oskarżenia w doktrynalnej wojnie, która miała swój początek we fraucymerze Ninevrise; zrazu dotyczyła strojów i tradycji, później niespotykanej pogody.

W porównaniu z tą wojną królewski dwór wydawał się ostatnio cichy. Skoro kontrowersje opuściły progi pałacu Cefwyna, mógł nareszcie spędzać przy kominku spokojne, miłe wieczory, kiedy miał okazję posiedzieć w zaciszu z żoną i zjeść wieczerzę nie przerywaną ciągłymi, niepomyślnymi wiadomościami z nadrzecza i ze świątyni. Nie nękała go już wrzawa dworskiego życia. Lordowie wydawali się znużeni – oddani nadziei, że zaślubiny miną bez burzenia układów, które podtrzymywały zimowe zawieszenie broni. Zaczęli sobie w końcu zdawać sprawę ze swej sytuacji, przynajmniej ci ze środkowych prowincji. Jakkolwiek Ryssand podniósł wielkie larum, zrozumieli wreszcie, co muszą zrobić: wyprawić młodzieńców na wojnę i poczynić starania, żeby niedobór młodych rąk do pracy nie odbił się wiosną niekorzystnie na sadach i stawach hodowlanych. Zaciągów nie ogłoszono na ziemiach, gdzie uprawiano zboże, prócz tego planowano otworzyć królewskie spichlerze i wydobyć z nich obfitości nagromadzone w ciągu poprzednich urodzajnych lat.

W każdym razie zboża powinno wystarczyć.

A tymczasem Cefwyn czekał niecierpliwie na ślub Luriel z osobistych powodów: zdawało mu się dość nieprzystojną rzeczą wysłuchiwanie z ust własnej żony wieści o poczynaniach jego dawnej kochanki i konfidentki. I choć oboje podchodzili ironicznie do całej sprawy – Luriel była sprytną, młodą, pełną temperamentu osobką, byleby jej złośliwości kierowały się w inną stronę – to jednak chętnie by już powitał kres jej fanaberii.

Mógł być z niej jeszcze pewien pożytek, gdyż dość często ostrze zjadliwości Luriel godziło w jej wuja, teraz bowiem, skoro wychodziła bogato za męża, uzyskiwała prawo głosu. Lord Murandys zachodził w głowę, czy jego trzpiotowata Luriel ma jakieś inne cele prócz paradowania w strojnych szatach.

–Wujek chce pewnie sprawić Luriel kosztowny posag – zauważyła Ninevrise. – Wnoszę to z jej milczenia. Ciekawe, co ona wie.

–Murandys chciałby odbyć z Panysem naradę – rzekł Cefwyn, tuląc ją do siebie. Oboje siedzieli w nocnych strojach, ogień trzaskał przyjacielsko w kominku. – Ale lord Maudyn nie gości u niego. Aż do czasu ślubu będzie mieszkał w namiocie nad rzeką. Nawet do stolicy nie przyjeżdża. Oby bogowie zesłali mi tuzin takich ludzi jak lord Panys.

Przeklęte wozy wróciły już do domu. Dzięki bogom, nie uległy zniszczeniu, ubłoceniu na drogach ani zagubieniu w śnieżnych zaspach. Razem z nimi zjawiała się

wprawdzie zgraja niezadowolonych woźniców, uskarżających się na bezwzględność diuka Amefel, lecz Idrys tym razem był gotowy na ich przyjęcie. Nawet dnia nie bawili w mieście: zostali natychmiast odesłani do lorda Maudyna.

Tak więc rozeźleni wozacy, przedwcześnie pozbawieni uciech Guelemary, ani chybi rozsiewali już plotki wśród żołnierzy, lecz stacjonujący nad rzeką gwardziści, mając przed oczyma posępny widok przeciwległego brzegu, nie mogli osądzać źle Tristena za rozpoczęcie stanowczych przygotowań na południu. Nie mogli, jak długo widzieli osobliwie zaśnieżony elwynimski brzeg, oddalony ledwie o długość drewnianego mostu od ich brzegu, na którym z kolei panowała odwilż. Czyż mogli złorzeczyć na odrobinę przyjaznych czarów daleko na południu, skoro wciąż dochodziły pogłoski o zagrożeniu czarną magią zza rzeki? Wielu żołnierzy było weteranami, a pewnie i sami wozacy inaczej jeszcze zaśpiewają, kiedy owi weterani w wieczór przesilenia zaczną im opowiadać swoje historie.

A tymczasem negocjacje pomiędzy Efanorem a Corswyndamem z Ryssandu przeciągały się i dotąd książę nie podpisał żadnego dokumentu. Przypuszczalnie Ryssand nadal nie mógł ocknąć się ze zdumienia: nie spodziewał się, iż jego oferta zostanie potraktowana poważnie... a cóż dopiero przyjęta. Co więcej, przygotowania do ślubu podczas oficjalnej żałoby obudziłyby zapewne szereg kontrowersji. Pozycja Ryssanda pozwalała mu jednak odłożyć na bok konwenanse. To samo z Efanorem... Tym bardziej że Artisane rozpoczęła już swoją własną kampanię – zamierzała powrócić na dwór opromieniona chwałą.

Efanor nie oznajmił jej jeszcze nowiny, że posiada piękną, wymagającą kobiecej ręki majątność... położoną hen, na odległym krańcu Guelessaru.

Póki co, zwlekali z ogłoszeniem zaręczyn, żeby nie ujmować splendoru przygotowaniom Luriel. Przez cały ten czas posłańcy kursowali tam i z powrotem, przejeżdżając z konieczności przez Murandys, przy czym lord tej prowincji płonął z ciekawości, co zawierają listy. Najwidoczniej Ryssand utrzymywał w nieświadomości swego dawnego sojusznika.

–Nie wydaje ci się, że Ryssand obwinia Prichwarrina o śmierć swego syna? – zapytała Ninevrise cicho.

–Sam o tym myślałem. Prichwarrin posunął się za daleko. Brugan dowiódł swej głupoty, to pewne, lecz Prichwarrin nie działał wystarczająco stanowczo. Wcale bym się nie zmartwił, gdyby ci dwaj się poróżnili.

Nazajutrz zapytał Idrysa, czy coś wskazuje na rozłam między baronami.

–Murandys często śle listy do domu – odparł komendant – ale nic mi nie wiadomo, aby otrzymywał wieści od Ryssanda. Widać, że go to gryzie. Kiedy ktoś wspomni o

kapłanach, przybiera markotną minę. Może nie wie tyle, co my.

–Być może po ślubie znów się zmówi z Ryssandem.

–I spuści z oka siostrzenicę? Opuści dwór? Nie, miłościwy panie. Bardzo w to wątpię.

Wielebnego z Amefel, człowieka już starego, podupadłego na zdrowiu, złożyła nagła choroba – Idrys zapewniał o swej niewinności. Targały nim konwulsje, zajmował więc pokój w quinaltyńskiej świątyni, spędzając czas w łóżku, w latrynie bądź na modlitwach za swą pogańską prowincję.

Kontrowersje i rozłamy trwały. Sam Efanor przeprowadził żywiołową dysputę z kapłanem Ryssanda podczas nader niemiłego oficjalnego obiadu... Cefwyn miał nadzieję, że walka na doktryny i dogmaty więcej się nie powtórzy. Bo absolutnie żadna korzyść z tego nie wynikła: ani Efanor, ani kapłan nie dali się nawrócić, sprawa skąpych sukni utknęła im kością w gardle i wpłynęła niekorzystnie na trawienie.

–Masz uciszyć tę cholerną doktrynalną awanturę! – zgromił Cefwyn Świątobliwego Ojca, zniecierpliwiony, w rezultacie czego zaraz następnego ranka Świątobliwy Ojciec z niezdecydowaniem wygłosił zawile kazanie na temat jedności w państwie – wywód o tyleż absurdalny, że zdawał się popierać każdą ze stron... Przytoczone zostały przypowieści o braciach, likwidowaniu podziałów, coś o prawach ojca do kierowania rodziną, króla do kierowania państwem i męża do kierowania żoną.

–Wszystko na nic! – rzekł po nabożeństwie Cefwyn do Idrysa w swoim apartamencie. – Tylko tyle ma do powiedzenia przeciwko temu cholernemu, krążącemu po karczmach kapłanowi? Jest patriarchą, a ten klecha... jakże mu tam? ... ma być marnotrawnym synem? A może żoną? Wołaj mi tu Sulriggana! Nie, lepiej każ Sulrigganowi przyprowadzić Jego Świątobliwość, a wtedy z nim pomówię. Wielkie nieba, czy ten człek nie umie się zdecydować? Nie potrafi powiedzieć albo "tak", albo "nie", tylko jedno i drugie w ciągu tego samego kazania?

–Nawet tobie, miłościwy panie, wystarczy jeno rzec "tak" lub "nie", nic więcej, w kwestii tego kaznodziei, co to nawołuje do buntu. Radziłbym więc...

–Martwi kapłani sprawiają kłopoty, mości k roku. Kłopoty takiej natury, że i ty masz obiekcje, kiedy o nich myślisz, nie zaprzeczaj. Poza tym patriarcha Amefel zadomowił się w świątyni, gdzie go nie dosięgniesz, chyba że dotrzesz do jego obolałego żołądka.

–Nieszczęśnik – stwierdził Idrys z grobową miną. – Święci ludzie częstokroć znikają. To znany aspekt świętości.

–To hańba.

–To warunek długiego panowania, najjaśniejszy panie. W odróżnieniu od Jego Świątobliwości powiem bez ogródek: zabij tego kapłana.

Cefwyn długo mierzył lorda komendanta chłodnym wzrokiem. W głębi duszy wiedział, że sam zażądał tej gorzkiej prawdy. Zastanawiał się, czy nie postępuje głupio, wzdragając się przed jednym zręcznym, szybkim manewrem, który w gruncie rzeczy mógłby ocalić życie innym ludziom.

Powstrzymywały go wszelako nie tylko skrupuły przed morderstwem, ale też perspektywa katastrofy w razie niepowodzenia.

–Zauważyłem, że ów kapłan spotyka się z tymi, którzy spotykają się z Ryssandem i Murandysem – powiedział Idrys. – I to często. Nie jestem pewien, czy coś się za tym kryje poza wypełnianiem zwykłych kapłańskich misji, jednak fakt pozostaje faktem: ten kapłan znajduje się pod ich patronatem, a jeżeli Ryssand i Murandys naprawdę przekazują sobie niedostępne dla nas wiadomości, to łatwo domyślić się drogi ich przepływu. Ten człowiek nie jest durniem, ślepym wyznawcą. Jego schludny wygląd przeczy pogłoskom, jakoby sypiał po opłotkach.

–Widzę, że masz podejrzenia wobec Ryssanda. Czyżby działał na dwa fronty?

–Ho, ho, podejrzeniami dotyczącymi lorda Corswyndama wypełniłbym magazyn i kilka wozów na dokładkę. Z podejrzeń zasadnych mam tylko jedno: ten kapłan jest bezspornym konfidentem barona, a także patronuje tuzinowi bosonogich i obleczonych we włosiennice braciszków, zmorom naszych ulic. Gdybym go jednak dorwał w swoje ręce, mógłby wyśpiewać coś cennego. Wystarczyłoby podejść Ryssanda z tej strony, a Jego Wysokość nie musiałby się żenić celem poskromienia lorda Corswyndama. Znajdźmy tylko powód, żeby skrócić Ryssanda o głowę, a całe królestwo na tym zyska.

Wielce kusząca myśl. Ale nie śmiał. Nie mógł.

–Nie jestem moim dziadkiem. Na bogów, niechby tylko coś poszło nie tak...

–Twój dziadek żył długo i skonał w łóżku. Zostawił syna, dwóch wnuków i bezpieczne królestwo. Zamiast działać, wnoszę prośbę, nie chcę ci bowiem przeszkadzać w polityce. Służę królowi. Błagam, bym mógł mu służyć owocnie.

W wielu sprawach Idrys wielokrotnie napominał Cefwyna z humorem i go prowokował. Tym razem zrezygnował z maski, nie okazywał ani cienia humoru.

–Twierdzisz, że jestem głupcem, skoro pozwalałam żyć Ryssandowi. Ale nawet mój dziadek musiał znajdować jakieś wytłumaczenia.

–Twierdzą tylko, że gdyby Ryssand zginął wcześniej, żaden kapłan nie ważyłby się wywoływać niezadowolenia wśród ludności. A teraz patrz, jak ci jeden bruździ! Jeśli Wasza Królewska Mość lękasz się pamięci o dziadku, racz sobie przypomnieć, że twój ojciec zrezygnował z usunięcia Heryna Aswydda. No i jak to się skończyło?

To wspomnienie nie należało do przyjemnych. Idrys próbował go nakłonić do rozważniejszego działania. Korzystnego, jeśli Efanorowi udało się jakoś przekonać Ryssanda, żeby swoimi wysiłkami wspomógł Koronę, albowiem jego talenty i środki budziły respekt. Wciąż jednak skazywało to Cefwyna na towarzystwo barona, na wieczną batalię z jego ślepych doktrynerstwem... A przecież marzył o zawarciu trwałego pokoju z królestwem Ninevrise. Elwynimi nigdy nie nawrócą się na quinalt, natomiast nadzieja oderwania Ryssanda od jego purytańskich stronników wydawała się płonna. Kiedy patrzył w przyszłość, dostrzegał wszelkiego rodzaju kłopoty.

Znajdowały się one wszakże daleko, w dole strumienia czasu.

–Jeśli się zgodzę – powiedział Cefwyn – powstanie ryzyko rozpadu Ylesuinu. Ryzyko lat zatargów. Kiedy pojawi się święty męczennik, popadniemy w nie lada tarapaty. Mój dziadek, mimo rozlicznych wad, unikał męczenników.

–Co należy zrobić, to zmartwienie Waszej Królewskiej Mości. Ale jak, to już moja troska. Zagrożenie wzrasta z dnia na dzień.

–Ryssanda niełatwo okiełznać. Któż inny mógłby zająć jego miejsce? On jest tylko zagorzałym, prowincjonalnym doktrynerem, jak każdy mieszkaniec Ryssandu. Rozmyślałem już o swoich możliwościach. Nie cierpię tego człowieka. Dobrze się stało, że mamy z głowy jego syna. Kogo mam jednak uczynić rządcą Ryssandu, jeśli nie mojego brata, niech go bogowie bronią! Ale najpierw trzeba zaczekać do ślubu.

–Pozbaw go wsparcia tego kapłana.

–Jeśli nie ten, przyjdzie drugi.

–Racja, najjaśniejszy panie. Ale tak samo, jeśli zabijemy jednego żołnierza Tasmordena, wnet pokaże się drugi. Czy zatem marny się wstrzymać przed walką z Tasmordenem?

–Wiesz, że to dwie różne sprawy.

–Pozbądź się go. A potem następnego. I następnego. Aż zabraknie ryssandyjskich kapłanów.

–Aż wybuchnie gniew i zaogni się sytuacja. Słowa najlepiej zwalczać słowami.

–Cóż to, cytat z kazania Jego Świątobliwości?

Cefwyn tylko prychnął, przygnębiony wspomnieniem nudy i niejasnych sformułowań.

–Daj mi jeno pozwolenie – rzekł Idrys z werwą – a do wieczora będzie po sprawie.

–Rychło by się w mieście wielkie krzyki podniosły.

–Brak kapłana nie wywoła hałasu.

Podobała mu się ta myśl: jego pobożność, wprawdzie ograniczona, popychała go po części na tę najbezpieczniejszą drogę do osiągnięcia pokoju i zachowania życia tych wszystkich osób, które miał w swoich rękach. Jednak zbliżała się pora wystawnej uroczystości z udziałem Luriel i należało oczekiwać tłumów, jedna iskierka mogła więc wywołać pożar. I to go nieustannie dręczyło.

–Nie chcę zamieszek w mieście. Najpierw ma się odbyć spokojna ceremonia ślubna, potem noc poślubna. Żadnych niepożądanych wydarzeń, mogących zburzyć ten sojusz. Kiedy Luriel z Murandysu będzie sypiać z Panysem, a Panyś zacznie nam przekazywać raporty... Wtedy możemy obmyślać dalsze kroki.

–Obawiam się, że nie o wszystkim ci jeszcze powiedziałem, najjaśniejszy panie.

Cefwyn wciągnął głęboko powietrze i odchylił się na krześle. Idrys w czarnej zbroi wydawał się stałym elementem wyposażenia gabinetu.

–Niech cię licho, kruku, siadaj. Już mnie kark rozboleł od patrzenia na ciebie. Co za kąsek zachowałeś na deser?

–Cuthana, najjaśniejszy panie. – Idrys ostrożnie usadowił się na kruchym, obitym brokatem krześle. – Sprawa kapłana nie jest skomplikowana. Czego nie da się niestety powiedzieć o lordzie Cuthanie.

–Cóż z nim?

–Wasza Królewska Mość zapewne go pamięta... To ten, którego Tristen przepędził. Stary, próżny łajdak...

–Co mi tu pleciesz! Wiem, kto zacz Cuthan, gdzie był i gdzie sypiali jego przekłęci przodkowie: nie tylko w swoich łóżach, o nie! Wiem, że Tristen go wypędził. Wiem też, że przebywa w Elwynorze.

–Nie w Elwynorze, miłościwy panie.

–Zatem gdzie? Każesz mi zgadywać?

–W Ryssandzie.

–Do diaska!

–Jednej rzeczy Ryssand pozostaje wierny – rzekł Idrys. – Po stracie syna i spadkobiercy oddaje się ojcowskiej boleści, której nie uśmierzy nawet ślub córki z Jego Wysokością. Ani chciwość, ani ambicje, ani też obietnica, że jego ród może się skolidować z Marhanenami, nigdy nie ukoi jego żalu po śmierci syna.

–Swoim jedynym przymiotem szkodzi nam bardziej niż przewinieniami. Teraz skumał się z Cuthanem. Oraz z Parsynanem. Cóż za pocieszne grono!

–Jego Wysokość jeszcze o tym nie wie. Ciekaw jestem, jakim cudem, mimo fatalnej pogody, Cuthan przejechał przez cały Elwynor i dotarł aż do Ryssandu.

–A choćby łódką. Nie miał wszak z sobą regimentu wojska.

–Wasza Królewska Mość wie zapewne, że to człek stary i wątłego zdrowia. Jak zdołał pokonać śniegi, lody, armie szabrowników i inne przeszkody? Nad podziw wytrzymały to człowiek albo wielki szczęściarz, jeżeli sam tego dokonał.

–Do licha. Do ciężkiego licha! Tasmorden!

–Nie inaczej. Sądzę, że Cuthan jest bardzo blisko Tasmordena. Może zawiózł wiadomość lub po nią pojechał.

Zasób wiedzy Idrysa sugerował jego przerażająco głębokie zaangażowanie w Ryssandzie, choć podobne szpiegostwo było rzeczą groźną i nieprzewidywalną... oraz owocną, jak się okazywało.

–Skąd o tym wiesz?

–Dzięki posłańcowi Efanora.

–Posłańcowi Efanora? Kruku, tu chodzi o dobre imię mojego brata, o jego reputację... i bezpieczeństwo.

Idrys, który rzadko dawał się zbić z tropu, popatrzył nań na wpół zuchwale, aczkolwiek przemówił pojednawczym tonem:

–Pytałeś mnie już kiedyś, miłościwy panie, komu służę. Czy tobie, czy może twojemu ojcu. Choćbym nawet wtedy stał przed dylematem powinności, to teraz twój ojciec leży w grobie, a ja mam tylko jednego pana. Podobnie jak Jego Wysokość.

–Dlatego przemyciłeś do Ryssandu szpiega. Na dodatek w barwach mojego brata.

–Krótko mówiąc.

–Wyobrażasz sobie ten szum, gdyby go złapano? Prawość Efanora zakrawa wręcz na mankament!

–I to na poważny mankament. Miłościwy panie, czasem trzeba podejmować ryzyko. Niezwykle trudno umieścić szpiegów w Ryssandzie.

–Tylko czemu, na miłujących bogów, mają nosić znaki mojego brata? Chciałbym wiedzieć, gdzie jeszcze ich ulokowałeś. Albo nie! Lepiej mi nie mów! Ostatnio kłamię gorzej niż Tristen.

–Obawiam się, że nigdy nie byłeś w tym dobry. Za to Tristen celuje w tej sztuce.

Cefwyn przez chwilę doszukiwał się w tym żartu, lecz oblicze Idrysa dowodziło, że sprawa jest poważna.

–Tylko nie waż mi się go obwiniać – powiedział. Czuł jakby pięść zaciśniętą na sercu. – Tylko mi nie mów, że mnie zwodzi. To mój przyjaciel, do licha! Dawniej też go oskarżałeś, zawsze bezpodstawnie.

Idrys wykrzywił wargi w rzadkim u niego uśmiechu.

–Lord Tristen wykazuje niebywałą zręczność w pozbywaniu się moich szpiegów. W konsekwencji nie mam w Henas'amef ani jednego człowieka. Wszystkich odprawił nad rzekę, począwszy od Anwylla. Dysponuję pełniejszymi wiadomościami o Ryssandzie niż o Jego Miłości z Amefel.

–No i czegoż takiego dowiedzieli się ci twoi szpiedzy, nie licząc informacji o osadnictwie w Althalen i budowaniu muru?

–Nie licząc fortyfikowania prowincji? Przymykania oczu na występki czarownic? Przyzwalania na wystawianie między straganami sihijskich emblematów, eliksirów i amuletów? – Idrys wyliczał na palcach kolejne argumenty. – Nie licząc wygnania gueleńskich gwardzistów, zawłaszczenia wozów i woźniców Waszej Królewskiej Mości, zarekwirowania dóbr Parsynana? – Zaczął wyliczać na palcach lewej ręki. – A także prześladowania patriarchy Amefel i przepędzenia amefińskiego lorda, którego tytuły były równie stare jak tamtejsze wzgórza?

–Do tego wszystkiego sam się przyznał. Zadaj swym szpiegom coś trudniejszego, mości kruku. Nalegam, byś mi zameldował bodaj o jednej rzeczy, do której Tristen nie przyznał się dobrowolnie.

–Wydaje bankiet w święto przesilenia, zaprosił wszystkich lordów z południa. Mają się zjechać zbrojnie i rozbić obozowiska, a tu i ówdzie ludzie przebąkują, jakoby nie miało się jeno skończyć na zimowych łowach. Ponoć wojska nad Lewenbrookiem nie były liczniejsze od armii gości, z myślą o których czyni się już przygotowania w

Amefel.

Oddech zamarł Cefwynowi w krtani.

Z drugiej strony był to dokładnie ten rodzaj nieodpowiedzialnego działania, jakiego zawsze spodziewał się po Tristenie – działania, które nie mierzyło w niego. Tristen w swoim postępowaniu nie kierował się ową złościwością właściwą Ryssandowi. Robił to, czego królowi robić nie było wolno... i w tak głębokiej tajemnicy, że nawet Idrys odkrył ją ze znacznym opóźnieniem.

–Latem robiłem to samo. On tylko zbiera wokół siebie sprzymierzeńców. Ludzi, których lubi. Ludzi, którzy jego lubią. Tristen najzwyczajniej w świecie zacieśnia sojusz na południu... i niech go bogowie wynagrodzą za podjęte w tym celu wysiłki! Robi to, czego mi nie wolno robić, więc mu życzę powodzenia. Z całej duszy życzę mu powodzenia.

–Tylko że to wywoła pewne drobne komentarze na północy, nie uważasz? Rozkazał Anwyllowi przygotować przystań dla łodzi ze zbożem. Z ogromną furą zboża, prosto z Casmyndamu.

–Importuje zboże? Miłoścy bogowie, jeszcze jesienią wyjaśniałem mu znaczenie pieniędzy!

–Owszem, i uczyniłeś zeń lorda Amefel, najjaśniejszy panie, w której to sprawie, o ile sobie przypominam, doradzałem...

–Sam przyznałeś, że to dobry pomysł.

–Przyznałem, że Tristen będzie najbardziej niezwykłym lordem Amefel i może dobrze się stało, że tam właśnie został posłany, zważywszy na elwynimską przepowiednię.

–Do czarta z elwynimską przepowiednią! Jeżeli zechce królować w Amefel, tak między nami... – Z trudem łapał oddech, serce wciąż tłukło mu się w piersiach, gdy wyobrażał sobie kolejne powikłania w swych planach. – Mości kruku, jeśli Tristen postanowi być Najwyższym Królem w Althalen i rządzić tą przeklętą prowincją pomiędzy mną a królestwem Ninevrise... pozwolę mu. Aswyddowie zwali siebie aethelingami.

–Jak i on.

–Kiedy?

–Owej pierwszej nocy, najjaśniejszy panie, gdy składał mu przysięgę Crissand z Meiden, także potomek rodu Aswyddów, o czym trzeba pamiętać. Przysięgę wygłaszaną zwykle przed obliczem aethelinga. Powiem tylko, że w knajpach

zaczynają krążyć różne pogłoski, a wieść o tym wydarzeniu wyszła już poza granice Amefel.

–Razem z Cuthanem.

–Ten człowiek może nam przysporzyć wielu kłopotów. Z pewnością zdążył już oświecić kapłana służącego Ryssandowi.

–Bodaj krew zalała tego kapłana! Jakże mu na imię?

–Udryn, najjaśniejszy panie. Ten im wszystkim przewodzi. Aczkolwiek Wasza Królewska Mość nie życzy sobie, i słusznie, żadnych incydentów w czasie zaślubin lady Luriel, to jednak mnóstwo plotek wychodzących wciąż z tych samych ust może się rozejść wśród ludu. Nadal każesz mi tego zaniechać?

–Nie chcę, żeby tłumy jego zwolenników narobiły rabanu podczas uroczystości. Nie chcę rozlewu krwi. Masz go po prostu trzymać ode mnie z daleka. To wszystko, o co proszę. Gdyby choć Świątobliwy Ojciec mógł go nieco okiełznać... Zajmij się nim. Napędź mu strachu. To najlepszy sposób. Tylko niech się nie dowie, kto za tym stoi.

Idrys ze spokojem przełknął ten niestrawny kąsek.

–Czy Wasza Królewska Mość nadal życzy sobie spotkania ze Świątobliwym Ojcem? Albo z Sulriganem?

–Nie, dostałbym od tego bólu brzucha. Ale chętnie coś uczynię dla poprawy samopoczucia Jego Świątobliwości.

–W sam raz byłoby ślubne beneficjum.

–Nadane w dniu zaślubin, nazajutrz podlegające zwrotowi. Rozpocznij przygotowania, hałaśliwe przygotowania do święta zimowego przesilenia. Ma być uczta na placu. Oby bogowie dali nam ładną pogodę. To by wybitnie polepszyło nastroje w mieście. Ciężko będzie nawracać na bankiecie i przy darmowym piwie. Ten zelota prawdopodobnie nie pokaże się na uczcie.

–Tańce na placu, harce mieszczan. – Nigdy dotąd bardziej nieodpowiedni orędownik zabaw nie organizował balu. – Zmobilizuję gwardię. Będzie rewia żołnierzy, lecz z bronią nie od parady. Potem królewski dekret nakazujący uczestnictwo w zabawie i proklamacja Jego Świątobliwości potwierdzająca ważność ślubu. Na końcu królewski upominek.

–I po groszu na głowę. Nie, po dwa grosze. Niech wołają; "Bogowie błogosławcie Jego Świątobliwość". Rozdaj im pieniądze, niby że od niego. Na bogów! Pomyśleć, że wszystko to robię z myślą o wspomżeniu tego starego lisa!

–A twój poprzedni...

–Zamilcz! I na miłość boską, nie wszczynaj hałasu o tego Udryna!

–Na miłość boską? – zadrwił Idrys. – Być może. Ale na pewno ku dobru królestwa. Nie mógłbyś dać Jego Świątobliwości większej nagrody.

Rozdział trzeci

Nadproża w Henas'amef ustrojono zimowymi festonami, kaplice na Wschodnim Dziedzińcu opleciono girlandami z jedliny i suszonych owoców, nie żałując wieńców i proporców w oczekiwaniu na noc zimowego przesilenia, kiedy świat miał zakręcić ku wiosnie.

Dla diuka Amefel krawiec uszył wytworne szaty: czerwone z czarnymi orłami na rękawach. Na jego ciepłym płaszczu również widniały amefińskie godła. Za materiał posłużyła cudowna wełna, w której czuł się niczym w objęciach jesiennego wiatru. Tassand nalegał wspólnie z krawcem – tak im nakazywał honor – żeby nie wkraczał w nowy rok w starym ubraniu. W takim podejściu do sprawy kryła się pewna magia, wyraził więc zgodę, przyznając im całkowitą słuszność.

Pogoda wciąż dopisywała. Mróz co prawda szczypał w policzki, ale nie był to mróz siarczasty.

Na mieście, o czym meldowała czeladź, ze szczególną gorliwością opróżniano beczki piwa. Raz nawet dwaj najmłodszy służący Tristena, ku swej udręce, powrócili na zamek zbyt późno w nocy. W gospodach płonęły światła, drzwi nie zamykały się do samego rana.

Poza mury grodu wychodziły juczne kuce, obładowane zaopatrzeniem dla Anwylla, który był zmuszony pełnić w czasie świąt straż nad rzeką. Na rozkaz Tristena posyłano mu dodatkowy przydział piwa.

Kolumny mułów kursowały bezustannie między Henas'amef a nadrzeczem i zimowym obozem w Althalen, dokąd się zlatywały coraz liczniejsze stada "wróbli" Leciwej Syes. Muły dźwigały też słodyczne, albowiem zarówno Elwynimi, jak i Amefińczycy, świętowali w noc zimowego przesilenia.

Jednakowoż, mimo radosnych przedświątecznych nastrojów, mimo nowych ubrań i życzeń pomyślności, brak łodzi ze zbożem wciąż napawał Tristena troską. Wiezorami wyglądał przez okno – na którego gzymsie zbierały się gołębie – w stronę głównej bramy. Na widok gołębic wieców niektórzy służący powiadali, że ptaki są jego szpiegami, co nie było prawdą: ptaki nie przynosiły mu nigdy niczego prócz pociechy, żadnej wiadomości na temat łodzi ani innych środków transportu wiozących mu gości lub zboże.

Jak się to wszystko skończy, jeśli pomimo zakrojonych na szeroką skalę przygotowań przybędzie jedynie Cevulirn?

Wypowiadał więc w duchu życzenia, wypowiadał je dzień po dniu w wielkim utrapieniu, przy czym żadne słowa pociechy ze strony Uwena nie były w stanie rozwiązać jego wątpliwości.

Wszelako pewnego ranka, kiedy ocknął się z długiego, spokojnego snu, zerknął przez okno z rozradowanym sercem, napełniony niewyjaśnioną otuchą. Powiadomił Uwena o nowych nadziejach, jakie w nim ożyły. Kapitan, rzuciwszy okiem na chorągwie furkoczące na wietrze, odparł, że ten silny południowy wicher również jego podnosi na duchu.

Przez trzy kolejne dni niezmiennie wiało z południa i zachodziła obawa, iż stopnieją śniegi za rzeką. Tristen posłał więc wiadomość do Anwylla, aby ten w czasie święta nie zaniedbywał czujności.

Wierzył jednak, że popychane tym wiatrem łodzie wreszcie nadpłyną. Olmern wyruszył w drogę. Na trzeci dzień gołębie wybrały się jak zwykle na północ, by wieczorem powrócić w komplecie na parapet... nie okazując przy tym zbyt wielkiego głodu.

W tym samym czasie pojawił się Paisy z zawiadomieniem, że mistrz Emuin weźmie udział w świątecznych uroczystościach. Młodzieniec błagał Tassanda, aby ten pomógł mu doprowadzić do porządku szaty czarodzieja.

Tak rzeką, jak i gościńcami ciągnęli liczni podróżni. Tristen był o tym przekonany, lecz jego radosny nastrój burzyły utyskiwania Tassanda, że plan na ubraniu mistrza Emuina żadną siłą nie da się wywabić, wobec czego starzec powinien raczej zwrócić się do krawca, realizującego wszakże inne świąteczne zamówienia i będącego na granicy obłądu. Aczkolwiek, gdyby mu zaproponować suty napiwek...

Kuchmistrzynie miała teraz na głowie więcej spraw niż wódz przed walną bitwą, ponieważ, jak ją zapewnił Tristen, gości należało się spodziewać dokładnie w umówionym terminie.

Na stajennym dziedzińcu, nieopodal zabudowań, ustawiono stoły, przy których miała ucztować czeladź. Nad stołami rozpięto namiot, a wokół miały zapłonąć pochodnie. Również na Południowym Dziedzińcu czekał już na swą zastawę wielki stół dla grodzkich dygnitarzy – tych mniej znamienitych, gdyż lordowie i arystokratyczna śmietanka mieli zgromadzić się w wielkiej sali.

Wyciągano do dekoracji całą odkładaną od jesieni żywność: szynki, suszone mięsiwo, a także przyprawy korzenne, jabłka i orzechy. Przyrządzano paszteciki z kuropatw, a w całym zachodnim skrzydle pachniało smażonymi jabłkami i

przekładańcami.

Tristen zobowiązał Tassanda do powiadomienia lordów, że podobnie jak w wigilię przesilenia, tak i w świąteczny wieczór odbędzie się uczta. Nie tak dawno pragnął, ażeby łodzie z białymi żaglami przy płynęły do Anwylla, teraz jednak wędrował marzeniami do Modeyneth i Trys Ceyl, a także do odleglejszych obozów, życząc wszystkim błogosławionych południowych wiatrów oraz braku śniegu i jakichkolwiek kłopotów. Emuin zapowiadał mu, iż noc zimowego przesilenia to pora brzemenna w przypadki, mroczna i straszna, on wszakże łączył ją z perspektywą spełniających się życzeń.

I rzeczywiście, po południu w przeddzień święta, kiedy słońce stało jeszcze wysoko na niebie, dobiegający od południowej bramy miasta głos dzwonu obwieścił przybycie gości. Niebawem okropny zgiełk zapanował na dziedzińcu wypełnionym gromadą jeźdźców i proporców nie jednego, ale dwóch baronów. Umanon i Sovrag przyjechali ramię w ramię – pokonali ów krótki odcinek północnej drogi między posterunkami nad rzeką a grodem.

Ich przyjazd oznaczał spełnienie obietnicy. Zjawienie się ich obu było czymś zadziwiającym, a ich wspólne podróżowanie zakrawało wręcz na cud. Lordowie ci nie darzyli się sympatią, a mimo to zawitali w jego progi. Tristen czekał wśród wrzawy ujadających psów i pokrzykujących koniuchów, by wreszcie móc ich przywitać.

W całym Ylesuinie nie istniało dwóch bardziej wrogich sobie ludzi. Nawet Tristen, będąc Formą Mauryła, wiedział, jak mało prawdopodobną jest rzeczą, by ci dwaj kiedykolwiek obdarzyli się wzajemnym szacunkiem. Umanon był Gueleńczykiem, wyznawcą quinaltu, człowiekiem władczyim i przestrzegającym zasad, a przy tym nader grymaśnym, podczas gdy Sovrag z Olmernu był tego zbudowanym rabusiem rzecznym, któremu szlachectwo nie przydało wiele ogłady – król Inareddrin wolał nadać mu szlachectwo, niż wykurzać go w pocie czoła z pirackiej warowni nad urwiskiem.

Umanon, mający słuszne pierwszeństwo przed Sovragiem w każdym dworskim wydarzeniu, trzymał się z tyłu z chmurnym czołem i patrzył ze zdumieniem, jak Sovrag, z rozpostartymi ramionami i szerokim uśmiechem na ozdobionej rudą brodą twarzy, rażno kroczy na spotkanie z gospodarzem.

–Fiu, fiu, dzielnieś się spisał, chłopcze – oświadczył, obłapiając niedźwiedzim uchwytem ramiona Tristena. – Lord Amefel! Wielkie nieba, kiedym dostał list od władcy stadnin, zaraz sobie rzekłem, że Marhanen okazał wreszcie kapkę zdrowego rozsądku, jako żywo! – Sovrag cofnął się o krok, by przyjrzeć się badawczo Tristenowi. – Szczęście to niemałe mieć ciebie za sąsiada w miejsce kłamliwego lorda Heryna czy tych jego siostrzyczek, a sądząc po początkach, dobrze będzie się z tobą handlowało. Zapropomowałem Jego Miłości... – kiwnął głową w stronę Umanona. –

Skoro dostarczał zboża, tom mu rzekł, coby popłynął rzeką i na drugi brzeg sobie popatrzył. Zdaje mi się, że twemu zbożu nic już nie grozi na przystani pod okiem gueleńskiego kapitana, któren, jak myślę, gdzie indziej je przeniesie wedle twego życzenia.

–Da sobie radę – odparł Tristen, ufając w przedsiębiorczość Anwylla.

Wprawdzie spodziewał się, że widok znajomych twarzy sprawi mu wielkie zadowolenie, jednak żarliwość Sovraga pomieszała mu nieco szyki, serce jego bowiem wezbrało niebezpiecznie głęboką, acz szczerą radością podczas tego przyjacielskiego powitania z Olmerneńczykiem.

Ale bał się, że urazi drugiego gościa, dotychczas milczącego. Sovrag nigdy nie był mu wrogiem i nigdy nie traktował go wyniośle, czego nie dało się powiedzieć o Umanonie, który jako wyznawca quinaltu wydawał się spośród wszystkich lordów najmniej skłonny zaakceptować Formę czarodzieja. Tristen dotychczas powątpiewał w przyjazd Umanona. Przypuszczał, że Sovrag popłynie raczej na południe, zamiast zaopatrzyć się w przepaścistych składach Imoru: po pierwsze ze względu na wzajemną nieufność obu lordów, po drugie zaś dlatego, że Umanon dostarczał zboże Cefwynowi, a potrzeby królewskiej armii stały w pierwszym rzędzie.

Mimo to Umanon przywiózł zboże. W dodatku łodziami, nie zaś na grzbietach ciężkich rumaków, będących chlubą Imoru. A zatem Umanon miał swój udział w złotej zastawie lorda Heryna. Tristen żywił nadzieję, że jest to udział spory.

Osaczony takimi myślami, zmierzył się śmiało z lodowatym spokojem Umanona, pragnąc gorąco przywitać gościa. Wyciągnął rękę.

–Dziękuję za przybycie, panie. Dziękuję z całego serca.

–Lordzie Amefel – rzekł Umanon, jak zawsze z rezerwą, ale miłym tonem. W rzeczy samej, lord Imor przybrał wobec niego postawę całkowicie różną od tej, jaką niegdyś prezentował. Rysy jego twarzy co prawda nie uległy zmianie, lecz z oczu przestała wyzierać wrogość, a w dłoni, którą Tristen ujął, nie wyczuwało się chłodu.

–Witam! Witam z radością! – Nie miał pojęcia, o czym dalej mówić z Umanonem lub jak go utrzymać w pogodnym nastroju. Przekonał się nad Lewenbrookiem, że to odważny i waleczny człowiek, choć czasem drażliwy i irytujący. Pomyślny początek w stosunkach między nimi mógł dobrze rokować na przyszłość.

–Jego Królewska Mość zdecydował się na śmiały krok, nadając ci ten urząd – stwierdził Umanon. – Przypuszczam, że północne nosy zostały srodze pokąsane.

–Boję się, że to prawda.

–No a co z tą zwózką zboża? O co tu chodzi? Mamy skończyć sprawę, której żeśmy nie skończyli latem?

–Racja – ozwał się Sovrag zza ramienia Tristena. – Człek od Cevulirna skąpił nam wiadomości, to samo twój kapitan nad rzeką. Aliści pasztety z kuropatwy znęciły nas niby złoto... No, prawie, tedy i jesteśmy. Lepiej, żeby te pasztety były. Obiecałem chłopakom, że będą.

–Owszem, będą – zapewnił Tristen. – Tak mówi kuchmistrzynie. Mistrzu Hamanie! Zabierz konie! – Wierzchowce hufców Sovraga i Umanona miały uprzęże z imorimskimi i olmerneńskimi markami, żadna z nich nie pochodziła z obozu Anwylla. Nie wyobrażał sobie, jakim sposobem splawili konie w górę rzeki. Co więcej, były to piękne, starannie utrzymane zwierzęta, nie wykazujące śladów zmęczenia po podróży. Tristen, zdumiony, pomyślał nagle o wielkich Barkach; objawiło mu się Słowo mówiące o łodziach, jakich dotąd nigdy nie widział.

–Jaka jest twoja odpowiedź? – zapytał Umanon. – Ruszamy na Ilefian?

–Panie, zanim powiemy coś więcej, powinniśmy się najpierw wszyscy zebrać. Ale wiecie już chyba o zdobyciu Ilefianu?

–Chodzą takie wieści po świecie – odrzekł lord Imor.

–A nie mówiłem latem, że słono zapłacimy, jeśli nie pójdziemy za rzekę? – dodał Sovrag.

–Wielu z nas tak radziło – rzekł Umanon, po czym dorzucił zgryźliwie: – Nasze zboże leży na łodziach tego tu Olmerneńczyka, alem rzetelnie wszystko zestawiał, kazał podpisać, a listę trzymam przy sobie.

Jakby ziarno od Umanona mogło jakimś trafem zostać pomieszane z tym z olmerneńskich spichlerzy. Dawniej Tristen nie zrozumiałby tej dziwnej możliwości, teraz jednak, bogatszy o doświadczenia z rachunkami Parsynana, wiedział, w czym rzecz. Dostrzegł zjadliwy uśmiech Sovraga.

–W moich i jego spichrzach znajdziesz dość zboża dla całej armii – powiedział.

–Moi ludzie są już w drodze – rzekł Umanon. – Ciężka jazda. Wziąłem sobie do serca słowa Cevulirna. Będę miał liczną eskortę.

–Ja też mam sporo łodzi – oświadczył Sovrag. – I moim ludziom nie zbraknie wojennego ekwipunku. Wejdziemy daleko w głąb Elwynoru? A może inaczej się zabawimy? Może popłyniemy ku północnym mostom?

Cefwyn z trudem radził sobie z bezpośredniością Sovraga, a i Tristenowi sprawiała

ona sporo kłopotów. Na szczęście nie było w pobliżu nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy z charakteru tego zjazdu wojska tudzież przygotowań Cefwyna na północy... nie wyłączwszy nawet chłopców stajennych, dziarsko uwijających się koło koni.

–Niestety, nie wiemy, co zrobi Tasmorden, kiedy się dowie, że przyłynęły tu łodzie – rzekł Tristen. – Skoro przybyliście i nie brak nam zaopatrzenia, jego możliwości są ograniczone.

–Ciekawi mnie, czyś się radził Jego Królewskiej Mości w sprawie naszego zgromadzenia – zapytał Umanon bez ogródek, nawiązując tym do pytania Sovraga w kwestii północy. – Posłaniec Ivanora twierdził, że nic mu o tym nie wiadomo.

–Póki co, nie powiadomiłem północy – odparł Tristen najzupełniej szczerze. – Do tej pory nie byłem nawet pewien, czy zdołam kogokolwiek zebrać. Król pozwolił mi tu budować i fortyfikować, co też czynię, dzięki czemu Tasmorden nie przeprawi się przez rzekę na południe. W chwili obecnej, panie, nic na południu nie zagraża dobru króla. Baronom z północy nie podoba się moja tu obecność. Kierują zarzuty przeciwko Jej Miłości. Ostatni goniec, którego posłałem do Guelessaru z wiadomością, ledwo uszedł z życiem, wracając z listem od Cefwyna. Nie wystarczyło nawet to, że był pod opieką Idrysa. Niebezpiecznie jest teraz słać listy. Nie jestem pewien, czy Cefwyn jest bezpieczny.

Obaj lordowie marszczyli brwi, zafrasowani.

–Wieczorem, podczas obiadu, kiedy przyjadą następni, powiem wam, co jeszcze wiem w tej sprawie – oświadczył Tristen. – Zaprosiłem was tutaj, bo liczę między innymi na wasze rady.

–Skoro już jesteśmy przy radach – powiedział Umanon – rozsądek nakazywałby ruszać co rychlej, zważywszy na pokusy, na jakie narażone jest zboże. Nie wspominając już o łodziach.

–Zboże, jak mniemam, nie będzie już stało u przeprawy Anwylla, gdy zaświta ranek – rzekł Sovrag. – Dobrze mówię, lordzie Sihhe?

–Anwyll je przetransportuje za mur w Modeyneth. Lord Modeyneth pošle ludzi, którzy przeniosą worki na plecach, jeśli nie znajdą lepszego sposobu.

–Ciężkie wozy już jadą z całym naszym sprzętem – rzekł Umanon.

–A łodzie płyną na południe – oświadczył Sovrag. – Skoro tylko pozbyły się ładunku, prują po resztę zboża. Oby tylko nie ugrzęzły gdzie w Marnie. Do diaska, co też się z tym lasem porobiło!

–Jest inny? – spytał Tristen.

–Nieprzyjemny – stwierdził Umanon lakonicznie. – Odetchnąłem z ulgą, kiedy już minął to bezludzie. Gdyśmy wśród kniej przepływali, najłżejszy wietrzyk nie powiewał nad wodą, a mimo to gięły się wierzchołki drzew. Zza chaszczy dobiegały dziwne głosy. Jakby dźwięki bitwy, jeno nikt się nie pokazywał.

–Ech, te wiekowe drzewa – powiedział Sovrag. – Nawet za dni Mauryla nie zdawały się tak smutne i samotne. Cosik nawiedza ten las, że tak powiem.

–Już przed Lewenbrookiem był nawiedzony – rzekł Tristen. Nie zapuszczał się do tego zakątka swoich ziem ani w szarej przestrzeni, ani w materialnym świecie. Z przykrością słuchał, że Marna stała się jeszcze mroczniejsza od lasu, do którego wracał pamięcią, od lasu z czasów Mauryla. Już wtedy budził w nim lęk, lecz był to lęk umiarkowany, niemal oswojony. Podobnie Sovrag traktował go z beztroską zażyłością, prowadząc handel z Maurylem, i nigdy nie przyznawał się do strachu.

Tym razem jednak Sovrag składał odmienny raport – a mimo to przybył. Tristen doceniał odwagę Sovraga z Olmernu. Patrzył też z szacunkiem na lorda Umanona, który odważył się przebyć las na łodzi Olmerneńczyka.

–Życzę im bezpiecznej podróży – powiedział. – A dla was przygotowane są już kwatery. Jako pierwsi goście, możecie wybierać między wschodnim, zachodnim a południowym skrzydłem, w zależności od tego, gdzie wolicie, aby wychodziły wasze okna. Skrzydło zachodnie, nad kuchniami, jest najcieplejsze.

–Ja wolę południowe, ze względu na czyste, zdrowe powietrze – oświadczył Sovrag.

–A ja wybieram wschodnie, z myślą o wschodzącym słońcu – dodał Umanon.

Tristen spodziewał się, że przyjdzie mu rozlokować obu baronów w przeciwległych skrzydłach fortecy, ale ponieważ przepłynęli wspólnie rzekę, nie należało się obawiać, iż wybuchną kłótnie między ich strażnikami. Obaj wspięli się razem na schody, a potem zeszli do dolnej sali, pytając po drodze Tristena o nowiny z dworu Cefwyna, nade wszystko ciekawi, co wisi w powietrzu, skoro sam lord komendant musiał chronić posłańca.

Sale rozbrzmiewały echami wieści trzymanyh dotąd w tajemnicy, służący zaś przystawali z szacunku dla wielmożnych gości, nasłuchując z wytrzeszczonymi oczyma. Nie uszło to uwagi Tristena. No cóż, przybył Sovrag; w czasie jego obecności niewiele sekretów uniknie ujawnienia w Henas'amef. W szczególności niepodobna było przemilczeć tego, kto miał się wkrótce zebrać na polach i pastwiskach za murami grodu.

Nadciągała armia, wobec czego Tasmorden, gdyby wyciągnął ręce po zboże, mógł się srodze sparzyć. Tylko jak szybko się o tym dowie?

Ale że się dowie, to pewne.

Kolejny gość stawiał się tego samego dnia. Zanim wierzchowce Sovraga i Umanona zostały umieszczone w stajniach, ponownie zabrzmiał dzwon przy miejskiej bramie, obwieszczając przybycie podróżnych, tym razem nadciągających od zachodu.

Jak donosił konny zwiadowca, jechali pod sztandarem z czapłą – godłem Pelumera z Lanfarnesse, który jednak nie prowadził z sobą wielu żołnierzy.

Poczyniono przygotowania dla pięciuset ludzi, jako że Cevulirn o tyłu miał poprosić każdego z lordów, lecz kiedy Pelumer ostatecznie minął Zachodnią Bramę fortecy, okazało się, iż towarzyszy mu jedynie chorągwy i ośmioosobowa eskorta, wszyscy ubrani w skromne szarozielone szaty.

Ludzie ci byli prawdopodobnie dragonami, aczkolwiek lanfarnescy żołnierze zazwyczaj nie dosiadali w boju koni. Kontyngent Pelumera składał się z piechoty, która najsprawniej walczyła wśród leśnych ostępów, zapuszczając się nawet w głąb Marny. Podbudowany tą myślą, Tristen nie tracił związanych z Pelumerem nadziei.

–Witajcie – powiedział.

–Oho – rzekł Pelumer, zeskakując z konia i zerkając na dwie chorągwie baronów, które powiewały nad przedmurzem na równej wysokości z amefińskim orłem. – Są już Olmern i Imor.

–I twój sztandar do nich dołączy, panie. Witam cię z tą samą radością, z jaką cię tu witano latem.

–No, nareszcie dobrze się dzieje w Amefel po tych wszystkich dziwactwach. Serce mnie bolało, gdy patrzyłem od jesieni, co tu się wyrabia. Z radością przyjąłem twe wezwanie. Mam z sobą wozy ze sprzętem zimowym dla setki żołnierzy. Moi ludzie ciągną podrzędnyimi drózkami od wioski do wioski. Dragoni donoszą mi o ruchach na zachodzie i zgromadzeniu w Althalen... Nikt z nich tam nie myszkuje, co to, to nie, ino mają świadomość, panie, że masz tam swoje siły. Po prostu mają tego świadomość.

Stu ludzi zamiast pięciuset. Lanfarnescy żołnierze niezwykle rzadko walczyli w polu i wbrew wszelkim wcześniejszym zapewnieniom zawsze jakoś unikali uczestnictwa w walnej bitwie.

To jednak, co Pelumer wiedział przed bitwą, mogło wynagrodzić całą resztę. Ostatnio stracił łaski, którymi cieszył się niegdyś u Cefwyna, ale może, myślał Tristen z bijącym sercem, może ci skryci ludzie nie byli przeznaczeni do walki na otwartym polu.

–W Althalen osiedlili się Elwynimi – powiedział. – Dostarczamy im zaopatrzenie. Ale to już pewnie wiesz.

–No, no – odparł Pelumer, udając zaskoczenie. Nagabywany o poczynania swoich ludzi, zaraz szukał wykrętów, co częstokroć doprowadzało Cefwyna do tak wielkiej pasji, że ich sojuszowi groziło wręcz rozbitcie.

Nie byli to jednak ciężkozbrojni jeźdźcy walczący na podobieństwo Gueleńczyków.

–Ulokuj swoich ludzi tam, gdzie ci się spodoba, panie. W Althalen, tutaj albo gdziekolwiek na mojej ziemi.

Pelumer spojrział nań z ukosa, lustrując go po raz drugi, jakby z pewnym przestachem.

–Gdzie ci się spodoba – powtórzył Tristen. – Tak by mogli nam jak najlepiej służyć.

–Trzymam cię za słowo – odrzekł Pelumer z poważną miną. Za młodu, o czym Tristen sobie przypominał, Pelumer pierwszy przystąpił do zdobywania Althalen, dzięki czemu jego roszczenia miały pierwszeństwo przed żądaniami jakiegokolwiek lorda Ylesuinu, czy to z północy, czy z południa. Selwyn Marhanen wysoce go sobie cenił... lecz Inareddrin i Cefwyn, zaślepieni gueleńskim stylem prowadzenia wojny, wydawali mu tylko rozkazy.

–Bardzo cię potrzebuję – powiedział Tristen prosto z serca. – Witaj, lordzie Pelumerze.

–Amefel – odparł Pelumer z niezwykłym ciepłem, po czym uścisnął oburącz dłoń Tristena. – Dobrze już, dobrze, przybyliśmy tu przecie strojnie na ucztę, gdzież więc mamy się zakwaterować?

–Olmern zajmuje południowe skrzydło, Imor wschodnie. Wolne jest tylko zachodnie, najcieplejsze. Pozwól, że cię zaprowadzę.

Pelumer już raz zranił Tristena, kiedy ten podsłuchał, jak się o nim nieprzychylnie wyraża. Potem jednak baron traktował go po przyjacielsku. Wszelako przekradał się przez las w szarzielonych barwach, umiał więc przyoblekać stosowną maskę w zależności od tego, z kim się zadawał. Tristen zrozumiał to i wybaczył mu tamtą obrazę. Pelumer dowiadywał się sporo rzeczy od ludzi, którym się zdawało, iż podziela ich opinie... Najważniejsze jednak, co Pelumer robił później.

Chłopcy Hamana zakręcili się szparko wokół koni gości. Pelumer zabrał z sobą tylko lekkie siodło i rozkazał zatknąć na murach również własną chorągiew.

–Olmern twierdzi, że w lesie jest ciemniej i smutniej niż kiedykolwiek wcześniej –

powiedział Tristen, gdy pokonywali schody ramię w ramię. Zachowujący się swobodnie gwardziści, tutejsi i ci od Pelumera, szybko weszli z sobą w komitywę. – Też coś zauważyłeś?

–Parę dziwnych rzeczy – odrzekł Pelumer. – Obrzeże Marny to ostatnio nader praworządne miejsce, gdzie przestrzegane są królewskie prawa. Wszyscy zbójcy wyginęli. Znajdujemy ich po jednym, po dwóch, uśmierconych w ostępach, jakich strzec się winni rozumni ludzie. Urodzaj na nieszczęśliwe wypadki, rzekłbym. Sam nigdy nie posyłam ludzi między mateczniki. Uważam, że las ma się bardzo dobrze pozostawiony w spokoju.

–Myślisz, że ma się dobrze?

–Gdyby było inaczej, prędzej niż ja byś o tym wiedział... Czyż nie tak, panie?

–Chyba tak.

–W puszczy rojno od duchów. Korzenie starych drzew docierają do zbyt wielu kości.

Rozmowa nabrała posępnego charakteru, lecz odsłoniła Tristenowi wizję Pelumera jako sługi pierwszego Marhanena... Człowieka chytrego, który zachował życie, choć tylu innych pomarło. Bagaż lat czynił zeń skarbnicę wiedzy o dawnych dziejach, źródło przeróżnych ciekawostek... i ostróg.

–Trzeba nam było latem się przepawić – stwierdził Pelumer. – A mówiłem królowi.

Brakowało już tylko Cevulirna. Dzień chylił się ku wieczorowi, bezwietrzny i bezchmurny.

Lordowie, wypoczęci po podróży, rozpoczynali teraz pierwsze przygotowania do uroczystości mających uświetnić owo miłe spotkanie. Służący śmigali tam i z powrotem z ręcznikami i wiadrami gorącej wody do kąpieli, czyniąc ze schodów zdradliwą pułapkę. Inni wszakże natychmiast wycierali je szmatami, żeby ktoś nie upadł. Jeszcze inni rozkładali wokół stołów na głównej sali świeże, pachnące gałązki jedliny.

Muzykanci stroili przy kominku swoje instrumenty, wydobywając z nich chaotyczne, acz dziwnie uspokajające dźwięki. Ktoś dostrajał bębenek.

Tristen w towarzystwie Uwena przemierzał salę wzdłuż i wszerz, upewniając się, czy wszystko jest stosownie przyszykowane na podjęcie znakomitych gości. Usiłował jednocześnie nie myśleć o tym, na którego wciąż czekał. Z pewnością nie musiał przypominać Emuinowi, co się dzieje na zamku. Tassand zaniósł czarodziejowi jego odświętne szaty, natomiast Pasi biegał tu i tam, pomagając w przygotowaniach na

dole, zafascynowany perspektywą czekających go słodkości.

Nawet Tristen nie omieszkał wykraść z półmiska małej zakąski, podobnie jak Uwen.

–Takie małe co nieco, na prawdziwą ucztę jeszcze przyjdzie czas – mruknął Uwen z łobuzerskim uśmiechem. – Trza jeno stłumić to burczenie w brzuchu i zadbać, coby piwo w próżnię nie poleciało. Wszystko gotowe. Uszy do góry, panie.

To, że lordowie przybywali na czas – o czym za pośrednictwem Tassanda dowiedział się od Umanona – nie było dziełem przypadku. Cevulirn wyznaczył roztropnie spotkanie na przeddzień wigilii zimowego przesilenia. Za jego też radą baronowie pozostawili wojska w drodze, a sami bez zwłoki pośpieszyli do Henas'amef, ufni, że znajdą się dla nich stajnie, namioty, żywność i drewno na opał oraz wszystkie te rzeczy, które w przeciwnym razie musieliby taszczyć sami.

Ci ludzie mu zaufali, skazując swych żołnierzy na obozowe życie przy niepewnej pogodzie. Co więcej, owi żołnierze musieli w okresie świąt cierpieć rozłąkę z rodzinami, towarzysząc bezpośrednio swoim lordom albo tkwiąc gdzieś na szlaku. Dzięki staraniom Uwena na pierwszych przybyłych od razu czekała ucztą. Załoga garnizonu rozstawiła dla obcych żołnierzy namiot nie mniejszy od tego, pod którym mieli biesiadować grodcy dygnitarze. Wewnątrz garnizonowi kucharze postawili już na ogień kotły z niespotykane gęstym gulaszem, szykowali koszyki z chlebem i ustawiali antałki piwa sprowadzone z miejskich szynków.

Tak miało być przez całe święta, a każdy nowo przybyły kontyngent mógł liczyć na równie gorące powitanie. To wprawiło ludzi w wyśmienity humor.

Kiedy już słońce gasło, rozdzwonił się dzwon przy bramie, głosząc dotarcie ostatnich, najgorliwiej wyczekiwanych gości.

–Biały koń! – krzyknął zadyszany pomocnik Hamana z wybałuszonymi oczyma. – Lord Ivanor i cały jego zastęp!

W rzeczywistości nie nadjechała kompletna drużyna Cevulirna, ale spora ich gromada z jucznymi końmi dźwigającymi namioty. Żołnierze wzięli się rażno do pracy i rozbili obóz na miejscu, które zajmowali zeszłego lata, choć ich pan w pięknym, szarym płaszczu i w stroju odpowiednim na salę bankietową jeszcze nie dotarł do bram twierdzy.

A zatem Cevulirn zdążył na czas, mimo że zjawił się tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Panował już zmrok, gdy jeden ze stajennych zatykał na murach flagę Ivanoru. W blasku płonących na dole ognisk stworzenia na chorągwiach oszukiwały wzrok, jakby powołane zaklęciem do życia.

Stawił się Crissand, a wraz z nim Drumman i Azant. Amefińscy lordowie, po

odwiedzeniu kaplic i grobowców na Wschodnim Dziedzińcu, ubrani w gustowne, acz skromne stroje (ostatnio nie praktykowało się rozrzutności) wchodzili rzędem na salę, gdzie z otwartymi ramionami i niekłamaną radością witali baronów z południa.

Był to najmiłszy, najcudowniejszy widok. Tristen z radością podszedł do Crissanda. Earl odwiedził dziś swoje wioski, odbył więc ciężką podróż, żeby zdążyć na ten wieczór.

–A więc jesteś – rzekł Tristen.

–Nie jechałem zaspami, panie. Podążałem po śladach dogodną drogą i tak oto spotkałem się z Ivanorem.

Stara twierdza trzęsła się od wrzawy. Na zewnątrz dziedzińce pękały w szwach, goście wraz z orszakami przemieszczali się to tu, to tam, konie kursowały na wzgórze i ze wzgórza, rozsyłano jedzenie.

Panowała równie radosna atmosfera, jak latem... chociaż kurz i pot dawały się wtedy bardziej we znaki. Obecnie nocny przymrozek szczypał w policzki i okrywał twarze rumieńcem.

Korzenne aromaty, zapachy rozmaitego mięsiwa i pieczonego chleba otaczały uczujących, podczas gdy ostra woń jałowca mieszała się z wonią koni, skóry i wełny... Wszystko to wypełniało powietrze, kiedy Cevulirn, wkroczywszy jako ostatni na salę, przyjmował uściski przyjaźnie doń nastawionych baronów i amefińskich lordów.

–Jesteśmy już wszyscy – oznajmił Tristen, przy czym poczuł, jak coś wskakuje na właściwe miejsce, coś trwałego niczym skała i niemal tak samo starego. Jedną ręką obejmował ramię Cevulirna, drugą ramię Crissanda, kiedy odwrócił się i potoczył wzrokiem po twarzach swoich gości.

Szara przestrzeń rozświetliła się przed nim, zapłonęła niby jasna pochodnia. Jesteśmy już wszyscy, pobrzmiwało w owej czarodziejskiej przestrzeni, docierając aż do Emuina i dalej, w stronę Assurnbrooku.

Rozdział czwarty

Poranek wigilii zimowego przesilenia zaświtał perłowymi i różowymi kolorami – stosowny zwiastun ślubnej ceremonii. Pogoda wróżąca piękny dzień w połączeniu z oczekiwanym wydarzeniem sprawiała Cefwynowi tak wielką ulgę, że z trudem panował nad rozradowaną miną, a jego nastroju nie burzyła nawet myśl o niewygodnych regaliach na czele z ciężką koroną.

Nareszcie wydawali za mąż Luriel z Murandysu. Miał ochotę uśmiechać się do

każdego.

Jednak najczęściej uśmiechał się do swej małżonki, także przystrojonej w oficjalne szaty, z diademem regentów Elwynoru na skroni... albowiem dotrwali do tego dnia bez waśni i w dobrych nastrojach. Z jego rozkazu regentce, której niewielki fraucymer usługiwał dziś w całości pannie młodej, nie towarzyszyły dworki, ale uzbrojeni i postawni żołnierze Smoczej Gwardii – dowód jego monarszej władzy i widomy znak dla wszystkich świadków, że król kocha swą żonę... a ona nie musi tego ranka służyć pomocą Luriel.

Bledsze gwiazdki dworu, pokojówki i dworskie matrony, miały zadbać, ażeby wszystkie wymagane przedmioty – modlitewnik, różga z miotły, szczypta soli, ziarnka zboża – znalazły się w posiadaniu panny młodej, rozmieszczone na niej w miejscach uświęconych starą jak świat tradycją.

–Szyłam jej suknię – rzekła Ninevrise z przekąsem, gdy decydowała się nie uczestniczyć w ubieraniu panny młodej. – Przy reszcie pomogą Luriel krewni.

Aż do zeszłego wieczoru panował spokój, lecz wtedy Luriel dostała szalu na punkcie swoich trzewiczków, które okazały się nagle za małe, mimo że wcześniej dokładnie zmierzono jej stopy. Buciki jednak cisnęły, a nieszczęsny szewc drżał ze strachu o życie i swoją dalszą karierę.

–Objadała się smakołykami – powiedziała Ninevrise – i zarazem chciała mieć najzgrabniejsze, najdelikatniejsze buciki. Przy ściąganiu miary lekceważyła przestrogi, odrzucała wszelkie rady. Bo przecież w jej rodzinie, tysiąc razy o tym słyszałam, wszyscy mają podobno zgrabne dłonie i stopy! A teraz trzewiczki cisną. Cóż za nieszczęście! Mam żałować jej czy może szewca?

–Zapamiętaj, który to, bo chcę u niego zamówić parę butów – powiedział Cefwyn. Ninevrise okazywała daleko idącą pobłażliwość i uprzejmość wobec Luriel z Murandysu, a mimo to panna młoda, zamiast poczuwać się do wdzięczności, miotała się z furią w obecności Ninevrise, złorzecząc na buty oraz rzucając nożyczkami i koszykiem do szycia. – Zaraza na nią! – pomyślał i powiedział. Jednakże młodemu Rusynowi szczerze życzył wszelkiej pomyślności. Posłał mu modlitewnik: królewski, tradycyjny prezent dla wyznającego quinalt pana młodego. Przyjaciele mieli mu dać ponadto srebrny sztylet i gałązkę ruty, również zwyczajowe dary dla przyszłego męża. Młody Panys musiał się wykąpać w wodzie dostarczonej z jego rodzinnej prowincji, bynajmniej niepodgrzanej, a pierwszy zgolony zarost, zachowany na tę okazję – spalić w świętym ogniu.

Rusyn z cierpliwością przyjmował nie tylko wszystkie te zwyczaje, ale i żarty, których nie szczędzono. Król Ylesuinu w dniu swego ślubu znalazł tylko pęk pończoch w bucie, kiedy chciał go założyć – dzieło Annasa, był tego pewien. Ku jego

rozczarowaniu nikt inny nie odważył się na ślubny żarcik. Nawet brat. Tak się zmienił...

Obyśmy tylko jakoś przeżyli ten dzień, modlił się w duchu udając się z królewskich apartamentów do dolnej sali. Zielone gałązki wiły się wokół balustrady.

Noc poślubna w wigilię święta i pierwszy poślubny poranek w dzień przesilenia; noc przemian i poranek nowego roku... Znaki obwieszczające koniec jednych rzeczy, a początek innych uczyniły ten okres popularny na branie ślubów. Na dzisiaj też, jakżeby inaczej, w świątyni, gdzie przystępowały do ślubu szacowne damy i znamienici młodzieńcy z miasta i okolic, zaplanowano jeszcze dwie ceremonie, którym miał przewodniczyć Świętobliwy Ojciec.

Cefwyn trzymał za rękę Ninevrise, zstępując ku gromadzącym się u stóp schodów uczestnikom ceremonii ślubnej – uśmiechał się do przyjaciół, do lorda Maudyna, ojca pana młodego, a nawet do Prichwarrina, lorda Murandysa, który usiłował zachować radosną i równocześnie spokojną minę. Uśmiech króla wprawiał go w konsternację, co było miłe.

Nastąpiła czysto formalna wymiana uprzejmości i życzeń, wychylono na stojąco po kieliszku wina, przy czym kieliszki były darem i pochodziły tradycyjnie ze środkowych prowincji – prowincji Panysa. Następnie cały orszak zszedł schodami pod drzwi Efanora, gdzie dołączył do nich książę wraz z obstawą oraz lord komendant, nawet w dzień ślubu obleczony w swą zwyczajową czerń.

Na zewnątrz, gdzie formowała się procesja, wszyscy goszczący w Guelesforcie lordowie czekali już w wytwornych zimowych szatach, damy zaś ustroiły się w suknie z szerokimi spódnicami – niejedna za przykładem Ninevrise wybrała skromniejszy wariant. Panny niosły gałązki janowca i chłostały nimi z uciechą wchodzących im w drogę młodych szlachciców; zakochani młodzieńcy robili, co mogli, aby poddać się chłości, bo wróżyła ona udane małżeństwo.

Dźwięki trąb zabrzmiały w chłodnym powietrzu cienko i trochę zbyt wysokim tonem. Perłowo-różowe barwy nieba ustąpiły miejsca jasnemu, lśniącemu, cudownemu błękitowi. Wzdłuż drogi poza żelaznymi wrotami Guelesfortu, w kałużach na wytartych wapiennych płytach odbijało się niebo – w zabezpieczonym przez gwardzistów przejściu, jako że całe miasto wyległo na uroczystość, zwabione jedzeniem i widowiskiem. Kupcy i kominiarze tłoczyli się ramię przy ramieniu, panny cisnęły się do przodu, żeby choć zerknąć na orszak, wierzono bowiem, iż widok młodej pary przynosi szczęście... Ta zaś para, osławiona skandalem dotyczącym samego króla, doprowadzała tłumy do stanu wrzenia. Machano chustkami spoza zbrojnego kordonu i wykrzykiwano życzenia mogące przyprawić pannę młodą o rumieńce.

Radosne okrzyki odbijały się echem od wysokich murów stojącej naprzeciwko quinaltyńskiej świątyni. Padały życzenia o wiele gorętsze niż w dniu, kiedy król poślubił cudzoziemkę. Cefwyn łudził się nadzieją, że Ninevrise nie zauważy różnicy.

Niewątpliwie wpływ na to miała obfitość rozlewanej piwa – rozlewanej na razie z umiarem, aby żadne pijackie okrzyki nie zagroziły spokojnemu przebiegowi uroczystości. Rozdane pieniądze, jak twierdził Annas, obudziły w tłuszczy dziki entuzjazm i przychylne nastroje. Gdy w pobliżu przesuwali się chorągwie ze smokiem, wznoszono w górę bryzgające pianą kufle z piwem. Król i jego małżonka zgodnie z protokołem kroczyli na czele, za nimi musiał iść Efanor, a dopiero po królewskiej rodzinie państwo młodzi, wywyższeni w tym dniu ponad resztę ylesuińskiej arystokracji.

Sunęli w ten sposób wśród wiwatów napierających tłumów, aż po niedługim czasie czoło pochodu, skręciwszy za węgiel świątyni, dotarło przed główne schody, na których tym razem nie było gołębi.

Pomiędzy gwardzistami wysuwały się nieustannie ręce. Cefwyn i Ninevrise zaczęli przesuwali dłonie po niemytych palcach, co wielce rozochociło ciżbę, chorzy szukali bowiem uzdrowienia, zdrowi zaś szczęścia dla swych przedsięwzięć. Ludzie usiłovali dotknąć także oblubieńców, chcąc zapewnić sobie tym pomyślność bądź w tym sprzyjającym dniu uleczyć się z niepłodności.

Drzwi świątyni przybrano zielonymi gałązkami i suszonymi owocami. Po wejściu do środka ujrzeli wewnątrz oświetlone setkami białych świec i rozbrzmiewające czystymi, dźwięcznymi głosami. W oko wpadały rozmieszczone gdzie tylko spojrzeć panoplie Murandysa i Panysa; barwy obu arystokratów przystroiły ołtarz i balustradę, pięły się wokół kolumn, pod którymi zwyczajowo przystawali chorążowie.

Cefwyn stanął w pierwszej ławce, obok Ninevrise i Efanora Trębacze wciąż grali, w miarę jak kolejni lordowie wkraczali do świątyni, witani fanfarami.

Idrys bezceremonialnie dołączył z boku do pierwszego rzędu – przywilej lorda komendanta, który należał niejako do królewskiej rodziny. Za nim ustawiali się krewni pana młodego wraz z lordem Maudynem oraz jedyni przedstawiciele Murandysu: lord Prichwarrin w towarzystwie lady Odrinian.

Nad całym widowiskiem górował dach z załataną dziurą: deszcz nie miał już przystępu do świątyni. Nie była to wprawdzie zbyt elegancka łata, ale wystarczająca na zimową pogodę. Robotnicy narażali się na utratę życia lub połamanie kończyn, by quinaltyni nie musieli narzekać na wilgoć i przeciągi. A skoro na zewnątrz panowała ładna, wręcz wiosenna pogoda, w świątyni było duszno; powietrze wypełniał dym świec, zapach różnych perfum i kadzideł, który tak naprawdę nigdy nie opuszczał tego miejsca.

Cefwyn zaparł się nogami o ławkę z tyłu i stał cierpiętniczo, podczas gdy ludzie napływali do przybytku bogów. Wymagał tego uciążliwy protokół, odmienny od zwyczajów panujących na dworze, mówiący, że król, który wszak nie może klęczeć, czasem powinien nie tylko siedzieć, ale też stać w świątyni. Ponieważ szlachta wciąż się zbierała, a Cefwyn był odwrócony do wchodzących plecami, obowiązek nakazywał stać zarówno parze królewskiej, jak i najwyższym urzędnikom... wobec czego stali, dźwigając ciężkie brzemiona atrybutów swej władzy. Cefwyn toczył wzrokiem na lewo i prawo, choć jego twarz pozostawała nieruchoma. Z każdą zapełnioną ławą robiło się cieplej. Głuche pogłosy pustej sklepionej sali ustąpiły miejsca przytłumionym szmerom wielu poruszających się ciał. Ktoś, kto bywał tu częstym gościem, umiał poznać, zliczając fanfary bądź obserwując znaki dawane przez preceptora, że ławy zostały już niemal wypełnione.

Dość czekania. Cefwyn podjął decyzję i usiadł. Zaraz po nim usiedli Ninevrise, Idrys i Efanor. Dopiero potem, wśród ogólnych westchnień i szelestów, w ich ślady poszła reszta dworu.

Zerknąwszy w bok, Cefwyn dojrzał ów cudowny uśmieszek Ninevrise i dołeczki w kącikach ust świadczące o jej wyśmienitym humorze, choć przecież i ona pragnęła mieć już to wszystko za sobą. Nieco dalej, tuż za ozdobionym ciemnym wąsem obliczem Idrysa, rysował się poważny i zamyślony profil Efanora. Księżę prawdopodobnie rozmyślał o córce Ryssanda i swoim przyszłym małżeństwie – wystarczające wytłumaczenie dla owej markotnej, zasepionej miny.

Cefwyn nie rozmawiał jeszcze z Efanorem na temat Cuthana, postanowił jednak ukrócić niszczycielskie zapędy Ryssanda i dać mu nieomylny dowód swego niezadowolenia. Niech tylko Luriel zostanie szczęśliwą małżonką, niech się urządzi w przyjaznym domu Panysa... a rozwiąże mości krukowi skrzydła – nie żeby dać upust furii, lecz z czysto politycznych pobudek. Niesławny temperament Marhanenów wrywał się z karbów, ale odkąd miał przy sobie Ninevrise, przed każdym posunięciem namyślał się dwukrotnie.

Odkąd miał przy sobie Ninevrise, wiele rzeczy rozstrzygał mądrzej niż zeszłego lata. Nie bał się też purytanów sympatyzujących z Ryssandem. Podczas przemarszu, niczym niezastłonięty, dotykał wyciągniętych rąk ludzi, czyniąc zadość tradycji, która łączyła go z ziomkami.

Tego ranka było o jednego kapłana mniej wśród karczemnych kaznodziejów. Chyba nawet nikt nie spostrzegł jego nieobecności. Brak trudniej zauważyć niż obecność czegoś, a Idrys postępował dyskretnie. Dobra robota, pomyślał, zręczna i cicha. No i żadnego zabójstwa, żadnych trupów wołających o pomstę.

Fanfary zawezywały przed ołtarz oblubieńca. Młody Rusyn kroczył wzdłuż nawy bocznej. Ministranci zapalili świece i zakołysali kadzielnicami, rozsnuwając

szarobłękitne obłoki dymu wokół złocistej poświaty kaganków. Cefwyn zauważył kątem oka Rusyna, odzianego wytwornie w barwy Panysu, a także lorda Maudyna, przybyłego z nad rzeki, gdzie wiernie pełnił służbę – rozpierała go teraz duma z syna.

Kiedy pan młody dotarł przed ołtarz, zgromadzeni wyrazili swe uznanie oklaskami. Kolejna fanfara przywołała młode, szlachetnie urodzone dworki z kagankami – Cefwyn widział je w wyobraźni, nie ruszał bowiem głową. Śpiew chóru buchnął najdonośniej, bo oto Luriel z Murandysu przemierzała nawę.

Wtem tłumy zamarły w nagłej ciszy i nawet Cefwyn z lekka skręcił głowę, zastanawiając się, jakież to straszne zdarzenie nastąpiło.

Kiedy Luriel pojawiła się w jego polu widzenia, ujrzał to, na co wszyscy patrzyli: szydercze, acz niezamierzone podobieństwo łączące dwie dystyngowane panny młode, które weszły tej zimy w związek małżeński. Zarówno barwy heraldyczne rodu Syrillasów, jak i Murandysów były białe i błękitne, co wzmacniało owo podobieństwo. Ale nie tylko: wrażenie pogłębiała wąska suknia i brak przekłętych halek – do tego stopnia, że Cefwyn przez chwilę widział dwie Ninevrise.

Ze złości chwycił kurczowo poręcz, a potem, gdy wreszcie Luriel i Rusyn spleli dłonie, podziękował bogom, że stało się to bez żadnych przeszkód i złych znaków. Trębacze zagrali, ministranci rozkołysali kadzielnice. Tumany białego dymu niemal przesłoniły ołtarz i była to owa magiczna chwila, kiedy Świętobliwy Ojciec powinien wyłonić się wśród kłębow, chwila głębokiej tajemnicy i opromienionego blaskiem świec cudu.

Ale Świętobliwy Ojciec nie wynurzył się z dymu. Pełną napięcia ciszę zaczęły z wolna mącić tłumione chroboty, szuranie nóg, chichoty i szepty.

Trębacze jeszcze raz zagrali. Żeby dym się nie rozwiął, ministranci gwałtownie machali kadzielnicami.

Wobec przedłużającej się nieobecności patriarchy, po fanfarach wzmógł się gwar skonsternowanych głosów. Narzeczeni spoglądali po sobie niepewnym wzrokiem.

Niektórzy parskali śmiechem, lecz Cefwyn skierował wzrok na Idrysa, a potem z konieczności na Efanora, lorda Panysa i lorda Murandysa; wszyscy mieli posępne miny. Idrys skinął natychmiast w stronę kogoś ukrytego między kolumnami, po czym odwrócił się do Cefwyna i przepaszając Ninevrise, precyzyjnie swą zbrojną postać między ławami a poręczą, aby dotrzeć do króla.

Raptem w kłębach dymu zaczęła przemykać po podwyższeniu niewyraźna sylwetka. Cefwyn odwrócił się, kiedy zgromadzeni śmiali się z ulgą, sądząc, że to Świętobliwy Ojciec, po prostu spóźniony. Zamiast niego ukazał się jednak zadyszany kapłan, który wypatrzył Cefwyna za balustradą i zszedł zrozpaczony ku królewskiej ławie.

–Świątobliwy Ojciec... – wysapał. – Świątobliwy Ojciec... Wszczął się tumult. Jedni mówili na głos, drudzy próbowali uciszyć tych stojących przed nimi. Luriel i Rusyn wodzili wokoło zdumionym wzrokiem, gdy strażę przyboczne zaczęły szybko odszukiwać swoich lordów, wypadając tłumnie z bocznych naw, mając za zadanie zapewnić im bezpieczeństwo.

–...zabity – mówił kapłan. – A wokół... wokół niego złe i okropne rzeczy! I krew... Och, tyle krwi...!

–Zostańcie na miejscach! – krzyknął lord Maudyn głosem nawykłym do rozkazywania żołnierzom w czasie bitwy. – Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach! Niech nikt się nie rusza! Chór ma śpiewać! Nuże!

Nawet król omal nie podskoczył na dźwięk tego głosu. Cefwyn nie wiedział, co ma odpowiedzieć, wobec czego kapłan uciekł z powrotem w kłęby dymu, a za nim co żywo pobiegła reszta kapłanów oraz ministranci. Ninevrise przypadła do męża, gotowa wraz z nim stawić czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu; skoro zamachowcy porwali się na najwyższego kapłana, prawdopodobnie nie mieliby skrupułów przed zaatakowaniem cudzoziemki pod osłoną zamieszania.

Cefwyn nie miał żadnego porządnego oręża prócz sztyletu i ceremonialnego, paradnego miecza. Po drugiej stronie Ninevrise siedział Efanor i ten był przynajmniej uzbrojony w jakąś solidniejszą broń. Idrys wykrzykiwał rozkazy w kierunku żołnierzy Smoczej Gwardii, którzy byli już w połowie drogi do swojego króla, kiedy osadziła ich w miejscu komenda Maudyna. – Gwardia! Do mnie! Natychmiast!

–Tędy! – krzyknął Cefwyn, widząc bieganinę kapłanów i akolitów... ludzi, którym nie ufał, gdy miotali się bezładnie. Obserwował rzędy gości stłoczonych w tylnych ławkach, zauważył wreszcie otwarte drzwi frontowe.

Smocza Gwardia rychło stanęła murem, odgradzając ich od tłumu i każdego niebezpieczeństwa, jakie mogło im grozić z zewnątrz. Cefwyn pociągnął Ninevrise za rękę i razem omijali właśnie balustradę, gdy zaświtała mu nagle niewesoła myśl, że przecież kobiety nie miały prawa przekraczać tej świętej granicy.

Ale i morderstwo nie miało prawa się zdarzyć. Poza tym wiedział, iż poza tą balustradą nie skrywa się wcale żadna tajemnica wiary, a raczej labirynt pomieszczeń z garderobami, szafkami i składami pełen świetnych kryjówek dla jednego zabójcy, ale niedogodny do przeprowadzenia tego, co napawało go największym strachem: szturmu rozwydrzonego motłochu. Nastroje w mieście porównywalne były z wysuszoną hubą. W wąskich korytarzach miał przynajmniej tę przewagę, że mogły ich bronić pojedyncze osoby. Gwardziści byli w stanie zamknąć każde przejście ścianą tarcz, co w rzeczy samej czynili. Idrys krzyczał:

–Nie cofać się! Nikogo nie przepuszczać!

Tumult panujący w wielkiej świątyni nie miał teraz do nich dostępu, zamiast tego otoczyli ich wzburzeni, umazani krwią kapłani, płacząc i jęcząc. Cefwyn znalazł się u wejścia do owego małego pomieszczenia, które poznał podczas własnej inwestytury – tam zwykle przebierał się Świątobliwy Ojciec.

Idrys i Efanor nie odstępowali ani na chwilę pary królewskiej: Idrys z obnażonym mieczem, księżę sięgając ostrożnie do pasa. Kapłani nie zauważali nawet, że kogoś potrącają, kiedy tak nadbiegali i odbiegali. Zaglądali kolejno do wnętrza, po czym natychmiast odwracali wzrok, przepełnieni zgrozą.

Także Cefwyn, nie wypuszczając dłoni Ninevrise, zaczął się przepychać, zaciekawiony, między szlochającymi, pogrążonymi w modlitwach duchownymi. Uzbrojeni gwardziści odsuwali na boki stojących mu na przeszkodzie ludzi.

Świątobliwy Ojciec leżał rozkrzyżowany pośrodku skotłowanych szat i sądząc po wyglądzie ścian i ubrania, trudno było przypuszczać, żeby pozostała w nim jeszcze chociaż kropla krwi. Sznurki z piórkami oplatały krzesło, biegly do świecznika, a potem znów do krzesła, jak gdyby wysnute przez jakiegoś pająka. Na przeciwległej ścianie wymalowano krwią sihijską gwiazdę.

–Czarna magia! – wychrypiał jeden z kapłanów.

–Raczej morderstwo – rzekł Idrys ostro. – Pilnuj swoich modlitw, kapłanie, a sądy nad tchórzliwymi zabójcami pozostaw królowi i odpowiednim władzom! Odkąd to duchy noszą buty?

Istotnie, Cefwyn też zauważył odciski stóp we krwi, wychodzące z komnaty tuż pod ich nogami.

–Co to za sznury? – pytał prostoduszny zakonnik. Cefwyn nie musiał się zastanawiać. Podobne rekwizyty, pełniące rolę amuletów, oglądał na bazarze w Henas'amef. Takie same dyndały również na spódnicy amefińskiej wiedźmy, zjawy, Cienia – czymkolwiek ona była.

Gwiazda przeznaczona była dla tych słabiej zorientowanych, którzy nie pojmowali znaczenia subtelniejszych dowodów, rozrzuconych przez zabójcę niczym jałmużna dla żebraków.

–Orszak ślubny ma się rozejść – zarządził Cefwyn, zaprowadzając pewien ład wśród splątanych myśli. – Sprawdźcie, gdzie prowadzą ślady, zanim zostaną całkiem zdeptane! Efanorze! Jest tu Jormys?

–Owszem – odparł Efanor. – Jest gdzieś tutaj!

–Mianuję go tymczasowo arcykapłanem tej świątyni i nadaję mu w imię boże wszelkie uprawnienia patriarchy, świeckie i duchowe! – Zachłusnął się niemal powietrzem, wygłaszając słowa starej formuły, teraz służące mu za broń; dzięki królewskim uprawnieniom mógł powoływać i mianować ludzi wedle woli. – Zawiadomcie go! Niech dostanie ornaty! Świątobliwy Ojciec leży martwy, okażcież mu choć trochę szacunku i czymś go przykryjcie!

–Bogowie, bądźcie miłościwi – powtarzało wielu kapłanów. – Sąd boży! – załkał jeden.

–Boży gniew na głupców! – Cefwyn przyłapał się na tym, iż zbyt silnie ściska dłoń Ninevrise. – To sprawa jakiegoś zamachowca! Trudno, do cholery, przypuszczać, żeby ten widowiskowy pokaz odbył się naprawdę! Nie ma tu żadnej magii. To zaplanowany zamach, a któż nienawidził Jego Świątobliwości, jeśli nie ci zwyrodniali wywrotowcy, co gładzą na ulicy o swej prawowierności! Od nich to wyszło! – Z ulgą dostrzegł Efanora wracającego w towarzystwie kapłana, ojca Jormysa. Szlachetny, wrażliwy Jormys zęgnął się ze strachu na widok okropności w garderobie Świątobliwego Ojca.

–Ojcie – rzucił Cefwyn ostro – do dzieła! Mianuję cię arcykapłanem świątyni, masz tu zaprowadzić porządek!

–Wasza Królewska Mość, rzec muszę, żem ani godny, ani dość uczony...

–Tak król postanawia! – krzyknął, jakby wydawał komendę podczas bitwy. – To moje postanowienie! Jeno namaszczony król ma prawo tak stanowić, co mniejszym czynię. Ja tu rozporządzam i powołuję, odkąd boski olejek namaścił moje skronie, a zatem prawnie ciebie wyznaczam, jako mój dziadek wyznaczył Jego Świątobliwość. – "Do diabła" byłoby niefortunnym sformułowaniem, toteż pohamował się w porę. – Do dzieła, powiadam!

Poprzez wrzawę w pomieszczeniach zakrystii przebiły się okrzyki od strony prezbiterium. Pękło z trzaskiem kruche drewno. Poza balustradą i ołtarzem stały bezcenne, rzeźbione przegródki. Dźwięk ten nie wróżył więc niczego dobrego.

–Do tyłu! – wrzasnął któryś z żołnierzy, a zaraz za nim Idrys: – Wypchnijcie ich stąd!

Gwardziści przystąpili do wykonania rozkazu, czemu towarzyszyły krzyki, z wolna cichnące, w miarę jak żołnierze odpychali tłuszczę.

–Miłościwy panie, uciekaj! – zawołał Idrys. – Zachodnimi drzwiami!

–Wschodnimi! – Cefwyn sprzeciwił się zdaniu lorda komendanta, mając pełną świadomość, że Ninevrise grozi niebezpieczeństwo podczas każdego rozruchów i że

nie zechce go porzucić, nie ona, która broniła swego ojca przed rebeliantami w górach. Czuł mocny uścisk jej dłoni. Wysunął sztylet z pochwy, po czym bez słowa wcisnął jej broń do ręki.

Idrys przyjął rozkaz i stopniowo oczyścił z ludzi korytarze aż do prezbiterium, gdzie obroną dowodził ojciec pana młodego, lord Maudyn. Wszyscy goście zostali zgromadzeni z jednej strony świątyni, pominawszy kilku leżących w głównej nawie.

–Maudyn! – krzyknął Cefwyn. – Niech cały orszak wyjdzie głównymi drzwiami! W zwyczajnym porządku! Niech trębacze trąbią!

–Wasza Królewska Mość nie zamierza chyba tędy wychodzić?

–Niech trąbią, powiadam! – Tłumy na zewnątrz łącznie mogły uwierzyć w każdą absurdalną plotkę. Głos trąb poniesie się daleko, przyciągnie uwagę, da do zrozumienia, że lordowie trzymają rękę na pulsie i jeszcze nie zapanowało bezprawie. Owładnięta trwożnymi domysłami fala wścibskiego pospólstwa napierała na drzwi i strażę przyboczne półtuzina lordów. Skryta ucieczka króla nie mogła rozwiązać problemu. – Zgodnie z pierwszeństwem, za mną! Na miejsca!

W tej samej chwili kapłani, wskutek niewczesnego zarządzenia Jormysa, wynieśli z bocznej zakrystii okrwawione zwłoki patriarchy i stanęli pośrodku prezbiterium, na który to widok nawet wśród szlachty rozległy się liczne okrzyki. Niżsi rangą kapłani z wybałuszonymi oczyma zanosili wołania do bogów. Przewróciły się ławki, dziesięć par rąk dźwignęło ciało nad poręczami i ułożyło je na ołtarzu... Na płycie przystrojonej z myślą o uroczystości ślubnej, plamiąc obrusy krwią.

–Kiedy ja wreszcie wyjdę za mąż?! – krzyknęła Luriel spomiędzy grupki arystokratów, jakby spotkała ją osobista zniewaga. Zaniósła się płaczem. Przypadł do niej Rusyn, lecz ona spoliczkowała swego oblubieńca, a nawet chciała uderzyć wujka, lorda Murandysa, kiedy ten usiłował ją uciszyć.

–Najjaśniejszy panie, procesja – rzekł Idrys spokojnym głosem, opanowany. – A ty, Wasza Wysokość, gdybyś był łaskaw połączyć swoją gwardię z gwardią Jego Królewskiej Mości...

–A więc do roboty – zakomenderował Cefwyn, po czym Idrys zaczął wydawać rozkazy. Szybko i po imieniu wzywał lordów do zajęcia odpowiednich miejsc, innych ludzi posyłał do łuczników rozmieszczonych na stanowiskach, których położenia dotąd nie wyjawiał, choć jego wysłannicy je znali.

–Przejdźcie od drzwi! – zagrzmiął Cefwyn. Pomału, przy użyciu pik trzymanyh za drzewce przez wiele rąk, gwardziści i strażę przyboczne lordów utorowały drogę wśród ciżby, wznosząc jedną z tych barier, jakie tłum przyzwyczał się oglądać podczas uroczystości. Skrzyżowane piki tworzyły zaporę nie do przebycia.

Światło dzienne zalało Cefwyna, tak iż cały plac przed świątynią mógł zobaczyć koronowaną głowę i towarzyszącą mu kobietę. Jął schodzić pośpiesznie ze schodów, gdy tymczasem liczne rzesze stawiały opór gwardzistom próbującym tworzyć ten swoisty korytarz.

–Teraz szybko, miłościwy panie – odezwał się Gwywyn, komendant Gwardii Książęcej, zacny i dzielny człowiek, choć trochę uparty. Miał przy sobie sześciu roślących żołnierzy z tarczami. Ostry głos Gwywyna i nacisk tarcz poszerzyły przesmyk.

Raptem zaczął huczeć największy z quinaltyńskich dzwonów. Wszystkie rozbrzmiewały zwykle z okazji ślubów, nieszczęść, pożarów, proklamacji bądź zgonów, w czasie dni świątecznych, tym razem jednak mniejsze dzwony milczały, choć i one powinny się odzywać podczas ślubnych ceremonii. Brzmiał wyłącznie obdarzony głębokim głosem Dzwon Żałobny, zagłuszający wszelkie inne hałasy. Bim-bam, u-marł, bim-bam. Trwoga zawładnęła na moment tłumem i na nic, co mogło się teraz wydarzyć przed schodami, Cefwyn nie miał już wpływu. Szedł nie prędzej od żołnierzy Gwywyna, lecz idąca za nim szlachta zachowywała spokój. Damy i lordowie, których jedyną zbroją w tej sytuacji było nieposzlakowane dostojeństwo, żywili nadzieję, iż nie tknie ich żadna ręka, żadna broń nie znieważy ich rang i godności.

Podobnie Ninevrise kroczyła obok Cefwyna, cudzoziemka pośrodku tłumów; jej dumna, zrównoważona postawa tłumiała w nim strach przed cisnącymi się zewsząd tłumami. Czyż jakieś pole bitwy wydawało się komuś kiedykolwiek szersze niż ten straszny plac procesyjny, skręcający za narożnik świątyni ku niewidocznym bramom Guelesfortu? Bramom zamkniętym, solidnym oraz, o co prosił w duchu bogów, dowodzonym przez oficera z czymś więcej niżli tylko szczyptą zdrowego rozsądku. Wszyscy mogli wpaść w pułapkę i zostać zmiażdżeni przed murami albo, z drugiej strony, gdyby bram nie zamykano odrobinę za długo, motłoch gotów był wedrzeć się za nimi do środka. Stąpali wprawdzie po poświęconej ziemi, po królewskiej ziemi, gdzie w normalnych warunkach pospólstwo byłoby mniej napastliwe, dziś jednak zebrało się w tak wielkiej liczbie, że gwardziści z trudem odpierali pchanych od tyłu i deptanych ludzi. Panikujący tłum szedł za nimi trop w trop, ścigał ich niczym pies myśliwski, nacierał z siłą wezbranej rzeki.

Otworzono bramę. Cefwyn odciągnął Ninevrise i Efanora na bok, gdzie mógł wydawać bezpośrednio rozkazy strażnikom obsługującym wrota. Ledwie zobaczył, że ostatni członkowie orszaku, z całą tłuszcą na karku, dochodzą do wejścia, wydał polecenie zamknięcia bramy.

Skrzydła zaczęły się obracać, przepuszczając nie tylko ostatnich, którzy mieli do tego prawo, ale i garstkę oszołomionych mieszczan, wepchniętych siłą. Gwardia czym prędzej ich otoczyła i zaciągnęła do lochu.

Kiedy powściągliwość szlachty została w końcu zaniechana, posypał się istny grad gorączkowych pytań. Kto to zrobił? Czarna magia? A może Elwynimi?

–Miecz albo sztylet! – krzyknął Cefwyn poprzez zgiełk. – Czarna magia na Równinie Leweńskiej krwi nie rozlewała! Na bogów, widziałem ją w działaniu, przeto twierdzę, że patriarcha nie zginął od magii! W świątyni szukajcie zamachowca! Hejże, chłopcze! – zawołał, wypatrzywszy jednego ze swoich paziów. – Niech mi tu przyniosą zbroję. Tutaj, na dziedziniec! Nie patrz tak, tylko ruszaj! Bierz do pomocy każdego sługę, który ci się nawinie, żadnych wymówek...! Kapitanie Gwywynie, niech paru dobrych ludzi odprowadzi Jej Miłość do mojej komnaty i stanie na warcie pod drzwiami!

Ninevrise nie była głupia, żeby zostawać przy nim, kiedy całe jego królestwo drżało na krawędzi rebelii. Chciał się pozbyć wszelkiej zawady, a wokół siebie zgromadzić wszelką broń. Pochwyciła jego rękę, aby go przestrzec po raz ostatni.

–Zabili kapłana. Kto wie, do czego się jeszcze posuną? Zamarł na chwilę, czując poirytowanie i wyrzuty sumienia... sam bowiem podniósł rękę na kapłana, o czym wiedział tylko Idrys i jego ludzie. Ninevrise nie miała jednak pojęcia, dlaczego autorytet kapłanów legł w gruzach, a on wobec wystraszonych, pobożnych dworzan nie mógł jej tego wytłumaczyć.

–Niebawem przywrócimy porządek. Ojciec Jormys został arcykapłanem, a on nie jest człowiekiem pospolitym ani głupcem. – Oby bogowie sprawili, pomyślał, żeby ojciec Jormys nie okazał się głupcem. Złapał Efanora za ramię. – Pokieruj sprawami przy wrotach. Będziesz miał swoją gwardię. Nikogo nie przepuszczaj. Ja wychodzę. Miasto musi zobaczyć swego króla!

–Ale króla żywego – Efanor wycedził przez zęby, dając mu odczuć, że uważa to za szalony pomysł. Może i takim był, czyż jednak istniało inne wyjście, jeśli chciał zdusić bunt w zarodku, uprzedzić podpalenia, grabieże, a w konsekwencji zabijanie gwardzistów i wieszanie winowajców? Poza żelazną bramą i kratą nic im nie groziło, lecz krzyki i nawoływania, których echa odbijały się od murów, źle wróżyły bezpieczeństwu Idrysa. Cefwyn ruszył więc w pośpiechu w stronę schodów... choć nie biegł: król nie mógł biegać, mógł co najwyżej kroczyć. Na schodach podziękował bogom, że grupka gwardzistów przywracała jaki taki ład, odsyłając na górę słabych i starych.

Wszelako paziowie musieli biec co sił w nogach, gdyż wcześniej, niż na to liczył, wracali we czterech po schodach, bladzi na twarzy i zasapani. Nieśli mu hełm polowy, miecz i części jego najlepszej zbroi.

–Świetnie, chłopcy! Dawajcie to tu! – Niebaczny na zagrożenie, odpiął na poczekaniu paradną kolczugę. Także Isin i inni lordowie przeklinali zmieszanych

pachołków, wołając o konie i broń. Zamierzali towarzyszyć królowi w tym wypadzie na plac przed świątynią.

–Przyprowadźcie Danvy'ego! – wrzasnął Cefwyn na pazia, który natychmiast pognał do stajni, ponieważ tylko ten, kto siedział na koniu, mógł być widoczny ponad głowami gawiedzi. Danvy miał doświadczenie zarówno w bitwie, jak i w tłumie. Od rumaka bojowego nie wymagało się łagodności... Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś popchnął Danvy'ego dwa razy.

–Ależ, najjaśniejszy panie – zaprotestował jeden z jego gwardzistów, widząc determinację króla.

–Bierzcie konie albo idźcie piechotą! – Zszedł ze schodów, dopinając rzemienie, pozwalając paziom pozapinać mniejsze sprzączki. Chłopcy stajenni zaczęli wyprowadzać zwierzęta, przed którymi wszystko, co żyło, uciekało z drogi. – Dość już ściągnąłeś – rzekł do drżącego pazia, po czym, dla dodania mu otuchy, poklepał go po ramieniu i pochwycił prostą tarczę gwardzisty, pierwszą, jaka mu się nawinęła pod rękę. Przybył Danvy, szarpiąc za trzymane przez koniucha wodze i rzucając łbem, podeksycytowany panującym dokoła rozgardiaszem. Cefwyn osobiście przejął wodze, wsunął stopę w strzemię i wspiął się na siodło.

Kiedy Gwardia Książęca dosiadała koni, ruszył wraz z Isinem i Nelefreissanem wśród tłumu szlachty i ich straży przybocznych. Towarzyszyli mu, o dziwo, stronnicy Ryssanda ze swoimi zbrojnymi świtami, wszyscy już na koniach. Nie w smak mu była taka kompania, lecz skromna garstka jego zaufanych ludzi próbowała utrzymać właśnie porządek na placu. Z konieczności zwrócony do nich plecami, uważał ich propozycję za podyktowaną strachem bądź honorem. Im też groziło poważne niebezpieczeństwo ze strony pijanego tłumu. Za murami nikt nie był bezpieczny.

–Otwórzcie bramę i zatrzaśnijcie ją, gdy tylko przejedziemy! – rozkazał i piesi gwardziści, dzięki sile ramion i groźbie użycia pik, rozchylili wrota, blokowane przez paru spitych uparciuchów, którzy postanowili samotnie zaatakować bramę Guelesfortu.

Cefwyn skierował Danvy'ego prosto na kilku opieszłych mieszczan. Tuż za sobą słyszał tętent gwardii. Ludzie pierzchali na sam widok koni. Za węglem świątyni, gdzie zaczynał się właściwy plac, nie napotkał niczego, co mogłoby go zatrzymać, jednakże schody świątyni opanował tłum żywo dyskutujących i rozpaczających ludzi, gromady zdezorientowanych i przestraszonych obywateli. Jakiś człowiek przebiegł w pobliżu, powiewając przesiąkniętymi krwią strzępami materiału, drąc się na całe gardło:

–Krew Jego Świątobliwości! Krew Jego Świątobliwości! Król manewrował wśród zgromadzonych z przekleństwem na ustach, rozdając razy płazem miecza; trzech

powalił na ziemię, czwarty zatoczył się od ciosu – myślał, że zdoła ominąć Danvy'ego i złapać za uzdę. Danvy przetoczył się po nim, na chwilę stracił równowagę, podkute żelazem kopyta trzaskały o kamienie. Cefwyn zajechał pod same schody.

A tam Smocza Gwardia oraz część Gwardii Gueleńskiej i Książęcej, odgradzając się lasem włóczni, z trudem powstrzymywały napór tłumu. Tłum pragnął wtargnąć do świątyni, lecz żołnierze nie zamierzali na to pozwolić, skutkiem czego na wielu twarzach połyskiwały krwawe plamy.

–Precz! – wrzeszczał Cefwyn na ciżbę. Bił płazem po plecach lub mierzył ostrą krawędzią, kiedy w dłoni przeciwnika pojawiała się broń... Nie miał pojęcia, ilu powalił, nie mogąc liczyć na wsparcie gwardii broniącej się przed zdruzgotaniem. – Jestem waszym królem, do licha! Precz z drogi!

–Cicho tam! Dajcie dojść do słowa Jego Królewskiej Mości! – zakrzyknęło kilku spośród jego przybocznej straży, która w swych bogatych mundurach, stanąwszy murem, odepchnęła nareszcie motłoch.

–Uciszcie ten hałas! – warknął Cefwyn ze złością. Oczy go piekły. Z drugiej strony placu nadlatywały tumany dymu. – Niech już ten dzwon nie bije! Trudno pozbierać myśli w takim zgiełku!

–Wasza Królewska Mość. – Idrys przystanął obok niego, tuż przy niespokojnych kopytach Danvy'ego. – Zbyt wielkie ryzyko.

–Gdzieś wybuchł ogień. Co się pali?

–Kaplica bryaltynów.

–Psiakość!

Raptem zapadła cisza. Pojedyncze okrzyki płynęły w dziwnie nieruchomym powietrzu, albowiem dzwon, po kilku zamierających dźwiękach, ucichł. Wydawało się, że zbuntowanej tłuszczy brakło oddechu, że uległa podziałowi na poszczególne, wystraszone jednostki.

–Świątobliwy Ojciec został zamordowany! – wrzasnął Cefwyn z wzniesionym wysoko mieczem, korzystając z tej krótkotrwałej okazji, jaką mu dawała cisza. Dobierał słowa zdolne przyciągnąć uwagę spitych i obłąkanych. – Zabójca zakradł się do samej świątyni! Teraz nowy patriarcha zasiada na tronie bożym, kapłan Jego Wysokości Efanora, Jormys, prawy i nabożny człowiek. On to was błaga, byście odstąpili od tego szaleństwa! Bogowie nie śpią, z pewnością pomszczą każde bluźnierstwo, a tym bardziej bluźnierstwo pijanych ludzi, którzy zechcą zbezczcić ten święty przybytek! Odsuńcie się, powiadam! Odsuńcie się i zamilczcie!

Nieliczni znów wznieśli przeciwko niemu wrogie okrzyki, lecz większość uciszyła ich w trwożnym pośpiechu. Cefwyn odetchnął, gdy nastąpiło kolejne wyczekiwanie.

–Jormys, powtarzam, jest nowym patriarchą, którego zatwierdzi rada synodalna. Wykurzy z jamy złoczyńcę, a przy okazji znajdą się pewnie ślady prowadzące do nieprzyjaciół Korony, pokoju i całej naszej ziemi!

–Na pohybel Elwynimom! – zawołał ktoś bełkotliwym głosem, podobnie jak wołały pokolenia Gueleńczyków.

–Elwynimi mieszkają za rzeką! – odkrzyknął Cefwyn na całe gardło. – A gueleńscy zdrajcy wśród was się chowają! – Wiedział, że wzywa do rozlewu krwi. – Śmierć zdrajcom! Bogowie błogosławcie Ylesuinowi!

–Bogowie błogosławcie Ylesuinowi! – odpowiedzieli chyba wszyscy, zdjęci gwałtownym strachem. Krzyczeli i krzyczeli, do cna wypełniając ciszę, tak iż nikt już nie mógł niczego powiedzieć. Jeden z kapłanów zatrzymał się na szczycie schodów, uniósł ramiona i próbował opanować wciąż niepewną sytuację.

–Zaiste, bogowie, błogosławcie Ylesuinowi – rzekł Idrys nad uchem Danvy'ego. Krew, która opryskała lorda komendanta, osiadła niby delikatna rosa na jego zbroi i posępnym obliczu. – Wracaj tam, gdzie będziesz bezpieczny. Teraz już gwardia da sobie radę. Zobaczyli, żeś się nie zląkł, najjaśniejszy panie, to wystarczy.

–Jeszcze nie raz zobaczą! – odparł Cefwyn burkliwie, bo kiedy ustąpiła trwoga, wnet gniew zajął jej miejsce. Zagrożono jego królestwu. Zagrożono Ninevrise, a tłum ubliżał Koronie i wszystkiemu, co sobą reprezentowała. Nie zamierzał wracać do Guelesfortu i czekać tam skulony, aż gwardziści na tyle oczyszczą ulice grodu, by mógł pokazać na ulicy swoją twarz.

Idrys nie mógł go powstrzymać, a dokuczliwe szczypanie dymu zapewniło mu cel w tym zamieszaniu, dym bowiem nie pochodził z małego ognia. Jeśli po drugiej stronie placu trwało oblężenie i płonęły budynki, postanowił położyć temu kres.

Kiedy jednak podjechał bliżej, ujrzał, że płonie bryaltyńska kaplica, a na sznurze uwiązany do belki kalenicowej dynda odziana na czarno postać. Poniżej tliła się sterta książek, cała zawartość bryaltyńskiej biblioteki.

Tłuszcza, szukając obcych między sobą, powiesiła nieszczęsnego ojca Benwyna.

Rozdział piąty

Wieczorem w dniu swego przyjazdu lordowie napili się i najedli do syta, a kiedy już udali się na spoczynek, spali do późna, podobnie jak żołnierze w namiotach i mieszczanie w swoich domach. Zawiadomiony, że jego lordowie jeszcze nie wstali,

Tristen także się nie spieszył. Przyjazd zajął im kilka mozolnych dni, nic więc dziwnego, iż wszyscy goście obecni na powitalnej uczcie albo przesypiali cały ranek, albo też za zasłoniętymi oknami leczyli skutki szaleństwa minionej nocy.

Tristen karmił gołębie, siedział przy kominku i wydawał drobne rozporządzenia. Nie mógł się zmusić do tak długiego spania. Dłużyła mu się każda godzina, którą goście przesypiali, nieosiągalni dla niego, mimo że odczuwał bezprzykładną euforię, a jego myśli fruwały i brzęczały jak pszczoły.

Wydawało się, iż nastał sprzyjający mu czas. Spełnił się jego sen o przybyciu lordów z południa, a Emuin nie okazał na uczcie swej dezaprobaty – wręcz przeciwnie, był wesół i w świetnym humorze. Lordowie śmiali się i żartowali: Crissand zaprzyjaźnił się z Cevulirnem, natomiast Pelumer i Umanon, nie zważając na dawne zatargi, prowadzili z Sovragiem żywe dysputy.

Nigdy nie przypuszczał, że mimo wieloznacznych układów w gwiazdach wszystko tak dobrze się ułoży.

Zanim słońce rozbłysło na wschodzie, kuchnie opanował wielki szal przygotowań do głównej uczty. Piece były rozgrzane, zapachy ciasta i pieczonego mięsa wypełniły dziedziniec. Jednak żaden lord nie wstawał z łóżka... żaden oprócz Cevulirna, który zanim słońce wypłynęło wyżej na niebo, zjechał ze wzgórza, aby doglądać swoje konie.

Okolo południa opuścili swoje kwatery ostatni z opieszalców. Pod wieczór trudno było się oprzeć zapachom jedzenia. Kuchmistrzynie przyrządziła im skromny posiłek dla odpędzenia głodu. Poza nim nic więcej dotąd nie jedli.

Po południu czas schodził im głównie na pogawędkach. Wybrali się też na krótką wycieczkę, aby obejrzeć pastwiska i tereny przeznaczone na obozowisko wojska. Lordowie byli bardzo zadowoleni z tych oględzin.

W pewnej chwili przystanęli na pastwisku, gdzie mogły ich podsłuchać jedynie lisy bądź przelatujący jastrząb. Tristen wyjaśnił im sytuację w Modeyneth i Althalen. Dziwne to było miejsce na rozmowę; konie skubały burą zimową trawę, dął chłodny, porywisty wiatr.

–To tylko wioska – mówił Tristen – ale niektórzy widzą w tym coś wielkiego lub mówią, że spełniam jakąś przepowiednię. Tak nie jest, przynajmniej moim zdaniem. – I dodał szczerze: – Jednak Emuin radzi mi zachować ostrożność.

–W każdym razie jesteś, Wasza Miłość, lojalny wobec króla – rzekł Umanon.

–To mój serdeczny przyjaciel – odparł Tristen. – Na zawsze.

–Takoż i myśmy zaprzysięgli Jego Miłości naszą przyjaźń – ozwał się Crissand. – I uwierzyliśmy, że Jego Królewskiej Mości leży na sercu nasze dobro.

–Bo to prawda – rzekł Cevulirn. – Co ja z kolei mogę potwierdzić przysięgą. Król Cefwyn nigdy nas nie oszukał, nigdy nie zapomniał o Lewenbrookowi. Ufa nam aż za bardzo... choć się do tego nie przyznaje. Całą uwagę zwraca na tych, którzy nie cieszą się jego zaufaniem. Tak czy inaczej, porządnego mamy króla.

–No właśnie – powiedział Tristen. – Dla nikogo nie ma czasu. Musi pilnować spraw, które nie idą najlepiej.

–Ryssanda! – dorzucił Crissand.

–On rozpoczyna listę – rzekł Cevulirn. – Bogowie, brońcie króla.

Tymi słowami zakończyli wycieczkę, gdyż słońce skłaniało się już ku zachodowi. Do twierdzy wrócili z zaostrzonym apetytem.

A tymczasem kuchmistrzynie przeszła samą siebie. Kiedy z wolna gasły wieczorne zorze, z kuchni zaczęto wynosić półmiski z tak obfitym jadłem, że nawet żołądek Sovraga miał szansę się napęcznieć.

Wówczas lordowie zniknęli z pola widzenia i dał się odczuć niedostatek wiader z wodą oraz posługaczy, gdyż każdy z gości życzył sobie kąpieli i asysty służby w trakcie dobierania stroju. Rozlegały się okrzyki, poganiana czeladź pędziła tam i z powrotem, przy czym najczęściej do sklepu krawca. Nikt wszakże nie spóźnił się na zorganizowaną przez Tassanda procesję, której towarzyszyły dźwięki trąb i pokaz chorągwi.

Długi szereg ludzi wkroczył uroczyście do dużej sali. W procesji wziął udział każdy, kto zdołał zdobyć zaproszenie i miał zapewnione miejsce przy stole. Ławy przy dalszych stołach już teraz pękały w szwach. Nawet Emuin przybył – Tristen ze smutkiem zauważył jego brak w korowodzie, tymczasem czarodziej po prostu czekał na sali.

Zaraz po fanfarach dudziarz i bębniarz zabrali się ochoczo do dzieła, wygrywając radosne melodie, jedna po drugiej... ponieważ zapowiedziano tańce. Tristen sycił oczy pięknym widowiskiem, zwłaszcza że tak wiele dam zasiadło przy stołach, dam obwieszonych klejnotami i w wytwornych sukniach. Znał już z widzenia matkę Crissanda i śliczną córkę Durella. Rozpoznał też dwie młodzianki dziewczęta z Merishaddu, które chichotały na każdym kroku, szepcząc coś sobie do ucha. Choć były jeszcze dziećmi, wyglądało na to, iż próbują zwrócić na siebie jego uwagę.

–Wasza Miłość powinien teraz powitać gości – podszepnął mu Tassand, który zgodził się służyć mu pomocą. – A później poprosić kapłanów o modlitwę.

Tristen powstał nieco onieśmielony i rozejrzał się wkoło, czekając na chwilę ciszy.

–Pragnąłem, abyście tu przybyli – zaczął, kiedy zapanowało milczenie. – Potrzebuję waszych dobrych rad. I bardzo za wami tęskniłem. Cieszę się, że was widzę. Witajcie.

Nagrodzono go oklaskami.

–Zdrowie lorda Sihhe! – ryknął Sovrag, wypowiadając słowo, którego Tristen za nic w świecie nie chciał tu usłyszeć. Ale cóż mogło powstrzymać Sovraga? – Niech mu się szczęści, powiadam!

A przecież Tristen miał poprosić kapłanów o zabranie głosu. Z pomocą przyszedł mu Emuin. Powstał, prezentując swą nową, piękną szatę w szarym kolorze terantynów. Na szyi zawiesił terantyński medalion, tego wieczoru występował bowiem w roli zakonnika.

–Ojcie – rzekł Emuin, po czym skinął ręką w stronę drugiego końca zaszczytnego stołu, gdzie terantyn i bryaltyński opat siedzieli w serdecznej komitywie. – Zrobisz nam ten honor?

–Z miłą chęcią – odparł zakonnik. Zakasał swe przepastne rękawy niczym robotnik zabierający się do pracy, a następnie wygłosił tak szybką i apodyktyczną mowę, że obecni na sali żołnierze omal nie stanęli na baczność. – Niech bogowie błogosławią temu zgromadzeniu – zakończył, przekazując sprawę bryaltynowi, który wstał z kielichem w dłoni i uрониł kilka kropel na kamienną posadzkę.

–Chwała ziemi – zacytował opat. – Chwała zmarłym u schyłku roku. Chwała żyjącym u początku nowego. Dziś kończy się Wielki Rok. Wkrótce rozpocznie się rok nowy. Stare dobro niechaj trwa dalej, reszta niech zgnije. Bogowie, błogosławcie lordowi Amefel!

Niektórzy byli zadowoleni. Tristen pomyślał, że i on powinien czuć się zadowolony, choć nie trafiła mu do przekonania wzmianka o gniciu. Jeśli kiedykolwiek tej nocy, w obecności dwóch poczciwych kapłanów i Emuina, szara przestrzeń miałaby ożyć, to chyba tylko teraz... lecz nie zabłysła w niej żadna iskra, nawet mimo bliskości czarodzieja.

Co teraz powinien zrobić? – zadawał sobie w duchu pytanie, ten bankiet bowiem, ten zlot starych przyjaciół miał też aspekt rytualny... jak gdyby Ludzie, kiedy świat ulegał zmianie, chcieli się upewnić, gdzie jest wszystko, co kochają. Czy tylko o to chodziło?

I czy okazali już dzisiaj dosyć pobożności?

Wtem służba wniosła uroczyście kolejne danie, osławione pasztety, zakończono

więc szybko przemówienia, błogosławieństwa oraz spekulacje na temat nowego roku. Wybuchaly śmiechy, a wieczór zimowego przesilenia, któremu Emuin przypisywał tak złowieszcze znaczenie, przekształcił się w wesołą biesiadę, rozbrzmiewającą pochwałami wypieków kuchmistrzynie.

Noc zimowego przesilenia gościła dotąd wyłącznie w jego wyobraźni, w planach... i oto nadeszła, nabrała cech realnych, pachniała i dźwięczała. Słynne pasztety, wypieczone w ciągu ostatniego tygodnia, parując, napływały w wielkiej obfitości. Pojawiał się również wybór innych dań, a wszystko okraszone muzyką i śmiechami. Nie nastąpiło nic strasznego, nic groźnego. Przyjaciele stanowili coś na kształt zbroi wokół jego serca, nie miał więc powodów do zmartwień.

W pewnym momencie Sovrag zawołał, że w taki wieczór dobrze jest posłuchać jakiejś opowieści. Słyszał już co nieco o przygodzie z synem Ryssanda i teraz chciał, żeby opowiedziano ją ze szczegółami przed szerszym audytorium.

Na chwilę się uciszyło. Sovrag po kilku kielichach nie był już całkiem trzeźwy, lecz nie miał na myśli niczego złego. Nie była to jednak szczęśliwie wybrana historia, wobec czego Cevulirn, ze swym niezmaconym, pełnym dostojeństwa spokojem, którym zawsze zdobywał sobie posłuch, odmówił.

–Jest zbyt świeża, lepiej niech Pelumer coś opowie. Zna taką jedną zimową opowiastkę.

–Ale którą? – zapytał Pelumer.

–Przypomnij sobie czasy młodości, Lanfarnesse. Samy i wierzchołki drzew.

Nawet pijani okazali zainteresowanie. Pelumera nie trzeba było dwa razy prosić. Opowiedział zaraz, jak to pewnego roku tak grube lody skuły Lenuaim, że wozy mogły się łatwo przeprować na drugi brzeg. Lód trzymał aż do późnej wiosny. Utworzyły się niebotyczne zaspę śniegu i sarny obskubywały najwyższe gałęzie drzew.

Nastały tak siarczyste mrozy, że pewnemu człowiekowi niosącemu chrust odpadły palce. Znalaziono też zamrożone woły, które wciąż stały w zaprzęgu.

Tristen wielce się zasmucił, słysząc tę część opowieści.

–Człek mógł swobodnie przejść pieszo stąd do Elwynoru – ciągnął Pelumer – bo rzeka zmieniła się w gościniec, biały i gładki jak szkło. Sam to widziałem. Byłem naonczas siedmioletnim szkrabem, wędrowałem z Lanfarnesse do Marny i z powrotem, polowałem na sarny i podziwiałem okolicę. Marna skrzyła się zamrożoną okiścią. Najwyższy Król zasiadał w Althalen, a jego dragoni pilnowali puszczy. Wszelako nikt nie bił zwierza w lasach Marny. Jako i nikt nie chadzał do wieży

Mauryla. Razu pewnego dojrzałem ją zza drzew i po tym poznałem, jak daleko zaszedłem. Bez chwili zwłoki ruszyłem po rzece w drogę powrotną, bo już nawet w owych czasach lepiej było opuszczać przed zmierzchem tamte zakątki. Słońce opadało i opadało, łód przestał się srebrzyć, poszarzał. Przyspieszyłem kroku, potem zacząłem biec, głęboko przeświadczony, że coś mi siedzi na karku. Biegłem i biegłem, aż tu cień jakowys wyrósł tuż przede mną... Był to dragon królewski – wyjawiał Pelumer po krótkiej pauzie, co z ulgą przyjęły dziewczęta z Merishaddu, które przysuwały się do siebie coraz bliżej i bliżej, a na koniec omal nie podskoczyły. – Rzekł mi wtedy, jakobym miał szczęście, że się nigdy za siebie nie obejrzałem, bo ci, co tak czynią, już nie wracają.

Ten i ów zadrżał przy tych słowach, lecz Tristen wiedział swoje. Podobnie jak Sovrag, rozpostarty wygodnie na krześle. Rozpoczął on własną historię o wyprawie rzeką, o pierwszej podróży do Marny wraz z załogą ojca, który już wtedy prowadził handel z Maurylem. Nie był jednak tak elokwentny jak Pelumer.

–Ku starej wieży żeśmy podpłynęli, tam gdzie kamienie do wody schodzą. Starzec zszedł do nas, targować się ani myślał, jeno rzekł nam, że wiele zapłaci. Tak to już z nim bywało. Tatko mój również zważał na godzinę, bo nim zmrok ziemię oblekł, jużemy z lasu wypłynęli. Potem się trochę złupilo brzegi wedle Lanfarnesse... – Tu mrugnął okiem w stronę Pelumera. – Teraz my już uczciwi ludzie, siedzimy sobie razem w ciepłej sali, rzekę spławną mamy. Dziś wieczór wiatr jął z północy zawiewać. To pierwszy oddech sędziwego, północnego wietrzyska, które pcha nasze łodzie do domu. Przywiał nas tutaj poczciwy wiatr południowy, teraz staruch z północy gna nasze łodzie z powrotem. Lepiej być nie mogło. Gwiazdy nam sprzyjały, rzecz pewna, i oby sprawiły, że łodzie z następnym ładunkiem bez przeszkód wrócą.

–Masz go, gwiazdy wam sprzyjały? – ozwał się Emuin posepnie. Siedział na prawo od Tristena, zaraz za Crissandem. – Raczej szczęście i czary.

–A więc to ty? – zapytał Sovrag z szacunkiem dla szat zakonnika i kunsztu czarodzieja, albowiem w jego głosie czuło się rezerwę, ilekroć przemawiał do Emuina. – Niebywały brak śniegu, ot co.

–Skoro tak uważasz – odparł Emuin. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał Sovrag, który nie miał nic do dodania w tej kwestii. Tristen bacznie śledził taktykę czarodzieja... teraz, gdy nie była skierowana przeciwko niemu.

Sovrag nie dawał się jednak łatwo zbić z pantałyku.

–I ani śladu lodu na rzece, mości czarodzieju, ani tyci w tym roku. Łodzie mogą płynąć, gdzie chcą, na zgubę Tasmordenowi! Hejda, wypijmy za sprzyjające gwiazdy i za Ilefian! I niech piekło pochłonie tego łotra Tasmordena!

–Racja! – rzekł nagle Uwen, zasiadający po lewej ręce Tristena. – Ino jutro czas o tym gadać. – Była to dzielna próba, jak na nieśmiałego człowieka, zabrania głosu i położenia kresu rozmowom o wojnie. Próba ta spełza na niczym, albowiem dość już podchmielony lord Durell zaproponował bezzwłoczne dokonanie wypadu na wroga.

–Starczy most opatrzyć, ten, co go strzegą Gueleńczyki, i do tygodnia czerep łotra nasz będzie! – krzyczał Durell, wznosząc kielich. – Niech go diabli biorą!

–Wątpię, czy to takie łatwe – powiedział Cevulirn. Crissand, tak jak Cevulirn trzeźwy, dodał:

–Pewnego chłodnego, pogodnego ranka staniemy w pełnej gotowości.

–Śmierć Tasmordenowi! – zakrzyknął lord Azant.

–Niech żyje lord Tristen! – zawtórował mu Drumman. Wówczas Emuin, który sam już wychylił niejedyn kielich, ale który poskromił pierwsze uniesienie Sovraga, podniósł rękę.

–Nie wypada mi rzucać klątw – powiedział. – Jego Królewska Mość wymaga od nas cierpliwości. Skończmy na dzisiaj dyskusje o wojnie. – Odpowiedziały mu gniewne pomruki. – Co jest, zdaniem gwiazd, mądrym rozwiązaniem! Nie należy oczekiwać pomyślnego końca przedsięwzięcia zaplanowanego po tej stronie północy. Ani słowa już o tym!

–A potem? – spytał Sovrag.

–Nie pora dzisiaj na wojnę – rzekł Tristen, ponieważ przestroga Emuina wzbudziła w nim pewien lęk, ażeby nie zaczęto zaraz mówić o rzeczach, jakich wolałyby nie roztrząsać tego wieczoru w obecności wszystkich biesiadników... Na ucztę był wszak obecny kapłan terantynów, był bryaltyński opat z dwiema mniszkami, thane'owie, ziemianie i rajcy, nie wspominając już o ich żonach. Oprócz tego gwardziści i czeladź. Ktoś z nich rozpuściłby pewnie plotki mogące im zaszkodzić bez względu na to, czy dotarłyby do llefinianu, do Guelessaru, czy do baronów północy.

Potoczył wzrokiem po twarzach swoich gości, swoich przyjaciół – Crissanda, Cevulirna, Sovraga z Pelumerem i Umanonem, Merishadda i Azanta, a także pozostałych earłów, widząc wokół siebie całą potęgę południa, zwartą i gotową w każdej chwili wybuchnąć.

Popatrzył na damy w odświętnych strojach. Posiłek się skończył. Ale nie wieczór.

Trwała noc zimowego przesilenia – jedna z tych nocy, kiedy na niebie zachodzą wielkie zmiany... W szarej przestrzeni Tristen wyczuł wzburzenie, gdy na całej sali

zaległa na moment cisza w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

–Grajcie! – zwrócił się do dudziarza, ucinając wszelkie dyskusje. – Rozsuńcie stoły.

Uradowana służba żwawo przyskoczyła wykonać rozkaz. Przez kilka następnych chwil panowało spore zamieszanie, muzyce towarzyszyło skrzywienie drewnianych nóg i śmiech sytych gości.

Zgrzyty przeciągały się w nieskończoność, raniły uszy.

Oś roku, powiedział Emuin. Oś Wielkiego Roku oraz Roku Roków. Wśród szurania i pisków odsuwano ławy i stoły, żeby zrobić miejsce na środku sali, naruszając skrzętnie ustalony porządek. Nie był to wcale nadzwyczajny dźwięk, ale w szarości zakotłowało się raptownie, jakby ciekłe srebro wypełniło powietrze.

Lewenbrook był w zasięgu ręki. Podobnie jak Ynefel. Znienacka wicher przywiał tak wiele złowrogich możliwości, że Tristen długo nie mógł nad nimi zapanować.

Kiedy ostatecznie odsunięto stoły, a pary zamierzały wyjść na środek, Tristen powstał i wznosił wysoko kielich.

–Życzę nam wszystkim szczęścia. Życzę go też królowi. – I rzeczywiście, zażyczył sobie tego ze wszystkich sił. – Życzę szczęścia wszystkim tu obecnym, kiedy świat się odwraca i nastaje nowy rok!

–I tobie niech się wiedzie – powiedział Pelumer, unosząc kielich, co też wszyscy uczynili. – Niech nasze ziemie doznają wszelkich dobrodziejstw!

–Niech się szczęści królowi w Guelessarze! – zawołał Crissand w owej chwili gorącej spontaniczności, aczkolwiek nie było to tanie pochlebstwo, ale płynące z głębi serca życzenie. – Niech mu się szczęści za to, że przysłał nam naszego lorda! Niech bogowie błogosławią Jego Królewskiej Mości w Guelessarze!

–Zdrowie gueleńskiego króla! – rzekł Merishadd, a Azant wznosił kielich. Za jego przykładem poszła cała reszta. Azant jednak dodał: – I naszego lorda!

–Słuchajcie! – krzyknął Pelumer. – Zdrowie naszego gospodarza, lorda Tristena! Oby mu się darzyło w Amefel!

–Oby nam się wszystkim darzyło! – odezwał się Umanon. Tristen wziął głęboki oddech, podniesiony na duchu, jakby tak wielki nawał dobrych życzeń z ust tych, których uważał za przyjaciół, sprawiał, iż rozstąpiły się ciemności nocy, a prądy nowego roku zaczynały odnajdywać właściwy kierunek.

Czyż można lepiej przejść przez początek, pomyślał, niż życząc sobie wzajemnie

pomyślności?

Cóż mogło wywołać wyraźniejszą zmianę prądów, jeśli nie postawa amefińskich lordów i baronów z południa, którzy pili pospołu zdrowie guelęńskiego króla? Nie tylko on, ale i Crissand potrafił prawdziwie życzyć – on też wplótł magię w swój wspaniałomyślny toast.

Dudziarz zagrał, garstka młodszych ochotników ruszyła z radością do tańca.

Wtedy jednak spomiędzy cieni przy filarze wyłoniła się dama odziana w szarości i złoto, niezwykle wiotka, siwowłosa kobieta, obwieszona sznurkami, kamykami i amuletami.

Ustal ledwie zaczęty taniec. Gwardziści ruszyli ze swych stanowisk, po czym zamarli w pełnym zwątpienia bezruchu. Emuin wystąpił do przodu, ale nie za daleko. Pozostali kapłani skupili się przy nim lękliwie, gdy tymczasem kobieta sunęła do przodu.

Tylko Uwen stanowczo zagroził jej drogę. Wtedy muzyka ucichła.

Zdawało się, że suknia nieznanym uszyta jest z osobliwej, starej tkaniny, złożona z koronkowych wstawek pokrytych pajęczyną, utkana z przyprószonego kurzem złotogłowiu. Nosila ozdoby – kosztowne albo tanie. Była ni to stara, ni to młoda. Złożyła niski, wytworny ukłon, zapadając w złotawe spódnice i znów nad nie wzlatując niczym dym z tłących się węgla. Dziwna muzyka zadźwięczała tęskną, nieziemską nutą; przypominała delikatne pobrzękiwanie stłuczonego szkła.

Kobieta kiwnęła głową i z tajemniczą miną wyciągnęła rękę, zapraszając Tristena do tańca. Uwen nadal zagradzał jej drogę.

Pod wpływem impulsu, przyjmując wyzwanie, Tristen ominął swego kapitana, ujął suche, chłodne palce i zaczął wykonywać stateczne kroki. Obracał się, kiedy ona się obracała, a wszystko pod tę niezwykłą, odległą melodię.

Wśród pomruków konsternacji dudziarz zagrał urywaną nutą, tą samą, która wypełniała powietrze. Bębniarz odnalazł właściwy rytm, różny od wybijanego dotychczas, odmierzając nostalgiczne, majestatyczne takty.

To była Leciwa Syes. Oczy jej błyszczały, z oblicza biło dostojeństwo królowej.

–Pani – rzekł Tristen, kiedy melodia zbliżyła ich do siebie. Zajrzał jej w oczy, a ona zmierzyła go mrocznym, głębokim spojrzeniem. – Witaj.

I choć muzykanci wciąż grali, ona przerwała taniec i znieruchomiała, zdyszana i zarumieniona.

–Panie – powiedziała po chwili, po czym zgięła się w kolejnym pokłonie i wyprostowała, patrząc mu w oczy. – Lordzie Althalen, Meliseriedd i Ynefel! Najwyższy Królu i władco wszystkich ziem poślednich! Strzeż się swego wroga!

–Nie jestem królem! – obstawał Tristen, lecz Leciwa Syes odstąpiła od niego, kłaniając się po raz trzeci. Pochyliły się płomyki świec, światło przygasło. Wokół niego i Leciwej Syes pląsał mały cień, który następnie pomknął ku stojącej na stole pod ścianą tacy z piernikami. Nagłe zawirowanie powietrza okrążyło salę, podwiewając spódnice. Goście krzyknęli ze strachu. Ze śmiechem przypominającym głos harfy zjawisko ruszyło do drzwi. Wicherek wirował, podskakiwał i tańczył z szaloną, zadziwiającą lekkością.

W szarej przestrzeni przez chwilę grały dudy, a po widmowej łące o szarym, niemal zielonym zabarwieniu biegła chyżo kobieta. Tuż za nią pędziło dziecko.

Leciwa Syes opuściła salę. Masywne drzwi wyjściowe rozwarły się z hukiem, a potem następne i następne otwierały hałaśliwie skrzydła, budząc echa w korytarzu.

Wiatr wpadł do środka, targnął płomieniami świec i je zdmuchnął, żadnej nie pomijając. Sala zatonęła w nieprzejrzonej ciemności. Rozszedł się zapach jedliny.

–Światło! – zawołał Emuin wielkim głosem, przekrzykując wrzaski gości. – Święci bogowie! Dajcie jakieś światło!

Ludzie ślepli w mroku i drżeli ze strachu, podczas gdy wiatr wciąż dmuchał. Potrzebne było wszelako tylko odpowiednie życzenie, wyciągnięcie jasnego światła z szarości i dotknięcie nim świec, co też Tristen uczynił, posłuszny pragnieniu Emuina. Jego życzenie nie oświetliło sali owym ciepłym, złocistym blaskiem, jaki powinny roztaczać świece, lecz lodowatą srebrzystością szarej przestrzeni. Świece płonęły, aczkolwiek nie rzucały mocnego światła. Kinkiety były wysepkami mętnej iluminacji, a sala poza drzwiami jawiła się jako mroczne, pełne jasnych punkcików miejsce, gdyż i tam świece, choć gorzały, nie czyniły wiele dobrego.

W mdłym, szarym blasku goście zbili się w małe grupki. Lord Umanon i lord Cevulirn dobyli mieczy.

Żaden znak ani dźwięk nie świadczył o obecności Leciwej Syes.

Strzeż się swego wroga, powiedziała, ale nawet jeśli istniał wróg, którego powinien się bać, to nie była nim ta ciemność.

Nagle coś sięgnęło poprzez jego źródło światła, przecięło szarą przestrzeń. Groźba sączyła się niczym trucizna ze światełek, które zgromadził na czubkach świec.

To też nie był ten wróg. On nadal pozostawał poza jego zasięgiem. Tristen posłał

mu w szarości wyzwanie: znajdował się w Miejscu, miał się na baczności i zamierzał walczyć o zgromadzone przy nim istnienia, gdyby coś im zagroziło.

–Panie! – zawołano od strony otwartych drzwi wielce nagłym głosem. – Panie! Sala! Światło na sali!

Droga, jaką przemierzyła Leciwa Syes, jeszcze się za nią nie zasklepiła. Po tym okrzyku cała szara przestrzeń groziła wylaniem na nich swej zawartości. Z każdej świecy na sali popłynąłby wielki i wartki strumień, pełen strasznej, zgubnej wiedzy. Tristen powstrzymał szarość przed wylewem.

W tym również nie należało doszukiwać się zagrożenia... albowiem zagrożenie podążało za Leciwą Syes niby pies gończy za tropem. Szukało Miejsca w forticy. I oto Tristen poczuł, jak powstaje szczelina, wylom wśród zapór w owym zakątku, któremu nigdy nie ufał.

To stamtąd płynęła wszelka trucizna, to stamtąd szła moc gasząca światła, to z tamtej otchłani wiatr im dmuchał w twarze. Chodziło o ów kąt na sali, owo najbardziej nawiedzone miejsce.

–Uwienie! – zawołał, rzucając się biegiem do drzwi, ponieważ nie chciał mieć teraz za obrońcę żadnego innego człowieka. Nie wierzył, żeby poza Uwenem któryś człowiek na świecie zdołał ustrzec się Krawędzi.

Już w następnej chwili czyjaś ręka pochwyciła go za rękaw i powstrzymała. Poczul w dłoni rękojeść miecza. Pchniecie w ramię wysłało go w dalszą drogę.

–Śmiało, chłopcze! – usłyszał ponaglenie, więc pobiegł. Stanowił jedyny ratunek dla Uwena, jedyny ratunek dla Ludzi, których dzisiaj gościł. Wypadł na korytarz, gdzie panowały identyczne jak na sali warunki: świece słały ku niemu swą srebrzystą szarość, mrugały świetliście w ciemności. A wzdłuż linii spoin w murze myszowały Cienie: mali mroczni pełzacze.

Poderwał rękę do góry i wezwał wszystkie zapory, by ożyły. Przeciwstawiał się temu, co naruszało Formułę kamieni, dzieło starożytnych murarzy.

Na jego zew w szarym poblasku świec zapłonęły błękitne pasma, rozgorzały u podstawy ścian, otoczyły framugi drzwi... póki każda Linia forticy nie rozbłysła, póki struktura murów i otworów drzwiowych nie objawiła się jako silna i niezachwiana. Cienie przepływały posłusznie wzdłuż Linii, coraz szybciej, pędząc ku Miejscu, ku owej obcości na zamku.

Tristen nie miał wątpliwości, że nawet Leciwej Syes grozi niebezpieczeństwo. Jakby nic jej jestestwa przewleczona przez te drzwi stawała się cieńsza i cieńsza, coraz bardziej rozciągnięta.

Czuł wokół siebie wielkie nagromadzenie starożytnych kamieni, a z tyłu także obecność przyjaciół. Dotarł wreszcie do owego nawiedzonego zakątka, gdzie nigdy nie trzymano sokoły, a zapory były najsłabsze. Hulały tu wiatry.

Poprawił uchwyt na rękojeści pożyczonego miecza. Machnął na oślep lewą ręką, aby przekonać się, czy Uwen jest tam, gdzie zwykł przebywać. Był. Tristen wyczuł też bliskość Crissanda i Cevulirna, czarodziejską i zauważalną w szarej przestrzeni, czego nie dało się powiedzieć o innych. Wspomagał go również Emuin, sięgał ku niemu z mocą i determinacją, próbując utrzymać zapory...

Tymczasem jaśniało błękitne światło, źródło smagających ich i kłujących wiatrów.

Wśród prastarych sklepień, Linie zostały niemal obalone. Jeśli ciemność w ogóle mogła świecić, to tam właśnie świeciła. Tuż przed bitwą nad Lewenbrookiem, patrząc w głąb pustki, Tristen ujrzał wzlot ogromnej liczby widmowych skrzydeł.

Szczelina zaczęła rosnąć i rosła, a on już wiedział, co mu przyjdzie zobaczyć.

–To jest tutaj – powiedział. – Tu, gdzie zawsze było. Otwarte... Emuinie? Ty też to widzisz?

–Widzę – odparł czarodziej. Inni tłoczyli się bliżej.

–Ty tu zostaniesz, Uwenie. Słyszysz? Zostaniesz tutaj. Dbaj o bezpieczeństwo tych ludzi.

–Nie, panie – odrzekł Uwen spokojnie, tuż koło jego ramienia. – Lord Crissand zaraz za tobą idzie, atoli nie on twój sługa, jeno ja, za przeproszeniem jego i lorda Cevulirna. Jestem przy tobie, tedy do dzieła.

–Dajcie światło! – krzyknął Crissand.

–A skąd je wziąć?! – padła odpowiedź.

–Poszukaj! – rzucił gniewnie Umanon. A więc i on mu towarzyszył. – Na bogów, człecze, szukaj!

Tu już żadne światło nie było pomocne, gdy tymczasem on potrzebował całej swojej siły. Zrezygnował z blasku, jaki użyczał wszystkim świecom na sali, skutkiem czego śmiertelny świat, a z nim razem i korytarz, gdzie stali, ogarnęła ciemność. Ludzie krzyczeli, pełni strachu. Ale błękit Linii i błękit Miejsca lśniły intensywniej w mroku, wskazując mu drogę.

Sam nie wiedział, czy idzie. Częściowo zapomniał o trzymanym w ręku mieczu, bo zamiast jednolitej kamiennej ściany ujrzał przeświecającą, półmaterialną strukturę,

przez którą przebłyskiwało błękitne światło. Ongiś była tam sokolarnia. Gdy ruszył do przodu, obecność Uwena, którą dotychczas wyczuwał obok siebie, znikła raptownie. Przeniknął przez twarde kamienie istniejącej ściany. Otworzyło się przed nim Miejsce wewnątrz murów.

Błękit przybladł, zdawał się teraz poświatą księżycy, pozwalającą rozejrzeć się w otoczeniu, wlewającą się pomiędzy krokwiami i połamanymi dźwigarami zburzonej ściany szczytowej.

Wzdłuż każdej ze ścian ciągnęły się grzędy, z góry dobiegał szelest skrzydeł. Zrazu miał wrażenie, że to bezpieczne odgłosy jego gołębi, lecz już w następnej chwili rozcapierzające się i trzepoczące wokół niego skrzydła straciły wszelkie pozory niewinności. Wrzaski rozbrzmiały mu w uszach, kwilenie ptaków łowczych, szczególnie wielkiej liczby sokołów. Skrzypienie drewna, skowyt wiatru i wrzaski ptactwa zlewały się w jeden przeraźliwy jazgot.

Spętane tu sokoły, dziesiątki sokołów, były duchami z Miejsca i Czasów na wpół zapomnianych i nawet jeśli je kiedyś oswojono, to słuchały się tylko rąk dawno zmarłych ludzi.

Czyż jednak Leciwa Syes tędy nie przechodziła? Czyż owa zrujnowana ściana nie stanowiła przejścia, wyrwy wśród Linii istniejących teraz, wiodącej ku Liniom istniejącym dawniej?

Ujrzał przed sobą Miejsce w Miejscu oraz Drzwi może celowo nie domknięte.

Tu właśnie było wejście, tu, w gąszczu łopoczających skrzydeł i w strumieniach mętnego światła, rzucającego refleksy na płowe, ozdobione czarnymi prążkami pióra, na roziskrzzone, dzikie oczy i otwarte dzioby, zdające się powrzaskiwać głosem zimowej burzy.

I wtedy spadł uludny śnieg, nagle zamieć na wpół przyćmiła światło, a kiedy minęła...

Kiedy minęła, nie otaczały go już żerdzie dla sokołów, znalazł się bowiem na swoim poddaszu, które odwiedzał wiosną. Trzepotały tu jedynie skrzydełkami jego bezradne, wierne gołębie siadające na belkach.

Powrócił do domu. Mauryl pewnie siedział na dole, pracował w swym gabinecie, całkowicie pochłonięty gwiazdnymi mapami i wykresami przedstawiającymi tory planet mających spotkać się tej właśnie nocy.

Znów przebywał u siebie w gołębniku. Błękitna poświata miesiąca rozjaśniała niebo, zmierzch ogarniał świat, a jego ptaki, pojedynczo lub parami, wracały na spoczynek, wzbijając kurz i stare piórka.

Nie rozróżniał ich po imieniu. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że potrzebują imion – potrzebowały ich nie bardziej niż sędziwe myszy mieszkające w ścianach dolnej sali, niedaleko stołu Mauryła. Jednak je poznał, o tak, powitał je serdecznie, a wtedy na chwilę otworzyło się przed nim całe to miejsce, emanując niewinnością i szczęściem. Rozpostarł szeroko ramiona i obrócił się, żeby popatrzeć na swojski obraz nieba widocznego między popękkanymi deskami. Takie miejsca nie wymagały zapór, mówił Maurył, bo były tylko dziurami. Pomimo tych otworów Linie Ynefel trzymały mocno. Maurył wzmacniał je co wieczór... Wzmacniał zaporami także jego okno, pod którym stało pierwsze łóżko, jakie pamiętał. To właśnie pod tym niewielkim oknem z rogową szybą powstała w murze pierwsza złowieszcza rysa. Deszcz malował wzory na szybie. Podobnie jak on, nie wiedząc, co czyni lub co odczynia.

Przestał się obracać, znieruchomiał. Z bijącym sercem wspominał tamtą rozszerzającą się, straszliwą szczelinę. Wiedział teraz ponad wszelką wątpliwość, że ruina, która przywiodła Mauryła do zguby, tam się rozpoczęła, tam postępowała, tam dokonywało się jej dzieło, aż w końcu zapory nie wytrzymały. Hasufin w swym natarciu na wieżę Mauryła wykorzystał właśnie to okno; czatował cierpliwie wśród kamieni, poddając próbie jego młode sny, pobudzając Cienie, od których tam się roilo.

To on był słabym punktem Mauryłowej obrony: on, jego sny, jego ciekawość, jego kreślenie przypadkowych, bzdurnych wzorów na szybie, pośród zapór Mauryła.

Poniżej znajdował się jego pokój. Jego łóżko. Prowadzące w dół schody wiodły właśnie tam, do tego pokoju z tym oknem.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, iż przebywa w starej sokolarni w Henas'amef, w Zeide, w pobliżu nowej sali.

Ciągle pamiętał, jak się tutaj dostał. Jakże łatwo mógłby tu zapomnieć o bieżącym życiu, zagubić nić łączącą go z Uwenem, Emuinem i całą resztą. Dlatego nie porzucał wspomnień, trzymał się ich niby nici przewodniej. Znał drogę... Nie, nie powrotną, to za mało powiedziane. Znał drogę do domu, który już się jednak nie znajdował tutaj, na tym poddaszu, o tej godzinie, owego szarego wiosennego wieczoru.

Wiedział, że w każdej chwili na schodach może się pojawić młodzieniec. Młodzieniec ten niósłby świecę i książkę, a właściwie Książkę kryjącą przed nim tajemnicę. Wtedy, ale nie teraz. Jej sekrety przestały być sekretami. Mieszkając w Ynefel, doznawał niekiedy niewyraźnego wrażenia czyjejs obecności. Teraz znał pochodzenie przynajmniej jednej z tamtych zjaw. Gdyby przypomniał sobie jeszcze, kiedy odczuwał strach, mógłby przypuszczalnie przewidzieć czas i miejsce swoich wizyt w Ynefel. A mając takie wiadomości, mógłby tam znów zawitać.

Stał w bezruchu. Chłopiec kulił się w niesłychanej trwodze, słysząc kroki Mauryła na

schodach. Bał się też głosów – no tak, głosów, kiedy uwięzione w kamieniu twarze wołały wszystkie razem.

W każdej chwili Mauryl mógł wejść tymi drzwiami i go tu napotkać – najdroższy mu widok i zarazem najstraszniejszy na świecie.

Czy powinni się spotkać? Czy powinni, on i Mauryl, przekroczyć granicę życia i śmierci, stanąć twarzą w twarz, w tym obecnym czasie, w czasie nie mającym nigdy nadejść?

Czy powinien? Czy powinni? Czy to byłoby mądre i czy Mauryl w ogóle by go zobaczył? Z wielkim trudem łapał oddech, serce waliło mu jak młotem.

Nie skończył jednak sprawy na poddaszu. Aby wrócić zwycięsko, wciąż jako pan tego miejsca, nie mógł wybiec stąd w panice. Musiał odnaleźć to, czego mu brakowało dziś wieczór, w Henas'amef.

Oprócz Mauryla było tu jeszcze jedno źródło grozy. Aby je odszukać, powinien zmierzyć się z pustym przepierzeniem na końcu gołębnika... które jednak nie było końcem stryżku.

Owo przepierzenie odgradzało prawdziwy Cień, władcę szczytów Ynefel, zasiadającego na żerdzi w otoczeniu resztek złowionych stworzeń.

Tam mieszkała Sowa.

Pewnego razu chłopiec z Ynefel znalazł drogę do Sowy... Teraz powracał jako mężczyzna, szukając tego, co w obecnej chwili napawało go strachem.

Zerknąwszy przez otwór po wyłamanej desce, dostrzegł Sowę na żerdzi. Zwróciła ku niemu wściekle spojrzenie.

W tymże momencie straszny wiatr wpadł na poddasze, a całe miejsce uległo zmianie. Pomiędzy połamanymi belkami i szczątkami zburzonej ściany wdarły się smugi światła, wokół biły widmowe skrzydła łowców poszukujących łupu – poszukiwały także jego, jak się wydawało, odmawiały mu tu jakiegokolwiek zdobyczy. Stara sokolarnia nabierała kształtów, odciągała go wstecz i wstecz, chociaż Ynefel nadal pozostawała na wyciągnięcie ręki, nadal tkwiła w niej groźba.

–Panie! – wołał Uwen.

W samym sercu mętnej poświaty, u krańca ptasich żerdzi, ujrzał wielki kształt o zaokrąglonych skrzydłach, który frunął, frunął, starał się doń dotrzeć w świecie Ludzi. Nadlatywała Sowa, rozpaczliwie bijąc skrzydłami w burzy światła i wiatru.

Sięgnął ręką, ażeby skrócić Sowie drogę, podsuwał jej miejsce, gdzie mogłaby wylądować. Zawołał: "Sowo!", bo tylko takie imię miała. Błękitny blask padł na wielkie oczy Sowy, których źrenice spijały wszelkie światło, wpatrzone – zdawałoby się – w jakąś ofiarę za jego plecami.

Przewrotne ptaszysko. Sowa nie pozwalała sobą kierować. Mogła się jeszcze z nim rozminąć, pofrunąć gdzieś na manowce.

Ostatecznie jednak Sowa dotarła do niego, jej krągłe skrzydła wiosłowały na wietrze. Opadła wśród podmuchów powietrza, obrośnięte piórkami łapki zacisnęły się mocno na jego przedramieniu.

Sowa siedziała spokojnie, dość lekka jak na swoje rozmiary, choć czuło się jej wagę. Znienacka odwróciła głowę, złociste oczy popatrzyły nań badawczo – można by rzec – w bezbrzeżnym zdumieniu, by zaraz potem zaświecić sekretną wiedzą.

–Sowo – rzekł Tristen, rozluźniając uścisk na pożyczonym mieczu, aby pogłaskać palcem pióra Sowy. Ona jednak uderzyła dziobem... tyle że nie trafiła. Tristen był szybszy.

–Dokąd teraz? – zapytał ją, wcale nie zrażony. – Dokąd muszę się udać?

Zamiast udzielić mu odpowiedzi, Sowa się skuliła, tak iż zamiast błyszczącego ptaka widział teraz bryłkę zmierzwionych piór – była równie uparta w świecie materialnym, jak i w iluzji.

–Panie – odezwał się Uwen tuż obok.

Wiatr ustał, żerdzie opustoszały. Światło osłabło do łagodnego, gasnącego lśnienia.

Tristen zdał sobie nagle sprawę, że równocześnie z Miejscem kurczy się także jego powrotna droga. Odwróciwszy głowę, ujrzał Emuina i Uwena, którzy nie powinni aż tak się zbliżyć.

I oto leżał na korytarzu pod kilkoma jarzącymi się słabo świeczkami. Crissand i Cevulirn czekali nieopodal. Umanon, Sovrag i Pelumer trzymali miecze. Nawet nieszczęsny Paisi stał w pobliżu z oczyma wielkimi jak spodki.

–Panie – rzekł wówczas Uwen, jakby chciał go przywołać z powrotem do życia, do przyjaciół.

–Byłem w Ynefel – powiedział Tristen. Nie starał się niczego taić przed tymi lordami i chociaż wiedział, że wprawi ich w zakłopotanie swoim oświadczeniem, zamierzał uczciwie postawić sprawę. – Sowa przyszła do mnie. Nie wiem czemu.

–Co to wszystko znaczy? – zapytał Sovrag. – Ha?

–Nie wiem. – Po wypadzie do szarej przestrzeni wciąż czuł chłód i wielkie zmęczenie. Wokół siebie widział zafrasowane twarze. Emuin przyglądał mu się, ale z jakim uczuciem, z aprobatą czy dezaprobatą, tego nawet w szarej przestrzeni nie chciał wyjawiać. Crissand wlepił weń wzrok, jak gdyby napotkał w swojskim gronie dziwnego stwora – stwora przerażającego i groźnego. Cevulirn patrzył z widoczną na twarzy rozterką. Pośród nich tylko Uwen trwał przy swym panu nie zmieniony, nie zrażony, niezawodny jak kamienie posadzki. Stał przy zwyczajnym murze w blasku świec, które jakoś udało się zapalić.

Co powinien teraz zrobić? I ważniejsze: co zrobił? Zapory wytrzymały. Nic się nie wdarło.

Odwrócił się i wciąż z Sową na ręce ruszył w stronę jedynej ostoi – przyjaznego, wzywającego go światła, to jest ku sali balowej.

Miał świadomość, że sprzymierzeńcy podążają za nim. Słyszał po drodze przerażone szepty i dostrzegał spojrzenia zatrwożonych gości. Młode, zwykle rozszczebiotane dziewczęta z Merishaddu teraz milczały, nie odstępując matek. Ludzie stali w nieruchomych, ponurych grupach, obserwując, zastanawiając się z pewnością, komu przysięgali.

Sowa wzbiła się z nienacka w powietrze, z cichym szelestem skrzydeł wzleciała nad fryz z ornamentem dębowych liści i usiadła na gzymsie.

Tristen marzył, aby zasiąść do stołu, napić się piwa, a nade wszystko usłyszeć wyzwajający od strachu wybuch śmiechu. Ale nawet Sovrag zawiódł go w tym względzie. Stoły odsunięto, żeby zrobić miejsce tancerzom, więc mógł dać spocząć swojemu drżącemu ciału wyłącznie na stojącym powyżej tronie. Wspiął się wobec tego na stopnie podwyższenia i usiadł, po czym omiół wzrokiem salę, wyczytując z twarzy posępnych lordów szereg nurtujących ich pytań.

Jakiej miał im udzielić odpowiedzi?

Jakby tego było mało, Sowa postanowiła akurat w tym momencie sfrunąć na dół i sięść na ozdobnej poręczy, skąd obrzuciła go dzikim, piorunującym spojrzeniem. Potem obróciła głowę i wyzywającym wzrokiem ogarnęła ludzi zebranych na sali.

Niektórzy cofnęli się o krok, lecz Uwen, Emuin i baronowie z południa wytrwali na swoich miejscach. Crissand jako jedyny z lordów podszedł bliżej, blady na twarzy, ośmielając się wykorzystać chwilę ciszy do zadania swego niemego pytania.

–To tylko Sowa – odparł Tristen z rozpaczą. Poglaskał piórka na piersi Sowy, chcąc dać wszystkim do zrozumienia, iż mają do czynienia z łagodnym gołąbkim, którym

nie powinni się zbytnio przejmować. Sowa jednak zwróciła nań wściekle, pełne oburzenia oczy. Łagodność ani dobre usposobienie nie leżały w jej naturze. – Mieszkała w Ynefel, potem przeprowadziła mnie przez Marne, choć zazwyczaj troszczy się o własne interesy. – Gdy po raz wtóry muskał miękkie piórka, coś ukuło go w palce. Mimo mocnego uderzenia dzioba nie popłynęła mu krew z ręki.

Nie powinien zapominać, że zawitała tu niedawno Leciwa Syes, a teraz zamiast niej pojawiła się Sowa. Tak wiele rzeczy uważał za zwyczajne, ale one nie były takimi w przekonaniu Ludzi. Lordowie widzieli już kiedyś Sowę, na Równinie Leweńskiej... lecz to nie mogło rozproszyć ich wątpliwości.

–Uwienie – powiedział. Uwen podszedł od razu, bez pytania, do niskiego podwyższenia, podczas gdy on sam nadal bezradnie spoglądał po sali. – Czy są jakieś szkody na zamku bądź w mieście? Albo zagrożenia?

–Niczegom nie zoczył, panie – odparł Uwen z ową zdroworozsądkową prostotą, która zdobywała posłuch u ludzi i koni. – Jeśli nie liczyć staruszki, no i sowy.

Rozległy się śmiechy, nerwowe, krótkie i głośne. Także Tristen lekko się uśmiechnął, podsuwając Sowie rękę, żeby na niej usiadła. Tym razem pazury ptaka zraniły go do krwi, lecz mało się tym przejął. Uratował go ów śmiech, był z całej duszy wdzięczny swoim przyjaciółom za ich obecność. Wierzył teraz, że nie zasłonią się przed nim ramionami, szepcząc po kryjomu.

–Sowa nie jest zwyczajnym ptakiem – oznajmił w krępującej ciszy, jaka nastąpiła, niepewnie się uśmiechając. – Wędruje, gdzie jej się podoba. Przypuszczam, że na razie chce być tu z nami, lecz w każdej chwili może wybrać życie w lesie. Moim zdaniem, jej odwiedziny to dla nas dobra wróżba.

Sowa jakby usłyszała te słowa, gdyż ponownie wzleciała na gzymś, gdzie usiadłszy, potoczyła po wszystkich zjadliwym spojrzeniem.

–Widzicie? – rzekł Tristen. Zadawał sobie w duchu kłopotliwe pytanie, czy Sowa, będąc Cieniem, potrzebowała jeść? Wygląd poddasza mówił, że owszem. Służba powinna zostawiać przynajmniej jedne drzwi otwarte... co się niezaprzeczalnie wiązało z dokuczliwymi zimowymi przeciągami i zagrożeniem dla gołębi. Na samą myśl o tym przechodziły go ciarki. Wiedział, że lordowie nie wyzbyli się swych obaw. – To tylko Sowa. Bez względu na to, jak przychodzi i odchodzi.

–Lord Tristen jest ciągle tym samym lordem Tristenem – odezwał się wówczas Emuin. – Bądźcie pewni, że życzy wam wszystkim jak najlepiej.

Tristen doznawał dziwnego uczucia, gdy mówiono o nim w jego obecności. Podobnie czuł się kiedyś, gdy po raz pierwszy zawitał do Zeide: Cefwyn, Idrys i Emuin dyskutowali o nim, jakby był stołem albo krzesłem.

Słyszał, jak Emuin zapewnia zebranych, iż nie grozi im z jego strony żadne niebezpieczeństwo... Tylko czy mówił prawdę? Czymkolwiek była lub cokolwiek zamierzała, Sowa nie należała do zwyczajnych ptaków. Którzy normalni lordowie ofiarowują gościnę Cieniom? Tristen miał nielicznych, acz wiernych przyjaciół, teraz wszakże widział, iż cała wiara, całe zdobyte u Ludzi zaufanie chwieje się i grozi upadkiem.

–Tańczcie – zarządził. – I pijcie.

–Jako żywo – podchwycił Uwen głośno. – Hajda, kielichy napełniajcie, słodyczne przyności, a wy, harfiarze, poddajcież jakąś nutę, jeno skoczną, do wtóru z bębniarzami!

Bębniarki poczęły wybijać żywy rytm, Sowa spozierała z gzymsu, dudziarz napełnił miech.

Kiedy Uwen zbliżył się do podwyższenia, w jego ślady poszedł zaraz Sovrag, potem Umanon, Azant i pozostali earlowie... Nie stronili od Tristena, ale szukali jego towarzystwa.

–Cóż to ma znaczyć? – pytał Sovrag. – Gasną światła, obce baby salę nawiedzają... A może duchy?

–To zmiana – oświadczył Emuin. – Zmianę niosą nam gwiazdy, zmianę niesie wiatr i bezpieczniej z nim frunąć, niż zostać zdmuchniętym.

Tymczasem szara przestrzeń burzyła się, kłębiła, wyraźna nie tylko dla nich dwu, ale i dla innych obecności, co prawda mętnych i odległych.

Tuż przy sobie wyczuwał ponadnaturalną świadomość lordów: Crissanda, którego czarodziejski dar przypominał blask ogniska; Cevulirna – u niego błyszczał jak płomień świecy, a także, w mniejszym stopniu, wielu innych osób w tym zgromadzeniu.

–Zauważyłeś? – zapytał Emuina. – Wiedziałeś, że tylu Ludzi posiada dar?

–Jesteśmy na południu – odparł Emuin, jakby to wszystko tłumaczyło. – A ty tutaj rządysz. Bądź mądry. Nie miej przed tymi ludźmi więcej tajemnic dla własnego dobra. I dla dobra Cefwyna.

Sowa nasłuchiwała uważnie ze swej grzędy. Mężczyźni i kobiety niepewnie ujęli się za ręce i ruszyli do tańca.

Emuin, w swych szarych, wytwornych szatach, stał milczący i tak opanowany, że jego obecność nie tworzyła w szarości najdrobniejszej zmarszczki.

Jesteś zły? – zastanawiał się Tristen. Odkrył, iż sam jest zły, nie wiedzieć czemu... choć mógł się do tego przyczynić strach, który niedawno przemógł.

Ów strach w formie opierzonej figurki zasiadał wysoko na gzymsie.

Sfruń tutaj, zażyczył sobie od ptaka, zirytowany, nie oczekując posłuszeństwa. Jednakże, ku jego zaskoczeniu, Sowa zleciała z gzymsu. Zamiast usiąść mu na ramieniu, wyfrunęła jednak przez otwarte drzwi i znikła wśród korytarzy.

A więc sprawa znalazła połowiczne rozwiązanie. Gwardziści otwierali drzwi, wpuszczając i wypuszczając przeróżnych ludzi, więc Sowa powinna dać sobie radę.

Rozdział szósty

Zapach spalenizny mógł się wydobywać jedynie z kominka, lecz Cefwyn wciąż zachowywał w pamięci ów nieznośny śwąd, który wypełniał plac.

Ogień nie przeniósł się z kaplicy na drewniane werandy okolicznych zabudowań, co uznano za cud. Nie było jednak cudem to, że wyparci z placu manifestanci rozbiegli się po mieście, żeby wzniecać zamieszki. Przez całą noc kilka kompanii gwardzistów pełniło na zmianę służbę, przeganiając nietrzeźwych szabrowników, aż wreszcie, tuż przed uświęconym świtem, wyczerpani żołnierze, pewien właściciel karczmy oraz grupa rozwydrzonych mieszczan starli się krwawo przed targowiskiem i na ulicy Ćwiekowej.

Nadszedł dzień zimowego przesilenia.

Zaczął się nowy rok. Na ulicach zapanował ostatecznie błogi spokój, wszelkie wstrząsy ustały. Mówił o tym raport Idrysa... zbryzganego krwią i czarnego od sadzy, kiedy po raz ostatni z sobą rozmawiali.

Przed samą północą zaczęto wpuszczać do świątyni żałobników w uporządkowanej kolejce. Świątobliwy Ojciec włożył skromne szaty, a wewnątrz promieniało setkami świec i rozbrzmiewało echemi chóralnych śpiewów. Na ten uroczysty, podniosły widok stygły wojownicze nastroje, a sugestia Efanora, żeby dawać grosz każdemu mężczyźnie, kobiecie i dziecku przechodzącemu koło ołtarza, zwabiła całe rodziny, dzięki czemu awanturnicy byli w mniejszości, gdy w samym sercu miasta zgromadziły się trzeźwiejsze, bardziej pobożne tłumy. Kolejka nie zmalęła do świtu... Z tego, co ostatnio słyszał, wciąż się przesuwiała, przy czym co poniektórzy stawali na końcu po trzy razy. Królewskie skrzynie nie żałowały jednak grosza, bo znacznie więcej kosztowały spalone budynki.

O brzasku Cefwyn usłuchał gwardzistów, którzy go usilnie namawiali, żeby opuścić niebezpieczne peryferyjne ulice, a najlepiej wrócić do przytulnej komnaty i położyć się – jeśli już nie spać, to przynajmniej, by odpocząć.

"Królestwo potrzebuje króla żywego i przy zdrowych zmysłach – rzekł mu Idrys, kiedy rozprawili się z przygodną watahą uzbrojonych rzezimieszków. – Ty jedź, a mi pozostaw polowanie na zbójników".

Kiedy wrócił pod eskortą do zamku, okazało się, że Ninevrise ani na chwilę nie odwiedziła własnych apartamentów. Objęła dowództwo nad jego paziami i zawładnęła królewskim biurkiem, gdzie siedziała do rana, kierując opieką nad rannymi z miasta i służbą dbającą o bezpieczeństwo Guelesfortu... Wydawała decyzje, odkąd Annas uznał jej rady za wartościowe. A miała zrazu pod ręką zaledwie garstkę wyczerpanych, zastraszonego paziów. Wieża Elwynoru – tak ją wdzięcznie nazywał Annas, co miało związek z herbem jej rodu. Tym więc sposobem dotrwała do końca burzy jako ośrodek, do którego napływały wszystkie wiadomości i gdzie można było uzyskać każdą potrzebną informację.

Ledwie się przy nim znalazła, wtuliła się do jego boku i zasnęła znużona.

–Gdzie Luriel? – zapytał, budząc ją po dłuższej chwili. – Ciągłe w swej komnacie?

–Wróciła. Jej suknia nie nadaje się do noszenia. Tak mi powiedziała Fiselle.

–Syna Panysa widziałem ostatnim razem z gwardią. Wyjdzie na ludzi. – Wodził palcami po ramieniu Ninevrise', równie podatnym na dreszcze, jak i jego własne, ale tylko wskutek krańcowego zmęczenia, niczego więcej. Raptem uzmysłowił sobie ogrom wyrządzonej podłości. Naszło go wspomnienie ostatnich odwiedzin Świętobliwego Ojca, jakże wówczas wystraszonego. – Nigdy się tego nie spodziewałem. Staruszek mnie ostrzegał. Usiłował mnie ostrzec. A ja nie sądziłem, że odważą się na coś takiego.

–Biedny Benwyn – rzekła głosem szorstkim, wcale do niej niepodobnym. – Nie miał nic wspólnego z czarną magią ani z czarami... W żaden sposób nie zagrażał Jego Świętobliwości. Nie miał z tym nic wspólnego.

Benwyn nie miał z tym nic wspólnego, ktoś jednak zadał sobie sporo trudu, żeby morderstwo skojarzono z Amefel.

Poza tym któż wiedziałby lepiej, jak wyglądają amefińskie amulety, niż ten, kto tam bywał? Czyżby tym kimś miał być amefiński patriarcha? Ale żeby oskarżać o zabójstwo człowieka chorego, zamkniętego w swoim pokoju?

Miał wątpliwości. Wiele wątpliwości.

Z drugiej strony, musieli wskazać winowajcę... albo jakieś miejsce, dokąd można by skierować zarzuty. Potrzebowali czegokolwiek, byle tylko myśli pospólstwa odwróciły się od Benwyna... i od powiązań Benwyna z Ninevrise. Rozwydrzony tłum dorwał Benwyna ze względu na jego amefiński rodowód. Był jednym z nich, ale nie

Gueleńczykiem. No i piastował urząd kapłana cudzoziemki.

–Żołnierze, którzy przyjechali z patriarchą Amefel – powiedział – są zaznajomieni z amefińskimi amuletami i z bryaltem. – Przytulił ją mocno. Myśli jego, niczym stado spłoszonych zajęcy, przemykały wśród chaszczy lordowskich ambicji i mrocznych sekretów. – Tylko czy działaliby na własną rękę? I dlaczego? Emuin mawiał... Emuin mawiał, że jeśli coś jest powszechne, bardzo trudno to dostrzec. Ale co jest powszechne pod dachem quinaltyńskiej świątyni?

–Może kapłani? Może ten opętany kapłan?

–Udryn, właśnie tak ma na imię. Idrys sprzątnął gdzieś Udryna i tyle przynajmniej wiadomo, że go tu nie ma, że siedzi na odległej prowincji. Napędzić mu stracha, taki był plan. Ale owszem, jakiś kapłan mógł się niezauważenie przekraść do garderoby. Mógł dostać pozwolenie. A myśleliśmy, że Udryn to nasz główny przeciwnik. Tylko kto ośmieliłby się zaatakować Świątobliwego Ojca?

–Ryssand?

–Nie bezpośrednio. Jednak nie wolno wykluczać fanatyków. Nawet nad Jormysem zawisło niebezpieczeństwo. Wkłada kolczugę pod sutannę. Dostał ją od Efanora, który zakazał mu się z nią rozstawać. Ojciec Jormys jada i sypia w świątyni, dokąd nie mają wstępu nasi gwardziści. A tymczasem nie możemy wskazać palcem żadnego z fanatyków, ani tym bardziej Ryssanda, póki nie zdobędziemy jakiegoś konkretnego dowodu, oczywiście poza takim, że któryś z nich był właśnie w świątyni, gdzie miał wszelkie prawo przebywać. Możemy zlikwidować jednego. Możemy wrzucić do studni Udryna i kogo jeszcze zdołamy schwytać. Ale ilu ich jest? Kim są? Jeno tych znamy, co się publicznie spierali... lecz skąd nam wiedzieć, co człowiek nosi w sercu?

–Mogliby to wiedzieć kapłani.

–Nie mam nad nimi żadnej władzy, mogę ich tylko powoływać. Nie mogę ich aresztować, oskarżać ani prowadzić przeciwko nim śledztwa. Sami kapłani muszą się z tym uporać.

–Nie wszyscy są mordercami, no i znają się nawzajem. Spraw, żeby morderca wstydił się spojrzeć im w twarz. Uczyni z niego winowajcę.

Jako król i mężczyzna, Cefwyn uważał za swój obowiązek pocieszać ją, choćby kłamstwem, pozwolić jej odpocząć. Wycofał się jednak z tego zamiaru, przypominając sobie, że ta ciepła, słodka osóbka jest w rzeczywistości regentką Elwynoru, córką Ulemana, kobietą chytrą i świadomą kapłańskich obyczajów... dającą mu teraz całkiem rozsądne rady.

–Rozdali skrawki ubrania z krwią Jego Świątobliwości. Wszystko, co było z nim

związane. Ludzie godzinami czekają, żeby go zobaczyć. Do cholery, toż to w połowie święty... Wybacz, proszę. – Całą noc spędził w towarzystwie żołnierzy, walcząc z hołotą.

–Ludzie potrzebują świętego, czyż nie?

–Któż go jednak zabił, jeśli nie inny kapłan, zapewne kapłan Ryssanda? Ale nawet gdybym miał na piśmie jego przyznanie się do winy, poświadczona pieczęcią, nie mógłbym się nim posłużyć. Potrzebuję Ryssanda, póki nie wyda córki za Efanora, taki mój nieszczęsny los. Wśród quinaltynów chowa się morderca, Benwyn nie żyje, wciąż też istnieją amefińskie amulety, prawdziwe czy nieprawdziwe. Ze względu na ciebie i Tristena nie możemy do tego dopuścić.

–Co nam tedy zostało?

–Oskarżyć mordercę... Oskarżyć Tasmordena, bo jego przynajmniej ludzie znają.

–To Elwynim. Czyżbyś tym sposobem chciał mi zapewnić bezpieczeństwo?

–Lepszego rozwiązania nie znajdziemy. Nic więcej nie zrobimy. Mów, że to sprawa czarów ukutych przez Tasmordena. Skoro nie możesz oskarżyć człowieka o to, co wiesz, że zrobił, oskarż go o cokolwiek. Przysłał tu szpiega. Zamachowiec nadszedł z zewnątrz, czary go maskowały, prowadziły.

–Moi ludzie, niewinni ludzie, szukają schronienia w Amefel, w królestwie Ylesuinu, gdzie sprzedaje się podobne amulety. Wiesz, co to oznacza?

–Trzeba, żeby zapomniano o Amefel. Trzeba wybić ludziom ten pomysł z głowy. Wszystko to sprawiła czarna magia, wszystko to sprawił Tasmorden, kierował tym zza rzeki. Bogowie świadkami, że nie brak nam trupów. Mamy szesnaście ciał, w tym jedno spalone do niepoznaki. Powiemy wprzód, żeśmy złapali zamachowca. Zakuliśmy go w kajdany. Będziemy codziennie ujawniać strzępy informacji i trzymać ludzi w napięciu. A potem pokażemy szczątki. Czarna magia dopadła więźnia w lochach. – Cefwyna nie wprawiała w dumę własne słowa czy plany. Nie chciał też mieszać do tego Ninevrise... ale to właśnie jej zdanie go natchnęło. – Gniew ludu zapłonie tylko tam, gdzie zechcemy wywołać pożar.

–Mordercy nie oszukasz – szepnęła Ninevrise. – Co on sobie pomyśli?

–Powie Ryssandowi, a wtedy i on się dowie. Ryssand będzie dzielił z nami ten sekret. Tylko Ryssand i zabójca... A pewnego dnia Idrys uczyni zadość sprawiedliwości. Może nie jutro, ale kiedyś na pewno. Teraz najwyższy urząd piastuje Jormys. Rada synodalna musi go jeszcze zatwierdzić, ale Świętobliwy Ojciec miał tu wiele głosów, a wszyscy nienawidzili fanatyków. Przegnamy czarną magię. Uczynimy świętymi Benwyna i zmarłego patriarchę.

–Myślisz, że czarna magia jest daleko od nas? – zapytała cichutko Ninevrise, kładąc głowę na jego piersi. – To kłamstwo może jeszcze okazać się prawdziwe. Poślij gońca do Emuina. Powinien o wszystkim wiedzieć.

–Nie możemy, ot tak sobie wysłać listu. Co to, to nie. Nie wolno nam aż tak ryzykować. Nasi kurierzy o włos unikają śmierci. – Niekiedy zapominał, że i Ninevrise ma pewne nadprzyrodzone zdolności. I to go teraz martwiło. – Benwyn był czarodziejem?

Potrząsnęła głową, co poczuł na sercu.

–Nie.

–Są w ogóle czarodzieje?

–Jest Emuin. Jest Tristen, jeśli go liczyć.

–Ja bym go liczył.

–On nie jest...

–On nie jest czarodziejem. – Rozumiał różnicę. – Ale są inni.

–Można ich usłyszeć. Poczuć.

–Sądziś, że nasze planowane kręctwo może nie być kłamstwem?

–Sama nie wiem – odparła cicho. – Początkowo myślałam, że tak... A teraz sama nie wiem.

Ryssand zapewne czeka, kiedy go oskarżą o śmierć Świętobliwego Ojca. Cefwyn musiał bezzwłocznie wysłać wiadomość, żeby odwieść Ryssanda od tej myśli. Musiał uderzyć w łaskawy ton, bo inaczej desperacja mogła kazać łajdakowi podjąć kroki obronne. Zdesperowany Ryssand był w stanie przywieść królestwo do ruiny.

Wybrał niebezpieczną drogę, ale tylko taka zapobiegała secesji północy. W osobie Świętobliwego Ojca stracił cennego sprzymierzeńca. W osobie Jormysa, lojalnego Efanorowi, miał następnego.

Wyrazy ubolewania musiał też posłać Sulriganowi, kuzynowi zmarłego patriarchy. Chciał go zatrzymać przy sobie, utwierdzić co do swej nieustającej łaski, trwającej nawet mimo śmierci patriarchy. Człowiek ten mógł się jeszcze okazać przydatny.

Należało też czym prędzej wydać Luriel za mąż. Młody Rusyn zasługiwał na miano bohatera obrony świątyni. Podobnie jak jego ojciec. Nagroda w postaci dóbr ziemskich z pewnością podbuduje zranioną godność Panysa. Cefwyn nic a nic nie

troszczył się o Murandysa, choć przypuszczalnie popełniał błąd.

Coś jakby pazury zadrapało o okiennice. Deszcz, zrazu pomyślał, lecz nie zauważył żadnej kropli na szybie. Hałas się powtarzał.

Padał grad.

Rozdział siódmy

Tristen z udręką obserwował pogorszenie pogody, nastąpiła bowiem typowo zimowa aura, o czym wszyscy mówili, kiedy najpierw spadł deszcz ze śniegiem, a potem śnieg. Sowa znalazła sobie gdzieś schronienie przed wiatrem albo polowała na myszy. Gołębie przylatywały nieustraszenie do okna w nadziei na chleb, czeladź zaś, wobec wizyty tak wielu gości, bez ustanku myła i zamiatała posadzki.

Pogoda uległa zmianie, ale nie za sprawą życzeń Tristena, dlatego nękały go złowieszcze przeczucia. Wozy z namiotami i innym sprzętem wciąż były w drodze, gdy tymczasem zima zmroziła ziemię – to jeszcze pomagało – a następnie okryła ją lodem, co już nie było sprzyjającą okolicznością.

Wśród szalejącej zawiei śnieżnej przybyły nieliczne wozy Umanona. Żołnierze rozbijali obóz na zaczynającej zamarzać ziemi.

–Przyrody na dłużej nie da się okiełznać – stwierdził Emuin i potrząsnął głową, kiedy Tristen odwiedził go w wieży, szukając rady. – Jeszcze się nie spotkałem z dość mocnym zakłębieniem. Podejrzewam, że sypnie teraz na całego.

–Jużem kazał ludziom kołki wbijać – powiadomił Uwen Tristena, kiedy ten, owinięty swym najcieplejszym płaszczem, odwiedzał obóz za murami. – Nie masz wielkiej różnicy między namiotami, a nawet jeśli będzie, już oni coś na to zaradzą. Jeszcze trochę takiej pogody, a będą nas po rękach całować, żeśmy kołki czymy miejsca chorągiewkami i miejmy nadzieję, że reszta wnet tu zjedzie. Wydaje mi się, że choćby nocą jechać mieli, to jeszcze dziś zechcą dotrzeć do grodu.

–Tego im życzę – rzekł Tristen. – Ale nie tylko moje życzenia odnoszą skutek, inaczej śnieg by jeszcze nie spadł.

Lordowie snuli się po salach i stajniach z nadzieją na rychłe przybycie namiotów i zaopatrzenia, wyraźnie zatroskani. Emuin siedział w wieży, daremnie wypatrując rąbka czystego nieba i gwiazd.

Ledwie słońce zaszło za horyzont, burza śnieżna ucichła i nastąpiła głęboka, nieziemska cisza.

Nadjechali kolejni jeźdźcy, tym razem Iwanami, zziębnięci ludzie na zziębniętych

koniach, dziękując Uwenowi za wielkie ognisko, które kazał rozpalić w charakterze drogowskazu dla wędrowców zdążających nocą do miasta. Cevulirn zszedł powitać przyjezdnych, swoich żołnierzy. Jednak ciężka jazda z Imoru wraz z zapasowymi końmi nadal nie dojechała. Sovrag zaofiarował swą pomoc. Umanon i Pelumer zamartwiali się pospołu z miejskimi lordami, zgromadzonymi w dużej sali. To ich ludzi brakowało, to ich ludzie walczyli gdzieś z zamięcią.

Prawda była taka, że wbrew jakimkolwiek założeniom Pelumera garstka Lanfarneńczyków, którzy powinni dołączyć do swego pana, miała opóźnienie. Wojska z Lanfarnesse znowu się spóźniały, lecz tym razem to ich wódz się frasował. Nerwowo przemierzał salę razem z Umanonem, aż po północy obaj poprosili o ciepłe płaszcze, postanawiając zejść do ogniska.

–Pójdę z wami – rzekł Tristen, nie mniej zaniepokojony od Umanona. Miał nadzieję, że jeśli wyjedzie poza mury i odsunie się od zgiełku miasta, usłyszy może cichsze, dochodzące z daleka odgłosy.

Crissand, który im dotrzymywał towarzystwa wraz z innymi miejscowymi arystokratami, powiedział, że roześle jeźdźców na poszukiwania zaginionych.

–Moi ludzie dobrze znają drogę – oświadczył Pelumer, kiedy jechali ulicami grodu w ciepłych płaszczach i rękawicach. Nierozsądnie byłoby twierdzić, że dragoni z Lanfarnesse nie umieją odna podczas burzy, niż pchać się w tarapaty. Może stanęli gdzie noclegiem. Po zachodzie słońca wiatr znów nabral mocy. Każdą powierzchnię wystawioną na podmuchy szybko pokrywała śnieżna otulina. Gdy mijali bramę, wszyscy byli już niemal całkiem biali.

–Mosty są za słabe dla ciężkich wozów – powiedział Umanon. – Moi ludzie musieli pewnie pokonać kilka brodów. Przy takim wietrze powinni rozbić gdzieś obóz, żeby wyschnąć. Ale jeśli są blisko, nie będą przystawać bez względu na późną porę.

W ciągu ostatnich dni okolica za murami grodu rozkwitła namiotami. Konie odprowadzano do naprędce skleconych stajen, gdzie miały dość ciepłej słomy i gdzie było im przytulnie.

Ledwie co wyjechali za bramę, gościńcem zbliżyła się ostatnia grupa utrudzonych ludzi i wozów.

–Otóż i są! – zawołał Umanon z wielką ulgą, rozpoznając swoich żołnierzy. Jeźdźcy nie dosiadali lekkich koni, jakich używali w podróży, ale ciężkich rumakaów; to dzięki krzepie swoich zwierząt dotarli nareszcie do celu.

Byli bezpieczni. Część załogi garnizonu i amefińskiej gwardii obiegła wozy, żeby rozłożyć w odpowiednich miejscach sztywne z zimna namioty i przygotować drewno na ogniska.

Co więcej, w pobliskiej karczynie na gości czekał gorący posiłek. Żołnierze wjeżdżali przez bramę, a potem wyjeżdżali syci, doświadczywszy gościnności miasta. Nie potrzebowali korzystać ze swoich zapasów tej zimnej, nieprzyjemnej nocy.

Pomimo śnieżnej pogody wysiłki nie szły na marne. Żołnierze, którzy przybyli na zimowy obóz, okazywali zdziwienie i radość wobec przyjęcia, jakie im zgotowano.

–Niczego nam nie trzeba – poinformował Cevulirn Tristena. – Tę noc spędzę z moimi ludźmi, i to w dobrym nastroju. Muszę omówić parę rzeczy z moim porucznikiem.

Pojawiały się jednak kłopoty. Próbując rozładować wozy, ludzie zmagali się ze sztywnymi płótnami i twardymi sznurami. Imorimi zdecydowali wyprząc zwierzęta, a wozy zostawić do rana, co okazało się mądrą decyzją, ponieważ wiatr przybierał na sile i padał tak gęsty śnieg, że trudno było utrzymać zapalone pochodnie.

Jedynie blask ogniska przeświecał poprzez śnieżną zasłonę – blask dziwny i coraz bardziej przyćmiony, w miarę jak niebiosa otwierały swe upusty.

Przyroda zerwała więzy, pomyślał Tristen, szczelniej otulając się płaszczem, ciekaw, czy rzeczywiście spadnie w jednej chwili wszystek należny im śnieg. Wicher atakował twarze, wyrwał nawet namiot z rąk przeklinających ludzi, którzy złapali go dopiero, gdy zahaczył o inny namiot.

Sprawy szły w pożądanym kierunku, ale nie bez trudności. Przygnębiony, skierował Petelly'ego na drózkę wiodącą środkiem obozu. Nasunął kaptur na oczy i zastanawiał się, czy nie powinien przestać się zadręczać, a zamiast tego zaprowadzić wierzchowca do ciepłej stajni. Zrobił przecież wszystko, co było w jego mocy. Imorimi przyjechali.

Teoretycznie mógł życzyć sobie poprawy pogody. Teoretycznie mógł postawić na swoim. Już raz mu się udało. Czemu jednak usłyszał Imorimów dopiero na sam koniec? Kolejna porażka z pogodą wydawała mu się wysoce prawdopodobna.

A może w ten właśnie sposób objawiał się początek nowego roku i nowego Roku Roków, kiedy powstawały formuły? I czy wszystko wyglądało tak dobrze, jak tego oczekiwał w wigilię zimowego przesilenia?

Ledwie o tym pomyślał, targnęło nim wrażenie jakiejś nieprawidłowości w szarej przestrzeni, nader ulotnej, niczym cień, niczym zapach, który wiatr przynosi, a zaraz potem zabiera. Nie spowodował jej żaden z przebywających tu ludzi. Na pewno nie Cevulirn.

Wyjeżdżał właśnie z ostatniej alejki obozu Pelumera z zamiarem odwiedzenia obozowiska Cevulirna, kiedy mu się zdało, że ktoś walczy z burzą, jacyś zabląkani

ludzie, może... może żołnierze Pelumera lub maruderzy spod znaków Umanona.

Raptem coś otarło się o jego ramię. Ogarnął go lęk, ale gdy po raz drugi poczuł muśnięcie, rozpoznał Sowę.

–Czego chcesz? – zapytał nieposłusznego ptaka. Nagle zdał sobie sprawę z własnej samotności. Jego gwardziści, pomagający przy wozach, nie zauważyli, kiedy tumany śniegu oddzieliły ich od Tristena.

Sowa jeszcze raz przeleciała koło jego głowy, po czym zakręciła w tę stronę, gdzie wyczuwał czyjąś zabłąkaną wśród zamieci obecność. Za mną. Jedź za mną.

W świecie Ludzi droga wiodła wzdłuż gościńca prowadzącego do Levey. Dobrze znał ten przecinający środek jego prowincji trakt, którym nadjechali żołnierze Umanona. Mogli na nim utknąć jacyś maruderzy.

Ale odkąd to Sowa troszczyła się o maruderów?

Szarpnął cugłami i ruszył za ptakiem. Nikt nie wiedział o jego wyprawie. Uwen pracował w najodleglejszym obozie, Crissand pomagał Cevulirnowi, śnieg zaś sypał tak gęsto, że palące się jeszcze pochodnie przypominały blade, migotliwe gwiazdki, a ognisko – zamglone słońce.

Sowa znów nadleciała, żeby trącić go skrzydłem, lecz teraz na dokładkę szarpnęła za grzywę Petelly'ego, tak iż zwierzę zatańczyło szaleńczo, ślizgając się na zaśnieżonej krawędzi biegnącego wzdłuż drogi rowu.

Jednakże tutaj, oddalony od tych wszystkich ludzi, którzy odwracali jego uwagę w obozie, oddalony od miasta i smagany brzemieniami śniegiem porywami wichury, wyraźnie wyczuł czyjąś odległą obecność – nie jedno życie, ale dwa, a może nawet trzy.

Nie dość na tym. Teraz to jego szukały te istoty, wiedzące o nim, zrozpaczone, usiłujące doń dotrzeć. Jeśli to byli żołnierze Umanona, przynajmniej jeden z nich posiadał czarodziejski dar.

Tristen wyprowadził Petelly'ego na środek gościńca i ruszył w ich kierunku, który nadal pokrywał się z drogą na Levey. Na ogół Sowa frunęła przodem. Niekiedy wyłaniała się zniecka z za śnieżnej kurtyny, by równie szybko zniknąć, nigdy nie zmieniając kierunku. Za mną. Za mną. Nie zwlekaj.

Przypuszczał, że zarządzono już ogólne poszukiwania zaginionego diuka. Uwen zapewne zrugą Lusina i gwardzistów, a ci będą obwiniali się nawzajem o zaniedbanie.

Jednak Sowa prowadziła go uparcie gościńcem znanym dzięki cudownym

zdarzeniom, takim jak upadek dębu i spotkanie z Leciwą Syes.

Miał nadzieję, że to nie Leciwa Syes nawołuje go teraz w szarej przestrzeni. Pomyślał o tym ze strachem, bo było w niej, jak i w jej córce, coś takiego, co zawsze wolał omijać w szarości.

Tak czy inaczej, jechał dalej. Jeśli czyhało gdzieś niebezpieczeństwo, to nie z rodzaju tych, którym Uwen lub Lusin mogliby stawić czoło. Ani nawet Crissand z tuzinem zbrojnej świty. Znak czyjejś obecności był nikły, zamierający i tchnący zmęczeniem, jakby miał lada chwila zaniknąć, pozostawiając Tristena bez drogowskazu w tej burzowej nocy.

–Hop, hop! – zawołał, przeszukując równocześnie szarą przestrzeń, usiłując poznać naturę owej obecności. Ona jednak gasła i gasła, zmieniała także kierunek. Nie wiedział, czy wędrowcy mają konia, czy też idą pieszo, bo chociaż zwykle rozpoznawał poruszające się lisy, zające, konie i ludzi, to teraz zawodziły go zmysły. Dostrzegał tylko siebie i Petelly'ego. Również Sowa znikła. Życzył podróżnym (o ile jego życzenia mogły im cokolwiek pomóc), żeby zostali przy życiu, żeby nie dali za wygraną i nie pozwolili się przysypać śniegiem, ryzyko bowiem rosło z każdą chwilą, a on przestał ufać szarej przestrzeni... Ufał wyłącznie Sowie, która walczyła dzielnie z rozszalałą burzą – burzą chcącą mu uniemożliwić dotarcie do zabłąkanych istot. Wyłamawszy się spod jego woli, pogoda stawiała mu zażarty opór, atakowała śniegiem, siarczystym mrozem i lodem. On jednak parł niestrudzenie do przodu, podobnie jak Sowa, podobnie jak odważny Petelly, który brnął ze spuszczonego łbem, targany przez wichurę, pragnąc zawrócić.

Kiedy minęli trzecie i czwarte wzgórze, mróz dawał im się tak okrutnie we znaki, że gdy Petelly osunął się na kolana, Tristen musiał zejść z siodła, bo inaczej zwierzę nie chciało powstać. Objął ramionami oszroniony kark Petelly'ego, życząc mu zdrowia oraz tego, żeby nie doznał żadnej krzywdy podczas tej szalonej wyprawy. Wierzchowiec prychnął donośnie i uniósł łeb, jakby złapał drugi oddech.

Tristen wolał jednak nie dosiadać go ponownie. Prowadził Petelly'ego za cugle owinięte dla bezpieczeństwa wokół okrytych rękawicą palców, nazbyt skostniałych, by czuły, co trzymają. Szedł, szedł i szedł, aż wypatrzył pośrodku drogi jakiś wzgórek – wypukłość, której tam nigdy wcześniej nie było.

Po dotarciu na miejsce rozgarnął śnieg, a wtedy ukazała mu się owinięta płaszczem, wycieńczona kobieta, trzymająca w ramionach drugą.

–Panie! – westchnęła, tuląc się do niego, kiedy pomagał jej wstać. – Moja siostra... moja siostra. Pomocy...

Mimo ciemności i śnieżnej zawieruchy poznał ten głos i twarz okrytą cieniem, którą

widował już w czasie swych pierwszych spotkań w świecie Ludzi. Lady Orien ujęła go błagalnie za rękę. Śnieg coraz grubszą warstwą pokrywał jedną stronę płaszcza i częściowo zasłoniętej kapturem twarzy. Tristen pochylił się, żeby pomóc również jej siostrze, która leżała skulona w zaspie, bezwładna. Niełatwo ją było podźwignąć.

–Wstań – powiedział, chwytając lady Tarien. Życzył sobie, aby się obudziła.

Ale nie życzył sobie tego w pojedynkę. Orien wspomogła go w jego wysiłkach, położyła dłonie na jego dłoniach, aż szara przestrzeń wokół nich zadrżała. Dreszcz przebiegł po bezwładnym ciele, Tarien częściowo odzyskała przytomność.

–Spalili klasztor – oznajmiła Orien, dzwoniąc zębami. Śnieg sypał im prosto w oczy. – Z pewnością byśmy zginęły. Tylko ucieczka mogła nas uratować. A moja siostra, moja siostra... Tu już opuściły nas siły.

–Posadzimy ją na mojego konia – zdecydował. Gdy stawiał Tarien na równe nogi, czuł pewną grubość jej ciała. Nie była to już ta sama wiotka, smukła Tarien, którą znał dawniej.

–Nosi w sobie dziecko – rzekła Orien, kiedy on na wpół niósł jej siostrę. – Bądź ostrożny.

Przystanął i spojrział na nią osłupiały. Jakże Sowa mogła go tak zdradzić, narzucić mu to niemile towarzystwo?! Nie mógł jednak porzucić siostr na pewną śmierć, nie był tak okrutny.

Mimo że była na granicy przytomności, Tarien spróbowała złapać za skórzany łąk. Tristen uniósł ją najwyżej, jak tylko mógł, pragnąc, aby Petelly stał przez ten czas nieruchomo. Nie bez trudności posadził Tarien w siodle. Orien poprawiła jej płaszcz i spódnicę.

–On cię ogrzeje – powiedział Tristen, po czym narzucił jeszcze swój płaszcz na zmarzniętą Tarien, jej ramiona i nogi, a także częściowo na koński grzbiet. Złapał brzeg materiału i wcisnął go do na wpół zdrętwiałych palców. – Nie puszczaj. Stąd już blisko do Henas'amef, wiatr będzie wiał nam w plecy. Niebawem znajdziemy schronienie.

–Prawie nam się udało – powiedziała Orien. Sowa wskazywała im drogę.

Orien ślaniała się na nogach, brnąc przez zasy. Buty miała oblepione śniegiem i nieodpowiednie do takiej podróży, lecz Petelly nie mógłby udźwignąć większego ciężaru. Oni więc szli, a Tarien jechała. Orien wspierała się czasami na Tristenie, usiłując czarami skrzesać w sobie dodatkowe siły, co pewnie czyniła podczas niejednej nocy swej wędrówki. Może i nie miała dobrego serca, ale za to była dzielna. Mimo to mogła lada chwila zaśląbnąć. Przerażony tą możliwością, Tristen użyczył jej,

acz niechętnie, mocy potrzebnej do dalszego marszu. Tak pokrzepiona, zaczęła wypowiadać urywane słowa, wśród których pojawiały się miecze i płomienie, strzępy przygód z wielodniowej tułaczki.

–Gdzie was to spotkało? – zapytał Tristen, wobec czego opowiedziała mu, ciężko dysząc, o napaści na terantyńskie zakonnice i o tym, jak ścigano je przez całą noc, kiedy płonął klasztor.

–Miałyśmy konia, ale uciekł nam zeszłej nocy – mówiła. – Spadł śnieg, pogoda pogarszała się z każdą godziną... Spałyśmy w stercie słomy, lecz nie znalazłyśmy domu gospodarza. A później szłyśmy i szłyśmy... Na koniec, kiedy gasła w nas już nadzieja, usłyszałyśmy twoją obecność.

Odkąd opuściły miejsce wygnania, zima rozsrożyła się na dobre. Ścigała mściwie obie siostry. Ale gdy tylko Tristen odnalazł je w zaspie, wichur ustał, jakby czary lub rozwścieczone żywioły osłabły bądź straciły ochotę do walki. Przejaśniło się z wolna, aż wreszcie, kiedy stanęli na szczycie ostatniego wzgórza przed grodem, nad białą ziemią wisiało już tylko nieskazitelnie czarne i spokojne niebo.

Wśród nocnych ciemności dostrzegli gwiazdki na ziemi: ogniska wartownicze między namiotami, które rozbito wokół osaczonych śniegiem murów Henas'amef.

–Cóż to, armia? – zapytała wstrząśnięta Orien. – Armia przed moim miastem?

–Moja armia – odparł Tristen po chwili milczenia. I dodał: – A to moje miasto. I moja prowincja.

Prowadząc za uzdę Petelly'ego, ruszył w dalszą drogę. Tuż przy nim szła Orien.

A przodem, machając bezszelestnie skrzydłami, frunęła Sowa.

LEKSYKON

Ylesuin

Afefel – południowa prowincja

Sztandar: czarny orzeł w czerwonym polu

Dom Aswyddów:

Heryn Aswydd – diuk Amefel; aetheling

Jego dwie siostry, bliźniaczki:

Orien Aswydd – duchessa Amefel

Tarien Aswydd – urodzona tuż po niej

Thewydd – sługa Heryna Aswydda

Dom Tristena:

Tristen – wielki marszałek Althalen, lord strażnik Ynefel

Uwen Lewen's-son – sługa Tristena, sierżant Smoczej Gwardii Cefwyna, kapitan gwardii Tristena

Gwardia Tristena:

Aran – gwardzista Tristena

Aswys – ujeżdżacz

Lusin – kapitan straży przybocznej Tristena

Syllan – gwardzista Tristena

Tawwys – gwardzista Tristena

Cassam, Cass – rumak bojowy Uwena, kary dereszowaty wałach

Dysarys, Dys – rumak bojowy Tristena, kary, brat rodzony Kanwy'ego i Aryny

Gery – lekki wierzchowiec Tristena, ryża klacz

Gia – lekki wierzchowiec Uwena, gniadosz

Liss – wierzchowiec Uwena, kasztanowata klacz

Petelly – podręczny wierzchowiec Tristena, nierasowy gniadosz

Amefińscy earlowie i ich domy:

Azant – lord znanego z sadownictwa dystryktu Dor Elen

Brestandin – earl

Cedrig – podstarzały earl, żyjący z renty

Civas – earl

Crissand Adiran – syn i spadkobierca Edwylla

Cuthan – earl Brynu, daleki krewny Aswyddów

Drumman – lord Baraddanu, najmłodszy earl poza Crissandem; jego starsza siostra jest żoną Edwylla i matką Crissanda

Drusallyn – podstarzały lord, poślubił amefińską szlachciankę

Drusenar – earl Brynu, spadkobierca Cuthana

Ynesyne – jego żona, Elwynimka

Durell – earl

Edracht – earl

Edwyn Adiran – earl Meiden, daleki krewny Aswyddów; w herbie złote słońce

Esrydd – earl

Lund – earl

Marmaschen – earl

Merishadd – earl

Moridedd – earl

Murras – earl

Prushan – earl

Purell – earl

Taras – earl

Zereshadd – earl

Pozostałe osoby:

Duchowieństwo:

Cadell – bryaltyński opat w Henas'amef

Faiseth – bryaltyńska mniszka

Emuin Udaman – czarodziej, nauczyciel, kapłan; terantyn; nauczał Cefwyna i Efanora

Del'rezan – bryaltyńska mniszka

Pachyll – kapłan, terantyński patriarcha Amefel

Wojsko:

Aman – wartownik

Cossun – zbrojmistrz

Ennyn – drugi rangą dowódca Gwardii Gueleńskiej

Gedd – sierżant gwardii Tristena

Nedras – wartownik

Ness – wartownik

Selmwy – wartownik, kuzyn Nessa

Wynedd – komendant Gwardii Gueleńskiej

Niżsi urzędnicy:

Tassand – początkowo sługa Cefwyna, później ochmistrz Tristena

Haman – masztalerz w Henas'amef

Miejscowi dygnitarze:

Ardwys – thane Sagany, dowódca wieśniaczych kontyngentów z Sagany i Pacewys

Inni:

Leciwa Syes – wiedźma z wioski Emwy

Paisi – ulicznik

Seddiwy – Cień; córka Leciwej Syes

Wydin – młodszy kustosz w archiwum

Tytuły, miejsca etc.:

Aetheling – tytuł używany w zastępstwie tytułu króla Amefel

Althalen – dawna stolica Sihhijczyków, gdzie zginął ostatni z tego rodu. Obecnie należąca do Tristena, w ruinie; sztandar: srebrne gwiazda i wieża w czarnym polu

Anas Mallorn – amefińska wioska położona blisko rzeki

Ardenbrook – drugi po Maudbrookku strumień przy drodze z Guelemary do Henas'amef

Arreyburn – miejsce obozowiska Emuina wracającego z pustelni do Henas'amef

Averyne – miejscowość przy drodze z Henas'amef do Guelessaru

Arys – miasto i dystrykt zawierający wioski Arys Emwy oraz Emwy zniszczoną przez elwynimskie wojsko; w granicach dystryktu także Althalen i Równina Leweńska

Asfiad – dawna nazwa wsi Aswyth

Asmaddion – wieś

Assurnford – bród na strumieniu granicznym

Assurnbrook – strumień

Aswyddowie – ród, z którego wywodzą się Heryn, Orien i Tarien; w rodzie tym zachowała się sihhijska krew

Aswyth – wioska

Athel – dystrykt sąsiadujący z ziemiami Meidena

Baraddan – dystrykt Drummana, znany z sadownictwa

Bru Mardan – dystrykt Tarasa

Bryn – włości Cuthana

Dor Elen – dystrykt Azanta, znany z sadownictwa

Ealdormani – rajcowie w Henas'amef

Edlinnadd – dawna nazwa wioski Ellinan

Ellinan – wioska

Emwy – wioska i dystrykt

Emwysbrook – strumień niedaleko Emwy

Hawwyvale – wioska

Hen Amas – dawna nazwa Henas'amef

Henas'amef – stolica prowincji

Kathseide – dawna nazwa Zeide, fortecy w Henas'amef

Kruczy Wierch – samotna góra niedaleko Emwy

Levey – wioska z sadami i pastwiskami dla owiec

Lewenbrook – strumień

Lysalin – wioska

Maldy – wioska nad Lenuaimem

Malitarin – wioska oddalona o dwie godziny drogi od Henas'amef

Margreis – zburzona wioska niedaleko Emwy, kryjówka zbójców

Marna, Las Marna – nawiedzona puszcza

Massitbrook – strumień, nad którym obozowała armia Cefwyna w drodze na Równinę Leweńską

Maudbrook – strumień

Meiden – dystrykt znany z hodowli owiec; sztandar: błękitny ze złotym słońcem

Merishadd – dystrykt

Pacewys – wioska

Padys Spring – miejscowość na południe od Henas'amef, zwana dawniej Batherys

Puszcza Amefińska – las w pobliżu Althalen

Ragisar – wioska

Równina Leweńską – niedaleko Althalen; pole bitwy, gdzie rozgromiono wojska Hasufina

Sagany – wioska; posłała swój kontyngent na bitwę nad Lewenbrookiem, dowodzony przez lorda Ardwysa, thane'a Sagany

Szara Szata, Szara Opończa – przezwiska Emuina

Tas Aden – miejscowość w dystrykcie Meiden

Trys lub Trys Ceyl – wioska

Trys Drun – wioska

Wielki Marszałek Althalen – tytuł Tristena, nadany mu przez Cefwyna

Zeide – skrócona nazwa fortecy Kathseide

Carys – północna prowincja

Guelessar – środkowa prowincja

Sztandar: czwórdzielny z naprzemiennymi wizerunkami smoka

Marhanenów w czerwonym polu i złocistego emblematu

quinaltynów w czarnym polu

Dom królewski:

Selwyn Marhanen – dziadek Cefwyna, król Ylesuinu; herb: złoty smok w czerwonym polu

Inareddrin Marhanen – ojciec Cefwyna i Efanora, król Ylesuinu

Cefwyn Marhanen – trzeci król z dynastii Marhanenów, brat Efanora

Efanor Marhanen – diuk Guelessaru, księżę Ylesuinu

Idrys – lord komendant Smoczej Gwardii

Annas – ochmistrz Cefwyna w Amefel i w Guelessarze; później lord szambelan

Gwywyn – żołnierz, kapitan Inareddrina, potem kapitan gwardii Efanora w Guelemarze

Alwy – pokojówka Ninevrise i jedna z dawnych kochanek Cefwyna

Brysaulin – lord kanclerz po koronacji Cefwyna

Cressen – lady, jedna z dawnych kochanek Cefwyna

Fiselle – pokojówka Ninevrise

Fisylle – lady, jedna z dawnych kochanek Cefwyna

Trallynde – lady, jedna z dawnych kochanek Cefwyna

Parsynan – gueleński arystokrata, wicekról w Amefel do czasu nadania Tristenowi tytułu lorda Amefel

Konie:

Aryny – rumak bojowy, rodzona siostra Dysa i Kanwy'ego

Danvy – lekki wierzchowiec Cefwyna

Drugyn – kary rumak bojowy Idrysa

Kanwy – kary rumak bojowy Cefwyna

Synanna – karos z gwiazdką na czole, zazwyczaj koń Efanora

Duchowieństwo:

Baren – quinaltyński purytanin

Benwyn – kapłan sekty bryaltynów, przydzielony Ninevrise

Jormys – quinaltyński kapłan, lojalny wobec Efanora

Neiswyn – quinaltyński purytanin

Patriarcha – najwyższy kapłan sekty quinaltynów

Udryn – quinaltyński purytanin

Wojsko:

Andas – żołnierz, jedenaście lat w Smoczej Gwardii, chorąży Tristena, poległy nad Lewenbrookiem

Anwyll – kapitan Smoczej Gwardii, odesłany do Amefel

Brogi – żołnierz

Brys – żołnierz w kompanii Anwylla

Cossel – żołnierz w kompanii Anwylla

Essan – kapitan Gwardii Gueleńskiej w Guelessarze

Hawith – żołnierz zabity w Emwy

Jeony – żołnierz zabity w Emwy

Kerdin Qwyll's-son – drugi rangą komendant po Idrysie, kapitan Gwardii Gueleńskiej, poległy nad Lewenbrookiem

Lefhwyn – żołnierz, towarzyszył Cefwynowi w Emwy

Lyn – żołnierz, posłaniec Tristena

Nydas – żołnierz, towarzyszył Cefwynowi w Emwy

Pelanny – żołnierz, gueleński zwiadowca, poległy lub wzięty do niewoli przez Aseyneddina nad Lewenbrookiem

Peygan – zbrojmistrz Cefwyna w Henas'amef, przyjaciel Uwena, mąż Margolis

Pryas – posłaniec króla Cefwyna

Niżsi urzędnicy:

Margolis – żona zbrojmistrza Peygana, jedna z dworek Ninevrise

Mesinis – przygłuchy archiwista

Tamurin – rachmistrz Cefwyna

Pozostałe osoby:

Rosyn – krawiec Cefwyna w Henas'amef i w Guelemarze

Tytuły, miejsca etc.:

Abynys – rzeka, dawna granica Guelessaru

An's-ford – miejscowość na drodze z Henas'amef do Guelessaru

Anwyfar – pustelnia terantynów w pobliżu Arreyburnu

Clusyn – klasztor quinaltyński w Guelessarze

Cressitbrook – miejscowość w pobliżu Guelemary

Czerwona kronika – historia Marhanenów

Dary – wioska w pobliżu Guelemary

Drysham – wioska

Dury – wioska

Guelemara – stolica prowincji; herb: złoty zamek w czerwonym polu

Guelesfort – cytadela w Guelemarze

Jego Świątobliwość lub Świątobliwy Ojciec – tytuły należne najwyższemu patriarsze sekty quinaltynów

Jego Wysokość – Efanor

Kruk – przezwisko Idrysa

Wys-on-Wyetlan – wioska

Imor – południowa prowincja

Sztandar: koło

Rządca:

Umanon – lord Imoru Lenuaimu, wyznawca quinaltu

Tytuły, miejsca etc.:

Hedyrin – rzeka w południowym Imorze

Imorimi – mieszkańcy Imoru

Isin – północna prowincja

Ivanor – południowa prowincja

Sztandar: biały koń

Rządca:

Cevulirn – lord Ivanoru, południowy baron, terantyn

Geisley – kapitan lekkiej jazdy Cevulirna, Ivanim

Erion Netha – przyjaciel Cevulirna, lord Tas Arin w Ivanorze, ranny nad Lewenbrookiem

Tytuły, miejsca etc.:

Ivor – dystrykt

Krysiny – rasa ivanimskich koni

Tas Arin – miasto

Toj Embrel – letni pałac Cevulirna

Lanfarnesse – południowa prowincja

Sztandar: czapla

Rządca:

Pelumer – diuk Lanfarnesse

Llymarin – środkowa prowincja

Sztandar: czerwona róża w zielonym polu

Rządca:

Sulrigger – lord Llymarinu, kuzyn patriarchy quinaltynów

Edwyn – bratanek Sulriggera

Marisal – południowa prowincja

Sztandar: złocisty snop ze skosem i półksiężycem

Rządca:

Sarmysar – diuk Marisalu; herb: lilie

Marisyn – południowa prowincja

Sztandar: słońce w błękitnym polu

Murandys – północna prowincja

Sztandar: złoty quinaltyński emblemat w błękitnym polu,

złoty skos i srebrna podstawa

Rządca:

Prichwarrin – diuk Murandysu

Cleisynde – siostrzenica lorda Prichwarrina

Luriel – dawna kochanka Cefwyna, siostrzenica lorda Prichwarrina

Odrinian – młodsza siostra Luriel

Pozostałe osoby:

Romynd – quinaltyński kapłan

Tytuły, miejsca etc.:

Aslaney – stolica prowincji

Nelefreissan – północna prowincja

Sztandar: biały krąg w lazurowym polu

Olmern – południowa prowincja

Sztandar: czarny wilk

Rządca:

Sovrag – lord Olmernu w Olmernhome

Brigoth – porucznik Sovraga

Denyn Kei's-son – strażnik Cefwyna, młodzieniec z Olmernu

Tytuły, miejsca etc.:

Capayneth – wioska prowadząca handel z Maurylem

Olmernhome – stolica prowincji

Osanan – wschodnia prowincja

Rządca:

Mordam – diuk Osananu

Panys – północna prowincja

Rządca:

Maudyn – lord Panysu, komendant sił zbrojnych Cefwyna nad rzeką

Rusyn – drugi syn lorda Maudyna

Pozostałe osoby:

Uta Uta's-son – naczelnik wioski Magan

Tytuły, miejsca etc.:

Magan – wioska

Panys-under-Grostan – wioska

Ryssand – północna prowincja

Sztandar: pięść i miecz w czerwonym polu

Rządca:

Corswyndam – lord Ryssandu

Brugan – syn i spadkobierca lorda Corswyndama

Artisane – córka lorda Corswyndama, jedna z dworek Ninevrise

Tytuły, miejsca etc.:

Ryssandowie – mieszkańcy Ryssandu; także grupa etniczna odrębna od

Gueleńczyków, choć z nimi spokrewniona

Sumas – wschodnia prowincja

Teymeryn – północno-wschodnia prowincja

Ursamin – północno-wschodnia prowincja

Elwynor

Sztandar: czwórdzielny – czerwono-biała szachownica i złota

wieża naprzemiennie z błękitnymi polami

Dom Syrillasów:

Uleman Syrillas – regent Elwynoru, ojciec Ninevrise

Ninevrise Syrillas – córka Ulemana

Szlachta:

Aseyneddin – zbuntowany earl, wróg Ninevrise, poległy nad Lewenbrookiem, zabity przez Cień

Aeself – porucznik wojsk lojalnych regentce

Angin – towarzysz Aeselfa

Caswyddian – zbuntowany lord, earl Dolnego Saissonnd, wróg Ninevrise, zabity przez Cień

Elfharyn – lord wierny Ninevrise, usiłujący zachować dla niej tron

Haurydd – earl Górnego Saissonnd, wierny Ninevrise

Palisan – earl Cassissanu, wierny Ulemanowi, kapitan jego armii, krewny Ninevrise po kądzieli

Tarwyn Aswydd – starożytny wojownik

Tasmorden – zbuntowany lord, wróg Ninevrise

Ysdan – earl Ormadzaranu, wierny Ninevrise

Uillasan – towarzysz Aeselfa

Tytuły, miejsca etc.:

Ashiyim – historyczna budowla o siedmiu wieżach mająca powiązania z dawnymi Sihhijczykami

Cassissan – włości Tasienu

Criess – wioska w pobliżu Ilefianu

Dolne Saissonnd – prowincja lorda Caswyddiana

Elwynimi – mieszkańcy Elwynoru

Górne Saissonnd – ojczysta prowincja Haurydda

Ilefian – stolica Elwynoru

Meliseriedd – dawna nazwa królestwa Elwynoru, sprzed wprowadzenia rządów regencyjnych

Nithen – dystrykt i osada w pobliżu Ilefianu

Ormadzaran – włości Ysdana

Saendelianie – bandyci wspierający Aseyneddina w bitwie nad Lewenbrookiem

Galasjen

Osoby:

Hasufin Heltain – czarnoksiężnik, prawdopodobnie galasjeński książę, wróg Mauryla

Mauryl Gestaurien – galasjeński czarodziej

Tytuły, miejsca etc.:

Dziewięciu Bogów – tajemniczy bezimienni bogowie, czczeni przez czarodziejów

Galasjeni – zaginiona rasa

Srebrna Wieża – Ynefel; symbol Mauryla, potem wraz z gwiazdą w godle Tristena

Twórca Królów – przydomek Mauryla

Ynefel – wieża Mauryla; Srebrna Wieża

Zguba Królów – przydomek Mauryla

Pozostałe plemiona

Arachimowie – plemię z północy

Casmyndanimi – nadmorskie plemię z dalekiego południa

Chomaggarowie – barbarzyńcy z południa

Lyra – górskie plemię

Sihhe/sihhijskie powiązania

Osoby:

Ashyel – sihijski półkról, syn Barrakketha

Aswyn – sihijski półkról, najmłodszy brat Elfwyna, dziecko urodzone martwe, potem opętane przez Hasufina

Barrakketh – jeden z pięciu sihijskich lordów

Elfwyn – ostatni sihijski władca, półkról

Harosyn – sihijski król

Sadyurnan – sihijski król w Hen Amas

Tashanen – sihijski półkról, inżynier i strateg, autor Sztuki wojny

Tytuły, miejsca etc.:

Arachis – pradawna nazwa z sihijskimi powiązaniem

Aryceillan – pradawna nazwa, prawdopodobnie starożytne plemię z sihijskimi powiązaniem

Hafsandyr – góry na pomocy, ojczyzna Sihhijczyków

Sihhe, Sihhijczycy – zaginiona rasa; pięciu Sihhijczyków nadeszło z północy, aby rządzić w Ylesuinie i w Elwynorze

Siewca Śmierci – przydomek Barrakketha

Inne

Bathurys – dawna nazwa Padys Spring

Bryaltyni – sekta religijna w Ylesuinie, głównie w Amefel

Byssandiny – rasa koni, z której wyhodowano rasę krysinów

Forma – istota lub osoba zawieszana i przyobleczona w ciało przez czarodzieja

Ileneluin – pogórze

Jorysal – miejscowość wzmiankowana w kronikach

Lenuaim – rzeka, wzdłuż której biegnie granica między Ylesuinem i Elwynorem

Manystys Aldun – filozof, autor książki o oceanach

Merhas – "prawda", słowo wyryte na mieczu Tristena

Pięciu Bogów – bezimienni bogowie, czczeni przez mieszkańców Ylesuinu

Quinaltyni – sekta religijna o surowych zasadach

Sassury – miejscowość przysłowiowa, dosł. "tył końca"

Spestinany – rasa koni

Stellyrhas – "iluzja", słowo wyryte na mieczu Tristena

Terantyni – sekta religijna o łagodnych zasadach

Wys – wioska w Ylesuinie, jedna z wielu o tej nazwie

Wys-on-Cressit – wioska w Ylesuinie

Wzgórza Cienia – obszar na północ od Ryssandu

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/